




Purchased for the
LIBRARY of the
UNIVERSITY OF TORONTO
from the
KATHLEEN MADILL BEQUEST



Digitized by the Internet Archive
in 2007 with funding from
Microsoft Corporation

ZYGMUNT KRASIŃSKI

Jan Piłsudski

ST. TARNOWSKI

ZYGMUNT KRASIŃSKI

TOM II

W KRAKOWIE

AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI

NAKŁADEM FUNDUSZU NESTORA BUCEWICZA

SKŁAD GŁ. W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYD. POL.

1912.

PG
7158
K7Z 87
t. 2

WYDANIE DRUGIE UZUPEŁNIONE I POWIĘKSZONE



W DRUKARNI UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWSKIEGO

ROZDZIAŁ VII.

NOC LETNIA. — POKUSA. — TRZY MYŚLI LIGENZY.

I. Zboczenie myśli i osłabienie twórczości Krasińskiego. Romantyzm drugorzędny i jego złe zwyczaje. Pretensya. *Noc Letnia*. Sposób opowiadania. Znaczenie i powód napisania. Pochwały i ich odparcie. Skłonność Krasińskiego do przesady i napuszystości. Wpływ Jean Paula. Zakończenie: jego obrona przez autora. *Pokusa*. Znaczenie i słuszność myśli podstawnej. Próżność. Godność. Treść. Zakończenie. Jego niemoralność i jej domyślny powód. Osobisty smutek autora. II. *Trzy Myśli*. Stosunek do poprzednich i do późniejszych pojęć Krasińskiego. Wyrabianie się jego systemu. Powody. Wpływ filozofii niemieckiej. Niejasność i sprzeczność pojęć. *Syn Cieniów*. Pojęcie istoty, bytu i przeznaczenia człowieka. Objasnienia wiersza w liście. Mieszanina pojęć i ich niezgodność z sobą. *Sen Cezary*. Pierwszy objaw późniejszej teorii o odrodzeniu przez śmierć. Sceny widzenia. Przesadność i nadętość. Niejasność. Styl apokaliptyczny. *Legenda*. Troistość dziejów od Cieszkowskiego przejęta. Zastosowana do Kościoła. Epoka Ducha Ś-go. Jej powtarzające się oczekiwanie od wieków średnich. Widzenie poetyczne. Treść. Nie-naturalność formy. Fałsz i szkodliwość myśli. Pierwiastki optymizmu i zwątpienia. Wartość artystyczna *Trzech Myśli*. Ich przedmowa.

I.

Zboczenie myśli i osłabienie twórczości Krasińskiego. Romantyzm drugorzędny i jego złe zwyczaje. Pretensya. *Noc Letnia*. Sposób opowiadania. Znaczenie i powód napisania. Pochwały i ich odparcie. Skłonność Krasińskiego do przesady i napuszystości. Wpływ Jean Paula. Zakończenie: jego obrona przez autora. *Pokusa*. Znaczenie i słuszność myśli podstawnej. Próżność. Godność. Treść. Zakończenie. Jego niemoralność i jej domyślny powód. Osobisty smutek autora.

W listach poety były już wzmianki o *Nocy Letniej* i o *Trzech Myślach Ligenzy*; już one wyszły w druku. Tu więc jest czas i miejsce, żeby je wziąć pod rozwagę.

Po genialnej *Nieboskiej Komedyi*, po kolosalnym i pięknym *Irydionie*, ta grupa dzieł pomniejszych wydaje się dziwnie. Logiczna jasność Krasińskiego myśli i pewność jego przekonań jest jakoby przyćmiona i zachwiana, a sama zdolność artystyczna, sama twórczość poety, jak żeby osłabła. Nie o to zaś chodzi, jaka jest wartość moralna, filozoficzna, lub religijna tej myśli, nie o to, czy w niej jest prawda, lub czy jej niema. *Irydionowi* i *Nieboskiej* jeden przyzna prawdę, drugi jej odmówi; ale potęgi, ale gieniuszu, ale wielkości i głębokości myśli nie odmówi im nikt. Teraz, nawet ktoby chciał widzieć i uznawać prawdę w pomysłach Krasińskiego, nawet taki musiałby przyznać, że ta myśl tonie w oceanie dodatków, które nią nie

są, z nią nie mają nic wspólnego: gubi się w labiryncie ozdób i przyborów, pod którymi odgrzebać ją trudno, a które jak nie były konieczne, tak same w sobie, choćby jako obrazy, jako opisy, jako szczegóły, piękne nie są. Poeta zdaje się na to całą swoją sztukę, całą swoją fantazyę wysilać, żeby swoją myśl otoczył mgłą jak najgrubszą, obwinąć w chmury różnej gęstości i barwy, przez które ona raz ma przeglądać jaśniej, drugi raz chować się prawie zupełnie. Krasiński, ogółem wzięwszy, stoi sam pośród współczesnych poetów, nie należy do ich szkół, nie podlega ich wpływowi, — jednak zupełnie od nich wyswobodzić i odgrodzić się nie mógł; jednak jedna z grubych a pospolitych brzydota romantyzmu, maniera i mania bałamucenia i intrygowania czytelnika przedstawieniem rzeczy niejasnym, sztucznie efektowym, pretensjonalnie ponurem; ta łatwa sztuczka, z której pomocą pismak płytki i ubogi w myśl i fantazyę, mógł za coś sprzedawać swoje nędzne wymysły i na chwilę złudzić: ale którą poeta prawdziwy, gieniusz wielki, powinien był brzydzić się jak niegodną siebie artystyczną małością, — ta na nieszczęście odbiła się na niektórych pismach Krasińskiego.

Bywają czasem malarze, którzy umieją malować jeden tylko i ten sam efekt: zachodzącego słońca na liściach naprzykład, lub zawsze tensam odbłask księżycyca przedzierający się przez grube czarne chmury i oświecający złowrogiem światłem jakieś smutne cmentarze i urocyska. Na pierwszy raz zdaje się, że to coś jest naprawdę; ale kiedy ten sam księżyc, te same chmury, to samo oświecenie złowrogie i ponure powtórzy się po raz drugi, trzeci, dziesiąty i setny, kiedy się człowiek przekona, że ten nieszczęsny artysta nic innego wymyśleć nie może, nic innego w sobie nie ma, i nie umie, kiedy oko oswoi się z tym sztucznym efektem i zda sobie sprawę z jego sekretu,

wtedy powstaje taki przesyt, taka cikliwość, taka abominacja do tego malarza i jego księżycowo-cmentarzowych widoków, że chciałoby się ułożyć wielki stos z dzieł i spalić na nim autora! Otóż romantyczność, późniejsza mianowicie i zepsuta, romantyczność tandetna, poniewierana i dodzierana przez pisarzy i pisarków czwartego i piątego rzędu, ta, w której poezyi już nie było żadnej, tylko biedne, jałowe prozaiczne wymysły, przyodziane w strzępy i łachmany starzyzny po Byronie albo Mickiewiczu, ta romantyczność w upadku, płodna niezmiernie w fantazyje dramatyczne, w poetyczne powieści, zakochana w tajemnicach i półcieniach (i roztropnie, bo gdyby swój towar była pokazała jasno i wyraźnie przy świetle słonecznem, wyszłaby na jaw jego wartość poślednia) — ta romantyczność przesadna, excentryczna, która w Niemczech po niezwykle zdolnym Richterze zesła na poślednich naśladowców, — we Francyi rozchodziła się z dramatów Wiktora Hugo aż do feuilletonowych powieści, aż do Dumasa i jego bohaterów, Antonych i Buridanów, u nas inaugurowana przez Goszczyńskiego podobno, a reprezentowana przez legion nazwisk, anonimów i pseudonimów: Zielińskich, Sowów, Żyglińskich, Norwidów i *tutti quanti*, ta romantyczność żyła jedynie takimi sztuczkami i efektami. Ona to zalała świat dramatami fantastycznymi, w których nie było nic fantastycznego; fatalistycznymi, które były istotnie fałalne, dla czytającego! — powieściami, w których bohater i bohaterka wiecznie byli pod maską, najczęściej bez imienia nawet, oznaczeni tylko uprzywilejowanym zaimekiem *on* i *ona* — a *on* i *ona* ukazywali się zawsze na tle ponurych wypadków i czarnej nocy, oświetleni smutnym promieniem księżycy lub złowrogim zygzakiem błyskawicy. Wtedy rodzili się jak grzyby bohaterzy bez krawaty na szyi i bez sensu w głowie; wtedy znikły wszystkie zwyczajnie używane podziały i roz-

działy a miejsce ich zajęły pod końcem każdego ustępu czarne linijki, lub tajemnicze kropki, które się tak wiele kazały domyślać! Wtedy nawet poczciwe stare znaki interpunktacyi, przekonane o zbrodnie prozaiczności, pochowały się gdzieś ze wstydu; średnik i przecinek nie śmiały się pokazać w książce, która dbała o ludzki szacunek, a miejsce ich zajęły sakramentalne kropki w wielkiej ilości, wykrzyknik w assekuracyi dwóch lub trzech innych wykrzykników, i pauza; za każdym zdaniem pauza, która w tej romantyczności stała się klasyczną, *Gedankenstrich ohne Gedanken*, jak ktoś o niej dowcipnie powiedział. I wtedy poeta lub pisarz, wyzwolony ze wszystkich przesądów, nawet z przesądów składni i gramatyki, stwierdzał swoją niepodległość tem, że zaczynał swoje opowiadanie od wyrazu, który oznaczał już jakiś ciąg dalszy, jakieś następstwo po czemś, co poprzedziło. »I było ciemno!« lub coś podobnego. Wtedy w składni, w stylu, w pojęciu postaci, w przedstawieniu lub opowiedzeniu zdarzeń grasowała istna dzuma, śmiertelna dla wszelkiej piękności, pretensya, pretensya i jeszcze raz pretensya!

Jak długo żyli nią i szafowali nią tacy, którzy nic innego nie mieli, nie można ani się dziwić, ani oburzać. Ale jak na dziełach takiego poety, takiego gieniusza jak Krasiński, pokażą się sine plamy tej zarazy, to gorzej, bo któż już będzie od niej bezpiecznym! Dopóki to na *Rodzinie Reichsthalów*, albo jeszcze na *Agay-Hanie*, mniejsza o to, skoro jedno i drugie sięga jeszcze młodzieńczych lat nieodpowiedzialności autorskiej. Ale kiedy w latach późniejszych, dojrzałych, jako człowiek blisko trzydziestoletni, po wszystkich głębokościach *Nieboskiej* i wszystkich pięknościach *Irydiona*, Krasiński wpadnie w tę nieszczęsną manierę tajemnic, przyborów, i dekoracyi, to doprawdy nie wie się, jak to zrozumieć, ani czemu to przypisać. A przecież, że tak jest, świadczy *Noc*

*Letnia, świadczy Pokusa, świadczą Trzy Myśli Li-
genzy.*

»Widziałem, kiedy ją wiedli — w białych szatach, »z wieńcem na głowie« i t. d. — tak zaczyna Krasiński *Noc Letnią*, a prosty czytelnik na samym wstępie sam sobie zadaje pytanie, kogo wiedli, kto wiódł, gdzie wiedli, i t. d. — Kogo wiedli? *Ją*; gdzie wiedli? do ślubu, do ślubu poniewolnego z obcym księżciem — kto na ten ślub patrzył ukryty za filarem, kto nad nim cierpiał? — ten, który *Ją* kochał i którego *Ona* kochała: *On*. Zapytuje człowiek, co jest pięknego w tej tajemniczej bezimienności osób, i na co ona potrzebna. A dalej zastanawia się głębiej, i pyta, czy takie porwanie *in medias res* trafia tam, gdzie zmierza, czy nie jest efektem chybionym, czy nie lepiej było powiedzieć odrazu i poprostu, jak się rzeczy miały i o co tu chodzi. Bo istotnie, dzięki temu mglistemu sposobowi opowiadania, zrozumienie *Nocy Letniej* jest bardzo trudne. Jakaś Dziewica, jakaś *Ona*, poświęcona i rozpaczająca, jedyna córka starego jakiegoś możnego ojca, i ostatnia dziedziczka jego imienia i domu, wydana jest przez niego za jakiegoś południowego księcia z obcego narodu; za ledwo po ślubie, stary dumny ojciec wyrzuca sobie naprzód, że córkę poświęcił swojej dumie, powtóre, że zrobił coś brzydkiego, coś, co zakrawa nieco na podłość. Tymczasem człowiek jakiś, kryjący się po górach z przyjaciółmi, a wróg południowego księcia i pana zamku, w noc ślubną żegna swoich i zabija nieszczęśliwą ofiarę i siebie. Ojciec z rozpaczyny wpada w rodzaj obłąkania i topi się w ogrodowym jeziorze. To jest fabuła, wydobyta z pod ozdób i dekoracyi, to jest szkielec *Nocy Letniej*. Ale co to wszystko znaczy? Jesteśmy tak przyzwyczajeni szukać allegoryi we wszystkim, co Krasiński napisał, iż naprzód zastanawiając się nad *Nocą*, wpadamy na myśl, że i to allegorya,

że to muszą być jakieś idee i symbole; szukamy alluzji politycznych i patryotycznych. Ale znaleźć klucz do tajemnicy, odgadnąć słowo zagadki? Ta kobieta wydana gwałtem za obcego człowieka, kochająca rodaka, ta duszna atmosfera smutku i wstydu, która się nad tem weselem unosi, to musi kryć jakieś znaczenie? może ta kobieta jest figurą jakiejś sprawy, jakiegoś kraju? próbuje się dochodzić i zgadywać, ale ten klucz nie nadaje się do rzeczy; z jego pomocą chcąc te cyfry czytać, otrzymuje się same wykłady niedostateczne, niezgodne z literą powieści. A jednak to nie jest prosta powieść. Dziewczyna, którą ojciec wydał za mąż mimo jej woli, a dawny kochanek zabił, żeby nie należała do innego? to nie romans tylko i nie prosty dramat domowy? bo w takim razie pocóż ten mąż narzucony byłby obcym, coby znaczyli ci ludzie w górach, gotujący się do wojny? dlaczego ojciec wstydzilby się małżeństwa córki jak wyrzutu i wstydu? Coś w tem jest; ale co? przerzuca się kartki, przebywa się z pośpiechem nagromadzone massy przyborów i dekoracyi, katedr, krużganków, galeryi, schodów, ogrodów, sal, stawów, illuminacyi, chce się pod tem wszystkim domacać myśli autora i jego zamiaru, i w końcu z niesmakiem i zniechęceniem odkłada się na bok książkę, przeładowaną ozdobami i efektami stylu, szumną i pompatyczną w tonie, umyślnie zaciemnioną w treści, a niezrozumiałą w znaczeniu. Trzeba komentarza, trzeba odsyłacza, trzeba jakiejś nici Aryadny, któraby pomogła znaleźć drogę przez ten labirynt dekoracyi.

Nici tej nie podaje nawet przedmowa, to jest ten piękny wiersz, którym poeta poświęca swoją powieść jakiemuś »sercu niewieściemu i prześladowanemu«. Wiersz jest piękny, pełen smutku i współczucia, a może czegoś więcej jeszcze. Rozumie się, że mowa o jakiejś istocie szlachetnej, nieszczęśliwej; można podziwiać wiersz, ale znowu czytelnik zajęty odgadnieniem tej

dziwnej powieści, nie wie, czy to prosta dedykacja tylko, lub też, czy jest może jakiś związek pomiędzy bohaterką powieści, a tą, której ona jest przypisana, czy te dwa serca niewieście są sobie obce i nieznane, lub czy jest może coś wspólnego między nimi. I znowu stoi się jak przed sfinksem, i szuka się pomocy, tłumaczenia, komentarza. Komentarz ten, którego szukać dopiero trzeba u biegłych, u przyjaciół i powierników Krasińskiego, pozwala wreszcie zrozumieć *Noc Letnią*, a zarazem każe żałować, że jej poeta nadał tę formę mglistą i tajemniczą; bo pomysł jego był tak dobry, że był godzien formy prostej i jasnej.

Oto co mówili wiarogodni świadkowie¹⁾: Nie szukaj w *Nocy Letniej* allegoryi, bierz ją za prostą powieść; nie męcz się nad wykryciem myśli politycznej, takiej tam niema. Ale myśl patryotyczna jest. Powieść tę natchnął poecie widok młodych Polek, wychodzących za mąż za Moskali, mniej lub więcej z rozkazu rodziców; pomiędzy r. 1830 a 1840-tym zaszło podobno takich wypadków kilka. Krasiński uczuł żywo w swoim sercu szlachetnem, ile cierpieć musiała taka młoda dziewczyna, skazana na zmianę ojczyzny, na ślub z człowiekiem, którego Bóg nie był jej Bogiem ani ziemia jej ziemią, skazana bez swojej winy na wstyd przed swoimi. Jego serce polskie zaś wyobraziło sobie żywo, ile musieli cierpieć, a przynajmniej ile cierpieć byli powinni rodzice, którzy dziecko do takiej ofiary zmusili; jak im musiało być żal tego dziecka, i jak im musiało być wstyd tego co zrobili; żal tłumiony zapewne, wstyd ukrywany starannie, ale tem więcej może dręczący, tem nieznośniejszy. Oto tajemnica *Nocy Letniej*. Ta młoda dziewczyna, którą wiodą do ołtarza, jak Antygonę na śmierć (wyjętek z *Anti-*

¹⁾ Pani Krasińska, jej syn Władysław, Jerzy Lubomirski, Machowski.

gony służy za godło *Nocy Letniej*) — ten obcy książę, który ją zaślubia, jego pan, król południowy, który się cieszy, że poddany jego »zagarnął obszerne włości, a że ród odwieczny i potężny wygasł« — to Polka, zmuszona iść za Moskala, to Moskał, rad że bierze żonę piękną, bogatą, polectany w swojej miłości własnej, ale zresztą dla tej żony obojętny, nie umiejący jej ocenić, bo u niego »w sercu pusto jak u zalotnicy« — to rząd rossyjski wreszcie, który związki takie popiera i błogosławi, jako dzielny w swoim ręku środek polityczny. A ten ojciec, który po ślubie spozstrzega się, że córka nie jest szczęśliwą, który »króla i siebie i zięcia przeklina«, nie śmie podnieść oczów na wizerunki swoich przodków, to uczucia i los Polaków, którzy dzieci swoje do związków takich składali, albo zmuszali. W tem wszystkim jest przystosowanie, jest moralna nauka. Reszta, ten młodzieniec, wróg króla i księcia, który ze swoimi kryje się i spiskuje w górach, który kocha dziewicę, nawzajem od niej kochany, i podwójne w zakończeniu zabójstwo, to dodatek, bez którego nie byłoby powieści; to zresztą zawikłanie rzeczy bardzo usprawiedliwione i prawdopodobne, bo byłoby aż nadto naturalnem, żeby Polka, zmuszona wyrzec się swojej ojczyzny, narażona była na tem silniejszą, tem gwałtowniejszą miłość do człowieka, który jej tę ojczyznę przypomina i jej służy. Wszystkie szczegóły zaś, śluby, uczty, zamki, ogrody i tam dalej, te znaczenia nie mają żadnego, to są prosto dekoracye, ale dekoracye, które zajmują tyle miejsca, że rzecz przywalona niemi znika, tak jak w zepsutych czasach architektury linie budynku ginęły pod masą ozdób i dodatków, festonów, girland, sztucznych obłoków, draperyi, kręconych filarów i t. d.

Czy *Noc Letnia* wypłynęła tylko z takiego ściśle obiektywnego uczucia dla młodych Polek poświęconych Moskałom, i obiektywnego oburzenia na rodzi-

ców, którzy je poświęcali — czy jakiś przypadek tego rodzaju nie obchodził bliżej poety samego? W jednym jego liście do Juliusza Słowackiego znajduje się dość wyraźne potwierdzenie domysłu przyjaciela, który podziwiając bardzo, może zanadto, *Noc Letnią*, dostrzegł w niej i »skargi bolesnej, protestacyi pełnej żywotnej »rzeczywistości«. »Kto ci dał wzrok — pisze Krasiński do Juliusza — sięgający w głąb dusz ludzkich »i odkrywający to, co te dusze kryć pragną a nie »dają. Położyłeś dłoń całą, jak szeroka, na duszy mo- »jej, tak że dusza odjęknęła: prawda. — Ale teraz nie »dotykaj rany śmiertelnej, którą krew nasza wylewa »się kropla po kropli. Gdy puścisz w morze kotwicę, »nie widzisz gdzie poszła; ale czy wiesz, czyś tam, »czasem na co żyjącego żelazem nie trafił i tego nie »rozdarł, nie rozranił, nie przebił«. Temi słowy zdaje się Krasiński przyznawać, że w jakiejś sprawie, do *Nocy Letniej* podobnej, nie był tylko obojętnym widzem; że na powstanie tej powieści wpływało nietylko współczucie dla poświęconych, ani oburzenie na poświęcających, ale i osobiste własne cierpienie. Ale znając jego życie i jego różne miłości, trzeba koniecznie przyjść do przekonania, że taka miłość, jeżeli istotnie była, to w jego życiu wiele znaczyć nie mogła. Od wyjazdu z kraju, a tembardziej od lat dojrzałych, już na nią miejsca w tem życiu i sercu nie było. A więc przed wyjazdem, w Warszawie jeszcze? W latach siedemnastu? Takie młodzieńcze miłości głębokich śladów zostawiać nie zwykły.

Jakkolwiek zresztą ma się rzecz pod tym względem, to zawsze niejasna forma, dana *Nocy Letniej*, nie przestanie być wielką szkodą. Bo wyobraźmy sobie, że Krasiński pomysł taki, taką sytuację traktował prosto, otwarcie, zrozumiale, o ile rzecz nabierała wartości i piękności! Wystawmy sobie, że, czy to w powieści wierszowanej lub nie, czy w dramacie, stoi

przed nami nie jakaś Ona obojętna i nieznana, ale rzeczywista biedna młoda dziewczyna, pełna serca i wdzięku, a zmuszona, bez potrzeby, bez zapалу, bez złudzenia do takiej na małą skalę ofiary, jaką spełnia Elsinoe; tylko nie dla dobra (choćby urojonego) swojej sprawy, ale prosto dla uporu i płaskiej próżności ojca; wystawmy sobie, że jej kochanek nie jest jakimś tajemniczym rycerzem w czarnej zbroi, bohaterem melodramatycznym i nieco nadętym, ale prostym śmiertelnym, ułanem z pod Wawru naprzykład, a dziś wygnańcem — czy jedno i drugie nie trafiałoby nam bardziej do serca? czy nie więcej mielibyśmy dla nich współczucia, gdybyśmy jasno i wyraźnie widzieli, o co im chodzi, aniżeli teraz, kiedy się tego z trudem domyślać musimy, i ledwie możemy? A jeżeli o cel praktyczny chodziło, o to, żeby sprawić wrażenie na umysłach takich ojców i obudzić w nich upamiętanie, czy nie pewniejszy był środek po temu w jasnym, dotykalmem przedstawieniu ich wstydu i żalu i ich powodów? I dążność i artystyczna wartość *Nocy Letniej* byłyby zyskały na tem, gdyby ją Krasiński był napisał jaśniej, prościej, z większą oszczędnością przyborów.

Są tacy, którzy w tem właśnie widzą piękność *Nocy Letniej*; są zdania bardzo poważne nawet, które ją biorą w obronę. Juliusz Słowacki widział w niej jedną z najpiękniejszych rzeczy Krasińskiego; to może nie dziwne, że jego bujna fantazyja podobała sobie właśnie w tym zbytku ozdób i przyborów. Ale i Małcki także, tak trzeźwy i pewny w swoich sądach, mówi o »tkance brylantowej fantazyi«. Niestety jest w tej tkance wiele nici z podejrzanego złota, pomiędzy temi brylantami nie wszystkie są prawdziwe! jest począwszy od owego pierwszego »widziałem, kiedy ją wiedli«, aż do śmierci starego ojca w jeziorze, w przedstawieniu rzeczy taka niejasność umyślna, sztuczna,

wyrachowana, w stylu takie efekta nienaturalne, takie przytem nadużycie szczegółów i opisów, że i *on*, i *ona*, i książkę, i ojciec, i cała ta smutna, a pełna przystosowania historia ginie w katedrach, salach, jarach i ogrodach. Są czasem w poezyi takie utwory, w których rzecz główna, treść, schodzi do podrzędnego znaczenia, i służy tylko za pretekst, za szkielet do rozwieszania dekoracyi. U Byrona naprzykład, jest takich rzeczy wiele. Bez woli Krasińskiego, bez jego wiedzy, taką poezją dekoracyjną tylko stała się *Noc Letnia*. Przez to, że nie wiemy kto ci ludzie są, czego chcą, jak się nazywają, stają się jakiemiś obojętnymi marami i cieniami, i robią takie wrażenie, jak żeby kościoły, zamki i ogrody nie były dla ludzi, ale ludzie dla nich. Żeby też raz powiedział Krasiński otwarcie i odrazu to, co powiedzieć chce! żeby jedna scena nie była przywalona dodatkami, pod któremi ginie ona i jej znaczenie tak, że jej dopiero szukać trzeba! Kiedy naprzykład chce poeta doprowadzić do tej rozmowy, w której świeżo zaślubiona córka oświadcza ojcu, że kochała tajemniczego »buntownika«, potrzebuje do tej rzeczy tak prostej, przeprowadzać starca przez długie sale i korytarze, w orszaku giermków garbiących się pod ciężarem różnych kosztowności, które pan zamku rozdaje swoim gościom, potrzebuje, żeby na zegarze wybiła dwunasta, a za każdym uderzeniem wychodzi jakaś marsowata postać jakiegoś wojewody i kłania się jakiemuś na górze siedzącemu królowi — dopiero kiedy ostatni zniknął, odzywa się śpiew kobiet, szukających oblubienicy, żeby ją odprowadzić do komnaty; dopiero ojciec prowadzi ją do kaplicy, gdzie »jego pradziady spoczywają w kamiennych trumnach« — co tu rzeczy, co tu dodatków, i czy pod przyborami nie znika treść? Albo kiedy młodzieniec, kochanek, opuszcza swoich, żeby w śmierci połączyć się ze swoją oblubienicą, ile tam także zmian dekoracyi, lasów, jarów, skał, ogro-

dów, bluszczów, kwiatów, fontan, teras, ptaków wszelkiego gatunku od słowika do sowy! są nawet wilki z błyszczącymi oczyma, nawet nieuniknione, klasyczne w swojej romantyczności złowrogie błędne ogniki. Albo kiedy *On* po ślubie sam jeden zostaje w katedrze, a księży trzy razy każą mu wyjść, bo czas zamykać kościół, *On* nie słucha; aż kiedy ostatni rzucił na niego przekleństwo (za to, że miał miecz dobyty z pochwy, choć nim nikogo nie zabił ani nie ranił), on odchodzi mówiąc że na to czekał; na co to wszystko, dlaczego czekał? dla efektu, dla większej ponurości figury i obrazu, dla efektu marnego, niegodnego wielkiego poety, i chybionego! W części ostatniej, kiedy ojciec ma naprzód wyrzuty sumienia, potem to widzenie, które znowu nie może odbyć się w jego pokoju, ale w kaplicy czy w grobach, i w którym widzi naprzód córkę zabita w objęciach zabitego synowca, zanim ich tak ujrzał w rzeczywistości, wreszcie kiedy w obłąkaniu szuka tej córki po ogrodzie, zbiera dla niej kwiaty, wypija jej zdrowie, choć go Słowacki porównywa z Learem i nazywa większym od Leara, ma on ciągle i niezmiennie tensam charakter efektowy, melodramatyczny. A szkoda, bo postać takiego ojca, jego żal i wstyd, gdyby nie przywalone zbrojami, filarami, łukami, ołtarzami, grobami, portretami przodków i t. d., to materyał poetyczny bardzo bogaty.

Zkąd to obłąkanie fantazyi Krasieńskiego? Zdaje się, że zawsze musiała być w niej jakaś skłonność do pompy. W jego najpiękniejszych dziełach, w opisach istotnie wspaniałych, w ustępach prawdziwie i wielce natchnionych, nawet w *Nieboskiej*, w *Irydionie*, nawet w ostatnim *Psalmie*, znać ten pompatyczny zakrój, to zamiłowanie dekoracyi. Tu wzięty one górę zupełnie i szkodliwie, tak mniej więcej jak w *Agay-Hanie*. Dlaczego teraz właśnie, w tych latach i w tych utworach? jaki mógł być ten szkodliwy wpływ, pod

którego działaniem on dał folgę tej swojej złej skłonności? To pewna, że nigdy ta skłonność nie objawiła się (w latach dojrzałych i męskich Krasińskiego), jak w *Nocy Letniej*, nigdy rzecz nie jest bardziej przygłuszona, przyduszona dodatkami i przyborami, nigdy mglista, tajemnicza, ponura, sztucznie efektowa maniera późniejszych romantyków, nie opanowała go w sposób tak zupełny, tak szkodliwy, i tak trudny do pojęcia.

Ale czyj wpływ lub przykład mógł uwieść Krasińskiego do takiego sposobu pisania? Był on w owych latach modny, a jego całemu usposobieniu bliski. Jednak jakiś wpływ szczególny i bezpośredni być tu musiał. Szukając tego wpływu, dochodzi się do pytania, czy to nie Lammenais może? Krasiński wprawdzie nie przechodzi na jego stanowisko, bez ceremonii wyraża się o nim, że »zglupiał«, ale nie jedno z jego uczuć i pragnień podziela. Umysł ten, potężny i działający silnie na całą ówczesną Europę, mógł łatwo, a raczej musiał robić wrażenie i na naszym poecie także. Lammenais zaś (*Paroles d'un croyant*) pisze widzeniami i obrazami, z ogromnym nakładem dekoracji i ozdób niby poetycznych. Nam one wydają się niesmaczne, fałszywo-poetyczne; ale tamte lata sądziły inaczej, widziały natchnienie i cechy geniuszu w tem, co nam wydaje się pretensją. Krasińskiemu zaś ta dekoracyjność przesadna mogła się właśnie podobać łatwiej, niż wielu innym. Być więc może, że bez swojej wiedzy i zamiaru, poszedł on za tym przykładem w formie swoich teraźniejszych utworów. Ale jeżeli ten wpływ nie jest niemożliwym, to pewnym jest drugi, wpływ Jean Paul Richtera. Zwrócił nań uwagę pierwszy pan Kallenbach w swoim *Studyum porównawczem o czwartej części Dziadów*. Nie zajmuje on się tam Krasińskim, i wykazuje tylko wpływ Jean Paula na Mickiewicza: ale wskazuje mimochodem, że

i Krasiński temu wpływowi ulegał. Spostrzeżenie trafne, a bliższa rozważa sprawdza je zupełnie. Owszem Mickiewicz przypadkowo tylko i nieznacznie odbija w swoich dziełach ten wpływ przelotny, Krasiński ulega mu głębiej i na dłużej: w *Trzech Myślach*, w *Nocy Letniej* i *Pokusie* bardzo, a w niektórych ustępach *Niedokończonego poematu* (w *Śnie* na przykład), ulega mu jeszcze. Jean Paul zaś z niezaprzeczoną siłą i oryginalnością, ale z większą jeszcze excentrycznością, ma właśnie ten sposób pisania, te niezdrowe upodobania wyobraźni, które wywierały urok w owym czasie i wywierały go na Krasińskiego. Talent zbyt prawdziwy, iżby można go liczyć do smutnych karykatur romantyzmu, ma przecież wspólne z takimi własności: przeladowanie efektami, umyślnie niejasne przedstawienie rzeczy, nienaturalność. Krasiński zaś miał w nim upodobanie wielkie; pociągał go do Jean Paula jego ponury smutek, i także ta chorobliwość wyobraźni, ta zbyt uczona dekoracyjność. Czytał go z uniesieniem, i oto jak mu świadczy (w liście do Gaszyńskiego, 20 października 1836).

»Jean Paul Richter jestto pisarz, o którego rodzaju ni Anglikom, ni Włochom, ni Francuzom się »nie śniło. Jest w nim coś tak nadzwyczajnego, coś »tak nadludzkiego, iż zdaje się czasem, że to był duch, »wtajemniczony we wszystkie niewidzialne dla nas »szlaki państwa duchów. Jego fantazyja umie tworzyć »jakby była Bogiem. Musisz się upić, musisz się zata- »czać z zawrotem w głowie, rad nie rad musisz się »lękać lub zachwycać, kiedy cię on porwie za sobą »i nieskończoność *universum* wskazując, raz cię sta- »wia w godzinie sądu ostatniego, znów wiedzie po »ruinach wszystkich światów; to naprzemian rzeźwi »cię nadzieją i przenosi cię na szczęśliwe wyspy, wśród »okręgów światła, wśród tysiąca słońc i księżyców,

»tysiąca zorz północnych, wśród obłoków woni, wśród »harmonii gwiazd, akkordów bijących zewsząd«.

Po tych uniesieniach, weźmy do ręki *Sen Cezary* albo *Legendę*, i z Jean Paula np. tego Chrystusa, który Boga szukał wszędzie nadarmo, i rozpaczającym ludziom obwieszcza, że Boga niema? myśl będzie zupełnie inna, ale w sposobie pisania, w rodzaju wyobraźni będzie podobieństwo. Kościoły czy cmentarze, chmury, księżycy, chwiejące i walące się sklepienia, ludzie w rozpacz lub w konaniu, ton ich skarg lub pytań, to wszystko tak przypomina Jean Paula, że wpływ jego na Krasińskiego koniecznie przypuścić należy, jemu przypisać w znacznej części to zbłąkanie się fantazyi i smaku, które wydało *Noc Letnią* i *Trzy Myśli*.

Jeszcze jedna uwaga — jedna niezgodność Krasińskiego z samym sobą. Jego bezimienny bohater w czarnej zbroi zabija swoją kochankę i siebie, żeby ją uwolnić od męża cudzoziemca, siebie od konieczności wojowania z jej ojcem. Zakończenie, jakich pełno w dramatach i romansach, ale tak niepodobne do poważnego i głębokiego Krasińskiego! ten rodzaj bohaterstwa, uznany za piękny, w jego utworze? jego, którego poezya zaczynała się od słowa »pokój ludziom dobrej woli«, który i jako artysta był za wysoki na to, by wpadał w takie zakończenia oklepane i zużyte, i jako człowiek zanadto poważny, głęboki, wielki, żeby ten rodzaj bohaterstwa mógł mu się podobać? to dziwne, to w porównaniu z zakończeniem *Nieboskiej*, *Irydiona* niskie. Widać, że nie sam styl tylko, nie sam sposób pisania i przedstawiania rzeczy, ale nawet inwencya poetyczna, nawet myśl, przeszły przez jakąś chwilę osłabienia, i uległy jakimś wpływom bliżej nieznanym, ale w każdym razie szkodliwym, skoro przez nie, dzieło takiego poety jak Krasiński, mogło przybrać choćby najłżejszy cień podobieństwa do manieri Zygmunta Krasińskiego II.

używanej przez spóźnionych i bardzo podrzędnych epigonów romantyczności.

Krasieński, który, sądząc z Listów, przywiązany był do tych swoich dzieł i krytykę ich brał do serca, tłumaczy i usprawiedliwia to zakończenie, ale usprawiedliwia sofistycznie, paradoksalnie.

»Wspomina też krytyka« — pisze do Gaszyńskiego 12 czerwca 1841 — »o raffinerii romansowej, o galanterii, której w średnich wiekach nie było u rycerzy. »Prawda; ale galanterią romansową zowie się uciec »z cudzą żoną, i skryć się gdzie i żyć z nią; zabić zaś »ją, w przekonaniu, że dopiero w świecie duchów »można ją odzyskać, nie jest galanterią żadną. Wre- »szcie położenie tego, który się zabija sam, tem uspra- »wiedliwione, że gdyby się nie zabił, musiałby wła- »snego stryja zamek zburzyć, a jego pod sąd oddać. »W tym zbiegu okoliczności leży możność pojęcia, że »on musiał od swoich odstąpić, i swoją zabrawszy, »odejść do Pana Boga, na ziemi albowiem nie było »już miejsca dla niego!«

Myśl pokrewna tej, jaka jest w *Nocy Letniej*, tylko wyższa, ważniejsza, tkwi w drugim utworze Krasieńskiego z tejsamej epoki, i tego samego charakteru. Tylko *Pokusa*, choć łatwiejsza do zrozumienia, choć jej cel i znaczenie pojmuje się od razu, w formie jest jeszcze bardziej nieokreśloną. Tu już nawet zgoła się nie wie, jakiego słowa używać, mówiąc o niej. Pod elastyczną nazwą powieści wszystko prawie da się wsunąć, nawet *Noc Letnia*; *Pokusa* nie, i mówiąc o niej, musimy się posługiwać nieoznaczonymi określeniami, takimi, jak utwór, fantazyja, lub coś podobnego. A myśl jest bardzo piękna. W swoim rozmyślaniu nad klęskami i niebezpieczeństwami Polski dzisiejszej, dostrzegł Krasieński jednego, które mogło być częstym i zgubnym. Tak jak pewnym naturom i temperamentom grozi zepsucie miłości Ojczyzny, skażenie

jej zasadą, że cel uświęca środki, że »brud nie brudem, zbrodnia nie zbrodnią, jeżeli przez nie dąży się do wszechludzkości«, a dla takich nauka jest w *Irydionie* i w *Niedokończonym Poemacie*, tak są inne znówu natury i temperamenta, zwłaszcza inne położenia społeczne, narażone na inny rodzaj zepsucia, na spodlenie przez próżność, na zapomnienie Ojczyzny wśród pochlebstw nieprzyjaciela i blasków jego łask i jego dworów.

Kraśniński znał dobrze Polskę i jej skłonności; wiedział, że jest w nas jakiś wrodzony murzyński i dziecinny pociąg do wszystkiego co błyszczący; że wielcy tego świata wywierają na nas urok nieopisany, nieodparty; że na pochlebstwo, na polectanie i pogłaskanie miłości własnej złapać nas łatwo. Na jakież inny lep łapały dwory zagraniczne, cesarski, francuski, elektorski, w ostatnim wieku rosyjski, swoich stronników w Polsce? głównie na pochlebstwo, na oznaki uszanowania, poważania, przychylności, zażyłości. Atmosfery dworów mają szczególną własność upajania i odurzania głów polskich. Jestto widoczne na wszystkich szczeblach dworów; od dworu szlacheckiego na wsi, który działa bardzo silnie na wyobraźnię mieszkańców sąsiedniego małego miasteczka, przez dwór zamężnego lub bogatego królika powiatowego, który wielce zajmuje zwykle myśl i uwagę sąsiadów, przez dawne dwory magnackie, złożone z licznej szlachty i trzęsące Rzpltą, aż do dworów królewskich, wywierają na nas dwory jakąś dziwną magnetyczną atrakcyę. My lubiliśmy dawniej zaglądać do Wersalu albo do wiedeńskiego Burgu, to nas podnosiło w oczach własnych i w oczach rodaków; i dziś jeszcze wszelki dwór lub choćby mały dworek, imponuje i podoba się nam bardzo. Oczywiście nie jestto skłonność i niebezpieczeństwo Pankracego, ale Hrabiego Henryka; on wskutku swojego położenia w świecie, ma i ten pociąg wy-

rażniejszy, więcej wyrobiony, i właściwie on najpierwszy, jeżeli nie jedyny, narażony jest na takie pokusy. A pokusy są straszne; gubi się w nich dwie rzeczy, cześć własną i miłość Ojczyzny.

Dopóki jeszcze skłonność ta jest tylko murzyńskim pociąganiem do błyskotek, dopóki się ogranicza na Tuilleriach albo Windsorze, to mniejsza; to tylko dzieciństwo, w najgorszym razie śmieszność, albo niepotrzebna strata pieniędzy. Ale gdyby z tej manii błyskotek chciał zręcznie skorzystać jaki nieprzyjaciel, gdyby jej schlebiał i ciągnął za nią, a są nieprzyjaciele, którzy sztukę schlebiana i ujmowania posiadają w wysokim stopniu, czy wtedy nie poszłoby na lep wielu? czy nie jedna polska tradycja nie poszłaby się teraź po kątach jakiego dworskiego pałacu? czy przez poprzyjaźnienie się z mężczyznami, przez wdzięk kobiet, nie jeden z nas nie oswoiłby się ze swoimi panami, czyby do nich w końcu nie przylgnął? Delikatny pyłek męskiego honoru, drażliwość narodowego uczucia, ściera się tak nieznacznie i tak łatwo, jak lekka barwa kobiecej godności; zacząć można nieraz od rzeczy nieszkodliwych, obojętnych, niewinnych, a skończyć na tem, że się znajdzie i powie: »podłość jest jak gorąca kąpiel«, z początku parzy, ale potem w niej bardzo przyjemnie. Kwestya godności narodowej, kwestya stosunku każdego poszczególnego człowieka do rządów obcych i ich reprezentantów, pojmowana w Polsce najrozmaiciej od purytanizmu najprzesadniejszego, aż do brzydkiej giętkości i służbistości, upozorowanej jakąś hypokryzą obowiązku i poświęcenia, ma to do siebie, że się w żadne stałe przepisy ująć nie da, a jest rzeczywiście jedną z najważniejszych, najbliższej obchodzących żywotność i przyszłość narodu. Książę Adam Czartoryski żył na dworze petersburskim, jak salamandra w ogniu, a wyszedł z tego ognia tak cały, nie-

tknięty i czysty, jak trzej młodzieńcy z rozpalonego pieca w Babilonie. Margrabi Wielopolskiemu przyznawano nawet w czasach, kiedy niechęć do niego dochodziła do namiętności, że swoją godność polską zawsze trzymał wysoko i umiał utrzymać. Pokazuje się więc, że można ją zachować pomimo stosunków najczęstszych i najbardziej urzędowych, pomimo zależności i podwładności; a można ją zmarnować i sporniewać bez żadnych stosunków i bez żadnej pokusy, z głupiej próżności, ze strachu, *ex libidine servitii*, albo z namiętności do dworskiej atmosfery i dworskich honorów. A tymczasem ta kwestya godności narodowej, która się w żadne reguły ująć nie da, jest niezmiernie ważną; od niej zależy w wielkiej części przechowanie w całej czystości nie samej tylko polskiej tradycyi, bo przez oswojenie z obcymi można dojść do życia zagranicą, dalej do małżeństw, do stosunków rodzinnych, a to wszystko powtarzające się często, zagęszczające się, prowadzi do zatracenia i zapomnienia nie już tradycyi, ale samej idei narodowej. Krasieński to czuł; znając naszą naturę, wiedział, że takie niebezpieczeństwo grozić może; że przez próżność, przez miłość popisu i pompy, wielu z nas, zwłaszcza takich, którzy przez majątki, stosunki, historyczne nazwiska, są najbardziej na widoku, najbardziej znani w Europie, może się dać skusić do utraty godności; wiedział to, biedny, bo miał doświadczenie, miał przykłady na takich, którzy go zbliska obchodzili. A i bez tego nawet, w jego sercu wielkiem i wyniosłem nie było może popędu tak żywego, instynktu tak czujnego i drażliwego, jak ten instynkt godności. »Duma strącona z nieba z szatanem, miała anielską siostrę, która została w niebie«, mówi on w jednym ze swoich listów »i nazywa się Godność«. Bał się więc o tego anioła, bał się, żeby złudzenia próżności, miętkości,

rozkoszy nie odwiodły nas od jego czci i służby, i napisał *Pokusę*¹⁾.

Młodzieniec jakiś, znowu nienazwany, o wschodzie słońca siada na konia i rusza w drogę — młody, więc ufny w siebie nad miarę, pewien siebie aż do zuchwałości — on mógłby zawieść siebie, swój własny szacunek, i to co kocha? nie — śmiało i lekko przysięga przyjacielowi starszemu, który go upomina i prosi, »znać kocha bardzo i wątpi nieco«. A gdy młody odjechał, tamten modli się za nim podobnie jak Aligier za Henrykiem: »Ojczy Niebieski dozwól tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi. Nie wódź jej na pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamię, niechaj tobie służy tylko, Matce po sześćkroć zabitej niechaj służy tylko«. W nawiasie powiedziawszy, trudno jest wytłómaczyć to »po sześćkroć« zabitej, które się kilka razy powtarza. Dodając trzy rozbiory, do nich kongres wiedeński, o którym zapewne myślał poeta, i przegraną roku 1831, jeszcze nie dochodzi się do sześciu; a jaki cios śmiertelny więcej do roku 1840 mógł on widzieć w historii, trudno się domyśleć.

W kilka godzin, może w kilka lat później, o południu tego samego dnia, tensam młodzieniec spotyka tegosamego przyjaciela w jakimś mieście wielkiem, ludnem, wabiącym do rozkosznego życia — miasto »jednostajne, wybielone«, na ulicach zbiór wojska wielki przed jakimś »jednym«, który jest panem życia i śmierci; w tej jednostajności, w tym braku kościółów i starych domów, w tych wojskowych przeglądach, nie trudno poznać Petersburg. »Nie patrz na nich« przestrzega przyjaciel. Młodzieniec jeszcze raz

¹⁾ Małachowski świadczy (*Krótki Rys etc.*), że *Pokusa* pisaną była dla młodzieutkiego wtedy Adama Potockiego, gdy ten w sprawach majątkowych miał jechać do Petersburga.

przysięga; a potem rozchodzą się znowu, i znowu starszy modli się, tylko natarczywiej i smutniej: »Ojcze Niebieski, o południu tej strasznej próby błagam cię za tym, którego ukochałem. Ojcze Niebieski teraz już o cud proszę Ciebie«. Znać wątpi więcej; znać niebezpieczeństwo musi być bliższe. »Ośłódź tej duszy walkę życia, uwolnij ją od pokus, któremi inne otoczyłeś w tych miejscach, by nie upadła, jak owi dawni twoi niegdyś, najpiękniejsi w twoich niebiesiech, strąceni za to, że zapragnęli potęgi«. Widać, że pokusą największą wydaje mu się pragnienie potęgi, ambicya, nie prosta próżność.

Potem młodzieniec został sam jeden w owym mieście, i musiał się bratać z ludźmi tam napotkanymi. »Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia, roje złych myśli wiją się za nim, jak robactwo, uczy się kłamstwa i posiadł je, aż znikła jasność jego źrenicy«. Wreszcie zrzucił swój strój dawny i przebrał się, »przypiął pióra i oręż przypasał do boku«, (wstąpił do wojska może?)... Wtedy znowu pod wieczór tego samego dnia wrócił przyjaciel, i w podziemnych lochach kościoła pokazał mu grób matki zabitej i czekającej na zmartwychwstanie. I znowu młodzieniec przysięga, i znowu przyjaciel się modli, ale niebezpieczeństwo coraz większe, pokusy coraz bardziej biorą górę w sercu młodzieńca. W nocy jest on w pałacu, »głosy fletów i piszczałek, woń kadzideł, odurzyły mu głowę, tłum porwał go za sobą: zrazu gryzł wargi i bladł od gniewu, zrazu widział, że pomiędzy rozwieszonymi nad tronem mocarza sztandarami, jest jeden, z którego kroplami ścieka krew... ale i na to przestał zważać. Pan zamku zszedł ze swego tronu prosto do niego, wziął go pod rękę, uściskał, przechadzał się z nim, dziwy i kosztowności swego zamku pokazywał, »mówił z nim o przeszłości, nawet imię matki zabitej wymówił bez wzdrygnięcia, jak żeby

śmierć jej nie ciążyła na jego sumieniu«. Z każdego słowa jego wylęgał się robak w sercu młodzieńca, potem go posłał w grono »pań zamężnych i hożych dzievic«, które wszystkie prosiły, żeby choć jedną z nich kochał, i wreszcie porwał jedną w objęcia, mówiąc »kocham«: i tak stopniowo przez pochlebstwa i łaski pana, przez odurzający wpływ muzyki, kadzidel, świateł, kwiatów, przepychu i używania, przez wpływ kobiet, żądzę lub miłość, on spadł tak nisko, że choć widział przy tronie urnę z popiołami matki zabitej, zapytał tylko, czy ona na pewno nigdy odżyć nie może, a gdy mu zaręczono, i gdy Pan życia i śmierci kazał mu przysięgać sobie na wierność i wyrzec się starożytnego imienia, on przysięgł. Wtedy Pan rzucił mu garść złotych krzyżów, żeby je nosił na pamiątkę, i zagroził śmiercią, jeżeli złamie przysięgę. Wtedy ze wszystkich stron odezwał się nad nim jeden głos: Hańba! wtedy ci, co byli w pałacu, jedni szydzili z niego, drudzy pluli, inni kazali deptać po popiołach matki; on otrzeźwiał wtedy, poznał, co się z niego zrobiło, uciekł w rozpacz, a o wschodzie słońca (drugim) spotkał znowu przyjaciela. »Wiem, że w innym czasie i na innym miejscu mógłbyś być zajaśnieć bohaterem, ale wśród próby naznaczonej ci od losu nie umiałeś być cnotliwym — widoma rzeczywistość przemogła w tobie nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdą, zgubionyś«. I przebija młodzieńca przyjaciel, a nad ciałem jego odmawia znowu modlitwę tym razem dziwną, niepojętą pod piórem Krasińskiego: »Ojcze Niebieski, ty wiesz, że go wśród wszystkich najbardziej kochałem na ziemi. Pókim mógł, broniłem go od pokus piekła, a gdy upadł, w pierwszej chwili upadku, duszę jego wydarłem wrogom i posłałem Tobie. Ojcze Niebieski zbaw ją w wieczności, a niech ta krew przezemie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego i wraz z nią spadnie na

głowy kusicieli«. To posyłanie cudzej duszy do Boga, na to, żeby ją wydrzeć wrogom, i żeby połączona z morzem krwi niewinnej spadła na głowy kusicieli, ta egzekucya, spełniona przez człowieka, który w *Pokusie* reprezentuje właśnie dobre pojęcie życia, i który spełnia morderstwo jak coś najlepszego, z modlitwą na ustach i z takim zaufaniem, jak żeby po takiej zasłudze Bóg mu już nic odmówić nie mógł, to naprzód teoria, któraby nas mogła zaprowadzić daleko, a potem to niemoralność tak głękoła, w tej mieszaninie modlitwy i mordu jest coś tak fałszywego i oburzającego, że pojąć nie można, jak Krasiński, on właśnie, autor *Nieboskiej*, *Irydiona*, *Przedświtu* i *Psal mów*, mógł coś takiego wymyśleć i nie spostrzedz się na potworności, przewrotności, i nawet poprostu niedorzeczności takiego pomysłu? jakim sposobem nie oburzyły się na to nie już jego pojęcia polityczne, jego nauka o dobrych środkach do dobrych celów, ale poprostu jego uczucie chrześcijańskie, jego nocye katechizmowe, dla których niema nic przeciwniejszego nad to połączenie modlitwy z zabójstwem, dokonaniem, jak rzecz miła Bogu, jak coś najlepszego. W *Nocy Letniej* zabójstwo bohatera i bohaterki, wygląda przynajmniej na proste, romansowe, melodramatyczne zakończenie, mniejsza o to; ale tu, w rzeczy i poważniejszej, i bardziej obmyślanej, gdzie wszystko ma jakiś cel i jakieś znaczenie, takie posłanie duszy do Boga na to żeby ją wydrzeć wrogom, i to przez człowieka, któremu autor przyznaje słuszność, przez jakiegoś Aligiera na małą skalę, jest w najwyższym stopniu dziwne i niewytłómaczone; a musi chyba odpowiadać jakiemuś chwilowemu wstrząśnieniu i przewrotowi pojęć moralnych Krasińskiego, którego powodów i przebiegu nie znamy.

Na domysł tylko przypuszczać można, jaką drogą Krasiński do tego zboczenia doszedł. Opanowany był

od lat kilku miłościami, których w swoim sumieniu za dobre uważać nie mógł, a z których wydobyć się nie mając siły czy woli, potrzebował je jakoś ze swoim sumieniem godzić, mógł zaś godzić tylko sofistami, paradoksami. W pierwszej miłości (z czasów Irydiona) jeszcze jego sumienie jest proste i zdrowe, bo odzywa się ciągle wyrzutem i zgryzotą. Ale później, kiedy kocha panią Delfinę Potocką, już on sobie nie wyrzuca nic; znać już sobie wydemonstrował sofistycznie, że nie robi nic złego, a ma prawo robić tak, jak robi. Często człowiek w obronie swojej namiętności tumani tak swój rozum i swoje sumienie. Ale rozum zmuszony raz gwałtem do myślenia fałszywego, sofistycznego, nabiera nieznacznie tego zwyczaju i kierunku, i staje się często paradoxalnym; nie w tym jednym tylko punkcie i przedmiocie, w którym potrzebuje tego interesu i samolubstwa namiętności, ale w innych także. Za oswojeniem zaś rozumu z paradoxem i z sofistyką, idzie często jako skutek stopniowe przyzwyczajenie sumienia do sofistyki i paradoxu. Zmysł moralny stępnia się czasem, a częściej się krzywi. Zjawisko to naturalne i częste na świecie, daje się w tym razie spostrzeżać w Krasieńskim. Zmuszony sam przed sobą swoje postęпки paradoksalnie usprawiedliwiać, doszedł do częściowej paradoxalności sumienia, i ona to sprawić musiała, że nie uczuł i nie zmiarkował przewrotności tego zakończenia *Pokusy*.

Z wyjątkiem tego zakończenia, myśl *Pokusy* jest dobra i trafna, przystosowanie jej i przestrogi wyborne. Jako obrona godności narodowej, jako przykład jak ją nieznacznie można stracić i do jakiego przez to dochodzi się wstydu i upadku, ma ona swoją wartość patryotyczną niezaprzeczoną; odpowiada jednej z potrzeb naszego położenia, ostrzega przed jednym z jego niebezpieczeństw; tej wartości tendencyjnej, tej słuszności nie można odmówić *Pokusie*, ani nawet *Nocy*

Letniej. Szkoda tylko, że wartości artystycznej *Pokusa* niema więcej jak *Noc Letnia*. Tensam rodzaj, tasama kategoria, tosamo mgliste, niepewne przedstawienie rzeczy, tesame kontury umyślnie zatarte i niewyraźne. Tu jak tam, jak nieraz przy utworach późniejszej romantyczności, przypomina się złośliwy koncept Fredry o angielskim języku: zdaje się, jak żeby poeta był mniemał: »że niewyraźność sztuką, nawet wdziękiem całym«. Najpiękniejsze w *Pokusie* jest zakończenie, prośba do ojczyzny (którą zawsze nie wiedzieć dlaczego nazywa »po sześćkroć zabita«), żeby kiedyś jak wstanie ze snu, wymówiła ciche słowo przepomnienia nad grobami tych swoich synów, których »rozum blichtrami fałszu złudzili mordercy, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie przemocy rozkazem«. Ci najniešťczęśliwsi, mówi poeta. A jak sobie przypomnieć, że on takich znał i kochał i cierpiał nad nimi, to w tej jego prośbie, w tej nieśmiałej prośbie nie o przebaczenie nawet, ale o przepomnienie tylko, czuje się pokorę tak smutną, odgaduje się takie przepaści cierpienia, że się już nie ma odwagi nic ganić, o niczem mówić, tylko milczeć i skłonić głowę przed takim »wielkim cichym smutkiem«. Pojmuje się, że nie dla ozdoby, nie na darmo, ale z głębi swojego żalu położył on na swojej *Pokusie* ten smutny napis zaczynający się od słów

Ach mętne krwią i łzami pędzą zycia fale

a zakończony wykrzykiem »Przekleństwo nademną!«

II.

Trzy Myśli. Stosunek do poprzednich i do późniejszych pojęć Krasińskiego. Wyrabianie się jego systemu. Powody. Wpływ filozofii niemieckiej. Niejasność i sprzeczność pojęć. *Syn Cieniów*. Pojęcie istoty, bytu i przeznaczenia człowieka. Objasnienie wiersza w liście. Mieszanina pojęć i ich niezgodność z sobą. *Sen Cezary*. Pierwszy objaw późniejszej teorii o odrodzeniu przez śmierć. Sceny widzenia. Przesadność i nadętość. Niejasność. Styl apokaliptyczny. *Legenda*. Troistość dziejów od Cieszkowskiego przejęta. Zastosowana do Kościoła. Epoka Ducha św. Jej powtarzające się oczekiwanie od wieków średnich. Widzenie poetyczne. Treść. Nienaturalność formy. Fałsz i szkodliwość myśli. Pierwiastki optymizmu i zwątpienia. Wartość artystyczna *Trzech Myśli*. Ich przedmowa.

Do tejsamej epoki i do tej samej grupy dzieł należą *Trzy myśli Henryka Ligenzy*. W zamiarze głębsze i ważniejsze: bo kiedy *Noc Letnia* i *Pokusa* za przedmiot miały każda po jednym szczególnie tylko życia narodowego lub moralnego, tu dotknięte są najobszerniejsze kwestye, tyczące życia człowieka jako indywidualum, życia jego zbiorowego jako narodu, i życia religijnego w kościele; — w formie są *Trzy Myśli*, tak jak tamte, mgliste, zawile i dekoracyjne; a co do myśli i dążności, to tak jak tamte, lub jeszcze bardziej odskakują od innych dzieł Krasińskiego i są pomiędzy nimi jakąś anomalią, jakąś dysharmonią, oznaczają jakieś zboczenie w prostym i zgodnym z sobą kierunku jego myśli. W *Nieboskiej Komedy* już widoczne są pierwiastki tego wszystkiego, co się znajduje w *Psalmie Dobrej Woli*; myśl religijna, choć nie wyrobiona jeszcze i nieokreślona, i myśl patryotyczna, która w *Nieboskiej* nie jest jeszcze nadzieją odrodzenia ojczyzny, ale jest wyraźną przestrogą przed tem, co odrodzeniu temu może stanąć na zawadzie. Znać już, że to są zarody całej późniejszej wiary Krasiń-

skiego, że ta myśl religijna i myśl patryotyczna złączą się kiedyś, zrosną się, że jedna zleje się z drugą, i że staną się dla siebie uzupełnieniem, warunkiem, bez którego żadna nie zdoła się urzeczywistnić. W drugim dziele Krasińskiego w *Irydionie*, już jedna i druga występuje wyraźniej, jest lepiej określona, już wzajemna ich zależność od siebie jest bardzo widoczna, oczywiście jest to dalszy krok w tym samym kierunku. Później w *Niedokończonym Poemacie* już myśli te tak dojrzeją, że dadzą się ułożyć w system ze ścisłością prawie dogmatyczną, a poeta tak wrósł w nie wszystkimi swojemi uczuciami i przekonaniem, że stały się one nietylko jego filozofią historyi, jak w *Niedokończonym Poemacie*, ale jego natchnieniem, jego wiarą, jak w *Przedświcie*. Konieczność dopełnienia dziejów i przeznaczenia ludzkości w jakiejś trzeciej najwyższej epoce miłości i sprawiedliwości, konieczność, niechybność odrodzenia Polski, jako warunku tej przyszłości, ale odrodzenia jej przez cnotę, przez wiarę, przez miłość, przez chrześcijaństwo, to jest w *Irydionie* nadzieją dopiero i przecuciem, w *Niedokończonym* doktryną historyczną i filozoficzną, w *Przedświcie* i trzech *Psalmach* wiarą; a nie pytając na teraz o absolutną prawdę tej nauki historycznej, ani o ścisłą prawowierność tej nauki religijnej (której konkluzją jest nowa dopełniająca epoka Ducha św.), nie można zaprzeczyć, że w różnych stopniach jasności i wyrazistości we wszystkich tych poematach tkwią myśli tesame, tesame pierwiastki, tylko się coraz bardziej wyrabiają, rozwijają się do coraz większej zupełności. Teraz w pismach, o których mowa, obok religijnego uczucia, które zostaje, natrafiamy na pojęcia nie religijne wcale: obok przeczuć jakiegoś nowego kościoła, jakieś ostatnie ślady, czy nie rozwinięte zarody panteizmu (*Syn Cieniów*). Uczucie patryotyczne zostaje; ale po tej nadziei odrodzenia, jaką zamykał

się *Irydion*, dziwna jest ta przepowiednia *Legendy*, która Polsce wróży śmierć i pogrzeb pospołu z katolickim Kościołem, i to nie jako możliwość złą i straszliwą, ale jako historyczną konieczność dobrą, jako warunek wzniesienia się ludzkości na wyższy szczebel, do owego trzeciego Kościoła. A przytem znowu i w *Legendzie* i w *Śnie Cezary* jakieś wróżby łaskawsze, jakieś zaręczenia przyszłości, które z wyrokami *Legendy* pogodzić się nie dadzą. Słowem, oprócz zawilej allegoryczności, powikłanej i zaciemnionej jeszcze przez mnóstwo przyborów i dodatków, oprócz jakiejś przyrodzonej niejasności pomysłów, tak, że one z pod analizy logicznej prawie się wymykają, jest w *Trzech Myślach* i odstęp od znanych zkądinąd i gdzieindziej widocznych pojęć Krasińskiego, i pomiędzy *Trzema Myślami* samemi pewna niezgodność i sprzeczność.

Zkąd się ona wzięła i czem ją mamy tłómaczyć? Widzieliśmy w *Nieboskiej Komedji* i w *Irydionie* myśl filozoficzną, umysł dążący z wielką siłą do objęcia i do rozwiązania wielkich historycznych, społecznych, moralnych, pytań i zagadnień. Ale nie widzieliśmy w tamtych dziełach filozoficznego systemu, któryby służył za podstawę tej pracy, i ją niejako prowadził. A jednak był to umysł przedewszystkiem filozoficzny i systematycznie filozoficzny, żądający jakiejś zasady jednej, któraby mu tłómaczyła wszystkie te zjawiska moralne, społeczne, i polityczne, które zrozumieć, których dalszy obrót przewidzieć chciał. Że do takiego systemu Krasiński doszedł, a trzymał się go stale, tego uczy nas *Przedświt*, *Psalmy* i *Niedokończony Poemat*. W *Trzech Myślach* zaś widzimy niejako proces formowania się tego systemu. Wszystkie niemal pierwiastki ostatecznych Krasińskiego pojęć i zasad już tu są; ale są nieustalone jeszcze i organicznie z sobą niepołączone. Są tak, jak żeby próbowały różnych z sobą związków i połączeń, ale te związki

jeszcze nie są doskonałe i stanowcze. Wchodzą też w nie i takie pierwiastki, które nie zostaną w nich na zawsze, ale będą z nich wyłączone, jedne prędkiej, drugie później; jedne już w *Przedświcie*, drugie dopiero w dwóch ostatnich *Psalmach* i w *Resurrecturis*. Ztąd te niezaprzeczone w *Trzech Myślach* niejasności i sprzeczności; ale ztąd także ich niezaprzeczona ważność. Są one pierwszym widowym objawem dążenia Krasieńskiego do całkowitego systemu filozofii, któryby mu wytłómaczył wszystkie zagadki bytu i przeznaczenia człowieka i ludzkości, i w tem już objętą zagadkę losów Polski. Pojęcia i konkluzje *Trzech Myśli*, porównane z *Irydionem* z jednej strony, z drugiej z *Przedświtem* i z *Psalmami*, tak się od tamtych różnią, że wydają się nieraz wprost zboczeniem w regularnym pochodzie myśli Krasieńskiego. Ale wrażenie to mylne i mylny byłby sąd na niem oparty. Te niezgodności, te stojące obok siebie pojęcia sprzeczne i wyłączające się nawzajem, to nie jest prawdziwe zboczenie myśli, to jest tylko jej dążenie do jakiejś prawdy zupełnej i stanowczej, jej praca szukania i składania systemu, któryby jej wystarczył. W pracy tej niejedna część budowy okaże się nieskładną lub nie trwałą, niejednen użyty materiał okaże się nieprzydatnym, i będzie odrzuconym, zanim się budowa wykończy. Ale choć ten chwilowy tymczasowy rezultat czy stan pracy nie jest ani trwałym jeszcze, ani pięknym, to praca sama, ten fakt wyrabiania się systemu jest i zajmujący bardzo i z naturą poety zupełnie zgodny, mimo pozornych sprzeczności z jego dawniejszemi i późniejszemi dziełami. Jest poniekąd naturalnym pomiędzy niemi łącznikiem, bo pokazuje, jak z genialnych myśli formuje się pomału filozoficzny system, i pokazuje niedokonany jeszcze stan, trwający proces i ferment tej formacji.

Rzecz jest niezawodna, że na tę drogę skierowało

Krasińskiego to uczucie, które Mickiewicza przez mistycyzm doprowadziło do Towianizmu, które było samą treścią i siłą główną naszej poezji od r. 1831. Zrozumieć upadek Polski i jego powody, przewidzieć jej dalsze losy. Tylko, kiedy inni poetycznie marzą lub przeczuwają, Krasiński więcej ścisły i filozoficzny, potrzebuje i chce wyrozumować i wiedzieć.

O ile wnosić można z listów i ze świadectw ludzi obeznanych dobrze z wewnętrzną historią duszy Krasińskiego, zdaje się niewątpliwem, że po *Irydionie*, a przed r. 1840, przechodził on przez jakąś bolesną kryzys zwątpień i rozpaczy. Śladów z tej epoki nie mamy w żadnym poemacie, co najwięcej wspomnienie w *Przedświcie*, że taka była:

»Duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
 »Gdzie światło wszelkie w noc się wieczną zmienia;
 »Ach! żyłem, żyłem w tej przepaści długo,
 »Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą —

ale zkąd ona się wzięła, co było przedmiotem tych zwątpień i rozpaczy, jak daleko w nich zaszedł, tego on nie mówi. Wszelako domyślać się można, że przez zwątpienie w przyszłość Polski, w sprawiedliwość w historyi, doszedł do zwątpienia w Boga, że była chwila, w której on sam nie posłuchał tego rozkazu, jaki daje Irydionowi: »Idź i czyń, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać«. Powód tych zwątpień jest jasny:

»Darmo brzask walczył z ślepej nocy siłą;
 »Nie weszło słońce nad świętych mogiłą
 »I coraz podłej na tej ziemi było«.

A na tę duszę tak przygotowaną do zwątpienia powodami historycznymi, padł, jak twierdzą świadkowie, wpływ ówczesnej filozofii niemieckiej, mianowicie Hegla, którego konduktorem był Danielewicz. Że Krasiński zajmował się bardzo żywo filozofią niemie-

cką, że wskutek wrodzonego kierunku swego umysłu dążył zawsze do porządkowania i systemizowania swoich prawd i pojęć, że zatem mógł a raczej musiał Ignąć do tego, co obiecywało mu wykazać i wytłómaczyć świat, jego naturę i jego losy przez jakąś jedność, tak, jak on sam wytłómaczył je sobie później przez jedność w Trójcy bożej i jedność w troistych dziejach ludzkości, to rzecz pewna. Ale druga rzecz, jeżeli nie pewna, to przynajmniej prawdopodobna i naturalna, że pod wpływem tych zwątpień z jednej strony, tych badań i dociekań i subtelnych definicyi filozoficznych ze strony drugiej, mógł, a raczej musiał powstać w duszy zamęt i chaos. Gdzież szukać prawdy i rozwiązania zagadki? może w jednostce ludzkiej, jej naturze i przeznaczeniu. Czem jest duch ludzki? z kąd się wziął? jakie jego koleje? Odpowiedzi na te właśnie pytania musiał on szukać w filozofii niemieckiej, i ta musiała w nim złożyć zarody pojęcia odrębności Ducha i Duszy; pojęcie stopniowego dochodzenia tego ducha do świadomości przez całą naturę, aż się to staje w człowieku, a więc jakąś tożsamość świata i człowieka. Dalej, w tym zlanu wszystkich duchów znać coś, jak żeby tożsamość Stwórcy i stworzenia, z czego wnieśćby można, że Krasiński przechodził przez jakieś pojęcia panteistyczne, przez jakąś negację indywidualności duszy ludzkiej; że ta na czas tylko, jak długo w ciele, wydawała mu się indywidualną, a potem zlewała się z jakimś wszech Duchem, czyli w nim roztapiała; że w tem stopniowym podnoszeniu się Ducha do świadomości siebie w człowieczeństwie, następnie w podnoszeniu się jego z człowieczeństwa do bóstwa, musiał upatrywać wytłómaczenie istoty ludzkiej, jej indywidualnego i zbiorowego życia i przeznaczeń historyi.

Listy potwierdzają ten domysł bardzo wyraźnie. Od owego dawnego, w którym rzucał przekleństwo na »niemców-filozofów«, widzi się w nich ciąglą nie-

Zygmunt Krasiński II.

pewność i niezgodę co do samych głównych podstawnych pojęć i pytań; i ciągle usilne, namiętne dążenie do pewności, do zgody z sobą i do pogodzenia tych pojęć sprzecznych. Jest naprzykład chrześcijańska wiara i chrześcijańska świadomość, jest miłość Kościoła i jego obrona, jest obrona Bóstwa Chrystusa przeciw Straussowi; ale jest zarazem i przeczenie tego wszystkiego, skoro »Bóg jest Jehową, Bóg jest Chrystusem, ale Bóg jest także i Panteizmem«. A obok tego jest i odparcie i przeczenie Panteizmu. Jest indywidualność i nieśmiertelność duszy ludzkiej, ale jest i jej przeczenie; bo to indywidualność i nieśmiertelność jakaś warunkowa, przyznana całości (czyli duchowi), a nie należąca się części (duszy). W jego pojęciu Polski i jej sprawy także sprzeczność. Cała rzeczywistość doprowadza go do rozpaczy; ale coś się w nim od tej rozpaczy broni i nie może wyrzec się przyszłości. Te sprzeczności są mu nieznośne, nie może w nich wytrzymać. Szuka więc czegoś, coby je wytłómaczyło i pogodziło. Pomału zapewne i z trudem dochodzi do teorii, którą niebawem sformułuje dokładnie, a której pierwiastki już w sobie ma: do teorii, że śmierć (dla ludzi, jak dla społeczeństw) jest tylko odmianą i przeciwnością życia; że wszystko jest rozwijaniem się tylko, stopniowem przechodzeniem wszechświata na niebo przysze, powrót człowieka (i natury samej i wszystkich duchów wyższych) do Boga, przez ciągle pracowanie nad sobą i podnoszenie się. Na mocy tego prawa wszelka indywidualność poświęcona jest na tej ziemi, i idzie »pod nóż ofiarny śmierci«; ale z tamtej strony grobu staje się nieskończoną i nieśmiertelną w Duchu Bożym, jako cząstka tego Ducha. Ta kombinacja pozwala mu łączyć wyobrażenia, które wsiąkły w niego z filozofii niemieckiej, z pojęciami chrześcijańskimi i z potrzebami chrześcijańskiego serca; niektóre pierwiastki panteizmu

z osobistością Boga, z nieśmiertelnością duszy, z chrześcijańskim niebem aniołów i świętych. Tego zaś nie dostrzega, że ta jego mniemana jedność jest złudzeniem i niemożliwością, bo chce jednoczyć pojęcia z istoty swojej różne i sprzeczne; przestaje na niej i jej się trzyma. Kiedy zaś w *Prolegomenach* Cieszkowskiego znalazł podział historii na trzy epoki, zastosował zaraz tę teorię do swojej potrzeby, ujrzał w niej stwierdzenie i uzupełnienie swoich myśli. Troistość tę przyłożył do człowieka, i dowiódł sobie jego złożenia z trzech pierwiastków: ciała, duszy, i ducha; pod to prawo rozwijania, które już sobie był określił, podciągnął teraz i Kościół, i z pomocą tejsamej zasady troistości obiecywał mu nową ewolucję (Kościół Miłości). *Legenda* musiała powstać już po przeczytaniu *Prolegomenów*.

Oczywiście zaś, że ten nowy system pojęć, który zaczął się składać z pomocą historyzofii Cieszkowskiego, a rozwinął się do dojrzałości i objawił się w *Przedświcie*, nie zbudował się odrazu; jego zarysy główne zmieniały się i łamały podczas tej konstrukcyi, zanim stanął silnie na swoich podstawach, na których już pozostał do końca; przez czas jakiś ważył się i chwiał, aż znalazł środek ciężkości i równowagę. Otóż z tego czasu, kiedy z chaosu zwątpień i rozpaczcy we wszystko, zaczął pomału wydobywać się ten system stałej wiary i pewności, jaki jest w *Przedświcie*, z czasu, kiedy on jeszcze nie powstał całkowicie, nie dopełnił się i nie stężał, ale był w stanie płynnym niejako, chwiejnym i mglistym, na przejściu z »przapaści zwątpień« do opoki systemów i dogmatów, powstały *Trzy Myśli Ligenzy*, które są tego przejścia odbiciem, i noszą na sobie jeszcze niektóre ślady zaprzeczeń i wątpliwości poprzednich, a już noszą w sobie zarody tych pewników, na których opiera się *Niedokończony Poemat, Przedświt i Psalmi*.

Każda z Trzech Myśli ma inny przedmiot; jednak nie można nie widzieć tego, że one do siebie należą, że mają stanowić ciąg, całość. Wrodzona dążność Krasieńskiego do filozoficznego systemizowania szykuje je w pewien ład, zaprowadza pomiędzy nimi związek, dąży do tego, żeby objąć w nich jakąś całość prawd, dotyczących się człowieka i historii, praw podstawnych jego życia indywidualnego i zbiorowego. Jakiż więc jest ten pierwszy kształt tego już systematycznego a jeszcze nie zupełnie ukształconego składu pojęć poety; jakiż będzie pierwszy, jeszcze cokolwiek bezładny zaród jego późniejszego systemu teozoficznego i historyzoficznego?

Pierwsza z *Trzech Myśli*, jedyna pisana wierszem, a w nawiasie powiedziawszy, jako wiersz ciężka i zawiślana tak, że za piękną poezję żadną miarą uchodzić nie może, nosi tytuł *Syn Cieniów*, i zawiera pojęcia ówczesne autora o Duchu ludzkim i o Duchu Boga, i ich wzajemnym do siebie stosunku. Syn Cieniów, Duch, wyrzucony z ciemni przez jakąś moc nieznaną, padł na ten ziemski padół, i zrazu w pół senny, to jest nieświadomy siebie, »darł się po górach« i »ssał wilgoć na gór szczytce w chmurach«. Czy to ma znaczyć pierwsze bezwiedne i bezmyślne istnienie człowieka na świecie, lub też czy duch »w półsenny« zawiśł na górach i chmurach w ten sposób, że martwa natura była także jego wcieleniem, formą bytu, którą musiał przebyć, zanim doszedł do świadomości siebie, jako człowiek? Słowa poety dostatecznie i jasno tego nie tłumaczą; a jeżeli wolałoby się przypisać im to pierwsze znaczenie, to drugie znowu lepiej odpowiada wpływowi filozofii niemieckiej i lepiej się z niem godzi. Jakkolwiekby, wilgoć i chmury wystarczyć mu długo nie mogą; mgły się rozchodzą, »światło spadło z krańcy błękitu«, a syn cieniów »wyciągnął ręce do wyżyn wszechświata«, — zaczyna dążyć do poznania siebie,

świata, którym jest, i »wyżyn wszechświata« czyli tego Ducha, który jego i wszystko obejmuje. Wreszcie »ludzka mu piękność wyrzy wtedy z czoła, i prze-
»mieniony on Jestem zawoła« — syn cieniów, duch, stał się człowiekiem. A jak stan jego poprzedni był tylko stopniowym pochodem do stanu wyższego i doskonalszego, do człowieczeństwa, tak przez nie znowu musi on dążyć do swego stanu najwyższego i ostatecznego, którym jest zjednoczenie się, zlanie się jego ducha z wszechduchem, czyli Bogiem.

W tem przejściu ziemskim, w tem połączeniu swoim z ciałem, duch już świadomy siebie, już nie »syn cieniów«, ale »syn światła« odbywa próbę. Boga zna tylko »gniewu Panem«, cierniów koronę nosi na skroni, nieraz łzę miłości uronić musi nad bliźnim, nieraz sam pierś swoją zakrwawi, nieraz także »dni zwątpień wróca, pokusa się wzmoże«, a on z odwieczną tęsknotą będzie się miał za przeznaczonego na sieroctwo i zgubę. »Ale złe przejściem, tylko pyłem »drogi« — »wszędzie kolebki, nigdzie nie masz trumny, »a wszędzie niebo, niema nigdzie ziemi, a wszędzie »Bogi tylko, z którymi on był i będzie, choć nie jest »teraz«. »Niema śmierci, Pan jej nie pomyślał nigdzie«, to jeden z dogmatów *Niedokończonego Poematu*; a te bogi, które zaludniają wszystko i są wszędzie, to duchy ludzkie, które w kolejnych przejściach coraz bardziej zbliżają się do Boga, na Boga się pomału wydoskonalają. Czy Krasiński przypuszczał kilkakrotne wcielenia jednego ducha w różne ciała ludzkie, lub czy wyobrażał sobie po za tym światem inne życie w jakichś innych, coraz doskonalszych ciałach, to pewna, że mówiąc o tem, co się z synem światłości stać ma, kiedy on przestanie być pielgrzymem na ziemi, przepowiada mu, że »w innem ciele, jako anioł i święty, »pójdzie za Bogiem coraz wyżej, ale Boga jeszcze nie »pojmie, jeszcze będzie tęsknił i cierpiał, bo świat jego

»jeszcze i wtedy nie będzie nieskończony«. Dopiero wtedy, kiedy przestanie mówić do Boga »Ty Boże«, kiedy go pozna tak, jak sam mu jest znany, kiedy przejrzy i zobaczy, że jest z Panem nad Pany duch tensam, jeden na wieki i wszędzie, dopiero wtedy »on zleje się z sobą i przypadnie do siebie« — wtedy będzie dopełniony.

- »Każda dusza na Ciebie (Boga) wyrosła
- »I siebie samą w Twoje łono wniosła:
- »I wie o sobie, że stała się synem,
- »Równym ci Ojcie i wiecznie jedynym« —

a po takim zlaniu się z Bogiem, Duch, syn światłości, niegdyś syn cieniów, przez całą wieczność ma już tylko »myśleć, kochać i stwarzać wieczne niebo »w niebie«.

Objaśnienie tych Krasińskiego pojęć znajdzie się może w liście, choć późniejszym do Małachowskiego (z 7-go grudnia 1841).

»Indywidualność każda, czy chce, czy nie chce, »czy rozumie tego konieczność czy nie, poświęconą »jest. Śmierć jest to nóż ofiarny, który ją zarzyna dla »całej Ludzkości. Ale to logika tego planety, to po- »z y ty wiz m tej strony grobu tylko; za to, na tamtej, »każda, indywidualność nieocenionej wartości nabywa, »bo jest nieskończenie nieśmiertelną i w Duchu Bo- »żym, jako cząstka tego Ducha, ale cząstka mająca »wiedzę, że jest cząstką, utrzymaną wiecznie przy wie- »dzy tej, zatem sobie samej już na kształt całości »wyglądająca, i będąca istotnie całością! Cząstka »tylko przepaść może, bo spotkawszy się z drugą, »trzecią i t. d. cząstką, wiąże się z niemi i w całości »jakiejs, której była oderwanym członkiem, przepada. »Lecz to, co już z siebie całym, dopełnionem, »wewnątrz siebie samego rytmicznie żyjącem jest, »przez wiedzę, jaką ma o tem życiu swoim, to nie

»może przepaść, to się tylko rozwijać dalej w nie-
»skończoność może! Więc w istocie, jako ludzie pla-
»netarni, żyjem poświęceni w wielkim, doczesnym Pan-
»teizmie Ludzkości; jako Duchy, jako Ja każdego
»z nas, żyjem znowu udzielnii, nieśmiertelnie tem Ja
»obdarzeni, po za grób przeciagnieni, jak promień,
»który wiecznie podnosi się ku Bogu! Na planecie
»więc jest miejsce pokory i śmierci naszej; za planetą,
»miejsce dumy i nieśmiertelności naszej! Dwoma wie-
»cznie kierunki bieżym w jednego wszechpięknego
»Boga, w jedną Sprawiedliwość, w jedną Mądrość
»cudowną! Jako częśćka Ludzkości, widoma i rozsy-
»palna, posuwamy się ku ostatecznym jej celom, a te
»są: urzeczywiścić na planecie królestwo niebieskiego
»dobra, czy przez dalsze podbicie natury, czy przez
»dalsze rozgoszczenie się Ducha Miłości w piersiach
»ludzkich. O ile jesteśmy na świecie tym, o tyle się
»staramy, by ten świat stał się podobny Bożemu, wszedł
»w stosunek ściślejszy z Bożym, to jest z tym, z któ-
»rym sojusz nieśmiertelności naszej indywidualnej nas
»sprzęga na wieki wszystkie nasze dalsze. Za życia
»więc tu, nic innego nie czynim, tylko gotujemy so-
»bie samym na później coś Boskiego, punkt jakiś Bo-
»ski w przestrzeniach, by nam umarłym i nieśmiertel-
»nym było na co spojrzeć i z czego się radować
»i w czem rozkoszować! by wszędzie nam niebo
»było! Lecz właśnie dlatego, że będąc w sobie cało-
»ścią, niczyją inną jedno Boga, Wszechrzeczy, czę-
»stkąśmy, a nie planety tego lub owego, nie do tego
»punktu skuci lub tamtego, ale wszystkich panami;
»zatem musim przestać przez śmierć wygrywać rolę
»częstki Ludzkości, a zacząć na większej scenie wy-
»grywać naszą prawdziwą, istotną: to jest musim, my,
»nieśmiertelne całości, zacząć po Wszechświe-
»cie mieszkać jako częstki, ale tylko Wszech-Boga!
»Jako w pierwszym kierunku, nosząc ciężkiego ciała

»żałobę, musieliśmy służyć planecie, planetarnemu rozwijaniu się, tak w drugim, to rozwinięcie planetarne nam kiedyś służyć będzie musiało; to jest ziemia, doprowadzona do najwyższej przemiany swojej, będzie częstką nieba naszego. Zatem my, syny nieba, a zarazem na niebo nasze pracujem!«

Czy komu ta cała filozofia zawarta w *Synu Cieniów* wyda się prawdziwą lub nie, to w każdym razie nikt nie zdoła zaprzeczyć dwóch rzeczy: naprzód, że jako poezya jest on ciężkim. Powtóre, że jest tu, pomimo całej pozornej konsekwencji i systematyczności, gmatwanina najróżnorodniejszych pojęć, któreby się nawzajem wykluczać powinny. Prawda, że Bóg jest tu pojęty nie jako jakaś wszechstota obejmująca, ożywiająca wszelkie stworzenie, i w całe stworzenie niejako wcielona, jak w Panteizmie: tylko jako jakiś Wszech-Duch. Zatem nie jestto zupełnie Panteizm; ale znowu człowieczeństwo, pojęte jako przejście ducha w osobistość boską, to stopniowe wychodzenie duchów ludzkich na Bogów, i wreszcie ostateczne zlanie się ich z duchem Bożym, to zaprzeczenie oczywiste wiecznej indywidualności ludzkiej duszy: zatem to do Panteizmu zbliżone i jemu pokrewne. Z drugiej strony znowu zdarzyło nam się słyszeć wyznawców filozofii pozytywnej, materialistów czystych, którzy twierdzili, że jedyną rzeczą gienialną, jaką Krasiński (bez swojej woli i wiedzy) napisał, jest *Syn Cieniów* — dlaczego? bo cała ta teoria o duchu, który przez naturę stopniowo podnosi się do samowiedzy w człowieku, jakkolwiek jest teorią o duchu, przecież wychodzi po części na stwierdzenie ich teorii o nieprzerwanym łańcuchu stworzeń, o tożsamości istoty w naturze i w człowieku. Przypuściwszy nawet, co wcale dowiedzionem nie jest, że te dwa wspomniane pierwiastki ówczesnej filozofii Krasińskiego, dadzą się zgodzić jeden z drugim, to z pewno-

ścią i jeden i drugi żadną miarą nie dadzą się zgodzić z trzecim, który tam jest widoczny, a który albo tamte dwa wyłączyć, albo sam wyłączonym być powinien; tym jest pierwiastek pojęć chrześcijańskich. Grunt religijnych uczuć był u Krasińskiego tak stały, zasada, dogmat »dobrej woli« był w nim tak niezachwiany, że nawet kiedy umysł zagłębiał się w zawikłane spekulatywne dociekania nad naturą Boga i człowieka, i dochodził do konkluzji z chrześcijaństwem wprost niezgodnych, to uczucie jego wyznawało zawsze Boga chrześcijańskiego, Ewangelię i Dziesięcioro przykazań; konkluzye jego były z temi zgodne. Pomimo całego odskoku od chrześcijaństwa, pomimo, że Bóg jest Wszech-Duchem, a człowiek ma się z nim złać ostatecznie, przecież (nie wiedzieć doprawdy, jak on to pogodzić potrafił), wyobraża on sobie Boga po chrześcijańsku, i wierzy w Ewangelię. W przyszłym życiu, wyobraża on sobie człowieka, wedle pojęć chrześcijańskich, aniołem lub świętym, jakkolwiek to także ma być tylko bytem przejściowym do innego wyższego; na tej ziemi zaś, duch wcielony w ciało, syn cieniów czy światłości:

Cierniów koronę przywiąże do skroni
I łzę miłości nad bracią uroni,
Cierpiąc i wierząc w Ojca Niebieskiego.

A więc Wszech-Duch jest zarazem chrześcijańskim Ojcem Niebieskim? a cierniowa korona i łza miłości, wylana nad braćmi, to przypomnienie *Irydiona*, a przygrywka już do *Niedokończonego Poematu*, do *Przedświtu* i *Psalmów*. Jest w tym wierszu, jest w tych pojęciach Krasińskiego i resztką »zwątpień«, jakie wyniósł z przepaści, w której żył tak długo, i początki jeszcze nie wykształcone jego pojęć późniejszych, i przypomnienie tych, które poprzedziły ową przepaść;

i dlatego, jak odbicie tej chwili przejścia, wiersz ten, choć poetycznie nie piękny wcale, a filozoficznie nie tylko zagmatwany, ale fałszywy, ma swoje znaczenie dla literatury, jest dla niej pomnikiem nie obojętnym.

Temu zdaniu, może mylnemu, sprzeciwiają się zdania bardzo poważne, i oparte na rzetelnej znajomości filozofii. Profesor Porębowicz (*Tryady Zygmunta Krasińskiego*) dowodzi, że w *Synu Cieniów* niema pierwiastku panteizmu, bo natura i duch są w nim pojęte »jako dwa różne objawienia Absolutu«; i twierdzi, że *Syn Cieniów* jest »skończonym i zamkniętym systemem filozoficznym, odtwarzającym jeden z wielkich systemów niemieckich« — (Schelling i Hegel): i że nie powstał pod wpływem *Prolegomenów* Cieszkowskiego, bo był wcześniejszy. Uważa go za jeden z »najgłębszych i najcenniejszych utworów poezji polskiej«. Adam Krasiński sądzi go podobnie (w *Dniu Ducha Ś-go*). Prof. Antoniewicz nazywa go najgieniałniejszym dziełem Krasińskiego.

W *Synu Cieniów* widzieliśmy, co Krasiński myślał w tym czasie o człowieku; zobaczymy teraz, co myślał o narodzie. *Sen Cezary*, druga z *Trzech Myśli Ligenzy* (dlaczego Cezary? z kąd to dziwne nienaturalne imię? czy nie z Jean Paula znowu? Krasiński w listach do Gaszyńskiego wychwala *Tytana*, a bohater *Tytana* Albano, nazywa się Hrabią Cezara) *Sen Cezary* więc, jest znowu obrazem Polski po rozbiorze, i przepowiednią jej odrodzenia. Jest to w zawiązku tasama myśl, która w *Niedokończonym Poemacie* wyłożona jest jako »próba grobu«, konieczność śmierci pozornej dla nabrania pełniejszego życia. Cezara widzi pośród tłumu narodów garstkę ludzi w żałobnej odzieży, skupioną około sztandaru, na którym jest napisane słowo Naród; ludzie ci niosą na ręku małe dzieci konające, w objęciach omdlałe kobiety, na nogach łańcuchy, na głowach cierniowe korony — ota-

czające tłumy odwracały się od nich, odpychały ich, a oni szli jak za własnym pogrzebem. Potem bili się jeszcze raz z ostatniem wysileniem rozpachy i byli pobici, a wtedy poprzebijali niewiasty omdlałe w swoich rękach, dzieci podrzucili w górę, mówiąc: leć do Boga sieroto — ale kiedy zwyciężkie tłumy wołały na nich: »żyjcie i bądźcie naszymi sługi«, żaden z nich nie chciał, wszyscy woleli umrzeć.

Wtedy nowa zmiana w widzeniu. Wśród pustego kościoła wielki grób otwarty, kamień grobowy czeka gotowy z napisem *Naród* — w grób ten wchodzi wszyscy ci ludzie, a kamień zawala się za nimi. Tylko głos jakiś woła nad nimi: »odpocznijcie, zapomnijcie, »aż przyjdzie na was i na ziemię waszą powtórnej wiosny godzina. Ten sen będzie siłą waszą, Pan »czuwa nad waszemi trumny«.

Został po nich na ziemi ślad jedyny i jedyna pamiątka, postać niewieścia smutna, powiewna, kołysana wiatrem, ale doskonale piękna... Miłość ojczyzny? jej pamięć? nadzieja? zapewne: i w tej rozmawiał się Cezara i szedł za nią wszędzie, a miłość jego i jej smutek były coraz większe. W tej wędrówce spotkał ducha, który wyglądał, jak człowiek stary, ale czerstwy, na barkach miał skrzydła odarte z piór, a w ręku arfę o jednej strunie żelaznej. Kto ten duch? szatan, czy czas, czy fizyczna moc? i ten kusi Cezarę, żeby opuścił tę, »która nie odżyje nigdy, która jest nicością« — i owa postać niewieścia znikła gdzieś we mgle, duch zerwał ostatnią strunę swojej harfy i rzekł: »teraz wieczność się zaczęła«. Cezara chciał już konać i własną duszę przeklinać i postać Chrystusa oskarżać, że oszukała pobitych, zstępując z nimi do grobu, bo oni już nigdy się nie obudzą, kiedy usłyszał nad sobą głos anioła, mówiącego, że »śmierć ta była tylko złudzeniem«, i ujrzał postać Chrystusa, odwalającą kamień grobowy i wyprowadzającą wszystkich owych

pobitych. »I uczulem, że będę nieśmiertelny, bom nieśmiertelną ukochał«.

To jest treść. I tu także widoczne są dwa pierwiastki: ślady i wspomnienia dawnych zwątpień, i pierwsze zarysy tej całej doktryny odrodzenia, próby grobu, która w dalszych latach wystąpiła tak jasno i wyraźnie. *Sen Cezary* więc, tak jak *Syn Cieniów*, oznacza przejście, oznacza tę chwilę, kiedy z chaosu zwątpień i przeczeń zaczęło coś powstawać, zaczęły się składać pierwsze kształty późniejszej afirmacji. Co do formy, *Sen Cezary* ma wszystkie wady *Nocy Letniej* i *Pokusy*, w stopniu może jeszcze wyższym. Jest tak jak one, dekoracyjnym, przeładowanym niepotrzebnymi dodatkami i ozdobami. Tak jak onć, lub więcej jeszcze trzyma się tej manieri zacierania konturów, umyślnego pokazywania postaci i scen jak przez mgłę, wchodzi w tę samą kategorię optycznych złudzeń w poezji, podobnych do tych, które pokazują różni sztukmistrze pod tytułem *dissolving views*. Co tu dodatków i dekoracyi; po co naprzykład Cezara, mając zobaczyć te wszystkie sceny swojego widzenia, musiał drapać się za głosem, który go wołał na wieże i dachy katedry, po co te gotyckie wieżyczki, framugi, figurki, koronki ciosane z kamienia? czy treść poematu wymagała ich koniecznie? bynajmniej; to wszystko jest na to, żeby było opisane naprzód, powtórę, żeby Cezara pośród wież i łuków wydawał się poetyczniej, aniżeli na ziemi — wszystko to przybory, dekoracye. Albo te małe dzieci uśpione, czy zabite, niesione na rękach mężów, potem podrzucane w górę i ulatujące do nieba jak aniołki: znowu dodatek, przybór, ozdoba, a tem gorsza, że ma pozory myśli i znaczenia. W poemacie allegorycznym, jak ten, jak czytelnik znajdzie coś dziwnego i uderzającego, a są dziwne i uderzające te dzieci posłane przez ojców do nieba, musi koniecznie domyślać się i szukać znacze-

nia, musi przypuszczać, że poeta miał jakiś cel, jakąś myśl ukrytą; a kiedy jej nie znajduje, podejrywa, że myśl ta dla autora samego nie była zupełnie jasną, przynajmniej niezupełnie wyrobioną.

Jeszcze jedna uwaga. W poezji naszej, odkąd ona zaczęła przybierać charakter mistyczny, po r. 1831, natrafia się często na jakiś styl ewangeliczny. Mickiewicz pisze *Księgi Pielgrzymstwa* w tonie *Listów Ś-go Pawła* tam, gdzie naucza i każe wprost, w tonie paraboli ewangelicznych tam, gdzie naucza pod figurami. Słowacki w *Anhellim* używa także tego ewangelicznego stylu; naśladowcy rzucili się na ten styl, jak kruki, i odziewali w niego swoje oklepane ogólniki. Krasiński, który niedawno przepowiadał z szyderstwem, że Scribe napisze komedię ewangelicznie, wpada teraz w ton podobny. Nie można powiedzieć, żeby był naśladował ten styl, bo jego styl jest zawsze zbyt ozdobny i dekoracyjny, żeby mógł być podobnym do tego najprostszego ze wszystkich stylów na świecie; ale w tych poematach, gdzie opisuje jakieś widzenia, wpada w ton, który przypomina — nie chcąc naśladować naturalnie — ale przypomina niektóre księgi Pisma Ś-go, mianowicie te, w których zawarte są widzenia i przewidzenia przyszłości. *Sen Cezary* nie przywodzi na myśl i na pamięć, ani Ewangelii, ani Listów, ani Dziejów Apostolskich, ale przez swoje często powtarzane *i słyszałem, i ujrzałem, i usłyszałem głos*, przez to, że wprowadza tych aniołów, którzy pokazują, wołają, każą patrzeć, i tam dalej, przez to wszystko przypomina *Sen Cezary* ostatnią część pism Nowego testamentu, tę, która obejmuje przepowiednie przyszłości w allegorycznych obrazach i symbolach, Apokalipsę. A ton Ś-go Jana na Patmos nie jest tu przyjemniejszy do widzenia, jak u Mickiewicza ton Ś-go Mateusza, albo Ś-go Pawła. Że w *Śnie Cezary* jest niezaprzeczonego wpływ Jean Paula, wspomniało się już wyżej.

Tu dodać tylko wypada, że *Sen* ten musiał się pisać w roku 1839, i to pod wrażeniem katedry we Fryburgu. Ona to służy za dekoracją, w której się odbywają sceny *Snu*. Z Fryburga bowiem 20-go września 1839, pisze Krasiński do Soltana słowa, które wyraźnie to wskazują:

»Zdaje mi się nieraz w tym pustym kościele, żem
 »otoczony duchami tych, którzy za wiarę polegli. Farby
 »mistyczne tych szyb leją się w duszę moją, jak tęczy
 »jakiejś smętej, świecące nad grobem męczenników,
 »promienie. I nieraz podnosząc głowę ku krzyżom, py-
 »tam się: »Ażaz zmartwychwstaną Panie?«

Ten sam ton apokaliptyczny, te same wady artystyczne, tasama nienaturalność w stylu, tasama w opowiadaniu umyślna niejasność, tensam zbytek dekoracji panuje i w trzeciej »Myśli Ligenzy, w *Legendzie*. W latach i pismach późniejszych wiemy, że Krasiński oczekiwał dopełnienia przeznaczeń ludzkości w jakiejś trzeciej i najwyższej epoce, którą nazywał epoką Ducha Ś-go. W tej chwili przejścia, kiedy cały jego system późniejszy składać się zaczął, objawia się widocznie i ten jego pierwiastek. Tylko w tych latach i pismach późniejszych on nie rośnie, ale maleje; zbliża się stopniowo i coraz bardziej do ścisłej prawowierności katolickiej. W *Niedokończonym Poemacie* epoka Ducha Ś-go (jak w *Przedświcie* i pierwszych *Psalmach*) przyjąć ma, ale godzi się jakoś z Kościołem dzisiejszym, z katolicyzmem. W *Legendzie* Kościół dzisiejszy, Kościół Ś-go Piotra, ma ustąpić jakiemuś lepszemu i wyższemu Kościołowi Ś-go Jana. Wiadomo, jak Krasiński wszędzie i zawsze widział jedność złożoną z trójcy; taką jednością jest Bóg, jako taką pojmował człowieka; dzieje planety są u niego także troiste: starożytność, era chrześcijańska, i przyszła epoka — rzecz naturalna, że troistości takiej szukał także i w dziejach Kościoła, i że przypadła łatwo do jego myśli nie

nowa już nauka, czy przepowiednia, podług której dzieje Kościoła rozpadają się na trzy epoki. Kościół pierwiastkowy, zjednoczony i prosty w swojej wierze, to okres wiary, Kościół Ś-go Piotra. Dalej epoka teologiczna, epoka propagandy, dyskusji, ujęcia wiary w naukę, wreszcie polemiki, to historia Kościoła od Konstantyna do naszych czasów, i to nazywało się Kościołem Ś-go Pawła. Trzeci ma przyjść dopiero i wszystko zjednoczyć i połączyć: będzie Kościołem miłości, a jego wyobrazicielem będzie ten z apostołów, który uczył tylko jednego: »miłujcie się«, Ś-ty Jan. Takie oczekiwanie nowej epoki znane jest oddawna; wieki średnie przechodziły przez nie jeden raz. Zwykło ono objawiać się i powtarzać w czasach ucisku Kościoła lub jego upadku. *Evangelium Perpetuum* Opata Joachima (ur. 1130, zm. 1202) jest pierwszym może dla nas widowym i zapamiętanym śladem takich oczekiwań. W świętym Franciszku i w pierwszych Franciszkanach może dałoby się dostrzedz i odszukać jakie odbicie tego usposobienia. Zna je wiek XV, a zgorszenia w Kościele wywołują znowu takie oczekiwania czegoś nowego. Służy to i pomaga Reformacji; a powoduje po części jej różne rozgałęzienia, po części mistyczne, po części kommunistyczne. Wreszcie, w naszym już wieku, protestantyzm zawiedziony sam na sobie, czujący instynktem, że wyczerpał już i zużył ten zasób życia jaki mieć mógł, szukał odrodzenia swego, a pośrednio ludzkości, w jakimś filozoficznym połączeniu chrześcijaństwa protestanckiego z katolickim przez miłość, i marzył o nowej epoce, o nowym Kościele, któremu nawet dawał tę nazwę Kościoła Ś-go Jana. Z tegosamego oczekiwania wyrosły znowu z drzewa katolickiego takie boczne odrośle, jak Lammenais i Messyanizm Mickiewicza. Z tem wszystkim więc, z tem powszechnem oczekiwaniem, łączą się pośrednio i Krasińskiego po-

mysł, który z czasem uprości się i wyczyści, ale obecnie jest owych błędów i zboczeń dość blizki.

Legenda jest obrazem zakończenia Kościoła dzisiejszego, a początkiem przyszłego, który będzie jako epoka, epoką Ducha Ś-go, jako Kościół, Kościołem Ś-go Jana. A jak w *Synu Cieniów* mieliśmy do czynienia z człowiekiem jako takim, w *Śnie Cezary* z jednym narodem i jego przyszłością, tak tu chodzi już o przyszłość i odrodzenie ludzkości całej w tej epoce szczęśliwszej, w tym kościele wyższym i lepszym. A przytem dotyka ona losów jednego narodu, polskiego, i dziwnie, jedyna w całej poezji Krasińskiego, dziwnie zwłaszcza że obok *Snu Cezary*, wróży mu upadek, tak jak dzisiejszemu Kościołowi i z nim razem.

Mimochodem napomknąć trzeba, że *Legenda* ta, jak *Sen z Niedokończonego Poematu*, nie jest podobno wymysłem, ale (jak mówili niektórzy z współczesnych) spisany snem, czy też widzeniem poetycznym, jakie Krasiński miał rzeczywiście; na karb tego więc można położyć i tem usprawiedliwić wszystko, co w niej jest niedokładnem lub niewytłómaczonem, co jedno do drugiego nie przypadać się zdaje.

»Zdało mi się«, mówi poeta, »że w samą Wigilią »Bożego Narodzenia wychodzę z bram Rzymu i idę »przez kampanię«. Następuje szereg grobów, wodociągów, ruin, bluszczów, odległych gór, dekoracya, wśród której ów *ja*, który ma widzenie, dochodzi aż nad brzeg morza. Z morza śpieszy do brzegu okręt jakiś, z którego ludzie pytają niespokojnie, czy dziś Wilia Bożego narodzenia, że oni przed północą muszą być w Bazylice Piotra. Wysiadają na ląd ci ludzie w białych płaszczach i czerwonych czapkach, i każą się prowadzić do Rzymu. »Myśmy ostatki szlachty polskiej«, mówią, »anioł kazał nam być dziś o północy w grobie Ś-go Piotra«. Idą, i po drodze spotykają tłumy pielgrzymów; wszystkie narody ziemi ciągną do

Rzymu, gdzie dziś po »raz ostatni narodzić się ma »Chrystus, a odtąd już się na ziemi ani rodzić, ani »umierać nie będzie« — ale w tłumie tym całym nikt nie poznaje Polaków, wszyscy pytają ich, co są za jedni; a kiedy wreszcie znużeni doszli do drzwi Ś-go Piotra, Rzymianie puścić ich tam nie chcieli, mówiąc, że oni pierwsi jako Rzymianie. Ale w tej chwili z krużganku Bazyliki odzywa się postać kardynała w purpurze: »Puszczajcie tych, którzy niegdyś dla wiary »katolickiej cudzy naród od śmierci zbawili, a później »sami dla niej polegli — *umarłych* puście naprzód«. Potem dodaje tążsama postać: »Znam was, wyście ostatnie bohaterzy ziemi«.

Zaczyna się nabożeństwo, Papież wniesiony do kościoła na tronie kłęczy przed grobem Ś-go Piotra, a po nabożeństwie kardynał tensam zawołał wielkim głosem: »Piotrze! obudź się!« Z grobu podniosła się po piersi postać Apostoła i zawołała: *Biada mi!* Kardynał, jak mu sam Piotr świadczy, jest tym uczniem, którego głowa spoczywała na piersi Pana przy ostatniej wieczerzy, i który nigdy nie umarł na ziemi (aluzya do tych słów ewangelii, że między uczniami rozeszła się pogłoska, jakoby Jan nie miał umrzeć). »Kazano mi,« mówi Ś-ty Jan do Piotra, »abym teraz »wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go »do piersi«; a Piotr odpowiada: »Czyń, co ci kazano«.

I w tej chwili zapada w grób, filary kościoła zaczynają się chwiać i łamać; ludy wszystkie zaczęły uciekać, a kardynał ręką wstrzymywał w powietrzu sklepienia i kopułę, żeby ich nie przywały. W kościele został tylko Papież jeden, który grobu apostołów nie chciał opuścić, i szlachta polska, która pomimo wezwań kardynała nie chciała odejść, mówiąc, że »zostanie z tym starcem, któremu gorzko byłoby umierać samemu«. A kiedy wszyscy wyszli z kościoła, spadła

Zygmunt Krasiński II.

kopuła i sklepienia, i z Bazyliki został tylko wielki stos gruzów.

Wtedy ów widzący zapytał kardynała: »Panie, a ci czy na zawsze leżą pod temi gruzami?« A święty odrzekł: »Nie trwóż się o nich, Pan odwdzięczy im, im lepiej będzie i synom synów ich«.

O ile myśl upadku Kościoła, jego potrzeby i konieczności zastąpienia jego przez jakiś inny, jest zupełnie wyraźna, tak jak nigdy już drugi raz w poezyi Krasieńskiego nie wystąpiła, o tyle ten *finis Poloniae* z katolicyzmem razem jest trudny do pojęcia. Gdyby poeta chciał być powiedzieć, że upadek Kościoła, upadek katolicyzmu, na świecie lub w Polsce, pociąga za sobą upadek Polski i jej przelanie się w coś innego, w Rossyę naprzykład, myśl jego byłaby zrozumiała i słuszna. Ale gdyby był miał tę myśl, to te dwa upadki byłyby przepowiadał jako nieszczęście i jako rzecz złą. Tymczasem przeciwnie; w *Legendzie* są te upadki koniecznością, sprawiedliwością, wyższym szczeblem w historii świata, są dobrem. Jest coś w człowieku, co się na takie pojęcie oburza i protestuje. Czego on chciał? Czy uważał i katolicyzm i Polskę za należące do jakiejś epoki skończonej, i ustępujące miejsca innym, jak wszystko co skończyło swoje przeznaczenie? Czy też to zguba samej tylko polskiej szlachty, która, rycerska do ostatka, nie chciała odstąpić swojego Kościoła i jego Głowy? Czy ona tylko ginie z katolicyzmem, a Polska zostaje, jak zapowiadać się zdają słowa kardynała: »będzie lepiej im i ich synom«. W jego myśli ma to oznaczać tę ewolucyę, to powszechne rozwijanie się wszystkiego do wyższej doskonałości, które obejmuje i ludzkość całą, i Polskę, i Kościół; ale że w tej myśli jest jakieś przeczenie Kościoła, jakieś pragnienie innego, to nie podpada wątpliwości. W r. 1841 (12-go czerwca), odpierając w liście do Gaszyńskiego jakieś zarzuty, robione

Legendzie przez krytykę, przypisuje tę niechętną krytykę temu, że »w *Legendzie* zadraśniony jest mur, »który *według nich* stoi na opoce«.

Wogóle odpycha on wszystkie zarzuty, przyznaje tylko jedno, że »krytyka słusznie wytknęła nieraz napotkane napaśzanie, niby pretensją: to prawda. Ale »proza poetyczna jest trudem trudów; i w niej szum »prawie warunkiem koniecznym się stawa«.

Stwierdza więc on sam, że wykonanie jest zbyt »szumne«, napaśzone; a skoro sam zaprzeczyć nie może, to dalszych dowodzeń nie potrzeba. Co się zaś tyczy myśli, to ta jest w każdym razie mylna. Nie mówiąc już o tem, że mylna ze stanowiska katolickiego (w całej poezji Krasińskiego niema drugiej, któraby tak daleko i tak otwarcie od katolicyzmu odbiegła) — jest ze stanowiska patriotycznego rozpaczliwa, a ze stanowiska moralnego zła, fałszywa. Ci Polacy występują jako najlepsi pomiędzy narodami, kardynał sam przyznaje im, że całe życie poświęcali się dla drugich i byli ostatnimi bohaterami ziemi, i za to giną przywaleni gruzami z jakąś niejasną obietnicą na przyszłość za całą pociechę? Trzeba przyznać, że święty Jan swoją epokę i swój Kościół miłości rozpoczyna od osobliwszego aktu sprawiedliwości.

Te ostatnie bohaterzy ziemi, którzy się zawsze za wszystkich poświęcali, to już widocznie początki *Przedświtu*; ten Kościół Ś-go Jana i upadek Piotra, to późniejsza epoka Ducha Ś-go, tylko zapowiedziana więcej stanowczo i z większem przeciwieństwem do Kościoła; obietnica kardynała, która zamyka *Legendę*, to zaród późniejszej wiary w odrodzenie Polski. Tem wszystkim należy ona już do epoki następnej i zapowiada ją. Zaś ta wróżba upadku Polski wraz z Kościołem, ta ukryta, ale wyraźna niechęć do niego, to resztki i ślady zwątpień świeżo i jeszcze niezupełnie

przebytych. *Legenda* więc, jak dwie pierwsze *Myśli Ligenzy*, jest przez same swoje sprzeczności i niezgodności, wiernem odbiciem przejścia, jakiegoś w duszy poety przełomu, podczas którego wszystko się składać zaczęło, a nic się jeszcze zupełnie nie złożyło. Pod względem artystycznym jest *Legenda* godną towarzyszką *Snu Cezary*, ma tensam ton, tensam charakter i tesame wady. Ogółem wzięte, *Trzy Myśli Ligenzy* pod względem artystycznym i patryotycznym stoją w poezji Krasińskiego najniżej. — Czy filozofia, zawarta w *Synu Cieniów* jest słuszną i prawdziwą lub nie, niech sądzą filozofowie. Krytyka literacka i uczucie polskie muszą zgodnie, wraz z *Nocą Letnią* i *Pokusą*, postawić je najniżej między dziełami Krasińskiego, nie tylko pod względem logicznej i głębokiej myśli, ale i pod względem poetycznego talentu.

Jest tylko jedna rzecz, która starczy za pewną, choć może niewielką pociechę; perła *Trzech Myśli*, jedyny uśmiech w poezji Krasińskiego, to przedmowa: prześliczne pismo pana Szczepana Mielikowskiego herbu Gozdawa, który znalazłszy przypadkiem w Sycylii pisma Henryka Ligenzy, wydaje je stosownie do życzenia nieboszczyka. Ukraiński szlachcic, którego romansowa i poetyczna żona wozi z miejsca na miejsce po całej Europie (z rzeczywistości wzięty, jak świadczy Małachowski w *Krótkim Rysie*), jest przedstawiony z wielkim dobrym humorem, i z dobrem sercem przytem; a przez wrażenia tego biednego hreczkosieja, który w tem co widzi, połowy nie rozumie, na resztę się niecierpliwi i gniewa, tak misternie, a tak wyraźnie przebija piękność tego, co on widzi i o czem wspomina, błękitów palermitańskiej zatoki i dziwów maurytańskiej sztuki w Morreale, że pojąć trudno, jak przez styl i wrażenia tego biedaka Krasiński mógł tak żywo to wszystko dać uczuć, jakim sposobem przez jego okulary patrząc,

możemy to wszystko widzieć tak pięknem. Przedmowa ta jest pełna wdzięku; a jako jedyny błysk humoru w poezji Krasińskiego, jest ciekawością i jedyną próbką zdolności jego w tym rodzaju pisania; zdolności, jak ten przykład dowodzi, niepospolitej.

ROZDZIAŁ VIII.

1841 — 1843.

I. Zarys religijnych i filozoficznych pojęć Krasińskiego. Pismo o *Trójcy i Słowie Wcielonym*. Trzy osoby Trójcy. Byt i łaska. Myśl i prawo. Miłość i żywot. Bóg w stosunku do stworzenia. Człowiek. Jego troistość. Jego coraz wyższe żywoty. Jego ostateczne przeznaczenie. Ludzkość. Zasada troistości w jej dziejach. Starożytność jako jej byt zmysłowy. Walka sumienia z naturą w chrześcijaństwie. Ciągły postęp mimo koniecznych błędów i upadków. Ciągłe pragnienie wyższej doskonałości. Przyszła Trzecia epoka. Nie nowe objawienie, ale zrozumienie i wykonanie tego, które jest. Królestwo Boże na ziemi. Kres przeznaczeń i dziejów ludzkości. Droga ku niemu. Wolne narody. Sposób ich postępu. *Próba grobu*. Warunkowość odrodzenia i obietnic. Filozofia Krasińskiego w związku z współczesnym stanem świata. Ze stanem Polski. Krasiński nie jest mistykiem. Jego stanowisko religijne. Systematyczność jego pojęć. Zwrot w jego poezji. II. Traktat o *Trójcy w Bogu i Trójcy w człowieku*. Jego historia. Jego treść. Jego znaczenie. Porębowicza *Tryady Krasińskiego*. Adama Krasińskiego *Poeta Myśli i Dzień Ducha Ś-go*. III. Koniec r. 1840. Wiersze miłosne i patryotyczne. Zima w Rzymie. Wyjazd w usposobieniu ponurem. Pobyt w Karlsbadzie. Przyrzeczenie ożenienia się. Fałszywe położenie. Jesień i zima w Monachium. Oczekiwanie nowej epoki. List do Słowackiego o Towiańskim. Początek zmiany w ich przyjaźni. Choroba i śmierć Danielewicza. Pobyt w Szwajcaryi. Wiersz Fryburg. Początki *Przedświtu*. Spotkanie z Gaszyńskim. Zima w Rzymie. *Przedświt* w druku. Wyjazd z Rzymu na ślub. *Przedświt* wydany.

I.

Zarys religijnych i filozoficznych pojęć Krasieńskiego. Pismo o *Trójcy i Słowie Wcielonym*. Trzy osoby Trójcy. Byt i łaska. Myśl i prawo. Miłość i żywot. Bóg w stosunku do stworzenia. Człowiek. Jego troistość. Jego coraz wyższe żywoty. Jego ostateczne przeznaczenie. Ludzkość. Zasada troistości w jej dziejach. Starożytność jako jej byt zmysłowy. Walka sumienia z naturą w chrześcijaństwie. Ciągły postęp mimo koniecznych błędów i upadków. Ciągłe pragnienie wyższej doskonałości. Przyszła trzecia epoka. Nie nowe objawienie, ale zrozumienie i wykonanie tego, które jest. Królestwo Boże na ziemi, kres przeznaczeń i dziejów ludzkości. Droga ku niemu. Wolne narody. Sposób ich postępu. *Próba grobu*. Warunkowość odrodzenia i obietnic. Filozofia Krasieńskiego w związku z współczesnym stanem świata. Ze stanem Polski. Krasieński nie jest mistykiem. Jego stanowisko religijne. Systematyczność jego pojęć. Zwrot w jego poezyi.

W grudniu 1841 r. odbiera dwóch przyjaciół Krasieńskiego, Sołtan i Małachowski, zamiast listu i w liście, kilka kart filozoficznej rozprawy, którą on daje im na pamiątkę, a która dla niego widocznie wiele znaczy, skoro ją tak do wiadomości drugich podaje. Widocznie coś znalazł, coś odkrył, uchwycił jakieś rozwiązanie zagadki, jakąś prawdę, i chce ją czempreńdziej udzielić tym, którym zwierzał się ze swoich niepewności i zwątpień. O *Trójcy i Słowie Wcielonym*, a drugie o *Żywocie wiecznym*, oto tytuł, jaki daje temu odkryciu, tej afirmacyi, do której za drogowskaz służyły mu bardzo prawdopodobnie a raczej oczywiście *Prolegomena* Cieszkowskiego.

»W tem *łaska* Boża, że nas stworzył; w tem *rozum* i *logika* Boża, że nas nie odrazu doskonałymi stworzył, ale zmuszonymi się zasługiwać, czyli siebie samych dotwarzać i rósć ku Niemu. W tem *Miłość* Boża, że nas ostatecznie zbawi. Z *łaski* mamy byt, z *rozumu* Bożego świadomość tego bytu i wiedzę jego celu, czyli dusze. Z *miłości* Bożej wreszcie dochodzimy do zlania się Bytu z Myślą, ciała z duszą, czyli stajemy się duchami żywymi. Z tego trojakiemu stosunku Boga do nas i nas do Boga, wynika Trójca i jej osoby. Osoba Łaski to Jehowa, osoba Rozumu, nakazująca nam pracę i zasługę czyli kształcenie się i postęp, jako drogę jedyną do Niebios, to Słowo Wcielone, Chrystus. Wreszcie osoba miłości, kojarząca dwie poprzednie, i z jednej jak z drugiej wynikająca, spójnia Łaski bez przyczyny, z świadomością i rozumem, połączenie wolności w Bogu Stworzycielu z koniecznością w Bogu Objawicielu, to osoba Ducha, to Duch święty, który w stosunku do nas wyraża zlanie się *żywota*, danego z *łaski*, z *prawem* koniecznym *postępu* i *zasługi*, czyli *zbawienie*, *harmonię*, cel ostatni nasz, żywot wieczny nasz, *uzupełnioną miłość* Bożą ku nam i w nas.

»Na początku *Łaska*, wkońcu *Miłość*; (łaska jest dla niebędących jeszcze, miłość dla będących już, ale godnych, zasłużonych), a pośrodku jako przejście od Łaski do Miłości, Rozum Boży. W stosunku do nas *Rozum* Boży znaczy logikę życia, znaczy trud, krwawą pracę, suchy niewczas, męczeństwo, słowem zasługę! I oczywiście, by stworzonych z *Łaski* przeprowadzić stopniowo do godności niebiańskiej, do Anielstwa, do żywota wiecznego Duchów, trzeba koniecznie było im zasługi, czyli trzeba było, żeby im jej konieczność *Rozum* Boży objawił i nakazał, bo inaczej *Łaska* byłaby bezrozumna i *Miłość* wkońcu też ślepa, bezrozumna też, a zatem nie żadną *Miłością*, tylko znowu

»*Łaską*; więc nie byłoby żadnego rozwoju od pier-
»wszej do ostatniej, żadnego biegu życia, dziejów za-
»dnych ludzkich byćby nie mogło. Przejście więc, czyli
»życie nastąpić musiało, bo Bóg jest Bogiem nie umar-
»łych ale żywych. Pośrednikiem więc w istocie w tem
»przejściu między *Łaską* i *Miłością*, łącznikiem i uspra-
»wiedlicielem ich obu, musiał być *Rozum Boży*, który
»wcielony i objawiony, w rodzie ludzkim rozum ludzki
»obudził. Ztąd Chrystus jest Zbawcą, Odkupicielem,
»pośrednikiem, i tylko przechodząc przez niego, mo-
»żna dojść do zbawienia; jest prawdą, światłem na
»ziemi, i w najwyższym znaczeniu *Drogą*, jak sam
»wyrzekł o sobie, i tylko tą *drogą* dojść można do
»*miłości ostatecznej!* A że w stosunku do nas ta droga
»jest trudem, pracą, zasługą, zatem Chrystus wcielony
»musiał ją życiem i śmiercią odbić, wyrazić, uczynić;
»wszystek trud przejścia od *Łaski* do *Miłości* w nim
»przedstawiony; dla tego żył ciągle jak ofiara paląca
»się i skonał krzyżowo. Lecz że wskazywał i objawiał,
»do czego wiedzie przejście przez rozumu drogę; że
»objawiał *Miłość ostateczną* za cel tej drogi; że wska-
»zywał niebo i żywot wieczny za wynik jej konieczny;
»musiał też i *Cel* ten, czyli *Niebo*, wyrazić i ukazać
»w poczęciu się niepokalanem, w przemienieniu na
»Taborze, w Zmartwychwstaniu i Wniebowstąpieniu,
»w tych *nadludzkich* cudach, a *rzeczywistościach*
»Anielskich, kiedyś pokaże się i już w nim objawionem
»jest, że prawem rządzącem naturą Ducha, jest Cud«.

To określenie Trójcy świętej i jej stosunku do stworzenia, jak jest niezawodnie treścią religijnych pojęć i przekonań Krasińskiego, tak jest zarazem podstawą i przyczyną jego zrozumienia historii, troistych dziejów ludzkości, i tego koniecznego logicznego jej odrodzenia w nastąpić mającej epoce, które zobaczymy przepowiedanem w *Przedświcie* i w *Psalmach*, a dowodzonem w *Niedokończonym Poemacie*.

Z tem pismem za wskazówkę, a z temi objawaniami myśli Krasińskiego, jakie są w *Synu Cieniów* i w *Psalmie wiary*, w *Przedświcie*, w innych Psalmach i w *Niedokończonym Poemacie*, i wreszcie w *Listach* do porównania i pomocy, możemy złożyć sobie całość filozoficznych pojęć Krasińskiego, o Bogu i człowieku naprzód, następnie z temi w związku o ludzkości i historii. Spróbujmy więc ułożyć ogólny zarys tych pojęć, o ile nas na to stać, nie rękując za własną bystrość, ani za dokładność zrozumienia i przedstawienia.

Przytoczone pismo uczy nas, jak Krasiński pojmuje Boga w Trójcy jedyne. Jedna osoba i jedna czynność Boga, to stworzenie, to byt człowieka i świata, dany z łaski. Ta łaska bytu, to stworzenie bytu, musiało oczywiście być początkiem i podstawą dalszego działania Boga, a więc pierwszą w Trójcy musiała być ta osoba Boska, która była tego bytu przyczyną, która go sprawiła, czyli Bóg Ojciec. Ale za bytem musiała pójść koniecznie, niechybnie, i za nim zaraz, świadomość tego bytu, myśl o nim, i myśl w ogólności. Z tej świadomości bytu i myśli wynika zdolność i obowiązek stworzenia do kształcenia się i rozwijania; (Rozum Boży nie stworzył nas od razu doskonałymi i w tem jego logika). Ale ta świadomość i ta zdolność nie mogły być zostawione same sobie; *Rozum Boży* musiał im wskazać cel dla którego, i prawo, pod którym mają się kształcić i postępować. To więc jest druga strona czynności Bożej, i druga osoba Trójcy, »nakazująca nam pracę i zasługę, jako drogę jedyną do niebios, to Słowo Wcielone, to Chrystus«. Z tego bytu i żywota, który jest dany przez *Moc Bożą* i *Łaskę* (pierwszą osobę), z tej świadomości celu i drogi, z tego prawa, jakie wskazuje *Rozum Boży* (osoba druga), wynika koniecznie — (ale po nich następuje i od nich pochodzi) — dojście do celu, czyli połącze-

nie »bytu danego z łaski, z *prawem* zasługi i postępu, czyli zbawienie, harmonia, cel ostateczny nasz, żywot wieczny nasz«. To sprawia *Miłość Boża*, trzecia osoba Trójcy, trzeci przymiot czy akt troistego a jedyne go i nierozdzielne go Boga. »Osoba *Łaski* (i mocy)« to Jehowa; osoba *Rozumu* to Chrystus, »osoba miłości kojarząca dwie poprzednie, to Duch św.«

Te filozoficzne (a cóż dopiero teologiczne) dociekania i określenia, to przedmiot dla nas tak wysoki i niedostępny, że z największą tylko nieśmiałością pozwalamy sobie o nim mówić. {Zdobywszy się jednak na tę odwagę, wyrazimy tu przypuszczenie, że w tem pojęciu Trójcy, jak je Krasieński tłómaczy, jest widoczna podstawa systemu Hegla, a przynajmniej tego systemizowania, którego zwyczaj i upodobanie adeptci przejmowali od Mistra. Byt i jego sprawca (Jehowa, Moc, Łaska), to niby *Teza*; Świadomość i Rozum wznoszące się coraz wyżej przez trud i zasługę, przez ciągle działania, to *Antiteza*; a Duch św., który wedle wyrażenia Prezesa z *Niedokończonego Poematu* »ojca z synem miłości skojarzy«, to pogodzenie i zlanie się dwóch pierwiastków odmiennych, to *Synteza*. Ale jeżeli forma tego rozumowania i rozróżnienia jest (jak nam się wydaje) pożyczona od Hegla, to istota różnicy, wzajemny stosunek, pochodność i zależność trzech osób Trójcy, są może odmianą i modyfikacją myśli św. Augustyna. Ten, kiedy w *Konfessyach* (ks. XIII, roz. XI) chce sobie i nam przez porównanie objaśnić troistość, a razem jedność Boga, szuka tego porównania w istocie człowieka, i mówi, że »człowiek jest, wie i chce. Jest tym samym, który wie i chce; wie że jest i że chce; chce być i wiedzieć«. Musi na-przód być, a potem dopiero może wiedzieć, że jest; ale jak tylko jest, zaraz wie, że jest; a jak tylko ma świadomość bytu, tak zaraz ma i jakąś wolę, która nie może wyprzedzić bytu i świadomości, jest ich

skutkiem, ale musi być tam, gdzie są one. Z tego zupełnego połączenia, ale i z tej odmienności i pochodności pierwiastków, jakie widzi w swojej istocie, może człowiek według św. Augustyna zrobić sobie niejako bardzo dalekie wyobrażenie o różności osób, a jedności istoty w Bogu. Otóż, zapytujemy i uczeńszym od siebie poddajemy pod rozwagę, czy Krasińskiego *Byt* i *Moc*, jako pierwsza osoba Trójcy, *Rozum*, jako jej osoba druga, nie są podobne do tej istności i świadomości w człowieku, którymi św. Augustyn próbuje przez analogię wyobrazić sobie Trójcę? Wola, jest podług św. Augustyna koniecznym w człowieku skutkiem i uzupełnieniem dwóch pierwszych pierwiastków istności i świadomości; u Krasińskiego Duch św., kojarzący Ojca z Synem, prowadzi ludzkość do celu przez *wolę* właśnie, przez coraz doskonalsze jej zjednoczenie z wolą Boga.

Zdaje nam się, że jest podobieństwo między temi myślami; a ztąd przypuszczenie, że może jest między niemi i zależność. W każdym razie, czy definicje Krasińskiego są filozoficznie głębokie, a teologicznie trafne, czy nie, to w każdym razie jego pojęcie Boga jako w Trójcy jedyne jest rzeczywiście i zupełnie chrześcijańskie.

Ale to jest Bóg sam w sobie dopiero, w stosunku do siebie samego. Jakimże on jest w stosunku do swego stworzenia?

Psalm Wiary mówi:

On jak myśl w świecie mieszka i jak Byt wieczysty,
Lecz za świata krańcami On jest osobisty.

Jakto? osobisty za krańcami świata tylko? czy dopiero? Więc jego myśl i wola, rządząca światem, sprawiąca wszystko, co jest, nie jest osobistą i od stworzenia odrębną, ale jest z niem połączona i zlana, w nie wcielona? *Mieszka* w stworzeniu, jak jego Byt

wieczysty, a zatem jest nietylko sprawcą Bytu i życia, ale zarazem i istotą stworzenia, a ono znowu częścią istoty Boga? Takby się zdawać mogło; a jeżeli tak, to w tem pojęciu Krasieńskiego byłby widocznie i niezaprzeczenie pierwiastek panteistyczny. Stwierdza to wyraźnie ustęp z listu do Jaroszyńskiego (IX. 21-go lutego 1840), który mówi, że »Bóg tylko panteistyczny jest taką wyłącznością, jak Bóg li tylko osobisty, odłączony od wszechświata. Idzie teraz o zlanie tych dwóch bóstw w trzecie, równie osobiste, jak panteistyczne, równie wszystko obejmujące, jak siebie samego«. Ale te słowa stwierdzają tylko myśl Krasieńskiego, nie objaśniają jej. Jeżeli dwa pojęcia Boga, panteistyczne i chrześcijańskie, są jednostronne, a z nich dopiero złożyć się ma jakieś trzecie prawdziwe, to w każdym razie Krasieński nie tłumaczy, jakim ono być ma, co wyda to zlanie dwóch pojęć, jak ten Bóg będzie razem i osobistym i wcielonym w swoje stworzenie. Jest niejasność w jego myśli, a prócz niejasności, byłaby i sprzeczność, dwoistość w istocie Boga, skoro ten byłby innym (lub czem innym) po za krańcami świata, a innym znowu w świecie czyli stworzeniu. Zdaniem naszym jest w tem pojęciu niejasność, wynikająca może z wielkiej treściwości tego ustępu *Psalmu*. Krasieński nie wyłożył tu swojej myśli dokładnie, nie powiedział jak rozumie to mieszkanie Boga w świecie. Czy stworzenie jest częściowem wcieleniem jego istoty, czy też skutkiem, objawem i nieustającym aktem jego myśli i jego woli? Pierwsze byłoby panteizmem, drugie nie; a to drugie jest także możliwem i nawet prawdopodobnem. To mieszkanie w świecie »jak myśl i jak byt wieczysty«, może być ciągłym aktem stworzenia, utrzymywaniem raz stworzonego świata, tem samem dalszem ciągle działaniem woli i mocy. Nieustanne wieczne tworzenie, jest także jednym z pojęć podstawnych Krasieńskiego: jest prze-

znaczeniem ducha ludzkiego na całą wieczność. *Syn Cieniów* kończy się takim przykazaniem: »stwarzaj wieczne niebo w niebie«. Wiedząc, jak Krasiński wyobraża sobie życie i przeznaczenie człowieka odbiciem i obrazem Boga, możemy przypuścić z wszelkiem prawdopodobieństwem, że przypisywał on Bogu działanie nieskończenie większe, ale poniekąd podobne do tego, jakie wskazuje człowiekowi, i że w tym razie owo mieszkanie Boga w świecie rozumie jako nieustające stwarzanie (utrzymywanie świata i rządzenie). Zastrzeżenie, że Bóg dopiero »za krańcami świata jest osobisty« i drugie, zaraz po tem następujące »rozlał się po wszej ziemi, a został na niebie« (*Psalm wiary*), zdaje się wprawdzie świadczyć przeciw temu wyraźnie. Wszelako przeciw temu pojęciu znowu świadczy, jemu się sprzeciwia, pierwszy zaraz wiersz tego ustępu, w którym poeta stara się określić istotę Boga a w którym Bóg nazwany jest »ogniw wszechstworzenia wiążanym łańcuchem«. Jeżeli tak, więc nie tem samem co one, »ale czemś, co je łączy, wiąże i rządzi, ale nie w nich »mieszka«, tylko z zewnątrz nich, po za niemi zostaje. Ustęp, jak powiedzieliśmy wyżej, nie jest dostatecznie jasnym; dowód znajdujemy w tych sprzecznych i wyłączających się nawzajem określeniach jednej i tej samej istoty. Skoro więc zachodzi ta sprzeczność, skoro dalej zachodziłaby sprzeczność gorsza pomiędzy pojęciem Boga wcielonego w stworzenie, a tem jego pojęciem, jakie Krasiński formułuje w piśmie o Trójcy, więc z wszelkiem prawem i prawdopodobieństwem przyjąć możemy za pewne, że w wyrażeniach *Psalmu Wiary* jest nieścisłość, a że stosunek Boga do świata Krasiński pojmuje, jako akt ciągłego tworzenia, jako w dalszym ciągu pierwszego stworzenia nieustający wylew zawsze tej samej a ciągle nowej łaski i mocy.

A czemże jest człowiek? Tu, znowu przywołując

na pomoc *Syna Cieniów* i *Psalms Wiary*, dochodzimy do wniosku, że w pojęciu Krasińskiego człowiek składa się z ciała, duszy i ducha. Czem się różni dusza od ducha? Dusza jest (zawsze w jego rozumieniu) myślą i świadomością człowieka o sobie. Ta zaś myśl i świadomość zmienia się w miarę, jak zmienia się rodzaj i forma życia. Po śmierci, w życiu zagrobowem, człowiek będzie inaczej myślał, będzie miał inną świadomość siebie, niż ją ma w życiu ziemskim. Duch zaś, to jest sama jego istota, jego osobistość i wola. Jest nieśmiertelna; nie niezmienna, bo musi owszem dążyć i rozwijać się coraz wyżej, i coraz wyżej (pomimo zbroceń i upadków chwilowych) dochodzić, ale wiecznie ta sama. W tej myśli mówi Krasiński, że »dusza i ciało, to tylko dwa skrzydła, któremi czasu i przestrzeni sidła *Duch* mój rozcina« — w tej myśli mówi dalej, że duch w swojej coraz wyższej drodze do Boga

»Ciała i dusze własne po za sobą,
»Sypie jak liście żółte i strząśnięte,
»A sam wciąż żyje ich zgonów załobą«.

Zbytecznie przypominać, że pojęcie to jest dowolne i niezgodne z tem, jakie nam o człowieku daje chrześcijańska wiara. Katechizm uczy, że człowiek jest złożony z ciała i duszy, że dusza jest nieśmiertelna, a jej zbawienie celem naszego życia. W zwykłym użytku, kiedy mówimy o duchu ludzkim, lub o duchu pewnego oznaczonego człowieka, rozumiemy przez to słowo zbiór jego własności, zdolności, dążności intelektualnych; przez duszę, zbiór jego przymiotów, skłonności i zasług moralnych. Mówimy zawsze tylko o zbawieniu duszy, nigdy o zbawieniu ducha. Jeden wciela się w nasze dzieła ziemskie, może się przez nie objawiać i być podziwianym do końca świata, jeżeli jego siły były wielkie; druga jest nieśmiertelną naprawdę. Czy i jak rozróżnia Pismo święte i Kościół, nie wiemy.

Widzimy tylko, że o duszy ludzkiej, kiedy o niej naucza lub za nią się modli, mówi zawsze *anima*; ale że Duch święty nazywa się duchem (*Spiritus*) nie duszą, a *Duch Pański* (znowu nie dusza) unosił się nad wodami. Możliwy z tego wnosić, że Duchem nazywa się Duch absolutny, Boży; a duszą duch pochodny, stworzony, ograniczony, choć nieśmiertelny. U niektórych filozofów starożytnych było rozróżnienie duszy i ducha: ψυχη, była to władza czy istota na pół duchowa a na pół fizyczna, która sprawia powolność ciała dla myśli i woli, i łączy funkcję organów fizycznych z czynnością myślenia i uczucia. Krasiński doszedł do tego rozszczepienia istoty ludzkiej na trzy pierwiastki, może pierwotnie przez tę troistość, jaką spotykał w Heglu; w Niemczech odżyła ta teoria w mistykujących przyrodnikach; następnie, kiedy zagłębiał się w rozmyślaniach nad Trójcą świętą, doszedł do przekonania, że troistość, skoro jest w Bogu, to musi być zasadą, musi być konieczną formą i pierwiastkiem wszystkiego, co ma życie duchowe, a więc przede wszystkim istoty ludzkiej, człowieka jako jednostki. Jak zaś w Trójcy Bożej jedna osoba wyobrażała byt i moc, druga myśl i świadomość, a trzecia dopiero połączenie obojga, miłość i żywot (zupełny), tak w człowieku ciało odpowiada pierwiastkowi bytu, dusza pierwiastkowi myśli i świadomości, duch pierwiastkowi woli, nieśmiertelnej osobistości, doskonałego, wiecznego żywota.

Jakież dalej życie i przeznaczenie człowieka?

W *Synu Cieniów* jest on zrazu nie oddzielony od natury, »rozbiera« się pomału »z jej powicia«, walczy z nią i znosi tortury, aż dojdzie do świadomości siebie, i

»Ludzka mu piękność wyrzły wtedy z czoła«.

Dość wyraźnie *Syn Cieniów*, przyszedł *duch żywy*, jest naprzód i długo wcielony w stworzenia niższe,

w nich się kształci i wyrabia. Rozróżnienia między stworzeniem rozumnym a nieświadomym niema; jestto ta sama istota w różnych kształtach postępująca do coraz wyższego życia. W *Psalmie Miłości* »od kamienia Pan przemienia duchy stworzeń«. »Głaz, kwiat, zwierzę, miały senny życia wszczątek«, ale jednak jakiś duch w nich być musiał, skoro Pan »przemienia ich *duchy*«. Wreszcie człowiek »ku niebu pnie głowę i do Aniołów piersią wzdycha«. Do tych dwóch tekstów dodajmy niezliczone inne, w których Krasiński mówi o duchu ludzkim dochodzącym do godności anioła, (w *Synu Cieniów* o ludziach wychodzących na *bogi*, których nie należy brać za jedno z Bogiem), a dojdziemy do wniosku, że w jego pojęciu niema przerwy w łańcuchu stworzeń, że one wszystkie są stopniami i kształtami coraz wyższego i doskonalszego bytu. W stworzeniu martwym i nierozumnym niema ducha świadomego siebie, ale jest myśl Boża i zamiar Boży, który je doprowadza do pierwszej mety, do świadomości siebie, do człowieczeństwa. Tu możnaby zrobić tę uwagę, że choć myśl i wola Boża jest niewątpliwie w stworzeniu niemem, to tego zamiaru chyba niema, iżby to stworzenie stopniowym rozwojem dochodziło do rozumu i świadomości siebie, a znajdowało ją w człowieczeństwie. Gdyby bowiem tak być miało, to każdy kamień musiałby z czasem postępować na roślinę, każda roślina na zwierzę, każde zwierze na człowieka. Inaczej niesprawiedliwość i krzywda względem tego indywidualum kamiennego, roślinnego czy zwierzęcego, któreby tego postępu nie odbyło — czyli niesprawiedliwość i niemiłosierdzie w Bogu.

Dość że mamy człowieka. Cóż się z nim dalej dzieje? jakie jego losy i jego przeznaczenia? Jak wyobraża sobie Krasiński to, co człowiek doznaje przy śmierci i jego stan po śmierci, znajdujemy opisanem

w jednym z jego listów późniejszych (do Stanisława Koźmiana, 18-go lutego 1847). W cierpieniach swoich używał eteru; opowiada, co wtedy doznawał, i sądził że bardzo do tego podobnym musi być stan człowieka w chwili śmierci.

»Duch, miasto występowania pod obydwoma ży-
 »wota kierunkami, to jest pod ciała i duszy postacią,
 »występować tylko na czas pewien lub czasy pewne
 »może pod jednym, pod postacią duszy samej. To al-
 »bowiem śmierć stanowi, jeśli się ściśle pilnujesz Do-
 »gmatu, który ci dopiero żywot powtórny, żywot wie-
 »czny zwiastuje pod warunkiem zmartwychwstania,
 »czyli przybrania innego, przemienionego wprawdzie,
 »ależ ciała zawsze. Stan śmierci zależy na ubytku, na
 »bezmocy. Duch tylko dusznie, idealnie, pozbawion
 »rozwinętych, wydłużonych z siebie organów ciała,
 »objawia się; albo, właściwie mówiąc, nie objawia się,
 »jeno cicho i skrycie дума, cierpi, tęskni, wspomina
 »lub spodziewa się w sobie, na zewnątrz wszelkiego
 »promienia i działalności pozbawion. Stan śmierci jest
 »odpromieniem, jest przygasłością, odżywnieniem,
 »wcale zaś nie odbytnieniem, odjestestwieniem. A jest,
 »ogólnie mówiąc, niedokładnym i niepełnym stanem,
 »jest stanem przejścia, międzyaktem między jednym
 »a drugim żywotem, między pełnią planetarnego życia
 »a następną wiecznego. Zrazu uczuwasz najlżejszą lek-
 »kość, ptasiejesz, szukasz kędy skrzydła twoje, wycią-
 »gasz ramiona, które piórami się stały, czujesz, że
 »mógłbyś przez wszystkie drogi mleczne na przebój
 »się przedrzeć, wszechświat przejść i dojść aż do Pana
 »Boga. Na tem pierwsza chwila się kończy. Nagle,
 »z nieśmiertelnej polotności, wpadasz jakoby w po-
 »blize śmierci wiecznej, ciemności bez miary, walących
 »zawsząd ku tobie. Zdaje ci się, że twój żywot przed
 »tobą stoi, pod postacią widnokregu z światła błęki-
 »tnego. Co chwila ciemności zalegają go szerzej. Do-

»skonale wiesz, że to śmierć cię zajmuje, że to śmierć
»idzie. Przytem przytomność masz wyborną, i do przy-
»tomnych ciągle się odzywasz, tłómacząc im co się
»tobie wydarza. W miarę jak ciemności coraz bardziej
»zachwytują ten widnokrąg, to jest ciebie, ten widno-
»krąg istnienia twego żywotnego, tem mniej obcować
»możesz z ideami lub wyobrażeniami, w tobie samym
»będącemi, o osobach ci znanych, drogich, o sprawach
»ziemskich, nawet o Polsce. Stopniami, lud żyjący,
»zaludniający ciebie, myśli twe, pieśni, pomysły, wy-
»obrażenia, żądze, chęci, kochania, wstręty, wymierają.
»Odludniasz się, pustyniejesz, ścieśniasz się, skupiasz
»się w coraz drobniejszy, ale za to też coraz twardszy
»punkt środkowy jaźni twej. Z dębu stajesz się żołą-
»dźką, ale żołądźką czującą jak najdobitniej, że prze-
»trwa wieki wieków — i jeszcze wieki wieków! Sta-
»jesz się kometą odognioną, odgrzywioną, samem ją-
»drem komety się stajesz, ale jądrem przeświadczonem
»o wiecznotrwałości swej. Czy mnie pojmujesz? Im
»bardziej tracisz na powierzchni, tem głębisz się bar-
»dziej; im więcej na żywotności, tem bardziej uczu-
»wasz żeś *jest boś jest*; im bardziej na możności obco-
»wania z żywymi rojami, które w stanie żywota skła-
»dają ducha twego *ludność*, tem bardziej dochodzisz
»do przekonania, że ten duch w ostatecznem swem
»odosobnieniu od wszechświata, sam sobie *nieśmier-
»telnym, niezatracałym, nieskończonym* jest. I ztąd
»wynika, że kiedy już owe ciemności zaległy cię zu-
»pełnie, że kiedy już nie możesz do otaczających słowa
»wyrzec, że kiedy widzisz i znasz oczywiście, że, po
»ludzku mówiąc, *oto śmierć*, ty wcale o sobie nie
»troszczysz się, ni się lękasz śmierci tej dla siebie, bo
»ani na chwilę ci się nie marzy żadne znicestwienie
»ni odbytnienie; ale żal ci ogromny, że nie możesz
»tego ostatecznego odchodzenia i odrywania się od
»życia wypowiedzieć przytomnym. Rodu ludzkiego ci

»żal, że nie będzie wiedział o tem! Cóż innego, ogólnie mówiąc, może być w śmierci? Czy nie to samo oderwanie od wszechświata, nie ten sam stan bezmocy co do czynu, a potęgi co do uczucia własnej nieśmiertelności? Dodaj do tego dla jednych odpochnienie, dla drugich męki okropne, wyrzuty, gorycze, dla innych nadzieje i marzenia, dla wszystkich zaś powtarzam, brak obcowania z okręgami żywota, czy to żywota drugich, czy żywota własnego«.

Życie na ziemi jest walką, trudem, często grzechem, zwykle bólem, cierniową drogą, którą ten duch przebyć musi, żeby na wyższe życie zasłużył. »W tem«, jak wiemy, »rozum Boży, że nas nie odrazu doskonałymi stworzył«, ale do doskonałości dotwarzać się zaczął; a druga osoba Trójcy Bożej »nakazuje pracę, zasługę, postęp, kształcenie się«. Duch zatem, który jeszcze do swego ostatecznego kresu nie doszedł, musi się ciągle wyrabiać, doskonalić, kształcić, postępować.

Ten trud, ten postęp, to dobijanie się zasługi, nie kończą się z naszym życiem ziemskim. Duch, kiedy »strząsnął z siebie ciało i duszę jak żółtkę liście« nie spoczywa, ale wyrabia się dalej. Jak Krasiński pojmuje to nasze zagrobowe życie, czy zgodnie z nauką Kościoła przypuszcza możliwość cierpienia, ale nie możliwość grzeszenia, lub też czy w tem życiu przyszłym duch może jeszcze upadać? tego z jego słów wyrozumieć nie można; jak nie można zmiarkować, czy on przypuszcza żywot powtarzający się na tej ziemi, w różnych ciałach, czyli metempsychozę (choć są wskazówki, które każą tak myśleć), lub też próby i prace gdzieś na innych miejscach i w innych warunkach. To pewna, że podług niego człowiek po życiu ziemskim przebywa jeszcze cały szereg prac i prób nowych coraz wyższych, przez które dąży do żywota wiecznego, do Boga. Myśl ta została w nim na zawsze, skoro jeszcze w *Dniu Dzisiejszym* umierający błogo-

sławi swoich towarzyszy »*wszystkiemi* memi w wszechświecie żywoty«. W pojęciu katolickiem czyściec jest miejscem czy czasem odpokutowania, zadośćuczynienia; ale jak się ono odbywa, czy obejmuje jakie stopnie i jakie, tego Kościół nie orzeka; uczy tylko, że tam już człowiek jest wolny i bezpieczny od złego, jego wola jest niezmiennie dobrą. Krasiński nie poprzestaje na tej wiadomości ogólnej; chce dojść, jak to jest, co się z *duchem* dzieje, i widzi przed nim drogę prawie nieskończoną prób, walk i doskonałości coraz wyższej. W *Synu Cieniów* nazywa go »duchem nieszczęsnym, lecz wolnym od złego«; ale zaraz potem przepowiada mu, że »dni zwątpień wrócą, pokusa się wzmoże«. Jak jedno z drugim pogodzić? Jeżeli jest »wolny od złego«, to pokusa przeciw niemu bezsilna. Czy może ten duch zwyciężyć już musi, ale sam niema wiedzy i pewności tego zwycięstwa na to, żeby miał jego zasługę? Być może. W każdym razie duch przechodzi »przez czyścice zasługi, »w których wdziewa »i ciała i dusze bardziej promienne, aż wstąpi w świat »drugi« (*Psalm Wiary*). Jakiegokolwiek są te czyścicowe próby ducha, trudy, walki i tęsknoty — (o tęsknocie mowa jest wyraźnie w *Synu Cieniów*, zapewne tęsknota do nieba a za przeszłym życiem, za wszystkim, co umiłowane a porzucone) — wszystko to są tylko pozory złego, bo koniec musi być dobry. »Ale złe przejściem, tylko pyłem drogi«. Dziecinnie zdaje nam się, że śmierć jest końcem, kiedy ona jest tylko przemianą, przejściem do wyższego życia. »Śmierci niema — Pan nie pomyślał jej nigdzie«, mówi *Niedokończony Poemat*; *Syn Cieniów* widzi »wszędzie kolebki, niema nigdzie trumny«, a *Psalm Wiary* dodaje, że »grób i kolebka są potrzebne na niższych planetach, gdzie duch dopiero świta«. W tych więc żywotach wyższych, duch »porwany w coraz wyższe raje« (*Syn Cieniów*), leci »coraz dalej ku Panu, ku górze«; im bliżej jest

Boga, tem lepiej widzi swoją od Niego odległość« (*Psalm Wiary*), śmierci już nie zna, już wyszedł na anioła, a poniekąd na Boga (i wszędzie bogi — *Syn Cieniów*), a jednak jeszcze tęskni, jeszcze dąży, jeszcze czuje, że mu czegoś brak, że nie jest skończony.

Jakież będzie kres i kiedy dopełni się jego przeznaczenie? Oto jak go określa pismo o *Żywocie wiecznym*, przesłane Sołtanowi i Małachowskiemu:

»Zmysłowa część ducha ludzkiego upatruje niebo
 »w przeszłości i zowie je Rajem, bo Raj był niebem
 »dla ciała ludzkiego. Umysłowa zaś część Ducha upa-
 »truje Raj w przyszłości i zowie go niebem. Niebo
 »chrześcijańskiej epoki kończące się na kontemplacji
 »i wiecznym spokoju, jest tym Rajem pojętym przez
 »myśl człowieka. Duch zaś wszystek, *Jaźń* cała, po-
 »winna się starać, by ten ideał przeszłości i ten przy-
 »szłości, złąły się w jedno wiecznie terażniejsze życie!
 »Owa Terażniejszość zarazem Rajska i Niebieska, Cie-
 »lesna i Myślna, zacznie się przy ciał Zmartwychwsta-
 »niu. To to, co zowiemy Anielstwem. Raj, czyli do-
 »skonalskość ciała złąć należy z niebem, czyli z dosko-
 »nalskością myśli, a wypadnie doskonałość Ducha czło-
 »wieczego czyli *Przeanielenie!* stan, w którym każda
 »chwila terażniejszości ma być już wielką, świętą,
 »wielmocną! *Raj* był apoteozą ciał, *Niebo* dusz; Du-
 »chów zaś przeobstwowieniem będzie żywot wieczny,
 »nieskończony, przemieniający się jeszcze, ale świadom-
 »mie i wolnie, co chwila wyższy, miłośniejszy, pię-
 »kniejszy, głębiej uczuty, mądrzej pomyślany, w uro-
 »dziwszych kształtach upostaciowany. *Raj* był niebem
 »na ziemi, *Niebo* rajem za ziemią, za światem, gdzieści.
Żywot wieczny Rajem jest i niebem zarazem, wszę-
 »dzie, gdziekolwiek wszechświat, gdziekolwiek Duch
 »pański w rzeczywistej nieskończoności, podzielonej
 »na skończone chwile, byty, stany, które przelewają
 »się w siebie coraz wyżej, chyżej, bez granicy, bez

»miary, bez końca, a to przy zachowaniu nigdy nie-
»przerwanej świadomości. *Żywot wieczny* jest tworze-
»niem ciągłym, postępowym, samych siebie w Bogu,
»przez własną twórczość i łaskę Boga; jest miłością,
»rozwijającą się coraz wyżej, naszą ku Bogu i Boga
»przez to samo ku nam! Bo historia i rozwój wszy-
»stkich światów, to rozwój ich miłości ku Bogu! Co-
»raz goręcej zakochują się w Tym, który przedwie-
»cznym i zawiecznym zarazem: Im Go lepiej znają,
»tem więcej kochają; im więcej kochają, tem znają
»lepiej; im głębiej znają, im mocniej kochają, tem
»dzielniej stają się twórczymi na podobieństwo Jego,
»czyli tem bardziej *czynią*; z miłości swej do niego
»wciąż przeradzają się, rodzą się na nowo, idą w górę
»sami, kształcą, budują, tworzą siebie samych dosko-
»nalej i wyżej, i jak posągi Boże rosną w Bogu *in*
»*aeternum*.

»Oto ślub nieskończoności, oto niepokalane po-
»częcia powtarzające się wciąż, oto rodzące się Syny
»Boże, postępowo z siebie samych; oto Aniołów, Ar-
»chaniów, Serafów, wszystkich Duchów coraz wyż-
»szych, rodowód i rodociąg. Do grobu nie schodzą
»ich kształty, ni też ich kształty ze zgniłości wschodzą;
»ale wiją się i rozwijają i przetwarzają się z mocy
»wewnętrznej, z Ducha własnego, który się już posiadał
»i opanował całkiem wewnątrz, więc na zewnątrz
»przytomnie i zgodnie z wolą Bożą i rozumem Bożym
»działa, i cudami żyje. Cud ich sposobem bycia. Na-
»tura nasza ziemską raczej jest cudem niesforności
»i gmatwaniny; a to co zowiem *cudem*, raczej naturą
»naszą wewnętrzną, ostateczną, prawdziwą. Kto z Boga,
»ten do Boga, i ten musi być po Bosku. »A będziecie
»jako Bogi« rzekł wąż: biedny wąż! może myślał, że
»kłamie ludziom, a on im przepowiadał rzeczywisty
»ich cel! I wyszli z Raju ludzie, i wyszli, i poszli,
»i dojdą!«

Takie pojęcie wyrobiło się ostatecznie, ale przechodziło i ono przez pewne przemiany.

W *Synu Cieniów* duch dochodzi do swego kresu wtedy, gdy pozna, że jest »z Panem nad Pany duch jeden i ten sam; gdy przestanie mówić do Boga: »Ty Boże!« gdy każda dusza na Boga wyrosła i siebie samą w Jego łono wniosła, gdy w każdej Bóg woła *Ja*, a oprócz niego niema i nic nie powstanie«. Podług tego, kresem przeznaczeń tego ducha byłoby jego zlanie się z Bogiem; nie zjednoczenie przez wolę i miłość, ale zlanie się przez utratę własnej odrębnej osobistości, skoro Bóg jeden mówi *Ja*, a prócz niego niema nikogo. W *Psalmie Wiary* wygląda to inaczej. Duchy oczyszczone, Anieli, żądają Boga i do Niego dążą miłością bez granic i w tem jest ich »życie bez końca«. Żyją nieśmiertelnie z Bogiem, w Jego wieczności, przez tę miłość tworzą ciągle jakieś coraz nowe, coraz doskonalsze światy (w *Psalmie Wiary*), »wieczne niebo w niebie« (podług *Syna Cieniów*). Tę miłość oddają Bogu za to, co On dał im z łaski; tak są od niego mniejsze, że oddając nieustannie nic oddać Mu nie mogą, i »żyją w Nim wiecznie przez wieczne kochanie«.

Kres więc przeznaczeń i ostateczne dopełnienie duchów ludzkich, niebo, zbawienie, żywot wieczny, i to jeszcze nie jest spoczynkiem; to jest ciąglem tworzeniem coraz większej szczęśliwości i coraz większej doskonałości, przez coraz większą miłość.

Tak więc rozumie Krasiński istotę i przeznaczenie człowieka. Czy jego wyobrażenie o życiu przyszłym jest trafne, oczywiście dochodzić i dowodzić byłoby próżno. Wystarczy stwierdzić, że między tem pojęciem w *Synu Cieniów*, a w *Psalmie Wiary* zachodzi różnica niemała i nieobojętna.

A Ludzkość? Skoro troistość jest w Bogu, skoro jest w człowieku, to nie może być inaczej, tylko ta

sama zasada musi być i objawiać się w życiu i dziejach zbiorowych ludzkiego rodu. Jak w Trójcy Bożej jest strona (czy osoba) Bytu i strona Rozumu, czyli myśli, a połączeniem obu jest Miłość, jak w człowieku jest także Trójca na obraz i podobieństwo tamtej, ciało które wyobraża pierwiastek nieświadomego bytu, dusza (świadomość siebie) odpowiadająca Myśli (Słowu) w Trójcy Bożej, i duch przeznaczony do żywota wiecznego, który jest połączeniem bytu ze świadomością. Jak w Bogu Miłość jest połączeniem Łaski z Rozumem, tak też i w dziejach ludzkości te trzy pierwiastki muszą się wcielić i objawić, owszem, one stanowią, one robią te dzieje.

Nie wiemy na pewno, czy Krasieński w swoich rozmyślaniach nad temi kwestyami dostrzegł i zgłębiał naprzód Trójcę w Bogu, a od niej dopiero, na jej wzór, dochodził do troistości w człowieku i w historii, jako do odbicia i skutku tamtej; ale przypuszczać nam wolno, że myśl jego szła właśnie w przeciwnym, odwrotnym kierunku; że zaczął od troistości w ludzkości i w historii, a doszedł do swojego rozumienia troistej jedności w Bogu. Zasadę i formę troistości znajdował w Heglu i znał ją oddawna; u Cieszkowskiego zobaczył ją (wbrew Heglowi) zastosowaną do dziejów ludzkich; myśl ta jak wiemy wywarła na nim wrażenie bardzo głębokie. Przyjął ją za prawdę i na jej podstawie zaczął rozmyślać dalej, stosować tę prawdę do innych przedmiotów, szukać troistości w człowieku, a dochodzić czem ona jest a jaką jest w istocie Boga. Jakkolwiekbydź zresztą, trzy osoby w Bogu, trzy pierwiastki i trzy stany w człowieku, muszą się odbijać w życiu ludzkości jako trzy główne epoki jej bytu na ziemi. Łasce i Mocy w Bogu odpowiada byt nieświadomy w stworzeniu. Rozumowi i Prawu w Bogu odpowiada świadomość prawa (i zasługa) w człowieku. Pomiędzy bytem przyrodzonym i zmysłowym czło-

wieka a jego myślą i świadomością prawa, jego sumieniem, jest często sprzeczność, rozbrat, walka, która powstaje wtedy dopiero, gdy ta świadomość już jest obudzona, gdy sądzi popędy i uczynki człowieka, gdy kieruje jego wolą i stawia ją przeciw wrodzonym skłonnościom i popędom jego natury. Z tej sprzeczności wynika, że życie człowieka jest ciągłą walką, a stan świadomości jest w nim *antitezą* prostego bytu. Jak zaś w Bogu Miłość jest skojarzeniem Łaski z Rozumem i Prawem, tak w człowieku skojarzenie bytu z sumieniem przez wolną, siebie świadomą i dobrą wolę, jest przeznaczeniem jego ducha i początkiem jego żywota wiecznego. Te same trzy pierwiastki, trzy stopnie, są w dziejach i przeznaczeniach ludzkości, jedno już objawione, dokonane w rzeczywistości, przeszłe lub obecnie będące, drugie mające nastąpić. Klucz i objaśnienie do tej strony pojęć Krasińskiego daje nam ten wykład historii powszechnej jaki słyszy, ten examini jakiego z niej zdaje Młodzieniec w *Niedokończonym Poemacie*, to jej widzenie jakie się przed nim przesuwa. »Ciało pogańskie wszelkie tęskniące do chrześcijańskiej duszy, aż dostąpiło objawu niebianki«: to starożytność, to ten pierwszy stan ludzkości, który odpowiada bytowi nieświadomemu. Organizmy polityczne i społeczne najprostsze (miasta greckie, monarchie wschodnie, i rzymskie Państwo), nie pojmujące i nie uznające nic prócz siebie; w przeciwieństwie i nienawiści do wszystkiego, co było zewnątrz nich, a nie było niemi; to człowiek znający się człowiekiem i wolnym tylko jako obywatel swojej społeczności, bez niej pozbawiony wszelkiej podstawy i wszelkiej wolności, względem niej tylko poczuwający się do jakiegoś obowiązku; to wreszcie widome skutki sił działających w naturze (rzadziej te siły same), uważane za bogów, ubóstwione. Wśród tego jeden lud znający Boga, ale znający go głównie »Gniewu Panem«,

a w sobie samym bardziej niż wszystkie inne zamknięty i wyłączny, lud żydowski. W świecie pogańskim, w wybranych i najwyższych, mętne wspomnienie, niejasne przeczucie, tęskne pragnienie Prawdy i Boga, u Chaldejczyków objawiające się jako symboliczna cześć światła, u Egipcyan jako cześć i miłość nieśmiertelności; dążenie stopniowe, dochodzące w Grecyi a mianowicie w Platonie, najwyżej, jak o własnych siłach, bez pomocy objawienia, dojść mogło.

W tym pierwszym stanie, w tej pierwszej epoce jest także ciągły postęp, ciągle zbliżanie się do prawdy, ale postęp który do mety prawdziwej dojść nie mógł, bo dążył do niej przyrodzonymi tylko, ludzkiemi siłami i środkami.

Następuje przyjście i objawienie Chrystusa Pana, »nowa dziejów część, nowe próby ludzkości«.

»Widziałem rój myśli świętych rozwieszony nad światem, lecz nie zstępowały na dół«.

Starożytność była w swoim zakresie jednolitą, była w równowadze nie w rozterce, jak jednolitym i w równowadze jest byt nieświadomego stworzenia. Ale jak w człowieku zaczyna się walka między popędami natury a prawami sumienia, od chwili jak poczęła się świadomość tych praw, tak i w dziejach ludzkości z przyjściem Chrystusa, z objawieniem Jego Zakonu, musiała począć się walka ta sama między ciałem a duszą, między naturą a sumieniem. Chrześcijaństwo przyniosło ideał do³urzeczywistnienia trudny, a podobny do urzeczywistnienia po długich tylko wiekach i trudach. Natura ludzka musiała mu się opierać, musiała wszelkiemi siłami odpychać to Prawo poświęcenia się i miłości, twarde dla jej popędów, żądz, czy upodobań. Ztąd konieczna i nieunikniona walka, która jest samą treścią dziejów naszej ery; ale tych dziejów także zasługą i wielkością. Skutkiem tej walki bowiem jest ciągły i nieustanny postęp, ciągły pochód ludzko-

ści w górę, ciągle zwycięstwo jakiegoś złego jednego, po którym następuje walka z drugim i nowe zwycięstwo, i tak dalej aż do końca. W trudzie i ucisku walki, w strasznym a częstem (choć zawsze tylko chwilowem) zwycięstwie złego, ludzie współcześni nie mogą czuć ani widzieć tego postępu; a jednak on jest i w końcu doprowadzi ludzkość do tego kresu, od którego pocznie się zjednoczenie jej zbiorowej woli z wolą Boga. W starożytnym świecie ciało tęskniło za chrześcijańską duszą, w naszym »widzi ją nad sobą, »ale nie może ściągnąć jej do piersi. Więc zaczną płakać, zgrzytać, więc i krwią pluskać. Wszędzie rozłam »i rozłam i rozstrój; części tylko, a każda nienawistna »drugiej, we wszystkość zsamolubić się chce, wytępiając inne«. Sama idealna społeczność Kościoła, która wskazywała ludzkości ostateczny cel, i jednostronną się stawiała, i ulegała sama wpływowi ludzkiej natury; »deptając po ciele, sam rósł w ciało«. Naprzeciw niego ziemski, świecki porządek rzeczy nie chce poddać się temu panowaniu i sobie moc najwyższą przypisuje; to wieki średnie, to walki władzy świeckiej z Kościołem, to jego samego upadki lub walki w jego łonie, to wreszcie Reformacya, rewolucya religijna, matka i głowa wszystkich późniejszych świeckich, a w ślad za nią wszechwładztwo Państwa; i znowu ideał nie osiągnięty, chrześcijańska dusza nie wstąpiła w zbiorowe ciało ludzkości.

I znowu ta sama, coraz gorętsza, coraz silniejsza za nią tęsknota. »W fałszu użytych środków, ale w prawdzie tęsknoty wiecznej« dąży ludzkość do swego celu, do królestwa Bożego, królestwa sprawiedliwości i wolności ziemi. Tę prawdę tęsknoty za czemś wyższem, a fałsz środków, któremi działać chcieli, wyobrażają w *Niedokończonym Poemacie* Albigenowie, Templaryusze i inni, aż do Wolnych Mularzy i Rewolucyi francuskiej. A skutek, a koniec tych wieków, nasz stan dzi-

siejszy? to »żądź kałuża. Martwo, ciemno, podle. Mierność i złość siódmym dniem człowieczeństwa«.

Czyż na tem ma się skończyć? Nie. Wszystkie te wieki to epoka przejścia tylko; i dlatego, że przejściowa, taka bolesna i ciężka. Ale po niej nastąpić musi stan wyższy. Jak jeden duch ludzki przez ziemskie i czyścicowe zasługi dochodzi do żywota wiecznego, tak i ród ludzki przez swoje uciski i postępy musi dojść do swego dopełnienia, do swego kresu, którem jest królestwo Boże na ziemi — na ziemi, bo tylko indywidualny duch ludzki ma nieśmiertelność po za ziemią; ród ludzki niema jednego zbiorowego ducha, któryby miał być zbawionym, jego dzieje kończą się na tej ziemi, jego przeznaczenie musi na niej być spełnionem. Czemże będzie to królestwo Boże na ziemi? W Trójcy Bożej Duch św. jest połączeniem Ojca i Syna — Łaski i Prawa — Bytu i Myśli, przez Miłość. W człowieku żywot wieczny ducha jest znowu połączeniem, zgodnością, bytu i świadomości w wolnej, doskonałej woli. W dziejach ludzkości więc, które są tamtych dwóch trójc odbiciem i powtórzeniem, dopełnieniem przeznaczeń, kresem ostatecznym, musi być znowu takie harmonijne zgodzenie, połączenie dwóch pierwiastków różnych, Bytu i Sumienia, przez wolę wolną dobrowolnie zgodną z wolą Bożą. Pragnienie tego stanu, tęsknota za tą harmonią były zawsze przez cały ciąg wieków; w środkach tylko błędziły, albo rwały się przed czasem i chciały zbierać owoce przed ich dojrzaniem. Dziś poznanie tego prawa, tego przeznaczenia ludzkości, świadomość że taki stan jest jej celem i kresem, są wyraźniejsze i silniejsze niż kiedykolwiek. A za świadomością rozwiniętą i dojrzałą, następuje zawsze i rychło urzeczywistnienie tej rozpowszechnionej idei. W tem oznaka i nadzieja, że zmiana czasów, zmiana epoki jest niedaleka.

Wieki ery chrześcijańskiej są dla ludzkości takim

stanem cierpienia i niedopełnienia, jakim jest dla ludzkiego ducha żywot ziemski i czyścicowy; epoka następną ma być dla ludzkości tem, czem dla jednego ducha żywot wieczny — (oczywiście bez wieczności). Na czemże będzie się zasadzać, czem będzie ta trzecia epoka dziejów, ta epoka Ducha św., o której Krasiński mówi ciągle we wszystkich swoich odtąd dziełach?

Będzie harmonią, zgodnością woli ludzkiej z wolą i prawem Bożem; będzie zastosowaniem i wykonaniem dobrowolnem tego prawa we wszystkich stosunkach i czynnościach. »I w izbie poselskiej i na trybunale, i w kole wyborców i w kole wybranych, i na stolicy władnej, i na rynku pospolitym, i w rękodzielni, i na giełdzie, i w sztuce każdej, i w umiejętności każdej, Pan dojrzan, poznany, uczczony i wykonany być musi. Każdy trud w posłannictwo, każdy urząd w kapłaństwo się zmienia«. A *Psalm Wiary* dodaje:

Chrystus wciąż w Tobie mieszka o Ludzkości!
Stanie się tobie, co się stało Jemu.

Jego życie jest figurą i przepowiednią jej życia, musi i ona przejść »przez trud i męczeństwo«; ale musi także, skoro Wniebowstąpienia dla niej niema, »nim los jej ziemski w pełni się dokona«, dostąpić chwały Przemienienia.

»Zostawisz w dole szataństwo niewoli
»Zostawisz w dole kłamstwa opętanie
»A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
»I serca wieczną nieskończoną miłość.

Jak się to stanie? Czy epoka Ducha św. nastąpi po nowem jakimś objawieniu? czy Duch św. założy nowy zakon mający się do Chrystusowego, jak tamten do Mojżeszowego? Nie. Ta obietnica zesłania Ducha Pocieszyciela, na której opiera się cała ta część nauki

Krasińskiego, którą tłumaczy Prezes w *Niedokończonym Poemacie*, mówi, że »Duch mnie uwielbi, bo z mego weźmie, a opowie wam«. Duch więc nie doda nic, nie przyniesie nic nowego; tylko oświeci nas o tyle że objawioną prawdę zrozumiemy lepiej i rzetelniej zechcemy ją w życiu stosować. »Trzeci wylew« łaski i prawdy Bożej będzie tylko lepszym zrozumieniem objawienia. »Wykonanie będzie zstąpieniem Ducha, czyn sam (tego wykonania) będzie pocieszycielem«. Oto komentarz, jaki do przepowiedni daje ów Prezes, mówiący oczywiście to, co w samej głębi swego przekonania myśli poeta. Ten pocieszyciel, ten nowy wylew łaski jest gotów i logicznie przyjść powinien; ale nie przyjdzie, »jeżeli go sami nie wystuzym, nie wypracujem, nie wyczynim. Jeżeli sami sobie nie przeoltarzym Jemu, on nie zaświeci nam, i nie pocieszeni zostaniemy«.

Tak pojmuje Krasiński »godzinę dopełnicielkę«, trzecią dobę bytu ludzkości, epokę Ducha św. Co do jej przyścia jako warunkową zależną od naszej woli i zasługi: co do treści jako lepsze zrozumienie i jako wykonanie objawienia Chrystusowego; co do skutków jako pokój i zgodę w ludzkości, jako królestwo Boże na ziemi, przez zgodność woli ludzkiej z wolą bożą. Na innym miejscu mówi on, że będzie urzeczywistniony »Kościół powszechny«, którego dotąd mamy tylko idealne pojęcie, przykazanie i pragnienie.

A jakąż drogą, jakim sposobem dojdzie ludzkość do tego przeznaczenia? »Gdzie członki tego ciała, w którym jeden Duch?«

Do dnia tego wiodące tu schody,
To w łasce Twojej poczęte narody.
Garść im powołań sypnąłeś z wysoka,
W każdym z nich żyje myśl jakaś głęboka.

One są »barwami tęczy, z których ta biała światłość powstaje«, ale choć wszystkie łączą się z sobą

harmonijnie w tej jedności, to każda z tych barw zostaje sobą, istoty ani cechy swojej nie traci. Podług Krasińskiego, narody jedne są »z bożej łaski« — państwa są tworem ludzkim. Te przemijają i upadają; tamte, jeżeli doszły do świadomości swojej, jeżeli czują, że Bóg w myśli swojej na coś je przeznaczył, jeżeli stopniowo poznają to przeznaczenie, i jeżeli je pełnić chcą, jeżeli to poznanie i wykonanie myśli bożej o nich jest samem rdzeniem i duszą ich świadomości siebie i ich miłości siebie (swojej ojczyzny), takie narody nie giną. jakiegokolwiek byłyby ich losy i ich nieszczęścia. »Od przyjścia Chrystusa żaden lud, który się stał narodem (który do tego poznania przyszedł), nie ginie«. Może upaść, może się zdawać zgubionym, ale dopóki nie zatraci tej świadomości i temu posłannictwu się nie sprzeniewierzy, żyć będzie i znajdzie w przyszłości porę i sposobność do odzyskania powtórnego materialnego cielesnego bytu. Takie narody, pełniące swoją służbę i powołanie, zachowujące miłość swojej odrębnej zbiorowej istoty, ale mające także miłość i sprawiedliwość dla wszystkich innych, to jest ta forma, którą przybierze ludzkość w najwyższej epoce swego rozwoju; którą obmyślił i przeznaczył dla niej Bóg, w której ma oddawać mu chwałę i swoją zbiorową wolę z Jego wolą jednoczyć. Narodowość, uczucie, świadomość, miłość swojej odrębnej zbiorowej istności, była potrzebnym, a jest wysokim stopniem w kolejnym postępie ludzkości. Starożytność czuła i знаła miłość ojczyzny filozoficznie tylko; materialnie, przywiązanie do miasta czy ziemi i poświęcenie dla Państwa; narodów starożytność nie znała, tylko plemiona, kasty, miasta; albo stany jednym państwem objęte. Wieki średnie znały ksiąząt i ziemię, znały poddanych i stany, nie miały uczucia narodowości. Wyrobbione w nowszych wiekach, jest ono wielkim postępem,

krokiem naprzód ku urzeczywistnieniu myśli bożej o ludzkości, ale krokiem niezupełnym i dalekim od celu, jak długo ta narodowa świadomość pomieszana jest z nienawiścią drugiego narodu, z jego krzywdą, z zazdrością i pożądaniem czy jego własności, czy jego pomyślności. Dopiero gdy to ustanie, gdy świadomość i miłość siebie jako narodu, połączy się w każdym z nich z dobrą wolą względem narodów innych, dopiero wtedy będą one zdolne i godne wejść w wyższy stopień bytu ludzkości, spełnić swoje przeznaczenie.

Ale jakże one znowu, jakim sposobem mogą podnieść się na ten stopień wyższy? Przypomnijmy sobie dwa pewniki Krasińskiego z jego rozumowań poprzednich: życie ludzkości jest odbiciem życia Chrystusa Pana, i drugi, że przez to przejście, które nam wydaje się śmiercią, dochodzi się do wyższego kształtu i wyższego żywota. Chrystus musiał umrzeć zanim w ciele uwielbionem zmartwychwstał i wstąpił na niebiosy; duch ludzki przez śmierć ciała przechodzi do czyśćcowego, a następnie do wiecznego żywota. W życiu ludzkości musi coś podobnego zachodzić; musi być ten sam warunek, to samo prawo przejścia przez śmierć do lepszego życia. Ale czyż ludzkość cała może tak na jakiś czas zamrzeć, choćby pozornie, na to, by potem powstała odrodzona? Oczywiście nie. Jakaś jej część tylko musi odbyć to przejście; nie za całość jako ofiara, tylko jako figura i typ tej całości. Jak zaś duch ludzki przez czyśćcowe pokuty i próby dochodzi do swojej doskonałości, do zjednoczenia swojej woli z wolą Boga, tak i owa część ludzkości, która tę czyśćcową próbę odbyła, jeżeli w niej i przez nią wyrobiła w sobie wyższą świadomość swego powołania, większą miłość i sprawiedliwość względem drugich, i doskonalszą wolę, ściśle i stale zgodną z wolą Boga,

wtedy ta część ludzkości, ten jeden naród podniesie się na stopień wyższy, wyjdzie z próby przemieniony, stanie się dla drugich wzorem dobrego zrozumienia powołań i przeznaczeń, »wyższego w ludziach pojęcia o Bogu, większej miłości i braterstwa«, a przez to stanie się na tę szczęśliwszą przyszłą epokę wzorem dla narodów innych, narodem naczelnym, podług którego drugie kształcić będą swoją cywilizację, jego śladem dążyć do coraz doskonalszej miłości i szczęśliwości. To będzie tego narodu nagrodą za przebyte cierpienia.

Tak rozumie Krasiński tę *próbę grobu*, która jest jednym z jego filozoficznych pewników, która występuje już (choć niewyraźnie) w *Irydionie*, potem w *Śnie Cezary* i w końcowej obietnicy *Legendy*, a odtąd występuje coraz wyraźniej w *Przedświcie*, w *Psalmach* i w *Niedokończonym Poemacie*.

Pewnik ten zastosowany jest do Polski. Ona jest tą częścią ludzkości, która przez *próbę grobu*, przez pozorną materialną śmierć, ma dla siebie, a pośrednio dla wszystkich, wyrobić wyższe pojęcie przeznaczeń ludzkości, woli bożej w historii, a następnie dążyć do ich urzeczywistnienia. Dlaczego ona właśnie? co wskazuje, że taka jest myśl i wola boża względem niej, co daje jej niejako prawo do takiego przeznaczenia, i jakie są warunki do spełnienia tych przeznaczeń? to zobaczymy później, przy *Przedświcie* i przy *Psalmach*; przystosowanie praktyczne (jeżeli można się tak wyrazić) filozoficznej myśli Krasińskiego do jednego szczególnego przypadku, do jego ojczyzny, niech zostanie na później. Na teraz chodziło o przedstawienie tej jego myśli teoretycznej, zagadnień i twierdzeń natury ogólnej, o jego pojęcie Boga, człowieka i ludzkości, i ich wzajemnego stosunku.

Przedstawienie niniejsze, niedostateczne zapewne, niezupełne, a bardzo być może że i nieudolne, nie jest

jednak niedokładnem i niewiernem. Było ono potrzebne do łatwiejszego zrozumienia tych dzieł Krasińskiego, które teraz z kolei nastąpią; dlatego, czegokolwiek mu braknie, przydatnem przecież być może.

W krytykę tej filozofii wdawać się nie myślimy, bo nie możemy: ani pod względem teologicznym, ani pod filozoficznym roztrząsać jej nie czujemy się w prawie ani na siłach. Poprzestajemy więc na tych spostrzeżeniach i uwagach, jakie sam zdrowy rozsądek każdemu nasunąć i poddać musi.

Pierwsza jest ta, że cały ten system filozoficzny Krasińskiego jest objawem i skutkiem tego stanu niepewności i oczekiwania, sprzeczności między stanem świata a sumieniem ludzkim, i pragnienia, żeby ta sprzeczność była usuniętą i znikła, z jakich wyszła część bardzo znaczna europejskich poezyi, i nawet europejskiej historii w pierwszej połowie naszego wieku, z jakiej wyszła cała niemal poezya i historia polska w latach emigracyjnych. Krasiński (jak Mickiewicz i inni), jest u nas w Polsce wyrazem tych »ducha ludzkiego duszności«, któremi dręczył się już Byron, które wulkanicznie wstrząsały literaturą i historią Włoch, które we Francyi wydały Montalemberta i Lacordaira, i z drugiej strony Lammenais'go; które uciśkały nasz świat tak powszechnie, że nawet aż w Rosyi znalazły echo w marzeniach Słowianofilów. Jestto grunt wspólny, który wydał plony najrozmaitsze, od najściślej katolickich do mistycznych, heretyckich, i do zupełnie bezbożnych we względzie religijnym, od ślepo legitymistycznych przez wszystkie stopnie pośrednie, aż do ślepo i skrajnie rewolucyjnych. Że u nas ta sprzeczność rzeczywistości z sumieniem objawiła się najzupełniej i dała uczuć najboleśniej, a przeto musiała nas wstrząsnąć najgłębiej i na objawy naszej myśli wpłynąć najsilniej, to zbyt wiadome i do pojęcia łatwe, iżby jeszcze trzeba było tłumaczyć. System filo-

zoficzny Krasińskiego i jego poezya wypłynęła z tego samego źródła, co Mickiewicza *Trzecia Część Działów*, *Księgi Pielgrzymstwa*, a wreszcie Messyanizm, co cała z nich poczęta lub z niemi połączona literatura.

Źródło jest wspólne, oczekiwanie przyszłości jest podobne; ale koryto, którem popłynęły myśli Krasińskiego jest inne. On przedewszystkiem jest filozoficzny, a nie jest mistyczny. Może się to wydać dziwnem, skoro dotąd mówiąc o Krasińskim, posługujemy się niebacznie tem słowem; przecie nie można nazwać mistykiem człowieka, który do swoich przekonań rozumowaniem logicznie dochodzi, i rozumowo niemal syllogistycznie ich dowodzi. Powtóre, nie można nazwać mistykiem takiego, który we wszelkiem działaniu ludzkim wolę i łaskę bożą przypuszcza i widzi, ale który właśnie nie przypuszcza i nie wygląda jej działania wyjątkowego, anormalnego, cudownego. Cudem jest cały byt i rząd świata, ale to cud, ujęty w prawa i reguły; a wszystko co się pod tym rządem dzieje jest skutkiem wolnej woli ludzkiej tyle, ile łaski bożej. Wszystko musi się dziać zasługą. Wszystko, co lepsze, musi być wysłużonem, wypracowanem. Z tego wynika, że na polu wypadków politycznych także, naturalny bieg rzeczy musi iść swoim powolnym torem, a nie skokiem, ani cudem, czyli bezpośrednią interwencją mocy i łaski bożej.

Dalej, pod względem religijnym, Krasiński nie oczekuje ani przypuszcza nowego objawienia. To, co nazywa epoką Ducha św. w dziejach ludzkości i w dziejach Kościoła, to ma się zasadzać na lepszem rozumieniu i na wykonaniu praw Chrystusowych. Istota religii ani ma, ani potrzebuje, ani może się zmienić. Organa ludzkie Kościoła mogą w przyszłej epoce dojść do lepszego rozumienia i pełnienia woli bożej, ale

Kościół jako taki zostaje czem jest, i zmienić się nie może.

Dalej, nie próbując sądzić i sprawdzać axiomatów Krasińskiego, stwierdzić w nich trzeba dwa pierwiastki widoczne: szlachetną wzniosłość uczucia i myśli w treści, a wielką ścisłość i trzeźwość rozumowania w dowodach. Czy istota i stosunek trzech osób Trójcy Bożej są takie jak on myśli, czy przyszłe życie człowieka jest takie jak on sobie wyobraża, sprawdzić nie możemy; nie możemy też wiedzieć, czy przyszła epoka historyi będzie taką, jaką według niego być powinna; ale to wiemy, że takiej pragnie, że takiej się spodziewa, taką pojmuje, wszelki umysł rozumny a kierowany zdrowem sumieniem i chrześcijańskim pojęciem życia. To też widzimy, że jego filozofia, prawdziwa czy mylna, jest filozofią w istotnym znaczeniu tego słowa. Obejmuje wszystkie główne przedmioty i zagadnienia ludzkiej myśli, i wszystkie określa, na wszystkie odpowiada, za pomocą jednej zasadniczej prawdy, która we wszystkich zjawiskach jest, tylko w innych formach i postaciach. Nie wchodząc w to, czy ta prawda jest dobrze i trafnie znaleziona, odkryta, nie można zaprzeczyć, że przeprowadzona i dowodzona jest dobrze; że Krasiński nie stosuje i nie naciąga zjawisk i faktów do wymyślonej dowolnej teoretycznej doktryny, ale że zasadę swoją rzeczywiście w zjawiskach i faktach znajduje, i z tych ją wywodzi. Trafny czy mylny, system jest w jego filozofii całkowity, wyrobiony, przedstawiający mało (jeżeli jakie) szpar i szczelin w swojej budowie.

Chwila, w której Krasiński doszedł do zbudowania i wykończenia tego systemu, była w jego poetycznym zawodzie bardzo ważną, stanowczą i zwrotną. Poezya dotąd allegoryczna głównie, staje się odtąd dogmatyczną, politycznie dydaktyczną i otwarcie tendencyjną, przez to politycznie okolicznościową, jeżeli

się tak można wyrazić. Było w tem niewątpliwie niebezpieczeństwo, a poniekąd szkoda dla jej poetycznego charakteru. Ale wynika to tak logicznie i koniecznie z całego stanu narodu, ze stanu literatury, i wreszcie z usposobienia tego poety, że inaczej być nie mogło. Od chwili, jak sam doszedł do tego co miał za pewną prawdę, wyciśniętą z samej głębi istoty i historii ludzkiej, za prawdę zbawczą dla swego narodu, za wskazówkę wiodącą go na drogę lepszej przyszłości, nie mógł on nic innego chcieć, nic innego robić, tylko tę prawdę ogłosić, ten drogowskaz wśród naszych błędnych manowców postawić.

II.

Traktat o *Trójcy w Bogu i Trójcy w człowieku*. Jego historia. Jego treść. Jego znaczenie. Porębowicza *Tryady Krasińskiego*. Adama Krasińskiego *Poeta myśli i Dzień Ducha Ś-go*.

Przez długie lata te kilka kart w liście posłanych obejmowały najwyraźniejszy i najdokładniejszy wykład filozoficznych pojęć Krasińskiego: do nich, jako do podstawy i źródła wypadało się odnosić kiedy chodziło o zrozumienie lub wyjaśnienie czy *Trzech Myśli*, czy *Przedświtu*, czy *Psalmów*. Ale dziś jest inaczej. W drugim tomie zbiorowego (Iwowskiego) wydania dzieł Krasińskiego z roku 1904, wyszedł traktat o *Trójcy w Bogu i o Trójcy w człowieku*.

Traktat ten powstał, lub stopniowo powstawał (w Monachium) w roku 1840 i 41, skoro w końcu 1841 już autor przesyła jego streszczenie, przynajmniej jego niektóre ustępy. Dlaczego nie ogłosił go zaraz, ani później? Rzecz niewiadoma. Na domysł tylko można przypuszczać, że nie był zupełnie pewny prawdy tych swoich myśli, nie zupełnie o niej przekonany: z tego samego powodu może w dalszych latach Tra-

ktatu nie dokończył. Pewne jest to, że w liście z roku 1854 poleca Jerzemu Lubomirskiemu, iżby po jego śmierci »przejrzał i zbadał« ślady jego myśli, jakie się znajdują, a »jeżeli w nich znajdziesz co heretyckiego, »to wyrzuć. Będiesz mógł o to naradzić się z Kajsiewiczem¹⁾«.

Zaledwo rok upłynął od śmierci poety, a już jego przyjaciele, Lubomirski i Włodzimierz Czacki spełnili jego polecenie. 7-go Maja 1860 księża Kajsiewicz i Semeneńko podpisują list, w którym oświadczają, że nie należy ogłaszać rękopisu poddanego pod ich sąd. (List drukowany w »Objaśnieniach II-go tomu Zbiorowego wydania z roku 1904). Oświadczają że Traktat o Trójcy nie zgadza się z nauką Kościoła w pojęciu Łaski, w pojęciu stosunku trzech osób Trójcy ś-tej: skutkiem tego także w pojęciu posłannictwa Jezusa Chrystusa i naszego odkupienia: wreszcie, że ma w sobie niektóre pierwiastki panteizmu, i może do niego prowadzić. Mówią dalej, że Traktat był pisany w latach przejścia, walk wewnętrznych, kiedy w późniejszych swoich dziełach Krasiński zgadza się zupełnie z wiarą i nauką Kościoła. Z tych powodów sądzą, że tak ze względu na treść, jak na pamięć wielkiego zmarłego, nie należy tego pisma drukować.

Pomienieni znakomici duchowni mieli słuszość, zrobili co byli powinni, kiedy odradzali ogłoszenie Traktatu: mieli też słuszość, zrobili co byli powinni, przyjaciele Krasińskiego, kiedy poszli za zdaniem ludzi przez niego wskazanych na sędziów w tej sprawie. Ale miał znowu słuszość i dobrze zrobił wnuk poety, Adam Krasiński, kiedy ten Traktat wydał. Dla czego to zrobił, i dla czego było dobrem to co zrobił, to tłumaczy on sam w przedmowie — (*Bi-*

¹⁾ Biblioteka Warszawska, 1903. Przedmowa Adama Krasińskiego.

blioteka Warszawska, 1903). Pięćdziesiąt lat przeszło od tego czasu, ustępy o *Trójcy* i o *Żywocie Wiecznym*, wyszły już dawno w listach Krasińskiego, mogą być w ręku wszystkich. To więc co w jego pojęciach nie zgadza się z nauką Kościoła, jest ogłoszone i znane. Traktat nie zawiera nic nad to, nic innego: są to myśli te same tylko szerzej rozprawdzone. Gdyby w ogłoszeniu miało być co złego, to to już się stało, i odstać się nie może. Za ogłoszeniem zaś przemawiają dwa względy. Pierwszy ten że do dokładnego poznania i oznaczenia całego procesu myśli w Krasińskim, do formacyi jego filozoficznego systemu, Traktat daje więcej podstawy i sposobności jak pomienione dwa ustępy, bo jest obszerniejszy, bo mówi to samo ale wykłada i dowodzi wszechstronniej. Drugi zaś wzgląd jest ten, że Traktat, jak i owe fragmenta, to nie jest ostateczny rezultat do jakiego Krasiński w pracy swojej myśli doszedł, nie stanowcza już i niezachwiana (w jego rozumieniu) prawda, nie »ostateczna krystalizacja zasad i wiary poety, ale ważny i ciekawy etap »w rozwoju jego myśli filozoficznej«.

Mamy więc Traktat o *Trójcy*. Czemże on jest, i jaki? Przedewszystkiem ostrzeżenie że i on nie jest całością. Jest część pierwsza, zupełna, jest druga niedokończona. Jak miała być skończoną, i czy po niej miała jeszcze następować jaka trzecia, nie wiemy, i żadnych wskazówek nie mamy. To zaś co mamy, to jest rozwinięciem i gruntowniejszem dowodzeniem tego co już znamy z ustępów o *Trójcy*, i o *Żywocie Wiecznym*. To co najistotniejsze, najbardziej zasadnicze, podstawne: sam grunt i główny zręb myśli i wierzeń Krasińskiego o Bogu i o człowieku, o ich stosunku, o przeznaczeniu człowieka, i ludzkości, o drogach jakimi człowiek i ludzkość do swego przeznaczenia dąży i dochodzi, to we fragmentach i w Traktacie przypada do siebie zupełnie, jest takie same.

Jest więc w Trójcy Bożej Łaska, Rozum, i Miłość: w człowieku ciało, dusza (świadomość) i Duch (który z Bytu i myśli wyniknął), a dąży bez końca, wiecznie do swego dopełnienia, do coraz wyższego stanu. Trzy osoby Trójcy udzielają się sobie bezustannie, w tem złączeniu bezustannie działają, stwarzają. Jedna z nich, żeby cel stworzenia, człowieczeństwa, osiągnąć i spełnić, musiała się wcielić, stać się człowiekiem: przez to stała się Zbawicielem i Odkupicielem. Celem duchów ludzkich (indywiduów) jest Żywot wieczny, zbliżenie się do Boga, jednoczenie się z Bogiem, przez coraz doskonalszą miłość, przez wyrabianie w sobie coraz wyższego stanu. Drogą w tem dążeniu, i wzorem, jest Jezus Chrystus, i jego żywot. Po śmierci ciała ten obowiązek i trud dążenia, doskonalenia się, nie ustaje: owszem ciągle trwa tylko w innych jak na ziemi warunkach. Dusza bez ciała oderwana od rzeczywistości, musi być bierną: pragnie i tęskni, ale nie może działać. To jest co nazywamy czyśćcem: a ten ma swoje nam nieznanne formy i rodzaje cierpienia i dążenia. Obszernie mówi Krasiński jak rozumie, jak sobie wyobraża ten czyściec. W nim każda dusza z osobna pracuje na swoje podniesienie, dopełnienie: ale nie może do niego zupełnie dojść, dopóki na nowo nie złączy się myśl z bytem, dusza z ciałem: potem dopiero następuje żywot wieczny wszystkich duchów już zupełnych, wyrabiających z siebie coraz wyższe żywoty, »stwarzających wieczne niebo w niebie«: zachowujących wiecznie swoją osobistość, nie zlewających się w Wszech-ducha, w Boga.

Celem człowieka jest żywot wieczny; ale dla ludzkości żywota wiecznego niema, jej cel i kres musi być tu na ziemi. Jakież więc być może? Jest nim królestwo Boże na ziemi, czyli uszlachetnieniem rodu ludzkiego do miłości Boga, do miłości między ludźmi, do zupełnej i dobrowolnej zgody i harmonii.

To doskonalenie, to podnoszenie się wyżej, musi się odbywać w ludziach, coraz liczniej i coraz silniej: przez ludzi w narodach, w społeczeństwach. Dopiero kiedy te będą przejęte poczuciem sprawiedliwości względem innych, miłości, da się urzeczywistnić cel wszystkich, królestwo Boże. W dziejach ludzkości jest także troistość, jak w Bogu, jak w człowieku. Starożytność to sam byt: era chrześcijańska to rozterka i walka między bytem a myślą, między naturą a sumieniem: z ich połączenia, pogodzenia, wyjdzie epoka trzecia, epoka miłości, »dzień Ducha świętego«.

Dotąd część pierwsza. Jej początek i koniec jest wzięty niemal dosłownie z fragmentu o *Trójcy* i o *Żywocie Wiecznym*. Dotąd był człowiek, jego istota i jego przeznaczenie. W części drugiej jest Ludzkość.

Dzieje ludzkości mają także swój wzór w żywocie Zbawiciela. On przed zmartwychwstaniem i wniebowstąpieniem musiał przejść przez mękę i śmierć: w ludzkości także musi się powtórzyć męka i śmierć zanim ona się podniesie do wyższego bytu, do swego ostatecznego celu. Jakaś jej część musi przejść przez mękę i przez utratę swego zewnętrznego materialnego (politycznego) życia. Ta część (ten pewny naród) musi mieć piękną przeszłość i zasługi, musi mieć wrodzoną zdolność poświęcenia; może przytem mieć brak zmysłu rzeczywistości. Przez to doprowadza się do utraty swego bytu. Ten stan niebytu, ten brak ciała, jest tem czem dla duszy ludzkiej jest czyściec. Ten naród pragnie, tęskni, z pragnienia i tęsknoty znowu wpada w błędy praktyczne: ale dusza w nim żyje, i pomimo cierpienia i błędów podnosi się do lepszej świadomości siebie. A gdy dojdzie do zupełnego rozumienia swego stanu, i obowiązku jaki ten stan na niego nakłada, wtedy może sam w sobie już wyrobić pierwiastki i warunki wyższego bytu, usposobić się do złączenia duszy z ciałem, i stać się dla innych wzorem i przewodni-

kiem do królestwa Bożego, do ostatecznego celu ludzkości na ziemi.

Który to naród? Przeszłość i terażniejszość odpowiadają na to pytanie. Ale gdy tą odpowiedź dał w krótkich słowach, chce i obiecuje Krasiński dowieść jej rozumowaniem i faktami. Do tego ma służyć charakterystyka trzech wielkich plemion zamieszkujących Europę. W plemienu romańskim jest pierwiastek fizycznego bytu: w germańskim przeważa pierwiastek myśli. Plemiona słowiańskie noszą w sobie warunki równowagi tych dwóch pierwiastków. Ze Słowiańszczyzny — (a w niej z Polski) — »przyjdzie rozświecenie religijne, dzień obiecaney przez Chrystusa »pociechy, dzień Ducha świętego«.

Takie zestawienie trzech plemion robił Staszyc w *Myślach o Równowadze Europy*, Mickiewicz w *Kursach*. Krasiński zapowiedział tę przyszłą rolę Słowiańszczyzny, miał ją udowodnić, ale w tem miejscu urwał swoją pracę. Końca brak.

Słusznie mówi wydawca, wnuk poety Adam Krasiński, że »Traktat daje klucz do filozoficznego poglądu »poety: dla zrozumienia *Trzech Myśli, Niedokończonego Poematu*, zarówno jak późniejszych *Psalmów* »i *Resurrecturis* jest arcyważnym«¹⁾. Jest to najzupełniejszy jaki mamy skład, i wykład, jego pojęć o Bogu i o człowieku, o dziejach i przeznaczeniach Ludzkości. Wszystkie części składowe, wszystkie pierwiastki i rysy główne tych pojęć, od *Syna Cieniów* aż do *Psalmów* i *Resurrecturis* znajdują się tu, jeszcze cokolwiek zmieszane, nie zupełnie od siebie oddzielone. Jest to więc nietylko zbiór jego pojęć, ale zarazem historyczny skład czy pomnik przemian i kolei jakie te pojęcia przebywały.

Każdy wiersz, każda myśl czy *Syna Cieniów* i *Ligenzy*, czy *Przedświtu*, czy *Psalmu Wiary* i *Na-*

¹⁾ Biblioteka Warszawska. 1903. *Słowo wstępne*.

dziei, tu ma swój komentarz, swoje tłumaczenie, swój wyraz prozaiczny: a z tą pomocą wszystko co w dziełach mogło się wydawać trudnem do zrozumienia, cały sposób myślenia poety, staje się jasnym, leży jak na dłoni. Można go uważać za trafny, albo za mylny, ale nie można uważać za zagadkowy lub nie pewny.

W tem ogromna wartość i znaczenie *Traktatu*; nie jest on skończonym, ale jaki jest obejmuje wszystkie kwestye główne, i daje odpowiedź na pytania jak Krasiński pojmował Boga, człowieka, Ludzkość i historję.

Wyżej mówiąc o *Trójcy* i *Żywocie Wiecznym* streściliśmy ten ciąg myśli Krasińskiego, i określili je podług swojego zrozumienia. Nie robimy tego przy *Traktacie*, bo między nim a tamtym fragmentem jest różnica rozmiarów, różnica liczniejszych i szerszych dowodzeń: w pojęciach samych i w głównych dowodach różnicy niema. Byłoby zatem powtarzaniem rzeczy w gruncie tej samej. Jedno wszakże dodać uważamy za potrzebne: mianowicie religijne Krasińskiego pojęcia i stanowisko. Te są stanowczo katolickie. Księża Kajsiewicz i Semenenko wskazują różnice między jego pojęciami a nauką Kościoła i teologicznymi definicyami niektórych punktów nauki: to oczywiście muszą wiedzieć i mieć słuszność. Ale jakiegokolwiek mogą być różnice, i zboczenia od ściśle prawowiernej nauki, to Krasiński w Kościele katolickim tylko widzi i uznaje prawdę. On jest kościołem powszechnym, on ustanowionym przez Chrystusa Pana: Polska dla tego (między innymi powodami) powołana jest i usposobiona do wielkiej roli w przyszłości, że w tym kościele zawsze była. W nim też jedynie dokonać się może to lepsze zrozumienie i rzetelniejsze wykonanie praw Chrystusa, które sprowadzi, bez nowego objawienia, nową lepszą epokę w dziejach ludzkości.

Ale oprócz *Traktatu* [mamy dziś i inne pomoce

do lepszego poznania i rozumienia Krasińskiego, w tem co inni pisali o nim. Mam na myśli mianowicie rozprawę profesora Edwarda Porębowicza, i dwie rozprawy ś. p. Adama Krasińskiego.

Porębowicza *Tryady Zygmunta Krasińskiego* (1900) powstały kiedy Traktat jeszcze nie był znany, nie miały więc być jego objaśnieniem: ale są niemniej objaśnieniem myśli w nim zawartych, bo są tem dla całego stopniowego rozwoju tych myśli. Autor zapytuje i dochodzi jakie myśli innych wniknęły w Krasińskiego, co on w nich zmienił i do nich dodał, co więc w jego systemie jest spuścizną po wielu umysłach, nawet po wielu wiekach, co zaś jest jego własnym.

Dowodzi więc naprzód, że Troistość jako zasada, jako podstawa systemu, zjawia się u Krasińskiego dopiero w *Trzech Myślach*. Przedtem są może jej zarody, jej pierwiastki, ale nie ustalone. Znajduje je Krasiński w Schellingu, u F. W. Schlegla, najwyraźniej, najściślej dowodzone, u Hegla. Z nimi trzema, z Heglem zwłaszcza, schodzi się *Syn Cieniów*. Na to przychodzą *Prolegomena* Cieszkowskiego. Uczucie patriotyczne, widok otwarty na przyszłość narodu, każe Krasińskiemu uchwycić z rozkoszą i z mocną wiarą podział historyi na trzy epoki: odtąd zaczyna się jego ustalona filozofia historyi oparta na tym podziale, na trzeciej epoce dziejów, która będzie spełnieniem przeznaczeń ludzkości.

I odtąd troistość we wszystkim: w Bogu jako Moc, Rozum i Miłość; w człowieku jako Byt, Świadomość, i Wola, jako Ciało, Dusza i Duch. To pojęcie zjawia się już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, przybiera różne formy, odmiany, zboczenia: dochodzi do wieku XIX, do Schellinga, do Lammenais, do Novalisa.

Trzy epoki dziejów ludzkości tkwią w *Ewangelii*

Wiecznej opata Joachima de Floris, przechodzą przez Campanellę, przez Vico, przez Jakóba Böhma, dochodzą do Schellinga, do Goerresa, do F. W. Schlegla w Niemczech; we Francyi do wielu, między tymi do Micheleta.

Krasiński z tych wszystkich poprzedników przejmuje coś, z każdego wyjmuje coś co ma za prawdę, co mu służy do uformowania i do oparcia jego systemu, jego wiary. Tą wiarą jest królestwo Boże na ziemi jako cel i kres historyi, a powołanie i przeznaczenie Polski do wskazania tej drogi, do wejścia na nią i wprowadzenia na nią innych. »Ta prawda szukana» przeszła całą skalę kształtów ewolucyjnych, a każdy »wyrażał się motywem odmiennym, każdy miał godność» i wagę i zasługę czynu patriotycznego, podniesionego, »jak modlitwa na wyproszenie łaski Bożej, posłanego» jako przestroga, jak zakłęcie, tym których prawem »było zmartwychwstanie, jeżeli je wysłużyć potrafią«. Te różne kształty myśli Krasińskiego i ich wyrabianie się, wykazuje prof. Porębowicz na dziełach, od *Niedokończonego Poematu* do *Psalmu Dobrej Woli* i do *Resurrecturis*.

Adama Krasińskiego *Poeta Myśli* (Biblioteka Warszawska 1901) pisany jest na podstawie listów do Reeva, kiedy one właśnie były w druku. Jest to psychologia Krasińskiego, jego wizerunek, jakim był w latach genewskich po wyjeździe z Warszawy, podczas wojny roku 1831, i później do wyjazdu: czyli w czasie cierpień i wstrząśnień wyrabiających myśl i duszę przyszłego wielkiego poety. Źródło, podstawa poznania, była i pewna i obfita bardzo: młody autor studyum czy wizerunku miał z czego poznawać swego dziada: ale też umiał go poznać, i potrafił dać poznać. W rzędzie prac zwróconych do stanu duszy Krasińskiego, nie znamy żadnej któraby tak głęboko i bystro wnikała we wszystkie skrytości i fałdy tego stanu. Ana-

liza wszystkich pierwiastków składających uczucia i myśli, stopień każdego, ich połączenie w różne kombinacje, wykonana jest znakomicie: a z niej wychodzi dopiero całość, postać tego młodzieńca cierpiącego srodze, noszącego w sobie bogate kopalnie, skarby, mądrej myśli i potężnego uczucia. Żadnego panegiryzmu przytem: jest cześć, jest podziwienie, ale jest zmysł krytyczny, i mówi otwarcie, szczerze. Autor rozróżnia doskonale (w każdym z osobna wypadku czy piśmie), poważną myśl a dziecinne myślenie, jak się wyraża: sledzi i wskazuje wpływ wyobraźni i nerwów na uczucia, stąd przesada w jego wyrazie czy wybuchu.

Natura Krasińskiego, jako człowieka, i natura jego talentu, jest uchwycona i oddana doskonale. Nie najmniej ważne, owszem szczególnie ważne, jest wykazanie przemian w człowieku i w talencie, w następstwie czasu. W listach i w pismach śledzi autor zasadnicze pierwiastki późniejszego systemu Krasińskiego i tłómaczy te kształty zmienne, przechodne, jakie one przybierają, zanim doszły do zupełnej swej dojrzałości. Ustęp ostatni rozprawy, to już nie pierwsza młodość poety i proces jego formacyi, to rzut oka w lata późniejsze, na całość poetycznego zawodu, na ostatni rezultat ciężkich trudów myśli, na indywidualność wyrażającą się silnie w całym dziele Krasińskiego, od młodości do śmierci. Do jego zrozumienia, do jego znajomości, przybyła nam z tą rozprawą pomoc wielka.

Dzień Ducha Świętego — (Biblioteka Warszawska 1903), to jest komentarz do Traktatu o *Trójcy*, to jest wykład filozofii Krasińskiego. Znowu najobszerniejszy i najgrutowniejszy, jaki posiadamy. Był on, i bardzo dobry, bystry, prawdziwy w *Tryadach* Porębowicza: ale ten jest zupełniejszy. Jedno jest jak wskazuje

Zygmunt Krasiński II. 7

zanie lub streszczenie; drugie jak rozwinięte przedstawienie i dowodzenie.

Jak idea Krasińskiego, jak jego nadzieja i wiara w lepszą przyszłą epokę, w dopełnienie i »wzrost objawienia« Chrystusowego, wyglądały przed wiekami, jak się w ciągu wieków kształciły? Chodzi o związek filozofii Krasińskiego ze wszystkimi poprzednikami. jakich ona mieć mogła.

Korzenie tkwią bardzo głęboko. Już u 3-go Pawła znajduje autor wskazówki podobnych obietnic czy nadziei. Z niej wychodzą Gnostycy. Wyraźnie zaznacza święty Augustyn (*de Civitate Dei*). Ciągnie się dalej, miesza się z filozofią neoplatońską, chyli się do herezyi, u Erigeny, Abelarda, Arnolda z Brescii. Troistość występuje u wszystkich prawie, ale nie wyraźnie: śmiało, stanowczo, z wielką pewnością siebie u Joachima de Floris. Ten zapowiada i przepowiada trzecią epokę Ducha 3-go, Kościół Miłości: Dante mieści go między prorokami, przejmują się jego nadzieją Franciszkanie. Do herezyi doprowadzają ją Waldensowie, Katarowie i t. d. Mikołaj z Kuzy widzi w historii oddalenie od Boga, coraz dalsze, coraz bardziej zasadnicze: ale za tem oddaleniem pójdzie dążenie do zbliżenia, do pojednania i połączenia z Bogiem, a to będzie kresem dziejów ludzkości, spełnieniem jej przeznaczeń.

W czasach humanizmu, w czasach reformacyi, nie odzywają się te pragnienia i nadzieje: odezwą się później, ale już nie w formie prostej pobożności, tylko w formie mistycznej (Jakób Böhme): i od końca XVIII wieku, w formie filozoficznej.

U Fichtego stworzenie jest objawieniem świadomości Bożej; Chrystus łączy w sobie świadomość boską i ludzką. Byt i wiedza w świadomości tej spływają się w jedność. U Schellinga natura dąży do podniesienia i wyzwolenia, przez coraz wyższe formy bytu zbliża się stopniowo do Boga, w którym jest jej po-

czątek a będzie jej koniec: ewolucya stworzenia ku stwórcy. Stworzenie dąży stopniowo od nieświadomego do świadomego bytu, odbywa nieustanny i konieczny wzrost. Dzieje w całości swojej są »stopniowo« rozwijającym się objawieniem. Celem stworzenia jest »powrót do Boga a w tym spełnione i skończone objawienie«. Rozróżnia Schelling wieki siły fizycznej, wieki prawa moralnego (a w nich walka złego z tem prawem). Złe będzie zwyciężonem, zniknie w następnym objawieniu, w Królestwie Bożem. W kościele rozróżnia Schelling trzy stopnie rozwoju, epokę ś-go Piotra, ś-go Pawła (obecną), i przyszłą ś-go Jana.

Każdy dojrzy i pozna, jak wiele myśli podobnych, blizkich, jest w *Trzech Myślach*, w *Niedokończonym Poemacie*, w *Przedświcie*, i w *Psalmach*.

W Krasińskim, jak w Cieszkowskim, więcej jest wpływu Schellinga, jak Hegla: choć jego sposób rozumowania, jego zasada i formuła Tezy, Antytezy, i Syntezy, jego ewolucya Ducha i jego poznawanie się w życiu świata, wreszcie jego pojęcie Trójcy, niezaprzeczenie działały na Krasińskiego i utkwily w jego myśli.

W ostatnich rozdziałach swojej rozprawy nie pyta już Adam Krasiński o stosunek Zygmunta do poprzedników, ale stawia śmiało i rozwiązuje pytanie stosunku Wiedzy do Wiary. »Kościół jako z Bożej mocy, »ale w ludzkich dziejach założona społeczność, musi mieć ludzką i jawną sposobność wyrokowania o prawdzie myśli: a tą jest sumienie św. Pawła, wyrażone »w słowach jego władzy«... Jeżeli w miejsce sumienia kościoła podstawimy sumienie człowieka, albo sumienie ludzkości, nastąpi koniecznie samowolne odcięcie części od całości, fakt, który od Wieży babilońskiej kruszy i rozkłada jedność i spójnię. Ta jedność i spójnia trwa w kościele przez moc i pomoc Ducha świętego. Ztąd nasz obowiązek posłuszeństwa, obowiązek

poddania ludzkiego indywidualnego sądu czy sumienia pod sąd i sumienie kościoła. Z przeciwnego założenia wychodzi protestantyzm, wychodzą wszystkie herezye: nie przypuszczają, nie rozumieją omyłności i zmienności sądów i sumień ludzkich, wnikającej z ograniczenia ludzkiej natury. Kościół nie przeczy, ani nie zabrania badania prawdy i dochodzenia do niej rozumem: owszem do niego zachęca: ale to dochodzenie, nigdy zupełne, zawsze tylko dorastające, nie może być pewną niezmienną raz na zawsze znalezioną prawdą. Dlatego »wypowiadać posłuszeństwo władzy kościoła, »we wzniosłem imieniu Łaski i Miłosierdzia Bożego »i wolności ludzkiej, herezyą jest z ducha omyłności »poczętą«.

Taką była nauka Towiańskiego, protestantyzm uczuciowy, w przeciwieństwie do rozumowego niemieckiego. »Zygmunt Krasiński był na tej drodze, ale »nawrócił... To co w rozumowaniach i wierzeniach »było u niego — (i u Cieszkowskiego) — ludzkim »i niepewnym, to odpadnie, a pozostanie jasna moc, »która zawsze wzwyż się garnie, ta, która nas łączy »w Panu, i dziećmi bożemi czyni«.

Tak określa wnuk Krasińskiego stosunek jego nauki do nauk i myśli podobnych w ciągu wieków: i stosunek jej do kościoła katolickiego. Tą swoją pracą oddaje ogromną usługę tym wszystkim, którzy chcą lub będą chcieli Krasińskiego znać i rozumieć. Po dziś dzień nikt im tak do tego nie pomógł, nikt lepiej filozofii Krasińskiego nie wytlómaczył.

III.

Koniec roku 1840. Wiersze miłosne i patryotyczne. Zima w Rzymie. Wyjazd w usposobieniu ponurem. Pobyt w Karlsbadzie. Przyrzeczenie ożenienia się. Falszywe położenie. Jesień i zima w Monachium. Oczekiwanie nowej epoki. List do Słowackiego o Towiańskim. Początek zmiany w ich przyjaźni. Choroba i śmierć Danielewicz. Pobyt w Szwajcaryi. Wiersz Fryburg. Początki *Przedświt*. Spotkanie z Gaszyńskim. Zima w Rzymie. *Przedświt* w druku. Wyjazd z Rzymu na ślub. *Przedświt* wydany.

Zostawiliśmy Krasińskiego w jesieni roku 1840 w uniesieniach namiętnej i szczęśliwej miłości. Stanisław Małachowski mówi (*Krótki rys życia i pism Z. Krasińskiego*), że późnem latem, w drodze ze Szwajcaryi do Włoch, przebywał Krasiński dłużej w miasteczku Varenna nad jeziorem Como, że »pięknosc miejsca, zdrowie lepsze, i stan umysłu sprzyjający, wzbudziły też silne poetyczne natchnienie. »Tam wziął początek *Przedświt*«. A więc zapytanie: »Czy pamiętasz nad Alp śniegiem rozwieszzone Włoch »błękity«, odnosi się do tych paru (czy kilku) tygodni spędzonych wtedy »nad jeziora włoskim brzegiem«. Ale choć zbierają się już wrażenia na *Przedświt* i dojrzewają myśli *Przedświtu*, to do niego jeszcze dość daleko. Miłość tymczasem panuje w sercu poety i odzywa się potężnemi, wspaniałemi tonami.

Z Sorrento datuje on swoje listy we wrześniu roku 1840 — tam więc zapewne odezwała się ta pieśń szczęścia, wybuchnął ten szal natchnienia, który się zaczyna od słów:

»Ja was wyzywam, duchy i anieli«.

Nigdy — przynajmniej nigdy w poezji polskiej — miłość nie była dumniejszą z siebie i ze swego szczę-

ścia, nigdy nie uderzyła w taki ton tryumfu, nigdy nie powiedziała tak śmiało, że gdzie ona jest, tam samo nieszczęście i cały ucisk świata traci swoje prawo, bo ona ma moc przetworzenia świata, stworzenia szczęścia, choćby na samem dnie rozpacz. To jest miłość, która tę swoją moc czuje, która się jej przygląda z rozkoszą, która na nią liczy z pewnością; urąga cierpieniu, bo nad niem panuje — urąga tym, co cierpieć nie mogą, bo nie mają nad czem panować.

I dalej tym samym tonem tryumfu dowodzi im, że niema im czego zazdrościć, choć na smutnej ziemi żyje, bo może kochać, bo kocha, a wtedy

Duch mój cierpi, lecz do was dosięga
I wdzięczniej Bogu za chwilę dziękuję,
Niż wy — gwiazd pany — za szczęście wieczności!

Równego wyrazu miłości wszechwładnej, sobą szczęśliwej i na sobie przestającej, miłości, która staje się wszystkim, miłości absolutnej, namiętności dochodzącej do ideału, jeszcze raz, w naszej poezji podobno niema.

Znana jest Krasińskiego skłonność do fantazywania o swojej własnej śmierci. W listach często odzywa się to niby przecucie; w poematach, w *Ostatnim*, w *Dniu dzisiejszym* grało ono swoją rolę przy tworzeniu. Z tego uczucia, z tego wyobrażania sobie swojej śmierci (lub tego co będzie po jego śmierci) powstały znowu dwa wiersze do kochanki. Jeden, późniejszy, z r. 1841, bardzo ładny, daje jej tylko pogrzebowe polecenia, przykazuje, jak go ma pochować, jakie na grobie zasadzić

Italskie mirty, podalpejskie dalie,
I borów polskich pamiętkę konwalię —

ale drugi (z roku 1840), *Po śmierci*, powstał z dziwniejszej i bardziej fantastycznej myśli. On umarł,

ona została sama, i wieczorem, piętrami ciemnego ogrodu schodzi modlić się i dumać; staje w żałobie, jak posąg, a wtedy duch jego przyjdzie, będzie tuż koło niej, a tem nieszczęśliwszy, że ani jej się objawić, ani do niej przemówić nie może.

Ty mnie nie słyszysz, choć jestem przy tobie,
Ty mnie nie widzisz...

Proszę się duchów, archaniołów, Boga,
Bym mógł raz jeden objawić się tobie.

Lecz darmo proszę...

I smętny wracam w niebieskie tortury,
W nieskończoności pusto mi jak w grobie

I w przepysznych, coraz pyszniejszych wierszach opowiada, jak całe niebo ma za nic, dopóki musi

Ciebie jednej czekać.

Znowu jedno z najwyższych natchnień naszej poezji miłosnej; a ten kochanek, który swój byt pośmiertny marzy i opisuje, ta samotna, co stopniami tarasów schodzi do ogrodu (a którą czytelnik posądza, że spogląda i uważa, czy fałdy jej draperyi dobrze po tych stopniach spływają), budzą w pamięci przypomnienie trochę złośliwych, ale mimoto i prawdziwych i poetycznych wizerunków Fantazego i Idalii w *Niepoprawnych* Słowackiego.

Nie *Po śmierci*, ale o śmierci także ten wiersz *nad morzem na skale*, w którym poeta bliski zgon przeczuwa, ale go nie chce, wyprasza się; boi się dalszego życia, ale bardziej boi się ją zmartwić.

A jednak, jednak ja tu się zostanę —
Dopóki żyją moi ukochani.

Ale obok miłości i w samych miłosnych uniesieniach odzywają się inne pierwiastki życia tych obu dusz. On poeta, ona, organizacya niezwykle artystyczna;

rzecz najprostsza i konieczna, że rozmowy o poezji i sztuce musiały być między nimi częste. Jego poetyczny gieniusz, jej śpiew, z pewnością działały, jak potężny czar, i do tej miłości przyczyniły się wiele. Wiadomo także, jaką on ma skłonność i władzę filozoficznego rozmyślenia i dociekania. Ztąd oczywiście powstał wiersz, który, ile wnosić można, miał podług jego zamiaru wyklądać jej naturę i istotę ducha, ale zarazem i tajemnicę poetycznego czy artystycznego tworzenia, tę operację, ten proces, który się w duchu poety przy tworzeniu odbywa:

Myślałem nieraz — przez znak dotykalny
Wyrazić tobie ten świat idealny,
Cudowny, skryty, własny twego ducha,
Zkąd życie twoje co chwila wybucha

Zaczął, napisał wstęp, który zapowiada coś głębokiego i wspaniałego, i urwał. Czy określenie było za trudne? czy zapomniał i zaniechał? Wiersz został fragmentem, a ztąd powodem do wielkiego żalu.

Jakieżby inne wiersze do tych lat zaliczyć? Ze znaczniejszych dwa noszą datę r. 1841, jeden opatrzony tytułem *do Moskali*, drugi bez żadnego, zaczynający się od słów:

»Im dalej idę, tem się okolica
»Młodości mojej bardziej rozsmętniwa«.

Oba nie mają nic wspólnego z miłością kobiety; oba mają źródło swego natchnienia w miłości ojczyzny, tylko ta miłość przemawia z nich innym tonem, namiętnej nienawiści i pogardy. Wiadomo, że w rzędzie tych poetów, którym »indygnacja robiła wiersz« Krasiński należy do najpotężniejszych w oburzeniu. Podobny tem jest do swego wielkiego mistrza Dantego, że nigdy może jego styl nie jest tak potężnym i jędrnym, jak kiedy gromi lub gardzi; *inwektywa* ma

u niego moc wyjątkową i nieporównaną, wybija dwoma słowami piętno wiecznej hańby na miedzianych czołach, albo wali na ziemię i zakopuje nieprzyjaciela w prochu upodlenia. Wiersz *do Moskali*, poczęty w przywidzeniu końca gdzieś w więzieniu, lub na Sybirze (które to przywidzenie było u niego stałem), pisany jest dalej w tem uczuciu, które natchnęło Wallenroda, a z wyjątkiem Wallenroda nigdy może nie wybuchło silniej jak tu. Ta nienawiść nieprzyjaciela, która zostaje ostatniem i jedynem dobrem, której on strzeże jak swego skarbu i swego obowiązku, której nie oddałby za nic, ani za wszechwiedzę złego i dobrego nawet, a »sprzedałby chyba za polską koronę« — ta godność, która »hańby nie chce, a nie umie trwogi«, to jedna z rzeczy najsilniejszych, najbardziej namiętnych, jakie są w naszej poezyi. A jak w tym wierszu nienawiść, tak w drugim wybucha wściekle pogarda. Temu możnaby dać tytuł *do Lichych Polaków*, bo ich to druzgoce i miazdzy ta pogarda. Wiersz jest na hypokrytów i faryzeuszów miłości ojczyzny; hypokrytów wszelkiego gatunku, umiarkowanych jak rewolucyjnych i radykalnych, a jeden jak drugi gatunek opisany z siłą, którejby się sam Dante nie powstydział. Wspomniały jest w swojej ironii obraz tego *Cnego obywatela*, któremu na grobie położą szumny napis, a który za życia

w stutysięczne gnie się tłómaczenia,
 Że syn niewoli, dziedzic poniżenia

i

»trzos swój zabiera do trumny,
 Polsce jednego nie dawszy talarą«.

A ten sam, lub inny faryzeusz publicznego ducha

»może być cudem dla głupiej gawiedzi,
 Może być gwiazdą na studentów niebie«,

ale jest »szalbierz, matacz i oszczerca«, co »dusze ufne,
lecz mdłe i dziecinne

»wiedzie do zguby przez chętkę próżności
I bierze w zysku blask popularności«.

Nigdy satyra polityczna nie była sroższą; i nigdy może nie kreśliła podobniejszych wizerunków, które mocą stylu i natchnienia poety nabierają jakichś rozmiarów posągowych, stają się klasycznymi typami patryotycznej hypokryzyi.

Zima w Rzymie, a w ciągu tego pobytu, który się przeciągnął prawie do końca czerwca 1841 r., niema żadnego ważniejszego zdarzenia. W listach do Słowackiego, pełnych przyjaźni dla człowieka, a szczerego zapachu dla poety, najwięcej może znajdzie się w tych miesiącach zajmujących uwag o nim, lub objaśnień własnych pojęć i przewidywań.

Ale już teraz (w liście do Sołtana z 21 maja 1841 r.) pierwszy znak, że się ten stosunek z czasem zmieni, i w życiu Słowackiego wypadek, który miał do tej zmiany przyczynić się silnie: »Słowacki zakochał się wściekle w pani B... i poleciał za nią do Frankfurtu. Co też za ogrom dziwactw, szaleństw, głupstw i ciągłych sprzeczności dzieje się na świecie«. Krasiński, który dawno już przestał kochać tę, której przypisał był Irydioną, który kocha inną, nie jest zazdrosny; a jednak, jak się to później pokaże, ta nowa fantazyja Słowackiego wpłynie z czasem na zerwanie ich przyjaźni.

Ale lato się zbliża, trzeba znowu jechać do wód niemieckich na spotkanie z ojcem, a to spotkanie miało być bardzo w życiu poety stanowczem. Przeczująca on to i w tem przeczuciu na wyjeździe z Rzymu, tak pisze do Sołtana (21 czerwca):

»Gdym się o tem rozbiciu (dwóch okrętów, »Pol-luxa« i »Mongibello«) dowiedział, żałowałem szczerze,

»żem nie wypłynął z Polluxem, tak, jak zamyślałem,
»i zem nie był właśnie tym jednym, co się tej nocy
»utopił. Sądź po tem wyznaniu, jak mi różowo w du-
»szy i lekko na sercu! Choroba straszna mnie pochy-
»liła, zgarbiła do ziemi, uczyniła rzeczą martwą a smę-
»tną. Tę chorobę zaś sprawiły od lat wielu ciągnące
»się wewnątrz mnie samego walki, zapasy i trujące
»mnie zgryzoty. Pókim mógł, opierałem się czarnym,
»robaczywym myślom, którym się chciało zawsze
»i którym się nareszcie udało przeważać nad siłą du-
»cha mego. Teraz doszedłem do takiego stanu, że mi
»świat jako szeroki wydaje się pustynią, a światło sło-
»neczne krzywdą, obrazą, pośmiewiskiem. Nie chcę
»wytykać po szczególe wszystkich okoliczności i przy-
»czyn, czy to prywatnych, czy szersze koło od domo-
»wego zajmujących, które zwolna takim mnie jadem
»zapełniły, taką rdzą przedwczesną serce pokryły; po
»większej części wiesz o nich, ale czego nie wiesz
»może, to do ila mnie one rozdzierały. Reszty życia
»mego, przyszłości mojej nienawidzę. Bóg mnie do niej
»nie stworzył, a ludzie mnie w nią wpychają. Brak
»mi zupełny cnoty, największej wśród chrześcijańskich
»cnót, *rezygnacyi*; pod tym względem poganin jest
»ze mnie i zbliża się jak pogrom chwila, w której
»właśnie przez brak takowej pokory i submissyi, będę
»musiał się rozbić, zaginać, jak ów biedny Pollux, który
»nie potrafił ominąć na morzu, choć tak szerokiem,
»Mongibella, i wołał prosto płynąć, nie zbaczając do-
»stać śmiertelnym ciosem w bok, niż się zrezygnować
»do obrania drogi nieco dłuższej i krzywszej. Co tylko
»więc stanie się ze mną teraz, ty o tem słysząc, bądź
»pewny w głębi serca, że to się na moje nieszczęście
»i zgubę dzieje; niech cię pozór ni blichtr żaden nie
»ludzi. Odtąd droga moja ,wikłać się i gmatwać za-
»czyna pod mojemu stopami, odtąd nie będę już w zgo-
»dzie z sobą samym, ale rozdwojony i przy poczuciu

»się do tego rozdwojenia dążący, by jak najrychlej to »tragiczne *fatum* zakończyć. Wszystko co tu mówię, »głębi duszy i rdzeni serca twego poruczam; nikt inny »niechaj nie wie o tych moich bólach i o srogich »przeczeniach. Od dwóch miesięcy codzień Boga go- »rąco o śmierć błagam, bo chciałbym umrzeć przed »dotknięciem się świata; rzeczywistość albowiem jego »taka brudna i skalana, że ten tylko białe ma ręce, »kto zdołał się na niej nigdy nie opierać. Unieśćbym »chciał siebie samego niepokalanym ztąd do wie- »czności«.

W trzy dni po tym liście, 24 czerwca, wiersz jak żeby na finał szczęścia — (nie miłości) — wiersz, w którym poeta spowiada się niejako przed Bogiem ze swoich uczuć i prosi, żeby mógł zostać dla swojej ukochanej tem, czem jest, czem być powinien.

»Niech rząd dusz ludzkich innym się dostanie,
Ja jedną tylko chcę zbawić na ziemi,
Tę jedną tylko, co gdy skonam — skona.

Zkądże ten smutek cięższy niż zwykle? co się stało lub stać ma, że on chciałby z rozbitym okrętem być gdzieś na dnie morza? Ma się stać to, że przybliży się, co on od lat wielu od siebie odpycha; że ojciec nalega, błaga, zaklina, by się wreszcie ożenił; że trzeba będzie albo mu ustąpić, albo ból wielki zadać, może z nim zerwać. Z listu do Sołtana (Monachium 24 września 1841) pokazuje się, że w ciągu tego lata, w Karlsbadzie czy w Teplitz, Krasiński musiał dać ojcu przyrzeczenie, że się ożeni. Nie do czego innego odnosić się mogą słowa następujące:

»Zapewnie słyszał już o moich błędnych podróżach »do Karlsbadu i Teplitz, niech ci w tym względzie wieść »publiczna gada o mnie, bo ja nie zdołam. Pomówić- »bym mógł, mową w pobliżu wytłómaczyłbym ci wiele »rzeczy; pismem, zdaleka, nie sposób, a przedmiot pe-

»łen wstrętu dla mnie. O jedną łaskę cię błagam: listy,
»które teraz będę pisał do ciebie, na miłość Boga niech
»u ciebie zostaną na zawsze w tece i niczyim uszom
»słyszalnemi nie będą. Jeżeli mi tego święcie nie przy-
»rzeczesz, stary a zacny przyjacielu, to nie będę ci
»mógł serca pękającego wylać, obryzgami krwi jego
»cię okryć, bo pełno uszów czyha teraz na każde słowo
»moje; lada jakie może zaszkodzić, wprowadzie nie
»moim celom, ale tym, które podzielić, których ucze-
»stnikiem być się podjąłem, a więc jak gdyby i moim.
»Rozpacz ojca, zwałtłone jego zdrowie, zmusiły mnie!
»Nie miałem czem sił i życia mu dodać, jedyne to le-
»karstwo było dla niego. A więc? cóż było robić?
»Czyż ojca zabijać? I tak już tyle rąk go zabijało!
»Czyż i z mojej dłoni ostatnie, najgłębsze cięcie miało
»paść mu na serce? Nie, Nie! Gdym ujrzał, że dopra-
»wdy tem tylko ratować i krzepić go mogę, westchną-
»łem ciężko, alem postanowił siebie zabić, jeśli mnie
»co zabić zdoła, a jego wskrzesić, jemu radością życia
»naddłużyć! Takie dzieje moje, nic innego w nich nie
»szukaj. Zresztą wszystko obmierzłem mi jest, wszy-
»stko tam, gdzie moje kroki stąpają, gdzie kształt per-
»sony mojej się obraca; a duch mój i serce, to skryte
»własności moje, nieodebralne, nienakierowalne, wol-
»ne, swoje, które nigdy nie przestaną żyć, jak żyły,
»i być czem je Pan Bóg stworzył. Przeczuwałem już
»to, co mi się stać miało, kiedym wiosną z Rzymu,
»jakby z trumny, smętny do ciebie list pisał; wiedzia-
»łem, że mi się życie łamie, że mi się droga z pod
»stóp wycofywa, i że dni przyszłości pełne są gorzko-
»ści dla mnie. Darmo Adamie! Mógłbym jeszcze i tu
»powtórzyć, że przeczuwam koniec nieszczęśliwy; ale
»na co skarg tyle, znasz mnie i z tych słów kilku wy-
»badasz całą iściznę duszy mojej«.

Jest to dopiero przyjęte zobowiązanie jego wzglę-
dem ojca; niema nietylko przyrzeczenia ze strony dru-

giej, ale najmniejszego oświadczenia, najmniejszej pewności, że oświadczenie będzie przyjętem. Zatem na rozpacze jeszcze zawczasie. Można jeszcze nie być przyjętem, można się starać tak, iżby przyjętem nie być. On tymczasem rozpacza, ale postanawia się starać i żenić; a przez to robi początek fałszywego dręczącego położenia, w jakie, wyznać trzeba, wszedł nie bez swojej winy. Kollizya była bardzo bolesna i trudna, to prawda; trzeba było poświęcić albo ojca, albo siebie i kobietę, którą kochał. Ale jedno z tych poświęceń było koniecznem, bo te dwie miłości i powinności pogodzić się nie dały. Krasiński miał wybór albo oprzeć się ojcu, a zostać wiernym kochance, albo wyrzec się jej i swego szczęścia, i ożenić się. Na jedno z tych poświęceń on powinien się być zdobyć, a jedno, jak drugie, powinno było być zupełnem. Tej odwagi, tej mocy nad sobą Krasińskiemu zabrakło; i to rzecz najdziwniejsza i najsmutniejsza zarazem w jego życiu, najtrudniejsza do pogodzenia z jego sumieniem. Nie miał serca zmartwić ojca; ale nie miał serca zmartwić kochanki, ani odwagi jej się wyrzec, i między dwoma strasznie bolesnemi poświęceniami wynalazł drogę pośrednią, na razie mniej niby bolesną, na prawdę gorszą i bardziej dręczącą od tamtych obu. Ojcu uległ, ale miłości swojej się nie wyrzekł; a przez to jego wiara stała się rozdzieloną między dwie osoby. Materjalnie on jeszcze wolny, skoro przysięgi nie wykonał; ale moralnie już zobowiązany, a z chwilą kiedy to zobowiązanie przyjął, obowiązany sumieniem dawny stosunek zerwać. Tego nie zrozumiał, zrozumieć nie miał dość siły nad sobą. Wynikł z tego stosunek niezmiernie przykry, jak wszystko, co fałszywe i nieproste, niedobre. Miłość i szczęście zatrute tem rozstaniem, odłożonem, ale pewnem i niechybnem; konieczność ukrywania się i strzeżenia oczów ludzkich nie- również większa niż przedtem; nadewszystko świad-

mość nieunikniona, choćby najbardziej tłumiona i sofizmatami głuszona, że robi źle, że dał przyrzeczenie a z restrykcjami i w niezupełnie dobrej wierze. Z położeń fałszywych, w które człowiekowi zabrnąć jest łatwo, wyjście trudne; ale najłatwiejsze ze wszystkich, bo najprostsze jest to, które z przeszłością zrywa od razu, stanowczo i nieodwołalnie. Serce się przy tem rozdziera, ale droga przed człowiekiem jest przynajmniej prosta. On tej odwagi w sobie nie znalazł, nie zdołał wyjść z trudnego położenia śmiało i szczerze, szukał półśrodków, kompromisów, pojednania rzeczy nie dających się pogodzić; i zamiast z trudnego położenia wyjść, zaszedł na kręte manowce, po których deptał i błędził z coraz większem udręczeniem w labiryncie coraz gorszych sprzeczności, a z tego labiryntu nie prędko wyszedł.

Dnia 1 września datuje list (do Gaszyńskiego) z Drezna. »Potem przez kilka tygodni wałęsałem się po górach szwajcarskich... potrzebowałem być sam, zupełnie sam i wythnać« (do Sołtana 10 listopada); w listopadzie jest już w Monachium, gdzie (niespodzianie zapewne) miał zostać na całą zimę. Co go tam ściągnęło? zapewne Danielewicz, który tam jest i ma się żenić z panią Delfiną Heal-Handley, którą Krasiński nazywa wielką muzyczką i znakomitą osobą. Co go zatrzymało w Monachium? Oczywiście Danielewicza choroba, długa i zakończona śmiercią.

Ale tej zrazu nikt nie przewiduje; Krasiński skarży się tylko na swoje smutne losy, ale w przyszłość świata i Polski patrzy z ufnością coraz pewniejszą, a w terażniejszości zajmują go żywo wszystkie zwroty i objawy polskiej myśli i duszy. Lekcy Mickiewicza wywarły na nim wrażenie głębokie, tem głębsze, że były stwierdzeniem jego własnych pojęć i oczekiwań:

»O jakże chciałbym choć na godzinę mówić teraz
z tym, z którym po Szwajcaryi niegdyś podróżowa-

»łem! Ale na co? W duchu, on i ja wiemy to samo...
 »Ile razy zwracam się w przeszłość, wspomnienie
 »i miłość chwytają mnie ku niemu, obraca się myśl
 » tęskna, jak do mistrza młodości. I ja go zrazu na
 »wspak byłem ocenił; ale gdy głos jego własny do-
 »szedł, poznałem go, i wiem teraz, że on w prawdzie
 »jest«.

To oczekiwanie nowej epoki, a w niej wielkiej dla nas roli, wyraża się dobitnie w liście do Sołtana z dnia 17 grudnia 1841 r.:

»To tylko dano odgadnąć, że się coś zbliża i sta-
 »nie, bo Ojca Naszego Niebieskiego ratunek, pomoc,
 »słowo do nas, stało się nieodzownym warunkiem dal-
 »szego bytu naszego. Nasza cywilizacya przepadła, na-
 »sza epoka skazana, jeśli to, o czem mówię, się nie
 »objawi! A gdy się objawi pokaże się być prostotą
 »prostoty, anielsko-prosto-naturalną rzeczą, którą zro-
 »zumiemy zaraz, która przylgnie do nas, jakby rzecz
 »dawno już znana, tylko zapomniana, która wraca do
 »pamięci! Lecz powtarzam wszelkie duchowe objawie-
 »nie dopełnione w Synu Bożym. Teraz tylko się do-
 »wiemy, co śpi, co drzemie, co śni w okągach natury;
 »teraz zostaną podane nam sposoby, jak zastosować
 »i urzeczywieszczyć w pełni rozkazy Zbawiciela! Przez
 »tysiąc ośmset czterdzieści dwa lat pracowaliśmy, by
 »się ich nauczyć na pamięć; teraz trzeba zacząć je
 »wcielać widomie w świat! a tego bez pomocy *natury*
 »nie zdołamy przewieść. Lecz gdzie *duch* tam i siła
 »spiesz, gdzie *duch* tam i materya musi się zgroma-
 »dzać i kształt ducha przybierać! Więc ci z tych wszy-
 »stkich myśli splótłszy wiązanie na rok 1842, przesy-
 »syłam ci je jako snopek przeczucia.

»Ale że my w tem wszystkim powołani jesteśmy
 »do przywdziania na się ważnej niezmiernie roli, to
 »pewna! Zdaje się, że nas ręka Opatrzności przygoto-
 »wała do tego, byśmy skosztowawszy, co życie i co

»grób zarazem, mogli właśnie w takiej epoce wystąpić
»w pełni potęg człowieczych, z całym zapalem życia,
»z całą mądrością grobu. Jesteśmy jedynym w histo-
»ryi rodu człowieczego zjawiskiem: niewidzialni, nie-
»dotkliwi, bez ciała żyjem, a żyjem na ziemi wśród
»ciał, na świecie widowym i dotykalmym. Jest już
»w tem coś z przyszłych losów świata. Cała przeszłość
»nasza była *chaosem* przedstworzenia naszego, dlatego
»też tak mało dbaliśmy o nią, tak lekkomyślnie puści-
»liśmy się na rozproszenie i rozwianie. Był w tem ja-
»koby instykt prawdziwych przyszłych losów na-
»szych, przez próbę grobu przeszliśmy dziwnie nieska-
»zitelni na duchu. Co zdawałoby się niepodobnem do
»osiągnięcia oczom rozsądku, to my przewiedli; w tru-
»mnie przeżyliśmy śmierć, po powierzchni ziemi tym-
»czasem *dusza* nasza się przechadzała i przytomna
»była wszystkim wielkim sprawom świata! Czyż nie
»czujesz, że taki los, takie przeznaczenie coś ogromnie
»głębokiego w sobie zawiera; ale coś takiego, co ra-
»czej wygląda na przedścignienie czasów, na *zaryw*
»z przyszłego jakiegoś stanu świata, dobrze niepoję-
»tego aż dotąd, ani przez nas samych, ani przez inne
»narody.

»Jeżli bywały ludy i bywali ludzie, co palec Boga
»nosili na czole, my jego wszystkie pięć nosim na licu
»historycznem naszym! I kto się zastanowi tylko głę-
»boko i rozumnie nad tem, czem jesteśmy, ten musi
»wyznać, że kto w grobie nie umarł, kto wśród śmierci
»wyżył, przeznaczon jest i wybran na życie w przy-
»szłości, wybran pośród wszystkich, co już żyli, co je-
»szcze żyją, i dlatego właśnie starzy są i bliscy grobu«.

Ale ta zgodność z Mickiewiczem nie trwa długo.
Ten sam list, z którego przytoczyliśmy wyjątek, koń-
czy się takim zastrzeżeniem: »Nie myśl, by to To-
»wiański lub Mickiewicz na mnie wpływali, to głup-
»stwo wierutne. Nie! historyi rozważa, świata rzym-
Zygmunt Krasiński II.

»skiego analogia przed Chrystusem, wreszcie własne
»czucie, stan dzisiejszy, każe mi wierzyć i spodziewać
»się«.

Jest w tem dowód oczywisty, że Krasiński od pierwszej chwili sądził surowo Towiańskiego i jego naukę. Wyraźniejszy znajdzie się w liście do Słowackiego z dnia 27 października. Widocznie musiał Słowacki, olśniony nauką mistrza, tłómaczyć ją przyjacielowi i jego do niej nawracać. Krasiński tak odpowiada:

»W cuda wierzę zawsze i wszędzie, w *cudotwór-
»ców* prawie nigdy; nie znam zaś próżności próźniej-
»szej nad tę, która siebie uważa za konduktorkę płynu
» *cudów*. Nie pochodziż to nieco z tej urzędo-namięt-
»nostki, tyle zawsze burmistrzującej w naszych sercach?
»W Piśmie księga proroków następuje po księdze
»królewskiej, w dziejach bieżących to samo się obja-
»wiło: w sferze nibyto widomej wystąpił tytuł, urząd,
»zaszczyt, nazwa miasto rzeczy, blichtr miasto istoty,
»słowem *królewskość*; w sferze niewidomej, w ko-
»ściele poezyi, awansowano na proroków. Jestto także
»stopień, *dignitas*. I znowu tu jak tam, tytuł wprost
»rzecz samą skaził. Kształt obrócił się przeciwko tre-
»ści, wyniknęła komiczność! Co za wiek, Julu? co za
»świat? co za kolej zgubna porywająca wszystkich do
»otchłani — nie Dantejskiej, ale stokroć głębszej, bo
»stokroć dalszej od zmartwychwstań nieba, chcę mó-
»wić do otchłani śmieszności! Za dni moich widzia-
»łem dzieci ponure, dzikie, jeszcze ssące pierś mamki,
»a już recytujące wiersze Byrońskie i piszczące uste-
»czkami pełnemi mleka: »to piołun«. Widziałem pięt-
»nastoletnie dziewczynki, wołające Boga na usprawie-
»nie się przed niemi, jak Hiob niegdyś, jak Faust pó-
»źniej, i szpilkami grożące gwiazdom. Widziałem ol-
»brzymów ducha, przez czas jakiś zapełniających serca
»ludzi imieniem swoim, a potem idących na starość
»do św. Pelagii, i głupstwa, brednie, próżnostki same

»drukujących, orłów, co w słońce patrzyli, spadłych
»w staw i przemienionych na pływające pośród pleśni
»kaczki. Widziałem za dni moich, acz nie długich *zbla-*
»*żnienie wszystkiego*, i zaczyna mi smętno być w du-
»chu. Tem się jedynie pocieszam, żem, zda mi się,
»doszedł ukrytej sprężyny tych wszystkich zjawisk:
»zowie się brakiem dumy, a przesytem próżności. Jak
»cud jest rodzajem pewnym *niepracy* w naturze, pie-
»czonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki, tak
»i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą
»*chwały*, bez pracy; kiedy *duma*, wbrew przeciwnie,
»jest wieczną żądzą *chwały*, lecz za pomocą olbrzy-
»miego trudu. Kto *dumny*, ten i *pokorny* zarazem,
»a *duma* połączona z *pokorą*, stanowi wielkość czło-
»wieka. Duma bez pokory, to *próżność*; pokora bez
»dumy to podłość. Na pozór tylko sprzeczne te wła-
»dze duszy, a w istocie wielkość prawdziwa bez nich
»obydwóch obejść się nie może. *Pokora* powinna za-
»wsze objawiać się w *środkach*, a *duma* w *celu*.
»W naszej epoce brak wszelkiej harmonii między
»*dumą* a *pokorą*, przeszkadza wszelkiej wielkości. Je-
»steśmy *próżnymi*, t. j. albo mamy *pokory* śmiecie
»bez ognia dumy, albo rośniem w szum *dumy*, w pianę,
»w bryzg, w nicość, nie opierając się na głębi żadnej!
»Rozbite akordy gubią zawsze ludzi, podnoszą zaś ich
»tylko *pełne* i *pogodzone*: pierwsze są fałszem i pi-
»skiem, drugie tylko — *muzyką*! Otóż my nie w mu-
»zyce ale w fałszu, w kwasie tonów żyjem, i dlatego
»przepadamy.

»Ucz się, patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz
»słabości: unikaj wszelkiej, nie zapadaj w *niemoc*, bo
»*niemoc* nie jest *pokorą*; ni znów rośnij w dzikie prze-
»konanie, że można jedną strofą wieki przewrócić, bo
»takie przekonanie nie jest *dumą*. Bądź *dumny* a *po-*
»*korny*! Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Pa-
»nem wiekuistym, lub przed wszechświata pięknością,

»lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za pod-
»stawę dałeś piersi swoje. O Julu! Ja wiem, że to ci
»wiele smutku rzuciło do serca i może wiele sił na
»czas jakiś odebrało. Szkoda ciebie, byś z takiego za-
»draśnięcia miał się rozranić i osłabnąć, otrząśnij się«.

List ten, serdeczny, a nawet miękki, pieszczący, jest przecie nową oznaką gotującej się zmiany w ich wzajemnym stosunku. Przyjaźń trwa, jest nawet czułość i zerwanie jeszcze nie bliskie; ale sposób myślenia zaczyna się rozchodzić w różne kierunki, a wskutku tego z czasem oddalają się od siebie i serca.

W początkach roku 1842 Danielewicz chory niebezpiecznie; a pielęgnowający go przyjaciel w samą trzydziestą rocznicę swego urodzenia, rażony uderzeniem krwi do głowy o mało że nie umarł. Wrażenia i wstrząśnienia dawniejsze, z dodatkiem trwogi o ukochanego Konstantego, musiały być powodem tej choroby. Podźwignął się z niej Krasiński, na nowe udręczenia i smutki. Nerwowa gorączka Danielewicza, zawikłana inną jakąś żołądkową chorobą, stawiała się coraz groźniejszą, a wlokła się długo. Dnia 11 marca już chory sam i przyjaciel przygotowani są na śmierć: Sakramenta przyjęte, ostatnia wola spisana. Wtem nagłe i niespodziewane polepszenie, promyk nadziei; ale po kilku dniach »śmierć wróciła i stoi nad nim« (do Słowackiego 26 marca 1842). Widzi ją Krasiński i opisuje przy łóżku konającego, widzi »wbijają mi go do »trumny ćwiekami«, widzi jak »znika stopniami uko-
»chany kształt; już mnie nie poznaje, już o mnie nie
»wie. O Konstanty mój, gdzie ty odszedłeś? gdzie
»duch twój, ten wielki i pełen idei...«

I wreszcie nazajutrz, w sam dzień Wielkiej Nocy, 27 marca, po południu, skończył najukochańszy przyjaciel, ten, którego poeta miał za najwyższego umysłem, sercem, i przywiązaniem do siebie.

Rozpacz, uczucie osierocenia, wrażenie, że sam

podupadnie i stępuje bez tej w życiu podpory, bez tego »wielkiego ducha« i wzoru, wybuchają gwałtownymi rozdzierającymi słowy w listach do Sołtana, do Gaszyńskiego i Słowackiego. Do tego proza czy ironia życia szarpie mu nerwy nie mniej niż serce; targi o pogrzeb, o miejsce na grób, konieczność sądowych skarg i procesu. To zrobiwszy, ułożywszy piękny napis na grób przyjaciela (List do Sołtana 30 marca) wyjeżdża z »przekłętego miasta«.

Gdzie? do Szwajcaryi. Zapewne w myśli, że tam spotka tę którą kocha, lub tamtędy do niej dojedzie; że przy niej znajdzie trochę pociechy. Ale zaledwo dojechał do Szafluzy, rozchorował się znowu; znać zawiele przeszedł dręczących wrażeń. »Ośm dni przeleżałem. Krew znowu mi mózg rozrywa. Lada pisanie, czytanie, nawet myślenie, przyprowadza mnie »do konania« (do Sołtana 21 kwietnia). W Bazylei leczy się trochę; nie chce żeby wiadano gdzie jest — zapewne nie jest sam — a niebawem powstaje wiersz *Fryburg*, jakoby nagrobek postawiony przyjacielowi, rzewny wyraz nieutulonej tęsknoty po nim, wyraz wspaniały nieograniczonego uwielbienia dla niego. Nigdy przyjaźń nie skarżyła się żałośniej, nigdy nie kochała wznioślej. Ale przez tę rozpacz czarną przebija się przecieź wiara w jakąś przyszłość lepszą; nie dla siebie! dla świata i Polski, a dla siebie na teraz pociecha w miłości, na później nadzieja, że »z łez tych wzrosną smętne róże« i wieniec ich jeden, złoży na grobie przyjaciela, drugi »na Polski mogiłę«.

»Aniele niewieści,

»Tyś przy mnie dotąd... Tyś mojem zbawieniem,

»Tęczą jedyną w zaćmionym przestworze...«

Jej głos, jej miłość, utrzyma jeszcze w jego sercu i dobędzie z niego siłę, która nie zupełnie wygaśla, i która mu pozwoli żyć i umierać

»w wierze, że ta święta,
»Co śpi w więzieniu, zerwie w końcu pęta«.

Na co mu ta siła potrzebna? co on z nią pocznie? jaką wiarę wyniósł jak rozbitek z odmętu smutków i trzyma ją wszystkimi siłami? Ostatni wiersz *Fryburga* mówi, że Bóg jest

»Na pyszne pyszny — ale wiernym wierny«.

Wiersz ten powtórzony we wstępie do *Przedświtu* wskazuje, że on to składa się już wyraźnie w głowie poety, że w nim ma się objawić jego wiara, że na jego napisanie potrzebna mu siła.

Rzeczywiście do *Przedświtu* już bardzo blisko; już on się pisze.

Pokazują to wyraźnie listy (do Sołtana) z lipca z Kissingen. Sam chory ciągle, z chorym także ojcem pojechał ztamtąd do Heidelberga do sławnego lekarza Cheliusa. Ten radził kąpiele morskie, wskutku czego w jesieni udał się Krasiński do Spezii. Na zimę wybiera się do Rzymu, gdzie ostatecznie ma zapaść postanowienie co do jego małżeństwa. Ale przedtem jeszcze jest parę miesięcy czasu i wolności, i jest coś ważnego, bardzo ważnego do zrobienia. Ze Spezii i z Genuy do Nizy, gdzie bawi Delfina Potocka, blisko; nie zbyt daleko także z Prowancyi, z Aix, gdzie mieszka Gaszyński. »Mam do proszenia cię o oddanie »mi ważnej przysługi. Ale trzeba, byśmy się rozmówili »(z Chiavari 28 września). Koło ósmego oktobra będę »w Nicei. Czy możesz choćby na parę dni przyjechać »tam«.

Gaszyński przyjechał. Zgodził się na ofiarę, ciężką istotnie, położenia swego skromnego podpisu pod dziełem genialnego przyjaciela, który, do zbytku aż ostrożny, sądził, że tylko podpis rzeczywistego żyjącego człowieka zasłoni jego od podejrzeń, ojca od prześladowań rządu. I teraz, za tego pobytu w Nizy,

Przedświt już napisany, ale jeszcze nie wykończony przybiera swój kształt ostateczny. Gaszyński i Stanisław Małachowski są świadkami i doradcami przy tej robocie; natchnienia dodaje *Beatrice*. W jej wili, przy jej grze i śpiewie, albo w nieskończonych konnych przejażdżkach w takt końskiego galopu układają się i dodają wiersze, poprawiają się i dyskutują inne. O tych przejażdżkach i rozmowach, o tej muzyce, o tych kilku tygodniach w Nizy, mówił Stanisław Małachowski do śmierci jako o najpiękniejszej, najpoetyczniejszej chwili swego życia. Jak długo ona trwała? Parę tygodni za ledwo, skoro 6 listopada już Krasiński znowu pisze do Gaszyńskiego do Aix, a za dni kilka sam wyjeżdża do Rzymu. »Przekłęta melan»cholia wciąż mnie trzyma. Napada mnie pokusa w łeb »sobie strzelić. Piekło w duszy« (do Sołtana 6-go listopada). W Rzymie przynajmniej będzie miał na pociechę Małachowskiego i Jerzego Lubomirskiego. Ci go nie odstąpią w tych ciężkich chwilach.

W Rzymie, w początkach r. 1843, nastąpiło stanowcze z jego strony oświadczenie, i przyrzeczenie ze strony panny i jej rodziców, a wskutku tego i postanowienie co do dnia ślubu. W jakich okolicznościach, nie wiadomo; Krasiński nie opowiada w listach nic, wspomina tylko krótko »bywam u Branickich«. List z tego czasu długi jeden, do Słowackiego z 26-go stycznia 1843, w którym tłumaczy mu swój sposób pojmowania przeszłości, a delikatnie z wielką wyrozumiałością, a nawet miłością przestrzega go przed wyłącznością i jednostronnością Messyanizmu. Zdrowie ciągle złe; w Rzymie ktoś radzi szukać pomocy u lekarza jakiegoś w Montpellier. Tam więc jedzie Krasiński, a tam jest już tak blisko do Aix, że następuje nowe spotkanie z Gaszyńskim; a tak blisko do Nizy, że tam i w Cannes zostaje Krasiński do końca marca. Nowe poprawki i przerabiania w drukującym się już

Przedświcie, które (nieraz drobiazgowo) ciągnąć się będą długo w listach do Gaszyńskiego.

W początkach kwietnia jest znowu w Rzymie.

I znowu jedyny list dłuższy, do Słowackiego — (z 12-go kwietnia) — ostatni jeszcze serdeczny, przyjacielski. Ale choć taki, dowodzący przecież, że przedział między nimi coraz większy. Na ów dawniejszy, ze stycznia, musiał Słowacki odpowiedzieć kwaśno i szorstko, skoro Krasieński tłómaczy mu (łagodnie), że nie jest »starą dewotką«, a wymawia (równie łagodnie) uprzedzenia, urojenia i niesprawiedliwe sądy o drugich. 5-go maja wyjeżdża Krasieński z Rzymu. Będzie jechał pomału, zatrzymując się po drodze, ale w środku lata ma być w Niemczech, stanąć w Dreźnie na termin swego ślubu. »Dawniej szczęśliwsi byli »poganie, woły i barany swoje zarzynali. My przymu»szeni sobie samym to czynić, co Meksykanie nieprzy»jaciołom do niewoli pojmanym, serca sobie drgające, »pełne życia, wydzierać z piełsi. Idźże serce moje! »idź precz na wieki!« (do Sołtana 27-go marca). W takim uczuciu wyjeżdża z Rzymu; w podobnym równie ponurem, ale jednak mniej gorzkim, pisze swój ostatni przed ożenieniem wiersz do pani Delfiny Potockiej. Jest w nim rozpacz bez granic i bez ratunku, ale jest i postanowienie rozstania, skoro tego już tylko pragnie i o to każe jej się modlić, by na tamtym świecie »po wiekach wieków kiedyś spotkał ciebie« — a w ostatnim słowie, jak na widomy znak rozstania, podpisuje się »twoim bratem«. Wiersz ten pisany był w Genuy, w początkach maja. 15-go skarży się Gaszyńskiemu z Turynu na błędy drukarskie w *Przedświcie*, a 21-go pyta z Grenobli, wiele kosztowało wydanie, i wyznaje przekonanie, że »*Przedświt* nie jest głupstwo«.

Przedświt już wyszedł.

ROZDZIAŁ IX.

PRZEDŚWIT I PSALMY.

I. *Przedświt*. Punkt zwrotny w poezji Krasińskiego. Pierwszy powód jego wziętości i chwały. Wrażenie, jakie sprawił, i powody wrażenia. Związek *Przedświtu* z dawniejszą poezją polską i Krasińskiego. Znaczenie *Wstępu* i jego treść. Co w nim prawdziwe, a co mylne? Chrystusowa ofiara Polski. Jak ją Krasiński rozumie? Odrodzenie przez śmierć. Jego warunkowość. Jego skutki: Odrodzenie i przyszłość Polski. Oznaki i rękojmie przyszłości. Znowu warunkowość. Krasiński nie identyfikuje Polski ze Zbawicielem. Nie przypisuje jej ofiary dobrowolnej. Przypisuje zdolność, a przypuszcza możliwość pojęcia i urzeczywistnienia myśli bożej w historii. Wróżby przyszłości i sądy o teraźniejszości. Pozorna sprzeczność. Jej wytlómaczenie. Stosunek *Przedświtu* do Messyanizmu. Jego wartość poetyczna. Przewaga filozofii i tendencji. Wzniosłość i piękność. Plan i budowa. Najpiękniejsze ustępy. Bolesne wrażenie ostatniego widzenia. Podnoszące i krzepiące wrażenie zakończenia i całości. Prawda *Przedświtu* i jej złe zrozumienie: jego wpływ. Stopniowe wyrabianie się tej myśli od początku wieku. Wyraz najwyższy poezji wieszszej, przepowiadającej. Jego znaczenie w zawodzie Krasińskiego: w literaturze i historii polskiej tego wieku. II. Ożenienie. Pani Krasińska. Zima w Warszawie. Kajetan Koźmian i jego *Czarniecki*. Wiersze i *Traktat o Trójcy*. Stan kraju i jego wrażenie. Emissaryusz. List do Sołtana, pierwsze pomysły *Psalmów*. Lato u wód. Urodzenie syna. Lato 1845 w Nizy, w Niemczech, w Paryżu. Wyjazd do Włoch. Wydanie *Psalmów*. III. *Psalmy Przyszłości*. Ich powód. Znaczenie dwóch pierwszych. *Psalm Wiary*. Jego forma. Jego treść. Jego związek z następnymi. *Psalm Nadziei*. Jego treść filozoficzna. Jego przystosowanie. *Psalm Miłości*. Poezja okolicznościowa polityczna. Polityczne i społeczne przekonania i dążności Krasińskiego. Niechęci przeciw niemu. Słuszność jego pojęć i obaw. Katarzyny śmiech szyderstwa.

I.

Przedświt. Punkt zwrotny w poezji Krasieńskiego. Pierwszy powód jego wziętości i chwały. Wrażenie, jakie sprawił, i powody wrażenia. Związek *Przedświtu* z dawniejszą poezją polską i Krasieńskiego. Znaczenie *Wstępu* i jego treść. Co w nim prawdziwe, a co mylne? Chrystusowa ofiara Polski. Jak ją Krasieński rozumie? Odrodzenie przez śmierć. Jego warunkowość. Jego skutki: Odrodzenie i przyszłość Polski. Oznaki i rękojmie przyszłości. Znowu warunkowość. Krasieński nie identyfikuje Polski ze Zbawicielem. Nie przypisuje jej ofiary dobrowolnej. Przypisuje zdolność, a przypuszcza możliwość pojęcia i urzeczywistnienia myśli bożej w historii. Wróżby przyszłości i sądy o teraźniejszości. Pozorna sprzeczność. Jej wytlómaczenie. Stusunek *Przedświtu* do Messyanizmu. Jego wartość poetyczna. Przewaga filozofii i tendencji. Wzniosłość i piękność. Plan i budowa. Najpiękniejsze ustępy. Bolesne wrażenie ostatniego widzenia. Podnoszące i krzepiące wrażenie zakończenia i całości. Prawda *Przedświtu* i jej złe zrozumienie: jego wpływ. Stopniowe wyrabianie się tej myśli od początku wieku. Wyraz najwyższy poezji wieszczcej, przepowiadającej. Jego znaczenie w zawodzie Krasieńskiego: w literaturze i historii polskiej tego wieku.

Przedświt jest to punkt kulminacyjny zawodu Krasieńskiego, ten, w którym on sam doszedł do jasnej i wyraźnej świadomości swoich przeczuć i przekonań, w którym rozwiązanie zagadki dziejów Polski i świata znalazł i ogłosił, w którym uzupełniło i objaśniło się wszystko, co w jego dziełach poprzednich było niepełnym, niejasnym, przecuciwem tylko, z którego wypłynęły jego pisma późniejsze. W środku jego zawodu stoi *Przedświt* jak latarnia morska, i rzuca

światło za siebie i przed siebie; pierwsza synteza, pierwsza jasna i wyraźna afirmacja Krasińskiego, a tak stanowcza i zupełna, że wszystkie późniejsze tylko ją powtarzały i rozwijały, ale nowego już do niej nie dodały prawie nic. Pierwsze także objawienie tego poety przed narodem, pierwsze dzieło powszechnie zrozumiane, a przyjęte z takim zapalem, z takim uniesieniem szczęścia, z taką wiarą, że poeta dotąd mało znany, obojętny, mało rozumiany, a przez to ogółowi nie sympatyczny, przez te kilka kartek *Przedświtu* wzniosł się w mniemaniu i w uczuciu tak wysoko, że od razu, bez dyskusyi, jakimś cichem ale rzeczywistym *communi consensu* stanął w nich zaraz przy Mickiewiczu. Kiedy przyjdzie czas zupełnie spokojnego i trzeźwego ocenienia jego poezyi, to sztuka może z niej wiele odrzuci; prawda moralna i historyczna może nakaze czytać tę poezję ostrożnie, i będzie przestrzegająca przeciw zbyt podchlebnemu, zbyt idealnemu pojęciu naszych dziejów; ale jeżeli świadomość Polski pozostanie w sercach, jeżeli się te serca z gruntu nie zmieniają i nie przerobią na coś innego, dopóki miłość ojczyzny w nich będzie, dopóty i poezya Krasińskiego zostanie w narodzie w tej czci i w tem przywiązaniu, jakimś otoczył ją pierwszy *Przedświt*.

Nieboska Komedia i *Irydion* przeszły prawie niepostrzeżone. Wydawane za granicą, bezimiennie, strzeżone czujnie przez srogą cenzurę ówczesną, nie mogły ani się po kraju rozejść, ani oswoić go z imieniem młodego autora; a nawet kiedy były znane nie były lubione ani cenione. Ich forma dziwna razila czytelników, dla których już *Dziady* były zanadto mgliste; ich allegorye nie zawsze jasne, wymagające pewnego natężenia myśli, nie znalazły łaski u publiczności, która wogóle do takiego natężenia nie skora, nie lubi go zwłaszcza kiedy chodzi o poezję,

i żąda, wiedzona instynktem niezaprzeczenie słusznym, żeby poezya, co mówi, mówiła wyraźnie i po prostu, żeby była zrozumiałą i nie potrzebowała komentarzy. Nawet tam więc, gdzie wiedziano o *Irydionie* i *Nieboskiej*, nie dbano wiele o Krasińskiego, nie ceniono go, jako tego wielkiego poety, jakim był; a nawet kiedy Mickiewicz świadczył za nim tak głośno i tak wymownie w swoim rozbiorze *Nieboskiej Komedyi*, i to jeszcze nie zwróciło na niego uwagi, bo, przy ówczesnych cenzurach i trudnościach komunikacyi, każde słowo z zagranicy późno do kraju dochodziło i rozchodziło się po nim z trudnością.

Naraz w środku tej prostracyi, jaka następować zwykła po wielkich klęskach, w tej obumarłości, jaka panowała we wszystkich częściach Polski przez lat kilkanaście, od r. 1831, kiedy wszystko co najżywoźniejsze wyemigrowało z niej, kiedy Królestwo jedną ręką trzymał za gardło Paskiewicz, a drugą magnetyzował je i chciał uśpić w pewnej łatwości i wygodzie materyalnego życia; kiedy na Wołyniu i Podolu grasowała zaraza głupiego bałagulstwa, w Galicyi pod przymusowym i bezwinnym brakiem wszelkiej pracy publicznej, krył się dobrowolny i winny brak wszelkiej czynności, życie z dnia na dzień, które u lepszych było spokojnem domatorstwem, u gorszych głupiem marnotrawstwem grosza w trudnych do pojęcia, ale zawsze szkodliwych, a nieraz gorszących rozkoszach jarmarkowych miasteczek, tej lub owej cyrkularnej Kapuy, a pod tą beczynnością głupią, równie głupia czynność kilku zawiązywanych, rozwiązywanych i znów nawiązywanych spisków, na które patrzył przez szpary ówczesny rząd, obiecując sobie, że w danym razie potrafi z niej niegłupio skorzystać — kiedy z Polski całej, najwięcej życia i pracy, dzięki Marcinkowskiemu, Edwardowi Raczyńskiemu, Morawskiemu, Chłapowskiemu i t. d. było w Poznańskiem — w tę prostracę,

w ten marazm polityczny, w ten kraj osłabły, znużony, znikąd nie mogący dojrzeć ani cienia nadziei jakiejś lepszej przyszłości, padł wiersz, który z całym urokiem poezji, z całą potęgą natchnienia, i z całą pewnością dogmatycznej wiary, nie pod figurami, ale wprost, mówił o niechybnej, koniecznej, o bliskiej nawet zmianie losów; który zaręczał im przyszłość z mocy logicznych i niezmiennych praw historycznej konieczności i samej sprawiedliwości boskiej. Czyż mogło być inaczej, jak, że wrażenie tego wiersza było nieopisane, niepojęte, niesłychane! Dziś, kiedy od tych czasów przeszło lat tak wiele, a w tych latach niejeden dówód bolesny, że sprawy choć najlepsze, nie wygrywają tak łatwo, kiedy nietylko nie nadeszła obiecwana lepsza epoka, ale wszystko złe jakie było wtedy, podniosło się do wyższej potęgi i w Polsce i w Europie, dziś nic dziwnego, że jedni patrzą na poezję Krasińskiego ze smutnym uśmiechem rozczarowania, drudzy z uśmiechem szyderstwa; a ci nawet, którzy w nią wierzą najbardziej i najuparciej, nawet ci czytają ją *cum grano salis*, trzeźwo, nie biorą jej dosłownie; a raczej starają się oddzielić w niej to, co jest i będzie w niej zawsze prawdziwym i co powinno być branem dosłownie, od tego, co jest uniesieniem poetycznym tylko lub patryotycznym złudzeniem. Ale wtedy, w tym stanie zwątpień i letargowego uśpienia, kiedy z narażeniem przekradziony, cichaczem przeczytany wiersz mówił tak stanowczo, tak napewne, że to, co cały naród miał za noc najgłębszą, jest już Przedświtem dnia jego przebudzenia, cóż dziwnego, że ze wsząd jednym chórem odezwała się wiara w te słowa? że gdzie doszedł *Przedświt* i był przeczytany, tam choć książka poszła zaraz w ogień, albo w głębokie schowanie, w sercach, w pamięciach zostały jego słowa, zapisane jako wiara i nadzieja, zostawało po nim wrażenie, że »naszą przyszłość cała«. Cóż dziwnego, że

ten poeta, dotąd obojętny, prawie nieznan, stał się odrazu droгим, jak pocieszyciel, jak przyjaciel, wielkim jak wieszcz, godnym wiary jak Prorok? że patrzano w niego jak w gwiazdę najjaśniejszą, jak w Przedświt Ojczyzny samej, że wszystkie serca podniesione, natchnione przez niego nieznaną przedtem odwagą i wiarą, zwróciły się do niego z taką wdzięcznością, z taką czcią i z taką miłością, że sam Mickiewicz na czas jakiś ustąpił, że Krasiński wydał się większym, bardziej i świetniej od niego natchnionym¹⁾.

Że początki tych myśli, które są zawarte w *Przedświcie*, leżą głęboko w naszej historii, że Mickiewicz dał im wyraz w *Księgach Pielgrzymstwa* i w *Dziadach*, zbytecznie przypominać; że były one i w poezji Krasińskiego także, jakkolwiek jeszcze nie wyrobione, mianowicie w *Irydionie*, tośmy widzieli; jak niemniej i to, że po jakimś zboczeniu, po jakiejś przerwie, z przepaści zwątpień i rozpaczy, w której on żył długo, zaczęły one podnosić się i składać na nowo, niewyraźne jeszcze, nieskładne i niepełne, jak tego dowodzi *Sen Cezary*. Pod jakim wpływem, lub pod jakimi wpływami nabrały one w czasie stosunkowo tak prędkim tej jasności, tej pewności siebie, tej systematycznej całości, z jaką występują w *Przedświcie*? Poeta mówi, że »kiedy żył w tej przepaści długo miotan

¹⁾ Pan Sternal w swojej cennej rozprawie o *Przedświcie* (Kraków 1891) sądzi, że poemat ten nie zrobił zrazu wielkiego wrażenia, i przytacza na dowód skąpe i chłodne recenzje ze współczesnych pism peryodycznych. Te jednak nie mogą służyć za miarę. Tylko emigracyjne i poznańskie pisma mogły o *Przedświcie* pisać; czy zaś to, co pisały, było wiernym wyrazem wrażenia ogółu czytających, to niewiadome, a raczej bardzo wątpliwe. W Królestwie i w Galicyi nikt nie mógł o *Przedświcie* pisać, ale że był przyjęty tak, jak powyżej opisano, to zaświadczy każdy, kto te czasy pamięta i widział ludzi czytających go ze łzami uniesienia, uczących się na pamięć i powtarzających, a egzemplarze (bardzo rzadkie, bo zakazane) krążące po wszystkich domach znajomych w okolicy, czy w mieście.

»rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą« i jemu jak Dantemu niegdyś, przysłała w pomoc Pani i wywiodła go z tej przepaści, »i ja też miałem Beatrice moją«. Czy można przypuścić i uwierzyć, żeby on tę całość pojęć i przekonań, jaką odtąd żył już do końca, był przejął od kogoś drugiego, od kobiety mianowicie? żeby ta była podała jego naukę, wytłómaczyła rozbiór Polski jako próbę grobu, jej powstanie jako logiczną i moralną konieczność historii? żeby cała ta nauka, prawdziwa lub błędna, mniejsza o to na teraz, ale bardzo zupełna, systematyczna, konsekwentna, a tak nacechowana duchem badawczym i filozoficznym, wyszła była z głowy jakiegokolwiek Beatrice, jak Minerwa z głowy Jowisza? Oczywiście nie; wpływ być mógł, był zapewne, skoro on o nim mówi; ale musiał być tylko pokrzepieniem ducha, ożywieniem nadziei, przez pociechę delikatnego i rozumnego współczucia, przez uspokojenie, uciszenie jego rozpaczy pod ręką ukochanej, ubóstwianej kobiety. Ale tej miary, już i tak dość pięknej, wpływ jej przejść nie mógł; popęd, utwierdzenie w wierze i nadziei mogły przyjść z zewnątrz, myśli wyszły z wewnątrz; on je sam znalazł, sam uszykował tak, że mu rozwiązały zagadkę historii i przyszłości jego ojczyzny.

Jaki był proces tej geologicznej formacji pojęć Krasifskiego, które z nich ustaliło się i stężało pierwsze, jako pokład podstawny, które zaś kładły się na tem, jako wyższe warstwy, jako logiczne następstwa: jak się budowało z poprzedniego chaosu to rusztowanie prawd moralnych i filozoficznych poglądów, którego szczytem była wiara w konieczność odrodzenia Polski, to o ile dziś wykazać się da, staraliśmy się zebrać i objaśnić. A jeżeli ta praca budowania systemu nie jest jeszcze dostatecznie wyjaśnioną, to budowa sama znana jest w całości. Poeta sam, kiedy napisał *Przedświt*, chcąc tem lepiej dowieść prawdziwości

swojej wiary i swojej nauki, chcąc pokazać, że one nie są tylko poetycznym natchnieniem, ale i ścisłą prozaiczną prawdą, niemal umiejętną, niemal matematyczną, dorobił do swego poematu ten wstęp, który jest jego urzędowym komentarzem, tłumaczeniem, jak z zastanowienia nad całym biegiem dziejów poeta doszedł, i każdy dojsć powinien logicznie i koniecznie, do tych wniosków, których wyrazem poetycznym jest *Przedświt*. Wstęp ten zawiera całe zapatrywanie Krasieńskiego na historię świata: a że cała jego poezya, nietylko późniejsza, ale i poprzedzająca, albo wprost z tego zapatrywania wynika, albo przynajmniej ściśle się z niem wiąże, przeto jest on dla poznania i zrozumienia poety niezmiernie ważnym, niezbędnym. Treść jego jest ta, że dzisiejsza chwila w historii, dzisiejszy stan świata jest tem samem, czem było rozprzężenie świata starożytnego »za dni Cezara, poprzedzających »wielki dzień Chrystusa«. Świat starożytny wtedy, jak nasz dzisiaj, »doszedł do ostatnich wyników swojej »historyi; w religii do zupełnego zwątpienia, w filozofii »do zupełnego obalenia zasad Polyteizmu. Gdzie tylko »spojrzeć, w świecie ducha ruiny, swawola, rozstrój, »*quot capita, tot sensus*. Z tyłu wojen, proskrypcyi »i rewolucyi, wielkie znużenie było się zostało w sercach, wszystkie wiary polityczne spelzły na niczem. »Mariusz ani Sylla nie zdołali urzeczywistnić myśli »swoich; wszyscy ci zatraciciele czy odnowiciele z ostatnich czasów Rzymu jedną cechę w sobie noszą, pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą ku czemu dąży historia świata. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego, i gorączkowe przerażenie po każdym dokonanym czynie, »który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto »piętno tego świata, i z tych znamion łatwo rozpoznać, »że świat ten blizki dnia sądu i przeobrażenia swego«.

Niema co mówić, próżno przeczyć, tak było

w Rzymie za owych czasów, tak jest dzisiaj. Możemy się zaślepić umyślnie i zamykać oczy na rzeczywistość; cała historia naszego wieku świadczy, że znamiona są te same, i że z jednym wyjątkiem chrześcijaństwa, które walczy, ale się nie rozkłada, jak tam polyteizm, są wszystkie, jakie tam były, nie brak żadnego. To czysta prawda. A potem prowadzi Krasiński dalej swoje porównanie, swoje dowodzenie.

»W takim stanie Rzymu, kiedy na polu ducha »wszystko się rozprasza, na polu materialnych spraw »i celów wszystko się coraz bardziej kupi, zrasta i ze-»środkowyywa« — przychodzi Cezar i »przywodzi świat »do materialnej jedności, bez której żadne słowo życia rozejść się nie może, zamienia ziemię w jeden »wielki i szeroki gościniec, po którym w lat niewiele »później« rozchodzi się Ewangelia Chrystusa. Czem Cezar wtedy, tem w naszym wieku był drugi Cezar, większy, Napoleon. Jak tamten »granit plemion, nie-»znających siebie, stał na piasek jeden gładki i równy »uniwersalnego państwa, tak ten, choć na pozór nic »trwałego po sobie nie zostawił, przecież co spoił, to »samo przez się coraz ściślej się spaja i wiąże; zapo-»znane z sobą ludy już się nie odpoznają; on narodo-»wości przebudził z uśpienia«.

»Anarchia dzisiejszego świata jest tak okropna, »że koniecznie dąży do przesilenia. Żądza tak wielka, »a dotąd daremna, wzywa koniecznie pomocy Ojca, »który jest w niebiesiech; a kiedyż ta pomoc odmó-»wioną była? kiedyż Bóg opuścił Historję, kiedy ona »wzniosła ku Niemu ręce i językiem wszystkich ludów »ziemi krzyknęła: Pokaż się nam Panie!«

Dotąd były premissa, teraz następuje wniosek:

Chwila przesilenia, chwila ratunku jest więc dla nas tak bliską, jak była za dni Cezara przez przyjście Chrystusa. Co będzie jej spełnieniem, oto: »objawienie »Syna Bożego ze stanu idealnego przechodząc wiekami

»do stanu uwidomienia się i rzeczywistości«; uwidomić i urzeczywistnić się ma w składzie politycznym i bycie społecznym naszego świata. Aż dotąd stać się to nie mogło, bo pierwiej »chrześcijanić się musiały »indywidua, dusze, zanim mogły zchrześcijanić się stosunki między narodami i państwami«. Ale dziś »świat »już wie, ku czemu garnie się historia, wie, że celem »jej jest Ludzkość cała, czyli cała powszechność zgodna z wolą Bożą, znająca i wypełniająca prawo, które »jej Bóg nadał, a środkami do tego celu, narzędziami, »członkami żywymi, są narodowości. »Bo państwa są »utworem ludzkim, narodowości tylko są kreacyi bo- »żej; i dlatego nie państwa, ale narodowości *upañ- »stwione* jedne tylko mogą być chrześcijańskimi, czyli »należeć do składu powszechnej ludzkości«.

Idea ta, myśl boża prawdziwa, środek, którym »jedynie ludzkość może dojść do spełnienia swoich przeznaczeń, zaprzeczana ustawicznie przez nowoczesne Państwo, pogwałcona jest antychryścystycznie w rozbiórce Polski, zbrodni nie »politycznej tylko, ale religijnej, bo przekraczającej sfery świeckiej i dotykającej »okręgów bożych«. Jak ten gwałt był buntem przeciw Bogu i świętokradztwem, tak »nieuznanie tego gwałtu, »opieranie się tej bezbożności, jest religią«.

Otóż »nadchodzący postępek historii i Polska mają »się do siebie w tym stosunku, że koniecznym pierwszym warunkiem drugiej zmartwychwstanie: albo »święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem »jej dopełnienia się jest życie Polski. Przez narodowość umęczoną na krzyżu historii objawi się w sumieniu ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się »przemienić w sferę religijną, i że kościół boży na tej »ziemi to nietylko to lub owo miejsce, ten lub tamten »obrzęd, ale cały planeta i wszystkie, jakie mogą być »stosunki osobników i narodów między sobą«.

Myśl, która wyrabiała się w polskich głowach od

pół wieku blisko, która z postępem lat nabierała kształtów coraz wyraźniejszych, coraz bardziej ustalonych, ale dotąd trzymała się w sferze przecuć, uczuć i przepowiedni, pierwszy raz przybrała tę formę rozumowania, ten kształt prawdy historycznej i filozoficznej, popartej argumentami, syllogistycznej, nieledwie matematycznej ścisłości. Bo i u Mickiewicza nawet nie występowała ona tak jasno, z taką pewnością siebie i z takim darem przekonywania. W *Dziadach* objawiła się jako poetyczne widzenie, w *Księgach Pielgrzymstwa* jako twierdzenie wprawdzie, ale także poetyczne i dowolne — a w *Kursach Literatury*, gdzie ją Mickiewicz chciał z głębi historii wywodzić i dowodzić, ukazała się otoczona tak dowolnemi i fantastycznemi przypuszczeniami, tak mistyczna, że choć mogła nie jednego pociągnąć za wyobraźnię i za serce, nie mogła przekonać niczyjego rozumu. U Krasińskiego zaś we wstępie do *Przedświtu*, jest ona rozebrana z wszelkiego mistycyzmu; prawdziwa, czy mylna, jest trzeźwa, jest logiczna. Czy jest zupełnie prawdziwą? To inne pytanie; w przewidywaniu przyszłości każdy może się pomylić. Ale nikt znowu nie może zaprzeczyć, iżby w tem, co Krasiński mówi, prawd nie było. Jest widoczne i pewne, widzimy wszyscy, że to, co on mówi o dzisiejszym stanie świata, jest prawdą; wierzymy, wielu z nas jeżeli nie wszyscy, że warunkiem uspokojenia i postępu świata jest »uwidomienie się »Objawienia Syna Bożego w stosunkach między narodami i państwami«. To jest prawda — jest prawda także, że największem w historii zaprzeczeniem tego dążenia był rozbiór Polski. W każdym razie było by śmiałem i niesłusznem twierdzić, że Krasiński, uniesiony namiętą i mistyczną miłością ojczyzny, wpada w wizye i złudzenia. Bo pamiętajmy, że Krasiński, choć pewien logicznej konieczności takiego obrotu rzeczy, przecież obiecuje go warunkowo tylko —

on takim być powinien, ale będzie takim, jeżeli siła jakaś przeciwna nie stanie mu na wspak w jego prostym kierunku. Ostateczny wypadek historycznych premissów czyni Krasiński zawsze zależnym od nas, od naszej dobrej woli. Ale choćbyśmy mu zadali fałsz, to jego rozumowanie nie przestałoby być dobrem w sobie. O ile Krasiński myli się bardzo, jeżeli widzi w Polsce czystą i świętą, jakoby dobrowolną ofiarę, na zbawienie świata — (a zobaczymy, że pod tym względem on był jednak nie zupełnie dobrze zrozumianym), to w swojej myśli głównej, kiedy mówiąc o obecnem przesileniu historii, uspokojenie, szczęście i postęp ludzkości czyni zależnem od schrześcianienia jego stosunków politycznych, to od wielkiego aktu sprawiedliwości, a polityczne znowu odrodzenie Polski od jej odrodzenia wewnętrznego, wtedy nie mówi on nic, czemu polityczne doświadczenie nie przyświadczyłoby tak, jak mu świadczy prosty rozsądek ludzki i chrześcijańskie sumienie: wtedy ma on i słusność i trzeźwość, i ma coś więcej jeszcze — wielkość. /

Przystąpmyż raz do tego pytania, jak Krasiński rozumie tę »Chrystusową ofiarę« Polski. Od *Przedświtu* aż do *Dnia Dzisiejszego* mówi o niej tyle razy tak wyraźnie—(»Jak im niegdyś Syna dałem — tak im Polsko daję ciębie«. »Jak Chrystus w wyższe wzbijesz się okręgi«—i miejsc podobnych wiele), że myśl jego zdaje się być zupełnie jasną, i niedopuszczać żadnego innego rozumienia i tłumaczenia. A jednak myśl ta, połączona z całym ciągiem jego filozoficznych rozumowań, nie wyda się tak absolutną, zatem nie tak błędną, jak się wydaje sama przez się, i w połączeniu z całym naszym patryotycznym i poetycznym mistycyzmem, do którego należy, od którego pochodzi, ale z którym nie jest zupełnie zgodna i taż sama. Nie idzie zatem, iżbyśmy ją mieli brać za zupełnie prawdziwą i wolną od wszelkiego błędu; tylko w tem ściślejsem

badaniu ona okazuje się mniej błędną i zuchwałą, niżeli zwykle sądzimy.

Przypomnijmy sobie dwa pewniki jego filozofii: pierwszy ten, że dzieje ludzkości mają być ukształcone na wzór życia Chrystusa Pana i to życie w sobie w przybliżeniu powtórzyć; drugi, że duszą i cechą trzeciej najwyższej epoki tych dziejów ma być miłość, doskonałe pogodzenie bytu z sumieniem, zbiorowej woli ludzkiej z wolą Bożą.

Dla człowieka śmierć jest (jak wiemy) koniecznym przejściem do wyższego życia. W życiu Chrystusa Pana śmierć była nie tylko dziełem odkupienia, ale konieczną poprzedniczką zmartwychwstania i wniebowstąpienia. W dziejach ludzkości nie może ten fakt śmierci i to prawo odzycia przez śmierć, stwierdzić się na ogół, na całym rodzie ludzkim, ale tylko na pewnej jego części. Wszystko to wywiedliśmy już wyżej z własnych słów Krasińskiego. Weźmy to za punkt wyjścia; i idźmy dalej.

Jeżeli jeden duch ludzki, po śmierci ciała, w nowych walkach i trudach, ale i w nowych zasługach, podnosi się do coraz wyższego bytu, to podobnie duch zbiorowy pewnej części ludzkości, pozbawiony swego ciała, czyli swojego widomego politycznego bytu, ma wyrabiać się do wyższej doskonałości: a jeżeli do niej dojdzie, doczekać i dosłużyć się bytu nowego, który będzie dla tego zbiorowego ducha tem, czem jest dla jednego, indywidualnego, zmartwychwstanie w ciele uwielbionem. Odłóżmy na bok filozoficzną i poetyczną terminologię Krasińskiego — (próba grobu, śmierci niema — wszędzie kolebki, niema nigdzie trumny) a jego nauka w swojej istotnej treści wyjdzie na to, że społeczeństwo, które upadło, jeżeli w upadku swoim będzie wyrabiać w sobie zalety i siły, a zwyciężać słabości i wady, może w tym stanie materialnego niebytu wzmocnić się i naprawić tak, że przy zdarzonych

okolicznościach stanie o własnej mocy, i zajmie miejsce na świecie może większe, niż zajmowało dawniej. Jego własna wartość wzrośnie; z wartością wzrośnie łaska i pomoc Boża, a skutkiem tych połączonych czynników będzie siła i pełność życia. Oto, co znaczy *próba grobu*, jeżeli ją przełożymy na prosty język trzeźwej i powszedniej prozy: a wtedy pokaże się, że tajemniczość, mistyczność, mglistość, jest w pozorach i osłonach tej myśli, ale nie w jej istocie i treści. Umysł najtrzeźwiejszy, najbardziej sceptyczny nie może powiedzieć, żeby takie spożytkowanie swego nieszczęścia, takie w niem odzycie, było rzeczą w zdrowej logice i w praktyce niemożliwą.

Krasiński zaś nie mówi nigdzie, iżby ono było rzeczą konieczną i niechybną. To być *może*, ale to *nie musi* być. Odzycie w próbie grobu i przez nią, zależy od sposobu, w jaki się ta próba odbędzie. Jeżeli odbędzie się ze świadomością, że jest próbą, że stałą wolą wyrobienia w sobie cnoty i siły, i z rzeczywistym tej woli skutkiem, w takim razie nastąpi nie tylko odzycie, ale życie pełniejsze i piękniejsze, bo rozszerzone, zahartowane i rozjaśnione przebyciem trudem, zdobytym charakterem i doświadczeniem, zasługą tej szlachetnie przebytej próby, i brakiem odpowiedzialności za złe, jakie się przez ten czas na świecie działo. Jeżeli zaś przeciwnie, złe weźmie górę nad dobrem, pokusa nad sumieniem i duchem publicznym, jeżeli próba zamiast to społeczeństwo poprawić i podnieść, zepsuje je tylko i stoczy, wtedy nie będzie odzycia ani życia, tylko śmierć i rozkład — »nicestwo« — które to społeczeństwo samo sobie »na dnie przepaści pościele«.

Przypuśćmy teraz, że to społeczeństwo ma tę świadomość swego stanu i tę wolę wyrobienia się i podźwignienia, że w swoim upadku statecznie i nieustannie pracuje nad tem, żeby wyrobić i zdobyć sił

i przymiotów coraz więcej, a wad i słabości swoich się pozbyć. Przypuśćmy, że tą pracą doszło do wielkiej summy rozumu i charakteru, a w ślad za tem nabyło i sił materyalnych. Przypuśćmy dalej, że to wszystko zyskawszy, ono chrześcijańskiego sumienia, świadomości złego i dobrego, nietylko nie zatraciło, ale owszem przez swoje ciężkie doświadczenia nabrało wyższego i jaśniejszego pojęcia swoich obowiązków i ludzkich przeznaczeń: że jego uczucie sprawiedliwości względem drugich — (miłości bliźniego w stosunkach publicznych i międzynarodowych) — wzmocniło się i wyostrzyło; że ono ma stały zamiar godzenia swojej woli i swoich postępków z prawem Bożem i z dobrem bliźniego: rzecz prosta, że byłoby to społeczeństwo bardzo szlachetne, bardzo zdrowe, i bardzo rzetelnie bardzo wysoko cywilizowane. Takim zaś będąc, skoroby raz czynnie w dziejach świata wystąpiło, musiałoby grać w nich rolę nietylko dobrą i piękną, ale wielką. Działałoby swoją wolą i swoją mocą, ale i swoim przykładem także; byłoby w swojej epoce miarą i typem tej chrześcijańskiej cywilizacyi, do której ludzkość ma stopniowo dążyć i dojść. I znowu przełożmy na powszedni prozaiczny język takie wyrażenia Krasińskiego, jak »będziesz mocarstwem — aniołem« albo »stań nad nimi ich na ziemi — ideałem« — albo »dadzą świata jej koronę«, słowem weźmy trzeźwo i prozaicznie poetyczne ostatnie *Widzenie z Przedświtu*, a znowu będziemy musieli powiedzieć, że niema tu nic, coby było w zdrowej logice i w praktyce spraw ludzkich niemożliwem.

Po tem wytłómaczeniu *Próby Grobu* przejdźmy do drugiej kwestyi, do zastosowania tej nauki. Tą częścią ludzkości, która próbę grobu odbywa, jako straszczenie i wyobrażenie całości, która z tej próby ma wyjść przemieniona i w swoim nowem życiu być wzorem doskonałego chrześcijańskiego narodu, jest

podług Krasińskiego Polska. Dlaczego ona? jak poeta uzasadnia to swoje mniemanie i to jej przeznaczenie?

Jego argumenta filozoficzne znamy. Śmierć jest koniecznym warunkiem wyższego życia, a ten warunek dopełnił się w dziejach tego narodu. Ale filozoficzna teoria nie wystarczy, jeżeli jej nie potwierdzi i nie sprawdzi praktyka, historyczna rzeczywistość. *Psalm Wiary* mówi, że między narodami ziemi, są niektóre na to wybrane, by wyrobiły »więcej miłości i więcej braterstwa« i »wyższe w ludziach pojęcie o Bogu«. »Takim jest naród Twój polski o Panie«. Ale na to, by swoją męką i walką wyrobił to wyższe pojęcie i tę większą miłość, musiał on przecie już przed swoją próbą mieć pierwiastki, zarody, przeczucia, popędy tej wyższej miłości. W swoim pierwszym bycie (niepodległym), Polska nieświadomie, instynktem, nie statecznie i nie ciągle, ale jednak wyraźnie i rzeczywiście miała to poczucie miłości i tę zgodność swojej woli z wolą Bożą. Jadwiga naprzykład jest figurą wzniosłych poświęceń i ich skutku. Nie grabieżą, ale poświęceniem dla wyższej idei, dla wiary i Ojczyzny, i dobrowolnem połączeniem się dochodzi Polska do wielkiego znaczenia, i daje przykład, jak można rósć w potęgę, nie przekraczając praw bożych, ani praw ludzkich nie gwałcąc. Kiedy się bije z Turkami, ze Wschodem w ogólności, zasłania Kościół przed zalewem wiar fałszywych, cywilizację przed zalewem barbarzyństwa. Cudzego nie żąda; nikogo nie oszukuje, ani nie zdradza; w potrzebie broni drugich, i bronić sobie ma za obowiązek. Kiedy Francya sprzyja po cichu Turkom ciągnącym na Wiedeń, bo widzi w tem korzyść dla swego z domem habsburskim współzawodnictwa, Polska czuje, że są w tej sprawie wyższe ogólne względy, i Wiednia broni, chrześcijaństwo ratuje. Z czasem budzi się w niej nawet czujniejszy i trudniejszy głos sumienia; dochodzi do świadomości

złego w sobie, sądzi się i z tą świadomością bierze się do poprawy własnej w Sejmie Czteroletnim. Wszystko to służy Krasińskiemu za dowód, że ona ma w sobie wyższość moralną, że ma pierwiastki na prawdziwie chrześcijański uczciwy naród, i na także Państwo.

W chwili tej obudzonej i rozwiniętej jak nigdy przedtem świadomości siebie, straciła byt polityczny: ale ta świadomość jej została. Jest ona dziś w takim stanie, w jakim jest duch po śmierci ciała i bez ciała; ma świadomość siebie, ma wolę, ale nie ma organów ni możności działania. Ztąd wynika konieczna i nieunikniona jednostronność, niezupełność wszystkiego co przedsięwzięje, niezupełność i dysharmonia w niej samej. Ale jest ta sama, owszem wyższa, szlachetność; jest wierność dobrej sprawie, jest zdolność poświęcenia, jest wiara w sprawiedliwość Boską i w zwycięstwo dobrego nad złem; i jest świadomość tej woli Boskiej i tej powinności ludzkiej, skutkiem której świat ma dążyć i dojść do szczęśliwości opartej na sprawiedliwości, wydobyć z siebie »więcej miłości i braterstwa«. Te własności, które Polska zachowuje, przechodząc »przez piekłą trudu, przez czyściec zasługi«, mogą sprawić — jeżeli ich nie zatraci, tylko je rozwinie — że z czasem jej duch znajdzie znowu swoje ciało, myśl złączy się z bytem, a wtedy nastąpi to uzupełnienie istności, które w Trójcy Bożej jest skojarzeniem Ojca z Synem, w troistej istocie ludzkiej żywotem wiecznym, w troistych dziejach ludzkości świadomym *czynem*, wypływającym ze zgodności woli ludzkiej z wolą Bożą, którego to *czynu* organem i środkiem są wolne narody ujęte w kształt państw uczciwych, a celem ludzkość cała przemieniona w jeden kościół, w jedną społeczność braterską i prowadzącą wszystkie duchy indywidualne do żywota wiecznego.

Tak się tłómaczy nauka *Przedświtu*, tak Krasiński rozumiał jego dwa *widzenia*. Kiedy zapytał ojców,

»czemu życie w życia chwili z taką pychą roztrwonili«, zjawiły mu się duchy tych ojców i odpowiedziały przez usta Czarnieckiego znaną teorię *próby grobu*. Przeszłość, która do niej wiodła, nie była nie-szczęściem (Ty nie szukaj w ojcach winy), skoro wiodła do tego przejścia, z którego możemy wyjść jako »Ludów Lud jedyny«. To, co nam wydaje się ojców winą, było z Bożego przejrzenia koniecznością, tym ojcom nieznaną, ale dla nas błogosławioną, skoro było drogą i warunkiem do tego przyszłego wyższego życia. Gdy zaś tę odpowiedź usłyszał i zrozumiał, wtedy ma poeta widzenie drugie, widzenie tej przeszłości, tej wyższej epoki dziejów, w której ludzkość cała śladem i wzorem Polski wstępuje na wyższy stopień rozwoju, zbliża się do swoich ostatecznych przeznaczeń.

Wszystko to nosi na sobie widoczne ślady wpływu *Prolegomenów* Cieszkowskiego, (a pośrednio troistości Hegla), wszystko może wydać się mylnem, ale wszystko jest wyrozumowanym, rozumowo połączonym i dowodzonym — mistycznym nie jest. Zostaje tylko ostatnią i najważniejszą kwestyą, kwestyą »Chrystusowej ofiary«. Jak Krasiński tę rozumie?

»Jak im niegdyś Syna dałem,
»Tak im Polsko ciebie daję« —

to dość jasne i wyraźne, a same w sobie wzięte, równie zuchwałe jak nedorzeczne. Ale czy byłoby słuszne brać to dosłownie, i przypuszczać, że Krasiński identyfikuje Polskę z Chrystusem Panem? To oczywiście nie. Wiemy, że podług niego dzieje ludzkości mają być wyobrażeniem i powtórzeniem Jego ziemskiego życia, i wiemy, że w losach jednego narodu ma się powtórzyć śmierć i zmartwychwstanie; ale jest wyobrażenie, powtórzenie, figura, nie tożsamość. To pierwsze zastrzeżenie, jakie na korzyść Krasińskiego należy zrobić i zapamiętać. »Ona« (Polska) pośredni-

»kiem między bólem teraźniejszym, a zbawieniem »w przyszłości, ona *wyobraża* Chrystusa na ziemi« — (do Słowackiego 26 Stycznia 1843). W innych listach znalazłoby się ustępów wiele na dowód, że tę »Chrystusową rolę« pojmuje Krasiński jako przejęcie się duchem i prawem Chrystusa (naprzykład do Sołtana z 17 grudnia 1841, z 26 stycznia 1842, z 20 maja 1844, do Stanisława Koźmiana z 6 marca, z 3 kwietnia 1847, a zwłaszcza list niewiadomy, domyślnie do Gaszyńskiego, z 25 grudnia 1841, przedrukowany przez p. Sternala przy rozprawie o *Przedświcie*); ale poprzestać można na tym jednym, jako najwyraźniejszym i zarazem najkrótszym. Pisze więc dalej tak: »Ona« (Polska) »na teraz absolutną prawdą odrodzenia się »ludzkiej natury. Bez niej nic, a przez nią wszystko »będzie. Ale na to ona powinna wiedzieć o sobie samej, że przez łaskę i miłość Wszechwiedzącego przemieniła się z kraju w Ideę, z historycznego wypadku »w religijną prawdę. Była niegdyś *figurą* przyszłości; »jako figura, jako znak, rozbitą została. Teraz musi się »stać nie już *obrazem*, ale *zakonem* przyszłości; musi »*objawić prawo Boże, myśl Pańską* o ludzkości«. Pokazuje się z tego, że jest *figura*, ale nie tożsamość; dalej, że figura możebna tylko, ale nie już rzeczywista, skoro *musi objawić prawo Boże*, ale na to musi pierwszej *wiedzieć o sobie*, że ma być nie *obrazem*, ale *zakonem*. Jeżeli nie dopełni tego warunku, to oczywiście nie dopełni także tego przeznaczenia.

Zatem niema tożsamości Chrystusa Pana i Polski, i jest warunkowość jego przeznaczeń i przyszłości.

Idźmy dalej i zapytajmy, czy Krasiński myślał, że Polska ze świadomością i dobrowolnie przyjęła ten los i to przeznaczenie? »Z męki bez granic w jednym wstanie życie bez miary dla wszystkich«, mówi *Niedokończony Poemat*; ale na to, żeby męka była ofiarą, trzeba, żeby była świadomie i dobrowolnie przyjętą.

Z tej logicznej trudności wychodzi Krasiński z pomocą swojej filozofii. W epokach przeszłych — mówi Cieszkowski w *Prolegomenach* — były działania instynktowe, nieświadome, (*Thatsachen*), ze zgody dopiero woli z sumieniem wynikną w epoce przyszłej czyny świadome (*Thatsacten*). To bierze Krasiński za podstawę, i mniema, że za dawnej Rzeczypospolitej, Polska choć miała instynkta i pierwiastki »miłości i braterstwa«, to miała je wrodzone, dane, ale niewyrobane, nieświadome; bezwiednie też, bezwłasnowolnie, doszła do swego upadku i swojej męki. Ale w chwili, kiedy do tego kresu dochodziła, już ta świadomość była się ocknęła, a z czasem rozwinęła się bardziej, i dziś Polska z wiedzą i wolą pragnie dojść i przyczynić się do urzeczywistnienia myśli Bożej i prawa Bożego w ludzkości i w historii. Przed rozbiorami były w niej wrodzone instynkta i uczucia, dziś jest świadomość i wola; nie była zatem ofiarą dobrowolną, zgadzającą się na swój los naprzód, z góry, ale stać się taką może przez świadomość swojej męki *ex post*, i przez wolę podniesienia się w niej i przemienienia¹⁾.

A jakże teraz pogodzić te świetne wróżby przyszłości z gorzkimi i pogardliwymi narzekaniami na teraźniejszość, z surowym (aż do przesady) sądem o przeszłości. W *Przedświcie*, w *Psalmach*, w *Dniu Dzisiejszym* Ezechielowo widzenia niebieskiej Jerozolimy na ziemi z Polską za jej punkt środkowy, w wielu listach ta sama nadzieja i wiara; a w wierszu, który nazwalibyśmy *Do lichych Polaków*, w liście do Soltana z Pragi 1836 r., w liście z Warszawy dnia 12 i 20 maja 1844 r., takie obrzydzenie na widok Polski dzisiejszej! w liście do ojca (ogłoszonym przez Szujskiego w drugim tomie *Opowiadań i Roztrząsań* 1882 r.) takie lekceważenie naszej historii i oświaty, że jedne

¹⁾ Obszerniej o tem pan Sternal o *Przedświcie*, str. 30 i 31.

czyta się z boleścią, a drugie z gniewem. Cóż więc jest prawdą, i jak te sprzeczne uczucia i sądy pogodzić?

Przedewszystkiem w optymizmie, jak w pesymizmie Krasińskiego trzeba odliczyć wiele na karb poetycznego usposobienia i chwilowego wrażenia. Jeżeli każdy człowiek pod wpływem silniejszego wrażenia, czy się zachwyci, czy oburzy, daje uczuciu swemu zbyt często wyraz przechodzący miarę tego uczucia, — to zjawisko to, dobrze nam z doświadczenia znane, tem silniej i tem łatwiej występować musi u człowieka z poetyczną fantazyą, i z organizacją fizyczną niezmiernie drażliwą. Kiedy Krasiński widzi złe w Polsce dzisiejszej, wpada w gniew i pogardę tem większą, im bardziej pragnąłby ją szanować i podziwiać; pod tem wrażeniem złego wybucha gniewem i wzgardą, a nie mówi o dobrem, jakie obok złego jest, jakie wskazałby sam odrazu, gdyby go o nie zapytać. Kiedy porównywa wątek i rozmiary cywilizacyjnej pracy krajów zachodnich i Polski, te ostatnie wydają mu się tak małe, że znowu wpada w gniew i staje się niesprawiedliwym. Ale jedno jak drugie godzi się przecie z jego teorią nie tylko dlatego, że surowość i gorycz jest wrażeniem chwilowem i zbyt dosadnie wyrażonem, ale dlatego zwłaszcza, że to wszystko złe jakie jest i jakie go tak oburza, jest koniecznym warunkiem i skutkiem tego stanu przejściowego, niedopełnionego, w jakim jesteśmy. Era chrześcijańska cała jest erą rozbratu, walki, rozłamu, po których dopiero nastąpi harmonia; okresem rozstroju politycznego, społecznego, i moralnego, jest tem bardziej i tem konieczniej dzisiejszy stan Polski. Ale to stan przejściowy, złe nieuniknione, lecz przemijające, a przynajmniej takie, które przeminąć może i powinno; a po jego przewyciężeniu owa przyszłość lepsza będzie mogła się zacząć. Ten sam list do Sołtana, taki groźny i rozpaczliwy w swojej pogardzie, kończy się obietnicą, że »przychodzi czas,

w którym urzeczywistni się przepis Chrystusowy: Jeden Bóg, Jedno Prawo i Jedna Prawda» i kończy się *Psalmem Miłości*.

Pozostawałaby jeszcze kwestya stosunku *Przedświtu* do Messyanizmu Mickiewicza i Towiańskiego. Odpowiedź jest łatwa. Punkt wyjścia jest ten sam, dzisiejszy stan świata i narodu; ale rezultat jest zupełnie inny. U Krasieńskiego niema nowego objawienia, ani nowej wiary, ani szeregu objawicieli czyli *słów*, ani całego cudownego, czy cudotwórczego mistycznego pierwiastku, jaki tam jest. U Krasieńskiego niema trzeciego zakonu, któryby do Chrystusowego miał się tak, jak ten do Mojżeszowego; jest tylko lepsze wypełnienie, urzeczywistnienie Chrześcijaństwa, i ono bez osobnego nowego objawienia, będzie nowym oczekiwanym wylewem łaski, obiecanem *Pocieszeniem* przez Ducha św. Różnica tak widoczna i zrozumiała, idea sama i jej następstwa tak oczywiście zasadniczo odmienne, że niema nad czem długo się zatrzymywać¹⁾.

¹⁾ Pan Sternal, w rozprawie o *Przedświcie* przypuszcza, że jednym z głównych powodów jego napisania była polemika z Messyanizmem i sprostowanie jego błędnych nauk. Za dowód służy mu list do Gaszyńskiego z 16 czerwca 1843 r.: »Zdaje się, że szkoła nie »rada, iż jej myśl odtajemniczoną została, odmistycyzowaną; wolałaby dłużej pozostać w stanie misterium czy mistyfikacji«. Słowa te dowodziłyby tylko, że Krasieński widział w Messyanizmie niektóre pierwiastki prawdy, i że to w swoim mniemaniu nie mistycznie w *Przedświcie* wyłożył, ale niedowodzą, że w tym celu (choćby ubocznym tylko) *Przedświt* pisał. Miał sam myśl, którą uważał za prawdę i chciał ją objawić, nic więcej. Dla polemiki z Towianizmem, który nazywa wierutnem głupstwem, ani dla jego prostowania nie byłby pisał dzieła, do którego dobył wszystkich sił swego umysłu i wszystkich uczuć swego serca. Związku z Messyanizmem dowodził raczej list do Słowackiego, z Rzymu 26 stycznia 1843 r. »O to »kusicie się bracia moi« (by myśl Pańską o ludzkości objawić) — »błogosławieni jesteście za to, żeście pierwsi pojęli to i starali się to »uczynić«. To byłoby świadectwem oddaniem Messyanizmowi, gdyby zaraz potem nie następowало zastrzeżenie, że Messyanizm nie zrobił

Taka jest w prozaicznym wykładzie i streszczeniu myśl *Przedświtu*. Objaśniona listami, wydaje się ona prostsza, mniej błędną, niż wydawała się dawniej, kiedy te listy nie były znane. Owa Chrystusowość Polski, przeciw której najśluszniej występowało wielu, Klaczko pierwszy, a po nim w swoich młodzieńczych wierszach Szujski, przy pomocy listów nie okazuje się takim religijnym zuchwalstwem, ani takim historycznym fałszem, za jakie braliśmy ją dotąd. Poetyczne wyrażenia przedstawiły myśl Krasińskiego w świetle nie zupełnie takim, w jakim on ją widział.

Czy w *Przedświcie* jest prawda, albo nie? Nie dochodzimy dłużej. Powiedzieliśmy wyżej, co w naszym przekonaniu jest w nim prawdą. Pojmujemy, że można o tem różnie myśleć i sądzić. Można mówić, że to jest zupełnie nieprawdą, można wybierać i oddzielać prawdy od złudzeń, można zupełnie wierzyć, można zupełnie nie wierzyć i śmiać się (gdyby kto miał tę odwagę zaiste nie do pozazdroszczenia); to wszystko można robić z dobrą wiarą. Ale jest jedno, czego z dobrą wiarą zrobić nie można, to z *Przedświtu* wywodzić wnioski, jakoby Krasiński z jakiegoś mistycznego kwietyzmu, z jakiejś niby a fałszywo-religijnej rezygnacyi był się godził na rozbiór Polski, z czego potem wydedukować próbowano, jakoby był chciał, czy radził, w nim pozostać.

tego, o co się starał, i gdyby cały list nie był widocznie na to pisany, żeby Słowackiego od Messyanizmu odwrócić. Jak zwykle w takich razach, Krasiński wchodzi w jego myśl, postępuje z nim łagodnie, przyznaje mu częściową słusność lub zasługę, ale na to, żeby tą drogą łatwiej do jego przekonania trafić.

Należałoby dojść, czy do napisania *Przedświtu* nie przyczyniła się książka (lub może broszura) *La Résurrection* par Stoffel, którą Krasiński w listach sławi jako szczególnie mądrą i wzniosłą. W krajowych bibliotekach publicznych jak prywatnych, nie mogliśmy jej znaleźć.

Ze słów »łaska Boża nas weгнаła w te bezdroża«, i z ostatnich »błogosławcie ojców winie«, wyciągnięto tysiące przeciw Krasińskiemu zarzutów i oskarżeń; nie wiedzieć, czy bardziej rozśmieszających swoją głupotą i niezrozumieniem jego myśli, czy bardziej oburzających złośliwością i złą wiarą. Mówiło się naprzykład, że »błogosławcie ojców winie«, to ma znaczyć błogosławcie veto, błogosławcie wojny kozackie, magnatów rokoszanów, pańszczyznę, adskrypcyę do gleby; bez mała dowodzonoby, że kazał błogosławić saską głupotę i opilstwo. A znowu kiedy »łaska Boża nas weгнаła w te bezdroża«, więc ztąd niby oczywista konkluzya, niby Krasińskiego, że trzeba w tych bezdrożach siedzieć i chwalić tę mniemaną łaskę Bożą. Naciąganie zadziwiająco śmiałe; a tak widoczne, tak niezgrabne, że nie może się osłonić, ani najlżejszym nawet pozorem dobrej wiary, a złego zrozumienia. Bo wyobraźmy sobie człowieka najbardziej ograniczonego i zakutego, który Krasińskiego nigdy nie czytał, który nie zna, a gdyby znał, nie mógłby zrozumieć całego poglądu Krasińskiego na historję, któryby nie rozumiał i nie wiedział, że podług tego poglądu próba grobu jest koniecznością wyższego i pełniejszego życia, to i taki jeszcze, gdyby czytał z dobrą wiarą tylko, to zaraz po owych niby tak gorszących bezdrożach, w które zagnała nas łaska Boża, za co ma być pochwalona, znalazłby wytłómaczenie i powody jasne i rozumiałe. »Niechaj będzie pochwalona« »Bo ojczyźnie mojej dała »z piekieł ziemskich wynijść łona« i t. d., a »Błogosławcie ojców winie«, to nie znaczy błogosławcie złemu, jakie oni robili, ale błogosławcie tę przeszłość, że doprowadziła was do próby grobu, z której wstaniecie, jako Ludów Lud jedyny.

Wobec słów tak jasnych, tak wyraźnych, tak niewątpliwego znaczenia, trzeba nie już zaślepienia, ale najzuchwalszego naciągania, żeby myśl Krasińskiego

wystawić w złem świetle. Gdyby kto zarzucał jego teorii utopijność, mistycyzm, fałsz, nawet niedorzeczność, wszystko to dałoby się może zbić, ale da się twierdzić, i bronić, i dyskutować; ale wyciągać z tych słów wnioski przeciwko jego tendencji, jego przekonaniom i uczuciom, wyciągać z nich broń przeciw jego osobie, słowa przekręcać i naciągać, a z człowieka robić karykaturę jakiegoś ogłupiałego fakira przeszłości, albo zgnuśniałego w religijnym kwietyzmie mistyka, to tylko dowodzi, jak nasze ciasne i płaskie chwilowe uprzedzenia i mizerne namiętności wszystko do siebie ściągają, podług siebie mierzą i sądzą, jak nasza dobra wiara i nasza dobra wola obchodzi się z tem nawet, co mamy największego, i jak zawsze mała namiętność małych ludzi »takie widzi świata koło, jakie tępemi zakreśla oczy«.

Ale oprócz filozoficznej i moralnej treści, jest poetyczna forma *Przedświtu*. On jest poematem nie traktatem. Cóż o tej stronie rzeczy powiedzieć?

Przedewszystkiem to, że oznacza zwrot w zawodzie (po części nawet w talencie) swego autora. Dotychczas był to filozoficzny poeta, piszący allegoryczne poemata, ale był poeta głównie. Jego władzą przy tworzeniu najczynniejszą była fantazyja, wyobraźnia; z niej wyszła *Nieboska Komedia* i *Irydion*. Teraz poemat poczęty w wyobraźni znika, znika ta forma poematu, i znika allegoryja, kształt jakiś służący do wyrażenia pewnej idei. Myśl, znaleziona prawda, jest dla poety tak jasną, że nie potrzebuje tych pomocy, osłon i dodatków, wyraża się wprost i w formie najbliższej, najmniej szukanej i obmyślanej, w formie niejako przyrodzonej lirycznego wiersza. Ale nie sama tylko forma, treść także zmienia się od tego czasu stanowczo. Aż dotąd były to filozoficzne, polityczne, lub moralne myśli, wypowiedziane z widoczną tendencyą, ale ukryte w poetycznych pomysłach i kształ-

tach. Od *Przedświtu* myśli te, dla poety samego jaśniejsze, wyrażają się jeżeli nie dogmatycznie, to przynajmniej dydaktycznie i praktycznie. Tendencja nie każe się szukać i dobywać z pod poetycznych obsłon, leży na wierzchu i wyłożona jest tak dokładnie, mierzy tak prosto najkrótszą drogą w swój cel, że występuje nierównie wyraźniej, aniżeli w dawniejszych poematach. Są to albo poemata filozoficzne, jak *Przedświt*, albo wprost polityczne i okolicznościowe, jak *Psalms Miłości*, ale zawsze z tym charakterem otwarcie tendencyjnym i dydaktycznym. Nie można mówić, że talent poetyczny Krasińskiego zmałał i skrzywił się, kiedy wydawał *Przedświt* i *Psalmy*: ale przewaga myśli nad fantazyą, dydaktyzmu i tendencyi nad poezją, jest w nich widoczna i niezaprzeczona. Niektóre ze świetnych poetycznych darów autora *Irydiona* leżą odtąd odłogiem, są mu niepotrzebne, stają się nieczynne; filozofia historii i filozofia polityki chrześcijańskiej bierze górę nad poezją.

Czy z tego ma wynikać, że *Przedświt* nie jest poezją? Jest jedną z bardzo pięknych i szczytnych na świecie; nie przez samą wzniosłość uczucia i myśli, ale przez świetność formy, przez moc poetycznego natchnienia, które (w tem dowód i miara wielkości Krasińskiego jako poety) tak się z dydaktyzmem i tendencyą łączy, że na niej nawet (rzecz jedna z najrzadszych na świecie) wybija swoje piętno, podnosi ją do swoich wysokości. Skrzydła tego natchnienia, to miłość ojczyzny i wiara w jej dobrą sprawę i przyszłość, to nienawiść złego w ludzkości, to wreszcie miłość tej, która była podówczas jego niewieścim ideałem. Że to natchnienie w *Przedświcie* (jak odtąd wszędzie, z jednym wyjątkiem *Psalmsu Dobrej Woli*) nie utrzymuje się ciągle na tej samej wysokości, to prawda; i to pod względem artystycznym szkoda tych poematów, powód ich niedoskonałości. Ale piękności

pierwszego rzędu, jakie w nich są, dodane do głębokiej i potężnej myśli, czynią zadosyć za usterki i stawiają je na szczytach poezji polskiej.

Nie staramy się dochodzić, do jakiego rodzaju czy kształtu poezji należy *Przedświt*. Można go liczyć do patryotycznych elegii, można mówić, że rozmiarami a poniekąd treścią zbliża się do *Ducha od Stepu Zalesskiego*; Lucyan Siemieński kiedyś za młodu widział w nim jakąś drugą *Pieśń o Ziemi naszej* Pola odmienną (istotnie bardzo odmienną!) Klaczko mówi, że on jest jakżeby szeregiem canzon... z tych wszystkich definicyi żadna nie zdaje nam się przystawać dobrze do swego przedmiotu, a na definicyi, zdaniem naszym, nie wiele zależy. Poemat treścią do żadnego innego nie podobny, urobił sobie i formę dowolną, budowę nieregularną i jakoby bez planu. Ta forma zrobiła się sama, jak chciała. Poeta dbał o nią, chciał, żeby była piękną; szczegóły i drobiazgi piłował i poprawiał prawie do znudzenia (Listy do Gaszyńskiego); ale nad planem widocznie się długo nie mozolił. Jedyny plan, jaki w *Przedświcie* wysledzić się daje, to ten, który układał się sam naturalnie, za logicznym związkiem i następstwem myśli i argumentów. Naprzód żal i gorycz nad dzisiejszym stanem świata i wynikające z niej pytanie »za co życie w życia chwili, z taką pychą roztrwonili« — potem odpowiedź i wytłomaczenie zagadki dziejów aż do dnia dzisiejszego, a w końcu widzenie przyszłości. Na tym logicznym porządku zasadza się cały plan, cała budowa *Przedświtu*, dowolna zresztą, nieregularna, wykonana widocznie tak, jak chciało i dyktowało natchnienie każdej chwili.

Ale jeżeli chodzi o to, by dojść w czem tkwi tajemnica tego wrażenia, jakie *Przedświt* robi, i tajemnica jego poetycznej piękności, to szukać trzeba jednej w jego związku ze wszystkimi uczuciami i cier-

pieniami narodu od rozbiorów do dziś, drugiej w mocy i piękności stylu, która wytworzona przez moc i głębokość uczuć, jej odpowiada i dorównywa.

Ten związek z powszechnem uczuciem patriotycznym jest nie w samych tylko nadziejach czy widzeniach przyszłości, on jest ciągle, we wszystkim.

Na pierwszej karcie zaraz znajduje się wyraz na jedno z uczuć najpowszechniejszych a najbardziej dręczących, i dręczących zwykle długo, dopóki sobie człowiek jakiegoś tłumaczenia, jakiejś pociechy nie znajdzie. »Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany«, to oczywiście nie ściąga się do wszystkich; ale potem zaraz następuje to, co Konrada w *Dziadach* doprowadziło do rozpacz, i do krzyku, że Bóg jest carem świata, co różni poeci po Krasińskim na różne sposoby wyrażali (Ujejski np. »I patrzę w niebo, czy z jego szczytu etc.«), co każdy, choć nie poeta, myśli i czuje, czego każdy spodziewa się i czeka, i każdy się wyrzeka: a czego nikt nie wyraził piękniej, z głębszym i poważniejszym smutkiem, jak Krasiński, wiary, że niesprawiedliwość ustać musi, i zdziwienia, że ona jeszcze nie ustaje:

Zrazu jam myślał, że Bóg miłosierny,
Na dumne dumny, ale wiernym wierny i t. d.

Choć niema tego, ktoby mógł o sobie powiedzieć, że jak Dant za życia przeszedł przez piekło, przecież każdy czuł to samo choć raz w życiu, i dlatego to poemat zaraz na wstępie chwyta go za najczulszą strunę serca. Wiersz ostatni »coraz podłej na tej ziemi było« jest doskonałym przykładem tej właściwości, tego daru szczególniego, jaki Krasiński miał, żeby w kilku najkrótszych i najprostszych słowach wycisnąć samą essencję rzeczy, określić jakiś stan rzeczy, napiętnować człowieka czy uczynek. Tacyt, Dante, Bossuet, ci mistrze słów krótkich jak piorun i jak on

zabijających, nie mogliby powiedzieć lepiej. U Krasińskiego zaś jest to jeden z wielu, z niezliczonych prawie przykładów tej jędrności i dosadności wyrażen, jaką ma — zwłaszcza w pogardzie.

W odmiennym tonie i stylu, ale znowu niezrównanej piękności jest ustęp pierwszy: »Czy pamiętasz nad Alp śniegiem«, wierne odbicie chwil szczęścia i uniesienia, tego »półtora miesiąca na szczytach gór, nad zwierciadłami jezior«, które przebył »kąpiąc się w słońcu i księżycu... i czując, że jeszcze mogą być szczęsnym, natchnionym«... (List do Gaszyńskiego 18 listopada 1841).

Cudowny ustęp poetyczny; nie obraz, nie opis natury, ale przypomnienie tak silne jakiejś błogości i piękności w naturze i w duszy człowieka: tak rzadkie przytem u Krasińskiego uczucie szczęścia, a tak charakterystyczne dla niego to wrażenie szczęścia przez jedność, przez zupełną harmonię pomiędzy człowiekiem, światem i Bogiem, że pomimo jednego wiersza, raczej jednego wyrażenia cokolwiek prozaicznego: »rzeczywistość się pomału w świat przemienia ideału«, ustęp ten jest jednym z klejnotów naszej poezyi.

Ale gdyby tylko błogość, tylko piękność, tylko szczęście, on nie byłby pisał. W tem odbiciu jakiegoś nieopisanego szczęścia, charakterystycznie odzywa się to, co nad wszystkim góruje w jego duszy. On jest tak szczęśliwy, tak mu dobrze i błogo, aż mu się zdaje »że w tej chwili ze snu trumny jego święta gdzieś już wstaje«. To prawdziwa miara szczęścia; do niej odnosi, z nią porównywa, co dozna dobrego, a kiedy się szczęśliwym czuje, to nie może być inaczej, tylko i tam musi się dziać coś dobrego, musi się jakieś szczęście przybliżać! Zaraz też wspomnienia zachwytu i uniesienia przechodzą w ton inny. Dziwna para kochanków, dziwna miłość! wśród rozkosznej włoskiej nocy na błękitach jeziora, powinnyby zapomnieć o świecie

w swoim szczęściu, jak Julia Szekspira, kiedy zapomniała o śpiewie skowronka; oni tymczasem zamiast patrzeć sobie w oczy »podnoszą wzrok w górę« i winszą sobie, że »nim zstąpi cud i zbawi tych, co w dawnym śpią kościele, nam zwątpienie serc nie krwawi, nam nie brudzi czoła trwoga«. Te dwa serca tak blizkie siebie, jak one przecież są od siebie samych daleko, jak wysoko nad sobą samemi; oni myślą, że w tej pięknej chwili »może słucha ich Duch Boży«, a więc:

»Módl się ze mną, wymów imię,
»Co wypadło z lutni życia etc.

i następuje potem to zaręczenie, że zmartwychwstanie jest prawem tych, co odbyli próbę grobu, »nie im, sobie« winien je Bóg. »Wiecznotrwały ten na ziemi, kto swą śmiercią życie plemi«. A dalej ton nowy; trzeci pierwiastek jego natchnienia: oburzenie i wzgarda. Świat dzisiejszy »czy z kupiecką zysku szalą, czy z bagnetem i pałaszem«, jest światem złego, które niesie tylko śmierć, nie życie i musi zginąć marnie. Wielkie, szlachetne oburzenie Krasińskiego na cały ten porządek rzeczy, na dyplomacye i rządy »szpiegi, katy i półśrodków sztucznych pany«, nigdy nie wybuchło silniej, nigdy nie było tak dumnem i wspaniałem, jak tu, kiedy z wielkiej pogardy nawet przeklinać nie raczy. Nigdy inwektywa nie była namiętniejszą, wścieklejszą, i wspanialszą.

To część pierwsza poematu, odpowiadająca pierwszemu twierdzeniu wstępu; to ten stan świata podobny do Rzymu za dni Cezara, świat, który potrzebuje pomocy, i pierwszy dowód blizkiego przesilenia. Ale gdzie pewność, gdzie dowód, że tem przesileniem ma być Polska? W jej historyi.

U Słowackiego w Beniowskim jest jeden ustęp niezrównanej rzewności i tęsknoty, w którym on

zwraca się do przeszłości z takim żalem, z jakimby człowiek myślał o swoim miejscu rodzinnem, gdyby z niego był wygnany nazawsze.

Dawna ojczyzna moja — o jak trudno
Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy etc.

To samo uczucie, tę samą myśl i z nie mniejszą rzetelnością wyraża Krasiński, kiedy mówi:

»Znasz ty miłość, która ęci
»Wiecznie duszę w kraj pamięci«...

Ale on do tej myśli dodaje drugą, a także powszechną, powszechną, jak pytanie do Boga, co robi, że pozwala na to, co pozwala, pytanie bolesne do przeszłości, do dawnej Polski, dlaczego nie lepiej swymi losami kierowała:

Za co życie w życia chwili
Z taką dumą roztrwonili etc.

I teraz przychodzi wytłómaczenie historii polskiej. Tłómaczenie zbyt piękne zapewne, zbyt idealne, ale w które poeta święcie wierzył — »Czarnieckiego trud, Sobieskiego europejski czyn, Żółkiewskiego zgon, Batoroego hart, Jadwigi niepokalaność« — wszystkie te wzniosłe piękności historii, były dla niego, jak wiemy, dowodem i rękojmą wzniosłych przeznaczeń narodu, zakładem, że Polska rzeczywiście być zaczęła »uwidomieniem objawienia Syna Bożego w stosunkach między narodami«; myśl którą miał i Brodziński, i Mickiewicz także, której ostatni używał jako dowodu, że nowe Słowo zjawi się w Polsce. Krasiński, jak oni, zapatrzony w te piękności historii, nie wspomina o tem, co w niej było złem i grzesznem; dodaje swój pewnik, że co się ma odrodzić w wyższem lepszem ciełe, musi umrzeć, przebyć próbę grobu; i mówi, że ta przeszłość Polski, która wiodła do tej próby, bez

której niema zmartwychwstania, ani podniesienia, nie była nieszczęściem i złem, ale z Bożego przejrzenia koniecznością historyczną dla Polski i dla świata. A więc dlatego »Ty nie szukaj w ojcach winy, bo nie wiesz co czas blizki co daleki, i co Boskiej znak opieki«.

I wreszcie po wybuchu nieogarnionego, niewysłowionego szczęścia, obraz obiecannej przyszłej epoki: Polska »nieśmiertelna, nieskończona«, otoczona narodami, które wszystkie »płoną pierwszym wschodem i potęgą i zwycięstwami«, »ale nie tak białe, mniej olbrzymie i wspaniałe«, bo nie znaczone krwią męczeństwa, bo grób nie wyuczył ich ścieżek Pana, i te wszystkie ludy »w niej uznały Boże piękno, świata dadzą jej koronę«, a Bóg oddaje jej świat

By go wiodła czynu torem,
Aż się staną jej (ludzkości) plemiona
Jednym Duchu arcytwarem.

Doznaje się wielkiego smutku, kiedy się porówna te wróżby i obietnice, te uniesienia nadziei z rzeczywistością tej biednej królowej narodów, tego archanioła, który wygląda nie jak archanioł, ale jak wzgardzony paria, nie jak królowa, ale jak ostatnia w Europie najnędniejsza żebraczka, nie w purpurze ale w lachmanach, nie w jasnych szatach przemienienia ale w odzieży nie tak nawet czystej, jakby zwykła ludzka odzież być mogła i być powinna. Co za straszna ironia w tem marzeniu? co za smutna zarozumiałość? co za przechwałki wstrętne tam, gdzie tylko na pokorę i smutek jest miejsce? Tak wśród przedświtów pięknego poranka marzył wygnaniec, marzyła wygnanka? marzyli, a ich marzenie, nie spełnione, rozdziera serce i prawie zmusza człowieka spuścić czoło ze wstydu na tyle dumy, a tak mało do niej prawa! Czy istotnie? czy to wrażenie,

jakie zostawia w duszy *Przedświt*? czy on jest tylko marnem urojeniem, tylko szumną a zuchwałą przechwałką? Nie. Jest tam warunek; jest pod zachwytem surowość, jest pod obietnicą groźba.

Słowo tylko, to marna połowa
Arcydzieł życia.

Słowo tylko, tylko uczucie, tylko miłość ojczyzny, to marna połowa arcydzieł życia; wiara w jej przyszłość nie zbawi, bo wiara bez uczynków jest martwa. Dopóki łódka na marzeń jeziorze, myśl tylko weszła nie człowiek do nieba; jest tylko nadzieja, tylko złudzenie, tylko fantazyja, ale nie ojczyzna. »Modlitwa jedyna, co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyzna, lecz nie zna myśli i czynów rozdziału, co głosem śpiewa, to wciela pomału w kształt dotykalny«: to znaczy, że to dobre, którego chce i które kocha, tworzy gdzie może i jak może, naokoło siebie, a najpierwej w sobie. Tego żąda Krasiński, kiedy ostrzega przed rozdziałem myśli i czynów, kiedy mówi, że słowo jest marną połową życia, ale każe je wcielać w kształt dotykalny i »patrzac na swoje widnokręgi, świat rzeczywisty wokół siebie tworzyć, równy pięknnością światom ideału«. To nie marzenie, ani przechwałka; to prawda, i prawda surowa i groźna, to warunek, bez którego obietnica będzie złudzeniem i marą. Ale w dniu kiedyby on był dopełniony, wtedy *Przedświt* mógłby stać się prawdą.

Czy tak będzie, jak on mówi, to rzecz inna; ale to, co już jest, to jest takie jak on mówi; a to co być ma, powinno być takie jak on mówi. Że naród w naszym położeniu, nie mogąc ujrzeć ani w sobie ani po za sobą siły i pomocy do dźwignienia się z upadku, wszędzie pobity, wszędzie zawiedziony, a przecież żyjący, musiał szukać gdzieś po za rzeczywistością te-
raźniejszych stosunków czegoś, coby mu dało odwagę,

i tłumaczenie jego losów, to jest zupełnie naturalne. Szukał też długo, uporczywie, i zawsze w tym samym kierunku. Wreszcie znalazł się człowiek, który nie pierwszy wpadł na to szukane słowo zagadki, ale pierwszy sformułował je tak jasno, tak ściśle, tak rozumowo. Rzecz prosta, że to jego słowo odpowiadało najgorętszemu pragnieniu i najrzeczywistszej potrzebie narodu — rzecz prosta, że było przyjęte jak objawienie samej prawdy. W słowach tych nie wszystko było ścisłą prawdą, było wiele złudzenia, wiele uniesienia, wiele ideału złudnego, to było konieczne, to rzecz ludzka; jak i to, że prawdy moralnej i politycznej od złudzeń nie umieliśmy odrazu rozróżnić, żeśmy wszystko ryczałtem wzięli za prawdę, i że tym sposobem wpadliśmy w podwójne złudzenie, miłości własnej naprzód, a potem w złudzenie blizkiego, niechybnego, koniecznego zwycięstwa. Był więc we wpływie Krasieńskiego i pierwiastek szkodliwy; my więcej temu winni, jak on, bo zapatrzeni w jego obietnice tylko, zapominaliśmy, że on stawiał ich spełnieniu warunki, i że nie oznaczał nigdy terminu tego spełnienia. I dlatego nie można uważać go za fantastycznego marzyciela czy mistyka. Można zaś widzieć to, że logika moralności i historii, aż do chwili dzisiejszej, przyznaje mu słuszność — dalej, że tej potrzebie odwagi, nadziei i wiary w przyszłość, jaką naród cały czuł, jego poezya odpowiedziała ze wszystkich najlepiej, że w skutku tego obudziła zapał niezmierny, wywarła wpływ znaczny, choć nie zawsze szczęśliwy na naszą historję, a na naszą literaturę, mianowicie na naszą poezję lat najbliższych wpływ taki, że wszyscy poeci następnii, ile razy puszczali się na pole przyszłości i uderzali w strunę patryotycznych przepowiedni, zawsze z Krasieńskiego myśli swoje czerpali, jego powtarzali, prze-rabiali, parafrazowali. Wszystko to perełki i kamyczki

wyjęte z tego skarbcza, strumyki wymykające się w różne strony z tego jeziora niezmierzonej głębi uczuć patryotycznych, które się nazywa *Przedświt* i *Psalm Przyszłości*.

Wspomnieliśmy, że naród, który uległ wielkiemu nieszczęściu, a który się na los swój nie zgodził, musiał szukać czegoś, co mu ten los wytłómaczyło, a zarazem obiecywało lepszą przyszłość. Same powody fizyczne nie wystarczały, bo te jeżeli miały zabić, powinny były zabić zupełnie, tymczasem życie zostało. Wyroki sprawiedliwości Boskiej, pokuta za dawne grzechy, i ta nie wystarczała, bo pomimo wszystkiego, naród czuł się lepszym, mniej winnym od wielu, a widział się ukaranym, kiedy gorszym od niego działo się dobrze. Było więc ciągle i niespokojne pytanie w sercach tysięcy ludzi: z kąd i dlaczego? a nad tem pytaniem górowała jeszcze myśl, że się to skończyć powinno: namiętne, konwulsyjne trzymanie się nadziei. Jak długo jeszcze trwała możność i konieczność nawet życia w rzeczywistości, w stosunkach choć nie normalnych, nie takich jak być powinny, ale utrzymujących nas w praktyce życia, tak długo i nasze nadzieje, nasze rachuby opierały się na jakichś danych dotykających i ziemskich. Lecz kiedy to znikło, kiedy istotnie żadna rachuba, żaden zbieg rzeczywistych zwykłych warunków politycznego życia nie zapowiadał żadnej zmiany pomyślniej, i nie pozwalał wyciągnąć z siebie takiej konkluzji, do którejby nasze nadzieje dały się nawiązać, — a one przecież zostały, tem silniej, tem uporczywiej przechowywane, im bardziej zaprzeczane — wtedy, pozbawione ziemskiego oparcia, zawiesiły się w powietrzu, pomiędzy niebem a ziemią, wtedy musiały przybrać charakter mistyczny; nie mając na ziemi nic, co by je usprawiedliwić mogło, usprawiedliwiły się same przed sobą przeczuciami, jakoby przejrzeniami zakrytych zamiarów Boga. Że zaś nigdzie nie mogły

objawić się i odezwać, tylko w poezji, przeto z natury już cokolwiek mistyczne, przechodząc przez fantazyę poetów, stały się zachwytaami, widzeniami, proctwami. Powstała po roku 1831 ta poezya wieszczca, której dążeniem i zadaniem było odgadnąć i przepowiedzieć przyszłość Polski. I nie mogło być inaczej, jak że ta najbardziej przypadła nam do serca, że owszem, ta jedna wydawała nam się poezją prawdziwą, godną tego imienia. Długo się na nią zanościło, długo ona rosła po cichu. Pierwsze ziarna, z których wyrosła, sięgają jeszcze roku 1795; *Bard Polski* mówił wtedy, że Polska cierpi jak Chrystus, a my mamy cierpieć wszystko, co bądź, byle jej zostać wiernymi, ale o żadnej nadziei nie mówił; a równocześnie odezwał się i ten drugi pierwiastek naszej poezji późniejszej w śpiewie legionów. Później u Woronicza jest silna, uczuciowa, religijna wiara w lepszą przyszłość; u Brodzińskiego już ona chce poprzeć się rozumowaniem, już szuka dla siebie dowodów w sprawiedliwości Boskiej z jednej strony, z drugiej strony w historii; już Polska u niego jest wybranym najlepszym z narodów, ich Chrystusem. Myśl tę wyraża i dalej prowadzi Mickiewicz; za ofiarą na zbawienie świata pójdzie zmartwychwstanie, to *Dziady*, to *Księgi Pielgrzymstwa*, mistycyzm religijny i patryotyczny już zupełnie wyrobiony. Tylko zbyt mistyczny i zbyt religijny (niby religijny), żeby mógł się przyjąć i zyskać wiarę. Niejasnych *czterdziestu czterech* trudno było zrozumieć; w rzeczywistość i prawdę objawienia, jakie wprost od Boga odebrać miał sam Mickiewicz czy Towiański, trudno było wierzyć. Nareszcie przyszedł człowiek z sercem cierpiącym i zboleiałem, z duszą natchnioną i gorącą, a z umysłem raczej filozoficznym i logicznym, jak poetycznym. Długo szukał, długo się męczył, zwolna, mozolnie, pracowicie wydobywał z siebie części tej prawdy której szukał,

odziewał je w kształty nie zawsze jasne allegorycznych postaci, wątpił i rozpaczał znowu, i znowu dźwigał się z rozpaczy, aż wreszcie to słowo zagadki, którego szukali wszyscy, wy dobył z siebie, podobne do tego jakie podawał Mickiewicz, ale jaśniejsze, zupełniejsze, łatwiejsze do przyjęcia, bo podane nie jako objawienie od Boga (którego człowiek nigdy sprawdzić nie może), ale jako logicznie, koniecznie, rozumowo dowiedziony i z historii wywiedziony pewnik; a podawał je z całym natchnieniem wielkiego poety, z całym namaszczeniem wielkiego serca, przepelnionego miłością Boga i Ojczyzny, z całą siłą i darem przekonania potężnego filozoficznego umysłu. Nigdzie nadzieja odrodzenia Polski nie występuje w takiej jasności, w takiej zupełności i pewności, a przytem w takiej względnej trzeźwości i ścisłości, jak w poezji Krasińskiego — *Przedświt* jest najzupełniejszym i najprostszym wyrazem całego tego kierunku; jest koroną i typem tej poezji wieszczej, szczytem, z którego ona potem znacznie schodzić, kwiatem w pełnym rozwoju, po którym ona znacznie więdnąć i opadać; jest w niej punktem najwyższym i zwrotnym.

Jest też takim punktem i w poezji swego autora: to jego *Eureka*, to uzupełnienie, skutek dziesięciu lat bolesnego szukania i ciężkiej pracy ducha, to dla niego prawda jasna, niezawodna, zupełna, niewzruszona, która się już niewiele potem zmieni. Kiedy do niej doszedł, kiedy ją ujrzał, wydała mu się tak jasną i niewątpliwą, że ją wypowiedział i sformułował tak jasno i po prostu, jak dotąd żadnej ze swoich myśli. I pod tym względem nawet oznacza *Przedświt* epokę i zwrot w jego poezji. Żadnych allegoryi, żadnych personifikacyi, żadnych wymysłów wyobraźni: czysta myśl odziana w najprostszą formę wiersza. *Przedświt* jest pierwszym wierszowym poematem Krasińskiego, i pierwszym nie allegorycznym; a jak jest uzupełnie-

niem i rezultatem całej jego dotychczasowej pracy ducha, tak jest i zbiorem i wyrazem całej późniejszej; ani myśli zawartych w *Przedświcie*, ani jego formy już on nie porzuca.

Czy *Przedświt* cały jest równo piękny? zapewne nie. Są ustępy, mianowicie dalsze, po widzeniu Czarnieckiego, w których natchnienie zdaje się słabnąć, w których pierwiastek filozoficzny i dydaktyczny bierze górę, w których trafiają się wyrażenia ciężkie, prozaiczne. W poemacie takiej treści zapewne inaczej być nie mogło; ale pomimo tych miejsc słabszych, jest *Przedświt* dziełem tak potężnego natchnienia, tak silnych uczuć wiary i miłości Boga i Ojczyzny, że może stawać śmiało obok najpiękniejszych natchnień Mickiewicza, a ma ustępy takiej znowu piękności formy, żeby się ich nie powstydził Słowacki. Jako streszczony wyraz, krótkie zebranie całej poezji Krasieńskiego, jako wyraz najzupełniejszy i najjaśniejszy całej naszej poezji wieszczcej, jako źródło, z którego wypłynął potem cały nieskończony potok naśladowań, jako to dzieło w poezji, które na wszystkie niespokojności narodu dało odpowiedź najbardziej pożądaną, które podniosło jego wiarę w przyszłość więcej niż każde inne, i jako to wreszcie, które czytane nie ostrożnie, bez winy autora, wszczepiło w nas zbyt piękne mniemanie o sobie i zbyt bezwarunkową ufność w przyszłość naszej sprawy, a przeto wywarło wpływ po części szkodliwy, jest *Przedświt* jednym z tych rzadkich dzieł poezji, które mają zapewnioną nieśmiertelność nie tylko w literaturze swego narodu, ale i w jego historii.

II.

Ożenienie. Pani Krasińska. Zima w Warszawie. Kajetan Koźmian i jego Czarniecki. Wiersze i Traktat o Trójcy. Stan kraju i jego wrażenie. Emissaryusz. List do Sołtana, pierwsze pomysły *Psalmów*. Lato u wód. Urodzenie syna. Lato 1845 w Nizy, w Niemczech, w Paryżu. Wyjazd do Włoch. Wydanie *Psalmów*.

Ślub Krasińskiego odbył się w Dreźnie, w Lipcu 1843 r.

Jaką była jego żona? ¹⁾

Odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudna. Osoba to wprawdzie nie żyjąca, ale pamięć jej tak jeszcze świeża, życie tak połączone z życiem wielu żyjących, że choć zmarła od lat (1876), pani Krasińska zdaje się zawsze jeszcze do teraźniejszości należeć. Jeżeli z tego powodu mówić o niej każdemu byłoby trudno, to takiemu najtrudniej właśnie, który i znał ją dobrze i od niej wiele dobrego doznał, i dla pamięci jej chowa szczerą, niewygasłą wdzięczność i przywiązanie. Jednak pisząc rys życia jej męża — pierwszy obszerniejszy i dokładniejszy — niepodobna pominąć żony, która w tem życiu znaczyła tak wiele. Oprócz tego była pani Krasińska niewątpliwie i niezaprzeczenie jedną z bardzo znakomitych niewiast swego czasu; jako taka ma prawo, żeby o niej wiedziano i pamiętano. O ile wiemy zaś, nie nakreślił nikt po jej śmierci ani najmniejszego jej wspomnienia i podobieństwa. Niech więc tu znajdzie miejsce i zostanie nie wizerunek, ale przynajmniej lekki szkic tej zajmującej, szlachetnej postaci.

¹⁾ Urodzona w Tomaszpolu na Wołyniu w roku 1820, córka Władysława Branickiego i Róży z Potockich primo voto Antoniowej Potockiej.

Żeby zacząć od tego, co choć najmniej ważne, pierwsze narzucało się uwadze, działało na wyobraźnię, i patrzącego tak usposobiało, że mimowolnie musiał o niej myśleć często z zajęciem i upodobaniem, trzeba przypomnieć, że była piękna jak rzadko. W tym czasie dziwnie obfitym w piękności pierwszego rzędu, pani Krasieńska liczyła się jeszcze do najpiękniejszych. Nawet w latach późniejszych, nawet po wielu boleściach, choć przeszła pierwsza świeżość młodości, a głównym znamieniem twarzy i postaci stał się poważny smutek, nawet wtedy piękność ta nie znikła. Zmienił się jej charakter, ale został przecie blask; został wdzięk spojrzenia, uśmiechu, i doskonała regularność rysów; została kształtna okazałość wysokiej postawy, gracia powolnych ruchów, wrodzona estetyczność i harmonia całej postaci. Kiedy przeszła lat pięćdziesiąt, pani Krasieńska była jeszcze piękna; a bez żadnej sztuki, bez najmniejszej o tem myśli. W latach dwudziestu, zwłaszcza trzydziestu, i jeszcze czterdziestu, była zdumiewająca, nieprawdopodobna; stała między ludźmi jak nadludzkie jakieś zjawisko. W tej piękności rysem charakterystycznym były usta, i uśmiech, łagodny, trochę smutny, a niewypowiedzianie słodki i wdzięczny. Brakiem jedynym były oczy, bardzo piękne i pełne wyrazu, ale w stosunku do innych rysów cokolwiek za małe. Przy włosach czarnych pleć była tak biała i świeża, że niejedna dwudziesto-letnia dziewczyna mogłaby była zazdrościć jej tej pod lat południe schodzącej niewieście. Głos był dźwięczny bardzo, raczej cichy a mowa powolna; śmiech, w późniejszych latach rzadki, był nietrwały, przelotny, ale pogodny i jasny. Płacz — może to dziwnie mówić o płaczu ze stanowiska estetyki, ale wspomnieć warto — był taki, jak się tylko w dziełach sztuki widuje; wyraz najgłębszego i najboleśniejszego cierpienia, a oprócz lekkiego drgania i skurczenia ust, żadnego w twarzy

skrzywienia, żadnego nawet zaczerwienienia oczów, z których łzy padały ciężkie, duże, a rzadkie. Kto pamięta Matkę Boską w Tycyana *Złożeniu do Grobu* w Paryżu, ten może sobie wyobrazić, jak płakała pani Krasińska. Ta szlachetność rysów i wyrazu, ta doskonała estetyczność, i ten odcień smutku jaki w niej był, składały całość, która dla pewnych artystycznych natur i wyobraźni miała urok poetyczny taki, że pani Krasińska była dla nich urzeczywistnieniem absolutnego ideału. Takim naprzykład był Ary-Schefer, dziś za zbyt idealnego uważany, ale rzetelnie i rzeczywiście idealnego kierunku i natchnienia malarz, który mawiał, że nie widział nigdy ludzkiej istoty tak odpowiadającej jego pojęciu piękności, jak pani Krasińska. Powtarza się też jej typ w różnych zmianach i kombinacjach, w wielu jego obrazach; w niektórych (w *Chrystusie między dziećmi* naprzykład) z podobieństwem tak wiernym, że jedna z tych matek lepiej niemal niż wszystkie portrety, przypomina panią Krasińską.

Umysł był bardzo niezwykły, do wszystkiego sposobny i zdalny. Za młodu wielka łatwość do nauki; później rozumu nabytego, wykształcenia, bardzo wiele, a myślenia własnego, zdolności spostrzegania i sądzenia, trafnego zdania, nie mniej, raczej więcej. Doświadczenia, znajomości ludzi i życia, dobrej rady dla drugich tyle, ile delikatnego, a pewnego zmysłu i smaku w rzeczach literatury i sztuki. Cechą czy własnością charakterystyczną tego umysłu była jednak wyobraźnia: niewieścia, zatem więcej bierna jak czynna, idealizująca rzeczy i ludzi na własny użytek a nie twórcza, ale żywa i rzeczywiście poetyczna. Ona to sprawiała, że ze wszystkich zajęć myśli, pani Krasińska największe upodobanie miała w poezyi i w sztuce, i w nich znajomość rzeczy najgłębszą. Pisała bardzo dobrze, nawet pięknie. Listy jej (pisywała ich bardzo

wiele) zawsze bez namysłu pobieżnie pisane, są w swoim rodzaju małemi klejnotami lekkiego stylu, humoru, dowcipu, i bystrych mądrych spostrzeżeń i uwag. W roku 1861 wyszedł bezimiennie w jednym z dzienników francuskich jej list o wypadkach warszawskich (bardzo obszerny, prawie mała broszura), napisany tak doskonale, z takim życiem i z takim wytrawnym politycznym sądem, że zrobił wrażenie nawet na francuzkich czytelnikach. Szukano autora między głośnymi publicystami, domyślano się zamaskowanego Prévost-Paradol, albo Klaczki; a autorem była pani Krasieńska.

Wyobraźnia także sprawiała i to, że ludzi których lubiła, a dopieroż tych których kochała, pani Krasieńska musiała sobie zawsze (czasem łatwowiernie) idealizować, wystawiać ich sobie w świetle podchlebnem i poetycznem. Poetycznie usposobiona (i na poetyczną kształcona i chowana) wyobraźnia, była zarazem i słabą stroną pani Krasieńskiej. Wpływ czasu, literatury, poezji, wyrobił w niej pod tym względem pewien nadmiar, pewną skłonność do poetyczności cokolwiek manierowanej. Kiedy rysowała lub malowała (a miała bardzo miły talent amatorski), to jej panny były zawsze zbyt wysmukłe i powiewne, aniołowie zbyt ładni i słodcy. Kiedy rozmawiała — a rozmowa jej miała zawsze i treść i wdzięk — to okresy były zbyt wykończone, zbyt ozdobne. Ona ich nie układała umyślnie, płynęły jej tak same; ale ludziom wydawały się czasem przygotowane i sztuczne. Trochę romantycznej mody musiało w niej być za młodu, przed pójściem za mąż; a skłonność tę rozwinął i ustalił mąż, który wiemy, jak się w tej zewnętrznej poetyczności kochał, jak ją w sobie i w drugich cenil i pielęgnował. Chciał, żeby żona przypominała mu lub urzeczywistniała — nawet swoim ubraniem — poetyczne jakieś obrazy czy fantazy, i lubił się w nią tak wpatrywać; a ona

z natury już do tego skłonna, im więcej stosowała się do jego życzeń, tem więcej nabierała zwyczaju tej poetyczności zewnętrznej, w której ludzie upatrywali pewien brak prostoty.

Ale nie było tego braku w jej duszy. Ani w jej wielkiej gorącej pobożności, ani w miłosierdziu względem ubogich, ani w życzliwości, dobrej woli, wyrozumiałości dla bogatszego bliźniego. Charakterystycznym przymiotem jej duszy była dobroć, słodycz, łagodność; z czasem podobno i w walce z życiem wyrobiona, ale tem pewniejsza, tem stalsza, że na silnej woli oparta. Ona panowała nad wszystkimi uczuciami, dawała im swoją cechę, swój ton. Obok niej zaś drugą wybitną cechą wszystkich uczuć — zwłaszcza uczuć polskich — była exaltacja; znowu skutek i natury, i czasu, i wpływu męża.

Uczuciowość i wyobraźnię uważali w niej, jako znamiennej cechę, towarzysze jej pierwszej młodości (później przyjaciele całego życia), Adam i Alfred Potoccy, i Alexandra Potocka (później pani Augustowa Potocka), która z rówieśników i przyjaciół, najwięcej może miała u niej powagi i wpływu na ukształcenie jej charakteru. Pobyt w Petersburgu (gdzie ojciec z rozkazu kilka zim przepędzić musiał), przyczynił się pośrednio, ale silnie do utwierdzenia jej w uczuciach polskich. Rozkwitającą śliczną córką cieszył się ten ojciec i pysznił, pieścił i chciałby był nieba jej przychylić; matka strzegła pilnie, żeby jej w tym obcym kraju oczy ludzkie jak najmniej widziały. Sama ledwo że bywała w świecie, a z córką jeszcze mniej i tylko kiedy już koniecznie musiała. Zdrowie młodszej siostry (późniejszej księżnej Odeskalchi), tak się zepsuło w tym srogim klimacie, że władze nie mogły odmówić paszportu; wtedy zaczęły się te wyjazdy za granicę, które dla młodej dziewczyny tak usposobionej, chciwej wrażeń, ciekawej wszy-



stkiego co piękne, musiały być i ponętne bardzo i bardzo kształcące. W jednej z tych podróży nastąpiło pierwsze spotkanie z przyszłym mężem. Jenerał Krasieński, marzący zawsze o ożenieniu syna, musiał koniecznie marzyć dla niego o tej pannie, której Bóg dał wszystko, co ludzkiej istocie dać może; i otrzymał od syna, że znalazł się w Karlsbadzie (w roku 1841).

Jakie były wrażenia panny Lizy, kiedy pierwszy raz poznała Zygmunta Krasieńskiego? Domyślać się można, że dziewczyna tego usposobienia musiała z natężoną ciekawością, z sympatyą, patrzeć na młodego, a prawdziwie wielkiego poetę; z podziwieniem go słuchać kiedy mówił; ale co o nim myślała, tego nie wiemy. Że wszystko co w nim było wielkiego, genialnego, to ona zdolna była zrozumieć, jak mało która dziewczyna na świecie, to pewna. Genialność i poezya jego mogły oczarować jej wyobraźnię; jego patryotyczny ból, nadzieja przyszłości i troska o przyszłość, odzywająca się z każdego jego słowa, podnosiły go w jej oczach, a zbliżały do jej serca. Samo to rozdarcie i udręczenie w jakim żył, jej w szczegółach zapewne nie było znanem, ale było dla niej widocznem, i musiało znowu działać i na wyobraźnię jej i na jej serce. Ona wiedziała o krzywdzie, której niegdyś doznał w Warszawie; zgadywała i przeczuwała wszystkie sprzeczności i ciernie, jakie były w jego stosunku z ojcem; i za to wszystko razem, za gieniusz, za poezję, za nieszczęście, pokochała go (później); zaczęła marzyć o tem, żeby jego troski podzielić, łagodzić, żeby być aniołem pociechy, promieniem słońca w jego smutnem usposobieniu i życiu. Jak Desdemona »pokochała za przebyte cierpienia«. I on miał kiedyś »pokochać za współczucie«, i pokochać ostatnią, najwznioślejszą ze swoich miłości; — ale do tego bardzo jeszcze daleko. W niej także uczucie nie powstało od-

razu. Kiedy poeta w swoich listach z r. 1841 rozwodzi żale nad swoją straconą wolnością, spieszy się zanadto. On widocznie postanowił już wtedy i ojcu przyrzekł się starać; ale ona bynajmniej nic nie przyrzekała, ani nie postanowiła, ani po sobie poznać nie dała; a najpewniej sama jeszcze nie wiedziała, co zrobi. Poeta zaś, który tak rozpacza, że żenić się musi, stara się jednak o to ożenienie usilnie i długo. Między jego wrażeniami i słowami, a jego istotną wolą musiała zachodzić pewna różnica. Ożenić się postanowił; ale upodobanie w dramatycznych sytuacjach sprawiło, że rozpacz nad ożenieniem przymusowem, i w tej rozpaczcy znajdował pewną przyjemność. Gdyby panna była mu się nie podobała, gdyby jej był stanowczo nie chciał, byłby znalazł dość w sobie energii na to, by się ojcu jeszcze tym razem oprzeć. On zaś stara się, i długo, bo przez dwa lata blisko. W Rzymie dopiero, w początkach roku 1843, panna Eliza dała mu słowo. Dała je, wiedząc o jego uczuciach dla pani Delfiny Potockiej, ale przypuszczając z naturalnem w jej wieku niedoświadczeniem i łatwowiernością, że to rzeczy albo już przeszłe i skończone, albo w najgorszym razie łatwe do przewyciężenia miłością, poświęceniem, dobrocią, do których czuła się zdolną i gotową. Nie zawiodła się istotnie; tylko to zwycięstwo potrzebowało więcej czasu, niż ona w swoim niedoświadczeniu zrazu myślała.

Po ślubie wyjazd do Opinogóry, a następnie zima w Warszawie. Stosunek przykry dla obojga; przykry także dla tych, którzy chcieliby Krasińskiego widzieć wolnym od wszelkiego zarzutu, a jego zachowania się usprawiedliwić nie mogą. Można było się nie żenić; ale ożeniwszy się, nie należało grać roli Hrabiego Henryka z *Nieboskiej Komedyi*. On tymczasem, jak żeby był przed dziesięciu laty siebie samego przewidywał i opisał, był takim mężem, jak Henryk. Wyda-

wał się sobie prozaicznym w małżeństwie, jak »fabrykant Niemiec«. Żonie, jeżeli nie mówił, to dawał do poznania: »czuję, że powinienem cię kochać«, i tęsknił do »państw swoich dawnych, zaludnionych, żyjących«— do swojej dawnej poetyczniejszej kochanki, nie pomnąc, jak surowo tego męża sądził, jak bez złudzeń te mary kochanek przedstawiał w swoim młodzieńczym poemacie. Była więc w wielkim, okazałym, pustym pałacu młoda kobieta cudownie piękna, kochająca męża i podziwiająca genialnego człowieka całą duszą, pomiędzy teściem, przywiązany do niej niezmiernie i pragnącym nieba jej przychylić, a mężem obojętnym, sztywnym, pogardliwym. W jednym tylko pomylił się, jednego nie przewidział poeta. Hrabina nie oszalała, nie nudziła męża drobiazgami codziennego życia, nie siliła się na poezję, nie przeklinała nikogo. Mądrzejsza w tym razie stokroć od męża, zrozumiała odrazu z inteligencją dziwną przy jej młodości i nie-doświadczeniu, odgadła szczęśliwym instynktem, co jej robić należało. Być żoną dobrą i miłą — resztę zostawić Bogu i przyszłości. Zawód, żal, upokorzenie, miłość odepchniętą, zamknąć w sercu głęboko, tak żeby ich nikt nigdy nie dojrzał; nie poskarżyć się nigdy, ani przed matką nawet, ani przed siostrami; przed mężem nigdy się nie zniecierpliwić, ani nie znudzić — nigdy mu się nie narzucać. Być pogodną i dobrą zawsze, nigdy nie próbować go zdobyć i podbić odrazu, wstępnym bojem. Robić zawsze to, co on lubi, co mu się podoba; nie wdzięczyc się do niego nigdy. Nie popisywać się nigdy rozumem, dowcipem, wiadomościami, ani pracą w ich nabyciu; ale nabyć ich tyle, żeby rad nie rad musiał się nad nimi zadziwić. Być piękniejszą od wszystkich, to nie było jej trudno — ale być, a nigdy nie starać się wydać piękniejszą. I w tem wytrwać — jak długo? może całe życie, może bez skutku... oto program życia, jaki sobie w skrytości

serca ułożyła kobieta młodziutka, ledwo poślubiona, i którego się trzymała wiernie i ściśle z roztropnością dziwną, z odwagą i siłą woli jeszcze dziwniejszą. Chwilami zdawało jej się, że próba nie potrwa zbyt długo, że może już przyszedł czas lepszy, że można spróbować zapukać do jego serca. W takich chwilach mówi o sobie, prosi. Z rzewnem współczuciem dla niej, z gniewem na niego, widzi się ją prawie, jak nieśmiało, pokornie pyta, czy on, który tyle wierszy napisał dla tyłu, nie napisałby choć jednego, choć małego dla niej. W odpowiedzi odbiera wiersz istotnie, ale jaki! Przyznaje on, że w niej znalazł anioła; ale prosi, żeby po jego śmierci, niedalekiej zapewne, kochała jego myśl

bo nic w niej nigdy nizkiego nie było.
Przed Bogiem tylko i Polską w pokorze,
Szła niespodłona przez podłóści morze...

jego myśl tylko? nie jego samego? i żadnej obietnicy? żadnego uczucia, prócz uznania jej dobroci?

I znowu widzi się, jak po tych wierszach jej serce zamyka się w sobie na nowo, i znowu Bóg jeden wie na jak długo.

Ale ustąpić, poddać się, nie zrobić wszystkiego co się powinno — nie godzi się i nie można. Ten mąż, niby obojętny i o nią nie dbający, dba jednak o to, żeby ona jak najwięcej wiedziała i umiała; żąda, żeby czytała wszystkie możliwe książki filozoficzne, teologiczne, historyczne, i żeby mu z nich zdawała sprawę. Młoda kobieta pracuje po nocach, upada ze zmęczenia; ale na wszystko znajduje i siły i rozum; wszystko robi, wszystko zrozumie, ze wszystkiego zda sprawę. A zmęczenia, czy znudzenia, czy żalu do męża nie pokaże nigdy; będzie zawsze jednako spokojna, łagodna, wypogodzona...

Jednak te przebyte walki, te wysilenia woli, te smutki pierwszych lat pożycia z mężem musiały wpły-

nać na nią, zmienić wyobrażenie o mężu, zmniejszyć nie miłość żony, ale pierwotną cześć, ufność, podziw dla jego serca i charakteru; zostawić na dnie duszy, może bez jej wiedzy nawet, jakiś osad rozczarowania, żalu, zbolałości. I to wszystko miało odezwać się kiedyś w jej życiu, ale później... dużo później.

Listów z tego czasu mało. Do Sołtana parę krótkich, a narzekających, gorzkich. Jeden z Drezna jeszcze, w kilka dni po ślubie pisany (3-go sierpnia): »nie nazywaj mnie już Zygmuntem, ale wiedz, że się »zowię Rozpacz«. Drugi z Warszawy, z końca roku 1843 i z kwietnia 1844, gdzie nad sobą mniej, więcej nad krajem rozpacza. Do Gaszyńskiego i Małachowskiego niema ich wcale. Zaczyna się za to korespondencya w jednym szczegółowym przedmiocie, niespodziewana, a charakterystyczna, korespondencya z Kajetanem Koźmianem. Stary kasztelan pisał właśnie swojego *Czarnieckiego*, a z pobytu Krasińskiego w Warszawie skorzystał, żeby mu przesłać pieśni gotowe; za granicę je posyłać było trudno, kłopotliwie, a może niezupełnie bezpiecznie. Dziwny jest ten pociąg i ufność upartego starego klasyka do najmniej klasycznego z poetów. Oburzać się na *Pana Tadeusza* i na Mickiewicza, a podziwiać autora *Nieboskiej* i *Trzech Myśli Ligenzy*, to był szczyt niekonsekwencji. Popadł w nią konsekwentny zresztą aż nadto prawie Koźmian, dla dwóch, jak sądzę, powodów. Pierwszy był ten, że niejasny, mglisty, niezrozumiały poeta, był synem starego przyjaciela, że mu znany był od dzieciństwa, że mu przypominał lepsze czasy, że wreszcie i poprostu on tego młodego człowieka kochał. To zrozumieć łatwo; trudniej to, że podziwiał poetę, tak przeciwnego wszystkim jego artystycznym pojęciom i zasadom. To zaś tłómaczy się w ten sposób, że tylko artystyczne pojęcia były inne, ale pojęcia i zasady moralne i polskie były te same. W *Irydionie*

Koźmian zapewne smakować nie mógł, ale rozumiał i czuł doskonale to, co było wzniosłego w *Przedświacie*. Oprócz tego Krasiński do walki romantyków nie należał, klasyków nie prześladował, sam miał i bardzo rzetelne wykształcenie klasyczne, i wielkie zamiłowanie poetów starożytnych; w teorii (jak dowodzą właśnie te jego listy) godził się nieraz z pojęciami Koźmiana, choć się ich w praktyce sam nie trzymał. To wszystko sprawiło, że mu Koźmian mógł zaufać, i swój rękopism mu posłał.

Co znowu sprawiło, że się Krasiński tak do *Czarneckiego* zapalał? Czytał go »zrazu z uprzedzeniem, »potem z zajęciem, później z rosnącym uwielbieniem, »wreszcie z miłością« (List z 23-go marca 1844). Można się domyślać napewno, że uprzedzenie odnosiło się do *klasyka*; zajęcie obudziło się pod wpływem tej jędrności stylu, a siły i szlachetności uczucia, jakie w *Czarneckim* niezaprzeczenie są. Kiedy zaś raz obudzonem było zajęcie, przeszło łatwo w uwielbienie pod wpływem znanej Krasińskiego zapalności, skłonności do uniesień i uwielbień, tej poetycznej fantazyi, która przesadzała zwykle odebrane wrażenie, idealizowała ludzi i rzeczy, albo wywoływała namiętne oburzenia. Ujrzał w *Czarneckim* słusznie jakąś rzymską *virtus*, wiele staropolskiego i rycerskiego ducha, ujrzał duch publiczny zdrowy i prosty, jak być powinien; przypomniał sobie, że to pisze starzec nad grobem, zdumiał się nad jego czerstwością i energią, podziwiał go w niej, i uniósł, zapalił się do poety i do poematu, a wtedy poemat wydał mu się piękniejszym, większym, niż jest. Krasiński robi Koźmianowi bardzo trafne uwagi o szczegółach (a Koźmian korzysta z nich bardzo rozumnie), ale tego braku życia i ruchu, jaki jest w poemacie, a zwłaszcza w bohaterze, nie widzi. Co jest ciekawe, to jak on chce *Czarneckiego* Koźmiana zrobić podobnym do tego, którego sam wprowadził

w *Przedświcie*, natchnąć go tym samym duchem. Czy bez skutku? Pierwiastek przepowiadający i expiacyjny zarazem, jaki w *Czarnieckim* Koźmiana jest, byłby w nim zapewne i bez Krasińskiego, musiał należeć do podstawnych pojęć starego poety; ale czy bez niego byłby wystąpił tak wyraźnie i silnie, jak występuje? Wpływ Krasińskiego zdaje się być bardzo widocznym na ostatniem i największem dziele starego klasyka.

»Co zaś do dalszej osnowy, czyby nie warto dać »Stefanowi *conscientiam* przyszłości Polski, której zapewne nie miał w myśli swojej, choć ona koniecznie »z czynu jego wytryska. Niemożnażby niektóre proro- »cze chwile, błyskawice przelotne przecucia ogrom- »nego, wlać w serce tego człowieka, tego pierwowzoru »wszystkich, mających kiedyś skupiać rozebrane części »i ratować kraju całość? My dziś już możemy widzieć, »ku czemu Polska na świat ten zesłana stąpa! Możemy, »krzyża Chrystusowego oświeceni światłem, pojąć, co »znaczy podobny krzyż, wystawiony na przejściu z je- »dnej epoki do drugiej; krzyż, na którym nie już Bóg- »człowiek, ale naród, jako jeden człowiek, kona. Czyż »to nie święta tajemnica także? Czyż to nie znak wiel- »kiej przemiany, powszechnego zmartwychwstania? »Czyż na polu śmierci naszej, na politycznem polu, »przez tęż śmierć nie mamy się spodziewać wykupie- »nia także i dla nas i dla całej ludzkości? Czyż w pier- »siach Polski, tej drugiej Matki Bolesnej, niema także »się urodzić Duch wszelkiej miłości i sprawiedliwości »w stosunkach świeckich, którym dotąd panował tylko »książę świata tego Machiavel? Więc bohater, więc »ideał zbawicieli kraju, niech to przeczuwa. Bo Czar- »niecki eposy dziś pisanej, jest nietylko Czarnieckim »dni już przeszłych; ponieważ wieszcz drugim go ob- »darza życiem, już poniekąd on należy i do tej epoki, »w której zmartwychwstaje. Poezya znaczy tworzenie. »Niech ten wielki umarły z rąk twoich panie weźmie

»część i naszego życia, tem i nam jeszcze lepiej będzie,
 »bo uwierzym w to, i jemu, bo doskonale i zupełnie
 »odżyje w nas. W tem anielskie posłannictwo poety,
 »że wskrzesza; lecz niezupełnieby wskrzeszał, gdyby
 »nic więcej przebudzonemu nie dawał, nad to, z czem
 »on położył się w trumnę. Przeszłość i przyszłość cała
 »powinny zetknąć się, ściąć się w takim ideale«.

Czy Krasiński pisał co tej zimy? Między wierszami z r. 1844, po wierszu do K. B. (Katarzyny Branickiej, później Adamowej Potockiej), pisanym w jesieni tego roku, położony jest wiersz *Poeta*. Treścią odpowiada on usposobieniu Krasińskiego z tych wszystkich lat razem, nie zawiera nic, coby się odnosiło do jakiej szczególnej chwili lub okoliczności; zajmujący jest głównie przez to, że jest (jeden z bardzo rzadkich) cały o sobie, jest wyznaniem, zwierzeniem cierpienia i natchnień jego jako poety, i (w zakończeniu) jego nadziei, jako człowieka i Polaka. Wyraz to jeden z najdokładniejszych jego myśli o sobie, o goryczach i zasługach swego zawodu. Wiersz bardzo charakterystyczny przytem i bardzo imponujący ciężkim, ponurym, głębokim smutkiem.

Smutek rośnie na widok tego, co się w kraju dzieje, jak rząd robi wszystko, żeby go zniszczyć i zepsuć; jak ludzie stopniowo psują się istotnie: dochodzą jedni do podłości przez strach i płaskość, drudzy do wściekłości i przewrotności przez nienawiść, a przez przewrotność znowu także do podłości.

»Nieraz rozpacz taka mnie rozdziera, że modłę
 »się o prędki zgon, jako o jedyną ulgę. Dodaj, że mury
 »Tebańskie podłości, poniżenia i gwałtu i ucisku wkoło
 »mnie się mnożą, że w dzień słyszę jęk ofiar i patrzę
 »na naigravanje się katów; lecz to jeszcze nie tyle
 »boli, co *podłość własnych*. Zmateryalizował się nad
 »miarę ten kraj, potworzyło się mnóstwo hypokrytów,
 »którzy zwą się ludźmi *Rozsądku*; głoszą w mnogich

»kazaniach, że jedyną teraz sprawą podporą jest to, »by oni gęste intraty do własnej kieszeni zbierali, że »o niczem innem myśleć niepodobna, ale że takie »sprzysiężenie się na intrat coraz większych wybie- »raniu, *podniesie godność człowieczą*, zniepodlegli »ich, i massy na drogę oświecenia i przeświadczenia »o sobie wprowadzi, a ztąd kiedyś powrót życia! Na »stu, którzy tę Ewangelię roznoszą, dziewięćdziesięciu »dziewięciu Faryzeusze, a jeden tylko prawdziwie dą- »żący do *celu* za pomocą wzwyż wspomnionego »środka, to jest gospodarczych postępów. Drugą cechą »tego kraju coraz bardziej ciężącą na nim, to *Strach*. »*Divide et impera* w całej szatańskiej roztropności »piekła dopełnionem tu zostało. Wciąż tworzą sami »i wynajdują i wywołują jakieś niby jakobińskie spi- »ski między młodzieżą na to, by właściciele, gospoda- »rzy owych, owych intratą walczących, przerażać i od- »rywać od klas mniej zamożnych, a cierpiących tak, »jak się cierpi w piekle. »Was chcą wyrząść« — »oto »sposobiczek, użyty na kapuściane serca i skórzane »wory. Ztąd niesłychany strach to swoich, to znów »rządu, bo lękają się terroryzmu, o którym rząd im »plecie, terroryzmu istotnego, który sam rząd w każdej »chwili wywiera. W Rzymie za Cezarów podobnie się »działo. Młodzież w najopłakańszem położeniu. Uczą »ją kłamstw i bluźnierstw historycznych, nękają na »wszystkie sposoby, smagają różgami za najlepszą »winę, za guzika brak lub za chustkę na szyi białą za- »miast przepisanej czarnej, wiodą do więzienia za »włada książeczkę; słowem ci, którzy zaczynają życie, »daleko tu nieszczęśliwsi od tych, którzy je kończą, sta- »rość zgrzybiała jest złotym wiekiem na tych równi- »nach. Ztąd w młodzieży niesłychany smutek, pełen »niepokoju i nawet wyrzutów przeciwko losom, czyli »bezreligijności! Serce ich nawyka skarżyć się sobie »samemu na Boga, bo nikt ich nie oświeca, kto jest

»Bóg, a wciąż w imieniu religii i rządu doznają nie-
»opisanych mąk! Wzrasta więc pokolenie smętne
»a bezbożne, z pogmatwanymi wyobrażeniami, skwa-
»śniałe i zgorzkniałe w kwiecie lat, ale przytem pełne
»nienawiści i hartu, nie owego jednak dawnego na-
»szego, które nigdy rachuby nie znało i czystem po-
»święceniem było. Ich hart to niewolników energia,
»nie wolnych i wzniosłych; o środki nie dbać, byleby
»celu dopiąć; konieczny to wynik zaciemnionej duszy,
»czy zepsuciem jak u Jezuitów, czy nieszczęściem
»i bólami, jak u niewolników. A dusza taka nie wie,
»że środkiem złym, nigdy celu wielkiego, potężnego,
»trwałego osiągnąć nie sposób; bo leży w naturze har-
»monijnej Wszechrzeczy, że złe chwilowym tylko za-
»grzmieć może wybuchem, ale nie zdoła nic wybudo-
»wać na wieki! Oczywiście takie moralne, systema-
»tyczne zabijanie młodzieży jest potężnym środkiem
»na zubożenie naszych sił. Piekielny to wymysł na
»zgubę, nietylko obecności ale i przyszłości, wymie-
»rzony! Zamordować dziecko w łonie matki jeszcze,
»oto cel!«

Oto jak krótkimi słowy opowiada Małachowski ten pobyt w Warszawie, i co do powyższych szczegó-
łów dodaje:

»Widywał Krasiński odwiedzających go wiele
»osób rozmaitego wieku i sposobu myślenia, śledził
»też pilnie różne ówczesne prądy opinii publicznej.
»Widział jednych, choć zawsze patryotów, w stanie zu-
»pełnego zwątpienia i spuszcających się już jedynie
»w przyszłości na Opatrzność Boską, innych zgadza-
»jących się poniekąd z obecnem położeniem rzeczy,
»czasem niezupełnie zgodnem z osobistą godnością,
»nareszcie jeszcze innych gorącego serca i patryoty-
»zmu ludzi, gotowych chwycić się ostatecznych środ-
»ków dla wydobycia się z pod tego ciężkiego i upo-
»karzającego jarzma obcego. Z pomiędzy tych ostat-

»nich zwierzył mu się bardzo zacny, już nie żyjący¹⁾
»młody człowiek, że czynić się mają przygotowania
»nowego powstania narodowego w tym celu, zapo-
»mocą poruszenia wszystkich warstw niższych społe-
»czeństwa, obietnicami wielkich korzyści material-
»nych, jak podziału równego majątkowego, wol-
»ności i równości nieograniczonej dla wszystkich,
»a w końcu panowania czysto ludowego. Objawiał zaś
»gotowość do używania wszelkich sposobów potrze-
»bnych teroryzmu. Nareszcie, że przyszedł zawezwać
»Zygmunta do przyłożenia ręki do tego dzieła. Prze-
»rażony Zygmunt tem zwierzaniem, użył wszelkich sił
»i wymowy, aby zapobiedz skutecznieniu w jego
»przekonaniu tych tak zgubnych zamiarów. Przedsta-
»wiał już to niepodobieństwo wykonania tych pomy-
»słów, już też zakałę, hańbę, jakimiby splamiono szla-
»chetny dotąd charakter i imię polskie, nie cofając się
»dla osiągnięcia pożądanego celu nawet przed zbro-
»dniami i rzezią«.

W tej rozpaczycy jednak, w tej trwodze o przy-
szłość, stoi mocno i trwa ta sama co w *Przedświcie*
wiara i nadzieja. Oto dalszy ciąg tego samego listu
do Sołtana:

»Jednak Adamie mój, nie smętnij zanadto, obraz
»ten tu skreślony czytając. Ten obraz, te szczegóły,
»to męka nasza, to próba nasza, ale nie koniec, ale
»nie ostateczna prawda! Trzeba i przez to przejść.
»Czyż Chrystus, mimo Bóstwo, nie doznawał ostate-
»cznego zwątpienia? Czyż nie przeszedł przez gorycz
»goryczy wszystkich? I na to, by mógł zmartwych-
»wstać, trzeba było mu nietylko przez śmierć przecho-
»dzić, ale w chwili śmierci samej, najokrutniejszej
»męki moralnej doznawać: zwątpić, czy zmartwych-
»wstanie, zwątpić, czy zbawi Ludzkość! Ten krzyk jego

¹⁾ Kto? tego zapewne nie dojdzie się już nigdy.

»ostatni do Ojca był zarazem najwyższym szczeblem
 »bólu i zasługi, a zatem i poświęcenia! Nie byłby ina-
 »czej do ostatniej kropli wychylił kielicha, a trzeba
 »ostatnią kroplę wypić, by nic nie zostało! wtedy do-
 »piero śmierć w życie, ból w radość, przegrana w zwy-
 »cięstwo się przemieniają: *non est saltus in natura!* Otóż
 »i my, patrząc tylko na fakta zmysłowemi oczyma, mo-
 »glibyśmy nieraz zwątpić; ależ wiedzmy, że i zwątpienie
 »jest tylko bólem najwyższym a nie żadnym dowodem,
 »nie żadną prawdą; owszem, w tak świętych i Bożych
 »dziejach, jak nasze, znakiem, że już blizka odrodzeń
 »godzina! Mimo wszystko, com napisał, jednak po ca-
 »łej ziemi tej unosi się Pański Duch! — duch wlewa-
 »jący oczekiwanie i zapal uniesienia, nawet w najbar-
 »dziej zcieleśnione dusze; gromadzą się materyały
 »w cieniu, wzrasta przekonanie, że cały lud i włościan
 »uczłowieczyć, zobywatelić trzeba; nieporządek, hula-
 »tyka, pijaństwo ustają. Prawda, że *przedajność*
 »wzbiera, ale to tylko wśród urzędników. Po miastach
 »wszystkiego po niej się spodziewać można, najosta-
 »teczniejszych podłości; ale po wsiach inaczej jest:
 »mnóstwo ksiązek krąży po dworach szlacheckich,
 »ruch umysłowy [posetniony od r. 1830, księgarnie
 »przepełnione drukami po polsku. Duch, pozbawiony
 »ciała, niesłychanych wysileń zdolnym się okazuje
 »w dążności do odzyskania formy utraconej.

»Rozradowało mi duszę, że tobie znikomą choćby
 »mogłem przynieść pociechę—tę, o której mówisz, że
 »w szufladzie twojej leży¹⁾. Ta *idea* moją wiarą, moją
 »nadzieją, moją miłością! Bez niej zdechłbym, z nią
 »żyję! Ani myśl, by żywot nasz przeminął, a my nie
 »oglądali Bożej Sprawiedliwości, choćby jej zaczątek
 »ujrzemy! Wszystko, nad czem tu płaczę, to ostatnie
 »lży! Może indywidualności nasze, przecierpiawszy

¹⁾ *Przedświt.*

»mąk tyle, zniszczają, rozłamiają się, ale nie rzecz sama,
»nie opatrzny jej koniec.

»Bez takiej wiary, bez takiej idei, życia niema,
»a z taką i śmierć sama nie przestaje być życiem!
»Więc jakżeż nie wierzyć?

»Musim być smętni, bośmy ludzie, bo ciało mdłe,
»ale zarazem będziemy niekiedy uweselonymi: bo
»Duch ochotny choć ciało mdłe, a Duch Boży w nas,
»i w naszych, i w sprawie naszej, która nie przypadku
»trafem zdarzyła się przy końcu jednej z epok Ludz-
»kości, a początku drugiej. Trup nasz, to most przej-
»ścia dla Ludzkości. Gdy na drugi brzeg się dostanie,
»wstaniem żywi! A wiecznie wiedzmy i czujmy: że
»gdzie niesprawiedliwość piekielna, tam musi Boża
»sprawiedliwość się objawić; gdzie ludzie nie umieli
»kochać, tam Bóg pokocha — inaczej pękłoby *uni-*
»*versum!*

»17 Maja. O mój zacny i drogi na zawsze Ada-
»mie! nam się dostał kielich podobny temu, który do
»ust Chrystusowych na Oliwnem wzgórzu Anieli przy-
»nieśli, przed którym cofnął się Syn Boży, bo kielich
»nieskończonej boleści! Jednak nie czarty, ale Anioły
»go przynosiły; i z nami to samo, Anioły też i nam
»go podają, bo gdy ostatnią kroplę jego wychylim,
»zbawieni będziemy i my i człowieczeństwo tej epoki
»nowej! Zwątpienie o wszystkim, oto ostatni znak,
»najwyższy ból męki naszej! Rozdzielili nas ci, któ-
»rych imię przekleństwem: brata od brata, syna od
»ojca, i ojca od syna; rozdzielili! rozdzielili i ciała ich,
»i serca ich, i dusze ich! A to wszystko jedna wielka
»męczarnia, którą musimy świat i ludzkość ocalić, zba-
»wić, podwyższyć, w nowe okręgi duch wznieść!
»Znam, o! znam to wszystko! Ale bądź pocieszon
»Adamie! Wszystkie ofiary, czy po tej, czy po tamtej
»stronie, wszystkie jedno mają znaczenie; wszystkie
»cierpią i cierpieniem dokonywają Bożego zamysłu

»o nas, przyspieszają rozwiązanie walki olbrzymiej!
 »Wszystkie, wszystkie odnajdą się, pokaże się, że
 »wszystkie, mimo pozór zewnętrzny, były narzędziami
 »do jednego dobra, do jednej piękności! I na mogile
 »tych, co pod Kaukazu górami legli, napisze kiedyś
 »Anioł polski: »I oni też za mnie«, bo bez nich nie
 »byłoby tam apostołstwa duchowego Polski, *idea* Pol-
 »ski nie rozchodziłaby się i wszystkoby martwem zo-
 »stało! A tak od północy na południe, jako świat
 »wielki, wszędzie w żyłach świata krąży krew, myśl
 »nasza, i pora się zbliża i będzie świt!

»Pamiętasz słowa Boże: »kto zachowa duszę,
 »straci ją; kto ją straci, znajdzie ją«. Otóż ci, co ją
 »zachowali, tracą ją, a my ją stracili, więc odnajdziem
 »ją. Przyszedł czas, już nietylko do indywiduów, ale
 »do narodów też i do całej ludzkości stosować słowo
 »i przepis Chrystusowy. Jeden Bóg i jedno prawo
 »i prawda jedna! Dwóch niema, ni być może. Przy-
 »łączam ci tu w tej wierze, w tej nadziei, w tej miło-
 »ści napisany *Psalm*; niech leży obok siostry«.

Mowa tu o dwóch *Psalmach*, których pierwsza redakcyja była teraz rzucona na papier i w tym stanie w części Sołtanowi posłana. Jeden, to *Psalm Miłości*, spowodowany oczywiście tem spotkaniem, o którym opowiada Małachowski: drugi *Psalm Nadziei*. Jak się wykończą i uzupełnią, pod jakim tytułem wyjdą, to wszystko jeszcze rzecz przyszłości; ale już są poczęte i chwila ich ogłoszenia niedaleka.

Tymczasem jednak, latem r. 1844, poeta wyjeżdża za granicę. Potrzebuje pomocy dla zdrowia, porady zaufanego doktora Cheliusa. W lipcu jest u niego w Heidelbergu, potem w morskich kąpielach; na jesień wraca do Warszawy, przed urodzeniem pierworodnego syna. Tu znówu te same, tylko silniejsze wrażenia; przypuszczenie, że rząd udaje podstępnie, jakoby się zanosilo na nową humanistyczną (list do

Małachowskiego z 5 listopada 1844). Z wiosną 1845 r. nowy wyjazd do Niemiec dla zdrowia. Ale doktor Chelius i kuracya, służą po części za pozór lub osłonę innej podróży. W tajemnicy, pewny, że wydanym nie będzie, ale błagający, żeby nim nie był, powierza Sołtanowi, że jest w Nizy. Zboczył, żeby zobaczyć panią Delfinę Potocką. »Zastałem ją niezmiernie smutną i chorą. Nie uwierzysz, jak mi smutno patrzeć na istotę, której los wszystko był dał i wszystko odebrał: zdrowie, piękność, majątek, wreszcie ostatnią podporę na ziemi, matkę«. Trudni się jej interesami, w których sama nie dałaby sobie rady, a boi się ludzkiej obmowy. Musiał sam Gaszyński nawet robić mu jakieś uwagi, skoro w odpowiedzi (22 kwietnia 1845 r.) skarży się na ludzi, co zawsze »miłość miesza z miłostkami«, a dodaje, że co o nim mówią, to wszystko »fikcyą«. Potem następuje istotnie pobyt w Heidelbergu, a dalej nowa tajemnica. Szereg listów do Gaszyńskiego z prośbą, żeby wyrobił francuski paszport na zmyślane nazwisko, żeby w sekrecie najął mieszkanie w prywatnym domu... o co chodzi? Poeta nie był nigdy w Paryżu, miał chęć i potrzebę tam być, obawiał się prosić o paszport rosyjski do Francji; wziął się więc na ten sposób. Jakie pobyt ten miał nieprzewidziane a dziwne znaczenie w stosunkach Krasińskiego ze Słowackim, zobaczymy później. Tymczasem zapisać trzeba, że o tym jego tajemniczym zamiarze »jedna tylko osoba wie, to jest Eliza« (do Gaszyńskiego 29 maja 1845), pierwszy znak zwrotu w jego dla niej uczuciach. W innym liście (z 20 kwietnia) smutny i piękny ustęp o Mickiewiczu:

»Jeśli próżność własna lub cudza intryga może takie słońca zaćmiewać i gasić, to przyznać należy, że królestwo piekła trwa djabło mocno na tej ziemi dotąd. I któż od pokusy wolny, kiedy święci upadają? kto od błędu, kiedy gieniusze obłąkują się? Módlmy

»się do Boga, by nam własną próżność odjął, jeśli
»mamy ją, bo ona to wiedzie do przepaści wcześniej
»czy później. Ty powiadasz: *la farse est jouée*. Lekko-
»myślnie tę rzecz uważasz, tak, *la farse est jouée, mais*
»*la tragédie commence*. Mojem zdaniem niema nic
»tragiczniejszego, nad upadek wielkiego ducha, nad
»skon aniołów: bo ludziom umierać dobrze jest, bo-
»wiem zmartwychwstają, ale anioł, co był powinien
»żyć wiecznie, ale gieniusz, którego prawem świecić
»ciągle, gdy umiera, niema mu zmartwychwstania!
»a potem, co za wpływ na drugich? co za pomiesza-
»nie sumienia ludziom wielu? co za osłabienie wiary?
»a w drugich co za hardość, co za ironia ztąd?»

Okoliczności tymczasem coraz bardziej nagłą do
kończenia i wydania *Psalatów*. Centralizacya wersal-
ska wydała *Prawdy Żywotne*, w których rozwijała
teoryę, a zalecała praktykę *rewolucyjnych* środków.
»Pfuj! spokojnie przy stoliku maczać pióro w atra-
»ment krwi, do tego trzeba szerokiego jak świat su-
»mienia! Niecna to odwaga, sprosne mężstwo« (do Soł-
tana 11-go lipca 1845). Po odbytej kuracyi Krasiński
wraca do kraju, ale na to tylko, by żonę i dziecko za-
brać na zimę do Włoch. »W landarach, z mamkami
»i pannami służącemi« chce jechać przez Wiedeń, żeby
tam spotkać Sołtana; w początkach grudnia jest już
w Genuy, przed Bożem Narodzeniem w Nizy.

A tymczasem *Psalmy Przyszłości* już wyszły.
Jeszcze w lipcu zaklinał Gaszyńskiego, żeby nic nie
mówił nikomu o »Spirydyjności« (znac pseudonym
Spirydona Prawdzickiego był już wynaleziony), a 17
grudnia łaje go z tą dziwną manią mistyfikowania,
jaką miał, że nieogłędnie książkę tę wydał. »Mówilem
»ci nie wydawaj, narobisz sobie nieprzyjaciół. Aleś był
»uparty jak sęk. Ciekawym, co demokracya mówi na
»ciebie za te *Psalmy*. Póczywy to był czyn z twej
»strony, ale nierozmyślny. Dzięki Bogu przynajmniej, żeś

»mnie usłuchał i swego imienia nie położył, tylko ja-
»kieś zmyślone«.

Zobaczmy z kolei *Psalmy*.

III.

Psalmy Przyszłości. Ich powód. Znaczenie dwóch pierwszych. *Psalmy Wiary*. Jego forma. Jego treść. Jego związek z następnymi. *Psalmy Nadziei*. Jego treść filozoficzna. Jego przystosowanie. *Psalmy Miłości*. Poezya okolicznościowa polityczna. Polityczne i społeczne przekonania i dążności Krasińskiego. Niechęci przeciw niemu. Słuszność jego pojęć i obaw. Katarzyny »śmiech szyderstwa«.

Kiedy po długim trudzie znalazło się to, czego się szukało, kiedy się doszło po długim cierpieniu i zwątpieniu do prawdy, która się nam wydaje zupełną, zdaje się rzeczą logiczną i konieczną stanąć, trzymać się tej znalezionej prawdy, stosować się do niej, ale już nie szukać dalej, nie dodawać nic więcej; zadanie jest spełnione, praca skończona. Krasiński, kiedy wypowiedział jasno i wyraźnie w *Przedświcie* to, co miał za absolutną prawdę Polski, uważał swój zawód za skończony. Czegóż brakło? prawda była odkryta, tajemnica przeszłości i przyszłości ogłoszona; cóż pozostało? nic, tylko »wcielać pomału w kształt dotykalny« tę prawdę odkrytą i ogłoszoną. Wszystko coby zrobić można, żeby ją objaśnić, rozwinąć, uzupełnić, byłoby tylko powtórzeniem tego samego innemi słowami, niepotrzebnym dodatkiem, osłabieniem. W najlepszej wierze mówił Krasiński w zakończeniu *Przedświtu*, że w tej pieśni »całe już wyśpiewał serce«, że »tu jest jego ze słowem rozstanie«. Harfy już nigdy, nigdy »nie nastroję, zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje«. Nie nastroi harfy, bo kto raz »czuł jak anieli czuć nie mogą« i był »na najwyższej dusz wyzynie«, ten drugi raz tak czuć nie zdoła, drugiego takiego tonu

ze swojej harfy nie dobędzie. Rozstaje się więc ze słowem, połową arcydzieła życia, bo powinien zwrócić się do połowy drugiej, tworzyć naokoło siebie świat rzeczywisty, równy pięknnością światom ideału,

»aż zginie cząstką w trudów arcydziele,
»aż skona zwrotką w poświęcenia hymnie«.

Nie domyślał się pisząc te słowa, że jego rozstanie ze słowem nie miało być na zawsze, że trzeba będzie powtarzać, co się już powiedziało, i to nie w ogólności jako wiarę, jako system, ale z przystosowaniem do praktycznych przykładów, zdarzeń i wypadków, jako upomnienie, jako radę, jako groźbę; nie wiedział, że będzie musiał wrócić jeszcze do słowa i prawdę swoją powtarzać zawsze tę samą w innej formie, że *Credo* samo nie wystarczy, ale że trzeba go wesprzeć, uzupełnić, rozwinąć i wytłómaczyć dekalogiem i katechizmem, że po artykułach wiary przyjdzie kwestya praktyczna uczynków, że po *Przedświcie* będzie musiał pisać *Psalmy*.

Stało się inaczej jak myślał.

Jeszcze się *Przedświt* dobrze nie rozszedł po kraju, kiedy zaniósł się wyraźnie na jawne, głośne, szyderskie zaprzeczenie tej czystości i zacności, którą Krasiński zbyt idealnie mylnie w Polsce widział, ale której od niej słusznie żądał, na której opierała się cała jego wiara w opatrzność sprawiedliwość i logiczną konieczność jej odrodzenia. Przygotowywało się coraz raźniej i coraz wyraźniej zamierzone powstanie, które nietylko nie umiało zbawić sprawy, ale nawet sobie nie umiało wyjednać tyle szacunku, żeby mu przyznano prawo do tego nazwiska; nikt nigdy nie mówi o *Powstaniu* z roku 1846. Jedno z tych zaślepień najbardziej niepojętych, jedna z lekkomyślności najbardziej występnych, akt, w którym nietylko rozumu i arytmetyki nie było nawet tyle, ile potrzeba, żeby się

obliczyć, ale w którym dobrowolne łudzenie i okłamywanie siebie samych doszło do niepojętej ślepoty i głupoty, do prostego i samowolnego nieuznania rzeczywistości widocznej, oczywistej i powszechnie wiadomej; w którym nieznanomość własnego kraju i ludu, ta zwykła niestety polska nieznanomość rzeczywistości i wspaniała jej pogarda, zdały *examin* straszliwej sławy. Bo rzeź 1846 roku, a przynajmniej jej prawdopodobieństwo nie było niespodzianką, ani tajemnicą — wiedzieli wszyscy, co wiedzieć chcieli i nie udawali przed sobą i drugimi, że jak się odezwie hasło jednego, wybuchnie drugie; wiedzieli, że oplakana propaganda polska grała rolę kota w bajce, który wyciągał z pieca kasztany, i że kasztanami będą głowy ludzkie. Nie wiedziała tylko, nie chciała wiedzieć wbrew oczywistości, tylko ta propaganda sama.

Głupota, lekkomyślność, bywa czasem zbrodnią; bywa nią często w rzeczach wielkiej wagi, ale w tym razie nie ona sama była złem, nie ona tylko występkiem. Było złe świadome siebie, wyrozumowane, umyślne; była systematyczna i długa propaganda nienawiści przeciw szlachcie, było wyrachowanie marne i głupie, że ujawszy lud za tę nienawiść i zaspokoiwszy ją hojnie, obudzi się w nim miłość do Polski. Przypominając ludowi wszystkie krzywdy jakich kiedykolwiek mógł doznać, dmuchało się na jego nienawiść; obiecując mu grunta i lasy, budziło się w nim zazdrość; jednym i drugim krzywiło się w nim nie tylko pojęcie własności, które do dziś dnia naprostować się nie może, ale samo sumienie, sam zmysł moralny. I to się robiło przez miłość ludu i przez miłość ojczyzny! to się nazywało *demokracją* i *patryotyzmem!*

A ci, co widzieli zaślepienie spiskowych, którzy wiedzieli, jaki obrót nada rzeczom silniejsza od nich ręka i głowa od nich mędrsza — cóż ci mogli zrobić?

nic — nic, tylko pocichu we cztery oczy przedstawiać i prosić. Głośno nie mogli się nawet odezwać, nie mieli gdzie ani w czem, nie było im wolno; a prośby i zaklęcia odbijały się jak groch od ściany od uporu i zaślepienia wersalczyków, ich agentów i stronników. Widzieć zbliżające się niechybne zawieszono nad krajem najstraszniejsze z nieszczęść, a nie móżdżek go odwrócić, przeszkodzić mu; być przeciw niemu zupełnie bezwładnym i bezradnym, jak żeby to była jaka klęska elementarna, zalew, trzęsienie ziemi, lub oberwanie chmury, to jedno z uczuć najokropniejszych na świecie. A istotnie tu w kraju radzić nie mógł nikt. I tak co dnia, co godziny widziano zbliżającą się chwilę, w której wybuchnie jakaś nędzna parodia czegoś, a ten wybuch stanie się hasłem — mniejsza o to, choć to niemało, że śmierci i rzezi, — ale najokropniejszego zaprzeczenia Polski, jakie się kiedykolwiek w Polsce stało, i takiego rozprzężenia jej społecznego składu, po którym po latach i pokoleniach jeszcze ona do równowagi nie wróci.

I ta klęska, ta zbrodnia, to gwałt, ten wstyd, to upokorzenie, to samobójstwo, zbliżało się wyraźnie, regularnym chodem, jak pociąg kolei żelaznej, który widzi się że idzie i o swoim czasie w swoim punkcie być musi.

W kraju rady nie było; ale za granicą? nie więcej. Kogo nie przekonał i nie wzruszył oczywisty faktyczny stan rzeczy, na tem słowo człowieka wrażenia nie robi, a jeszcze słowo Krasieńskiego na Centralizacji ówczesnej. Ale ze skutkiem czy bez skutku, dla uratowania rzeczy, czy tylko dla własnego sumienia, ratować jak można, robić co można, prosić, zaklinać, przekonywać, ile można i dopóki można. W całej Polsce nie było może człowieka, któryby nieochybną nieszczęścia tak jasno widział, i któryby nad nim tak cierpiał, jak Krasieński — on, wyznawca tej wiary, że przez nieskalaną Polskę i jej sprawę, ludzkość cała

podniesie się wyżej, on musiał widzieć, jak ta sprawa będzie nadużyta do dzieła głupoty, zbrodni, hańby, i samobójstwa, on musiał naprzód pić ten kielich i truć się jego goryczami. — Nikt tak nie widział, nikt tak nie bolał, i nikt nie był zdolny (bo Mickiewicz w tych latach już nie) tak krzyknąć z bólu, tak zawołać na gwałt i zakląć o miłosierdzie nad Polską, jak Krasiński. I zrobił to; zaledwo pomiarkował w Warszawie w początkach r. 1844, na co się zanosz, zaczął pisać *Psalm*.

Oczywiście głównym, najważniejszym z trzech jest ostatni; dla niego napisane są dwa pierwsze, w nim mieści się upomnienie, błaganie, zaklęcie i groźba; w nim to słowo obowiązku, słowo miłości ojczyzny, jakiego domagały się okoliczności ówczesne, i na wszelkie okoliczności, na zawsze rada, nauka, {zasada życia. Ale żeby dojść do tego, żeby powiedzieć prawdę, choćby bez nadziei skutku, ale z powagą i wyższością niemyślną prawdy, żeby przekonaniem ludzkiem pewnie i zupełnie ovladnąć, chciał Krasiński zanimby powiedział: »Hajdamackie rzućcie noże, by »nie klęły na was wieki, że cel wieków znów daleki«, chciał przypomnieć, że inaczej ten cel mógłby być bliższym, chciał przypomnieć wszystkie nadzieje *Przedświtu* i to, na czym je opierał. Ztąd poszły dwa pierwsze *Psalm*: *Wiary* i *Nadziei*, które są niejako wstępnym argumentem dla ostatniego, rekapitulacją tych wszystkich dowodów, znaków i nadziei, z których jako wniosek wyjść miało odrodzenie Polski, i konieczność, obowiązek zaniechania tego, co temu odrodzeniu stanąć musiało na zawadzie, propagandy złudnego powstania a rzeczywistej nienawiści, rzeczywistego rozkładu społecznego.

Psalm Wiary jest ze wszystkich Krasińskiego wierszy najzupełniejszym wyrazem i składem jego pojęć filozoficznych. W ciasnym obrębie stu kilkudziesięciu

sięciu wierszy zawarta jest sama najistotniejsza treść jego przekonań o Bogu, o istocie i przeznaczeniach człowieka i ludzkości. Ztąd zbitość nadzwyczajna tego wiersza, którego żadne słowo nie jest obojętnem lub zbytęcznym, każde koniecznym, wyrażającym jakieś ważne, niezbędne ogniwo w łańcuchu jego rozumowań. Ztąd jędrność nadzwyczajna stylu. Rzadko zdarzy się widzieć u największych nawet pisarzy, taką obfitość i wagę myśli, oddaną tak małym zasobem słów. Pod tym względem jest *Psalm Wiary* niewątpliwie jednym z dziwnych zjawisk, z językowych i stylistycznych arcydzieł naszej poezji. Oprócz tego, przy wielkiej powadze a nawet uroczystości tonu, on jest prosty; zwrotów sztucznych, wyszukanych, napuszonych, jakie się u Krasińskiego nieraz zdarzają, tu niema. Nie można się dziwić, jeżeli wielu ma w tym wierszu szczególne upodobanie; jest on w swoim rodzaju, jako wiersz filozoficzny, doskonałością, przez najtrafniejsze zastosowanie stylu do przedmiotu, przez wyjątkową, nadzwyczajną treściwość słów i wykładu, połączoną z zupełną jego jasnością.

Co do jego treści, podaliśmy ją już wyżej, kusząc się o przybliżony zarys filozoficznych pojęć Krasińskiego. Wszystko, co jest rozprószone po innych wierszach lub listach, co kiedyś znajdzie się w *Niedokończonym Poemacie*, to tu zebrane i skupione jest razem. Tak jak przed kilkoma laty *Syn Cieniów* był wykładem pojęć poety o człowieku, tak teraz *Psalm Wiary* określa istotę i przeznaczenie człowieka, ale na tem nie poprzestaje; mówi on nadto, czem jest Bóg w swojej istocie i w swoim stosunku do stworzenia, czem są, do czego dążą dzieje i przeznaczenia ludzkiego rodu.

Jest więc człowiek złożony z ciała, duszy, i ducha, podległy śmierci na to, by mógł przejść do wyższego życia: nieznający jej, kiedy już do niego doszedł; dą-

zący ciągle do Boga przez walki i trudy zrazu, przez coraz wyższą miłość i szczęśliwość później; im bliższy Boga, tem lepiej widzi i czuje przedział między Nim a sobą, aż wreszcie w żywocie wiecznym ciągle rośnie, działa, tworzy, w postępie bez końca, w szczęściu i miłości bez granic.

Bóg znowu, jest Ojcem, Synem, i Duchem, jak w katechizmie, co w myśli jego wychodzi na to samo, jest tylko innym wyrazem tego, że Bóg jest »Bytem, Myślą i Życiem«. »On w świecie jak Myśl mieszka i jak Byt wieczysty«, czyli przenika i ożywia świat, a »za krańcami świata« on jest osobisty«. Jak widzimy, wychodzi poeta z daleka, żeby dojść do r. 1846; i czytając, pyta się człowiek, co ta cała filozofia tutaj robi? Zaraz jednak nachyliła się ona do przystosowania. My wszyscy, zrodzeni z Boga, musimy żyć nieśmiertelnie, i z nim razem tworzyć dalej tak, jak on nas stworzył; z »wewnątrz nas samych wyprowadzać światy«.

»o ile możem biedni w anielskiej pokorze
»to coś Ty nam dał z łaski, oddawać Ci Boże«.

Lecz (dalsze przystosowanie), »szkołą duchów są ludzkości dzieje; przez nią tylko i z nią razem duch każdy może dojść do swego przeznaczenia, może się »ludziom wypromienić anielstwo«,

A do dnia tego wiodące tu wschody,
To w łasce Twojej poczęte narody.

Przez narody wolne tylko, żyjące w zgodzie i sprawiedliwości, dojść może ludzkość do tej harmonii, do tego braterstwa, które jest jej przeznaczeniem na ziemi, a będzie jej przemienieniem, podniesieniem do wyższego bytu. Między temi są niektóre wybrane na to, by innym były przykładem, i straszną walką w grobie wyrobiły dla wszystkich więcej miłości

i więcej braterstwa, i »wyższe w ludziach pojęcie o Tobie (o Bogu)«.

Takim jest naród Twój Polski o Panie!

kto jest jego częstką, powinien znać się częstką Twojej woli.

»Chrystus wciąż w Tobie żyje, o Ludzkości« — jest nie tylko Zbawicielem, ale jego życie jest typem, figurą jej życia. Poczęta z Przczystej Dziewicy, z Myśli Bożej, dążąca do stolicy Ojca, musi ona przejść przez trud i męczeństwo. A chwała Chrystusa w Przemienieniu wyobraża, że i ludzkość także zanim swoje ziemskie życie zakończy, będzie przemieniona, zrzuci z siebie szataństwo niewoli, kłamstwa opętanie i niewoli zawilość, a

Weźmie z sobą duchowe poznanie
I serca wieczną nieskończoną miłość,
I z temi dwoma świętymi potęgi
Jak Chrystus w światła wzbije się okręgi.

Jestto więc wszystko, co składa zasadniczo filozofię Krasińskiego, co jest jego *Wiarą*; ztąd nazwa tego *Psalmu*. Człowiek, jego żywot wieczny, Bóg, wreszcie dzieje ludzkości, jako wyobrażenie i powtórzenie życia Chrystusa Pana: urzeczywistnienie jego prawa, jako jej przeznaczenie i przyszłość. Niema tej tożsamości niemego stworzenia i człowieka, jaka była w *Synu Cieniów*, i niema tego co tam, zaprzeczenia nieśmiertelnej indywidualności duszy ludzkiej.

Niema też w *Psalmie Wiary* jednego jeszcze pewnika filozofii Krasińskiego, troistych dziejów ludzkości, i mającej się zacząć trzeciej epoki: ten pewnik znajdzie się w *Psalmie* następnym.

Taki jest *Psalm Wiary*, założenie najszersze, formuła na ogólne przeznaczenie ludzkiego indywiduum i ludzkości, prawo kardynalne i niezmiennie, które do-

pełnionem być musi. Łatwo poznać, że już tu, jakkolwiek pośrednie i dalekie, ale jest wyraźne przystosowanie do konkluzji *Psalmu Trzeciego*. Jeżeli każdy z nas, Polaków, ma się czuć częstką woli Bożej, a wszyscy razem jesteśmy powołani do tego, żeby wyrabiać w ludziach »więcej miłości i więcej braterstwa i wyższe pojęcie o Bogu«, to rzecz jasna, że powinniśmy »Hajdamackie rzucić noże«. Ale niebawem przejdziemy do dowodów bliższych, do powodów, dotykających nas bezpośrednio, do rzeczy bardziej szczegółowych, lepiej określonych, a popierających jeszcze silniej i wyraźniej konkluzję *ostatniego Psalmu*:

»Dość już długo, dość już długo,
 »Brzmiał na strunach wieszczów żal,
 »Czas uderzyć w strunę drugą
 »W czynów stal«.

Tak się zaczyna psalm drugi — *Psalm Nadziei*.

Ten kiedy wyszedł, i długo jeszcze potem, czytany był i rozumiany tylko jako przepowiednia lepszej przyszłości. Kiedyśmy z zapałem powtarzali »czas uderzyć w czynów stal«, rozumieliśmy, że wieszcz widzi przed sobą blizką wojnę — zwycięską; wystarczyło nam słyszeć i wierzyć, że »idzie moc zwycięska, obiecany Pocieszyciel«, a ujrzy go pierwszy, »kto niewinnie umęczony«. Dziś widzi się, że w tych strofach, które zdają się brzmieć tylko wieszczem natchnieniem i zachwyceniem, jest także całe rozumowanie, cała filozofia Krasińskiego. To jest dalszy ciąg poprzedniego psalmu, z tą różnicą, że kiedy tamten odnosił się do rzeczy częścią objawionych, częścią doświadczonych, a więc znanych, i wyrażał *Wiarę* poety, ten, odnoszący się do przyszłości, do rzeczy niewiadomych, choć niemniej na przekonaniu jego oparty, wyraża jego *nadzieję* zupełnie pewną, wyrozumowaną, ale nie stwierdzoną jeszcze, zatem nadzieję tylko.

Kiedy on każe [uderzyć »w czynów stal«, a my rozumiemy przez to stal oręża, wojnę, to w jego pojęciu *czyn* ten — (który materialnie, faktycznie może, a zapewne musi, objawić się jako wojna), nie znaczy przecież jednego czynu ani jednej walki, ale oznacza ten nieustanny przyszły *czyn* filozoficzny, ten wątek dziejów, snujący się ze świadomej woli, zgodnej z sumieniem, który u Cieszkowskiego w *Prolegomenach* nazwany jest *Thatsact* i uważany za zamię przyszej epoki historycznej, a przez Krasińskiego z zapalem i wiarą przyjęty i przechowany jak jeden pierwiastek zasadniczy w składzie jego pojęć.

Kiedy druga zaraz strofa mówi, że »wszystkim »ciało dał Jehowa — Chrystus duszę — a Duch Święty »da żywot«, znajduje się w niej myśl tę samą, co w piśmie o *Trójcy i Słowie Wcielonym* i o *Żywocie Wiecznym* i w *Traktacie o Trójcy*. »Zbawiciela Objawiciela«, który »weźmie z Ojca, weźmie z Syna«, to znowu inny, ale dokładny wyraz tej myśli, że trzecia epoka Ducha św. nie będzie Objawieniem prawd nowych i nieznanych, tylko lepszem zrozumieniem i zastosowaniem praw Chrystusowych. »Ten, na czym »już pogrzebie były wszystkie króle świata«, a kto »wzrok utopion trzyma w niebie« i »patrzy w Ducha »strony«, to znana nam nauka o śmierci, która jest warunkiem lepszego życia, o podnoszeniu się ducha zbiorowego (narodowego), jak ducha osobistego, w takiej »próbie grobu«. Wreszcie »ziemia tem stroskana«, która musi przyjąć pokój, odłamki ludzkości składające kiedyś »jeden świat i kościół«, to ostateczne przeznaczenie rodu ludzkiego na ziemi, do którego on dojdzie przez wolne narody. Ale ta filozofia ożywiona tu jest, oświetlona, rozplamieniona, uczuciowem natchnieniem i uniesieniem. Nigdy może Krasiński nie mówił takim porywającym tryumfalnym tonem pewności, nigdy tak nie ręczył za przyszłość; a ten popęd rwący, ta »na-

dziei siła« jest wielką pięknnością drugiego *Psalmu*. Przecież i tu nawet ta nadzieja czy obietnica nie jest bezwarunkową. Kto czyta uważnie, a myśl poety zna dobrze, ten nie przeoczy wiersza »z wiary waszej wola »wasza — z woli waszej czyn wasz będzie«. Ten czyn pierwszy, czyn zwycięski i następujący po nim czyn nieustanny wznoszenia coraz wyżej siebie i ludzkości, ten »będzie z woli waszej«, a wiemy, że Krasiński pojmuje wolę, jako świadomie zgodną z sumieniem, dobrowolnie zjednoczoną z wolą Boga. Tylko taka wola może wydać ten czyn, który ma być podniesieniem ludzkości.

A teraz związek *Psalmu Nadziei* z następnym, i jego przystosowanie do praktycznych konkluzji tamtego? To jest jasne. W takiej chwili, »kiedy począł się »dzień boży«, kiedy »grób był kolebką nowej zorzy«, w tej chwili, blizkiej spełnienia przeznaczeń ludzkości przez Polskę, spychać ją z jej jasnej drogi, żeby ani ona, ani ludzkość nigdy do celu trafić nie mogła? To jest niewypowiedziane, ukryte, ale wyraźne przystosowanie tej *nadziei* do tamtej przestrogi. Poeta chciał przypomnieć wszystkie nadzieje *Przedświtu*, całą swoją pewność lepszej przyszłości, zależnej wszakże od naszego zachowania się, od naszej dobrej woli, żeby w tem przypomnieniu i przeciwstawieniu wymowniej sama za siebie przemówiła zła wola i zaślepienie tego ducha obłądu, który pchał do wypadków 1846 r.

Psalm Miłości w gruncie jest pismem politycznym, jest broszurą; wchodzi w tę kategorię słów i pism, któremi człowiek na polu praktycznych działań chce coś odwrócić lub czemuś przeszkodzić, i używa po temu wszystkich argumentów, jakich dostarczyć może rozum, zmysł polityczny, zdrowy rozsądek, znajomość spraw, miłość ojczyzny zwłaszcza. Kazania sejmowe Skargi, choć na wskroś polityczne także, choć mają

ten charakter polemiczny i tendencyjny, nie mają go w takim stopniu, jak *Psalm* Krasińskiego, bo o teraźniejszości i o przyszłości mówią ogólnie, nie mając na oku żadnego ściśle określonego faktu, któryby był ich przedmiotem i celem. Wszelako, gdyby szukać pokrewieństwa i podobieństwa w naszej dawniejszej literaturze, tedy niezawodnie najwięcej byłoby tego pokrewieństwa między *Psalmami* a *Kazaniami* Skargi. Ale podobieństwa bliższe, bardziej określone znalazłyby się może w literaturach obcych, mianowicie starożytnych: rzeczy treści politycznej, mające za przedmiot jeden szczególny dany wypadek, dochodzące jak *Psalm* do wysokiej potęgi natchnienia przez miłość ojczyzny i przez oburzenie. *Psalm Miłości* w swojej formie poetycznej wychodzi na to samo, czem są (w innej formie) *Filipiki* Demosthenesa, zaklinającego swój naród, żeby się samochcąc nie gubił; czem jest pełne oburzenia do jednego człowieka wymierzone *quousque tandem* Cicerona, zapytanie, jak długo jeszcze ten człowiek naród swój gubić zechce. Naturalnie nie chodzi tu o porównanie, ale chodzi o to, że te trzy rzeczy wszystkie jednako powstały pod wpływem strasznego niebezpieczeństwa grożącego ojczyźnie, że wszystkie trzy mają tę dążność odwrócenia, ubłagania, zażegnania klęski, i że wszystkie trzy robią to z największą potęgą rozumowania, z najwznioślejszą wymową uczucia. Jeżeli *Filipiki* uchodzą dotąd i słusznie, za wyraz klasyczny, najsilniejszy, najwymowniejszy, i najbardziej wzruszający, miłości ojczyzny w walce z ojczyzną samą zaślepioną i lecącą na oślep do samobójstwa, jeżeli *Catilinaria*, choć tamtym nie równa, słusznie uważana jest za typ patryotycznego oburzenia na zgubne dla dobra ojczyzny roboty, jeżeli po wiekach jeszcze wśród innego zupełnie świata, one tak trafiają do miłości ojczyzny ludzi wszelkich narodów i pojęć, że poruszają do drgania wszystkie włókna

miłości ojczyzny tam, gdzie ona jest, bo choć z Filipa i z Katyliny niema już ani prochu nawet, to na naród który się dobrowolnie gubi, i na człowieka który go gubi, obojętnie patrzeć nie może, kto wogóle zdolnym jest takiego uczucia, — tedy *Psalm* Krasińskiego ma prawo stanąć obok nich, jako wyraz równie potężny tej samej miłości i tego samego oburzenia. Tak samo jak tamte tendencyjny i polemiczny, tak jak tamte wydarty z serca drgającego boleścią i gniewem na widok straszliwej klęski grożącej ojczyźnie, tak jak tamte zbrojny w najwyższą potęgę wymowy, i, choć jest poezją, w potęgę rozumowania, jest tak jak tamte, najwyższym wyrazem i typem patryotycznego cierpienia, zaklęcia i prośby, jest takim ideałem pisma okolicznościowego, tendencyjnego i patryotycznego, jak te mowy, które lecące na gwałt w przepaść Ateny powstrzymać chciały nad jej brzegiem: a do których podobny jest i tem, że jak one był daremny.

Przeciw piekłu podnieść kord,
Bić szatana czarny ród
Lecz nie nęcić polski lud,
By niósł szlachcie polskiej mord.

Trzebaby sumienia dziwnie skrzywionego, trzebaby takiego, z którego wszelkie uczucie polskie zostało wydartem i wygładzonym, żeby śmieć powiedzieć, że te słowa nie są dobrem, nie są prawdą, nie są miłością ojczyzny jak być powinna. A potem następuje to, co już dawno powinnyby być dla całego świata stanowiskiem dawno przebytem, co wiele już razy poznane z owoców, powinno było stać się powszechnie przyjętym i uznanym axiomatem politycznym, a co czytając, mówić sobie trzeba z żalem, że Krasiński swój wiek wyprzedził; że ludzie kiedyś dopiero będą powszechnie wierzyć i wiedzieć to, co jest przecież

Zygmunt Krasiński II. 13

tak proste, tak jasne, tak stwierdzone doświadczeniem
i dowiedzione historią:

Niemowlęctwem wolnych ludzi
Gilotyna i grabieże,
Nie jest czynem rzeź dziecinna,
Nie jest czynem wyniszczenie !

Może są ludzie, którzy w szczęśliwym poczuciu swojej wyższości patrzą pogardliwie z góry na Krasińskiego, i ruszają ramionami na nieprzydatną, klasztorną, mistyczną, dobrą dla dzieci i kobiet naukę, że złego nie zwycięża się złem, którzy w powierzchownej pół-nauce i we właściwym ludziom powierzchownym uwielbieniu sukcesu, mówią, że co innego jest katechizm, a co innego polityka — ale pomimo nich, i choćby takich było wielu, choćby wszyscy, to i wtedy prawda, od ludzkiego uznania nigdy nie zależna, i nad nie wyższa, prawda jest i będzie, że »kto chce iskień z czarta kuźni, by przepalić czarta moc, »ten świat w gorszą spycha noc«. Może być, że »szata Polski« nie jest »przenajczystsza i nieskalana«, jak twierdzi Krasiński; nie jest, pewnie nieszczęściem nie jest. Ale być powinna: im mniej jest, tem więcej powinna starać się być nieskalaną, to przyzna każde serce, w którym jest wysokie pojęcie Ojczyzny i jej cześć; to nie mistyczna exaltacya, ale prosty i konieczny warunek miłości ojczyzny. I takie jej pojęcie, taka jej miłość musi przyznać, że »kto mękę zmienia w zbrodnię, kto przekuwa w nóż kajdany a nie w szablę, ten bez myśli i bez serca«. A temu wyrokowi prostego sumienia wtóruje historia sama, i swoim głosem, na który niema odpowiedzi, świadczy, że »ten nieszczęsny i ten głupi« — nieszczęsny, bo nieszczęście ściąga, głupi, bo robi co innego jak chciał. I ona także, historia, stwierdza przytoczonym przykładem

Robespiera i Maryusza, że »każde w dziejach krwa- we imie

»Ach nosiła mierna dusza«.

Zdawałoby się, że w tem wszystkim niema nic, czemu by sumienie ludzkie, zwłaszcza sumienie polskie, czemu by ludzki rozum mógł zaprzeczyć. A tymczasem zdarza się nieraz słyszeć jakieś o tym *Psalmie* restrykcye i zastrzeżenia, które przechodzą z niego na całą poezyę Krasieńskiego. Jest pewna, nie nieufność do jego tak pewnych a nieco mistycznych obietnic i przepowiedni, ta byłaby zrozumiała, a nawet może przydatną; ale niechęć do jego poezyi i do jego osoby. »Piękne to, wzniosłe, zapewne... ale...« nie powiada się wyraźnie o co chodzi, ale daje się do zrozumienia, że jest jakieś ale... i te restrykcye, te zastrzeżenia, tak się rozchodzą i rozpowszechniają, że przeszły nawet do niektórych ksiązek; że w tej lub owej historii literatury można się z niemi spotkać, i wyczytać na przykład, że Krasieński idealizował średnie wieki, albo że dla jego wielkiej miłości ojczyzny można mu darować jego pojęcia niezgodne z dążeniami wieku, lub podobnie.

Wstyd jest prawie używać wyszarzanych, brukowych wyrażeń, które już dawno powinnyby być porzucone jak sprzęty zużyte i nieprzydatne, jak zarzucamy niedołążne bełkotanie dziecinne, kiedy się mówić porządnie nauczymy, — ale darmo: trzeba powiedzieć, że z powodu Krasieńskiego nieraz obijają się o uszy takie słowa, jak reakcyja, wsteczność, arystokracya, zacofanie, i tam dalej. Słowa, z których kiedyś ludzie będą się tak śmiali, jak my dziś śmiejemy się ze zdyskredytowanych a niegdyś powszechny kurs mających wyrazów na chwilowe uprzedzenia lub pojęcia ludzi przeszłych wieków, z *liberum veto*, z *nemine contradicente*, z mniemanej szlacheckiej równości,

mniemanej wolnej Elekcyi i t. d. Jak niegdyś tamto, tak to dzisiaj wydaje się hasłem i sztandarem mądrości; jak tamto dziś, tak to kiedyś wyda się marnem i pustem: i ludzie będą się dziwili Krasińskiemu, nie że pisał to co pisał, ale że to pisać uważał za potrzebne.

Cała bowiem jego zła reputacya człowieka zaco-fanego, wstecznego, arystokraty, poszła z tego *Psalmu*, w którym napisał: »Jeden tylko jeden cud, z szlachtą polską polski lud!« Zbrodnia nie wielka, a prawda więcej jak logiczna, bo arytmetyczna; proste dodawanie uczy, że dwa jest więcej jak jeden. Ale gdyby trzeba dowodu na to, jak u nas zakorzeniły się wyobrażenia zagraniczne, francuskie głównie, a jak zarazem jeszcze silny jest dawny polski porządek społeczny, to nie znalazłoby się nigdzie dowodu lepszego, jak właśnie w tej kwestyi szlachectwa i szlachty, i w sposobie, w jaki ją pojmujemy. Z jednej strony tak pamiętamy doświadczenia i nauki dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, tak wiemy iżeśmy na niej źle wyszli, tak przytem jesteśmy mocno i szczerze przekonani o niepodobieństwie i szkodliwości przywileju, że szlachta sama nie lubi o sobie mówić, nie lubi się do siebie przyznawać, jakżeby się wymawiała, że jest; o niej zaś mówi się albo z niechęcią, albo z przekąsem. Z drugiej strony tak się ją na każdym kroku spotyka, jest elementem tak zawsze ważnym w życiu narodu, tak na każdym kroku, o cokolwiek chodzi, o założenie dziury w moście czy o krok polityczny, o składkę dla biednego, o wydanie książki, czy o powstanie, trzeba o nią uderzyć i z nią mieć do czynienia, że wbrew naszym pojęciom, wbrew chęci wielu, i pomimo że sama jako taka, nigdy się nie afirmuje, ten pierwiastek społeczny stoi i jest. Owszem, ktokolwiek ze znajomości ludu wiejskiego, a nawet, co dziwniejsza, ze znajomości naszych miast, chciałby wy-

ciągnąć wróżbę, jakby kiedyś w przyszłości społeczeństwo polskie wyglądać mogło, ten musiałby przyjść do przekonania, że ten pierwiastek, który nazywamy dziś szlachtą, zostanie w tem społeczeństwie zawsze, i zawsze w niem będzie wiele znaczył; chyba, żebyśmy tę ziemię zaludnili jakimś innem plemieniem odmiennej natury. Bo wyobraźmy sobie, że wskutku jakichkolwiek wypadków, znikło na całej przestrzeni Polski to co nazywamy szlachtą, a został tylko lud wiejski i miasta, to zaraz, oba te pierwiastki bezwiednie, instynktem, dążyć będą do wytworzenia z siebie czegoś, coby było zupełnem powtórzeniem dzisiejszej szlachty; bogatszy włościanin i bogatszy mieszczanin nie będzie spokojnym, dopóki nie będzie miał większej posiadłości ziemskiej, i w krótkim czasie summa ludzi na takiej posiadłości osiadłych, będzie w tem nowem społeczeństwie pierwiastkiem tak znaczącym, jak jest dziś szlachta. Nie herb, ale osiadłość na pewnej przestrzeni ziemi, wieś i wiejskość, to jest to co stanowi samą istotę szlachty i co jej nadaje właściwe znamię; a z mocy jakiegoś wrodzonego nam usposobienia, ten popęd do osiadłości i wsi sprawi, że waga, środek ciężkości naszego składu społecznego i naszego narodowego życia będzie zawsze na wsi. To jest fakt, na który jedyna rada byłaby w zaludnieniu tego kraju ludźmi innego pochodzenia, bo jak długo zostanie to samo plemię, zostanie i ten fakt. Rozum zaś żąda, żeby społeczeństwo jak człowieka kształcić w kierunku jego natury; i kiedyś będą się nam ludzie dziwili, że zamiast znać naszą naturę i te formy życia, jakie jej są właściwe wykształcać na dobre, traciliśmy czas na marnych i bezskutecznych marzeniach o zmianie tej natury.

Kiedy więc Krasiński mówił »z szlachtą polską polski lud«, nie mówił tego na dziś tylko, nie mówił o herbach i przywilejach, ale wiedział, że jakaś war-

stwa narodu, odpowiednia dzisiejszej szlachcie, zawsze tu będzie, i że warunkiem pomyślności będzie zawsze, jak dziś, żeby z tą jakąkolwiek szlachtą był polski lud.

Za to doprawdy nie było powodu rzucać na niego kamieniem. Ale może ma grzechy cięższe? zobaczymy.

- »W poświęcenia świętej dumie,
- »Poprowadzi lud do bitwy,
- »Kto prowadzić lud ten umie«.

Otóż jest. Na co nam świadków, słyszeliście wszyscy że zbluźnił, *habemus confitentem reum!* Kto prowadzić lud ten umie! więc zawsze prowadzić, zawsze być na przodzie; więc szlachta jedna do prowadzenia zdolna i stworzona? a sejmiki, a pijaństwo saskie, a *liberum veto*, a pańszczyzna, a równość wreszcie i prawa człowieka, to wszystko zapomniane? to nic? Dowód oczywisty: szlachcie, arystokrata, i tam dalej!

Że Krasiński przeszłość Polski, a w niej szlachty, widział w świetle idealnym, a niezupełnie prawdziwym, to widzieliśmy już nie raz. Że szlachty nietylko nie lekcewał i nie nienawidził, ale że się do niej sam przyznawał nie bez dumy, a w niej widział sam rdzeń siły, *die Kern Truppen* narodu, to prawda. W jednym ze swoich listów wyraża swoje pod tym względem pojęcia w ten sposób: »W szlachcie jest zwykle po-
»tęga, hart, to, co składa pierwiastek bohaterski na-
»rodu — w szlachcie albo w prostym ludzie. W pro-
»stem wieśniaczem odzieniu zaród wszystkich wielko-
»ści narodu, ten zaród, gdy się z kurzu otrząśnie,
»a zachowa twardość i połysk żelaza, szlachtą miano-
»wany bywa. U nas w ostatnich czasach szlachtą i chło-
»pem, w dawniejszych zaś samą szlachtą wszystko się
»działo; a dziś właśnie w szlachcie ocalenie Polski,
»w pogodzeniu się jej, w pojednaniu z wiejskim lu-
»dem, jedyny zaród siły, w przewodniczeniu jej nad
»tłumami, jedyny zakład lepszej doli. Kto zamierza ją

»wyróżnić, ten nędznie jest głupim, ten nie ma wyobrażenia o rzeczach, ten gada próżne słowa«.

Jakiegokolwiek zresztą były pojęcia Krasińskiego, błędne czy nie, w każdym razie teoria, która uczyła, że trzeba się pozbyć jednej części narodu, (tej, w której bądź co bądź było najwięcej narodowego poczucia), żeby całość stała się silniejszą, jest tak potwornie niedorzeczna, że pojąć nie można, jakim sposobem mogła powstać i żyć bodaj dzień jeden. A żyła i krzewiła się, i nie dość że głośno i zawzięcie jątrzyła wszelkie nienawiści w ówczesnych pismach publicznych, ale skrycie i pocichu zabierała się do urzeczywistnienia swego ideału. Podburzanie ludu wiejskiego przeciw szlachcie, nowa humanisztyczna, przygotowywała się jako akt mądrości i miłości Ojczyzny. Nie trzeba było być szlachcicem ani arystokratą, trzeba było być tylko człowiekiem niegłupim i uczciwym, żeby ocenić ogrom takiego nieszczęścia, i zadrzeć. Jeżeli więc Krasiński wołał o upamiętanie, to nie była arystokracja ani wsteczność, ale obowiązek rozumu i sumienia. A jeżeli na wszystkie krzyki i wrzaski ówczesne, na wszystkie prawdy i nieprawdy, jakie o niej mówiono, w oburzeniu odpowiedział przypomnieniem wszystkich rzeczywistych zasług szlachty, to było na-przód zupełnie naturalne, a potem było najprostszym aktem sprawiedliwości. Są zarzuty słuszne, skargi usprawiedliwione, prawda. Ale:

»Któż zachwycon zdarzeń ściekiem,

»Nie popełnił nigdy winy?«

Na to odpowiedzi nie ma, zwłaszcza nie mogli jej mieć ówcześni przeciwnicy Krasińskiego, nie mogli o sobie powiedzieć: »Jam aniołem, jam nie zadał drugim ran«. A jeżeli zapytamy, czy w swojej obronie szlachty Krasiński nie przebiera miary i nie wpada

w apoteozę, to odpowiedzieć trzeba, że to co mówi, jest prawdą:

- »Kto się palił wciąż ofiarą?
- »Wszędzie, wszędzie na planecie,
- »Braci moich ryty ślad...«

To jest prawda. Można by zauważyć tylko, że wskazując to co dobre, choć prawdziwe, poeta przemilcza złe, i przez to wykracza z granic ścisłej sprawiedliwości. Gdyby był pisał historię, nie byłby o tem zapominał; ale tu, gdzie chodziło o to, by przypomnieć tylko, że szlachta nie jest tą zgubą i tym wrogiem ojczyzny, za którą ją głoszą, w tej chwili, kiedy na wszystkie tamte krzyki i potwarze mógł wpaść w oburzenie i gniew — tutaj, w poezji, nie potrzebował rozwódzić się z historyczną dokładnością nad złem — wystarczyło to, że je przyznał w ogólnych słowach (Któż porwany zdarzeń ściekiem); niesprawiedliwym się nie stał.

Ale przypuściwszy nawet, że wszystko, co on mówi o szlachcie jest fałszywe i złe, to w każdym razie są tam dwie prawdy niezaprzeczone, dwa punkty polityczne, na które nie ma rady, których żadne rozumowanie nie zniesie: jedna, że »lud martwy sam to mało, ogrom leży a bez czucia«, że gdzie on sam zostaje, tam najłatwiej i najprędzej idzie dzieło wynarodowienia. Druga prawda jest w tych słowach, gdzie poeta wyrzuca demagogii naszego wieku, że ona, mówiąc zawsze o podniesieniu ludzkości, zawsze tylko wszystko chce zniżyć, nie wyszlachetnić lud, ale »szlachtę zchłopić lub obalić«, i zdaje się jej, że dojdzie tą drogą do swego celu, kiedy naprawdę działa wbrew nietylko potrzebie Ojczyzny i ludu, ale wbrew przyrodzonym prawom fizycznego i moralnego świata:

»Cel światów szlachetnienie«

a kto wbrew temu postępuje przez znížanie

»Ten nie wzniesie ludu dalej«.

To działanie ujemne, odwrotne, trafiające do celu przeciwnego temu do którego dążyło, dostrzeżone jest trafnie. To także prawda głęboka, którą historia stwierdza przy każdej sposobności.

Jest zaś w tem wszystkim coś gorszego, jak nie-szczęście, jak śmierć ludzi, jak klęska polityczna: to zepsucie narodu, które raz w jego krew wszczepione, nie wyjdzie z niej na rozkaz, ale zostawi w niej jad na długo. Pokolenia całe będą musiały wymrzeć, nowe wyrósć, i jeszcze pomrzeć i znowu wyrastać, zanim wrócą do tej małej rzeczy, na którą nieraz patrzymy z taką pogardą, a bez której nie ma wielkich, do uczciwości. Lud prosty, który dla tego że prosty naj-trudniej ją traci, raz jej oduczony, trudno do niej wraca znowu dlatego że prosty: jak raz uwierzy, że mu się należy to co nie jest jego, jak się przyzwyczai patrzeć na własność drugiego jak na swoją krzywdę, będzie musiał mu zazdrościć, będzie musiał widzieć w nim nieprzyjaciela; a widząc, że ten mniemany nie-przyjaciół jest Polakiem, on sobie wyobrazi, że jego nieprzyjacielem jest Polak i Polska, i będziemy mieli to, cośmy mieli: propaganda nienawiści szlachty, która miała doprowadzić lud do nienawiści obcych rządów, doprowadziła go do nienawiści Polski. A ci nauczyciele, ci apostołowie, jedni fanatycy przekonani, inni wyrachowani spekulanci, ci »z wzrostem szlachetnych i mową rozumnych«, jak ci dopiero zarażają sami siebie trucizną nienawiści, zazdrości, jak ci uczą siebie i drugich widzieć krzywo obowiązek, patriotyzm, miłość Ojczyzny, samo złe i dobre! i to wszystko gdzie? W Polsce tak osłabionej i wycieńczonej fizycznie, że jedna klęska jeszcze, a może z niej ostatek krwi i sił wytoczyć; tak zachwianej moralnie, że jeszcze parę wstrząśnień, a zgasnąć w niej mogą ostatki ducha;

gdzie? w tej Polsce »nieskalanej«, która rozbiorem swoim, męką i cnotą ma dążyć do zbawienia i może już jest jego blizką! i tę klęskę polityczną, tę klęskę społeczną, tę gorszą od wszystkich klęskę moralną widzieć, a nie móżdż odwrócić: widzieć, że zepsucie przyjdzie i nie pozwoli znowu, na Bóg wie jak długo, podnieść się z upadku — i to ten musiał widzieć, który w tę nieskażoną czystość Polski tak wierzył, który ją tak czcił i miłował, który tego zbawienia tak był pewnym!

»Narodu duch zatruty,
»To dopiero bólów ból!»

Jest wymówka, jest:

»Wiecznie stoi Przywłaszczyciel
»Przed wszystkich oczyma,
»Tem, że stoi, już kusiciel,
»Chyba Boga niema!»

Ale im wymówek więcej, tem większe niebezpieczeństwo, tem gorętsza prośba. Prośba Krasińskiego do Polski »precz tym złudom o ma święta«, jest jednym ze słów najpiękniejszych i najpotężniejszych, jakie kiedykolwiek serce zbolełe wyrzuciło z głębi swojego żalu i swojej miłości Ojczyzny. A potem prośba z innego tonu, prośba nie w imię Boga, nie w imię dobrego, ale już w imię tej rzeczy przystępniejszej, łatwiejszej do zrozumienia — nadziei:

»Polsko moja, Polsko święta,
»Nad zwycięztwa stoisz progiem«

miara cierpień spełniona, zbawienie blizkie, pewne, tylko jeszcze ostatnią chwilę próby grobu wytrzymać, nie splamić się zbrodnią, nie dobić się głupstwem!

W końcu dopiero, po tych prośbach i zaklęciach w imię Boga i Ojczyzny, rozumu i sumienia, po tych dowodach niezbitych i nieprzepartych, a mądrych, głębokich, rozdzierających i groźnych jak słowa Demo-

sthenesa lub Skargi, dopieroż przychodzi konkluzya, to, czego on żąda, »Hajdamackie rzućcie noże!« — groźba, że kiedyś Polska będzie przeklinała te roboty i jej sprawców, a trup Katarzyny cieszy się w trumnie i śmieje z nich śmiechem szyderstwa: przepowiednia, że to dzieło się nie uda, bo rozbije się na zbrodni, a wreszcie nauka na dziś i na zawsze, rdzeń tego *Psalmu* i całej poezyi Krasińskiego i ich ostatnie słowo: najwyższy rozum cnota.

Słusznie nazwał Krasiński swoje *Psalmami Przyszłości*. Nie było w nich proroctwa; niestety, było nie przewidzenie nawet, ale proste widzenie rzeczy widocznej, dotykanej, którą widział, kto chciał. A jednak były to *Psalmi Przyszłości*, bo je przyszłość sprawdziła zupełnie, co do słowa i rychło. Musiały »Carycy w grobie kości« trząść się z radości, na widok tej samobójczej rany, jaką sobie zadawała Polska; nie trup, ale duch jej musiał parsknąć w śmiech szyderstwa jak do niego doleciał odgłos drugiej gorszej Humańszczyzny. A to nie był jeszcze jej tryumf ostatni. Był inny, nie tak wielki może, nie tak stanowczy, ale jeszcze słodszy: to widok, że i ta nauka nie pomogła, a zatem nadzieja prawdopodobna, że nie pomoże żadna, że na polską lekkomyślność i zawiść rady nie ma. Rok czterdziesty szósty był nieszczęściem strasznem; ale rany się goją, nawet trucizny pomału mogą się z ciała wyjątrzyć, siły mogą powrócić. Fakt, że po tej nauce, po tem doświadczeniu, zamiast wejść w siebie i robić inaczej, w zmienionych stosunkach i formach powtarzamy te same hasła w słowie, a te same sposoby w działaniu, to symptom nieledwie straszniejszy; bo on dowodzi że upamiętania, sumiennego wejścia w siebie, rzetelnej miłości Ojczyzny, dobrej woli jeszcze nam niewiele przybyło. Śmiech szyderstwa jak wtedy stanął, tak dotąd musiał zostać na wyszczerzonych zębach trupa Katarzyny.

ROZDZIAŁ X.

ROK 1846—1848. — DZIEŃ DZISIEJSZY. — OSTATNI. DWA PSALMY.

I. Zima w Nizy. Falszywe położenie. Przyjaźń z Ary Schefferem. Sprawy emigracyjne. Towiański. Wznowiona korespondencya ze Słowackim. Cesarz Mikołaj w Rzymie. Sąd o Grzegorz XVI. Rok 1846. Pierwsza rozpacz. Sądy i wnioski (wyjątki z Listów). Wiara w przyszłość. Stosunek z Trentowskim. II. Zajęcie Krakowa. Wrażenie na Krasińskiego. List do hr. Montalembert. List do Lamartina. Pius IX. Stanisław Koźmian. Zamiana myśli. Możliwy wpływ. Przyjaźń i ofiara Koźmiana. *Dzień Dzisiejszy*. Jego powód. Jego wartość. *Ostatni*. III. Zima w Rzymie. Rok 1848. Nadzieje i złe przeczucia. Mickiewicz. Wzajemny stosunek. Rewolucya w Rzymie. Audyencya u Piusa IX. Sąd o jego postępowaniu. O wypadkach w ogólności. O przyszłości Polski. Zajęcie z Czarnomskim. Dwa *Psalmy* oddane do druku. Stosunek ze Słowackim. Powody zerwania. IV. Dwa *Psalmy*. Wiersz Słowackiego. Konieczność odpowiedzi. Początek *Psalmu Żalu*. Jego dalsze ustępy i usterki. *Psalm Dobrej Woli*. Jego znaczenie. Co w nim jest prawdą. Jak go rozumieć i stosować. Ostatnie słowo poezyi Krasińskiego. Zakonczenie wielkiej epoki poezyi polskiej.

I.

Zima w Nizy. Fałszywe położenie. Przyjaźń z Ary Schefferem. Sprawy emigracyjne. Towiański. Wznowiona korespondencja ze Słowackim. Cesarz Mikołaj w Rzymie. Sąd o Grzegorz XVI. Rok 1846. Pierwsza rozpacz. Sąd i wnioski (wyjątki z Listów). Wiara w przyszłość. Stosunek z Trentowskim.

Zima z r. 1845 na 46 w Nizy. Jadąc tam, pisze Krasiński z Genuy dnia 5 grudnia: »Eliza z panią D... już tam przyjechały«. Nie można w tym razie ani wstrzymać się od zdziwienia, ani jego od ciężkiego zarzutu uwolnić, ani wreszcie, zbierając razem szczegóły jego życia, ukryć i pominąć ten, który jest znany i z jego własnych listów i z innych drukiem ogłoszonych wspomnień lub rozpraw¹⁾. Trudny do zrozumienia i do wytłómaczenia u człowieka wielkiego rozumu i wysokiego charakteru był ten pomysł, żeby po ożenieniu przemieszkiwać z żoną długo i stale na jednym miejscu z osobą, w której przed ślubem kochał się przez długie lata, w której po ślubie kochać się jeszcze nie przestał. Tak jednak było. W Nizy mieszkała pani Delfina Potocka, w najbliższym sąsiedztwie państwa Krasińskich, i należała do ich codziennego towarzystwa. Przypuszczając, i wierząc nawet, że była to tylko przyjaźń, że poeta chciał być i był dla dawnej kochanki tym »bratem«, którym się pisał w swoim osta-

¹⁾ Dr Antoni J. *Opowiadania historyczne*, serya VII. *Beatrice*.

tnim do niej przedślubnym wierszu, to jeszcze uniewinnić go nie można. Jego dawna miłość była powszechnie znaną; znając ludzi można było i należało wiedzieć, że oni nie uwierzą łatwo w zamianę tej miłości na przyjaźń. Tą zażyłością Krasiński wystawiał na złośliwe sądy i panią Delfinę Potocką, i siebie samego, i powagę swego domu; i wystawiał na ciągłe i bolesne upokorzenie żonę, która w oczach ludzkich musiała wydawać się poświęconą i skrzywdzoną. Wreszcie wystawiał siebie samego na nieustającą i niebezpieczną pokusę i walkę. Dlaczego Krasiński, ze swoim sumieniem i uczuciem szlachetnem, nie zrobił sobie tych uwag i postąpił tak dziwnie? Dlatego zapewne, że pod tym względem jego sumienie było cokolwiek przytępione, bo się przez długie lata sofistycznie tumażyło; dlatego dalej, że dawna a dotąd niewygasła miłość trzymała go pod swoim czarem i nie dawała mu jasno rzeczy widzieć i sądzić. A wreszcie i dlatego może, że w jego usposobieniu poetycznem, w jego fantazyi, tkwiło to upodobanie w sytuacjach naprzężonych, niby dramatycznych: *Hrabiego Henryka* skłonność i zwyczaj »dramatyzowania swego życia«, jeszcze nie były zupełnie ustąpiły. Jakkolwiek bądź, jestto w jego życiu postępek najtrudniejszy może do wytłumaczenia; jeżeli nawet nie było w nim winy, to był zawsze ciężki błąd. To też kiedy on sam czuje to, dręczy się tem, i wkrótce po tem zamieszkaniu w Nizy pisze do Sołtana (9 stycznia 1846) »niech wszyscy dyabli wezmą fałszywe położenia! mniej niż ktobądź »urodziłem się do nich, a muszę w nich żyć«, zamiast współczucia i pożałowania znajduje się dla niego tylko odpowiedź »nie trzeba było położenia i tak dość trudnego, robić sobie samochcąc bardzo fałszywem i nieznośnem«.

Ale dość o tem, co się z obowiązku tylko i dla dokładności tylko wspomina, skoro już inni opowie-

dzieli tak, że stało się wiadomem. Z czyjej głowy wyszedł ten pomysł, kto miał mniej a kto więcej taktu i roztropności, kto piękniejszą, a kto gorszą rolę? niech dochodzą biografowie późniejsi, jeżeli szczegół ten wart, iżby się nad nim dłużej zastanawiać. My zobaczymy, jakie w tym czasie zajmują Krasińskiego sprawy albo myśli.

Na te lata przypada znajomość z Ary Schefferem, zamieniona rychło w serdeczną przyjaźń wzajemną.

Dzieje tego stosunku, poznane i opowiedziane przez pana Leopolda Wellischa, są ciekawym i pięknym przyczynkiem do biografii i do znajomości Krasińskiego¹⁾. Spisane są na podstawie korespondencji, złożonej w Muzeum Ary Scheffera w Dordrechcie, miejscu jego urodzenia, przez jego wnuczkę panią Psychary.

Dowiadujemy się więc, że Krasiński uniósł się podziwem i zapalem dla Scheffera w roku 1844 na widok ryciny z jego obrazu *Francesca di Rimini*. Rokiem później zobaczył sam obraz i poznał malarza: wzmógł się jego podziw i zapal. Czterowiersz, później przerobiony na sonet, o obrazie, a o malarzu wrażenie i zdanie, że jest najbardziej duchowym, najbardziej idealnym ze wszystkich. *Święta Monika* podnosi ten zachwyty do jeszcze wyższego stopnia. Prośba, żeby Scheffer malował portrety pani Krasińskiej i pani Delfiny Potockiej (znowu to połączenie obu, którego nie można widzieć bez gniewu). Scheffer wymalował oba: nie przyjął zapłaty. Dość mu, że miał szczęście i honor widzieć i malować takie dwie istoty! Przekonać go, ani uprosić, nie mogli: ofiarowali jakiś pamiątkowy puhar. Przyjaźń rośnie: rośnie i podziw Schef-

¹⁾ *Zygmunt Krasiński i Ary Scheffer. Listy z nieznanymi rękopisów*: wydał, wstępem i przypiskami opatrzył Leopold Wellisch. Warszawa. 1909.

fera dla pani Krasińskiej, jej głowa powtarza się w niejednym jego obrazie. Korespondencya staje się stałą. Krasińskiego listów jest mniej, niż listów jego żony, ale jest między nimi jeden z roku 1845 szczególnie ważny, bo uczy, jak Krasiński rozumiał sztukę, stosuje do niej i wykląda na niej te pojęcia ciągłego doskonalenia, podnoszenia się wyżej, które było w jego myśli przeznaczeniem człowieka i ludzkości. Listów pani Krasińskiej jest więcej, i są bardzo piękne. Widać w nich rozum niezwykły, wielką wrażliwość w rzeczach sztuki, nadewszystko dobroć, szlachetność, delikatność uczuć.

W zaburzeniach roku 1848 Ary Scheffer stracił majątek; znalazł się w położeniu bardzo przykrem: pani Krasińska spieszy z pomocą, a umie ją przynieść tak serdecznie, że wielki artysta przyjmuje bez wahania, bez przykrości, z rzewną wdzięcznością tylko. W roku 1856 maluje Scheffer piękny portret Krasińskiego. Sympatya, związek między nimi, coraz bliższy: a Krasiński korzysta z tego, żeby wpływać na przekonania, na duszę przyjaciela. Rzecz trudna do pojęcia. Ary Scheffer, ten co wymalował *Świętą Monikę* i *Chrystusa Pocieszyciela*, był pod względem religijnym sceptykiem: miał jakąś poetyczną miłość piękności religijnego uczucia, religii samej, i świętych postaci, ale wiary nie miał. Krasiński wpływał na niego tak, że w ostatnich kilku latach życia zmienił się znacznie.

Ostatni list do Scheffera jest z roku 1857, donosi w nim Krasiński o śmierci swojej małej czteroletniej córeczki. Rokiem później (w Sierpniu 1858) umierał Ary Scheffer. Po jego śmierci została przyjaźń z jego córką, panią Marjolin aż do śmierci pani Krasińskiej.

*Psalm*y wyszły; nowego nie pisze nic, ani pisać nie zamierza. Jakiś (bliżej nie określony) pomysł tłumaczenia czy parafrazowania pism św. Teresy, pierwszy i jedyny raz w tym czasie wzmiankowany (w li-

ście do Sołtana z 9 stycznia 1846), jest zarzucony. (Z niego zapewne ocalał ten ułomek, który wyszedł w druku jeszcze za życia autora).

Z listów znać, że się swoim położeniem dręczy. »Przełamany na dwoje, pęknięty w duszy jak zwierciadło porysowane od góry do dołu (pisze do Małachowskiego 9 stycznia) nienawidzę siebie«. A kiedy przyjaciel robi mu w odpowiedzi widocznie jakieś uwagi, albo może daje rady, tłumaczy, że »nienawidzi siebie, bo zawsze i wszędzie wygląda na nóż przeznaczony do zarzynania drugich, a drudzy nie pamiętają, że sam zarzynany. Szczerze mówię, radbym żeby mnie kto naprawdę dorzucił, przestałbym wtedy drugich zarzywać. Jużem znękany«... (28 stycznia). Na sprawy emigracyjne ma oko zwrócone. Z niedowierzaniem smutnem wspomina o mowie jakiejś ks. Adama Czartoryskiego: z trwogą o Towiańskim i jego wpływie na Mickiewicza. Widocznie przyjaciele namawiali go, żeby próbował na Mickiewicza działać, otrząsnąć go, skoro tak odpowiada: »Cóż ty chcesz żeby napisał do pana Adama? (do Małachowskiego 20 stycznia). Już bez odpowiedzi została moja odezwa w lecie, a w niej wszystkom powiedział co tylko można. »Czas, oto ich zwycięzca; oto pośrednik między nami a nimi. Kto fanatyzm przekona lub ukoi... kto dumę i próżność przekona, póki sama wszystkich wyników swoich się nie dowie i z nich nie poweźmie wyobrażenia o sobie samej«... Towiański musi być podług niego »człowiekiem czucia ogromnego, ale inteligencji nie żartkiej; gesta i głos jego muszą wywierać na słuchaczach wrażenie magnetyczne, ale wszystko co napisze staje się lawą wystygłą, która już nie pali, ni świeci«. (Małach. 10 lutego 1846). Boi się tylko, żeby »czyn jaki szalony nie wypadł z tego, w którym przypadnie osoba Adama«. Czy przez »osobę« rozumie życie, czy powagę Mickiewicza? Radby przytem

wiedział, czy Mickiewicz nie mówił czego o *Psalmach*, i prosi Małachowskiego, iżby się starał wymiarkować jego zdanie (4 stycznia).

W tym samym liście odkrywa się potrzeba odezwania się do Słowackiego po długiej przerwie. »Jak sądzisz, czy mam do niego napisać? Może stałem się dla niego mikroskopicznym żyjątkiem, niegodnym przerywania jego medytacyj?« Z tej jego chęci wynikło, ile domyślać się można, spotkanie Gaszyńskiego ze Słowackim, jakaś między nimi rozmowa o Krasińskim, a wreszcie list Słowackiego, który Krasiński 20 stycznia odebrał. Jest to ten oczywiście, który podaje Małacki w drugim tomie *Juliusza Słowackiego* (rozdz. XVIII), bo tak samo, jak list Krasińskiego do Gaszyńskiego z 21 stycznia, zaczyna się od owej rozmowy z Gaszyńskim.

»Odpisałem zaraz i to szczerą prawdę, starając się łagodnie ran jego ducha dotykać, jednakowoż się ich dotykając. O moich uwagach nad nim nie mów mu nic, ani też drugim ich nie udzielaj, bo jak najostrożniej trzeba z naturami tak dalece rozdrażnionymi. Najstraszniej u nas grasujące dwie morowe zarazy — próżność i lenistwo, gubią nas wszystkich; cnoty zaś dwie nasze — gotowość do poświęcenia i zmysł doskonały do przejmowania natchnień przyśrołści, natchnień Bożych, wchodzących w świat. Gdyby nie próżność, doskonalebyśmy kochać umieli piękno i dobro Boże w świecie; gdyby nie lenistwo, doskonalebyśmy je potrafili urzeczywistnić! Ale te dwa demony psują wciąż nasze usiłowania, zamiary, karłują nasze postacie, przygarbacając je. Aniołów przetwarzają w pulcinellów, bohaterów w pijaków, szaleńców lub błaznów. *Dixi!*«

Nieco później, 3 lutego, drugi list od Słowackiego, odpowiedź oczywiście, a u Krasińskiego usposobienie miększe i przyjaźniejsze: »List (Słowackiego)

»piękny i głęboko rozumny, w którym pod symboli-
»cznymi postaciami, pisze to samo mniej więcej, co
wiek nasz cały myśli, mówi i pisze« Dziwna jest ta
zaczęta na nowo zamiana listów, ta jakaś obustronna
chęć zbliżenia się, w chwili kiedy wiersz *do autora
Trzech Psalmów* jest już napisany i w licznych ko-
piach między ludźmi krąży. Do Krasińskiego widocznie
wiadomość o nim jeszcze nie doszła; ale dziwne jest,
że Słowacki, który mówi, że chce być względem nie-
go szczerym i otwartym, nie wspomina o tem, co ich
w tej chwili najbardziej od siebie dzieli. Jeżeli na
prawdę chciał być szczerym, to przedewszystkiem po-
winien był powiedzieć: »Twoje Psalmi mnie oburzyły,
odpowiedziałem na nie tak a tak«.

Smutne wieści z kraju, złe przecucia na przy-
szłość (bliską), odzywają się ciągle w tensam zawsze
dobrze znany sposób. Co ciekawe i charakterystyczne
to wrażenie, z jakim dowiaduje się o bytności cesa-
rza Mikołaja w Rzymie i jego rozmowie z Grzegorzem
XVI. Te ustępy z listów Krasińskiego mogłyby figu-
rować w drugim akcie *Kordyana*, albo w czwartym
Kursie Mickiewicza, a przypadają nieźle do jego wła-
snej *Legendy*; tylko nie przypadają ani do rzeczywi-
stości tego co podówczas w Rzymie zaszło, ani do
późniejszych Krasińskiego pism i zasad:

«Czytałeś o uściskach kopuły pękniętej ze skałą
»granitową? Piękna to musiała być chwila, gdy się
»zrosły obie... Myślę, że teraz kopuła pęknięta jeszcze
»gorzej pęknie od chwili tego pocałunku. Zbłąźnienie
»zawsze poprzedza zgon. Silni szaleją, słabi błażnią
»się a potem umierają (do Sołtana 9 stycznia)«. A do
»Małachowskiego parę dni przedtem (4 stycznia): »Dzi-
»wny to potwór; z dwóch Papieży jeden kształt zwią-
»zany i zwikłany razem, nienawistnych sobie, a spo-
»jonych tąsamą arterią władzy świeckiej. Zobaczysz,
»co się stanie; oto będzie zbliżenie się tych obu, i Piotr

»pochyli się jeszcze bardziej w mniemaniu ludzkim. »...Antichrist przybył do Romy, by w przepaść dla się »zgotowaną i starca pociągnąć. Wszystko, co ma się »skończyć, kończy się tak«.

Czem sobie te słowa wytlómaczyć? Jest powodów wiele. Pierwszy ten, który spowodował w wielkiej części niejedno odstępstwo, a w szczególności Lammenego i Mickiewicza, to wyobrażenie podówczas powszechniejsze jak dziś, że Papież *może* wszystko złe gromić lub wyklinać, a zatem, że robić to powinien. Na to odpowiadała roztropność Stolicy Apostolskiej przez usta Piusa IX »jam gotów wystąpić ostrzej, »jeżeliście wy gotowi ponieść męczeństwo, które będzie takiego wystąpienia niechybnym skutkiem«. Powód drugi, to powszechne u ludzi ówczesnych mniemanie, że władza świecka krępuje Papieży w ich działaniu duchownem i zajmuje zbyt wielkie miejsce w ich postanowieniach i postępkach; mniemanie, któremu nie można się dziwić przed półwiekiem, skoro zdarza się między katolikami jeszcze dziś, pomimo oczywistego doświadczenia, jak brak władzy świeckiej dopiero krępuje Papieża w sprawowaniu duchownej. Dalej, powodem tego uczucia u Krasińskiego jest jego filozoficzna doktryna troistości, która mu kazała wierzyć, że dzisiejsza forma Kościoła musi zamienić się na jakąś inną. Wreszcie, jest niewiadomośc faktu: wymówka najslabsza, bo choć Krasiński pisząc owe listy, widocznie nie wiedział jak i o czem Grzegorz XVI z Mikołajem mówił, to powinien był wstrzymać się od sądu, zanim to wiedział. On tymczasem przypuszcza, zgaduje, i na wiarę tych przypuszczeń, ze złośliwą niechęcią posuwa się aż do wyrażen wprost nieprzyzwoitych. W przypuszczeniach się myli, wróży fałszywo. Nie zbliżenie wynikło z tego spotkania, ale zawstyżenie Mikołaja, który stanął tam w antychrystowym zamiarze zmierzenia się z Papieżem prawdziwym,

a wychodził od niego blady, drżący, zgromiony, zmieszany tak, że nawet o swojej pysze zapomniał i przed widzami upokorzenia ukryć nie umiał. Ale ta gruba pomyłka Krasińskiego jest nauczająca, jako przestroga, i jest ze względu na niego przykra. Jeżeli w dalszych latach przypominał sobie kiedy te słowa swoich listów, to musiał sobie mówić, że zrzekł się przez nie po części prawa oburzania się na drugich. Kiedy naprzykład tak boleśnie wziął do serca nikczemny zarzut strachu, jaki mu za *Psalmy* rzucił w oczy Słowacki, mógł był mniej mu się dziwić i brać za złe, skoro sam fałszywo sądził i oskarżał Papieża.

Wśród tego usposobienia rozstrojonego fałszywem położeniem, a drażnionego drobniejszemi troskami, spadło na niego jak piorun nieszczęście prawdziwe i straszne.

»Jak waryat chodzę od kiedym przeczytał w gazetach, co się stało! Czuję jakbym konał... *Nieboskiej* »dożyliśmy na jawie!... (do Sołtana 1 marca). Czyż »to nie jak sztuczny ogień olbrzymi jakiś od dni dzie- »sięciu, w którym nasze mózgi i serca wszystkie wy- »leciały pod niebiosa, pękły, przysły i opadają teraz »w popiołach czarnych na ziemię, w dymach, z których nic nie zostanie? a co trupów tam!«

Przyszła wiadomość o rzezi roku 1846.

W życiu Krasińskiego nastąpił przełom i zwrot. Do tej chwili młody, choć wątły i zawsze cierpiący, teraz, w trzydziestu czterech latach, staje się starym, złamanym, chyli się do grobu; życie utrzymuje się w nim tylko ciągłym staraniem, ciągłemi sztucznymi środkami. Smutek, ból, cierpienie moralne było takie, że złamało zupełnie organizm fizyczny; zwłaszcza dwa pierwsze lata po katastrofie; rok 46 i 47 przeżył w stanie prawie ciągłej choroby serca, której ataki przychodziły często jeden po drugim, w stanie bezsenności prawie ciągłej, i w stanie najboleńszego rozstroje-

nia nerwów. Dawna choroba oczów wzmogła się teraz tak, że prawie już nie znosił światła — słowem od tej pory jest Krasiński tym Łazarzem, którym został już do końca, a w pierwszych czasach po wypadkach roku 1846, najbliżsi jego byli przygotowani na to, że śmierć mogła przyjść każdej chwili; niebezpieczeństwo było nieustające. Jakim sposobem w tej ruinie ciała duch nietylko ocalał, ale się wzmógł? jakim sposobem po nieszczęściu i po zbrodniach 1846 r., ta wiara w przyszłość jaką on żył, nie upadła pod ciężarem zaprzeczenia jakie dostała, lecz owszem wstała jaśniejsza, silniejsza jak kiedykolwiek? To jeden z tych wypadków, w których trzeba uznać, że Bóg odmierza człowiekowi krzyż podług jego siły — i że siła musiała tam być ogromna, bo ten krzyż nikogo tak nie gniótł, jak jego. »Jedynym faktem jego życia był ból«, a w tym fakcie ciągłym i nieustającym, chwilą najwyższą i wybraną bólu była ta. Ale wiara jego w przyszłość Polski musiała być zakorzeniona i uparta i niezłomna, kiedy nietylko się zachwiać nie dała, ale w całej Polsce, pogrążonej w smutku, w rozpacz i wstydzie, ona podniosła się pierwsza; ona pierwsza, jak gołąb po potopie, jak słowik Mickiewicza z ruin ząjętego gmachu, wzbiła się w górę, i odezwała się pieśnią żałoby, ale która była zarazem i pieśnią nadziei.

Zrazu w listach krótkie urywane zdania, niby krzyki pierwszej rozpacz, i trwogi o drogich przyjaciół — gdzie są? czy żyją? Szukanie wieści o nich, udzielanie jej, kiedy nareszcie doszła. Potem dopiero następuje rozważa, zgłębienie faktu, jego znaczenia i skutków; i żałość gorzka, straszna, która się długo, długo we wszystkich listach powtarza. Rozkoszny tryumf nieprzyjaciół, i siła, jaką im ten fakt daje; rozdarcie społeczeństwa polskiego i przyszłość jego tem mniej pewna, tem groźniejsza; wina emigracji, obowiązek poprawy, i mniejsze lub większe jej prawdopo-

dobieństwo; oburzenie na sposób, w jaki fakta takie przyjmuje urzędowa i nieurzędowa opinia w Europie — wszystko to w tych listach wybucha, wre, czasem płacze gorzkiemi łzami, czasem zgrzyta; a ze wszystkiego przecie dobywa się nadzieja, że to szczyt i przesilenie złego, za którym pójdzie jego schyłek i koniec.

»Szlachtę polską wiązą chłopcy polskie i wydają!
»Ojce synów chwytają i wydają! Spiskowi, co chcą
»piekło obalić, nie jak anioły poświęcenia wstają, ale
»piekarzów namawiają do zatruwania chlebów! Chcą
»wyrzynać wszystkich Niemców itd. itd. Dowódcą ol-
»brzymio rozgałęzionego sprzysiężenia kto obran?
»Młody szaleniec, szarlatan, fraześnik, Mierosławski!!!
»Boże mój! Boże! krwawe łzy mi z serca ciekną, ile-
»kroć gazety czytam. Żal chwyta za serce, że choć się
»tych dwóch czy trzech godzin, podczas których bito
»się o ideę polską, tych godzin mówię kilku tam nie
»było; to znów wściekłość porywa duszę, że frazesa
»nikczemne jednego stronnictwa, wymysły śmieszne,
»sekreta na wytrucie wojsk nieprzyjacielskich, rzezie
»marzone na skalę ogromną, a nie mogące udać się
»nigdy, bo natura rzeczy dziewiętnastego wieku nie
»dozwała już takich anti-ludzkich głupstw: że to
»wszystko spadnie na cały naród. O mój drogi! dusza
»moja grobem. Czyś się spodziewał, by chłopcy wiązali
»szlachtę, by ostatnich obrońców Idei własny lud, ów
»lud tyle pod obłoki podnoszon, wydawał! Przekłęte
»gadaniny, frazesy, głupie niedojrzałości smarkaczów
»demagogicznych. Smutne proroctwo *ktoś* im wypsal-
»mował przed wybuchem, zaklinając, by celu wieków
»nie cofali, znów nie spóźniali! Wiesz, w krew roz-
»pływa się serce moje, rozpływa się jakby miało zni-
»knać, z bólu się ulotnić i nie być już nigdzie!« (do
Małachowskiego 6-go marca 1846).

»O mój Konstanty, źle, źle z nami, a co najobrzy-
»dliwsza, że mi donoszą, iż emigracja gorzej swarliwa,

»niż kiedykolwiek. Czyż wstydu nie mają? czyż hań-
»by się nie lękają? Kto kiedy rozdzielony czego do-
»kazał? i czyż najżarliwsi nawet przyjaciele nasi nie
»zdumieją się nad niewyleczoną anarchią naszą? czyż
»nie poznają po tym znaku, że u nas organizmu ży-
»wota nie masz? Nas zabijają, a my się dobijamy!
(do Gaszyńskiego 19 marca 1846).

»Piszę, a gorączka je mi palce, pożera palce.
»Wszystko się skończyło na teraz. Krzykacze Wersal-
»scy wszystko zgubili. Rozpowiedzieli przed wszyst-
»kiemi świata policyjami głośno zamiary swe, a brudne
»zamiary; rządy wszystko wiedziały i skorzystały!
(do Małachowskiego 16 marca).

Wśród tego przypuszczenie, że nieszczęście to może dobrze wpłynąć na emigrację; że ona się upamięta i zjednoczy: przez chwilę nadzieja że tak będzie, wkrótce przekonanie bolesne że tak nie jest, i wniosek, że chyba jakaś obca, niepolska ręka prowadzi i popycha tych Polaków; że bez swojej wiedzy służą Rosyi za narzędzie, kiedy z wiedzą (oszukani rewolucyjną doktryną i fanatyzmem) przyjmują natchnienia i rozkazy od przywódców rewolucyi, w złudzeniu, że służą przez to Polsce i ludzkości. List do Małachowskiego (z 17 marca 1846) jest pod tym względem ciekawy, jako pełen przystosowania i w późniejszych czasach, a charakterystyczny bardzo dla ogólnych i stałych Krasińskiego pojęć. »Upór i zapamiętałość tych ludzi coraz mnie bardziej potwierdza »w myśli, że jakaś niesłychanie bezecna sprężyna porusza temi maryonetkami. Zażartość, zawziętość na »krew własną, bratnią, cieszenie się z jej rozlewu »szkaradnego, nie może towarzyszyć bohaterstwu ni »wzniosłym dążeniom. Najdemokratyczniejszy duch, »byleby nie mierny i poziomy w sobie, wyrzekłby się »takich środków, przynajmniej nie tryumfowałby na »trupie Kotarskiego. Coś w tem wszystkim jest nader

»ukrytego, podziemnego, a bezwstydnie rozpasanego...
»Takie uczucia przed dopełnieniem czynu mogą pochodzić z gorączki, niedoświadczenia, zbytnej krewkości, przesady, z krzykaczostwa; ale po *czynię* zachowane takie same co przed czynem, dwie tylko mieć mogą podstawy, a temi są: albo próżność osobista, bezmierna, nabuchodonozorska, samolubna obiecująca sobie znaczenie i korzyść i głupią Robespierowską chwałę, a taka próżność jest najgorszą ducha zgnilizną; albowi też mongolska pensya działa na takich i podtrzymuje ich w takowem dążeniu. Nieraz i to bywa, że pensyonowani przez Hana wielkiej hordy Anti-Chrystusowej nie wiedzą sami, skąd ten ich żołąd pochodzi; mniemają, że od komitetów liberalnych, że od propagand, a tymczasem ostateczny skarbiec, skąd sypie się złoto ono, przez wiele rąk przesuwać się, leży w Krymie.

»Wszystkie przepowiednie Chrystusa o końcu epoki, zaczynają się w rzeczywistość okropną wcielić i żyć na tej ziemi i ruszać się larwowo po niej. Potęgi niebieskie aż wstrząśniętymi zostaną. O Polska! Polska! jakżeż teraz okropnem niebezpieczeństwem otoczona i kuszona, by wyrzekła się siebie samej, tak jak i zresztą wszystko kuszone, co tylko na świecie; Rzym także kuszony, a wszyscy przez ducha niesprawiedliwości, gwałtu, mężobójstwa i kłamstwa. Kto pójdzie za jego głosem, przepadnie; natomiast *Sąd* odbędzie się nad nim!

»Wiesz, zwróć uwagę tych, którzy mają w rękę darta pewne i którzy je zbierają od dawnych czasów, na te pokuszenia mongolskie, o których wspominam. Gdyby ślad ich pewny dał się wykryć, to stronictwo by zbladło. Pamiętasz, gdy Szczęśni i Xawerowie byli wszystkiem u nas? Kuszono Szczęśnych i Xawerych złotem, potęgą, teoryami o złotej wolności i obiecanych tronach; teraz, gdy Demokraty

»przewładni, jakżeż wątpić, by i nad nimi omieszkano
»podobnych chwycić się zabiegów. Ajentów pewno
»mnóstwo krąży wśród tych nieszczęśliwych, i odbierać
»im się stara, co mają *prawdy* w sobie, to jest teo-
»ryę o wzniosłem, powolnem, stopniowem podnosze-
»niu ludu; a poddawać im piekielne zasady o możno-
»ści *odzwierzęcenia zwierząt przez najstraszniejsze*
»*rozpasanie zwierzęcych ich chuci* w dniu jednym.
»Na tem albowiem kończy się nauka demagogiczna:
»wyrznać szlachtę i koniec; jakim bądź sposobem wy-
»rznać i koniec, a będzie wielki naród polski, silny,
»dwudziestomilionowy, który nasamprzód na krwi szla-
»checkiej się zaprawiwszy i rozbestwiwszy, później
»siły i ducha, i oświecenia i poznania swoich praw
»nabrawszy takim sposobem, porwie się jak jeden
»bohatorski, cnotliwy i święty Duch; brudem czysty,
»zbrodnią cnotliwy, świętokradztwem święty, głęboko
»pobożny niewiarą w Boga i podeptaniem wszelkiej
»religii; odwiecznie historyczny przecięciem wszystkich
»z przeszłością historyczną związków; doskonale ludz-
»ki, wszelkiej ludzkości zgwałceniem; rozumny sza-
»leństwem; myśli odrodzonych pełen, nabytych przez
»pożogi, gwałcenie kobiet, kradzież, łup, i dzieci mord;
»zduchowniony ucieleśnieniem, strojny rozstrojem:
»i ten to lud zwalczy trzy mocarstwa! Czyli, że jeden
»szatan, puszczony na trzech szatanów, ma być od
»tych trzech silniejszy! Jakież bezdenne głupstwo!
»Jeden anioł od szatanów trzech może silniejszym być,
»na to się zgadzam; ludu zaś anielstwem: wiara w Bo-
»ga i wiara w tych, którzy go wiedzą, a są wielkimi
»i sprawiedliwymi! Inaczej wszystko się tylko na lu-
»pieży kończy i gdy kilka dworów złupionych, opa-
»dają ręce. Duch tylko ciągle walczyć zdoła; ciało,
»kilka dni przewalczywszy, mdleje i obala się. Czy
»Spartakusa chorągiew owaładnęła światem? Czy Rzym
»obalić potrafiła? Nie. Dopiero Chrystusa znak to

»uczynił! Spartakusami oni wszyscy, a biedni, że nie
»wiedzą o tem. Kto socyalną podnosi chorągiew, a nie
»wie o tem, że pierwszą wszelkiego systematu socy-
»alnego podstawą — *Bóg i religia*, bo wszelki nowy
»społeczny porządek usprawiedliwia się tylko w źródle
»niebieskiem, ten niewolnikiem zbuntowanym, a nie
»mężem zwyciężkim jest, i ten zginie na trupach tych,
»których wprzód pomordował! Boże mój, Boże wielki!
»uchroń Polskę, by nie poszła tym torem; prawdziwie-
»byśmy wyszli na Żydów nowożytnych, bo właśnie
»tem zginęli Hebreje, że nie chcieli przyjąć Chrystusa,
»a mimo to chcieli wybić się z pod obcej potęgi! Nie-
»domiara między celem ich usiłowań, wymagającym
»Ducha nowego, a z niebios — i brakiem Ducha tego,
»zgubą ich się stała!...

»Jeśli co nas zbawić potrafi, to *sens* tego narodu
»powszechny, to właśnie głębokie uczucie religijne, za-
»chowane w jego piersiach; to przeświadczenie, że co
»nie od Boga i nie z Bogiem, choćby z wódką i grun-
»tem i pieniędzmi, nie wiele ni wartem, ni trwałem.
»Otóż takowe uczucie przechowało się i u szlachty
»i u ludu. Należy go tylko rozwinąć, a nie da się ina-
»czej jak religijnie rozwinąć. Tylko religia łączy pra-
»wdziwie rozbitych i rozstrojonych ludzi, bo to naj-
»wspólniejsza najsprzeczniejszych fakcyi idea! — i je-
»dyna tylko, która wspólną im się stając, może ich
»spoić i w organizm związać!... Niełączenie się emi-
»gracyi pod ster jeden, najokropniejszym ciosem na
»nas. Wpływać na naszych obłąkanych tylko można
»przez obcych, przez cudzoziemców, nas nie usłuchają«.

Nie mogąc zrozumieć takiego stopnia bezrozumu,
coraz częściej przypuszcza, że była w tem wszystkim
ukryta sprężyna — rosyjska.

»Djabelska Polska w rzezi tarnowskiej, i jeśli
»szerzyć się ma takowa (o czem prawie już nie wąt-
»pię), to przyznaj, że co Chrystus o końcu świata

»przepowiadał, pokaże się być końcem naszej epoki
»historycznej! Rozdarłeś mi bebechy (jak Danielewicz
»mawiał) wiadomością tą, że Wersalscy sobie nowo
»przybyłych skonfiskowali i że ich trzymają u siebie
»na nauce. Ze wszystkiego, co się stało, to najgorsze,
»bo to dowodzi pewnej siły szatańskiej u tych ludzi,
»a wielkiej słabości i braku potęgi na dziś u znacznych
»i dobrych. Proszę cię, napisz mi dokładnie: na wiele
»partyi emigracya się dzieli? co zasiada w Wersalu?
»czy zjednoczenie, czy centralizacya? pokrótce daj mi
»statystykę moralną emigracyi. O! przeznaczona do
»zbawienia kraju, zgubi go, przez to fatalne małpowanie
»nie a brak samorodnej twórczości. Wreszcie powiem
»ci szczerze, żem przekonany, iż wśród owych demagogów
»gęsty deszcz, jak na Danae, sypany z rubli działa,
»i że kiedyś wyświeci się, że tam istniała zbiorowa
»zdrada, Judasz z kilkunastu złożon, apostazy, o jakiej
»dotąd świat nie słyszał« (do Gaszyńskiego 14 kwietnia).

»Smutne wieści z Krakowa cię doszły. Co za rozstrój
»w Polsce? co za oskarżanie się wieczne, wzajemne?
»Okropnie mi, gdy się nad tem zastanawiam, i czuję,
»że w tej chwili olbrzymie dwie, a sprzeczne nibyto,
»ale na pozór tylko, grożą narodowi apostazy: Demagogia
»i Moskwa! Obie żądają od niego, by zupełnie zerwał
»z przeszłością, to jest z wiekami, które jego zasługę
»ziemską składały, i wyrobiły mu na ziemi ciało widome.
»Gdyby lud z jednej strony uwieść się dał i w rzezaczy
»uwierzył, a z drugiej mający być wyrznięci, owi
»*morituri*, rzucili się w objęcia obiecujące im
»ochronę, w objęcia Moskwy, — powiedz, czyby to nie
»gorszy był *finis*, jak na Maciejowickiem polu? To w tej
»chwili grozi nam, niech Bóg nas ochroni, on jeden może!
»O mój Konstanty! czuję, że umarłem. To strach! strach!
»położenie obecne. Patrzeć na nich wszystkich samobójczących się przez

»nierozum, głupstwo, a niektórzy świadomie, przez »podłość, gorszą niż owa Judaszowa«.

»Emigracya szaleje. Doprowadzić ją do szaleństwa »i głupstwa wszelakiego rodzaju, ulubionym było po- »mysłem wroga, i stało się, i staje się według życzeń »jego! Jeśli tego nie rozumie emigracya, to zgubi i sie- »bie i tych, których stała się wyobrazicielką! Dobrze »jest widzieć okiem ducha cel wieków, i wiedzieć, że »k'niemu się idzie; ale obrzydłem głupstwem na iście »k'niemu dobierać sposobów, właśnie k'niemu nie pro- »wadzących, owszem opóźniających go. Nie rzezią lu- »dzie dojdą do rajy politycznego, nie demagogia ustali »harmonią. By dojść z poniedziałku do niedzieli, nie »sposób przeskoczyć dni tygodnia; nikt nie ma potęgi »do sprawienia tego, by po poniedziałku, nie wtorek, »środa i t. d. następowały, ale niedziela zaraz. Kto »zaś sobie przypisuje taką potęgę, ten głupi, arcy- »głupi, a gdy przyjdzie do czynu, arcy-słaby i nędzny! »płód jego potworem, jak dziecko w drugim lub trze- »cim miesiącu, dobre do gabinetów anatomicznych na »naukę i przykład, ale nie do niw żywota. Smutno mi »i coraz smutniej; samobójczym się na wszystkie stro- »ny: fizycznie w Tarnowskiem, moralnie w Paryżu«.

W tem udręczeniu przychodzi mu myśl, żeby szukać pociechy. Gdzie? Jakiej? Nająć statek, zebrać się w kilku przyjaciół, i popłynąć do Jerozolimy. Tam wypłakać się na Golgocie, w Ogroju Oliwnym może znaleźć siłę do wypicia kielicha, u Grobu Pańskiego może jak łaskę, otrzymać jaką nadzieję, jakie przeczucie Zmartwychwstania. Tej potrzebie człowieka nieszczęśliwego a pobożnego towarzyszy i fantazyja poety, która mu przypomina i ukazuje różnych pobożnych, świętych lub rycerskich pielgrzymów. Chciałby pójść ich śladem, może jak oni znalazłby tam pokrzepienie. Pomysł ten nie ustalił się nigdy w prawdziwy zamiar. Stan zdrowia bardzo zły kazał go zaniechać. Usposo-

bienie jego im dalej tem smutniejsze; zajęcie całej duszy jedną myślą, jedną troską; dochodzenie coraz boleśnieszę powodów, i także przewidywanie skutków nieszczęścia:

»Mojem zdaniem, wszystkie demoniczne świata »potęgi obrały sobie Polskę, jako najbardziej na nerwach rozdrażnioną, do doświadczeń swych, i doświadczenie oto pierwsze, tak zawikłane i dziwaczne w swoich skutkach, jak zawikłane i rozmaite sprężyny, które działały. Ogólny pomysł, zamiar, był pomysłem odwiecznie polskim, i szlachta, ta żywa narodowość kraju tego, była go pomyślała i przedsięwzięła. By »zniweczyć to przedsięwzięcie, trzeba było zmusić go »do wybuchnięcia przed dojrzaniem i przy niepomysłnych okolicznościach. Tego demoniczne potęgi świata »dokazały. A dwojakiego rodzaju są *Demony*: jedni, »którzy chcą o wieki nazad w tył odskoczyć i wrócić »do dwunastego wieku, a drudzy, którzy chcą wieki »naprzód przeskoczyć i odrazu stanąć np. w czterdziestym wieku; oba z piekła, bo antynaturalnych »rzeczy chcą, a co antynaturalne, to tylko na chwilę »się urzeczywiesić da, za pomocą rusztowania, więzień, »rzezi, słowem obrzydłego ucisku i absolutyzmu. »Szlachta padła ofiarą, tych dwóch potęg saltomortalicznych. Ona jedna żądała tego, co powinny prawe »serca żądać: niepodległości i roztwarcia pola do dalszego rozwoju! Bo na ziemskim świecie, z bydląt »niesposób utworzyć Królestwa Bożego, i kto marzy »o niem, jako nie o *celu*, ale o rzeczywistości na jutro gotowej, ten tylko dochodzi do królestwa szatańskiego. Jeśli się teraz Wersal nie przekona, że głupi »i zbrodniczo głupi, to zgubion na wieki wieków. Jedynie jego ocalenie przed ludźmi i Bogiem, ze skrucną »wyznać *mea culpa*, i z pokorą poddać się księcia »władzy, jako *ześrodkowaniu porządnemu* dążeń narodowych.

»Tak mi gorzko i smutno, że ledwo piszę. Zapewnie tu i Jerzy zdąży. Ja kamieniem tu leguję, »a czuję się codzień *trupszym* na ciele; dożyłem dni, »które chciałbym był przemrzeć!« (do Małachowskiego 3 Kwietnia).

»Wczoraj Dziennik Narodowy mnie nauczył o tem, »że niezgoda wciąż trwa w emigracyi, że nikt na drugiego nie chce się zgodzić, to jest na myśl drugiego, »i to mnie rozdziera, bo to znak należący do znaków »śmierci. Na jakąż okoliczność ważniejszą czekają, by »się pozbyć przeklętej swawoli i niesforności? Co ich »w jedność sprzęgnie, jeśli nie ostateczna klęska i wy- »roczny mus? Znakiem więc to będzie dla wszystkich, »że *nic*; a ciało, którego nic nie potrafi spoić, to jest »żywym i organicznem uczynić, jest ciałem zgniłym »i przydatnem grobowi, nie pobojuwisku żywota. Zabija mnie to głupstwo silniejsze nad piekło, silniejs- »sze nad śmierć. *Miłość* i *jedność*, te znamiona nosić »powinni, a nie głupstwo i zawiść. Co może dobitniej »ich kiedykolwiek przekonać o krzywości obranej »drogi dotąd? Wiesz, taki upór niesłychany, taka demagogia, dla której nie już tylko Ojczyzna, ale i narodowość podrzędnym względem, naprowadza mnie »na podejrzenie, że w Wersalu muszą być pewni krzy- »kacze płatni, jak płatną jest prasa. Być inaczej nie »może. Ludzieby się nawrócili, bo w ludziach, jak- »kolwiek obłąkanych, pozostaje zawsze troszeczkę »choć loiki, a tę pozostałą iskrę, *czyn* taki przeważny »jak galicyjski, krew bratnia i niewinna tak ohydnie »przelana, w światło musi się przemienić. Jeśli zaś to »nie nastąpi, to innej przyczyny trwającemu uporowi »szukać się godzi, a tą jest niezawodnie interes, pen- »sya, urząd tajemniczy!

»Kiedym o krymskim żołdzie wspominał, to miałem na myśli, że horda tatarska, wiedząc, iż osłabieniem wielkiem każdego domu jest niezgoda i rozdzie-

Zygmunt Krasiński II.

»lenie, kilku, kilkunastu mogła płacić takich, których
»obowiązkiem było wiecznie podzegać, jątrzyć; sól,
»pieprz, ocet, żółć kłaść na rany wewnętrzne, by nic
»ich nie zagoiło, a owszem w końcu z nich tylko ropa
»ciekła, nie już krew nawet. Naturą rzeczy, że każdy,
»co drugiemu źle życzy i robi, dla siebie szkód ztąd
»się nie spodziewa, a tymczasem wynikają, i przez to
»samo, źle drugiemu robiąc, sam brnie; lecz to dzieje
»się mimo woli jego. Tak się i teraz stało lub stanie,
»jeśli się dalej ten ruch bestialski rozszerzy! Niemniej
»myślę, że nie tylko propaganda zachodnia działała;
»wiem, że i ona bezwątpienia, znajdując narzędzia
»w nas największe i zarazem najbitniejsze, ma z nas
»swoich sokołów i psów do polowania; lecz pozostaję
»przy mojem zdaniu poprzedniem. Taki stan umyśle-
»wy szeroki i wszeteczny nie z jednej przyczyny wy-
»pada. Mnóstwo sprężyn rządzi taką olbrzymią dezor-
»ganizacją, tak jak mnóstwo kieruje każdą wielką or-
»ganizacją! Nie w jednym dniu Kraków zbudowan,
»ani też piekło! W tej *centralizacji* muszą być dwaj,
»trzej przynajmniej płatni, dałbym gardło za to. Okro-
»pnie, okropnie!« (do Małachowskiego 7 kwietnia).

Mimo to wszystko jednak żyje w nim i trwa ta wiara, która niebawem objawi się w *Dniu Dzisiejszym* i w nowych *Psalmach*.

»Na teraz wszystko się skończyło; broń z ręki
»wypadła, będą wiązać i krzyżować bezbronnych; na-
»stępnie godzina ostatniego konania, w której Chry-
»stus mówi: *Consumatum est*, a to właśnie pierwsza
»chwila Zmartwychwstań, a ostatnia skonu. Tak! *Con-*
»*sumatum est*, przemiara niesprawiedliwości i beze-
»ceństwa owych trzech, trójpiekła onego! *Consuma-*
»*tum est*, bohaterstwo ofiary nieszczęśliwej! *Consu-*
»*matum est* w europejskiem przeświadczeniu myśl po-
»trzeby wskrzeszenia punktu równowagi między Za-
»chodem a Wschodem! *Consumatum est* podłość

»rządu Gizotowego! *Consumatum est* obojętność rządu
»angielskiego! Odtąd wszystkie te nieszczęścia i błędy
»i nieprawości rósć nie mogą, bo doszły szczytu nie-
»prześlądnego, więc muszą zacząć upadać. Lecz nim
»ujrzymy promyczek światelka, zejdzim do katakumb
»i tam jedni drugich grzebać będziemy w ciemnościach
»i podziemnej niewoli!« (do Gaszyńskiego 17 Marca).

»Powiadam ci, dochodzim naszej pory katakum-
»bowej, zstępujemy do Chrystusowych ciemności,
»w których grzebać jedni drugich będziemy, prześlado-
»wani, i to ostatnia noc nasza, dopiero po niej na
»wieki będzie rano! Ale ją przebyć musim, i niejeden
»z nas, kiedyś, odkopan z tych ciemności, na pier-
»siach mieć będzie położoną flaszeczkę z krwią własną
»i napisem: *pro Christo*, czyli: *pro Polonia!*... bo
»Chrystusowa najprzedziwniejsza część dziś w Polsce,
»a tą częścią ból nieskończony, który zbawia świat!
»Okropnie, okropnie o Konstancy mój! Patrz! od pier-
»wszego rozbioru, czy to nie Kolizeum wielkie, dziejo-
»we, w przestrzeni i w czasie, coraz szersze, krwawsze,
»nasz kraj. I zrazu tylko szlachta, później mieszczenie,
»wreszcie żydzi i chłopci, schodzą do areny i walczą
»z tygrysami, które kupił i karmi Cezar, w obli-
»czu Cezara! A te tygrysy, to wojsko żołdne,
»to policye, to szpiegi, to obląkani włościianie, to
»wreszcie stronniczy duch nas samych, duch niezgody,
»płatny także przez Cezara, z lochów czarnych Koli-
»zeum na jego rozkaz wyprowadzony przeciwko nam
»samym. Dotąd walczyliśmy jako gladiatory z bronią
»w ręku, wściekle, żażarcie, i w końcu tygrysy i Ce-
»zar zawsze zwycięzcami byli! Nadchodzi dzień, w któ-
»rym już nie dadzą nam nawet oręża do rąk na te
»zabawy Cezarowe, ale będziemy musieli nadzy i bez-
»bronni wytrzymać napad tygrysów i nie wyrzec się
»imienia Chrystusowego ni Chrystusowej żadnej rze-
»czy, a taką rzeczą najwyższą za dni naszych — na-

»rodowość jest! Z hymnem o niej w sercu, z świadectwem jej złożonem na ustach, musi umierać, gardło musim dawać dzikim zwierzętom i dzikszym od nich oprawcom, włościanom bezrozumnym i wodzom, pułkownikom, komisarzom, rozumu bezecnego pełnym! A po dniach tych ostatnich, zwyciężym jak wszystko, co ostateczną wytrzymawszy mękę, udowadnia, w niej nie znikając, że natury nieśmiertelnej jest! Tak chrześcijaństwo w obliczu świata się udowodniło, i ząd panowania dostało! Ach smutne, smutne to przecucie! nieprawdaż mój Konstanty! Wszystko stracone prócz wiary, ale z wiarą wszystko odzyskać można!« (do Gaszyńskiego 22 Marca).

Zostaje więc Krasiński do późnego lata w Nizy, gdzie jego żona czeka słabości, i gdzie (w Czerwcu) przyszedł na świat drugi syn Zygmunt. Przyjaciele, Cieszkowski i Małachowski przybyli ulżyć w ciężkim smutku jemu i sobie. Zmartwieniem dodatkowem jest śmierć księżnej Kaźmierzowej Lubomirskiej, starej przyjaciółki, z którą łączyło poetę wiele wspomnień z lat młodych.

W lipcu przesyła Gaszyńskiemu rękopism *Augusta* (Cieszkowskiego), z poleceniem tajemnicy najściślejszej i czytania z największem skupieniem. »Autrze *Przedświtu*, spotykasz się ze *Świtem* teraz«. Rękopism ten to oczywiście *Ojciec nasz*, lub może jaka jego część tylko. W tym samym czasie przyrzeka posłać kilka kartek własnych i prosi o ich przepisanie. »Nie lękaj się... te nie złe«. Wydawcy *Listów*, a najlepiej niezawodnie okoliczności jego życia świadomi, sądzą, że te kartki to *Resurrecturis*, napisane (jak świadczą) po wypadkach roku 1846. Potem, od Sierpnia, kuracya (w Heidelbergu) zakończona krótkim pobytom w Paryżu, i znowu (w Grudniu) powrót na zimę do Nizy.

W ciągu tego roku 1846 zawiązuje się, a przynaj-

mniej ustala stosunek z Trentowskim. Wiadomo, jak powszechnem było podówczas pragnienie osobnej narodowej polskiej filozofii. Upatrują ją, szukają jej wszyscy, (Mickiewicz nie ostatni i nie najmniej jak świadczą Kursa), wszyscy wierzą, że ta własna filozofia, jeżeli nie uzdrowi i nie pokrzepi zupełnie samego ducha narodu, to przynajmniej bardzo do tego pomoże. W tem powszechnem uczuciu szukać trzeba powodu wielkiej podówczas powagi i sławy Trentowskiego; w tej nadziei skłonili go znakomici Wielkopolanie (Marcinkowski, Edward Raczyński, Maciej Mielżyński), że porzucił widoki katedry w Niemczech, i zaczął naukę swoją wykładać w dziełach, po polsku. Krasieński, spragniony jak wszyscy (może więcej od wszystkich), tej nowej filozofii polskiej, wzruszony tem poświęceniem, jakie Trentowski zrobił, uniósł się wielkim dla niego zapalem, a skłonny zawsze do idealizowania swoich przyjaciół, ujrzał w Trentowskim zasób sił i zdolności większy zapewne, niż był w istocie. Wszyscy zresztą nie spostrzegli się, że uczony niewątpliwie najgodniejszy i poważny, nie był zdolnym tego, czego po nim oczekiwali; tej nowej narodowej filozofii stworzyć nie mógł, bo z natury swego umysłu, z wychowania, z pojęć, był zupełnie do Niemców podobny, choć uczucia miał polskie. Dość, że Krasieński patrzy na niego z »czcią« aż prawie pokorną, z ufnością aż zaślepioną, w listach nazywa go »częścią zbawienia ojczyzny«. »Pierwiastku polskiego nigdy w nikim tak nie czuł i nie doznał jak w tobie. W »telligencyi twojej jest Polska wieków przyszłych, w każdym serca twego uderzeniu jest Polska wieków »przeszłych,... więc cała i powszechna jest w tobie«. (List 1 Maja 1847). Kiedy się pokazało, że Wielkopolska nie mogła dostarczać Trentowskiemu tych środków utrzymania, które miał przyręczone gdy się zrzekał zawodu uniwersyteckiego, przejął Krasieński ten

koszt na siebie i ponosił go do śmierci. Praca wspólna stała się teraz pragnieniem i zamiarem obu. Krasiński zachęca Trentowskiego do pisania, wskazuje co pisać właśnie potrzeba, nieraz sam pomaga. Korespondencya zawiązuje się między nimi stała, ze strony Krasińskiego bardzo serdeczna; w serdeczności tej wszakże znać więcej rozumowania, woli, uszanowania dla znakomitego umysłu, aniżeli prawdziwego popędu uczucia. Kwestye filozoficzne zdarzają się oczywiście, ale raczej rzadko jak na korespondencyę z filozofem. Zato polityczne prawie ciągle; a z temi łączy się i wyklada obszernie — często bardzo pięknie — Krasińskiego filozofia historyi i polityki. Taki jest, i bardzo charakterystyczny, pierwszy zaraz z ogłoszonych listów do Trentowskiego (z 3 Listopada 1846).

»Kto z grobu chce zmartwychwstać, ten niech
»wie, że tylko w świetle się zmartwychwstawa, bo
»światło i dobro i wszechmiłość wszelkiego życia
»warunkiem, cóż dopiero powtórnego żywota, żywota
»zmartwychwstań. Ni wola nasza, ni rozum, ni za-
»sługa, nie odpowiadają powołaniu naszemu, powoła-
»niu najwyższemu, jakie dostać się mogło narodowi
»jakiemu na planecie tym ziemskim; bo jako od Chry-
»stusa poczęła się Jaźni jednostkowych ludzkich nie-
»śmiertelność i godność, tak w nas i przez nas po-
»winnaby się począć narodowości ziemskich nieśmier-
»telność, a zatem i godność przedmiotowa, zbiorowa!
»Wszystko nas woła głosem przeznaczeń, tchnieniem
»woli Bożej, do owładnienia całą Słowiańszczyzną, na
»przekorę piekłu widomemu, ziemskiemu, które nas
»nęka; do obalenia, siłą duchów żywych, tego piekła,
»li z cielesnych środków, chuci, niesprawiedliwości
»złożonego. Od nas mógłby się rozpocząć trzeci wiek,
»najwyższy dziejów ludzkich! Ale do tego trzeba, żeby
»z wolą Bożą, z rozumem Bożym, nasza wola i rozum
»się zeszyły do jedni, trzeba nam niepokalanymi być;

»bo kto przeznaczon Chrystusa prawo wnieść w świat
»widomy z idealnego, kędy aż dotąd na uboczu zosta-
»wało, ten winien mieć w sobie Chrystusową moc.
»Próżność i lenistwo naszymi katami: lenistwo czyli
»bezmoc, próżność czyli szalbierstwo, chcące bezmoc
»udać za moc jaką. I naturalnie, nie bez wiekuistych
»szwanków zapada się do grobu pomiędzy trzy piekła!
»Zmituj się, ratuj, jak i gdzie możesz, tę Jaźń naro-
»dową, tak rozpadłą, tak zanękaną w tej chwili; grzmij
»głosem prawdy niebieskiej i ludzkie kłamstwa roz-
ganiaj«.

II.

Zajęcie Krakowa. Wrażenie na Krasieńskiego. List do hr. Montalembert. List do Lamartina. Pius IX. Stanisław Koźmian. Zamiana myśli. Możliwy wpływ. Przyjaźń i ofiara Koźmiana. *Dzień dzisiejszy*. Jego powód. Jego wartość. *Ostatni*.

Zanim się ten rok 1846 skończył, nastąpiło zajęcie Wolnego Miasta Krakowa przez Austryę. Nastąpiło za wspólnem porozumieniem trzech dworów, bez wiedzy i zgody innych państw podpisanych na traktacie wiedeńskim z r. 1815. Urzędowe protestacye Anglii i Francyi były zrobione dla formy, dla przyzwyczajenia tylko; ale wrażenie w opinii było istotnie silne na zachodzie. Krasieński rozumiał tak, jak tam rozumiano, stronę międzynarodową tej sprawy: jak w emigracyi, jak w Polsce całej, brał do serca to zagładzenie ostatniego śladu niepodległości Polski. Dla Guizota, podówczas ministra spraw zagranicznych, który w Izbach wykręcał się dyplomatycznie z tej sprawy i na którego oburza się żywo w *Listach*, napisał Krasieński memoriał o zajęciu Krakowa (dziś znany tylko z małego streszczenia, jakie daje Stanisław Małachowski w *Krótkim Rysie Życia i Pism Z. K.*). Jednak

w głębi swego serca uważał on to zdarzenie za dobry znak raczej. Podług jego filozoficznej teorii, śmierć potrzebna była na to, by mogło być zmartwychwstanie; w zastosowaniu tej teorii do Polski, ostateczne zniknięcie jej z karty europejskiej było uzupełnieniem tej śmierci i warunkiem początku jej odrodzenia. »Jeżeli własnoręcznie sami się dobijać nie zechcemy na »chwałę naszym wrogom, od dnia zajęcia Krakowa »rozpocznie się nasze polityczne odzmartwychwstawanie« (do Trentowskiego 16 grudnia 1846). Ale wrażenie, wywołane tym faktem, znalazło wyraz w Parlamencie angielskim (przez Urquarta), we francuskiej Izbie Parów przez Montalemberta. Mowa jego w tej sprawie z dnia 21 stycznia 1847 r. miała rozgłos szeroki w całej Europie, a Krasińskiemu dała pochop do napisania broszury: *Lettre à Mr. le Comte de Montalembert, par un gentilhomme polonais*¹⁾. Czy to broszura polityczna? Nie. O bieżących wypadkach, nawet o właściwym przedmiocie mowy Montalemberta, ona ledwo wspomina. Jest to raczej krótki wykład Krasińskiego filozofii historii, którą znamy. Krótki, ale bardzo piękny; a co więcej trzeźwy. Prozaiczny komentarz do *Przedświata* niejako, dla użytku cudzoziemców, ale komentarz, który może i powinien wpłynąć znacznie na zdanie i sąd tych, co Krasińskiego zawsze uważają za mistyka. »Przeznaczeniem świata, które się spełni prędzej lub później, ale koniecznie, jest »wprowadzenie słowa i prawa Bożego w życie, czyli »to, co nazywamy królestwem Bożem. Spełnić się ono »może tylko przez wolne narodowości, bo one tylko, »narody, są Boskiego początku, z Bożej woli. Ale żeby »przekonać i dowieść, iż jest w nich ten pierwiastek »wyższy, trzeba pokazać światu jak na dłoni, że na-

¹⁾ List ten, i drugi do Lamartina, drukowane w zbiorowym wydaniu lwowskim w roku 1904, z polskim przekładem.

»rody są tu na ziemi nieśmiertelne. Takim przykładem
»i dowodem ma być naród polski, nie żyjący polity-
»cznie, a w tym pozornym zgonie żyjący, powstrzy-
»mujący rozlew azyatyckiego świata i ducha na Europę,
»podnoszący się do wyższego duchowego chrześciań-
»skiego życia. Od początku do końca znać w jego
»dziejach dążenie do moralnego doskonalenia się. Jego
»powołaniem zaś jest, być wśród Słowiańszczyzny
»wyobrazicielem i obroną katolicyzmu i cywilizacji,
»przeciw pierwiastkowi i duchowi wschodniemu, który
»z tej Słowiańszczyzny chce sobie zrobić narzędzie
»zniszczenia. Temsamem spełnia Polska powołanie
»i obowiązek względem ludzkości całej, bo pokazuje
»na sobie, że pierwiastek narodowy jest nieśmiertelny,
»jest na Bożej woli oparty, a więc na nim powinien
»opierać się i porządek świata. Przez to wnosi ona
»nową prawdę polityczną i społeczną w świadomość
»ludzkości całej«.

Ten, tu bardzo streszczony, bieg myśli rozszerzony jest w *Liście* wspaniałem porównaniem historii i natury Polski i Rosyi. W pojmowaniu historii jest niezaprzeczenie pewien poetyczny idealizm (naprzykład wystawienie dawnej polskiej konstytucji, jako doskonałości, która ma być obrazem, figurą tego, co być powinno i co kiedyś będzie). Są historyczne niedokładności i błędy, spowodowane powszechnym podówczas stanem historii i nieznajomością niektórych faktów. Ale ogółem wzięwszy, jest to rzecz piękna i do dokładnego, pewnego zrozumienia idei Krasińskiego bardzo pomocna.

Drugie jego pismo francuskie, należące do tego samego roku, to *Lettre à Mr. de Lamartine*. W drugim tomie *Historii Żyrodystów* powtórzył Lamartine, z aprobacją własną, niedorzeczne słowa Jenerała Dumourieza o Polsce, jakoby była narodem azyatyckim Europy. Zważywszy wielką podówczas sławę Lamar-

tina i wielką poczytność jego książki, trzeba Krasińskiemu przyznać słuszość, że chciał obelgę odeprzeć. Trzeba mu przyznać także, że zrobił to pięknie i rozumnie. Są tam ustępy niepospolicie silne i wymowne; są inne świetne dowcipem, jak ten naprzykład, gdzie mówi, że sądom Dumouriez'go o Polsce nie dziwi się, jak nie dziwiłby się zwykłemu rzymskiemu centurionowi, gdyby ten, będąc w Jerozolimie podczas Męki Pańskiej, nie był zgoła w niej widział nic więcej, prócz stracenia jednego człowieka; ale gdyby Platon był na nią patrzył a nie rozumiał, że to coś więcej, to Platonowi byłby się musiał dziwić. Tylko w tej pięknej zresztą odpowiedzi jedno jest do zrozumienia trudne, to, że Krasiński tak poważnie na Lamartina patrzy i tak go wysoko ceni. Lamartine podług niego jest człowiekiem genialnym, jego książka to galeryja posągów wykutych dłutem Fidiasza! Jakim sposobem umysł tak głęboki i poważny nie poznał się na powierzchowności umysłu, na płytkości i nierzetelności natchnień poetycznych znakomitego podobno wirtuoza języka i stylu? jakim sposobem ta książka deklamacyjno-romansowa, a lekka i płytka, jak jednodniowy dziennikarski artykuł, mogła Krasińskiemu wydać się historią? Sądy współczesne i ich mody są zaraźliwe, mało kto zdoła się ustrzedz od ich wpływu; i Krasiński niewątpliwie pod wpływem uniesień powszechnych widział Lamartina większym, niż był. Że zaś w swoich literackich sądach i upodobaniach mylił się często i lubił przesadzać i przeceniać, dowodzą jego uniesienia nad miernym poetą Lapradem, albo wynoszenie *Muszkietarów* Dumasa do godności epopei. W każdym razie jego oburzenie było słuszne, a jego odparcie piękne; ale jedno i drugie było za wysokie dla człowieka, który w tem co pisał nie troszczył się ani o prawdę, ani o słuszość, tylko o efekt i o własną próżność.

Ale kiedy się to dzieje, zasiada już od kilku miesięcy na Stolicy Apostolskiej Pius IX. Do niego zwraca teraz Krasiński wzrok i uwagę swoją; w niego patrzy, jak w nadzieję i zadatek lepszych czasów. Zapał, jakim nowy Papież przejął całą Europę w początkach swego panowania, udzielił się naturalnie i jemu. Ujrzał takiego Papieża, jakiego pragnął; takiego który umysłem i sercem zdolny był objąć wszystkie potrzeby i cierpienia dzisiejsze, wszystkie na przyszłość nadzieje chrześcijaństwa! Ten się nie pomyli w rozeznaniu złego od dobrego, ani się zawaha, czy ulęknie, by głośno, otwarcie wskazać, co dobre, a co złe! Dla Krasińskiego, wyglądającego odrodzenia świata wspólnie z Kościołem i z jego natchnienia, Pius IX zjawił się jak początek urzeczywistnienia tych nadziei, jak człowiek na to może zesłany, by ich spełnienia dokonał. »Pius tej ery ostatniej początkiem jest, jest wskazem, »jest wyjawicielem na polu faktów. Anioł świetlany »ponad otchłaniami. Ja go takim widzę wciąż« pisze w liście do Stanisława Koźmiana 2 maja 1847 r. I innych ustępów podobnych wiele spotyka się często w ówczesnych listach.

To imię Koźmiana każe zapisać, że stosunek z dawnym szkolnym kolegą, o którym dotąd nie było słychać przez lat wiele, odżył w odnowionej a bardzo ściślej i serdecznej przyjaźni. Pamięć wzajemna i czuła była oczywiście zawsze, ale nie było ciągłego znoszenia się. Teraz — czy się może w przejeździe Koźmiana z Anglii do Rzymu spotkali, czy tylko pisywać do siebie zaczęli — zawiązuje się między nimi zwyczaj poufnego udzielania sobie myśli najgłębszych, roztrząsania ich i objaśniania. Koźmian, w zasadach ściśle katolickich zupełnie zahartowany, widział i zapewne wytykał to, co było w dziełach Krasińskiego pod względem religijnym niejasne, lub z nauką Kościoła niezgodne. Krasiński w odpowiedziach tłumaczył swoją

myśl. Z tego wynikało, że kilka listów do Koźmiana, a zwłaszcza dwa z kwietnia r. 1847, są dokumentem jednym z najważniejszych i najwyraźniejszych, do poznania religijnych pojęć Krasińskiego.

Czy nie posłużyła ta przyjaźń i ta zamiana myśli do pewnego wyczyszczenia i ustalenia tych pojęć? Trudno sądzić a nawet przypuszczać, kiedy nie mamy tych listów, które do Krasińskiego pisywał Koźmian. W każdym razie dostrzega się nie na domysł, ale na pewno, widocznej pod tym względem zmiany. Całość i istota tych myśli zostaje taką, jaką była, ale zmienia się jeden szczegół bardzo ważny. Nie spotka się od-tąd już nigdy żadnego przekąsu czy sarkazmu; nic, coby oznaczało tę niechęć, jaką spostrzegało się jeszcze przed rokiem. A jeżeli stwierdzając tę zmianę, można przypuszczać, że Koźmian miał w niej pewien wpływ i zasługę, to znowu twierdzić można na pewno, że nie on jeden tej zmiany dokonał. Okoliczności same, wśród nich niewątpliwie postawa i postęпки Piusa IX, wreszcie własna sumienna rozważa, musiały działać i skutek ten spowodować.

Ale przyjaźń z Koźmianem miała zaraz posłużyć Krasińskiemu w innej także sprawie.

Od wypadków r. 1846 nie pisze on nic, choć pali go i rwie żądza wydobywania z duszy tego wszystkiego, co go szarpało i dręczyło. »Nie obeszło się we mnie »bez nieskończonej żądy wypowiedzenia czegoś. Głos »porywającego, walącego naprzód przeznaczenia, we »dnie i w nocy odzywa się do uszu moich. Chciałbym »się porwać, stanąć na nogi, pójść za nim; a jakaś »moc piekielna, choroba poprostu, zatrzymuje mnie »i krępuje więzami gorszemi, niż wszystkie kajdany... »Czy zdołam kiedy jeszcze wcielić w kształt myśl »i uczucie... coś stworzyć. Chciałbym tylko raz jeszcze »i to kiedy taka potrzeba nagląca, życia całego *ideę*

»wyrwać z piersi, a niech potem i piersi pękają« (do Trentowskiego 2 stycznia 1847).

Tej niemocy pisania zaprzeczałby, jeżeli się S. Małachowski nie myli, *Psalm dobrej woli*, o którym on świadczy, że napisany był w r. 1846, tylko ogłoszony później; tej żądy pisania, wyrwania z siebie idei całego życia, dowodzą i *Psalmy* i *Niedokończony Poemat*, o którym Krasiński znowu rozmyślać, zaczął. Chciał, nawet zaczął, pisać poemat o świeżych wypadkach. W zbiorowym wydaniu dzieł wychodzi teraz fragment, *Rok 1846*. Prozą, jedna scena tylko: w Warszawie, w styczniu owego roku. Pisał zaś teraz te poemata, które pierwsze teraz wyszły w druku.

Lato schodzi na kuracyi w Heidelbergu i w Akwizgranie, bez żadnych nowych zajęć czy wypadków, ale w ukryciu dojrzewają od wiosny już dwa nowe poemata, *Dzień Dzisiejszy* i *Ostatni*. Jaki mógł być *Dnia Dzisiejszego* początek?

Widzieliśmy, jak Krasiński po wypadkach r. 1846 opanowany jest myślą, że w takim rozdarciu społeczeństwa polskiego, jedynym sposobem ratunku, pierwszym obowiązkiem względem przyszłości, jest usunąć rozdarcie wewnętrzne, moralne, które w skutku czy pod pozorem różnych politycznych opinii, nie daje nam ani jednolitym organizmem być, ani rozumnie działać. Powtarza on bez ustanku, że emigracja powinna się zjednoczyć, na faktyczne rozdarcie w kraju odpowiedzieć przykładem moralnego zespolenia. Przez czas pewien ma nawet nadzieję, że straszna klęska wzruszy serca i sumienia, że dla dzisiejszych ojczyzny nieszczęść, dla tych przeznaczeń, które ją czekają w przyszłości, emigracja zrobi tę ofiarę ze swoich nienawiści, że miłość ojczyzny będzie od nich silniejszą. Ta nadzieja nie trwała długo, ale gdy się rozwiła, zostało zawsze przekonanie, że ta ofiaraznamiętności i nienawiści, to zjednoczenie moralne, jest i obowiązkiem i pierwszym warunkiem siły, zatem

przyszłości. A cóż widzimy w *Dniu Dzisiejszym*? Ludzi wszelkich opinii i wszelkich namiętności, jakie podówczas między nami były, którzy obstają przy nich zawzięcie, ale na głos ojczyzny, na ukazaną nadzieję i daną obietnicę jej odrodzenia, miękną, wchodzą w siebie, wyrzekają się swoich uprzedzeń i uporów, nawracają i się łączą. Tożsamość tych myśli jest oczywista, związek poematu z ówczesnym rozumowaniem poety niezaprzeczone.

To więc jest jeden pierwiastek *Dnia Dzisiejszego*, niewątpliwy. Drugi jest domyślny tylko, przypuszczalny, ale prawdopodobny. Sądząc z listów, a zwłaszcza z listów do Trentowskiego, dochodzi się do mniemania, że na ówczesny rozstrój i bezład w umysłach, szukał on jakiegoś środka praktycznego, jakiegoś rachunku sumienia, któryby zaślepionym i błędzącym otworzył oczy i serca, naprostował wolę. Nie w innym celu nalega on tak na Trentowskiego, żeby pisał i ogłaszał te broszury, do których sam rękę przykłada; takiego (choć częściowego bodaj) skutku, spodziewa się po *Wizerunkach Duszy Narodowej*, później po *Przedburzy*. Zagłębiając się myślą w te sprawy i stosunki, musi naturalnie dochodzić do pytania, jakie są najgłębsze, psychologiczne powody naszych politycznych błędów. Z powodu *Wizerunków* zwłaszcza, musiały te roztrząsania natury polskiej być stałym zajęciem jego myśli i ciągłym przedmiotem jego znośnień się z Trentowskim. Na dowód przytaczamy wyjątek z listu (29 stycznia 1847), może aż nazbyt obszerny, ale stwierdzający powyższe mniemanie, a zarazem rzucający wiele światła na poemat, który się teraz przygotowuje:

»Nas wiesz co gubi? Niestychana próżność! A wiesz
»co to próżność? Oto dziwne usposobienie do pokory
»tam, gdzie dumy potrzeba, a do dumy znów tam,
»gdzie pokora nieodzowną koniecznością. Człowiek
»powinien dumnym być w Celu swoim, dla Celu do
»którego dąży, dla Idei Ojczyzny, ludzkości i t. d. po-

»kornym zaś w stosunku do środka, za pomocą któ-
»rego cel ten przeprowadzić ma; a że tym środkiem
»on sam, więc pokornym w stosunku do siebie, to
»jest nie żądającym egoistycznie, by odrazu i wyłą-
»cznie sam wszystko przeprowadził, innych ómiąc sła-
»wą swoją! Na tém uczuciu pokory zależy poświęce-
»nia moc: bo poświęcić się, to przystać na to, by się
»ziarneczkciem było wapna w budowie pojętej i wi-
»dzianej na oczy duszne. Gdy zaś wszyscy tacy dumni
»w ostatecznym celu swym, a tacy pokorni co do
»środku, to jest poświęceni: zgoda jest, i niema roz-
»stroju! My zaś zwykle dochodzimy do straszliwych
»zwątpień, to jest pokory obrzydliwej pod względem
»końca, naszym zgotowanego usiłowaniom. Rzucamy
»się naoślep, w wigilią powstania honorem i szampa-
»nem zagrznani; sposobimy się na śmierć honorową,
»a wiary nie czujem w zwycięstwa możność, lub tylko
»papłem o tej wierze głośno, a w głębi ducha błady-
»cheśmy myśli! Ale mimo to, kaźden z nas Ministrem
»lub Feldmarszałkiem zaraz! Otóżbym chciał wpoić
»w piersi ich wszystkich tytańską dumę, dumę świętą
»dla Ojczyzny, dla wygranej w końcu, dumę będącą
»własnie świadomością zlania się uczucia polskiego
»z pomysłem Boga samego o losach przyszłych Polski;
»a znów co do ich indywidualnostek osobniczych, pra-
»gnąłbym, by się nieco roztopiły w szerz, nie zaś tak
»jądrowo ześrodkowywały się same w siebie i dla sie-
»bie. Duma bez pokory jest szaleństwem, pokora bez
»dumy podłością; Harmonia obu żywym Ducha pędem.
»U nas zaś samopasem luźnym chodzą te dwie roz-
»kładnice. Patrz też, co się dzieje, i czy już wielu,
»i to najdzielniejszych, fatalna próżność nie przedzierz-
»gnęła na waryatów albo też na przewrotnych niego-
»dziwców! I w końcu końców, co dziwnego, że Roz-
»strój nie może nic wystroić, że mordowanie swoich
»wroga nie zamordowyywa, owszem używotnia. W XIX

»wieku dopiero zaczęli ludzie o tak dziecinnych pra-
»wdach wątpić i dyskutować nad niemi. To zjawisko
»mnie nie dziwi, są albowiem wieki w historii, któ-
»rym koniecznie potrzeba wątpić o wszystkim, by
»następnie w coś uwierzyć zdołały. Lecz mnie, co do
»Polski, to przeraża: zbrodnie przemienione na logikę
»i teorią, srogiem są głupstwem, a lubieżnie bałamu-
»tnem lub niegodziwie podchlebnem dla każdego, tylko
»do zbrodni usposobienie mającego. Przecież najła-
»twiejszą rzeczą być zwierzem! a najponętniejszą my-
»śleć, że za zwierzęstwo historia da nieśmiertelność!
»Oto kanar i miód, jak mówisz! Bij więc, o duchu
»mi drogi i przyjazny, duchu silny i ojczyźnie zaślu-
»biony, bij w to, co ojczyzny onej raną i rakiem. Nie
»miej jej za kobietę próżną, której mus jest grzeczno-
»stki gadać; bo gdyby taką była kobietą, niktby jej
»nie zdołał uratować! Są chwile rozpaczne w dziejach
»narodów: w takich chwilach tylko prawda wiekuista
»zdoła im pomódz; ona tylko, nic innego, przecież ona
»Boga jest zstępującym na ziemię tchem. I zaprawdę,
»tchu Bożego dziś trzeba Polsce na to, by poko-
»nała wszechzłego azyatycki pierwiastek! Jeśli my po-
»tężnemi sami nie staniam się duchy, zachód nie wiele,
»w swoich pantoflach i szlafroku zniewieściały, nam
»pomocze. Nasze takie powołanie, że nietylko siebie
»ale i Europę i cywilizacją zbawić mozem, tych zba-
»wić, od których nadaremno zbawienia czekaliśmy od
»1773 r. Ale na to, musim porzucić głupstwa nasze,
»nierozumy, próżności, lekkomyślności, zawistki, pry-
»waty, zgola dziecinństwa. Bohatyrom i świętym po-
»zwolono obalać mocarstwa piekielne, ale nie dzieciom
»lub pijanym niedowarzoną myślą! Musim stać się
»bohaterami i świętymi, lub zginąć! Powiedz im to,
»powiedz. A kiedy kto komu zaszczyt czyni, że go
»woła na bohatera i świętego, może przytem sobie
»pozwoić pewnych przestróg i karceń. *Sat est* na dzi-

»siaj, drogi Bronisławie, głowa mi już pęka i zapadam
»w chorobliwy dreszcz; nie wyobrazisz sobie, jak da-
»lece mój organizm schorobliwion i przepsuty. Bóg
»z tobą i z książką twą. Błogosławię wam obojgu
»i ojcu i córce!«

Otóż przypuszczamy na domysł, że w tym samym praktycznym celu upamiętania i wzruszenia, Krasiński chciał skreślić swoim sposobem wizerunki duszy narodowej, i to byłoby pierwiastkiem drugim jego poematu.

Trzecim jest jego własny smutek, ten smutek, który go całe życie dręczy i nęka, a po tej strasznej klęsce doprowadza do rozpacz i niemal zabija; to oczekiwanie a niemal pragnienie blizkiej śmierci, które odzywa się tak często; to uczucie konania, a bez wszelkiej pociechy i nadziei, w zawaleniu się wszystkiego, co mu w życiu jako nadzieja świeciło, to w poemacie wcieliło się w postać i w słowa człowieka umierającego. Czy jest (jak twierdzi pan Antoniewicz) związek jaki między tym poematem a genewskim *Szaleńcem* z roku 1832, dojsć, ani dowieść nie można; ale związek między całą treścią duszy Krasińskiego a tego umierającego, jest oczywisty. To nie podobieństwo, to tożsamość. Niema też wątpliwości najmniej, że on siebie samego przez tę postać rozumie, że sam przez nią najgłębsze swoje uczucia i przekonania wypowiada; tak jak *umierający* jego naukę wyklada, jak końcowe zjawienie i obietnice przyszłości są tem samem zupełnie, co jest w *Przedświcie*, w *Psalmach* wyrażone poetycznie, a sto razy wyłożone i objaśnione w listach.

Gdy więc myśl takiego poematu powziął, gdy ją wykonał, a przynajmniej znacznie posunął, następowała znowu kwestya ostrożności przy wydaniu. Bezimiennosc mu nie wystarczała, nie zdawała się dość bezpieczną; pseudonym (jak przy *Psalmach*) zapewne Zygmunt Krasiński II.

także, skoro go nie użył. Chciał maski grubszej, pewniejszej; i jak przed laty do Gaszyńskiego, tak teraz udał się o nią do przyjaźni Koźmiana. Pod zasłonami i figurami tak pisze (2-go maja 1847) do Gaszyńskiego o Koźmianie, o sobie i o poemacie.

»Pisałem dziś do niego (Koźmiana), przypomniałem mu rozmowę mianą w lecie z dawnym kolegą, w której on oświadczył temu żebrzącemu pieniędzy na pewne zakupno bursowe, że jeśli bankiery mu odmówią, to on się przyłoży. Otóż dziś mu napisałem, że ów kolega dawny przekonał się, że znajome mu bankiery, nietylko że mu odmówią w swem samolubstwie, ale że nawet na ich odmowę narażać się niewarto, bo gdyby nie odmówili nawet, to wszyscy tak lekkomyślni, że źleby poprowadzili interes. Zatem jeśli od niego odbierzesz list z prośbą o przesłanie programu operacji finansowej«, zaraz prześlesz, a następnie, jeśli się zgodzi na pożyczanie na nią swego kapitału, który ma, weźmiesz odeń pożyczkę. Pojmujesz? Przesyłając mu zaś, uwag niema co dodawać i komentarzy robić; poprostu niech sam program idzie i przez siebie się jemu wytłómaczy. Pojmujesz? Jeśli zaś nie przystanie, to darmo, trzeba będzie szukać pieniędzy u kogo drugiego; bez takowych nie może się udać operacya — *sine qua non!*«

Koźmian ofiarę zrobił, swojego nazwiska pożyczyl i *Dzień Dzisiejszy* wyszedł w jesieni roku 1847.

Jakiż on jest? i co o nim powiedzieć?

Zdarza się czasem, że myśl wypowiedziana jasno i stanowczo raz, traci na powtórzeniu pod inną formą, na popieraniu nowemi argumentami, na ściąganiu jej do szczegółów. Ta chęć wzmocnienia prawdy, wychodzi czasem na jej nie osłabienie, ale pewne spowszednienie. Za pierwszym razem robiła wrażenie ogromne; powtarzana, już tak umysłu i serca nie wstrząsa. Taką uwagę nasuwa ten poemat Krasińskiego. Chciał on

jeszcze lepiej przekonać, chciał swoją myśl zastosować do szczegółów, objaśnić, przykładami wzmocnić; i napisał rzecz, w której myśl ta sama wypowiedziana nie z temsamem już natchnieniem i siłą, nie robi już tak potężnego, przejmującego wrażenia.

Odnosi się ta uwaga do drugiej połowy poematu oczywiście, a zwłaszcza do jego zakończenia. Początek jest wspaniały. Pierwsza przemowa Umierającego, to Krasieńskiego zwierzenie czy spowiedź, to wszystkie jego duszy uciski, zwątpienia, oburzenia, tęsknoty, pogardy i miłości; wszystkie wypowiadają się z taką powagą wielką, z taką żalością głęboką, z taką pięknnością i siłą słowa, że ustęp ten liczyć należy do najpiękniejszych w poezji Krasieńskiego, i ogółem w poezji polskiej. Przewyższa go następny: Głos szatana. To, to krótko zebrana i wyciśnięta sama treść tych wszystkich nieprawości, tych podłości, tych kłamstw i urągowań, które się słyszy od lat stu, któremi od stworzenia świata bluźni Massynissa swojemu »nieśmiertelnemu wrogowi«. Mówi przez tego Szatana i Frydryk, i Katarzyna, i materialista wieku XVIII, i nihilista dzisiejszy, i Bismarck, i sama idea buntu ludzkości przeciw Bogu, czy w dawną *racyę stanu* czy w dzisiejszą rewolucyę wcielona. Mówi zaś z taką logiką i siłą, z taką pewnością swego tryumfu, wyższą niby nawet nad szyderstwo i urąganie, że lepiej za szatana i z jego myśli nie mówił nigdy nikt. Jako treść i jako forma, to jest zupełna doskonałość.

Umierający odpowiada mu pięknie, bardzo pięknie, i oczywiście słuszność ma on. Ale w swojej słuszności, i prawdzie i miłości, nie ma przecież tej wielkości ogromnej, przygniatającej, jaką ma tamten w swym kłamstwie i zawiści. Prawda, że tamten Szatan, a on tylko człowiek: ale poeta chciał przecie, żeby człowiek Szatana w tej walce na słowa zwyciężył,

upokorzył, stał na proch; — a tymczasem Umierający na wstępie mówił piękniej niż teraz.

Rozmowa otaczających przyjaciół nad uśpionym a pozornie umarłym, charakterystyka różnych polskich opinii i rozumowań, jest w swoim rodzaju znakomita; wierna, dokładna, bystra i przenikliwa, przegląda na wylot, zna doskonale każdą z tych opinii, a typ jej kreśli z niepospolitą energią. Jest w tem jakaś prawda ścisła i fotograficzna, jakiś bieżący powszedni realizm, który sprawia, że ustęp jest raczej bardzo świetną satyrą, i z poprzednim nie łączy się harmonijnie, ale w swoim rodzaju jest jeszcze znakomity. Słabnie poemat dopiero od przebudzenia Umierającego i od zjawienia tego Anioła, który, jak Beatrice u Dantego, był kiedyś ziemską jego miłością, zanim stał się duchem wyższym i przewodnikiem do wiecznego żywota. Obietnica Anioła i upomnienia Umierającego są powtórzeniem *Przedświtu* i *Psalmów*, tylko w słowach nie tak już pięknych, nie tak przemawiających do uczucia, choć do przekonania trafiać mogą równie silnie. Te zaś akty skruchy, które robią jeden po drugim wszyscy otaczający, są bardzo charakterystyczne, dają poznać, czego Krasiński chciał, co miał za nasz obowiązek, o czym marzył, jego myśl w tem wszystkim jest i słuszna i mądra: ale brzmią jak echo *Przedświtu* i *Psalmów*, nie jak świeży pełny potężny ton w *Przedświcie* samym. Rozumie się samo przez się, że w ustępach, nawet słabszych, poety wielkiego, znachodzą się piękności znakomite, i właściwości jego duszy i stylu. Tak i tu zdarzają się wiersze lub zwroty niezrównanej mocy, słowa klasyczne godne rylca i marmuru. Godne pamięci to podanie (nie wiemy o ile pewne), że kiedy *Dzień Dzisiejszy* wyszedł z podpisem Koźmiana, a Krasiński stale się go wypierał, Mickiewicz miał mu powiedzieć, żeby zwodził innych jeżeli chce, ale nie jego. »Ja wiem co to pisać, i po-

wiadam ci, że »z Chrystusowej zejść Kalwaryi — do »moskiewskiej kancelaryi«, napisałeś ty a nikt inny, »bo niema drugiego z takim stylem«. Jeżeli to prawda, to ta rozmowa mogła się odbyć chyba w Rzymie, w roku 1848: nie wiemy bowiem o żadnym późniejszym spotkaniu Krasińskiego z Mickiewiczem. Pani Krasińska wszakże, która mówiła chętnie o ich stosunku w Rzymie, tego szczegółu nie opowiadała,

Jako jeden więcej wykład filozofii Krasińskiego jest *Dzień Dzisiejszy* bardzo wyraźny, nauczający i pomocny.

Ostatni, artystycznie od *Dnia Dzisiejszego* piękniejszy, doskonalszy, jeden między dziełami Krasińskiego, daje się przyłączyć do pewnej znanej i ustalonej formy, do powieści poetycznej. Nie do takiej, która jak *Korsarz* lub *Wallenrod* jest opowiadaniem o jakim działaniu, ale do tych, co jak Byrona *Więzień z Chillonu* lub Słowackiego *Ojciec Zadżumionych* są monografią, żeby się tak wyrazić, jednej biernej boleści. Ten obraz nieszczęścia jest i patryotyczną elegią, bo nie taki to więzień jak w Chillonie, ale Polak w sybirskiej gdzieś turmie żywcem pogrzebany i zapomniany: jest i Królestwo Boże zstępujące na świat przez Polskę, bo Krasiński pisał; ale *Ostatni* zawsze zbliża się i daje przyłączyć do pewnej grupy poematów, czego z *Przedświtem*, z *Dniem Dzisiejszym* zrobić nie możemy.

Ta odmienność *Ostatniego* od innych dzieł poety, a pewna jego zależność od współczesnej poezyi europejskiej, pochodzi (jak dziś rozumiemy) ztąd, że jest on z dwóch pierwiastków, może z dwóch różnych redakcyj nawet złożony, a wykończony i wydany (ze zmianami), w wiele lat po pierwotnem napisaniu. Wspomnieliśmy już poprzednio, że pan Jan B. Antoniewicz, w rozprawie swojej o *Ostatnim*, zwrócił uwagę na dziwne, uderzające podobieństwo wielu jego

ustępów z tem, co Krasiński pisał w Genewie w roku 1832, mianowicie z *Wygnańcem* i z Listami do Gąszyńskiego. To podobieństwo popchnęło go do dochodzenia; a ściśle dochodzenie pokazało, że istotnie nie myśli tylko i uczucia, ale wyrażenia i słowa, są często tu i tam zupełnie tesame. Czy można przypuścić, że po latach piętnastu Krasiński przypadkiem na tesame natrafił? lub, że je umyślnie ze swoich starych listów wypisywał? Nie. Wniosek ztąd prosty, że pierwszy rzut *Ostatniego* musiał być zrobiony już w Genewie. Dochodzenie coraz ściślej, porównanie form i tekstów, pokazuje wspomnianemu autorowi naprzód widoczne tu i owdzie podobieństwa do *Więźnia z Chillonu*; wpływ to, na poetę młodego, w owych latach, i na młodzieńca bawiącego nad Genewskiem jeziorem, zupełnie naturalny. Ale oprócz tego odkrywają się inne, całe ustępy, i to właśnie opowiadające, powieściowe, w których brak zupełnie tych wybitnych łatwych do poznania cech oryginalnych języka i stylu Krasińskiego, a za to jest rytm i dźwięk, są zwroty, jest użycie wyrazów, przypominające Mickiewicza. Cóż to znaczy? Oto, że młody poeta, podówczas niewyrobiały, pisał sposobem najbardziej zbliżonym do tego poety, którego najwięcej czytał i podziwiał. A więc Krasiński pisał *Ostatniego* jeszcze w Genewie, włożył w niego te uczucia, te rozpacz, które nim wtedy szarpały. Po latach, po nowej klęsce i nowej rozpacz roku 1846, dodał do niego ustępy nowe, te, które się odnoszą do przyszłości i przeznaczeń Polski. Myśl zaś o własnym końcu gdzieś na wygnaniu lub w więzieniu, ta była u niego stałą przez długie lata. Teraz w roku 1847 ona się nie odzywa wprawdzie; ale myśl o śmierci, prawie tęsknota za śmiercią, odzywa się ciągle. Raz przecie (list do Trentowskiego z 12 marca 1847) ma nieledwie jej widzenie, hallucynację, »tak że Eliza »w niezmiernem przerażeniu zaczęła już Boga prosić,

»by mi już dał, czego tak pragnę, by mi dał umrzeć«
 Śmierć *Ostatniego* bez pociechy, bez
 taka, jaką Krasziński wyobrażał sobie

Teraz trzeba powiedzieć, że
 słabsze, to ten pierwiastek nowy,
świtowych idei (na przykład ustęp: „... do mnie, do
 mnie, wy plemiona bratnie); nie żeby były same przez
 się słabe, ale że są drugim czy trzecim już powtó-
 rzeniem myśli tychsamych, a nie wyższem od poprze-
 dnic. Ale wszystko razem jest całą ciążą bardzo piękną.
 Najpiękniejsze (jak w *Dniu Dzisiejszym*) ustępy pierw-
 sze, tęsknota więźnia za światem i życiem, za ziemią
 ojczystą, za dawną nadzieją i wiarą; i znowu pod ko-
 niec wrażenie szczęścia, kiedy słyszy nadjeżdżających
 obrońców, kiedy mniema ich widzieć, a zostaje mu
 gorsza tylko rozpacz, kiedy oni poszli dalej, jego nie
 oswobodzili. Wydając *Ostatniego*, Krasziński z pewno-
 ścią więcej myślał o idei, którą do niego dodał, aniżeli
 o jego poetycznej, artystycznej piękności; jednak to
 zaprzeczyć się nie da, że pod tym względem *Ostatni*
 śmiało stawać może w pierwszym rzędzie tych dzieł,
 jakie w rodzaju podobnym wydała poezya Europej-
 ska naszego wieku.

¹⁾ Wszystkie szczegóły znajdzie czytelnik w rozprawie pana
 Antoniewicza. Od siebie dodajemy tylko, że z jego przypuszczeń
 jedno wydaje nam się niepewnem, to to, jakoby *Ostatni* miał być
 pisany z myślą o księciu Romanie Sanguszcze. Swoją przyszłość, jak
 ją mylnie przewiduje, opisuje tu poeta.

III.

Zima .. 48. Nadzieje i złe przeczucia. Mickiewicz. Wzajemny s .. ewolucya w Rzymie. Audyencya u Piusa IX. Sąd o jego postępowaniu. O wypadkach w ogólności. O przyszłości Polski. Zajście z Czarnomskim. Dwa *Psalmy* oddane do druku. Stosunek ze Słowackim. Powody zerwania.

W jesieni roku 1847 wybiera się Krasiński, nie bez oporu, do Warszawy. Dojeżdża nawet do Drezna, w myśli, że żonę z dziećmi odeśle gdzieś na południe, może do Rzymu, żeby ich nie narażać na zimno i na cholere, o której słyhać, a sam spędzi zimę przy ojcu. Co sprowadziło zmianę w tych zamysłach, dojść z listów nie można; dość, że zamiast na północ, pojechał na południe i przed końcem roku był już w Rzymie. Oprócz uroku, jaki Rzym zawsze miał dla niego, pociągała go tym razem (domyślać się wolno) ta postać nowego Papieża, która zdaleka wydaje mu się tak »świetlaną«, te początki rządów, w których widzi niejako zadatek lepszego porządku rzeczy na świecie. Przypatrzyć się zblizka jak to jest, przekonać się, że jest dobrze, z własnych słów Piusa IX poznawać jego myśl i duszę, ponęta to musiała być wielka.

Pierwsze wrażenia były błogie, jeżeli nie radosne. Z listów tchnie uspokojenie, otucha, ufność. Nie sam Papież tylko i jego rządy, inne okoliczności także służą mu za znak, że się coś na lepsze w świecie odmienia. Makryna Mieczysławska, przybywająca do Rzymu jako żywy znak prześladowań Kościoła i narodu, ze czcią w Rzymie przyjęta, po świecie wsławiona, a w prostocie ducha wywierająca silny wpływ na Polaków i na Włochów, to także oznaka, że duch może zwycięży siłę przemocy, a dobre zwycięży złe. Zanedto on wytrawny i mądry w rzeczach politycznych,

izby miał ludzić się pewną nadzieją dobrego końca. Widzi dobrze, że między rewolucją włoską (i powszechną) z jednej strony, a austryacką armią na granicach, Pius IX jest w położeniu strasznie trudnem; a »dwie ręce uzbrojone tylko błogosławieństwem«, mogą takiej walce nie podolać. Jaki będzie koniec, to Bóg jeden wie. Co pewna, to że »wiek, który dotąd »drzemał i leżał, już przetaił oczy i ruszył w pochód; »tego ruchu nic nie wstrzyma. Ale może to być pochód pijanego, zataczającego się, albo też stąpanie »miarowe, pewne swego, a prędzej i bez krwi zwycięskie. O czem jednak wątpię« (do Sołtana 1 stycznia 1848). Przypuszcza więc raczej koniec zły, odwrócenie zaczętego postępu przez rewolucyę. Ale tak jest pod wpływem i urokiem Włoch i Rzymu, że widzi coś wyższego nawet w rozruchach tego »błogosławionego kraju«. Dotąd mas nie bywało takich, »jak te włoskie« — pisze do Trentowskiego 13 lutego 1848 — »klassyczny »pierwiastek, miara, trzyma się tego ludu, i ta miara, »której nam brak zawsze i wszędzie, jego zbawia, pro»wadzi, zwycięstwo do rąk mu podawa«.

Zanosi się więc na jakieś wypadki, rok poczęty nie przejdzie bez burz i wstrząśnięć; ale tego nie przeczuwa Krasinśki, że wstrząśnienie pierwsze, w Paryżu, tak blizkie. Już ten miesiąc luty, który przed końcem swoim miał widzieć obalony tron Ludwika Filipa, dochodzi do połowy, a on w stronę Paryża nie patrzy, zajęty tem co się dzieje we Włoszech, w Rzymie: i zajęty bardzo tem, co robi jeden człowiek.

Dnia 6 lutego przyjechał do Rzymu Mickiewicz. W jakiej myśli? W tej — mówili Towiańcy — żeby »rozpocząć służbę bożą przed urzędem tamtejszym«; w tej sądzili katolicy, żeby się z Kościołem pojednać; a mniemanie to potwierdziła odbyta przez Mickiewicza spowiedź. W myśli niejasnej, jak nam się wydaje. Do Towiańskiego był Mickiewicz zrażony; czuł zapewne,

że nie wszystko (przynajmniej) co on mówił, było prawdą. To wrażenie mogło go uczynić skłonniejszym do pojednania się z Kościołem. Z drugiej strony Pius IX wydawał się i jemu wyobrazicielem nowych pierwiastków, nowych kierunków w Kościele. Wiązał do niego jakieś nadzieje; mógł przypuszczać, że ten Papież, zmieniający formę a nawet istotę dawnych rządów rzymskich, będzie skłonny i zdolny pojąć i przyjąć niejedną z tych myśli, w których on sam widział przyszłość świata. Jechał więc w myśli podwójnej a niejasnej. Chciał się z Kościołem pojednać; ale spodziewał się, że Papieża potrafi przekonać, na swoją drogę skierować. Pierwsze było oczywiście warunkiem drugiego, i musiało to drugie wyprzedzić. Naprzód wyparcie się błędów i pojednanie z Kościołem; potem dopiero próby wpływania na Papieża i Kościół.

Od lat kilkunastu, od Szwajcaryi, spotykali się po raz pierwszy Krasiński i Mickiewicz, a spotykali bardzo często. Pani Krasińska opowiadała, że rzadki był wieczór, któregooby Mickiewicz u nich nie spędził. Krasiński spotykał go z ciekawością i niepokojem; pierwsze wrażenie odniósł raczej przykre. Po pewnym czasie, czy się oswoił, czy istotnie zaszła jaka w Mickiewiczu zmiana, widzi go inaczej. Towiański jest dla niego przedmiotem odrazy i zgrozy; w Mickiewiczu jest zawsze wielkość i szlachetność.

»Przybył tu Adam — pisze do Soltana 24 lutego — chce oznajmić swą wiarę przed władzą i słyszeć jej wyrok. W istocie opanował go mistrz, jak go sam nazywa. W ciężkiej on u niego niewoli; a będąc »w niewoli, staje się despotą dla drugich«.

Niewiele później (2-go marca do Gaszyńskiego) oto jak się wyraża: »Z panem Adamem w istocie stało się, jak przepowiadali katolicy: spowiadał się, wziął »rozgrzeszenie od Papieża, pełnomocnictwem przysłanem

»spowiednikowi i oznajmił, że się zdaje na rozstrzyg
»Kościoła i Papieża. Żaden to ksiądz nie sprawił, ale
»Makryna, ale pierwiastek niezawodny świętości i wiel-
»kości, zawarty w duchu tej kobiety, co przez męczeń-
»stwo przeszła. Przed tym pierwiastkiem roztkliwił
»się duch Adamowy i wczoraj stało się, co ci piszę.
»Teraz i to ci powiem, że jeszcze trzydzieści razy od-
»stać się może. Krótko powiem: o ile mi się wydaje,
»Towiański, to kapitan sprawnik w Nowej Hierozoli-
»mie; Makryna, to szlachcianka Polska w tejże nowej
»Hierozolimie, coś nakształt Paska przeanielnego.
»Uważaj, ja nie żartuję, ale krótkim rysuję rysem,
»otóż pierwiastek polski zwyciężył metodę tatarską
»w okręgach mistycznych niebieskich — i tak nale-
»żało!»

W dziesięć dni później (12 marca), prawie to-
samo w liście do Trentowskiego, tylko o Towiańskim
więcej i wyraźniej: »Zrazu gdy tu przybył, piętno To-
»wiańskiego na nim leżało. Nigdy sroższej niewoli
»nie oglądał. Był niewolnikiem, i tyranem duchowym
»najstraszniejszym; teraz złagodniał, spotkawszy się
»z Makryną, która miłością prawdziwie chrześcijańską,
»wyniesioną z mąk męczeństwa, zwyciężyła w nim
»tchnienie nienawiści, wpojone przez Towiańskiego.
»Pamiętaj, że Towiański to niesłychana i arcydziwna
»potęga, ale pełna nienawiści, nigdy nie objawiająca
»się przez miłość, jedno przez władzy nieskończonej
»chuć, przez gwałt; prawd wiele i fałszu też, jest to
»metoda *Iwana groźnego w nowej Hierozolimie!*
»Związlej i lepiej ci opisać go niesposób; mnóstwo
»młodzi naszej garnie się do niego. On jeszcze narobi
»w Polsce wiele hałasu i wiele rozdarcia, miecz albo-
»wiem a nie spokój i zgodę przyniósł. Lecz nigdy się
»nie myl o nim. Potężny jest nadzwyczaj, szczególnie
»wola i mieszaniną ową prawd wiekuiстых i najkła-
»mniejszych środków i zastósowań. Ztąd idzie, że Ma-

»kryna słusznie go zowie piekielną potęgą, bo piekielnym być, to używać *prawdy* do celu złego, to prawdę mieć za narzędzie, a złe za cel; zupełnie odwrotnie Bogu, który kazał prawdę mieć za cel, a złego czasem używa w dziejach za narzędzie do niej!«

Ze słów: »to co się stało, odstać się może jeszcze wiele razy«, widocznem jest, że usposobienie Mickiewicza wydaje mu się chwiejnem, a on sam doktryną swoją i namiętnością opanowanym. Z ustnych opowiadań pani Krasińskiej wiemy, że częste rozmowy z Mickiewiczem męczyły bardzo a czasem gniewały jej męża. Mickiewicz bowiem pomimo odbytej spowiedzi i otrzymanej absolucyi, nie przestawał twierdzić i dowodzić, że w nauce Towiańskiego jest prawda, i Krasińskiego o tej prawdzie przekonać usiłował. W nieskończonych i niezliczonych dyskusjach Krasiński miał zachowywać się zawsze spokojnie i łagodnie; ustępował w czem tylko mógł. Tak dalece, że na usilne żądania Mickiewicza podjął się myśli jego przedstawić Papieżowi, i dotrzymał. Dostał osobną audyencyę, na której (nie od siebie, ale od Mickiewicza) wypowiedział wszystko, co od tamtego był słyszał. Pius IX miał powiedzieć, że jest w tem dużo szlachetności, ale więcej zamętu; że jednak gotów jest Mickiewicza przyjąć i wysłuchać. Po tej przedwstępnej audyencyi Krasińskiego, miała dopiero odbyć się audyencya Mickiewicza u Papieża.

Podczas tego zaszła rewolucya lutowa w Paryżu, hasło wielu innych w całej Europie. Na razie mało o niej wzmianek w listach Krasińskiego. Przypuszczać wszakże można, że wypadek ten, jak Krasińskiego wstrząsnął głęboko, tak i na jego stosunek z Mickiewiczem wpłynąć musiał. Jeden widział w tych zdarzeniach początek odrodzenia Polski, drugi przewidywał trafnie krótki tryumf anarchii, a po nim tryumf Mikołaja i jego systemu. Różniąc się tak bardzo w kwe-

sty tak ważnej, musieli nie zbliżyć, ale oddalić się od siebie wzajemnie.

Krótko, ale najwięcej ze wszystkich znanych nam źródeł, mówi o tem Stanisław Małachowski w przytaczanym już nieraz *Rysie*: »Mickiewicz był w tej chwili pod wpływem daleko posuniętego mistycyzmu i wielkiej exaltacji. Przybył w zamiarze utworzenia legionu polskiego i nakłonienia Papieża, u którego otrzymał posłuchanie, aby stanął na czele ruchu, jaki się powszechnie zjawia, i urzędzenia w sposób nowy i zbawienny całej Europy. W Rzymie odbył spowiedź i przyjął Komunię. Bywał często u Matki Makryny Bazyliański z Litwy, która przed prześladowaniem Moskwy schroniła się do Rzymu i zasięgał jej rady, ufając w jej dar przeczucia.

»Mickiewicz napisał manifest złożony z 15 punktów, który udzielił Krasińskiemu, a w którym ogłaszał, że:

»Ewangelia staje się prawem politycznym społecznym polskiem.

»Na pomoc każdemu chrześcijańskiemu narodowi uciśniętemu Polak zawždy bieży.

»Polska ściska dłoń Rusa, Czecha i całej Słowiańszczyzny.

»Każda rodzina chłopska gruntem uposażona własnym.

»Każda gmina gruntem gminnym wspólnym.

»Obywatelstwa prawa nadane kobietom — itp. inne.

»Z tym więc manifestem i chorągwią, która się składała z białego orzelka srebrnego u góry na spisie zatkniętego, z płótna białego i czerwonego, a na każdej z tych dwóch połów krzyż, zamyślał Adam wyruszyć ze swymi towarzyszami do Włoch północnych w przekonaniu, że na ich widok i przez nich obnoszoną chorągiew, pierzchać będą pułki austriackie lub

się z nimi połączą. I w ten sposób bez oporu i walki zdoła zająć aż do Krakowa.

»Taką wiarą i przekonaniem w skuteczność swych zamiarów przejęty Adam, usiłował Zygmunta do współudziału w tem przedsięwzięciu namówić, zapewniając go, że już żadnej obawy na przyszłość w tym względzie mieć nie powinien, ale z ufnością i z odwagą do tak wielkiego dzieła przystąpić.

»Zygmunt, przeciwnie, nie spodziewał się pomyślnego skutku dla szczęścia ludów ani z rewolucyi francuskiej, która wypadła przypadkowo, niespodzianie, bez wyraźnej woli całego narodu, bez objawienia zamierzonego celu i dążenia; ani z rozpoczętego ruchu w innych krajach, przybierającego barwę więcej socjalistyczną niż polityczną i narodową. Powtarzał — nie Boska to praca, bo gdy Bóg chce prowadzić ludzkość na nowe ścieżki, wiodące ku dobremu, natychmiast na kierowników zsyła jej ludzi namaszczonej częścią swjej mądrości i potęgi, a nie zarozumiałych i bezsilnych karłów i retorów, którzy przez nią pną się do władzy, panowania i uszczęśliwienia ludu na swój wyłączny i właściwy sposób.

»Przedstawiał Adamowi, że wojsko austriackie silną spójnią i organizacją połączone, z różnych składające się narodowości, nie rozchwieje się tak łatwo ani zbuntuje na widok małej garstki ludzi z chorągwią, której znaczenia nawet nie pojmie; że aby powstanie narodowe się powiodło, potrzeba poprzedniego porozumienia się i stawienia na czele ruchu całego, ludzi w narodzie wybitnych, nieposzlakowanych i posiadających powszechnie zaufanie i szacunek; jak to było, lubo bezskutecznie, w Polsce w r. 1830. Takich teraz nigdzie niema i nie widzi dotąd, a więc szczególnie Polakom należy się jeszcze wstrzymać, kraju na niepewne nie narażać losy, ale uchwycić właściwą nadarzoną chwilę.

»Takie swe myśli i zdania udzielając Zygmunt Adamowi, zaklinał go, aby naprózno swe życie, jako drogi narodu skarb, na pewne nie narażał niebezpieczeństwo i zachował dla szczęścia własnej ojczyzny. Lecz próżnemi były te wszystkie przyjacielskie przedstawienia i namowy.

»Pierwszych dni kwietnia przyszedł Adam do Zygmunta z pożegnaniem, w przeddzień wykonania raz powziętego zamiaru. Usiłował go po raz ostatni gorąco i wymownie ująć i nakłonić do swych planów i zamiarów, wyrzucał mu nawet z goryczą brak wiary w ducha ludzkości, zjawiającego się tak wyraźnie i silnie. Zygmunt ze smutkiem odpowiedział mu, że podziwiając i ceniąc jego szlachetny zapał i poświęcenie, podzielać go nie może i przy swoim obstarze zdaniu; życzył mu szczęścia, prosił tylko w końcu, aby w każdym razie siał miłość, a nie krzewił nienawiści między ziomkami. Adam zesmutniał i odrzekł: »masz święte prawo i prawdę to mnie mówić, wytrwać jednak muszę«. Rozstali się w jak najlepszy przyjacielski sposób: Adam uściskał serdecznie ze łzami w oczach Zygmunta i wyszedł.

»Wkrótce potem udał się Adam wraz ze swymi towarzyszami, z których kilku opuściło go już w drodze do Włoch północnych. Przybywszy do Medyolanu, ujrzawszy rzeczywistość, rozczarowany zaniechał dalszych działań i udał się do Paryża«.

Ale tensam świadek opowiada coś więcej jeszcze. Krasiński, który w rządach Piusa IX widział zapowiedź lepszej przyszłości, a w wybuchłych rewolucjach sposób najpewniejszy odwrócenia jej na długo, kiedy w Rzymie zaczęły się rozruchy, sądził, że powstrzymać je może tylko Papież, jeżeli weźmie w swoje ręce sprawę wolności ludów. Inaczej zgubiona będzie i ta sprawa, i on sam, i Kościół. Miał więc sobie za obowiązek sumienia, szczerze Papieżowi wyznać, co

miał w sercu i namawiał go (29 kwietnia), żeby stanął na czele gotującej się wojny przeciw Austrii.

Czy przy tej audyencji, lub też może wcześniej, podał Krasiński Papieżowi memoriał, który obecnie wychodzi po raz pierwszy w zbiorowym wydaniu jego pism? Do stanowczego przekonania i twierdzenia brak podstawy i dowodu. Z treści możnaby sądzić, że rzecz pisana była raczej w początkach ówczesnych ruchów. Oprócz o wojnie z Austryą, jest w memoriale prośba, żeby Papież głośno i jawnie odezwał się o Polsce, o jej rozbiorze i niepodległości. Gdyby zaś to było w tych okolicznościach niemożliwym, żeby pozwolił przybyć deputacyi od emigracyi polskiej, żeby ją przyjął i odpowiedzią swoją dodał Polsce ducha i wiary w przyszłość. Memoriał kończy się błagalną prośbą, wspaniałą.

Małachowski tak dalej opowiada tę sprawę:

»W Rzymie lud, który z wdzięcznością i zapałem, «a jeszcze spokojnie przyjął obietnice Ojca świętego »reform rządowych w duchu liberalnym, skoro tylko »jednak doszła do Rzymu wiadomość o rewolucyi »w Paryżu, przeszedł w stan gorączkowy; potworzyły »się kluby, zgromadzenia ludowe, gwałtem żądające »nadania konstytucyi i wydania wojny Austrii przez »rząd Papieża. Ojciec święty znajdował się jakby »w oblężeniu zamknięty w Kwirynale. Krasiński nie- »spokojny, bo uwiadomiony o niebezpieczeństwie, jakie »mu zagrażało, wyprosił sobie zapomocą synowca Pa- »pieża, hrabiego Mastai, posłuchanie u Ojca świętego, »które otrzymał, ale które odbyło się tajemnie, prawie »w nocy, w ogrodzie Kwirynału, który pilnie strzeżony »był przez gwardyę narodową i powstańców. W tem »posłuchaniu opisał Ojcu świętemu całą grozę poło- »żenia, niebezpieczeństwa grożące jego osobie, i za- »klinał, aby rząd Jego Świątobliwości przedsięwziął »jak najrychlej niezbędnie potrzebne kroki energiczne

»dla odwrócenia niechybnej katastrofy i uniknięcia
»wielkich klęsk, ztąd mogących wypaść na Kościół
»katolicki. Ojciec święty przyjął i wysłuchał jak naj-
»laskawiej jego uwagi i rady, pochwalił jego synow-
»ską miłość i niespokojność, ale oświadczył stanowczo,
»że jako ojciec wszystkich wiernych, żadnego udziału
w żadnej wojnie brać nie może i nie będzie«.

To zachowanie się Piusa IX przypisuje Krasieński jeżeli nie wyraźnemu porozumieniu reakcyi z rewolucją, to przynajmniej ich podwójnemu wpływowi. Reakcyja, przerażona rządami Papieża, sprzyjała rewolucyi, żeby go przerazić i powstrzymać. Główną rolę w tej sprawie mieli niby Jezuici, przeciw którym Krasieński (jak w owym czasie każdy katolik liberalny) stale jest uprzedzony. To pokazuje się wyraźnie ze słów następnych, pisanych do Małachowskiego 15 maja: »Lojola ściśle się połączył z Mazzinim; oba starali się »o anarchię i upadek Piusa. Biedny Pius dał sumienie »czyste i święte uwieść pierwszemu, a wtedy pierwszy »rzekł do drugiego: »obal, a zemścij mnie!« Taka prawda dziejów tutejszych. Lękam się o kopułę, by porysowawszy się nie runęła«.

W kilka miesięcy później 26 listopada (do Małachowskiego), wraca do tego samego przedmiotu i w temsamem uczuciu:

»Żeby Pius IX w nocy z dwudziestego dziewiętego na trzydziesty kwietnia był usłuchał natchnień »polskich, prośby czysto polskiej, kiedy rozciągnięty »u stóp jego Polak zapowiadał mu, że wszystko co »tylko uczynił, w proch pójdzie, jeśli narodowości włoskiej nie uzna i wojny nie uświęci słusznej: ah! dziś »nie byłby na wygnaniu, dziś nie żebrałby, on ojciec, »stary dwudziestu wieków majestatem, nie żebrałby »gościnności u *Rzeczpospolitej Nationala!* Bo tem narodowości uznaniem byłby puginał wytrącił z rąk radykałom, maskę, którą się faryzeuszują zdarł im z lica,

»i potężny z tej strony mógłby był porządek wprowadzić do Romy, w rzybie przyzwoitej motłoch ten niekczemny utrzymać. Całą siłą jego wrogów ta nieszczęśliwa allokucya; od tego dnia padał i padał, aż teraz upadł! Jednak ja myślę, że go nie opuści Bóg, i że on tryumfalnie powróci do Rzymu«.

W Rzymie zostawać nie miał Krasiński po co, ani z rodziną mógł bezpiecznie. Wyjechał w drugiej połowie maja. Wyjechał ponury i gorzki, bo bieg zdarzeń z każdym dniem bardziej sprawdzał jego obawy. Rozruchy wielkopolskie i galicyjskie, bombardowanie Krakowa, przejmują go trwogą że to wszystko skończy się rozkładem umysłów i sumień polskich, a w dalszem następstwie roztopieniem się w Pansławizmie. Na dowód dwa wyjątki z listów do Małachowskiego z 15 maja (z Rzymu), i z 3 lipca (z Paryża).

»O! emigracya centralizacyjna odpowie przed Bogiem i sądem historyi za powtórny grzech! Już po raz drugi skutkiem jej zachodów wrzucenie nas w ręce Moskwy. Germanów szkaradne krzywdy, wywołane po części szkaradną naszych demagogią; walka wszczęta w Księstwie między organizującymi się a organizatorami, poprowadzi tok naszej sprawy prosto w ręce czyhającego Moskwicina. Przyjdzie do tego, że będziemy musieli, by odżyć, pobratać się z plugastwem chuci słowiańskich, a my powinni panować z góry im i wyczyścić je i zlać z zachodnią światłością i wiarą! Lecz ludy w rozpacz nie rozumują, pędzą choćby w otchłań, skoro do ruchu się zerwą. Widzę to wszystko, z goryczą niesłychaną serca widzę. Chyba że się Germany upamiętają. My ich i siebie i Słowiańszczyznę zbawić mogli, taki był nasz los niebieski; a teraz przyjdzie do tego, że my ich i zachód tępić będziemy! Módl się, módl się, stary szlachcicu polski, módl się do Boga, by się to nie ziściło, by się sny Towiańczyków nie sprawdziły; bo choć odżyli-

»byśmy takim sposobem, toby pochłonęła nas Słowiańszczyzna, a nie my ją podnosili już i nauczali być narodem«.

»Co się tyczy szalu polskiego rozkochania się w Moskwie, dowodem on rozpaczy, ale rozpaczy w lekomyślnych piersiach. Demagogia nasza, wychowana i wykarmiona przez paryską, rozstroiła wszystko w Polsce, i oczywiście, jedność u nas społeczną rozzerwawszy, gorzej się nam jeszcze przysłużyła, niż państwa, co jedność naszą bytową i cielesną rozgrąbieżyły. Póki demagogii, póty Polski nie będzie, lub będzie taka, jakiej ani pragniemy: to jest Towiańska, to jest pansławistyczna, to jest moskiewska, to jest nie polska! Lecz to trzeba wiedzieć, że terażniejsza chwila chwilą *odmętu*, prawa odmętu zaś koniecznie na tem zależą, że nie umieją nic stwarzać i wybudowywać; wszystko, co dziś się rusza, żwawi, zżyma, krzyczy, wrzeszczy, płąsa i faryfonuje, zaginie bez śladu, do góry nogami się przewali, będzie na głowie chodziło i tańczyło a stopami machało w powietrzu. Do wojen domowych przyjdzie w całej Europie, świat ten pójdzie w rozłam społeczny. Polska jeśli z Bogiem, to się zachować powinna zacząć wśród rozłajdaczzonego świata, a wtedy świat ją o opiekę poprosi, jak Anioła Stróża i przeciwko czerwonej Rzeczypospolitej. Inaczej nic. Jeśli moralnie Polska nie odegra roli Napoleona I, konsula wśród rojalistów i Jakobinów, to, powtarzam, nic i nic nie będzie; ale tego jeszcze nie zrozumiała i trzeba, by dalej się rozwijały wypadki na ułatwienie tego pojęcia«.

Lato, jak zwykle w Niemczech, na kuracyi w Heidelbergu i w Badenie. Usposobienie to samo, coraz czarniejsze tylko, z tą różnicą, że kiedy niedawno jeszcze, w początkach lipca, Małachowskiemu namawiającemu, by w tych ważnych wypadkach głos zabrał,

odpowiadał odmownie, to teraz, 25 lipca, wspomina o jakimś swoim piśmie. Czy to *Psalm Żalu* zaczyty, czy *Psalm Dobrej Woli* wzięty do ostatecznego wykończenia? Jeden z dwóch niezawodnie.

Jaki jego stan i sąd o stanie świata, to daje poznać list do Sołtana, z Heidelbergu 28 lipca.

»Prysnęło mi pióro w rękach dwudziestego czwartego Lutego. Przeczywałem zaraz, że do nowych i straszliwych prób, a nie do odzycia jeszcze idzie; przeczywałem, że społeczne wojny domowe wstąpią w świat, że nawzajem dwa despotyzmy, dwa uciski, gonić się i ścisnąć będą po powierzchni ziemi: że wstęp do braterstwa ludów będzie z morderstwem ich złożon. Przeczyłem potop klęsk, przeczyłem, że wiedzeni fatalnym zmysłowym instynktem, rzucim się wszędzie na stronę Rzeczypospolitej czerwonej; że za zemstą goniąc, nie dorwiem się zaraz zmartwychwstania, bo nie z zemsty zmartwychwstanie. Do tego szatańska postać w owych dniach koło mnie była: Towiańszczyzny wyobraziciel, a Towiańszczyzna niczem innym jedno Rzeczpospolitą czerwoną, odzianą w miastycyzmu barwy. Ta postać rozkroiła mi swemi kłamstwami i ohydny okrucieństwem i szalami wewnątrzności, więc zamilkłem, nerwy mi się rozstroiły. Co chwila sądziłem przez dwa miesiące, że wypadnie do czegoś ruszyć, ruszyć się; potem wszystko zaczęło iść według smętnych przeczuć moich, aż się stało, że wszędzie znów jesteśmy postrachem, znów wygnani i odegnani. Co się dalej stanie? Myślę, że się za boudra wezmą Moskwa i Rzeczpospolita czerwona, po wszystkich krajach: *jalousie de métier*, bo to nie są przeciwne pierwiastki, owszem jednorodne, identycznie tesame, piekielne, oba dążą ku zbarbarzynieniu świata i *odchrystusowania* go. Polska, jeśli się zachowa wśród rozłajdaczanego świata, to w końcu zwycięży i stanie wyżej niż Moskwa, niż panslawizm,

»niż tajne towarzystwa, Barbesy i Towianizmy. Lecz
»Boga o to prosić trzeba, Bóg to jeden sprawić może!«

W tej goryczy jednak, bardzo widocznej tym razem przeciw Mickiewiczowi także, odzywa się w ostatnich słowach, jak żeby przeddźwięk *Psalmu Dobrej Woli*. Wyraźniej w liście o parę dni wcześniejszym (z 25 lipca) do Trentowskiego, w którym wynurza się krótko, ale zupełnie, ze wszystkim co myśli o naszej i świata bliższej i o stanowczej przyszłości:

»Będą dni, w których dla nauki i przestrogi przyszłych wieków, a kary przeszłych, Rzeczpospolita czerwona górę weźmie i taką górę, że podły niemiecki ród zateśni do knuta moskiewskiego, modlić się doń będzie i wołać: »Ano teraz przyjdź zbawicielu mój«. I przyjdzie knut i padną na kolana przed nim zaniekane i znużone bratobójstwami europejskie ludy. A w oną porę zstąpi sąd wielki, święty, przezacny sąd Boga wiekuistego przeciw Moskwie. Knut w samej chwili tryumfu rozprysnie się. Przez czerwonych, króle i książątka; przez knut, czerwoni; przez Boga i Polskę knut przepadnie. Odmęt sądów będzie się ciągnął: każdy pyszny, i kłamca, i chciwy, i każdy Faryzeusz czy przeszłości czy przyszłości, znajdzie w przeciwniku swoim, gorszym od siebie, sędzie i kata. I tak, długo będą jedni sądzeni przez drugich, karani nawzajem, aż błysnie w istocie zorza, i świat cały wróci do miary i prawdy, a w on dzień przybierze wszędzie dawny kształt Polski; rzeczpospolitą z królem! i hołd odda myśli polskiej. A wtedy będzie i Polska, owa matka dni przyszłych już przed wiekami. Byleby naród w mierze i zacności dotrwał, byleby zemsty nie przeniósł nad żywot, byleby ostatecznie nie dał się uwieść żądzą tylko szkodzenia wrogom, tylko rozsadzania Europy, która go opuściła i ręki nigdy nie podała. Przyznaję, to naturalnym instynktem potępionego i opuszczonego od wszystkich

»potęgę społecznych narodu; ale idąc za nim, nie odżywa się. Supernaturalnej cnoty, nie naturalnych chuci potrzeba, by odżyć«.

Psalmy są już prawie gotowe. Ale zanim wyjdą na świat, zdarza się poecie wypadek nie dziwny może, ale przykry. Jakiś awanturnik, z nazwiska (prawdziwego czy przybranego) Roman Czarnomski, pod pozorem pretensyi do spadku jakiegoś po Czapskich (którego babka Krasińskiego zrzekła się nawet i nie wzięła), wystąpił z obelgami i groźbami śmierci: a dla podłości tem doskonalszej, zwrócił je nie do Krasińskiego, mężczyzny, ale do jego żony. Skutek w każdym razie osiągnął ten, że pani Krasińska rozchorowała się z oburzenia, po części z trwogi o życie męża. Innego nie osiągnął. Krasiński odpisał, że gotów jest stanąć do pojedynku, wezwał sekundantów (Cieszkowskiego i pułkownika Komierowskiego) i czekał co będzie dalej. Napastnik zjawił się po kilku dniach ale bez sekundantów, i zamiast o pojedynku, chciał mówić o procesie i pieniądzach. Świadkowie Krasińskiego nie pozwolili na wykręty, i skończyli sprawę w ten sposób, że ów napastnik napisał i podpisał dokument, w którym odwołuje wszystko, co w liście swoim powiedział, i za to Krasińskiego i żonę jego przeprosza.

Po tej sprawie wyjeżdża Krasiński do Dieppe na kąpiele morskie. Ale przed tym wyjazdem były już gotowe *Psalmy*. »Psalmum dokończył« — pisze do Trentowskiego 26 sierpnia — »treść tasama, co w prozie tobie wyprawionej« (w ustępach przeznaczonych do *Przedburzy*¹⁾). Dnia 16 września z Dieppe dziękuje Małachowskiemu, że *Psalmy* przepisał.

Kiedy i jakim sposobem dowiedział się Krasiński o *Wierszu do Autora Trzech Psalmów*? Rzecz dzi-

¹⁾ Ustęp ten zdaje się być na stronie 173 do 180 *Przedburzy* w wydaniu Fryburskiem, u Emmerlinga, 1848.

wna, w żadnym z listów nie wspomina o nim ani razu. W listach z roku 1846 zdarzają się wzmianki o Słowackim, ale nie o tym wierszu właśnie. Czy go nie czytał? Wiersz wyszedł dopiero w r. 1848, ale przedtem rozchodził się w wielu kopiach pisanych. Z takiej, jak dowodzi przedmowa do *Psalmu Żalu*, poznał go Krasiński. Ale kiedy? śladów niema żadnych; domysł tylko jest prawdopodobny, że poznać musiał teraz, świeżo, w tym roku 1848. Ustne podania mówią, że jedną z takich kopii przyniósł Krasińskiemu Cypryan Norwid: że zaś Słowackiemu wziął rękopism i oddał go do druku Edmund Chojecki. Jakkolwiekby, Krasiński musiał poznać rzecz dopiero w roku 1848, skoro bowiem uczuł taką silną potrzebę odpowiedzi i odparcia, to byłby odpowiedź napisał wcześniej, gdyby wcześniej znane mu były zarzuty.

Przyszło więc nie już do zerwania przyjaźni, ale do otwartej wojny na słowa między dwoma niegdyś przyjaciółmi. Zerwanie to, powód znaczących w naszej literaturze wierszy, zajmowało żywo uwagę ogółu, a zwłaszcza krytyków i biografów. Jak do tego przyszło? pytało wielu, a odpowiedzi były różne. Słowacki sam w liście do matki z 2 lutego 1846 r., daje do zrozumienia, że Krasiński obraził się o rolę nie całkiem piękną, jaką przodek jego gra w *Księżu Marku*; powtarza to samo w liście do samego Krasińskiego. Skłonił się po części do takiego przypuszczenia Małecki w *Żywocie Słowackiego*; protestował przeciw niemu Stanisław Małachowski¹⁾. Co do nas, sądzimy, że powody oziębienia ich przyjaźni były ważniejsze i głębsze; materyalne zaś wypadki przytoczymy tak, jak nam były opowiadane przez naocznych świadków, Małachowskiego i Jerzego Lubomirskiego.

Widzieliśmy, że przy pierwszym poznaniu w r.

¹⁾ *Przegląd Polski* 1868.

1836, Krasiński był olśniony talentem Słowackiego i jego fantazyą, ale stateczności jego nie dowierzał. »Nie chciałbym nigdy na nim polegać« — pisał do Gasińskiego. To pierwsze niezupełnie korzystne wrażenie ustępuje jednak pod wpływem zapewne osobistego uroku Słowackiego. Powstaje przyjaźń, przywiązanie; a w tym razie, jak zwykle u Krasińskiego, nie bez poetyzowania, idealizowania przyjaciela. Uczucie to rośnie i rozpala się, kiedy przyjaciel doznaje krzywdy, a przynajmniej nie doznaje sprawiedliwego uznania od krytyków i od ogółu. Rozżalony tem Krasiński unosi się, wywodzi sobie filozoficznie »konieczność jego w poezji polskiej« (List do Romana Załuskiego), bierze go w obronę w artykule o *Balladynie*, staje się rycerzem i adwokatem jego sławy. To naturalnie rozżarza i uczucia Słowackiego względem niego. Listy dedykacyjne *Balladyny* i *Lilli Wenedy*, wiersz do »Archaniola wiary« świadczą o exaltacji i niemal uwielbieniu Słowackiego. Jak i dlaczego zaczął się ten stosunek psuć? Oczywiście dlatego, że Słowacki przystał do nauki Towiańczyków. Krasiński wielokrotnie i mądrze usiłuje go od niej odciągnąć, napróżno. Nie może być inaczej, tylko, że ludzie którzy sprawie dla obu najdroższej chcą służyć, każdy innym sposobem, przestają się rozumieć, a z czasem przestają się kochać. W przekonaniu Krasińskiego, Towianizm jest dla Polski szkodliwy i zgubny; w uczuciu Słowackiego on jest jej zbawieniem. Krasiński mniema, że przyjaciel siebie marnuje, a ojczyźnie może szkodzić; Słowacki myśli, że twarde ma serce, upór wielki, a może i umysł ciasny, kto łask i słów Ducha nie przyjmuje. Próbują się wzajemnie przekonać, oświecić; ale gdy widzą, że napróżno, przestają oba, i wzajemnie od siebie odstają. To jest jasna i zrozumiała przyczyna oziębienia przyjaźni. Materyalna przyczyna zerwania, długiego milczenia z obu stron była następująca:

W jednym z listów Krasieńskiego do Sołtana, znajduje się następująca wiadomość: »Słowacki w Frankfurcie; zakochał się wściekle w pani B...«

Do tych słów przywiązać można to, co o zerwaniu owem opowiadali Małachowski i Lubomirski.

Rzeczywiście Słowacki zakochał się w pani Bobrowej. Starał się o wzajemność — daremnie. Rozgniewany, upokorzony w swojej miłości własnej, napisał wtedy do Krasieńskiego list, w którym mówił o niej w sposób obraźliwy i znieważający. Krasieński, który bardzo już dawno przestał ją kochać, ale szanować miał i powód i obowiązek, a bronić do obowiązku się poczuwał, wpadł tedy na Słowackiego w wielki gniew i odpisał bardzo ostro. Po całym poprzednim stopniowym oziębieniu stosunków, te dwa listy sprowadziły nie otwarte i formalne zerwanie, ale żal i gniew obustronny, równający się faktycznemu zerwaniu.

Tu nasuwałoby się pytanie, jakie jest w tym wzajemnym stosunku miejsce i znaczenie w *Niepoprawnych* Słowackiego? Krasieński najpewniej o nich nie wiedział, jak nie wiedział nikt, aż do wydania ich przez Małeckiego. Ale Słowacki w jakim piisał je usposobieniu względem przyjaciela? Satyrycznem widocznie, i dość złośliwem; zatem nie patrzył na niego tak, jak kiedy piisał dedykację *Balladyny* i *Lilli*. Ale w tej złośliwości niema złości, w ironii niema gniewu ani namiętności; więc znowu nie to uczucie, w jakim pisany był wiersz *do autora Trzech Psalmów*. Małcki przypuszcza, że Słowacki piisał *Niepoprawnych* w r. 1841. Przypadałoby to właśnie na ten czas, kiedy Krasieński z przekąsem wspomina o jego miłości do pani Bobrowej; kiedy więc wzajemnie ich uczucia zaczęły się zmieniać, a jeszcze nie były się zmieniły zupełnie.

Pogorszyła stosunek okoliczność drobna i błaha. W r. 1845 Krasieński umyślił wybrać się do Paryża.

Paszport miał tylko do Włoch i Niemiec, więc wybierał się w wielkiej tajemnicy. Bał się, że gdyby ta podróż doszła do wiadomości rządu rosyjskiego, ściągnęłaby na niego, i na ojca, przykrości, odpowiedzialność, może prześladowania. Ztąd te usilne i drobiazgowo, a do znudzenia powtarzane ostrożności, jakie Gaszyńskiemu zachować poleca przy wyszukaniu mieszkania, ta tajemnica, którą chce być otoczonym. W Paryżu, zawsze z tego samego powodu, ubrał się inaczej niż zwykły był się nosić, włożył niebieskie okulary, i w nadziei, że zmienił się nie do poznania, wyszedł na ulicę. Nie szczęście chciało, że spotkał go Słowacki, a spotkawszy zatrzymał i przywitał. Krasiński odpowiedział mu po francusku, że musi się mylić, brać go za kogo innego, i poszedł dalej. W parę godzin później miał u siebie sekundantów Słowackiego, i wyzwanie. Sekundanci — jednym z nich był Seweryn Gałęzowski — zrozumieli i uwierzyli, kiedy im Lubomirski wytłómaczył, że w postępku Krasińskiego mogło być dziwactwo, ale nie było zamiaru obraźliwego. Słowacki musiał słuchać swoich sekundantów i pojedynku się nie domagał; ale obrażony i rozżalony był gwałtownie. Czy zaś Krasiński sam nie uczył po rozwadze, że nie miał słuszności? Na taki domysł naprowadza jego późniejsze zachowanie się względem Słowackiego. On, w kilka miesięcy później, radzi się swoich przyjaciół, Gaszyńskiego i Małachowskiego, czy ma do Słowackiego napisać; on używa pośrednictwa Gaszyńskiego, żeby coś Słowackiemu powiedzieć i wytłómaczyć (listy ze stycznia 1846). Może czuje, że postąpił nieprzyjaźnie względem tamtego, i chce to naprawić. Zawijazuje się więc stosunek na nowo: zaczyna się zamiana listów. Krasiński wyraża się o Słowackim do innych, jak o człowieku wyrzuconym z równowagi, chorobliwie usposobionym, ale wyraża się z sympatyą, z przyjaznem, jeżeli nie serdecznem uczuciem. Żadnego no-

wego żalu do niego niema: *Króla Ducha* tylko krytykuje ostro. Jeżeli jest w niem myśl, to »tak scho»wana, że ja nie mogę jej dojść; może też zgłupiałem. »Albom ja waryat, czytelnik, albo autor, co to pisał«. (do Gaszyńskiego 24 Lutego 1847). Wiersza *do autora Trzech Psalmów* widocznie nie zna, nie wie o nim, skoro o Słowackim wspomina nieraz, a o tem nie, co w tym stosunku było obecnie pierwsze i żadną miarą przemilczeć się nie dawało.

Że Słowacki po napisaniu tego wiersza pisuje do *autora* tych niegodnych *Trzech Psalmów* listy przyjazne, jakżeby nic nowego między nimi nie było zaszło, a o *Psalmach* i o swoim wierszu nie wspomina, to, jak już wyżej powiedziano, jest dość dziwne.

Takie były więc w krótkości dzieje ich wzajemnych uczuć; i taki ich stan w chwili, kiedy ów wiersz ukazał się na świecie.

IV.

Dwa Psalmy. Wiersz Słowackiego. Konieczność odpowiedzi. Początek *Psalmu Żalu*. Jego dalsze ustępy i usterki. *Psalm Dobrej Woli*. Jego znaczenie. Co w nim jest prawdą. Jak go rozumieć i stosować. Ostatnie słowo poezji Krasieńskiego. Zakończenie wielkiej epoki poezji polskiej.

Że Słowacki nie był nigdy w zupełności panem swojej myśli; że był z usposobienia nerwowy i burzliwy, a w tej chwili wzburzony; że w rzeczach politycznych zdrowego sądu nie miał nigdy; że wreszcie pod wpływem swej religijnej doktryny stracił do reszty jasną świadomość i rzeczywistości i swojej własnej myśli, to wszystko wiadome jest aż nadto. Dziwić się też nie bardzo można, że Słowacki pomylił się tak grubo w przewidywaniu i sądzeniu wypadków, że przygotowania do mniemanego powstania roku 1846 brał za rzecz

dobrą, opór przeciw tym przygotowaniom za zbrodnię przeciw ojczyźnie. Igdyby wiersz swój do *autora Trzech Psalmów* był napisał inaczej, to, zważywszy na jego naturę, i jego sąd nigdy nie wyrobiony, zważywszy, że go napisał przed sprawdzeniem słów Krasińskiego, przed wypadkami, możnaby żałować go tylko, ale się na niego nie oburzać. Ale sposób, w jaki napisał, ten jest zły, ten jest naprawdę oburzający.

Według Ciebie mój szlachcicu
Cnotą naszą znieść niewolę...

To pierwsze słowa, i to pierwsze zaraz kłamstwo. Gdzie i kiedy Krasiński powiedział co podobnego? Z których jego słów dałoby się wyciągnąć, nie dosłowne brzmienie, nie znaczenie, ale tylko prawdopodobieństwo, tylko możliwość, tylko cień możliwości myśli, jaką mu Słowacki podsuwa? Nigdy i nigdzie; a przeciwnie, każde jego dzieło, każdy wiersz, każde słowo zadaje Słowackiemu fałsz oczywisty, sromotny. Aż żal biednego Słowackiego, bo zrobił rzecz siebie niegodną, zrobił rzecz jedną z brzydszych, jaką człowiek zrobić może: przekręcał słowa drugiego, podsuwał im myśl, jakiej w nich nie było, naciągał je wbrew oczywistości, zuchwale, bezczelnie. Dopóki to robi jakiś tuzinkowy pismak, który chce koniecznie utrzymać się na wodzie, a ma po temu tylko ten jeden środek, to nic dziwnego; każdy robi, co może i na co go stać. Są ludzie, którzy mają ten szczęśliwy przywilej, że mogą niekiedy swoim słowem lub uczynkiem oburzyć, ale zdziwić nigdy. Ale ten przywilej podłych nie służy szlachetnym, *quod licet bovi non licet Jovi*; i jeżeli pokątnemu pismakowi wolno naciągać, przekręcać i kłamać, to Słowackiemu nie wolno. On tymczasem od kłamstwa niestety zaczął swój wiersz do *autora Trzech Psalmów* (wiersz zresztą tak pełen pięknych ustępów, że aż żal tej pięknej formy, że mieścić w sobie musi

treść tak podejrzaną), powiedział Krasińskiemu, że według niego »cnotą naszą znieść niewolę«, a dalej tonem fantastycznych wieszczych widzeń, lekkomyślnych i dziecinnych sądów, frazeologii ówczesnych emigracyjnych dzienników, dowodzi mu, że się boi Polski, ludu i powstania, że jest tchórz, zły Polak i arystokrata.

Że Krasiński pod tym zarzutem zostać nie mógł, że chciał odpowiedzieć, to rzecz naturalna, to winien był sobie, i prawdzie, i sprawie której służył. Ale do tej obrony własnej, dodał jeszcze raz przypomnienie własnych przekonań, skład własnej wiary i nadziei, i napisał pierwsze słowo pociechy, jakie w Polsce wyszło po roku 46 — ostatnie słowo swojej poezyi, a zarazem całej naszej poezyi proroczej i wieszczej, dwa ostatnie Psalmi.

Jest siła dziwna, tajemnicza, a wielka w prawdzie, i w człowieku, który jej broni; jest w jego słowach w tonie, w jakim są wyrzeczone, taka powaga że choć bez zapалу namiętności, bez sztuk i ozdób wymowy, spokojnie i poprostu mówi: *tak, tak — nie, nie* — schyla się tylko głowę przed tą powagą, i nie znajduje się żadnej odpowiedzi. Historya i poezya, znają takie słowa prawdy, odpierające potwarz poprostu a zwycięsko, Hermiona z Zimowej Powieści, Imogena Szekspira, Robak wpadający w słowo Gerwazemu, kiedy ten mu zarzuca, że naprowadził żołnierzy na zamek Stolnika i wołający: »nie byłem w zмовie«, Królowa z Don Carlosa, kiedy u Filipa II, znajduje swoje ukradzione listy, wszystko to przykłady poetyczne broniącej się czci i niewinności, przykłady świetne i rozrzewniające. Wszystkie razem jednak nie robią takiego wrażenia, jak wyrzeczone w okolicznościach podobnych, a przez historję przechowane prawdziwe słowa rzeczywistych osób: Marya Antonina, oskarżona przez konwencyę, że własnego syna, małe dziecko, uczyła zepsucia obyczajów, i odwołująca się »do

wszystkich matek», żeby powiedziały, czy to może być prawdą, budzi więcej współczucia, jak wszystkie spotwarzone fikcyjne Desdemony i Genowefy Brabanckie. Jest w rzeczywiście cierpieniu prawdziwej ludzkiej istoty coś, co zdobywa więcej współczucia i uszanowania od najpiękniejszych, najdramatyczniejszych sytuacji w poezji. I do takich rzeczywiście, historycznych, należy przypadek Krasińskiego: oskarżony publicznie, jak Marya Antonina, publicznie i głośno odpowiada: a jego odpowiedź należy do tych niezawodnie, w których głos niewinności i prawdy odzywa się z największą powagą i z największą prostotą. Niema wykrzykników, niema skargi, niema oburzenia, ani pogardy, ani wyrzutu, — ale jest taka siła i moc i taka godność prawdy, że oskarżycielowi zostaje potem tylko jedno, wstyd bez ratunku i rady. Pierwsze ustępy *Psalmu Żalu*, należą do najpiękniejszych rzeczy, jakie Krasiński kiedykolwiek napisał. Prawda że straszne stwierdzenie tego co przepowiadał w trzech pierwszych *Psalmach*, mogło mu dodać powagi; ale też poczucie słuszności i własnej niewinności daje mu taką pewność siebie, taki spokój wielki i przygniatający, taką majestatyczną prostotę (nigdy Krasiński nie był prostym i nigdy bardziej majestatycznym jak w pierwszych wierszach *Psalmu Żalu*) — że te jego słowa liczyć się muszą do najpiękniejszych i najbardziej tryumfujących odpowiedzi, jakie niewinność spotwarzona znalazła kiedykolwiek w rzeczywistości lub w poezji.

- »Więc strach, mówisz, mówił ze mnie
- »Gdym przeczuwał że się w ciemnię
- »Zasuwamy, a nie w zorzę...
- »Prawdę mówisz...

W zakończeniu »Bojaźń moją, mężstwo twoje niech osądzi Pan« — w tem odwołaniu się do Boga, jest taka pewność siebie, takie przekonanie, że on sam

a nie przeciwnik miał słuszość, że lepiej widział, lepiej służył, lepiej swoją sprawę kochał, a fakt dodaje takiej wagi słowom, że ciężar jednego i drugich tylko człowiek zupełnie bezsumienny i bezczelny znieść może; człowiek z naturą szlachetną musiał pod nim upaść, złamać się, zamilknąć. Słowacki rzeczywiście zamilknął.

Potem dopiero nie wyrzut, ale coś gorszego, bardziej palącego wstydem jak sam wyrzut, zdziwienie! Jakto? ty? — ty, który masz oczy, nie widziałeś, który masz rozum, nie rozumiałeś? — ty, który tak kochasz i o swojej miłości tyle mówić umiesz, tyś nie uczuł, że to nieszczęście, że to prawie śmierć? i biegłeś przed tem wszystkim, zdawało ci się, że jak Tyrteusz zagrzewający swoim śpiewem do bitwy i do zwycięstwa, a naprawdę siedłeś jak ksiądz przed trumną na pogrzebie i śpiewałeś *de Profundis*, mniemając dziecinnie i płocho, że śpiewasz Pieśń Zmartwychwstania? konkluzji niema — ale dorobić ją, domyśleć ją łatwo — więc tak umiesz patrzeć? tak umiesz myśleć? i tak umiesz kochać? więc z twego rozumu i z twojej miłości tyle pożytku? konkluzja nie napisana, ale wyraźna z tego wszystkiego, wołająca wielkim głosem, jest: »wejdź w siebie, porachuj się z sobą«. Na chwałę Słowackiego powiedzieć trzeba, że tę konkluzję rozumiał, głos ten usłyszał. Ale czy wielu jest takich jak on? czy dla największej liczby nie był on głosem wołającego na puszczy?

Uczucie osobiste, uczucie człowieka skrzywdzonego, spotwarzonego, odzywa się w dalszym ustępie:

»Bodajbyś wieszczu był wieszczył prawdziwie«

ustęp jest wspaniały: nic wymowniejszego, nic bardziej tryumfalnego nie da się pomyśleć. Zarozumiałość i duma biednego Słowackiego odniosła najsroższą karę, mogła przypatrzeć się sobie i osądzić się w swojej mar-

ności. A musiał on doznać i jednej jeszcze goryczy: wspomnieć, że człowiek, na którego się rzucił tak wściekle a tak niesprawiedliwie, na którego rzucił oskarżenie publiczne a fałszywe, był jego przyjacielem niegdyś, był ten sam, który go pierwszy uznał za poetę, który go zasłaniał i bronił, który mu nie zrobił nigdy nic złego. Krasiński ani słowem jednym nie wspomina tej dawnej przyjaźni; ale Słowacki pod każdym słowem musiał to wspomnienie czytać, musiał sam sobie wydawać się niewiernym i niewdzięcznym. W odpowiedzi Krasińskiego jest jedno słowo srogie, krwawe:

Szlibyśmy oba i szczęśliwsi oba

Ty chwałą własną — ja Polski zbawieniem.

Gdyby te dwa wiersze był opuścił, byłby się wznioł do najwyższej wysokości przebaczenia. Może byłoby to jeszcze piękniej, wznioślej; ale nie można się dziwić, że je napisał, że obrażony tak ciężko, tak niesprawiedliwie, a obrażony przez przyjaciela, przez człowieka, który go znał i wiedział dobrze, że »podług niego znieść niewolę nie było cnotą«, że mu wymówił tę chwałę własną, która była wielką małością jego duszy, dla której może i ten wiersz napisał. Dziwić się raczej można Krasińskiemu i podziwiać go, że w swoim smutnym tryumfie jest tak umiarkowany. Inny na jego miejscu byłby przeciwnikowi powiedział prawdę bez względu i bez miłosierdzia, byłby go przekonał o płochość, o lekkomyślność, o polityczną głupotę, tak otwarcie i głośno, tylko słuszniej, jak go tamten oskarżył o bojażń i o »cnotą naszą znieść niewolę«. Kto inny nie byłby Słowackiemu darował ani jednego wyrzutu, byłby go upokorzył i zawstydził na śmierć i na wieki. Krasiński godząc jednym tylko słowem w jego miłość własną, jest jeszcze bardzo wspaniałomyślny, bardzo umiarkowany w korzystaniu ze swej wyższości.

Po tych pięknościach wstępu wyznać trzeba, że dalsze części *Psalmu Żalu*, nie utrzymują się na tej samej wysokości natchnienia, owszem spadają dość nisko.

Wszystko, co znamy już oddawna jako Krasińskiego filozofię historii, co od roku 1846 widzimy zawsze w jego listach, jako oburzenie na wersalską demagogię, jako przekonanie, że ona odrodzenie Polski odsuwa i niemożliwem czyni: jako przewidywanie, że ta Polska przejdzie jeszcze przez gorsze klęski i upadki wstydlwsze: jako wiara wreszcie że ona i od innych lepszą być, i w końcu zwyciężyć musi, to wszystko w tym *Psalmie* znajduje się w krótkim streszczeniu. Jest on więc z tego względu ciekawy i ważny. Ma też niektóre zwroty lub wyrażenia szczęśliwe, bardzo silne i śmiałe; najwięcej może w ustępie trzecim. Wszystko co Krasiński mówi, czy przeciw rewolucyjnej teorii czy w obronie chrześcijańskiego postępu i postępowania, słuszne i mądre jest. Tylko to nie *Psalm*, to dyskusya. Rekapitulacya naprzód teorii Słowackiego o »Duchu wiecznym rewolucyoniście«, a następnie zbijanie tej teorii przez wszystkie argumenta historyczne, polityczne i moralne, argumenta dobre i słuszne niezawodnie: prawda, zwycięstwo w tej sprawie jest przy Krasińskim. Ale poetycznie dalszy ciąg *Psalmu Żalu* pięknym nie jest. Pomimo, a może właśnie dla pewnego silenia się na wzniosłość i natchnienie (widocznego w tym rytmie ciągle zmienianym, w tych krótkich dwu lub trzechgłoskowych wierszykach), pomimo takich machin poetycznych, jak ten sąd ostateczny nad narodami, odbywający się na dolinie Józefata, nie można zaprzeczyć, że całość zostawia wrażenie ciężkiej prozaiczności. Jestto filozofia historii, rzecz dydaktyczna, ujęta w natchnioną formę *Psalmu*; rzecz, która z natury udać się nie mogła, a która w tym razie jest tem cięższą, że fantazyja i uczu-

cie poety nie podnoszą jej w górę. Rozum, dowodzenie, ścisła logika, właściwość najwybitniejsza umysłu Krasińskiego, występuje tu z całą ścisłością; w ciągu zaś tych dowodzeń i rozumowań, nie wiedzieć, czy dla tem lepszej definicyi filozoficznej, czy dla tem większej piękności poetyckiej, folguje Krasiński swojemu popędowi do tworzenia nowych wyrazów, i cały *Psalm*, z wyjątkiem początku, tak jest naszpikowany kataklizmami, katastrofami, rewolucjami, i tym podobnemi wyrazami, które mu nadają ton dziennikarskiego artykułu, tak zeszepecony wyrazami ukutemi *ad hoc*, a niezgrabnemi i ciężkiemi, naprzykład: *anielica*, *wypołudnić się*, *przepostacić się*, *przepromienić się*, *przepiekielnąć*, *odmiłośnić się*, *zbożyć się*, *bożoczłowieczy czyn*, tak jest pełen nieszczęsnego *wszech* przyrzeczanego do *wszech* rzeczy i *wszech* rzeczowników, że z całej poezyi Krasińskiego jest to może rzecz najcięższa i najprozaiczniejsza w tonie. A szkoda, bo gdyby był zdołał utrzymać się na wysokości wstępu, *Psalm Żalu* byłby równym temu, który po nim następuje.

Nie na to pisał Krasiński te *Psalmy*, żeby Słowackiemu dowiódł, jak się grubo pomylił. Tryumf taki nie trudny, zwłaszcza kiedy dowodzenia podjęły się fakta; a pociecha marna powiedzieć drugiemu, że źle zrobił. Dla serc małych to rozkosz, dla wielkich smutek; jak dla wielkich umysłów nie dość jest wykazać złe, trzeba pokazać dobre, które na miejscu tego złego być powinno; nie dość krzyczeć na drugich że robią nie tak jak trzeba, ale powiedzieć, co trzeba robić; wtedy dopiero zadanie spełnione, wtedy stało się zadosyć obowiązkowi. Ale ten obowiązek tak rzadko spełnia się między ludźmi, że spełnienie jego musi uchodzić za jedną z wielkich zasług. A jeżeli jest nią zawsze, to cóż dopiero w czasach nieszczęścia i rozbicia, kiedy ludzie odurzeni klęską cho-

dzą jak błędni, i nie wiedzą co robić, czego się trzymać, gdzie szukać dla siebie ratunku. Krasinowski, który przed nieszczęściem spełnił obowiązek jeden, przestrzegał, a naturalnie jak Cassandra, jak prorocy izraelscy, przestrzegał nadarmo, po nieszczęściu miał obowiązek drugi, odezwać się do sumień, a rozumom jasno wyłożyć jego powody. Pośród chaosu zabójczych negacyi, które owo nieszczęście spowodowały, chciał postawić twierdzenie zbawcze, zbawienną prawdę — pośród chaosu rozpacz i zwątpień, chciał postawić znak wiary, wbić w sam grunt serc kotwicę nadziei, napisał *Psalm Dobrej Woli*.

Ten uważany słusznie za ostatnie prawdziwie wielkie słowo jego poezyi, uważany jest także i z mniejszą słusnością za koronę całego tego budynku, za zbiór i treść, wyraz najprostszy i najwyższy tych uczuć i myśli, które były tłem całego jego życia i jego miłości ojczyzny, za ostateczną odpowiedź na wszystkie jego pytania, ostateczną konkluzję jego przeczuć i przewidywań, za uzupełnienie i koniec jego systemu filozofii historycznej i politycznej. To jest jego afirmacja, wypowiedziana w formie najprostszej i najjaśniejszej, to jest ta prawda dziejów i człowieka, której szukał przez całe życie, która wydobywała się z jego myśli pomału i stopniowo coraz jaśniejsza, coraz wyraźniej określona, wyraźniej w *Irydionie* jak w *Nieboskiej*, wyraźniej w *Przedświcie* jak w *Irydionie*, aż wreszcie wyłoniła się ze wszystkich zawichrzeń i cierpień świata, Polski, i jego własnej duszy: objawiła mu się w całej ścisłości i prostocie, i tak objawić się kazała przed narodem w chwili, kiedy ten doznał jednej z najcięższych swoich klęsk, kiedy słusznie mógł rozpacząć o sobie.

Ta prawda, rozebrana z ułudnych szat poetycznego natchnienia, czy jest prawdą zupełną czy czę-

ściową tylko, czy możemy w nią wierzyć śmiało i bez zastrzeżeń? słowem, czy jest prawdą, albo nie?

Z odpowiedzi na to pytanie musi wyjść sąd o całej poezji Krasińskiego, o jej wartości absolutnej wobec prawdy historycznej i filozoficznej, o jej wartości patryotycznej, żeby się tak wyrazić praktycznej, dla Polski.

A więc czy w *Psalmie Dobrej Woli* jest prawda lub nie? Tak i nie; jest i nie jest. W pojęciu Polski, czem była i czem jest, niema prawdy; w pojęciu tego co Polska powinna, czem powinna być i czem się podnieść może, jest prawda.

»Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie
Z skarbu wiecznego przenajświętszej łaski«.

Czy to prawda? czy istotnie dał nam panowanie ubrane w przechrześcijańskie blaski nadeuropejskiej cnoty? czy prawda, że »twego Syna dałeś nam pierwszym w świeckie wcielić dzieje? że »wiecznieś nas kapał w jakiejś dziwnej cnocie«, że nam »najwyższe dałeś w czasie powołanie«, ah i czy prawda, czy nadewszystko prawda, to, że »skrzydła nam rosna już na zmar-twychwstanie«, że »przebyte progi cmentarza«, że »nadzieja jak kwiat się sypie«, że upadek złych i dumnych »na zorzach porannych już dnieje, a nam broń zwycięska spada z nieba z wichrami? czy to prawda?... Smutno jest podnieść głos przeciw takim nadziejom: zuchwale jest może podnieść głos przeciw słowom wielkiego geniusza i większego jeszcze serca: ale darmo, w imię prawdy świętej i niewzruszonej, prawdy zwycięskiej zawsze i zawsze zbawczej, nawet kiedy jest najnielitościwsza, w imię tej najdroższej Krasińskiego nadziei i największej miłości, w imię tej sprawy, dla której on pisał *Psalm Dobrej Woli*, i dla jej dobra, trzeba powiedzieć nie — to nieprawda.

Nieprawda, że wszystko nam dałeś, co dać mo-

głęś Panie! a nie dlatego tylko, żeś nam nie dał ducha mądrości, ducha wytrwałości, ducha rady, ducha rządu i ducha zgody, nie dlatego tylko, że nam nie dał zmysłu pracy, zabiegliwości, i zmysłu politycznego, nie dlatego, że nam nie dał nawet jak innym granic porządných, ale dał złe, przyjaciołom niedostępne, dla nieprzyjaciół otwarte — nie dlatego. Głupstwoby było i zuchwalstwo, robić wyrzuty Bogu, kiedy ich jest tyle do zrobienia sobie samym; a wszystkie przymioty, których nam brak, mogliśmy sobie wyrobić, gdybyśmy mieli wolę; wszystkie warunki życia mogliśmy zdobyć lub poprawić, gdybyśmy się byli postarali o tamte przymioty. Czy nam Bóg dał mało czy wiele, źle czy dobrze, z tego, co dał, mogliśmy zrobić więcej i lepiej: nie on winien, ale my. Ale nieprawda, żeby nasze panowanie było ubrane w przechrześcijańskie blaski nadeuropejskiej cnoty, nieprawda, żebyśmy byli wcielili w świeckie dzieje naukę Chrystusa, nieprawda, żebyśmy byli dostali najwyższe między narodami powołanie, i nieprawda także, żeby nam rosły te skrzydła, o których mówi poeta.

Te blaski nadeuropejskiej cnoty, to nasza uczciwość względem drugich, to nasz brak zdrady, chciwości, i podbojów; byłby bez sumienia i bez czoła, ktoby przeciwko temu bluźnił i tego żałował. Te blaski jeszcze, to poświęcenie Jadwigi, to »Batorych hart, Żółkiewskiego zgon, Czarnieckiego trud, Sobieskiego europejski czyn«, to Ustawa 3-go Maja, to wreszcie po rozbiorach, wierność wszystkich, pomimo złego jakie może być w każdym z osobna, i zasługi, poświęcenia, cnota w życiu i w śmierci niektórych. Ale ten blask, którego nie godzi się przeczyć ani zasłaniać, nie jest nietylko przechrześcijańskim, ale i przeciętnego poziomu chrześcijańskiej cnoty nieraz nie dochodzi, a przyćmiony jest nieczystymi i brzydkimi wyziewami, które parowały i parują z nas zawsze jak

z bagna. Naród nadeuropejskiej cnoty nie byłby swojej korony wystawiał na licytację *plus offerenti*; naród nadeuropejskiej cnoty nie byłby losów swojej ojczyzny puszczał na wolę wszystkich wiatrów, przez *Liberalum veto* i zrywane sejmy; naród nadeuropejskiej cnoty nie byłby zrobił wojny kokoszej przez głupstwo, wojny Zebrzydowskiego przez dumę, wojny Lubomirskiego przez zemstę — naród nadeuropejskiej cnoty, nieszczęśliwy mniemany anioł poświęcenia i ofiary, byłby choć raz poświęcił swoje złe skłonności dla dobra ojczyzny, byłby zrobił ofiarę z dumy i ambicyi w możnych, z płochej podejrzliwości i zawiści w dawnej szlachcie i jej dzisiejszych następcach, z samolubstwa we wszystkich. Naród cnoty nie nadeuropejskiej, ale bardzo poziomej, niskiej, europejskiej, byłby o sobie myślał, byłby o sobie dbał: nie byłby dał swojej lampie zgasnąć, jak jedna z głupich panien paraboli, kiedy miał czem podsycać jej płomień. A Ewanielia wcielona przez nas pierwszych w ziemskie dzieje? kiedy — czy za dawnej Rzpltej magnackiej i szlacheckiej, rokoszej i kokoszej, za wojen kozackich i adskrypcyi, za konfederacyi wszelkiego gatunku, aż do Targowickiej? czy po rozbiorach, w Polsce dzisiejszej, już nie magnackiej ani szlacheckiej, ale nie lepszej, takiej samej! z tą różnicą że zamiast krzyków na sejmikach, ma krzyki po dziennikach, zamiast śpiącej i ogłupiałej nabożności ma nieśpiącą ale nie mędrszą bezbożność, zamiast dawnych prywat nowe, zamiast wojny kokoszej, płochy, występny, kokoszy prawdziwie i gęsi gwar stronnictw mniemanych, a zamiast takich czynów mądrości i patryotyzmu, jak rokosz Lubomirskiego, czyny patryotyzmu i mądrości takie, jak rok 46! I ten odmęt choćby dobrych chęci, ale krzywych pojęć, myśli niezdrowych, czynów lekko-myślnych zawsze, złych nieraz, a niekiedy brudnych, to ma być wcieleniem Chrystusa w świeckie dzieje?

Chyba szyderstwo — chyba mówimy to sobie tak, jak jemu mówiono »witaj Królu żydowski«, kiedy stał w purpurze i koronie, bity w twarz i oplwany, chyba w tem podobieństwo.

O gdybyśmy, którym nasi poeci tyle mówili, żeśmy Chrystusem narodów, gdybyśmy chcieli poprawić sobie ich naukę, a mniemane podobieństwo rozpoczęli od przypomnienia sobie, że ostatnie trzy lata nauczania i cudów, że ofiara Golgothy i chwała zmartwychwstania, nawet w życiu Tego, który był Bogiem, poprzedzone były dziesięć razy dłuższem życiem w Nazarecie, życiem skromności, posłuszeństwa, pokornej pracy w warsztacie cieśli, gdybyśmy tę skromniejszą epokę wziąć sobie chcieli za wzór, może byłoby nam lepiej. Gdybyśmy zamiast widzieć się w chwale Taboru i Wniebowstąpienia, chcieli być cieślami tylko i synami cieśli, może dziś z tej cieszki byłoby choć drzew kilka przygotowanych na zrąb naszej chałupy; może bylibyśmy nie głośnymi, zapomnianymi wyrobnikami tylko, ale wyrobnikami prawdziwymi. Dziś wyglądamy, jak biedny obłąkany żebrak w domu wariatów, który się ma za króla.

A jak nasza nad-europejska cnota, tak i to nie jest prawdą, żebyśmy nadziei mieli tak wiele, iżby nawet o nią prosić nie było potrzeba, jakoby nam rosły z ramion skrzydła zmartwychwstania. Skrzydeł tych, jak u Cherubinów, jest cztery, a nazywają się: siła, rozum, zacność, a ostatnie poświęcenie; a każde z nich składa się z piór wielu, między którymi jest wiara, praca, liczba, rozważa, wytrwałość, miłość, i najpiękniejsze z pewnością, jeżeli nie najpotrzebniejsze, czystość zamiaru i czystość uczynków. Czy my je mamy, te skrzydła? Nasze uczynki, nasze dzieje świadczą inaczej — a jeżeli zbyt boleśnie, może i zbyt surowo byłoby powiedzieć, że one są zupełnie złamane, to przecież i najbardziej zaślepiony, najzarozu-

mialszy musi przyznać, że choć tu i ówdzie świeci to lub owo piórko, to żadne z tych skrzydeł całem, dobrze porośniętem nie jest.

A więc *Psalm Dobrej Woli* jest kłamstwem? a więc cała poezya Krasińskiego, cała tak mozolnie w pocie czoła szukana prawda jego życia jest marnem złudzeniem? bańką wylęglą w poetycznej fantazyi i w sercu zbołałem, a przez to skłonny do złudzeń? A więc ten ideał ojczyzny i te wszystkie nadzieje to fałsz? a więc dalej nie wierzyć jemu, nie wierzyć niczemu i w nic? Więc nie słuchać go, a mocniejszego się trzymać pod jakąkolwiek formą i nazwą: dokonanego faktu, przemocy, albo rewolucyi, Katarzyny lub Pankracego, ale nie Krasińskiego, jego ideałów, jego złudzeń, mrzonek, i poezyi?

Byłoby drugie złe, gorsze jak pierwsze. Bo jeżeli Krasiński myli się w tem, co jest, to się nie myli w tem, co być powinno. Jeżeli nie ma prawdy, kiedy mówi: »Wszystko nam dałeś«, to ma prawdę, kiedy nam każe prosić o dobrą wolę; ma prawdę, kiedy mówi, że Bóg »bez nas samych nie może nas zbawić«, że »nie drugich śmiercią, lecz własną bezpłodnie kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie« — ma słuszność, kiedy mówi, że jeżeli zwrócimy się w tę przepaść

»co od początku złych i pysznych grzebie,
»na dnie jej sobie nicstwo pościelem —

ma słuszność, kiedy mówi, że »stać tu musim sami« i »wśród tego sądu sami zbawić siebie« — i ma słuszność, kiedy jako o podstawę i o warunek tego zbawienia każe nam prosić o »Dobrą wolę wewnątrz nas samych«.

Bo dobra wola, to właśnie to, czego nam brakło zawsze i dziś braknie; dobra wola, to rozum, którego nie było w wojnach kokoszych i w rokoszach, to sta-

tecność i wytrwałość, których nie bywało w naszych wojnach, ani w naszych sejmach, to sprawiedliwość, której nie było w naszych sprawach i w naszej organizacji społecznej, dobra wola wreszcie, to ten duch publiczny, ta miłość ojczyzny, większa od miłości własnej, której nie było u nas nigdy, przed rozbiorami ani po nich, w dawnej oligarchii magnatów i anarchii szlachty, czy dzisiejszej oligarchii i anarchii demagogicznej. Dobra wola, to rzetelność, praca, i dobry obyczaj w życiu prywatnym, to spokój i równowaga w życiu społecznym, to stateczność i jedność kierunku w życiu politycznym, to poprawa i odrodzenie poczęte w każdym z osobna sercu jednego człowieka, i ogarniające coraz dłuższym promieniem koło coraz szersze, aż w końcu ogarnie całość.

Możeż to być, żeby z założenia mylnego wyszła prawda jako wniosek? Są prawdy, jedyne prawdy rzeczywiste, które sobą zostają, z kądkolwiek je wywiedziemy. Gdyby ktoś dowodził źle, że dwa a dwa są cztery, czy przez to mylne dowodzenie prawda arytmetyczna przestałaby być prawdą? Podobnie jest z prawdami moralnymi i politycznymi. W dowodzeniu Krasieńskiego są błędy — nadzieja nie sypie się dziś jak kwiat, tak jak dawniej blaski naszego panowania i naszej cnoty nie były tak czyste, tak jasne, jak on je widział. I cóż ztąd? czy dlatego powinniśmy resztę tych blasków przyćmiewać i gasić? czy dlatego, że w przeszłości, a i w teraźniejszości, niestety nie wszystko w nas czyste i piękne, mamy się brukać i szpeciść, zamiast się czyścić i bielić? To dopiero byłaby konkluzja fałszywa. Nie, nie dla tego, żeś nam dał wszystko co dać mogłeś, nie dlatego, że nam rosną skrzydła zmartwychwstania, a nadzieja jak kwiat się sypie, nie dlatego, jakobyśmy jaśnieli jakąś nadeuropejską cnotą — ale dlatego właśnie że tak nie jest, dlatego, że coś nam dał, to zmarnowane i strwonione,

dlatego, że tej cnoty tak mało, te blaski tak przyćmione, że te skrzydła tak z piór odarte i obwisłe, że żadne z drzew około nas nie ma się na kwiat nadziei, i dlatego, że »przepaść, śmierć wieczna pnie się, wzdyma, rośnie, ku nam zmierza« — dlatego tem bardziej, dlatego tem głośniej, dlatego całą mocą naszego nieszczęścia, z całej głębi naszego upadku

Błagamy Ciebie Ojczy, Synu, Duchu,
 Błagamy Ciebie daj nam serce czyste,
 Odnow w nas zmysły, z dusz wyleń kłakole
 Żłud świętokradzkich, i daj wiekuiste
 Wśród dóbr swych dobro — daj nam dobrą wolę.

A wtedy,

Gdy rozgrzmi się już sąd Twój w niebie,
 Ponad lat zbiegłych wielu tysiącami.
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Wśród sądu Twego, samych wskrześcić siebie.

Tak trzeba czytać *Psalms Dobrej Woli*, tak go rozumieć, tak się modlić jego słowami, i tak go w życiu stosować, a wtedy, choć nie jest prawdą, że wszystko nam dałeś co dać mogłeś Panie, wtedy ta prawda niemylna i nieodmienna jaka w nim jest, że przez dobrą wolę można nabyć wszystko czego się nie ma, wtedy stanie się ona nietylko absolutną prawdą w abstrakcyi, jaką jest, ale widomą i wcieloną prawdą w rzeczywistości.

Oto jest afirmacya *Psalmsów*, oto w najprostszym wyrazie prawda całej poezyi Krasińskiego i całego jego życia. A jeżeli była potrzebna wtedy, po roku 1846, w chwili wielkiej klęski i rozpacz, kiedy zła wola wydała złe skutki tak obfite i tak widoczne, jeżeli wtedy była ona dla wielu, a była w istocie, pociechą, oparciem, tarczą przeciw zwątpieniu, to nie mniej, może więcej potrzebna jest dziś, wśród nieszczęść większych, wśród rozbicia straszniejszego. A jak się dziwimy Krasińskiemu i liczymy mu za zasługę,

że to słowo wiary i odwagi wy dobył z siebie w czasach, kiedy one zniknąć miały prawo, tak powinniśmy z niego brać naukę i przykład, przeciągać jego zasługę, krzepić się jego słowem. Bo jest w nim zawsze ta siła odżywcza, a od nas zależy, żeby się w niem znalazła i siła skuteczna, siła zbawcza. Znajdzie się ona wtedy, kiedy to słowo przestanie nam być tylko kordyalem w omdleniu, pociechą w smutku, źródłem nadziei w ucisku, i tarczą przeciw rozpacz, ale kiedy tem wszystkiem być nie przestając, stanie się dla nas zarazem i prawidłem życia.

Że *Psalm Dobrej Woli* jest najpiękniejszym Krasińskiego wierszem, że nigdy jego natchnienie nie przemówiło z większą potęgą, z większym majestatem, to rzecz dawno znana i dowiedziona. Sam *Przedświt* blednie; tam są całe ustępy słabsze i cięższego lotu; tu za ledwo znajdzie się parę słów, któreby się zmienić chciało, mianowicie ołowianej wagi czasownik *ewanielicznyć*. Plamy na słońcu tem widoczniejsze są, że słońce jasne; udawać, że się ich nie widzi, nie zdałoby się na nic, a słońce pomimo nich słońcem być, grzać i świecić nie przestanie. To słońce jest prawdziwe, jasne i ogrzewające, życiodajne jak małe. Głos publiczny, upodobanie powszechne, stawiać się zdaje najwyżej ustęp Bogarodzicy, klęczącej na chmurach z dwoma kielichami w ręku; a zwłaszcza ten, może jeszcze piękniejszy, który się z nim łączy i przechodzi w ostatnią modlitwę zakończenia.

Do wróżb i nadziei *Przedświtu* mają się *Psalm*y, mianowicie dwa najważniejsze: *Miłości* i *Dobrej Woli*, jak moralność do wiary, jak katechizm do Ewangelii; to tłumaczy ich konieczność; to tłumaczy, dlaczego bez nich poezja Krasińskiego, jego zawód i czynność, jego rola, nie poetyczna tylko w literaturze, ale polityczna i moralna w historii jego narodu, nie byłyby zupełne; — to także powód, dlaczego po *Psalmach*

poezya jego mogła umilknąć. Cała poświęcona jednej myśli, jednej missyi, spełniła tę missyę, kiedy tę myśl wyprowadziwszy z przeszłości, ukazała jako Przedświt przyszłości, a zarazem ukazała w przystosowaniu do chwili dzisiejszej, kiedy powiedziała, jak do światła tego przedświtu dążyć. Mogła więc skończyć; i istotnie, choć Krasiński jeszcze po ostatnim *Psalmie* pisał, przecież — w naszym uczuciu i sądzie, te rzeczy późniejsze są podrzędnymi dodatkami tylko — *Psalm Dobrej Woli* wydaje nam się ostatniem słowem tej poezyi w obu znaczeniach tego wyrażenia.

A przypomnieć trzeba, że jest zarazem ostatniem t. j. najpóźniejszym słowem naszej wielkiej poezyi, i ostatniem, to jest najwyższem, naszej poezyi patryotyczno-proroczej, wieszczej. W kilka miesięcy po wydaniu tego *Psalmu* umierał Słowacki, który w ostatnich latach błąkał się w messyanizmie i mistycyzmie i nic pięknego już nie pisał, Mickiewicz milczał od dawna i na zawsze; Krasiński odezwał się jeszcze parę razy, ale rzadko tylko i urywkowo. Wielka epoka naszej poezyi, otwarta w r. 1822 przez *Grażynę* i *Dziady*, zamyka się w r. 1848 *Psalmem Dobrej Woli*. Ten przeciąg lat obejmuje w sobie wielką i ważną część naszego porozbiorowego życia, którego różne koleje i zmiany odbijają się w tej poezyi. Zrazu to na gruncie rzeczywistości narodowego życia, uczucie narodowe coraz silniejsze, coraz gorętsze, dążenie do niepodległości coraz gwałtowniejsze, siły życia i siły uczucia idą w górę: — to na polu wypadków w złą porę podniesiona, ale jędrna wojna roku 1830, na polu poezyi Mickiewicz. Potem warunki życia zmieniają się okropnie, z obiecujących stają się straszne; w kraju Mikołaj, na emigracyi wszystkie zarody społecznego rozkładu. Uczucie narodowe w tych warunkach nie słabnie, owszem wzmagą się; ale się wzmagają siłą nerwową, chorobliwą. Przez ogrom cierpienia wpada

w mistycyzm, wyteża się całe na niedostępne ludziom przeczucie, przewidzenie przyszłości. Z tego natężenia Mickiewicz wpada w mniemanie prorocstwa, sądzi mieć objawienie od Boga. Krasiński, wyteżony w tym samym kierunku, utrzymuje go w większej trzeźwości. Naturalnie o zupełnej jasności i trzeźwości mowy być nie może tam, gdzie człowiek przeczuwa i tłumaczy zakryte sobie zamiary Boga. Ale trzeba było takiego umysłu badawczego i logicznego jak on, żeby w tym mistycyzmie samym zachować tyle jeszcze ścisłości i trzeźwości; trzeba było wiary religijnej bardzo utrwalonej i stałej, żeby z mistycyzmu nie przejść w mniemane objawienia. To też ten kierunek przyszłościowy i wieszcz, który Mickiewicza doprowadził do wizji (w *Dziadach*), a do złudzeń i błędów w messyanizmie, u Krasińskiego pomimo niektórych złudzeń, pomimo »Chrystusa narodów«, pomimo »wszystko nam dałeś«, jest jaśniejszy w swoich wywodach, a prawdziwszy w swoich konkluzjach, bo skierowany zawsze do kwestyi praktycznych, do moralności politycznej; on obiecuje wiele, ale warunkowo. A kiedy doszedł wreszcie do tego, co miał za prawdę dziejów i to wypowiedział w *Przedświcie*, wtedy złe, jątrzące się oddawna, pękło, objawiło się rzezią, a zostawiło na długie lata zarody nienawiści i rozkładu. Jak rok 1831 był klęską polityczną, tak r. 1846 był klęską społeczną — nieszczęście było zupełne. Co potem jeszcze zostało! nic, tylko porządek moralny do ratowania po upadku tamtych dwóch; i w istocie na tem polu jednym, tamtych dwóch można było bronić i starać się je odzyskać. To wskazała poezja Krasińskiego w dwóch ostatnich *Psalmach*; uwierzyła sama i kazała wierzyć w przyszłość, ale kazała prosić o dobrą wolę. Odbyła więc z narodem cały ciąg dziejów od 1831 do 1848 r.; ciągle w tę jedną stronę przyszłości zwrócona, była poezją przyszłości stałej i stateczniej, jak poezja Mi-

ckiewiczza; przeprowadziła swoją myśl konsekwentniej, począwszy od wywodów historycznych, skończywszy na przystosowaniu praktycznem, była od tamtej trzeźwiejsza, zupełniejsza, i w swoich konkluzjach trafniejsza. Zbytecznie mówić, że była, z wyjątkiem Mickiewiczza jednego, poezją najwyższego w Polsce natchnienia. Wszyscy inni z niej czerpali, z niej pożyczali myśli, uczucia wiary i nadziei. I dlatego, czy Krasiński miał słuszość, czy się mylił, w to nie wchodząc, można twierdzić śmiało, a raczej twierdzić trzeba, że jak *Widzenie* ks. Piotra było pierwszym słowem naszej poezyi patryotycznej i przepowiadającej, wieszcej, tak jej słowem ostatniem i najwyższem jest poezya Krasińskiego, a mianowicie *Psalm Dobrej Woli*.



ROZDZIAŁ XI.

OSTATNIE PISMA I LATA.

I. Koniec roku 1848. Wiersz Vindobona. Sąd o wypadkach. O stanowisku Polski względem wojny węgierskiej. O jej ogólnym stanie i przyszłości. List do hrabiego Mastai. Upadek zdrowia. Mieszkanie w Heidelbergu i Badenie. Śmierć Słowackiego. Zima z roku 1849 na 50 w Warszawie. Powrót do Niemiec. Zmiana w usposobieniu. Życie rodzinne. Żona. Choroba syna. Przyjaciele. Włodzimierz Czacki. List o Czajkowskim. Drugie cesarstwo we Francji. Zima 1851—52 w Rzymie. II. Początki *Niedokończonego Poematu*. Jego znaczenie. Powody jego błędów. Treść. Aligier. Piekło i czyściec dni dzisiejszych. Księżna Rahoga. Pasma dziejów i ich wykład. Starożytność. Chrześcijaństwo. Przyszła epoka. Pankracy i Aligier. Piękności, usterki, trwała wartość poematu. III. Wiersz do Elizy. Inne wiersze do żony. Trzy miłości w życiu Krasińskiego. Ich różny charakter. Miłość żony. Poezya miłosna Krasińskiego. Jej cechy i stanowisko w literaturze. Glossa św. Teresy. *Resurrecturis* IV. Przewidywania wojny Wschodniej. Zima w Warszawie. Urodzenie drugiej córki. Wojna i nadzieje. Memoryał dla Napoleona III. Śmierć Mickiewicza. Jego pogrzeb i list Krasińskiego o jenerale Zamojskim. Kongres Paryski. Nowa polityka Rosyi. Jej niebezpieczeństwo. Zima w Paryżu. Lato 1857 w Potoku. Śmierć córki. Wpływ na zdrowie. Ostatnie wiersze. Ostatnie listy o Polsce. Pobyt w Plombières. Napoleon III. Cavour. Postęp choroby. Zamierzona podróż do Algieru. Śmierć ojca. Ostatki życia i zgon.

I.

Koniec roku 1848. Wiersz Vindobona. Sąd o wypadkach. O stanowisku Polski względem wojny węgierskiej. O jej ogólnym stanie i przyszłości. List do hrabiego Mastai. Upadek zdrowia. Mieszkanie w Heidelbergu i Badenie. Śmierć Słowackiego. Zima z roku 1849 na 50 w Warszawie. Powrót do Niemiec. Zmiana w usposobieniu. Życie rodzinne. Żona. Choroba syna. Przyjaciele. Włodzimierz Czacki. List o Czajkowskim. Drugie cesarstwo we Francji. Zima 1851—52 w Rzymie.

Przyszła tymczasem jesień roku 1848. Wypadki rozwijały się dalej, a smutno. Na ziemi polskiej rozruchy, łatwo stłumione, skończyły się prędko. Ale w Paryżu anarchia wciąż usiłowała wziąć górę, aż doprowadziła przez prezydencję księcia Ludwika Bonapartego, do rządów osobistych na wojsku opartych, w dalszem następstwie do cesarstwa. We Włoszech wojna Sardynii z Austryą, a Rewolucya panująca i tryumfująca w Rzymie. Na Węgrzech wojna, a w Wiedniu rewolucya, i wojska cesarskie idące na zdobycie cesarskiej stolicy. Zarody dobrego, jakie w ruchu ówczesnym być mogły, nadużyte, wyzyskane i zmarnowane przez rewolucyjne siły, a zagrożone stłumieniem i niszczeniem przez reakcyę despotyzmów rządowych. Walka dwóch potęg złych; a jej koniec, zwycięstwo jednej czy drugiej strony, musi być nowem złem i nieszczęściem dla świata. Nadzieje, jakie w początkach owego roku i ruchu, mimo obaw i złych przeczuć, utrzymał

Zygmunt Krasiński II.

mywały się czas jakiś, musiały runąć. Teraz już jasnym było, że nie wolność, nie sprawiedliwość, nie postęp świata wyjdzie cało i zwycięsko z zamętu zdarzeń, ale to właśnie, co w jednej czy drugiej formie jest ich wiecznym przeczeniem i wrogiem. Kto zaś najprawdopodobniej wyjdzie na tem dobrze i zyska? Ta siła, która jedna nie zachwiała się w tych wypadkach, a przez zachwianie wszystkich innych silniejszą się stawała — Rosya.

Nieprzyjaciel rewolucyi i nieprzyjaciel takich rządów jakie podówczas były, uważający je za dwa różne kształty tegosamego ducha i pierwiastku, wyznawca i sługa najzarliwszy postępu i porządku pod Bożem prawem, i wedle Bożej myśli, Krasiński, widział w tym obrocie zdarzeń spełnienie wszystkich swoich złych przewidywań, odwłokę, na całe może nowe okresy historyi, spełnienia swoich nadziei. Sposępniał też jeszcze bardziej (jeżeli to być mogło). Sprawiedliwości nie mógł nie widzieć i nie uznawać w tem co się działo; ale to dopiero »nowe zbrodnie przychodzące karać dawne«, i dawne wracające żeby nowe ukarać. »Iskry z czarta kuźni nie przepaliły jego mocy« tylko jak poeta przestrzegał, »w gorszą noc świat wepchnęły«. Kiedy w tej nocy ukaże się jaki brzask? kiedy zaniesie się nie już na zwycięstwo dobrego, ale tylko, na świadomość, że tylko ono prawdziwie zwyciężyć jest zdolne?

W tej goryczy pisane są (nieliczne) z tego czasu wiersze. Ten bez tytułu naprzykład, którego każda zwrotka kończy się słowami »nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje« — i wspaniała w październiku roku 1848 pisany wiersz *Vindobona*; tem dziwny, że uczucie historycznej sprawiedliwości, kary spadającej na Austryę za grzechy przeszłości, nie miesza się z żadną choćby najbardziej usprawiedliwioną namiętnością.

Jaki zaś jest u tego poety zmysł i rozum polity-

czny, to daje się dobrze poznać w tym czasie właśnie i po jego sposobie pojmowania spraw austriackich i ich stosunku do Polski. Ma on do Austrii nienawiść, jako do jednego z państw rozbiorowych; prócz tego ma do niej wstręt, jako do państwa (podówczas) despotycznego i policyjnego, i do tej polityki tradycyjnie nieśmiałej, zbyt ostrożnej, którą Austria wiele razy w historii drugim i sobie szkodziła. Nad temi uczuciami wszakże bierze u niego górę rozum, który mu wskazuje interes Polski albo jej niebezpieczeństwo; i wojnie w węgierskiej, kiedy uczucie i opinia całej Polski stoją po stronie Węgrów, kiedy do ich wojska idą tłumnie ochotnicy polscy w najszczerzem przekonaniu, że swojej sprawie służą tem najlepiej, Krasiński jeden upomina i tłumaczy, że osłabienie Austrii musi w nieuniknionem następstwie obrócić się na korzyść Rosyi i torować drogi przed jej panowaniem, przed pansławizmem. Jenerałowie i oficerowie z emigracyi prawie wszyscy pośpieszyli do Węgier; książę Adam Czartoryski, jeżeli ich nie zachęcał, to przynajmniej nie wstrzymywał. Jednym, który próbował wstrzymać, był Władysław Zamoyski, z tychsamych co i Krasiński powodów. Stanisław Małachowski, oficer z roku 1830, a zapalny i do porwania łatwy, widocznie wybierał się także; sądził, że tam, na Węgrzech, jego miejsce i jego powinność. Wtedy zatrzymuje go Krasiński. Oto, co pisze z Badenu 5 grudnia 1848.

»Nie łącz się sam, ni komu nie radź też, by się łączył z Węgrymi!... Ktokolwiek w tej chwili żąda rozbicia zupełnego, ostatecznego austriackiej monarchii, krótkowidzem jest i ściele drogę Moskwie! Narody składające Austrię, samopas puszczone, bez związku dynastycznego, takowym ludom młodemu potrzebnemu, wpadłyby w chaos, a po chaosie w wynik chaosu wszelkiego, w niewolę! Jeśli carowi kto sprzyja, niech idzie się z Węgrymi łączyć, bój albowiem węgierski

»niczem innym, tylko otwieraniem wrót europejskich
 »carowi. Polska zaś powinna sprzyjać Słowianom au-
 »stryackim, ale w taki sposób, by nie ich błażnicą,
 »lecz ich została królową; na to, nie powinna z ich wro-
 »gami śmiertelnymi, z Węgry i Kossutem, trzymać,
 »owszem powinna im pomódz do przekształcenia Au-
 »stryi na słowiańską... Idzie albowiem o utworzenie
 »anti-moskiewskiej federacyi plemion słowiańskich, na
 »której mogłaby oprzeć się Polska, jedyna dotąd re-
 »prezentantka Słowiańszczyzny anti-moskiewskiej«.

Myśl tasama powtarza się wiele razy w jego
 ówczesnych listach, i łączy się naturalnie z sądem
 o ogólnym stanie Polski, z przewidywaniem przyszło-
 ści koniecznie złej w czasie blizkim, lepszej kiedyś
 dopiero, późno, po gorszych jeszcze klęskach i upad-
 kach. Dwie potęgi napozór sobie przeciwne, na pra-
 wdę tejsamej natury, rewolucya i państwo na pogań-
 ski sposób pojęte i działające, choć z sobą wojujące,
 jej zarówno połączonemi siłami zgubę gotują; a ona,
 kiedy z własnego chrześcijańskiego stanowiska scho-
 dzi, a przechodzi na jedno z tamtych, pomaga tylko
 do własnej zguby, własnemi rękami kopie pod sobą
 przepaść, i »na dniu jej sobie nicstwo pościele«. Ta-
 kie pojęcie rzeczy wyłożone jest wiele razy i bardzo
 dokładnie w listach; przytaczamy niektóre z nich, naj-
 wyraźniejsze, ustępy.

(Do Małachowskiego, 26 listopada 1848). »Wszy-
 »stko to, co ty mówisz, pozornem tylko; to frazesa, bo
 »nawet i tego niema, by *czerwoni* mieli być mniej
 »oświeconymi, zatem mniej winnymi od tamtych czar-
 »nych! *Nego majorem*, bo *czerwoni*, powiedz mi czy
 »to lud? Właśnie, że nie lud, jedno menerowie ludu!
 »Lud nieoświecony, a zatem niewinny, tylko *środkiem*,
 »*narzędziem*, *orężem* ich, *kartaczami* ich; oni zaś
 »sami oświeceni, a zatem i winni, zarówno winni, jak
 »tamci *czarni* reakcyjni, bo zarówno oświeceni, nawet

»bardziej, sami tak głoszą, że bardziej. Spytaj się Proud-
»hona, czy się nie ma za mędrszego od Buganda?
»Spytaj się ateistów niemieckich, czy się nie mają za
»filozoficzniejszych od Windischgraetza lub Wrangla?
»Lud właśnie dla tego, że niewinny i nieoświecony,
»takim straszmem jest narzędziem w ręku tych *oświe-*
»*conych szkarłatnych*, bo nim rządzą, jak elektry-
»cznymi prądy i puszczają go w świat, jak lawę; a na
»to, by *lud* się ten rozjudził i rozzwierzęcił i do mordu
»doszedł, kłamią mu, pychę w nim rozbudzają, sami
»cichaczem nim gardząc i kpiąc zeń, bo im, tym oświe-
»conym, tym menerom, chodzi o władzę i przemoc
»i gwałt. Z obu stron więc widzę oświeconych: jedni
»mają kartacze, drudzy używają za narzędzie lawę, ele-
»ktryczność, ocean, powódź ludową. Powiadam, że dru-
»dzy niebezpieczniejsi i gorsi! pierwsi albowiem, żeby
»i pragnęli całym sercem, nigdy absolutyzmu nazad nie
»wprowadzą do Europy, nie sposób; drudzy, gdyby
»się im udało, a może się udać, prędkoby ujrzeni się
»z radykalizmu i ateizmu przeprowadzonymi do ko-
»munizmu i rozwiązy społeczeństwa ludzkiego, do bar-
»barzyństwa! Ócz nie posiada, kto nie widzi tego.
»Największym błędem ludzi jest myśleć, że na tem
»się *kończy*, czego oni *pragną*; nigdy — kończy się
»zawsze na *tem*, czego oni nie *widzą* i nie *pragną*.
»W ruchu, w którym *radykalizm* poczyna, nie on, ale
»komunizm kończy.

»Tom wyrzekł, jako człowiek, teraz mówić będę
»jako Polak. Demagogią zginęła Polska; tem się nie
»wstaje z grobu, czem się doń wstąpiło. Demagogia
»najśmiertelniejszym wrogiem Polski, bo pierwiastek
»demagogiczny jest pierwiastkiem rozdziału, rozbioru,
»niszczenia; my potrzebujem spójni, zgody, skupienia.
»Ilekroć więc łączym się z elementami demagogicznymi,
»nonsens popełniamy logiczny: czynim jak człowiek,
»któryby chorobę pomnażał wroga swego, a zaraźliwą,

»tak, że w końcu dostałby jej sam i umarł z niej; pię-
»knieby wyszedł. Kossut jest jednym z tych menderów
»niepoczciwych, a bardzo oświeconych, o których wy-
»żej wspomniałem: śni mu się korona lub prezyden-
»tura węgierska; terrorystą z natchnienia i potrzeby
»źle pojętej jest, a w końcu i z natury, bo są ludzie,
»co się rodzą tygrysami! Z nim się łączyć Galicyi było
»tyle, co chceć nowej rzezi w ostatecznym wyniku,
»a w końcu końców komunizmu. A wiesz czego na-
»reszcie, gdyby Kossut mógł zwyciężyć? Oto wciele-
»lenia do Węgier, i gorszego w nich zniknięcia, po
»rzezi i komunizmie odbytym, niż w Austrii, która
»nikogo pochłonać nie potrafi«.

»Wiesz, chcesz wiedzieć ostateczne zdanie moje?
»Oto w istocie piekielny zawrót mózgowy, zaraza
»umysłowa, z pychy i grzechów wielu rodem, owiała
»Europę, klęsk nieskończonych wisi chmura nad nią.
»My Polacy, jak dzieci spartańskie, powinniśmy pa-
»trzeć na europejskich wichrzycieli, jak na pijanych
»Ilotów, i zbrzydzić sobie anarchią! a wtedy na rui-
»nach świata odnaleźlibyśmy się jednym zacnym na-
»rodem, i wtedy wszystkie potęgi piekielne, czy te
»czy owe, przełamali! Szlachty obowiązkiem *demokra-*
»*cya*, to jest podniesienie ludu, ale to czynem; nie zaś
»*demagogia*, gębą, wrzaskiem«.

»Całą sztuką dla tych, co chaos chcą przetrwać i na
»drugiej stronie jego odżyć: podczas niego utrzymać
»się przy społecznym węźle, nie rozpaść się wewnę-
»trznie, nie rozłożyć się chemicznie; bo kto się pod-
»czas chaosu rozłoży tak, ten nie wyjdzie zeń ani cały,
»ani żaden — zaginie! Kiedyś o nim będą piosnki może
»śpiewać, ale już on po ziemi chadzać nie będzie,
»i niczyje oko śmiertelne go nie obaczy! Smutno mi
»bez miary, smutno dla wszystkich, których kocham,
»smutno dla całej ludzkości. Wszystko zda się, przy-

»sięgło sobie, że miłą jest rzeczą samobójstwo, byleby
»się wykrzyczeć przed zgonem«.

(Do Trentowskiego 5 października). »Póki dema-
»gogii, póty ojczyzny nie będzie! Wszystkie frazesa
»próżne. Dom w sobie rozdzielony nie może zwycię-
»żyć! Bogobojnych uczy słowo Boże, rozumnych i mą-
»drych rozważa *a priori*, dzieci zaś uczy tylko empi-
»ryczne doświadczenie o nożu że kraje, o ogniu, że
»pali, o dziejach, że w nich władza Opatrzność a nie
»głupstwo i znarowione chęci! Centralizacya jeszcze
»nam klęsk spuści potop, nim się przekona sama, że
»nie trafi nigdy do celu. Zelatory to hebrajskie!

»Smutno mi nadzwyczaj, ale darmo, na ostatniej
»desce rozbitego okrętu jeszcze wołać będę: »Polska
»a zacność, Polska a bożoczłowiecza cnota«; i jeżeli
»trzeba się zatopić, zatopię się tak, a wiem i wierzę,
»że choćby nikt już na oceanie nie był widnym, jedno
»pustynia wód, z fal wstaną, z piany morskiej wstaną
»w tchu Bożym prawi Polacy i krzyk ten wznowią!
»I będzie Polska, będzie i wielka, i święta mimo mi-
»styki i demagogi i Jezuity i t. d. i t. d. Będzie —
»lecz może, jak ci mówię, na onych dopiero bałwa-
»nach, pod którymi my leżeć będziemy, życia obarczeni
»smętnem wspomnieniem i ciężarem dyszących głębi
»pod nami! Amen«.

(Do Trentowskiego). »Równością nienawiści wielką
»i miarową nienawidzę i czarnych i czerwonych bo mam
»ich zupełnie za to samo. Tak dalece są *temsamem*, to jest
»złem szatańskim uosobionem w ludziach, że jedni dru-
»gich wiekuiście płodzą i tak sobie koniecznie odpowia-
»dają, jak akkorda logicznie następne w generał-basie.

»I ja też, jako ty czuję, że chciałbym się zamknąć np.
»widnokręgiem Tebaidy jakiej, i żadnego brudu się ni-
»gdzie nie dotknąć! Ale, ale prawdziwe Boże człowie-
»czeństwo, to żyć śród brudu, działać śród brudu i zbro-
»dni, a nigdy samemu się nie skalać ni przerażeniem, ni

»wściekłością uniesienia. Jeden tylko Chrystus na tym
»planecie absolutnie tak żył, tego dopełnił, po tem po-
»znaję, że Bóstwo w nim! O partye! o fakcye! o brak
»poświęcenia! o pychy ludzkie! o próżności i krew-
»kości koło władzy i sławy! o chciwostki i drapie-
»żności! o ojczyzno zapomniana! o ludzkości nie po-
»stawiona jeszcze! o honor zapomnian a cnota nie po-
»wstała jeszcze! a więc i bez ojczyzn i bez ludzkości,
»i bez honoru i bez cnoty! To dzień dzisiejszy! pra-
»wdziwie diabeł w społeczeństwie! a to powiadam ci,
»wszystko dopiero początki *boleści!* Wierz mi, ludzie
»wołać będą do pagórków i skał »obalcie się na nas
»i dajcie zgon«, a nie będą mogli zginąć i patrzeć będą,
»co to za skutki, gdy do Królestwa Bożego biorą się
»ludzie hipokryci, znający tylko imię królestwa tego,
»tem imieniem poruszający planetarne potęgi, bo na
»to imię wszechstworzenie musi się wzruszyć, a nie
»nieumiejący potęg tych prowadzić i stroić, bo bez
»cnoty są sami, a tylko cnota temi potęgi rządzi!«

(Do Trentowskiego 3 grudnia). »Mamy robaka
»nieśmiertelnego w sobie, robaka, który nas wewnątrz
»toczy, i dopóki się odeń nie uwolnim, daremne będą
»wszystkie nasze zachody na zewnątrz! Człowiek w so-
»bie krajany i otruwany, nie może zamachów rzeczy-
»wiście dzielnych wymierzać przeciwko drugim lu-
»dziom! Wrogi nasze używają demagogii naszej jako
»najsprężystszego środka zguby dla nas, i kiedy ją
»wpuszczają do kraju, bądź pewny że nie na to, by
»sentymentalnie wygnanych witali ziomkowie, ale na
»to, by tych ziomków do reszty zanękali ci panowie!
»Ojmy nieobaczni! o wszystkim rozprawiacze, tylko
»nie o tem, że należy o Ojczyźnie Polskiej mało ga-
»dać a działać, nie rozprawiać, ale wziąć się do po-
»rządku! O my biedni! wszystkich odwag bohaterzy,
»prócz jednej, prócz odwagi obywatelskiej; pójdziem
»Wiednie i Berliny barykadzić, a u siebie nie rozde-

»ptamy hydry! Drugich leczyć chcemy, a sami ko-
»namy! światu przynieść wolność, a samiśmy niewol-
»nicy, i to nie tych Trzech, bo ci Trzej to już Bóg
»sobie z nimi radzi i poradzi, ale nas samych niewol-
»niczyśmy własni swoi! Dopóki demagogii stanie, do-
»póty Polski nie będzie!

»W Rzymie »obrzydliwość spustoszenia na świę-
»tem miejscu«, jako w piśmie stoi! Całe miasto radu-
»jące się bezczelnie, to jest pozwalające się radować
»bezczelnie niegodziwej mniejszostce terrorystycznej, po-
»nad trupem zamordowanego Rossego, człowieka zna-
»komitego w europejskich dziejach tego stulecia! Co
»za ubytek zmysłu moralnego! Potem szturm przypu-
»szczony do pałacu bezbronного starca, który ich bło-
»gosławieństwami obsypał i tylko dobro przyniósł.
»Sterbini, zabójca, ministrem ogłoszon, i tryumfalnie
»nad ciałem zamordowanego poprzednika. Jak to bez-
»dennie pogańskim! niechrześcijańskim! Wierz mi,
»to stronnictwo podziemne, rozgałęzione wszędy,
»wszędę do mordu powołujące lud, i tylko gwałtu się
»domagające, zepchnie ludzkość z wstępnego toru,
»jeśli wprzód go Bóg sam gromami swemi nie rozdru-
»zgoce w proch! Ludzkość XIX wieku w niebezpie-
»czeństwie!«

(Do Trentowskiego z 10 stycznia 1849). »Nie wiem
»jeszcze kiedy wyjadę, chorym i smutnym jak ty!
»Tyle klęsk widzę przed oczyma; tyle szyderskich
»śmiechów szatańskich słyszę, poprzedzić mających
»uśmiech anielski na ustach wybawionej ludzkości;
»tyle dni i lat spostrzegam, dzielących nas jeszcze od
»królestw Bożych na ziemi; taki wiew mroźny zala-
»tuje mnie od lodów Sybiru, taki znów krwią prze-
»pachły od zachodnich rozstrojów: że czasem, by nie
»rozpłakać się łzami ócz, muszę klęknąć i rozpłakać
»się łzami duszy — to jest modlić się do Boga!«

A po tem wszystkim taki gorzki zwrot do siebie

samego, do daremności i marności prac całego życia, choć w nich była słuszność, i prawda, i miłość rzetelna, zupełna, czysta.

»Ach! wołałem, wołałem, wołałem! Kto mię słuchał, kto usłucha? Jednym próżność w sercu, drugim strach! trzecim pijaństwo! zaraza! umysłowy odskok od wszelkiej cnoty i zacności! poprostu zwaryowanie! Darmo, darmo! Świat dopiero się przebudzi, gdy skona pod karą Bożą! Wtedy dusza świata pocznie płakać i mówić: »a gdzieżem ja, gdzieżem, cóż się stało zemną, zem taka naga i w ciemności zapadła — o Boże mój, co to jest!« Wtedy to się stanie, gdy już społeczeństwa nie będzie na ziemi! gdy zwilczeją i ztygrysieją ludzie! gdy co zacność, cnota, piękność, wspaniałomyślność, litość, niepojętymi pojęciami się staną, przecież to metafizyką niezrozumianą dla zwierząt! O Boże, Boże święty! daj, by Polska Ojczyzna była korabiem na falach nowego potopu! Trzy były potopy: Jeden natury: woda. Drugi z ludzi dzikich złożon: barbarzyńcy. Trzeci będzie z idealnych pomyłek, z umysłowych obłąkań, ateizm, mężobójstwo, i pycha«.

W takim uczuciu, kilkoma laty pierwej, skarżył się Kajsiewicz, że już mu »życie się przykrzy, głos mu zachrypl, i ścierpły mu szczęki od daremnego upomnienia« — W takim uczuciu przed dwoma i pół wiekami wołał Skarga: »cóż mam z tobą uczynić nieszczęśliwe królestwo!«

W początkach roku 1849 list do hrabiego Mastai, synowca Piusa IX, z którym znajomość musiała być zażyłą, skoro Krasiński udaje się do niego ze swojemi najgłębszemi myślami i pragnieniami. Papież jest w Gaecie. Widocznie są jakieś pogłoski o jego zamiarze (mniemanym) wyjazdu z Włoch, bo Krasiński przestrzega i zaklina, żeby tego nie robił. Ale prócz tego podaje mu myśl inną: oto Papież powinienby

zwołać Sobór Powszechny, zwołać go do Rzymu, a na nim powiedzieć prawdę wszystkim, i rządowi i ludowi. To postawiłoby Papieństwo na świecie i nad światem jako najwyższą i jedyną duchową potęgę.

Myśl piękna. Tylko Papież nie mógł zwoływać Soboru do Rzymu, dopóki w Rzymie panowała rewolucja, która i jego i wezwanych biskupów byłaby uwięziła, albo i zgładziła.

Smutki nie mogły nie odbić się na zdrowiu Kraśńskiego: coraz też ono gorsze. Dla bliskości lekarza, do którego miał zaufanie, Cheliusa, dla ustronnego życia w ładnym i miłym kraju, lubi teraz Kraśński przebywać w W. Ks. Badeńskim, w Heidelbergu (przy lekarzu), albo w samym Badeniu. Tam ściągają przyjaciele i krewni, żeby go staraniem otoczyć, pocieszyć, rozerwać; ale i tam spokojnie przebywać nie można. W Badeńskim rewolucja, w ślad za nią wojsko pruskie; ledwo skończyła się zima roku 1849, musiał poeta z żoną i dziećmi chronić się przed zaburzeniami do Szwajcaryi. Tu, w Bernie, znowu choroba tak ciężka, że go z sił wyniszczyła, zgarbiła, do starości przedwczesnej zbliżyła; a gdy się spodziewał i zdrowie przy pomocy Cheliusa poprawić i spokojnie siedzieć w okolicy którą lubił, stanął mu na przeszkodzie cesarz Mikołaj. Przedłużenia paszportu odmówiono; trzeba było wracać do Warszawy.

W ogóle z tego roku 1849 listów niewiele, a te co są, zwykle niedługie: choroba zapewne była tego przyczyną. Wzmianki w nich częste o Papieżu w Gaecie i o rewolucyi w Rzymie, o wojnie węgierskiej (z takim uczuciem i przekonaniem, jakie widzieliśmy wyżej); wzmianki niechętne raczej, ironiczne, o Prezydencie Rzeczypospolitej francuskiej księciu Ludwiku Bonaparte. O Towiańczykach i Towiańskim cokolwiek, niechętnie; a tu i ówdzie wtrącone imię Mickiewicza; oto podobno wszystko, co się w ciągu tego roku znaj-

dzie. Z jednym tylko dodatkiem. Na wiosnę, 3 kwietnia, umarł Słowacki. Smutno i rzewnie wspomina Krasiński o tej śmierci; wspomnienie dawnej przyjaźni, współczucie dla smutnego i znękanego, odezwały się w tej chwili. Ale opinia o człowieku znać nie zmieniła się mimo śmierci. W kilka lat później, po śmierci Mickiewicza, Krasiński zapomni o wszystkim co mu w życiu zarzucał, a odezwie się z dawnym serdecznym podziwem, z gorącym żalem. Śmierć Słowackiego dobywa z niego tylko rzewne pożalowanie dla biednego Juliusza. Warto zapisać i zapamiętać, że w tych ostatnich latach, mimo *Listu do autora Trzech Psalmów* i mimo *Psalmu Żalu*, Krasiński, wiedząc, że Słowacki bywał często w potrzebie, że matka nie zawsze mogła regularnie dosyłać mu zasiłki, wspomagał tego niegdyś przyjaciela, a później niestety potwarzę swego, stale, a tak skrycie, że Słowacki nigdy się nie domyślał, zkąd mu ta pomoc przychodziła.

Z Warszawy naturalnie listów bardzo mało, prawie nic. Nietylko z obawy, że mogą być przejęte i czytane, ale i z powodu zdrowia. Oprócz choroby, nurtującej cały organizm, był i ból oczów tak silny, że lekarze bojąc się utraty wzroku, zabronili Krasińskiemu wszelkiego czytania i pisania. Do wszystkiego więc, co go zawsze w Warszawie dręczyło, przybyła jeszcze ta dodatkowa przykrość, przymusowa bezczynność. Trwało to długo. Pani Krasińska spodziewała się słabości, mąż nie chciał przedtem od niej odjechać. W końcu lipca dopiero (1850) powiła córkę¹⁾. W sierpniu ojciec udał się za granicę, do Cheliusa naprzód po radę, następnie do kąpiel morskich. Na jesień wrócił do Heidelbergu, gdzie spotkał się z żoną i dziećmi. Tam, po części w Badenie, zeszła zima i część lata

¹⁾ Marya Beatrix, zaślubiona! Edwardowi Raczyńskiemu w r. 1877, zmarła 1884 r.

1851, bez żadnego ważniejszego zdarzenia, z wyjątkiem niebezpiecznej choroby starszego synka (w kwietniu 1851). Uzdrowienie tego dziecka wywołuje w nim radość, uszczęśliwienie, jakich się przedtem nigdy może u niego nie widziało. W namiętnych uniesieniach szczęśliwej miłości, jak wiersz do Aniołów, przebija zawsze głęboki i gorzki smutek: teraz słyszy się tylko błogość, wdzięczność dla Boga, dla lekarza, wdzięczność, współczucie i podziwienie dla żony. O sobie mówi tylko: »nie wiedziałem sam, że go tak kocham: »gdy tę twarzyczkę ujrzałem w cieniach śmierci, zdało mi się, że wszystko umiera« (do Małachowskiego 19 kwietnia 1851).

Wogóle życie rodzinne znaczy teraz w jego życiu nierównie więcej, aniżeli w pierwszych latach, a usposobienie okazuje się bardzo zmienionem. Dawniej były w listach krótkie tylko i suche wzmianki o żonie, kiedy były koniecznie potrzebne; teraz w każdym liście spotyka się jej imię, często po razy kilka, a ton jest inny. Lody stopniały, upory i uprzedzenia widocznie znikły. Zmiana ta daje się dostrzegać już od lat paru, od roku 1847 lub 48; a utrwała się i wzrasta ciągle. Imię pani Delfiny Potockiej zjawia się nieraz; są to polecenia do przyjaciół, żeby jej jaką sprawę załatwili, albo jaką radę dali, albo, żeby donieśli, jak się ma i co robi; wszystko to w życzliwym, przyjaznym uczuciu, ale z tych słów niktby nie poznał, że to o tej mowa, która niegdyś nazywała się Beatrice. Z czasem i te uczucia ostygły. Po śmierci Krasińskiego znalazły się w jego papierach listy pani Delfiny wcale nie otwarte. W ostatniej chorobie, kiedy przychodziła pytać się o jego zdrowie, polecił, żeby ją pod jakim pozorem przeprosić i nie przyjąć. Pani Krasińska przyjmowała ją i dawała jej żądane wiadomości.

Warto zapisać tu jeden rys piękny w charakterze pani Krasińskiej. Pani Delfina Potocka już w zupełnej

i późnej starości, zachorowała na raka w piersi. Przy jednym spotkaniu pani Krasińska spostrzegła, że ona bardzo cierpi, i zapytała o powód. Bandaż się zepsuł, czy przekręcił na miejscu cierpiącym. Pani Krasińska zapytała, czy może poprawić, a zrobiła to tak zręcznie, tak delikatnie, że jak mówiła chora, nikt jej nigdy lepiej opatrunku nie założył. Od tego dnia pani Krasińska zawsze, co rano, przez cały ciąg jednego swego pobytu w Paryżu, czyli przez całą wiosnę, jeździła do pani Delfiny pomagać przy zakładaniu tego bandaża.

Zmiana i względem innych osób także. O krewnych żony poeta dawniej wyrażał się z chłodną i sztywną przyzwoitością; teraz rad jest kiedy do niego przyjadą, wspomina ich często i dobrze, bierze żywo do serca ich zmartwienia lub niepokoje. Pod tym względem, rodzinnych i przyjacielskich stosunków, te kilka lat spędzonych w Badeńskim musiały być szczęśliwe i miłe. Choremu, potrzebującemu towarzystwa i starań, żonie potrzebującej wyręczenia i pomocy, śpieszył z tą pomocą chętnie, kto tylko mógł. Widzi się też prawie bez ustanku siostry lub braci pani Krasińskiej, czasem starszych krewnych, jak pani Arturowa Potocka; Jenerał przyjeżdża do syna, kiedy tylko może; a starzy przyjaciele, Gaszyński, Małachowski, Cieszkowski, Sołtan, mieniają się przy nim i luzują jeden drugiego. Sołtan, umyślnie z Prus królewskich przybyły, zdziwiony, jest i przestraszony zmianą, jaką w Krasińskim zobaczył: »zmiana ogromna, nie do poznania! zesta-rzał się, osiwił« (Listy tom II, str. 394). Przebywa tam i pani Załuska, najdawniejsza, najzaufańsza może z przyjaciół, prawie przybrana siostra poety.

To grono przyjaciół powiększyło się, lub rychło powiększy, jednym, najmłodszym ze wszystkich, najpóźniejszym, ale nie najmniej kochanym. Włodzimierz Czacki, w szesnastu latach nawiedzony chorobą, która go nie opuściła do śmierci, szuka poratowania zdro-

wia u wód i lekarzy zagranicznych. Zrazu wyjeżdża z kraju na krótko tylko, na kurację; ale niebawem lekarze oświadczają, że jeżeli zostanie w zimnym klimacie, to musi do paru lat umrzeć, w skutku czego matka wyprawia go za granicę na zawsze. Przez ojca blizki krewny Krasińskiego, przez matkę — pani Krasińskiej, przyszły nuncyusz papieski w Paryżu i kardynał, umysł jeden z najbystrzejszych i najbardziej politycznych, przy sercu nie tylko gorącym, ale gorejącym, spędza zimy we Włoszech, w Rzymie, w pałacu Odescalchi: przez lato stara się być na kuracyi tam gdzie Krasiński, a przynajmniej od niego niedaleko, i przy nim jak się da najwięcej. Dla chłopca niezmiernie obdarzonego, a z wyobraźnią bardzo żywą i z uczuciem aż prawie namiętnem, łatwo zgadnąć, jakim szczęściem musiał być stosunek z autorem *Przedświtu* i *Psalmów*. Cóż dopiero stosunek poufały, serdeczny! nieustająca zamiana myśli, i ciągły wpływ takiego jak Krasiński, umysłu. Że ten młody chłopiec doszedł rychło, nie do przywiązania, ale do uwielbienia, do fanatyzmu Krasińskiego, to nic dziwnego; i w uczuciach tych nie zmienił się do końca. Zrazu, w tej pierwszej młodości, pisywał nawet wiersze na wzór *Przedświtu* i *Psalmów* (których nie ogłaszał). Grunt zaś i rdzeń jego pojęć i zasad politycznych, kierunek jego charakteru, jego dążności i działań, te uformowały i ustaliły się niewątpliwie pod wpływem Krasińskiego, na nim się wykształciły. Co byłoby dziwnem — gdyby młodzieniec był mniej wyjątkowo obdarzonym — to, że ten człowiek dojrzały, sławny, wielki, nietylko Ignął do młodzieńca, ale mu nieraz ulegał, jak żeby równemu sobie. Naoczni i najbliżsi świadkowie mówią, że przyjaciele starsi rzadko kiedy śmieli sprzeciwić się Krasińskiemu; uznawali bezwzględnie jego wyższość, a nie chcieli drażnić chorego i dość już rozdrażnionego. Czacki uznanie wyższości posuwał do czci prawie fa-

natycznej; ale kiedy Krasińskiego zdania lub zamiary nie zgadzały się z jego uczuciem i przekonaniem, jego natura gorąca a śmiała odzywała się otwartym, odważnym protestem; a tak rozumnym, tak dzielnym i wymownym, że często nie bywał bezskutecznym. W kwestiach religijnych i kościelnych zwłaszcza, Czacki od młodości tak ustalony i pewny jak później, a we wszystkich swoich uczuciach i przekonaniach więcej absolutny, mniej wyrozumiały niż później, właśnie dlatego że młody, w tych kwestiach miał on nieraz stawiać Krasińskiemu czoło i wywierać na niego wpływ nie-mały.

Wypadek drobny, ale godzien pamięci, zdarzył się w tym czasie. Michał Czajkowski, autor kilku bardzo podówczas cenionych powieści, a przez Krasińskiego w dawniejszych listach z sympatyą wspomniany, przeszedł na mahometańską wiarę. Mówi o tem Krasiński w długim liście do Władysława Zamoyskiego. List ten, nie zamieszczony w czterotomowym zbiorze, drukowany był w *Przeglądzie Polskim* (w lutym 1873). Przytaczamy go tutaj, bo naprzód treścią swoją jest ważny i mądry, bo dalej daje poznać wielką bystrość Krasińskiego w odgadywaniu ludzi, bo wreszcie broni dobrej sławy ludzi, niesłusznie oskarżanych i sądzonych. Sprawę Sadyka Paszy brał do serca nawet Mickiewicz. W listach swoich z Konstantynopola i z Burgas (1855) mówi on z wielkiem oburzeniem o Zamoyskim, który Sadykowi wierzyć i ufać nie chce. Że wierzyć nie mógł, o tem przekonał wszystkich Czajkowski sam, swoim przejściem na schizmę.

»Zdziwić mnie, nie zdziwił postępek Czajkowskiego; kto o jednej zbrodni przemyśliwa, temu »najłatwiej wpaść w drugą. Mała bardzo pociecha, że »wewnętrznej wiary nie zmienił, bo takisam przypadek jest z wszystkimi renegatami. Wątpię, by który »kiedykolwiekbaż uwierzył szczerze w doskonalszość

»nauki Mahometa od nauki Chrystusa, taki byłby
»tylko religijnym idiotą; ale zaprzanie się chrześcijań-
»stwa dlatego właśnie jest grzechem grzechów, że z do-
»skonaną wiedzą prawdy odbywa się z nikczemnych
»powodów, dla trwogi, albo dumy, albo chciwości.
»Intelligencya, wiedza, pojęcie prawdy, nigdy w czło-
»wieku z wyższego szczebla na niższy się nie cofają,
»charakter tylko i czyn moralny może się cofać i upa-
»dać; właśnie to się dzieje u Renegatów, którzy do-
»skonaną intelligencyę zachowując, czynem tejsze za-
»przecząją i najsroższą temżesamem walkę i bunt
»podnoszą przeciw Duchowi świętemu! Mojem zda-
»niem, lepiejby dla sprawy było, gdyby się był trzy-
»mał pierwszego gatunku zamierzonej zbrodni; prze-
»padłby był wtedy w liczbie pospolitych, nikcze-
»mnych zdrajców, całkiem od sprawy postępkiem swo-
»im oderwanych, nic już z nią wspólnego nie mają-
»cych. Nikogoby przykładem swym nie uwiódł, prze-
»kleństwo ogólneby zyskał, i sumieniemby narodem
»w najgłębszych jego posiadach nie zatrzęsł. Teraz zaś,
»wcale przeciwnie się stało; pokostem patryotyzmu
»umalował pychę, niedozwalającą mu opuścić świe-
»tnego stanowiska; powtóre, nawyknięcie cielesne do
»wschodnich rozkoszy; potrzebie, wstręt nie do za-
»chodu, jak twierdzi, ale do zachodniej niegdyś uwie-
»dzonej dziewczyny. I postawił się w tej głębokiej
»obłudzie przed Polską, jako dalszy, choć w turbanie,
»jej obrońca i przedstawiciel. Czem właśnie najszka-
»radniej zaszkodzi wielu duszom polskim, bo niejedną
»omami, złudzi, uwiedzie i do naśladownictwa pocią-
»gnie. Bema jeszcze przykład nie taki był fatalny;
»Bem był tylko żołnierzem; w chwili, w której się
»zanosilo na wojnę, porwał za półksiężyc, jakby za
»lont nowy do świeżego działa. Każdy z widzów mógł
»ten ruch jego zrozumieć i pojąć, że go pijaństwo, że

»tak powiem, prochu i dymu armatniego uniosło. Ale
»Czajkowski wcale co innego od lat kilkunastu repre-
»zentował na Wschodzie; był skupieniem tam całej
»doktryny ducha polskiego, przychodzącego moralnem
»swojem działaniem, bez żadnej materyjalnej przewagi,
»stawać pośredniczo w obronie słowiańskich plemion,
»między dwoma tyraniami, dogorywającą, turecką i dla-
»tego zgłodniałą, a wzrastającą codzień olbrzymiej, mo-
»skiewską. Ta ostatnia jednak, nie zapominajmy o tem,
»że w imieniu podań historycznych i krzyża walczy
»przeciwko pierwszej. Polska chrześcijańska ma nad
»nią górę, ale Polska sturczona traci wszelką wagę
»duchową, i na tamtem polu staje się natychmiast
»niższą od Moskwy, wobec ludów od tyluset lat prze-
»śladowanych przez pierwiastek ottomański.

»Myśl zatem dalszego służenia Polsce po wyrze-
»czeniu się wiary chrześcijańskiej jest albo najwię-
»kszem szalbiertwem, albo najbezdenniejszem głup-
»stwem. Czemże w istocie sprawa Polski dla świata?
»Na czem się opiera i stoi? Czy nie na tem, że ze
»wszystkich spraw chrześcijańskich stała się najbar-
»dziej chrześcijańską, a to z powodu, że dopełniono
»na Polsce najsroźszej obrazy praw i przepisów
»sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. Ze stano-
»wiska właśnie chrześcijańskiego, mamy prawo upo-
»minać się o wydarte nam życie, i na wieki wieków
»imieniem Chrystusa prześladować prześladujących
»nas rozbiorników, zaborców i katów. Ze stanowiska
»zaś pogańskiego lub mahometańskiego, taki nam
»przywilej już wcale nie służy; w obrębie tylko wiar
»chrześcijańskich i uspołecznienia chrześcijańskiego
»nieśmiertelny! Przed Mahometem, którego cała po-
»tęga na zaborze się opiera i nie jednych dopuściła się
»rozbiorów, nic w nas nieśmiertelnego nie masz; mu-
»sim przystać na wolę przeznaczenia i niemożem się
»upominać o żadne wskreszenie. Zkądże więc muzul-

»manin Czajkowski mógłby dalej prowadzić posłan-
»nictwo Polaka Czajkowskiego, kiedy właśnie się wy-
»zwał z tego, co było duszą żywotną tego posłannictwa,
»właśnie tej wiary, która temu posłannictwu nadawała
»powód bytu i nadzieję zwycięstwa! Czyż ten czło-
»wiek nie pojął, że jak przechodząc do Moskwy, sprze-
»niewierzał się cielesnym stosunkom Polski, tak samo
»przechodząc do Alkoranu, zdradzał duszę Polski
»i odejmował sobie samemu wszelką sposobność w ja-
»kiembądź zdarzeniu, w jakiejbądź kombinacji ode-
»zwania się za nią! Dlatego też ja nie wierzę jego
»dobrej wierze w tym niegodziwym postępku; nie
»z rozpaczy, nie z szału, ale z przewrotnej rachuby to
»uczynił; władzy, potęgi, dobrego bytu mu się chciało.
»A te chuci ustroił w szatę zrozpaczałej miłości oj-
»czyzny. Powtarzam, ta jego właśnie obłuda, najgorz-
»kniejsze dla nas sprowadzi owoce i już nawet spro-
»wadza. Jeśli mnie co więcej zgryzło od jego czynu,
»to to właśnie, że jego czyn rzadko kogo gryzie. Czy-
»tałem wczoraj w *Gońcu* następujący frazes: »Nie wa-
»hał się ponieść ofiary z wiary ojców na ołtarz Oj-
»czyzny!!« Co ten zlepek kilku słów ma znaczyć, jeśli
»nie skutek już wywarty przez obłudę, z którą czyn
»niegodziwy przewrotnie dopełnionym został; jeśli nie
»zaślepienie rzucone na oczy widzom przez zręcznego
»w zbrodni swej kuglarza! Bo inaczej ten frazes za-
»dnej treści w sobie niema. Moznaby tak samo po-
»wiedzieć: »nie wahał się ponieść ofiary z ojczyzny
»ojców na ołtarz ojczyzny!!« Ojczyzna bowiem z cze-
»goś składać się musi, tak jak wszelka istota, czy po-
»jedyńczo czy zbiorowo istniejąca na ziemi, składać
»się musi oczywiście nie z czego innego, jak wszy-
»stkie inne, to jest: z kształtu zewnętrznego, stano-
»wiącego jej ciało i z iskry wewnętrznej, stanowiącej
»jej duszę. Tą ostatnią jest pojęcie, jakie ma o sto-
»sunkach swoich z Bogiem. Jeśli to pojęcie niesiesz

»w ofierze na ołtarz ojczyzny, to poprostu znaczy, że
»wszelką cześć, tradycję, religię ojczystą rozdeptujesz
»nogami na to, by ciało ojczyzny wzrosło, by jej gra-
»nice rozszerzonemi lub odzyskanemi były. Nonsens
»nonsensów! jak gdyby kto utrzymywał, że na to, by
»człowiek jaki jaśniał wśród innych na świecie, trzeba
»rozum w nim zaćmić, charakter poniżyć, duszę za-
»tracić, i że dopiero takim sposobem stanie się z niego
»mędrzec lub bohater! Taka wartość jest tego frazesu;
»ale nie mylmy się, ten frazes dziś kursującą i ważną
»stał się monetą! Tysiące ludzi, osobliwie z młodzieży,
»powtarzają go na całej przestrzeni Polski i z prze-
»kłątą naiwnością, z dziecinną pobożnością, z gorliwą
»wiarą, nie rozbierając go wcale, polegają na nim.
»W tem właśnie upatruję nieskończoność krzywdy
»wyrządzonej przez Czajkowskiego duchowi narodo-
»wemu i sprawie polskiej, bo jak przywyknieni nieść
»na ołtarz ojczyzny jedno po drugim wszystko, z czego
»się składa ta ojczyzna, w końcu sami spalim ją na
»zgliszczach i dokonamy siebie samych samobójstwem!
»Co z niezmierną radością powitanem zostanie przez
»tych, którzy wymódlą na nas śmierci morderstwem
»nie mogą. Znam kogoś, który się w tej chwili raduje
»i panoszy z odszczepieństwa Czajki! Woli nawet to
»odszczepieństwo od poddania się jego sobie, bo może
»całej Europie powiedzieć: »Patrzcie! czy tysiąc razy
»wam nie mówiłem, patrzcie! czy można liczyć na tych
»ludzi, czy komu kiedykolwiek dotrzymają wiary,
»kiedy — własnemu Bogu i własnemu podaniu history-
»cznemu, choć o nie nibyto walczą wszędzie i za-
»wsze, nie umieją!

»Kończę ten smutny rozdział temi słowami: o ile
»tylko człowiek śmiertelny może, o tyle zbeczcześć
»sobą i w sobie ducha polskiego Czajkowski«.

W lecie tego roku podróż z ojcem aż do rosyj-
skiej granicy, do Maczek; czy z zamiarem dojechania

do Warszawy, czy tylko żeby dłużej być razem? Powrót pospieszny do Heidelberga, do Cheliusa, spowodowany pogorszeniem zdrowia. Chelius mniema, że zima we Włoszech mogłaby przynieść dobre skutki, i w początkach grudnia jest już Krasiński z żoną i z dziećmi w Rzymie.

Tu go dochodzi wiadomość, że Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej ogłosił się cesarzem. Imię Napoleona wstrząsało całą Polską elektrycznie; zdawało się, że ono znaczy tyle, co wojny pierwszego cesarza, a po jego doświadczeniach, bez jego błędów. Mickiewicz ze swoim kultem Napoleona nabrał nowej wiary w przyszłość; Krasiński, który dotąd o księciu Prezydencie wyrażał się raczej z lekceważeniem i ironią, teraz zmienia ton. Nie widzi (w pierwszej chwili) blizkiej wojny, ale spostrzega w tym człowieku jakąś siłę i dzielność. Poetycznej jego wyobraźni nawet podoba się ten zamach stanu, dokonany tak nagle, tak zżęcznie, a bez rozlewu krwi; przypomina mu to tego Fieska, którego niegdyś lubił widywać w wiedeńskim teatrze (do Małachowskiego 9 grudnia, do Soltana 15 grudnia). Wierzy przytem w gwiazdę Napoleońską. Wprawdzie to tylko księżyc, co od austerlitzkiego słońca pożyczył promieni, ale stanął na niebie śmiało a zżęcznie, i w samą rocznicę austerlitzkiego zwycięstwa. Im więcej o tem myśli, tem więcej mu się ten nowy cesarz podoba. W kilka tygodni później (10 marca), robi w liście do Soltana alluzję do Republiki i do cesarza w słowach: »kogut pieje a nie lata, orzeł nie pieje, ale lata«. I już przypuszcza, że »synowiec, wcześniej czy później, postara się stryja ludziom przypomnieć«.

Zresztą ta zima w Rzymie — ostatnia jaką tam miał spędzić — przykra i smutna. Wybrane miejsce wrażeń i marzeń młodości, tym razem nie wywiera na niego takiego uroku. Rzym smutny, smutniejszy

niż kiedykolwiek. »Niegdyś uśmiechał się świat, ziemia, morze i kwiat każdy« (do Sołtana 6 lutego 1852), a teraz »nawałnica lat ostatnich więcej tu błota i mułu »zostawiła niż gdziekolwiek indziej« (do Małachowskiego 9 grudnia 1851). Jeden Pius IX »pozostał czem »był, czystym i świętym duchem«:

Przykro mu więc i ciężko, nieznośnie. Zdrowie, którem się zrazu cieszył i chwalił, popsuło się tak, że zima ta była nierównie jeszcze gorszą od poprzedniej. Z pokoju prawie nie wyszedł aż do wyjazdu (w kwietniu). A jednak, mimo zmiany zaszłej w nim samym i w Rzymie, Rzym ten działa na niego swoim czarem i dobywa z niego nowe wybuchy myśli i wzniosłego natchnienia; dowodem wiersz *do Elizy* (w lwowskim wydaniu *Roma*), teraz napisany: a jednak mimo zdrowia tak złego, że listów często sam pisać nie może, tylko je dyktuje, ale nie mimo smutku i goryczy, tylko właśnie dla nich, on w tym czasie chce pisać, i pisze.

II.

Początki *Niedokończonego Poematu*. Jego znaczenie. Powody jego błędów. Treść. Aligier. Piekło i czyściec dni dzisiejszych. Księżna Rahoga. Pasma dziejów i ich wykład. Starożytność. Chrześcijaństwo. Przyszła epoka. Pankracy i Aligier. Piękności i usterki, trwała wartość poematu.

Krasieński zaczął w roku 1840 pierwszy raz myśleć o tym poemacie, który dziś nazywa się *Niedokończonym*. W liście do pani Delfiny Potockiej, z 20 Marca owego roku¹⁾ opowiada Krasieński, że tego dnia na przechadzce, uniesiony pięknym porankiem i pięknym widokiem, uczuł w sobie nowy i silny popęd do two-

¹⁾ List ogłoszony przez Adama Krasieńskiego w »Pamiętkowej księdze byłych uczniów Stanisława Tarnowskiego« Kraków 1904.

rzenia. Stał mu w myśli poemat, który miał być uzupełnieniem dawnej *Nieboskiej komedyi*, obejmować młodość Henryka, i jego miłość: i miał być gloryfikacją, apoteozą tej, którą on ukochał i kocha: ona miała być wcieleniem i symbolem wszelkiej wzniosłości, wyższym duchem czy aniołem Henryka, jakim Beatrice jest dla Dantego w Boskiej komedyi. Podaje więc dalej całą treść zamierzonego poematu. Rozmowę Młodzieńca z przyjacielem, sen przez tego przyjaciela na młodzieńca sprowadzony, widzenia tego snu i ich znaczenie: potem spotkanie w Wenecyi tej którą pokochał od pierwszego widzenia i na zawsze: potem pasmo dziejów zakończone obietnicą blizkiej, lepszej epoki. Dalej zaś miało być to, czego nie napisał: wzajemna miłość, wzajemne uniesienia, dwoje szczęśliwych kołysanych ruchem gondoli na ciemnych kanałach. Wszystko na jej chwałę, na jej uwielbienie przed całym światem, i na wieki. List kończy się słowami: »Dałaś mi szczęście, o gdybym mógł dać ci nieśmiertelność!«

To jest naturalne i zrozumiałe, że jak zobaczył *Nieboską Komedyę*, nie rozszerzającą się bardzo między ogółem, ale bardzo wysoko cenioną przez ludzi najrozumniejszych, łatwo musiała mu przyjść myśl uzupełnienia *Nieboskiej* młodością Henryka; a kiedy jego system filozoficzny zaczął się wykształcać i ustalać, przyszła mu chęć wyłożenia tego systemu w osobnym nowym poemacie. Z tych dwóch pierwiastków i popędów powstał *Niedokończony*; powstał zaś niewątpliwie w tych latach, kiedy się ów system wyrabiał i ostatecznie wyrobił. W 1840, i po nim jeszcze, poeta pracował nad tym pomysłem. Świadkowie mówią, że z pewnością niektóre części były już w tym czasie pisane; mówią to mianowicie o tym *Śnie*, który teraz stanowi część drugą poematu. Usunął go na bok *Przedświt*, jako pilniejszy, dobywający się gwałtem z duszy

poety, i w jego mniemaniu zdolniejszy sprawić wrażenie i skutek. Rychło potem nastąpiła konieczność napisania *Psalmów*; a po nich ten nawał zdarzeń, które pocie serce rozdarły i zdrowie doreszty złamały. Ale kiedy one przeszły, kiedy względny spokój w życiu dopuszczał mimo złego zdrowia swobodniejszą pracę myśli, i kiedy te zdarzenia właśnie stwierdziły tak oczywiście prawdę politycznych i historyozoficznych Krasińskiego pojęć, wtedy znowu naturalnie wrócić musiała chęć wypowiedzenia ich na nowo, wyłożenia ich dokładnego poetycznym sposobem. Wziął się więc poeta na nowo do swego zarzuconego przedsięwzięcia, popchnięty niewątpliwie i oczywiście wszystkimi wrażeniami i rozmyślaniami, jakie przebył w r. 1846 i 1848. Pracował nad niem wiele i z upodobaniem, ile mu tylko zdrowie pozwalało; a w tym roku 1852 wydał jeden ustęp, jako niby całość osobną (w Lesznie u Günthera), pod tytułem *Sen*.

Postawiony pomiędzy jego wielkimi dwoma kompozycjami, *Irydionem* i *Nieboską*, *Poemat Niedokończony* traci wiele i równać się z niemi nie może. Wszelako, choć nie tak piękny jak tamte dwa dzieła, ma on wielką wartość, jako objaśnienie *Nieboskiej* naprzód, a powtóre, jako wykład, allegoryczny wprawdzie, ale bardzo wyraźny, całej historyozofii Krasińskiego. Z tego względu, choć jego piękność, pomimo niezaprzeczonych piękności w szczegółach, jest mniejsza, ważność jego, jako komentarza do *Przedświtu i Psalmów*, jest tak oczywista, że dowodzić jej niepotrzeba.

Dwa są powody, dla których głównie musimy go uważać za niedokończony pod względem piękności. Naprzód ten, że w przeprowadzeniu jego myśli i dążności, w wykonaniu jego pomysłów, jest pewien realizm, w jego allegoryach pewna wyrazistość i dosa-

dność, która się staje prawie prozaiczną. To jest jakiś wstęp do historii XIX wieku, wyprowadzający ją mądrze i głęboko ze wszystkich wieków poprzednich; to jest jakiś traktat filozofii politycznej; to jest parlamentarna dyskusja, w której mowca nie opuszcza żadnego argumentu, żeby dowieść swego założenia; to jest publicystyka, szereg broszur lub artykułów dziennikarskich, ożywionych jednym duchem, przejętych jedną zasadą; tylko ten traktat historyczno-filozoficzny, ta dyskusja, ta broszura i te artykuły, nie występują w swojej formie naturalnej, ale przyodziane są w allegorye, ozdobione dyalogiem prowadzonym przez różne ludzkie postacie. Allegorye zaś tak są przeźrocyste, poeta tak chce być zrozumiałym, myśl swoją tak kładzie wyraźnie w głowę, postacie te tak dyskutują tonem oratorów parlamentarnych o różnych bieżących kwestiach politycznych i społecznych, że poemat pomimo swego poetycznego zakresu robi wrażenie rzeczy prozaicznej; robi wrażenie jakiegoś ulotnego tendencyjnego pisma.

Powodem drugim jest to, że w osnowę swego poematu wetknął Krasiński różne wspomnienia ze swego życia, tyżące się bądź to wprost jego, bądź osób innych; wspomnienia te częścią zlewają się z poematem i jego postaciami w sposób niejasny i niedocięzony, częścią zaś przechowane są w całej swojej codziennej i powszedniej rzeczywistości, »poezją nie ozłoczone« wcale.

To wszystko jednak nie przeszkadza, że przez ustępy świetne i pełne myśli głębokich, a zwłaszcza przez światło, jakie rzuca na pojęcia i usposobienie autora, *Poemat Niedokończony* jest bardzo znaczący i bardzo zajmujący.

Jest on dorobioną do *Nieboskiej Komedy* historią przeszłości Henryka, jest przedstawieniem tych pojęć o świecie i historii na jakich on się kształcił,

tych dążeń, które wyznawał i podzielał, zanim sam wstąpił w czynne życie. Czy te wszystkie pojęcia były już u Krasińskiego zupełnie wyrobione w chwili, kiedy pisał *Nieboską*? Oczywiście nie. Z biegiem lat wyjaśniały się, ustalały w ten system historyozofii, z którego stanowiska on sądzi przeszłość i terażniejszość i swojego bohatera i jego przeciwnika; ale sprzeczności pomiędzy myślą podstawną *Nieboskiej* a *Poematu* niema. Owszem, ten ostatni pisany jest tak, żeby tamta mogła się wydać jego dalszym ciągiem i naturalnym wynikiem. Kierunek jest tensam, myśl jest tasama, tylko tu sformułowana dokładniej, wyraźniej, szczegółowiej, zastosowana do całej historii i nią stwierdzona, a za to przedstawiona nie tak poetycznie, nie tak pięknie. Henryk, młodzieniec wielkich zdolności i wielkiego serca, w którym jest zaród wszelkiej piękności, kształcony przez swego przyjaciela Aligiera na to, żeby znał »wiekuistą prawdę bożą i doczesną prawdę tej ziemi«, za sprawą tegoż Aligiera ma we śnie widzenie całego dzisiejszego stanu świata, całego czyśca dni terażniejszych. Widzenie to budzi, a raczej podnieca w nim zapał służenia ludzkości, działania dla szczęścia i postępu rodu ludzkiego. Mistrz i przyjaciel jego, który takiej woli od niego żąda, chce przygotować go do takiego działania należytem zrozumieniem dziejów świata, i przesuwa przed jego oczyma obrazy wszystkich wieków po kolei; a w każdym z nich ukazuje mu ludzi, którzy tegoż co i on, pragnęli, dla tego co i on się poświęcali. Ostatnią w tym szeregu obrazów jest chwila dzisiejsza, a punktem środkowym jej okropności i przewrotności jest rozbiór Polski. Po tej nauce dziejów, wprowadza Aligier Henryka do jakiegoś zboru, do jakiegoś tajnego towarzystwa; ale ten zbor, to jakaś religijno-mistyczna konspiracja ludzi dobrej woli. Prezes naucza Henryka, że dopełnieniem wieków, które się właśnie teraz przesilają, jest nowa, teraz pojawić

się mająca epoka Ducha świętego, epoka miłości. Przeciw tym słowom powstaje naczelnik chóru polskiego, znany z *Nieboskiej* Pankracy, i wbrew słowom Prezesa naucza Henryka, że miłość może zapanować kiedyś, ale przedtem musi świat przejść przez krew i zniszczenie, przez terrorizm rewolucyjnych środków. Wywiązuje się z tego dysputa między doktryną miłości i dobrej woli z jednej strony a doktryną rewolucyi i jej środków z drugiej, między Aligierem a Pankracym. Ten ze zwolennikami swoimi zostaje usuniętym ze zboru jako niewierny, jako człowiek bez dobrej woli, i na tem kończy się ostatnia, szósta część poematu; ale *Poemat* sam zostaje bez zakończenia.

We wstępie, w promieniach wschodzącego słońca, stoi młodzieniec w stroju myśliwskim, na skale, pośród tych gór Friulskich, które tak pięknie zamykają od zachodu płaski lagunowy horyzont wenecki, i poetycznie kąpie się w blaskach poranku, jak zbudzony ptak w rannej rosie. Czuje się młodym, rzeźwym, dzielnym; rwie się do wrażeń, do niebezpieczeństw; »giemza, co »na tamtym wierzchołku mech gryzie, nie dożyje po- »łudnia«. Widocznie młodzieniec jest pełen życia, które z niego tryska na wszystkie strony i potrzebuje się wydać na zewnątrz; jednak w tej jego bujności, w tych jego przyborach, skałach, giemzach, niedźwiedziach, i uniesieniach, znać zamiar, dekoracyi jest za wiele. Czy to umyślnie? czy autor chciał tego młodzieńca zrobić zakochanym w całej tej zewnętrznej poezyi, i w sobie jako jej bohaterze? czy też bujnego młodego życia pod inną prostszą formą nie pojmował? Rozstrzygać trudno; za jednym, jak za drugim zdaniem znalazłyby się dowody. W każdym razie to pewna, że młodzieniec jest cokolwiek za poetyczny, że wyraża swoje myśli frazesami zanadto wymownymi i ozdobnemi; że zwłaszcza kiedy opowiada swoją walkę z niedźwiedziem, a opowiadanie kończy się tą wspaniałą pogardą dla strzelców, którzy ze strachu przed nie-

dźwiedziami pochowali się po drzewach i którym darował »skórę zabitego na pamiątkę podłości«, miałoby się ochotę powiedzieć mu: młodzieńcze, bądź prostszym; nie gardź tak wspaniale, bo miara twojej pogardy jest większa, aniżeli jej powód, i o rzeczach małych, jeżeli możesz, nie mów stylem tak wielkim. Wierzaj mi, daleko lepiej o wielkich rzeczach mówić małym stylem, a zwłaszcza kiedy się mówi o sobie«. Aligier, który kształcił jego umysł i serce, Aligier na ten jego zły zwyczaj powinienby więcej dawać baczenia.

Któż jest ten Aligier — ten tajemniczy mistrz i przyjaciel? Imię ma Danta, a w mgle wieczornej, kiedy młodzieńca opada sen, przybiera nawet surowe rysy i bladą cerę poety, i jego wieniec laurowy. A przecież nie Dant jest ziemskim towarzyszem i przyjacielem młodzieńca? nie jemu powierzona była ta dusza? nie on się za nią modli, nie on zwłaszcza zawarł z bohaterem poematu przyjaźń w owym dniu smutnym, »kiedy w piersiach dziecinnych pierwszy raz piekło się urodziło«, kiedy »rówiennicy ścisnęły mnie kołem i ciągnęły na dół ze schodów za ręce, za nogi, za płaszcz zwoje«. Wtedy ten jeden ujął się za nim, obronił go; przecież to nie Dante Alighieri ten Aligier? Reminiscencya owego zajścia w uniwersytecie warszawskim jest tak wyraźna, tak jasna, iż wątpić nie można, że i ten przyjaciel obrońca, i ta zawarta z nim wtedy przyjaźń są prawdziwą rzeczywistością? Krasifski w tej postaci Aligiera połączyć chciał dwa wpływy, które na niego działały. Jednym z tych wpływów, z tych mistrzów jego młodości, była poezya Danta, pełna głębokiego ubolewania nad ziemią i potężnego dążenia do nieba, do ideału; drugim był wpływ rzeczywistego człowieka, Danielewicza, w którym on widział istotę wyższą, doskonalszą od siebie, którego czcił, wielbił i kochał do śmierci, który powagą swoją wpływał na jego charakter, a swojemi pojęciami na

jego pojęcia. Czy istotnie tak wlał w niego jego późniejsze pojmowanie historii, kwestyi politycznych i społecznych, jak je wlewa w poemacie Aligier w Młodzieńca za pomocą Snu i Widzeń w podziemiach? czy na zakład przyjaźni powiedział mu po owem zajściu warszawskiem owe słowa: »oni są niesprawiedliwi, ty »bądź więcej jak sprawiedliwym, przebacz im w duchu i kochaj ich w czynach?« Zważywszy, że w całym tym wstępie jest wiele wspomnień, można przypuścić, że i te szczegóły są historyczną prawdą. A jeżeli nawet nie, to w każdym razie pewnem jest, że Danielewicz wywarł na Krasińskiego wpływ ogromny, i że Krasiński jemu przypisywał ustalenie swojego charakteru, swoich uczuć, i kierunku swoich myśli, dążności i życia. Musiał w nim uznawać wielką wyższość i wielką powagę, kiedy w swoich późniejszych latach, w tym jedynym poemacie, w którym składa niektóre wspomnienia własnego życia, identyfikuje go z tym, którego miał za najgłębszy i najgodniejszy z duchów ludzkich, z Dantem, i nazywa go Dantowem nazwiskiem Aligiera.

Z tych dwóch wpływów więc, które na niego działały, złożona jest ta postać. A jak one działały, to poznać można ze słów Aligiera, z tej jego modlitwy za Henrykiem, »w którym jest zaród wszelkiej piękności, ale który nie przejrzał dotąd, i nie wie, że »Bóg nietylko wysoko nad nim, ale i wewnątrz niego »przebywa«. Te słowa, to sąd o Henryku samym; a dalej prośba, żeby dziś, kiedy »walka dobrego i złego »wkrótce rozedrze mu serce«, a to stać się musi, bo »za dni tych zaciemniły się drogi Pańskie na tej kuli »ziemskiej«, żeby Bóg tej duszy oszczędził nie »trudów, »nie boleści, nie męczeństw, ale żeby »zmiłował się »nad nią i oszczędził jej hańby podłości, ustrzegł ją »od wiecznej nocy Ducha«.

Można znajdować, że Henryk jest za wymowny

i zbyt wyszukany, Aligier sam zbyt majestatyczny czasem w swoich słowach, ale tego zaprzeczyć nie można, że jest wielka godność i wzniosłość w nich i w tym wzajemnym stosunku. Na to zaś, żeby Henryk ustrzegł się hańby i nocy ducha, trzeba, żeby swój świat i jego przeznaczenie dobrze pojął; i w tym celu prosi Aligier Boga (w tem miejscu więcej duch Danta, aniżeli rzeczywisty człowiek), żeby pozwolił mgłom i wyziewom słuchać na tę noc jego woli, a on złoży z nich »Sen«, który dla Henryka będzie nauką i przestrogą.

Ten *Sen*, część druga poematu, epizod, stanowiący dla siebie niejako całość skończoną i jako taka ogłoszona osobno, to obraz dzisiejszego stanu Europy. »Młodzieńcowi zdało się, że postać Danta prowadzi go w nieskończoność złego«; nieskończoność ta dzieli się na dwa kręgi, z których jeden jest »piekłem dni »teraźniejszych«, a drugi ich czyścem. W pierwszym są złości i podłości dzisiejszego świata, w drugim jego cierpienia i boleści.

W tem piekle więc mgły i wyziewy parowu łączą się w obraz pierwszy, i składają postacie ludzi zbrojnych, którzy »gładzą lufy i ostrzą kolce bagnetów«, ludzi, którzy muszą iść gdzie im każą, »przeciw Bogu, »to przeciw Bogu, przeciw braciom, to przeciw braciom«, którzy nie mają »ni domu, ni ojczyzny, ni imienia«, — to milionowe narzędzia, maszyny, których każda część jest ludzką istotą, ale nie człowiekiem; to wojska, które autor pojmuje, jako jedną z klęsk wieku. Smutno skarżą się te widma na swój los: »kazali nam »zapomnieć o sobie, a drugich zabijać, i nie pamiętamy »z kądeśmy wyszli, ani wiemy dokąd idziemy«. Dziwna rzecz, że te ofiary przymusu pomieszczone są w piekle; właściwiej byłoby policzyć je do nieszczęśliwych, aniżeli do winnych? Ale na to odpowiada poeta przez usta Aligiera: »Dawniej, kiedy męże stawali do boju,

»znali, jakiej sprawie służą i czemu trzeba umierać; oni, jako bogi wojny, a wy, jako jej bydłota«.

Drugi obraz, to już nie karność i posłuszeństwo bydłące, ale ludzka przewrotność i podłość; rządy ludźmi przez szpiegostwo i zdradę: tajna policja, jaka w tamtych latach była we wszystkich państwach, jako sprężyna i zasada rządu, która dziś w niektórych tylko została. Ohydny a trafny i wierny jest wizerunek człowieka białego, wysmukłego, z łagodnym uśmiechem i miodowym słowem na ustach, jak rozdając pieniądze swojej armii szpiegów, uczy ją, jak ma podsłuchiwać, wyciągać na słowa i donosić. Jego nauki są wyborem, krótkim zbiorem reguł sztuki; znać, że pisane były przez człowieka, który się tych sztuk i ich ofiar napatrzył. »Bądźcie uprzejmi i słodcy, sypcie podchlebstwa, przymilajcie się; jeżeli kto ponury, rozpaczajcie z nim, jeżeli porywczy, dajcie mu miecz w rękę; pieśćcie dzieci, na ich ustach siadają czasem tajemnice rodzin, a pamięć wasza niech będzie chciwa, ostra, nieskończona«. Wszystkie te reguły wzięte z rzeczywistości, wszystkie były codzienną praktyką rządów we Włoszech, w Hiszpanii, w Austrii ówczesnej, w Rosyi; a do każdej z nich możnaby przytoczyć ilustrację, przykład tajemnicy podsłuchanej ze słów dziecka, nieostrożnego młodzieńca, wciągniętego w udany spiszek przez prowokatora — to słusznie w piekle, między podłościami wieku. Zamyka się zaś ten obraz wprowadzeniem człowieka nędznego, umierającego z głodu, któremu obiecują i pokazują dostatek, jeżeli przysięże że doniesie wszystko, co zobaczy i usłyszy; to korzystanie z nędzy człowieka, wyzyskiwanie jej na to, żeby go zepsuć i upodlić. Nieszczęśliwy zrazu nie chce przysiądź, woli umrzeć. Ale zgłodniałe zwierzę bierze górę, i on wyciąga ręce ku krzyżowi, który w tej chwili anioł zasłania skrzydłami przed tą przysięgą jako przed obelgą i profanacją. Jako siła kolorytu, jako energia

wyrażeń i jako okropność sytuacji, ustęp to jeden z odznaczających się w tym całym epizodzie *Snu*.

Dalej idą więzienia i egzekucje; plomby weneckie, neapolitański Castell dell'Ovo, kazamaty cytadeli petropawłowskiej, wszystkie w owych latach zaludnione nieszczęśliwymi, nie mogły być zapomnianymi. Po nich zaś następuje nowa zmiana w scenach tego widzenia, nowa klęska i nowa obrzydliwość wieku, chciwość, chciwość zysku i bogactwa wielkiego, ogromnego, a nagłego; giełda ze swoim wszechwładnym panowaniem, jej brudy, jej podstępny, oszustwa, i skutki, kolosalne bogactwa, i rozpacz bez granic. Dalej warsztaty rzemieślnicze, ludzie schyleni całe życie nad jedną robotą, »z palcami jak wosk miękkiemi, których usta nie zmówiły nigdy pacierza, bez sił na ziemi, bez nadziei »w niebo, a łaknący złota« — wreszcie przepaść otwarta, ogromna, ziejąca ogniami i gwarem grózb i przekleństw, jak otwarty wulkan pod tą świątynią, w której mieszka dzisiejsza ludzkość, ale w której Boga niema: »Czyż na zawsze ciemny padoł mieszkaniem naszym, »nigdyż się nie dostaniem na powierzchnię ziemi, kędy »dostać i słodkich win, i smacznej strawy i cienkich »szat« — to wydziedziczeni świata, to przyszły obóz Pankracego. Nad nimi stoi człowiek, który im obiecuje wyprowadzić ich z przepaści na powierzchnię świata, i z tym cień Danta zaczyna rozprawę: »Biada »wam co znacie tylko, co wygoda ciał, a co wolność »ducha nie wiecie, wy kłamcy, wy obłudni, wy coście »gorsi od gadu, bo macie wzrost szlachetnych i mowę »uczonych, wrzask wasz dźwięk marny a nie żadna »myśl; bo nie krzykiem, lecz czynem, nie mordem, »lecz nastrojem wszystkich stoi Rzeczpospolita. Tyś »zwierze nie duch, i zanim przeminie lat dziesięć, ty »sam lud twój zdradzisz«. Piękne jest ostatnie słowo pogardy, rzucone na demagogów: »z fal ta najgorzej

»huczy, co się ma rozbić na piasku; piersi ludzkie, to »fale świata«.

Jeszcze dalej tłum kobiet; obraz tego, co w ich stanowisku dzisiejszem jest szkodliwego dla społeczeństwa, niesprawiedliwego dla nich. Jedne się skarżą, że dopóki były młode i piękne, świat stroił je w kwiaty i jedwabie, a gdy się zestarzały i zwiędły, każe im konać w nędzy, a przynajmniej w opuszczeniu i smutku; to lekkie i płochy, któreby takimi nie były, gdyby im dano za młodu rozum, duszę, a często sposób do życia. Potem te, które jak rzeczy oddano pod władzę męża; wszystkie się skarżą, że Bóg dał im duszę, a ludzie tylko ciało im przyznali. Pośród nich jedna, najsmutniejsza ze wszystkich, piękna i majestatyczna jak bóstwo, o której Dant mówi, że niegdyś znał taką drugą na ziemi, i którą woła imieniem Beatrix. Wydana czy sprzedana za męża, zносиła wszystko; jednego znieść nie mogła, pogardy. Była z ziemi mlekiem i miodem płynącej, ale nieszczęśliwej, nie wolnej; w tej ziemi coś się gotowało, na coś się zanosilo, ludzie się zbierali, naradzali; raz zebrali się tak w domu jej męża, na jego wezwanie; a gdy się zesзли, on ich wydał żołnierzom. Tego już znieść nie mogła, i gdy znalazł się człowiek, który się nad nią litował, pokochała go za jego litość, i za to jest zhańbiona! a ten nawet, który ją kochał, poszedł gdzie go jego męskie losy zagnały, opuścił ją; dusza jej już dawno leży pochowana, »a to ja, na które patrzycie, to tylko ciało, »co dotąd skonać nie umiało«. Dlaczego pośród wszystkich kobiet nieszczęśliwych tej jednej poświęca poeta tyle uwagi? czy on jej nieszczęście z głowy swojej wymyślił? Zapewne nie. Zapewne musiał je znać; a postać tęsamą widzi Młodzieniec potem raz drugi, nie we śnie już, ale na ziemi, nie jako widmo, ale jako księżnę Rahoga.

Na giełdzie tłumy całe, całe narody pchają się do

zysku, do pieniędzy, przez oszukaństwo, przez zdradę, przez wstyd, przez krzywdę i rozpacz drugich; potomkowie starej szlachty wyjmują perły i kamienie z buław i lasek przodków, i sprzedają za brzęczącą monetę; inni, ci którzy wydziedziczonym w przepaści obiecywali wolność i równość, targują się z królami giełdy o cenę, za którą tamtych dłużej zatrzymają w przepaści, i sprzedają ich. »Piekło dawnych ludzi«, mówi Dant, »nie bolało mnie tak srodze«: nie było takie obrzydliwe.

A więc wojsko, człowiek zamieniony w maszynę; policya i szpiegostwo; nędza rzemieślników; poniżenie i krzywda kobiety; giełda; a pod tem wszystkim owa przepaść, rewolucya, prowadzona przez ludzi, których celem jest nie drugich z ucisku podnieść, ale siebie za pomocą ich ucisku wynieść, to jest piekło dni teraźniejszych, piekło podłości. Po niem następuje czyściec nieszczęścia i cierpienia, próba grobu, którą człowiek każdy i plemie i ludzkość cała odbyć muszą, żeby odżyć na nowo. »Śmierci niema — mówi Dant na wstępie do tego czyścica — Pan jej nigdzie nie pomyślał. Własnem znikczemnieniem tylko można zadać sobie wiekuisty zgon. Ale kto odżyć ma, ten przemienić się musi, a każde przemienienie nosi śmierci pozory«.

Łatwo pojąć o co tu chodzi, co będzie czyścicem, i kto się w tej próbie grobu przemienia. Młodzieniec widzi przed sobą las z szubienic, »naród cały w Chrystusowej męce rozwieszony nad ziemią swą — jak skały przebudowują w miasto, tak te bory przebudował w cmentarz regularnie i symetrycznie, doskonały kat, co umie rozmierzać ból i porządkować śmierć«. Ze wszystkich drzew kapie krew; pod każdym drzewem płacze niewiasta; a czasem przez wszystkie te ciała przechodzi jakiś dreszcz, i wtedy krew nie sączy się już, ale leje jak deszcz. W środku cmentarza kopiec

z węgla i gruzów, na którym siedzi mocz w koronie plecionej z łańcuchów, w płaszczu żołnierskim, przepasany kajdanami, a zamiast miecza ma bicz. I kiedy krew obficie spada, gdy jęk głośniejszy, on tych wszystkich rozbitych na krzyżach kusi: »Wyrzeczcie się przeszłości i przyszłości, ojczyzny i Boga, a każę »was zdjąć z krzyża, dam wam jeść i pić, a wasze »ciała, nędzne i skrwawione, będą na nowo zdrowe »i kwitnące«. Ze wszystkich krzyżów odzywa się ta-sama odpowiedź: Nie!

»Zaprawdę«, mówi Dant, »tu czyściec dni tera-»żniejszych, bo wszelkie ciało na tych równinach umę-»czone; ale nad duszą narodu tego czuwa Najwyższy »utajony sam. Nie płacz nad tymi, ale nad tamtymi, »nad szarym światem z granitu, bo tam piekło i rozpad »i sądny zgon, a tu ból tylko. Z bólu zmartwychwstaje »duch, z podłości tylko zmartwychwstania nie masz!« To ta myśl, ta maxyma, to prawidło postępowania, które niemal temi samemi słowami wypowiadał Kra-siński w *Psalmach*. A kiedy Młodzieniec zmęczony i zasmucony widokiem piekła i czyścica, dopomina się o trzecie, o niebo, Mistrz daje mu naukę, że »jaśnie »błękitu ukryte są w głębiach waszych; wiarą wzbudź-»cie je w jaśń, skrzydłem woli świętej wnieście je »w górę, a wtedy owo trzecie zacznie widomieć na ziemi«.

To więc jest pojęcie świata dzisiejszego, to przy-gotowanie, przez które przechodzi młodzieniec, żeby się nauczył brzydzić i gardzić piekłem, cierpieć nad czyścicem, a żądać tego trzeciego, zanim sam zacznie myśleć o tem i dla tego działać, jakby ten czyściec w owo trzecie zamienić. Zawarta w *Nieboskiej kome-dyi* myśl *dobrej woli* tu okazuje się rozwiniętą i usta-łoną, jak w *Przedświcie* i w *Psalmach*. Niebawem zobaczymy, jak on stosował ją do historii, do prze-

szości świata. Przedtem jednak wtrąca poeta epizod, w którym reminiscencya widocznie gra wielką rolę.

Młodzieniec, poeta i marzyciel, znajduje się pośród pustego gwaru weneckiego karnawału, który go dziwi, a więcej korci. On pojąć nie może, że kiedy przed św. Markiem powiewa chorągiew obca, ta gawiedź bogata i uboga tak się wesoło i tak dziecinnie bawi. Pod rękę prowadzi go jego Bankier, nowo kreowany księciem, który dla młodego panicza, bardzo wielkiego majątku i bardzo arystokratycznego imienia, chce być szczególnie uprzejmym; chce mu służyć za cicerona w mieście, za przyjaciela i opiekuna w stosunkach z ludźmi, chce popisywać się nim tak, jak przed nim popisuje się swoim bogactwem, stosunkami, życiem na wielką stopę, księstwem i t. d. A tymczasem nie zapomina o rzeczach ważniejszych, i co chwila spotyka jakiegoś agenta, któremu poleca jak ma obracać papierami, żeby sprowadzić podwyżkę lub spadek, sobie zysk, a innym domom bankowym klęskę. Ale dlatego może, że ten typ Geldhaba tak już spowszedniał przez to, że tyle razy był powtarzany, a zawsze z temisamemi skłonnościami i śmiesznościami, dość, że książę-Bankier jest figurą raczej niesmaczną; a jeszcze niesmaczniejszą przez to, że umieszczona jest w poemacie bez potrzeby. Młodzieniec mógł taksamo księżnę Rahoga spotkać, mógł się dowiedzieć, kto ona jest, jakimkolwiek innym sposobem; książę Bankier koniecznym do tego nie był.

Księżna Rahoga, bez maski, w czarnej sukni, oparta na ręku wysokiego mężczyzny, przesuwa się przez tłum; w jej chodzie coś królewskiego, »kolana» moje proszą mnie, żebym przykląkł«, mówi trochę emfaticznie młodzieniec. Kto ona? Żona księcia Rahogi, najpiękniejsza kobieta w Wenecyi, sama bez majątku i tem bardziej zależna od męża — obca przytem, gdzieś z jakiegoś nieznanego kraju koło Odessy, Ro-

syanka czy Polka, mówi księżę Bankier; a jej mąż, to wielka figura »wie wszystko, trzęsie wieloma rzeczami »w państwie, ale przytęm straszny człowiek; policyan-tem nie jest, ale... ale jest straszny człowiek«. Tyle Bankier; a młodzieniec na widok tego ideału piękności, tej Polki, której mąż ma takie wzięcie i znaczenie w Petersburgu, zdjęty jest wielkiem współczuciem, i czcią, i uwielbieniem, owładnięty jakimś pociągami mimowolnym a potężnym; on ją gdzieś widział, on ją gdzieś zna, ale gdzie? przypomnieć nie może. Pamięć snu nie została w nim tak jasna i wyraźna, żeby mógł poznać kobietę w żałobie, która tam opowiadała swoje dzieje... Dość na tem, że Młodzieniec od pierwszego spojrzenia kocha, czci, wielbi księżnę Rahoga z całego serca i z całej duszy swojej.

Surowy Aligier chce młodzieńcowi wydrzeć z serca tę miłość: »Zakochujesz się w sobie samym, myśląc, że »w drugiej istocie, i tem rozwiązujesz się sam z potęg »istoty swej. Czyż zawsze człowiek musi zejść do »skończoności, i szyderską pomyłką ziemię za niebo »wziąć, nieba właśnie szukając?« Zakochany Henryk odpowiada, że temu urokowi oprzeć się nie może, że chce tylko głos jej usłyszeć, przyjaźni trochę zyskać; że ta miłość nie złamie jego sił i nie doprowadzi do starości ducha, bo jest święta; że go i od miłości ojczyzny nie oderwie, bo ta kobieta przez swoje nieszczęście i wdzięk »podobna jest do przechodzącej ojczyzny«. Czy z tak zaczętego uczucia byłby się wywinął jakiś ciąg dalszy, gdyby poemat był skończonym? czy w zakończeniu byłyby się sprawdziły przepowiednie Aligiera, że przez tę miłość duch młodzieńca zwiędnie i ulegnie przedwczesnej starości? czy jak czarna postać w Śnie, księżna Rahoga zostałaby może zhańbioną przed światem za to, że »święcie kochała«, za to, że uwierzyła w piękność, i dobro i rozum na ziemi? czy, jak tam, dusza jej byłaby umarłą, a na świecie ciało

tylko, które nie umiało skonać? czy ten który ją kochał, porwany »swoimi męskimi losami«, opuściłby ją i »zostawił w samotności ducha«, i czy to wszystko miało być przygotowaniem do tej próżni serca, która się tak młodzieńcowi sprzykrzyła, że Henryk z *Niebo-skiej komedyi* zapragnął aż »zstąpić do ziemskich ślubów?« wszystkie te pytania i domysły, które się tu same nasuwają, muszą oczywiście pozostać bez odpowiedzi, i nie mogą nigdy być czem innym jak pytaniami i domysłami; bo na pierwszym rozmarzeniu młodzieńca urywa się ten epizod miłosny, a Aligier chcąc go zahartować i przysposobić do wyższych miłości i pragnień, przypomina, że przyrzekł »wprowadzić go do grona utajonych i tęskniących, w których »duchu przyszłość się wypracowywa«. I teraz zaczyna się część najważniejsza poematu. Tak, jak *Sen* był obrazem dzisiejszego stanu świata, tak w podziemiach pałacu weneckiego, w części piątej, zobaczy Młodzieniec całe pasmo dziejów, obraz postępu ludzkości w górę przez cały szereg wieków; w szóstej, dowie się, jaka ma być jej przyszłość, jakie najbliższe stadium tego postępu i zadanie ludzi dzisiejszego wieku, i jak działać mają, żeby to zadanie spełnić.

W ciemnościach sklepów podziemnych chór niewidzialny odzywa się zdaleka: »Wy, co chcecie prze-czuwać, wspominajcie; co chcecie stawiać terazniej-szość i odkryć przyszłość z jej szczytów, weźcie »wprzód w głąb duszy wszystkie dni zbiegłe przeszłości, bo choć odmienne dzieje, pomysł wieczny jeden, »i prawda jedna. Każda myśl poczęta w Bogu, męczy »się i krzyż swój nosi i grób swój ma, ale każda »zmartwychwstała w następnej, każda z grobu się »podniosła w innem, wyższym cielem«. To wstęp, przedmowa, klucz do tej historyozofii, której wykład i przystosowanie ujrzy zaraz Młodzieniec w szeregu następujących po sobie obrazów. Znaczenie tego jest, że

każdy wiek, każda epoka, każdy naród w historii, miał swoje pojęcie dobrego, w którym była prawda, choć nie całkowita; i do niego dążył, choć nie cały, ale przez najlepszych pośród siebie. Każdy wiek, każdy naród miał swoich ludzi »dobrej woli«, którzy kolejno jedni drugim podawali iskrę życia, a poprzedni byli zawsze szczeblem, po którym następní wdzierali się wyżej. Ideału swego nie dopięli, nie urzeczywistnili, bo jako ludzie błędzić musieli i prawdy jasno i całkowicie nie widzieli; ale poznawali ją coraz lepiej. Aż wreszcie nadchodzi czas, że ją poznają całkowicie, i w dziejach swoich urzeczywistnią ten ideał dobrego, do którego poprzednicy od pierwszych dni historii dążyli.

A więc obraz pierwszy, to pod słońcem jasnym i skwarnem palmy, kwiatów mnóstwo, wysokie gwiazdarnie, świątynie okrążone krużgankami, wiszące ogrody, a wśród tego ludzie w fałdzistych sukniach, gwiazdami naszytych, z tyrami na głowie. To Eufratowy brzeg, to stara cywilizacja Babilońska; Chaldejska religia, chaldejskie pojęcie prawdy, cześć światła niewzruszonego, jako obrazu bóstwa. I do tego światła z tęsknotą wyrывa się chór chaldejskich mędrców i gwiazdarzy. W czym Krasiński upatruje prawdę ich pojęć, a przynajmniej ich szlachetną dążność? Oto odpowiedź: »Ormuzd i Aryman wiecznie walczą wszędzie pasując się, czy w barwach tęczy, czy w sercu człowieka. My pragnęli wyzwolić się, wyczyścić, wypłonać ku Tobie, i niższe ludzic my porwać chcieli ku słońcu, ku Ormuzda błoniom«. To jest dążność i zasługi ich wiary i cywilizacyi. Ale przychodzi na nich wielka tęsknota: »czujemy, że nasza siła znika, kiedyś i sam Aryman w pokucie przetrawion wróci na łono wszechświata, ale nas już nie będzie wtedy«. Jak w panoramie, jak w złudzeniach optycznych, znika obraz, a na jego miejscu powstaje, składa się drugi,

i znowu rozplywa się, zostawiając miejsce trzeciemu. Po Eufracie Nil, po wiszących ogrodach ponure i ogromne nekropolie, krużganki z pylonów, sfinxy w dwóch szeregach, jak żołnierze przy uroczystościach: po Chaldejskim kulcie światła, tajemnice religii egipskiej, po walce Ormuzda z Arymanem walka Ozyrysa z Tyfonem. »U nas przechowana tajemnica tajemnic«, wołają egipscy kapłani, »my pierwsi poznali Ciebie, któremu »na imię *był, jest i będzie*«, (pierwsi mieli pojęcie nieśmiertelności i wieczności). Zwolna my chcieli »ze-»psute plemię wiecznej prawdy nauczyć, zwolna duszę »odpętać od ciała, by poszła radosna w niebieską oj-»czyznę, i czemuż my konamy kiedy czujem, żeśmy »posłańcami Boga?« — »Ale nie Bogiem samym«, odpowiada jakiś chór daleki, »On jeden tylko nie umiera »by odżyć« — i znika Egipt tajemniczy i ponury, żeby ustąpić miejsca innemu światu jasnemu, pogodnemu, pięknemu, cywilizacyi szlachetniejszej i lepszej. »Tu »mądrość, tu harmonia, tu wdzięczna Psyche odszuka »Erosa, brzeg zielony, morze lazuruwe, brzęk lir i cy-»ter, świątynie z paryjskiego marmuru«, to Grecya: a pośród niej, jako skarbnica prawdy i wzniosłej dą-»żności, nie surowa Sparta, nie miękki Korynt, ani klassyczne Ateny, ale »niepokalana Eleuzis«. To podług niego, co było najgłębszego i najwyższego w cywilizacyi helleńskiej; a pośród chóru kapłanów i hierofantów odzywa się głos Platona, słowo najwyższe Grecyi »kochaj o duszo Ideał nad miarę, kochaj »go niezrównaną miłością, znaj się i wznieś skrzydła »twoje a zanosą cię do domu; dom twój to pierś Boża, »ludna wielkim ludem, ideami wieczności«.

Po nich skaliste, ostre wybrzeża Syryjskie, jaskiń w nich pełno, w których mieszkają pustelnicy przeczuwając Pana; to góra Karmelu, to kwiat Izraela, pustelnicy i prorocy. I ci wołają: »zmiłuj się, ześlij

»myśl czystą, prorokom widny niegdyś Chrystus twój
»niech zstąpi«.

Tak więc stopniowa praca ducha wieków starożytnych zaczyna od pojęcia Bóstwa, i od pojęcia złego i dobrego u Chaldejczyków; potem wznosi się wyżej w Egipcie, kiedy zdobywa pojęcie wieczności i nieśmiertelności duszy. W Grecyi dochodzi tak wysoko, jak tylko sama przez się dojść może w dążeniu do dobra i piękna. W Izraelu wreszcie, czując, że sama zadania nie pojmie ani nie spełni, woła tęsknie i gorąco o objawienie prawdy, o odkupienie ludzkości. I tu robi się wielki przelom wieków, znikający Esseńczycy padają na kolana; Młodzieniec pociągnięty przez Aligiera przykłęka; chwila milczenia i jasności takiej, że wzrok ludzki nic w niej rozpoznać nie może. A gdy ona ustąpiła nieco, Młodzieniec widzi nad sobą dwie stopy »jak dwie gołębice śnieżne wstępujące «w niebo«, a na ziemi grób pusty strzeżony przez dwóch aniołów, i przesuwającą się jak westchnienie postać Magdaleny (która pierwsza widziała Zbawiciela po zmartwychwstaniu). Chór głosów nadziemskich zapowiada, że odtąd »żaden człowiek, co stał się duchem, »nie umrze w grobie; żaden lud, co stał się narodem, »nie umiera na ziemi«.

Aligier prowadzi młodzieńca w »chrześcijański »świat, w drugą dziejów część, do innych prób ludz-kości«.

Wieki średnie. Kościół »rośnie ciałem, sam deptając po ciele« oblókł się w szkarłat, zwielmozniał, zrzymianił się, »i jęk ludzi zacznie się nań skarżyć«. Pierwszy obraz, to prześladowanie Albigensów, którzy wyglądali obiecanego Ducha Pocieszyciela; konając, podają niedopity puhar życia Templaryuszom, którzy mają obalić niesprawiedliwość i gwałt, i doczekać się ducha; a sami upadają dlatego, »że kto żąda zawczasie, »ten nie zna Przedwiecznej mądrości«.

»Od morza do morza jedna Rzeczpospolita, a w niej
»Królestwo Boże na ziemi — jedna owczarnia, ludz-
»kość i jeden pasterz panujący Bóg«, to święty pomysł
Templaryuszów, jak go określa skazany na spalenie
Wielki Mistrz. Po nich wielka epoka walk religijnych.
»Rozpadło się słowo Boże, europejski gmach się trzę-
»sie, na poły księży, a na poły świecki, nie dociągnion
»do niebios i nie doparty do wnętrzości ziemi, a ka-
»żdy w dniu zwycięstwa niemiłosierny, jeden traktuje
»po drugim«: to wstęp do wieków ostatnich, to ta
epoka, która zaczęta Reformacją, skończyć się miała
Rewolucją francuską. Próżno szamoczą się w mar-
nych usiłowaniach alchemicy, czarnoksiężniki, Różo-
krzyżowcy, których hasłem było natchnienie i wolność,
a dążeniem odkupienie i uszlachetnienie natury; nie
ma kamienia filozoficznego, nie ma przepowiadanego
tysiącolecia Królestwa Bożego. Próżno na wezwanie
mistrzów nie dopity puchar oddają w ręce wolnych
mularzy, bo teraz trzeba »łać krew własną i cudzą,
»rządy kruszyć, głowy królewskie zdejmować z kar-
»ków, Kościół nowemi rozdzielać bólami«; pomimo
tych wszystkich dążeń i wysiłków, dusza pokłoniła
»się ciału, Kościół pokłonił się królowi, ciało porosło
»w sto głów, w sto koron, imię Europy to król. Pod-
»walinami ich tronów głowy bohaterskie ścięte, a ka-
»żdy z tych bogów ziemskich zapomniał o niebieskim:
»narody gasną, i wszędzie gwałt, i wszędzie mus,
»i wszędzie bunt! aż wreszcie ludzkość zamordowana
»w jednym narodzie tak, jak niegdyś Bóg w czło-
»wieku. Zbrodnia, jakiej nie było od krzyża, na któ-
»rym skonał Pan: pogrzeb człowieczeństwa« — rozbiór
Polski.

W trumnie leży archanioł spowity we własne
skrzydła, przebity trzema mieczami; a nad nim trzech
ludzi, trzech karłów w wysokich koronach, których
krople krwi świecą jak rubiny, a łzy jak perły, z ber-

łami zakończonemi bagnetem, i przykrywają ciało w trumnie coraz grubszym całunem. Słuchają, czy serce jeszcze bić nie przestało, bo dopóki nie przestanie, pokoju mieć nie będą, »żniwa swego nie zbiorą i nie zasną na snopach z ciał ludzkich«. Ale to serce bije zawsze. »Miałoby to być prawdą, że duch czyjś, a nie »ślepy los, rządzi światem?« Odpowiada na to jakiś chór piekielny, »że ci tylko żyją, co zabić umieją: za-»bić, to owładnąć zamętem«.

Zbliżamy się do wieku XIX. »Każdy lud w roz-»paczy, król każdy w przerażeniu«, wolne mularstwo gotuje się do dzieła. »Dzisiaj nienawiści trzeba, praca »nienawiści, to nienawidzonych zguba, więc gubić bez »litości, miękkich włókien w sercach nie mieć — wy-»tracić tych, co noszą Chrystusowy znak, a wtedy »zacność moralna wcieli się w rozsądek wszystkich; »szkielet tylko zostanie z europejskiego społeczeństwa«. I powstaje obraz nowy. Ulica z gilotyn, krew strumieniami tryska, w końcu nie ma już komu i nie ma kogo zabijać, a nic »się nie naprawiło dla ciała ni dla »duszy, para z krwi ludzkiej mgłą posępną wstaje na »około nas — ślepiemy«. To rewolucya i jej koniec; a naprzeciw niej, trzech karłów, zagnanych pod ziemię przez Napoleona, wychodzi znowu, żeby »święty »pokój ogłosić i wszystko, co z nich jest, nazwać świę-»tem. Sprawiedliwości pokostem niesprawiedliwość »umalować wszelką«. I przysięgają sobie cicho, bo »gdyby na zacność, i rozum i cnotę«, to przysięgaliby głośno.

To już dni nasze, to ta epoka, która po kongresie wiedeńskim panowała w Europie siłą św. Przymierza, a środkiem »dyplomacyi, policyi i żandarmeryi«.

Ale »zmiłuje się miłosierny Pan. Ufajcie, bo nie-»skończoną zbrodnię odkupić musi nieskończone do-»bro. Z męki bez granic w Jednym, wstać musi życie »bez miary we wszystkich. Tu dopiero koniec prze-

»szłości; za temi progi terażniejszość się zaczyna«; i zgromadzenie żywych duchów marzy o tem, co się stać ma, bo się stać powinno. »Nadchodzi wreszcie »obiecany dzień, wiek, który zwie się pocieszycielem, »godzina, która zwie się dopełnicielką. Jak Pan tro- »isty i jeden, tak dzieje planety troiste choć jedne; »Duch z Ojca i Syna jest, i obu miłośnie kojarzy; »trzeciem wszechmiłości tchnieniem Pan upomni się »o planetę swego«.

Na tem kończy się obraz wieków, to Krasińskiego pojęcie historyi. Ludzkość dąży w górę, ku doskonałości, ku coraz wyższemu pojęciu i coraz lepszemu urzeczywistnieniu myśli Bożej w sobie. Przed Chrystusem przeczuwała ją zaledwo, dążyła do niej coraz wyżej, ale mozolnie, bo o własnych jedynie siłach, i dojść do niej nie mogła; po przyjściu Chrystusa, przez to, że Kościół urósł w ciało deptając po ciele, że później rozdzieliła się dusza świata, Kościół pokłonił się królowi, a król, Bóg ziemski, zapomniał o niebieskim i o tem że ludzkość jest córką Boga, przez to doszła ludzkość do zbrodni rewolucyi w jednym kierunku, do zbrodni rządów w drugim. Z tych zbrodni oczyścić się musi przez cierpienie i pokutę; z męki bez granic w jednym wstanie życie bez miary, i wtedy zacznie się trzecia epoka troistych dziejów ludzkości, w której Duch miłośnie skojarzy Ojca i Syna. Epoka Ducha św., sprowadzona przez ofiarę Polski, expiacę wszystkich grzechów świata, a objawiająca się jej odżyciem, oto treść tego wykładu dziejów.

W tym obrazie chrześcijańskich wieków na pierwszy rzut oka dziwnym się wydaje wybór tych, którzy z rąk do rąk podają sobie puhar żywota. Czyż istotnie Krasiński mógł myśleć, że prąd główny postępu ludzkości szedł przez Albigensów, Templaryszów, i różnych innych, aż dochodził do dzisiejszych Wolnych Mularzy? Takie rozumienie jego myśli by-

łoby mylne. On w dążeniach tych wszystkich przypuszcza jakąś część, jakieś źdźbło prawdy; ale nie uważa ich za całkowitych, ani za jedyńych, ani za najwyższych tej prawdy reprezentantów czy obrońców; ale za reprezentantów tej walki, tego rozdarcia, które w jego pojmowaniu historii jest treścią, istotą i koniecznością naszej chrześcijańskiej ery i cywilizacji. Przypomnijmy sobie, że podług niego starożytność była epoką prostego tylko bytu »w troistych dziejach ludzkości«. Chrześcijaństwo jest *antitezą* tej tezy; jest epoką rozumu i świadomości, której skutkiem jest sprzeczność i walka między bytem, a świadomością czyli sumieniem. Przeznaczeniem tej epoki jest ciągły postęp przez ciągłą walkę, zasługa przez trud. W trzeciej dopiero obiecanej epoce, nastąpi harmonia między bytem a sumieniem. Nasza epoka zatem, z góry i z przejrzenia Bożego, przeznaczona jest na to, iżby nigdy równowagi nie miała, iżby ciągle chwiała się i szarpała między dobrem a złem; iżby wszelka prawda, wszelka myśl czy dążność dobra, także wystawiona była na działanie złego i ulegać mu mogła a po części nawet musiała, iżby z zarodków dobrego rodziło się i krzewiło się złe, z którym nowa walka, nowy trud, i nowa zasługa. Pod tem nieszczęsnem, ale koniecznem prawem »z wielmożniał Kościół i oblekł się w ciało«; pod tem wyrosło absolutne Państwo; pod temsamem ci wszyscy, którzy zepsucie jednego a przemoc drugiego chcieli naprawiać, brali się do tego dzieła źle, złemi środkami, i zamiast przybliżać się do celu, odpychali ludzkość od niego. Tak należy rozumieć Albigenów, Różokrzyżowców, Wolnych Mularzy, i tę ich rolę, jaką im poeta w swoim obrazie wieków i postępu ludzkości przyznaje.

Wiemy także, jak mamy rozumieć rozbiór Polski i jej ofiarę. Nie znaczy ona, iżby Polska miała być odkupicielem świata, ani bezwinną za jego grzechy ofiarą.

Ale dzieje ludzkości są na wzór żywota Zbawiciela; w tych dziejach, jak w tym żywocie, musi być śmierć, na to, żeby mogło przyjść pełniejsze uwielbione życie. Ludzkość cała przejść przez nią nie może; przechodzi więc w jednej swojej części. Ta część ludzkości, jeżeli tę próbę wytrzyma nieskalana, odrodzi i zbawi sama siebie i ludzkości całej otworzy drogę do wyższej epoki, do chrześcijańskiej cywilizacji, do politycznego i społecznego stanu, opartego na prawie Bożem i z niem zgodnego. Cokolwiek zaś myślałby kto o tej części nauki Krasińskiego, to tego zaprzeczyć i odjąć mu nie można, że jego pojęcie historii, wyprowadzające nowoczesne państwo, takie jak widzimy od kongresu westfalskiego, z tego rozbratu jaki sprowadziła Reformacja i wojny religijne, z tego Państwa znów rewolucję, z niej kongresy wiedeńskie i święte przymierza, że jego słowa odnoszące się do rozbioru Polski »odtąd nie spocznie świat europejski, aż sam »sprawiedliwym się stanie« są niemniej głębokie i prawdziwe, jak szlachetne, a historią zbyt wyraźnie stwierdzone.

Jeszcze jaśniej, jeszcze wyraźniej rozwija on te swoje pojęcia w części ostatniej, w której Aligier wprowadza Młodzieńca do »zgromadzenia duchów żywych, gdzie terazniejszość wypracowuje przyszłość«, i marząc o tem, co się stać ma, bo stać się powinno, zgromadzenie to myśli nad tem, jakim sposobem to, co powinno się stać, stać się może.

Co to za zgromadzenie? złożone z ludzi wszelkich narodów, z chórów irlandzkich, włoskich, niemieckich, słowiańskich, i polskich, pod przewodnictwem jakiegoś Prezesa, którego tytułują »Arcyprzewielebnym?« To jakieś sprzysiężenie oczywiście, jakieś tajne towarzystwo, ale takie, jakby go Krasiński żądał i rozumiał; sprzysiężenie ludzi dobrej woli, które nie żąda od ludzi przysięgi, ani ślepego posłuszeństwa,

nie myśli iść do celu przez jakikolwiek uczynek zły, ale naucza członków swoich, że »ten tylko Boga uwielbi« »kto przepis jego we wszelkiej rzeczywistości uwidomi. Ani osobnikowi, ani narodowi, ani ludzkości« »łaska wiekuista nie zdała się na nic, jeżeli aż pod »same niebiosów rąk nie podniosą ku niej, bo połową »stworzenia wola stworzonych (dobra wola); jeżeli sami »nie wysłużym, nie wypragniem, nie wyczynim, Duch »nie zaświeci nam. Zatem czyn, który sam będzie pocieszycielem, wykonaniem obietnicy, zstąpieniem Ducha, jest w nas, w każdej piersi i od nas zależy. »Ołtarze Boga nie tylko pod katedrą sklepieniem; wszędzie, i Izbie poselskiej, i na trybunale, i w kole wyborców, i na stolicy władnej, i na rynku, na giełdzie, »w rękodzielni, w sztuce każdej, w umiejętności każdej, Pan dojrzan, poznany, uczczony i wykonany być »musi. Każdy trud w posłannictwo, każdy urząd »w kapłaństwo się zmieni, i czią Tego który jest, »będzie być i żyć«.

Oto dążność i nauka tego sprzysiężenia »żywych duchów«, w których łonie wypracowuje się przyszłość. Pomiędzy tych wprowadza Aligier Henryka, jako »człowieka«, a człowiek w jego pojęciu jest »duchem bez początku, bo z Pana wyszedł, i bez końca, bo ku »Panu napowrót dąży. Nigdy nie stopi się z Panem, »on ciągle jeden, ten sam i niezatrącalny; na pielgrzymkę ziemską dano mu ciało, które on zrzuci kiedyś, i inny, wyższy kształt przybierze w dzień przypomnienia i sądu« — pojęcie człowieka ściśle religijne, katechizmowe. A jak duchem on jest teraz tylko pod postacią człowieka, tak człowiekiem może być tylko pod postacią Polaka. »Gdyby wdział inną, »upadłby niżej bydłęcia«.

Takiem pojęciem siebie samego (które znamy już z dawniejszych dzieł poety), przywitany przez Aligiera i chór polski, Henryk wzięty jest na pytania, jak poj-

muje ludzkość i dzieje, czy trafnie rozumiał znaczenie tych obrazów, które się przed nim dopiero co przesuwają. Examin ten prowadzi sam Prezes, odpowiadzi są oczywiście tłumaczeniem allegoryi poprzednich: »Widziałem ciało pogańskie wszelkie, tęskniące do chrześcijańskiej duszy«, to Babilon, Egipt i Grecya. Potem za świata chrześcijańskiego »widziałem rój myśli świętych, rozwieszon nad ziemią, ale nie spuszczały się na dół« i wtedy nastąpiła »rozpacz ciał wszystkich, że widzą duszę nad sobą, a nie mogą ściągnąć jej do piersi, więc płaczą, zgrzytają i krwią pluszczą«. Oto krótka formuła na wytłumaczenie dziejów przeszłych. A teraz nastąpi obwieszczenie tajemnicy przyszłych; pośród chórów klęczących Prezes odczytuje z Ewangelii św. Jana ustęp o zesłaniu Ducha św. Pocieszyciela: »Mam wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie, lecz gdy przyjdzie Duch prawdy etc.« To jest przepowiednia najwyższa, »Syn Boży wstępując do Nieba, widzi już Ducha: człowiek jest zwierciadłem wieczności, więc w dziejach globu musi się odbić kolejno ta Trójca, co wiecznie sobie współczesna na niebie«.

Ale ta przepowiednia nie sprawdzona dotąd, obietnica jeszcze nie spełniona; żaden z ośmnastu wieków chrześcijaństwa nie uwielbił Chrystusa. »Wszędzie rozłam, i rozpad, i rozstrój, części tylko, a każde we wszystkość zesamolubić się chce, wytępiając inne«. W ostatniej dopiero i najwyższej chwili dopełnienia swojego »ludzkość stanie się Chrystusem we wszystkich ludziach« (tj. wydoskonali się i uświęci w każdym z osobna i we wszystkich), a członkami tego »ciała, w którym będzie jeden Duch, barwami tęczy, z których ta białość świetlana powstanie«, są narodowości. »Wolne narody, jak lutnie różnobrzmiące, wydźwięczą z siebie ludzkość, najdoskonalszy wszechdźwięk swój. Niech więc nie zapominają o miłości,

»bez której nic postawić i zbudować nie sposób; niech »pamiętają, że nie to, co niewzruszone i zbite jak skała, »mądrością na ziemi (nie nieruchomości i zastój), że »nie to, co wściekle i wysadzające w powietrze, na »tchnieniem i czynem (nie rewolucya), ale że istną »świętością i wybornem pięknem to, co płynie wciąż, »a wstępujące coraz wyżej w górę, to, co szersze co »chwila a jednak tożsamo, jak światła wschód nie- »skończony«.

To znowu, wolne narody, dążące ciągle w górę, w zgodzie pomiędzy sobą, a nie przez wściekłość i gwałt, ale przez miłość, to formuła przystosowania, to konkluzya całej historyozofii poprzedniej, zamieniona w prawidło, które powinno być kamieniem węgielnym polityki, to jest punkt, w którym teoria i filozofia styka się z praktyką i w nią przechodzi; to jest ostatnie stadium tego pochodzenia ludzkości, którego krokiem pierwszym było »wszelkie ciało pogańskie tęskniące do chrześcijańskiej duszy«, to jest zarazem cel i zasada ludzi »dobrej woli«, nad których wciele- niem oni pracują, zaczynając od siebie samych, »pa- trząc na swoje widnokreśli«.

Zdawałoby się, że prawda znaleziona, a więc droga jasna, jeżeli nie gładka, przed nami. Ale wtem słyhać »zgrzyt żelaza po szkłe«, zaprzeczenie tej prawdy, które zamąci harmonię przyszłości. Naczelnik chóru polskiego, Pankracy, prosi o głos. Prezesowi nauczającemu nowo przyjętego przerywać nie wolno, ale on o pozwolenie nie pyta: »narażasz tego Młodeńca na zgubę, gdy o miłości mówisz i miasto »hartu wtkliwiasz mu miękkość do serca«. Od tych słów wszczyna się rozprawa pomiędzy »dobrą wolą« a »rewolucją«, o ich zasady i środki działania, która jest i charakterystyką pojęć, i zarazem przepowiednią, że postępowi ludzkości stanie w drodze demagogia

i teroryzm, i że one go cofną, kiedyby mógł się urzeczywistnić.

Zagaja ją Pankracy tonem i słowami, które przypominają bardzo rzeczywistość lat ówczesnych, język centralizacyi wersalskiej i londyńskich gmin Towarzystwa demokratycznego, język wielu ówczesnych emigracyjnych dzienniczków; wszystkie paradoxalne doktryny zachodnie, krzewiące się bujnie w głowach polskich niedowarzonych, a zwłaszcza niedouczonej i ambitnych, odgłos tych dzwonów, które dzwoniły na »czyn« roku 1846. Pankracy ma retorykę rewolucyjną, ścisłą, śmiałą, otwartą, nie patetyczną wcale, otwartą aż do cynizmu; ale jest w niej siła, namiętność, jest energia nienawiści. W jego przemowie jest essencya wszystkich doktryn i teorii ówczesnych, tylko lepiej wypowiedziana. Odeprzeć chce ją Aligier, ale Pankracy gardzi dysputą: »Kto sam słowem konieczności, ten na marne słowa ludzkie nie odpowiada«, każe się zastąpić przez swoich niższych, swoich podwładnych, jak król przez kanclerza. Stronnicy jego, których liczba dość znaczna, oznaczeni są nazwiskami charakterystycznymi, gminnym nazwiskiem »Kiermasza«, cudzoziemskim »Blaumana«, a każdy z nich reprezentuje jakiś odcień, jakąś odmianę osobną w demagogicznym »genus«. Więc Blaumann na-przód, który pierwszy głos zabiera, to krzykacz głupi, odmiana najpospolitsza, wizerunek tych ludzi, którzy z rezonem i swadą człowieka który o niczem nie wątpi, bo nic nie wie i nic nie rozumie, szermuje frazesami, które na zupełnie ciemnych ludzi tylko mogą robić wrażenie. Awanturnik polityczny najniższej klasy; a płytki przytem, jak ojciec chrzestny z *Nieboskiej Komedyi*; w położeniu tamtego rozprawiałby jak tamten o swoich zasługach i obywatelskiem życiu. W środku jego perory wsuwa się charakterystyczne słówko Pan-

kracego po cichu wyrzeczone, «nie mów tak dużo o Ojczyźnie».

Po nim drugi. »Wielki, proroczy Duch«, który sobie metafizycznie rewolucję wyrozumował, a poetycznie się dla niej wyexaltował. »Śmierci rozrobem kończą się ery planety, a wieki mają być wzięte na tortury za to, że zbrodniczyły wciąż a nie znały, co Duch«, poetyczna i natchniona frazeologia mistyki, zastosowanej do rewolucyi i rewolucyi przechodzącej w mistykę. To nie jest pospolity głupiec, jak Blaumann, to paradoksalny filozof i sofista; jakiś nowoczesny Anacharisis Cloutz, który »wyróżnienie logiczne i nieodwracalne« wydedukował z zasady, i uznał za swoją apostołską misyję. Dlaczego ta figura dostała nazwisko Julinicza, przypominające imię Juliusza? Czy to przypadek? Jeżeli przypadek, to bardzo dziwny, bo nie w nazwiskach tylko jest podobieństwo, ale w przemowie Julinicza są myśli, są prawie słowa i zwroty, jak żeby wyjęte żywcem z *Wiersza do Autora Trzech Psalmów*. Samo to zapowiedzenie siebie jako wielkiego Ducha i Proroka, to już przypomina znaną zarozumiałość Słowackiego; wezwanie »znajcie mnie« przypomina jego ciągły żal, że uznanym nie jest; a ten »Pan, który obraca tysiącem mieczów« jest tak podobny do tego »Ducha, który wybiera rzeź«, te »burze i zawieruchy z żywych ludzi« tak podobne do »Zebrzydowskich i Zborowskich« w tamtym wierszu, sam język obrazowy i poetyczny tak go przypomina, że myśli się koniecznie, iż Krasiński pisząc to, miał Słowackiego na myśli.

Ale Aligier nie da się zbyć lada czem; frazeologia figurantów rewolucyjnych jemu nie imponuje. On chce się rozprawić z człowiekiem prawdziwym, z takim który myśli, i Pankracego samego zmusza, by mu stanął do rozprawy. »Ukrywasz się za drugimi, jak Kain się ukrywał po zabójstwie brata, boisz się

i wstydzisz się«; a potem chwyta go za gardło, trafia w samą odrazu najsłabszą stronę zapytaniem, które każdy uczciwy człowiek zawsze naprzód zadaje, a przynajmniej powinienby zadawać każdemu Pankracemu, i na które wprawna dyalektyka Pankracych najrzadziej istotnie znajduje odpowiedź: »czy wierzysz w to co mówisz«, czy wierzysz »że dla odsunięcia głazu grobowego, trzeba ręką zmartwychwstańców rękawic z błota i krwi, że można Bogu wszechmocnemu powiedzieć: wyjdź teraz a wrócisz potem, boś nam dziś naddatkowy, dopiero potrzebny pojutrze«. Nieskończona kwestya tak zwanych »rewolucyjnych środków« zasada, że »cel środki uświęca«, to wieczna słabość ludzi, którzy ją wyznają; to ta, która sprawia, że oni nigdy w siebie zupełnie wierzyć nie mogą, bo pomimo wszelkich sofizmów i sztucznego umyślnego tumaniania siebie samych, czują w gruncie, że między celem a środkiem jest taka sprzeczność, iż albo cel, albo środek musi być kłamstwem: pogodzić jednego z drugim nie można. Jeżeli wierzą w to co dobre i chcą go dlatego że jest dobrem, to nie mogą równocześnie wierzyć w złe i robić źle; jeżeli zaś złe robią, złe wyznają, to może być, że jako ludzie złożeni ze sprzeczności, pomimo tego chcą i dobrego, ale z pewnością nie jego samego, tylko obok niego czegoś więcej i czegoś złego, zemsty, nienawiści, dumy, pod jakąbądź formą siebie. Dopóki zasada »cel uświęca środki«, pozostanie w rewolucyjnym kodexie, tak długo sprawa ta będzie zawsze moralnie słabą, bo przed sumieniem ludzkim i sama przed sobą nie będzie mogła zaprzeczyć swego grzechu pierwotnego, nie będzie mogła zaprzeczyć, że w niej jest fałsz i kłamstwo.

Takiem zapytaniem o dobrą wiarę godzi Aligier naprzód w Pankracego. Temsamem objęta jest i wzięta do śledztwa jego wola. »Dlaczego mówisz zawsze Lud, Lud, a nigdy naród nie powiesz?« bo zawiścią zdjęty

nadajesz »chuciom piersi własnej imię konieczności« — do złej wiary, do sofizmu dochodzi się przez zepsucie woli, jeżeli człowiek sam stanie się jej celem, i (do czego bądź dojść chce) własnym chuciom nada imię konieczności. U Pankracego forma egoizmu jest widoczna i łatwa do poznania, »chce być pierwszym«: i wmówił w innych, poczęści i w siebie, konieczność, żeby być tej konieczności słowem.

A po dobrej wierze i rzetelności woli, przychodzi kolej na trzecią stronę, na trzeci czynnik w sumieniu Pankracego, na miłość Ojczyzny. Aligier pyta, czy ta każe mu wierzyć i uczyć, że »Polska cała ma wyglądać jak morze krwi«. »Czyś ty z przyszłości się urodził? co byś znaczył na świecie, ktoby ciebie słuchał, »gdymby przeszłość wszystkiego nie była ci dała, czemu się targasz na dziejowe powietrze piersi twoich? »Wiedź naród twój, ale go nie odnarodawiaj, nie bądź »czwartym katem, do trzech tamtych przydanym przez »piekło«.

To wezwanie słuszne i prawdziwe, oczywiście najmniej robi wrażenia na Pankracym, który przed chwilą przestrzegał swego zwolennika, żeby nie bardzo wyjeżdżał ze słowem *Ojczyzna*, bo to trąci wstecznością. Ale przestroga taka da się powiedzieć po cichu, głośno do takich pojęć przyznać się nie można, jeszcze zawczasie; omija więc Pankracy kwestyę, wykręca się, a odpowiada tylko na ostatnie słowa, ostatnią groźbę Aligiera: »na swojej drodze jeżeli wytrwasz, możesz być potężnym na pewien czas, lecz »przepadniesz przed Bogiem, a w dziejach przejdiesz »jak koń Atylli«. — »Hej sztuki, zabobony, przesady, »wróżby — myślisz mnie gusłami przegrodzić od czynu, »od władzy? Co tu wykładają, nudzi mnie oddawna, »wszystko gnuśne, filozoficzne, religijne; żółwie ta- »kiemi samemi; kto we mnie wierzy, niech się z chóru »polskiego oddziela i staje przy mnie«. Zerwanie do-

konane, społeczeństwo europejskie, i polskie także, rozchodzi się w dwie drogi, które się zejść nie mogą, Pankracy zrywając stawia swój program polityczny: »Kto godzi w cel, ten środków się jak strzał zatruty chwyta. Brud nie brudem, gdy przezeń stąpa się do wszechludzkości; zasady niech żyją, a niech »ginie pół Europy«.

Sens moralny całej rozprawy, całej tej rozprawy o rewolucyi i jej środkach, znajduje się w ostatnich słowach Prezesa, »byli zawsze ludzie, których kusi-»cielką pycha, a czynem niszczenie. Wstrzymasz ro-»zwoj ludzkości, zwrócisz ją na manowce, wieki prze-»razisz i cofną się w tył. Czegoby nie dokonał wszy-»stkich mocarzy przebieg, moc, i gwałt, ty dokonasz«.

Słowa prawdziwe; prawdziwe w swej ogólnej podstawnej myśli, stwierdzone w historii tem przerażeniem ludzkości, po którym ona cofnęła się w tył na widok roku 93 i podobnych, prawdziwe w tem, że Pankracy potrafi to, czego nie dokáže żaden mocarz, wstrzymać pracę ludzi uczciwych dla wolności i wolność samą zohydzić; a prawdziwe i w szczegółach: »Tyś faryzeusz takisam, jak królów podchlebcy, jak »świętoszki, jak szpiegi i donosiciele«; prawdziwe wreszcie i w tej ostatniej groźbie, którą rzuca Pankracemu, że choćby na jakiś czas zwyciężył, zginie, i ludzkość wyprze się go i przeklnie.

Na tem urywa się *Niedokończony Poemat*. Część szósta, scena w podziemiach, ta jest oczywiście skończona. Co dalej być miało? przez jaki szereg przejść i scen Młodzieniec zrażony przez Pankracego miał przejść na to stanowisko, jakie zajmuje jako Henryk w *Nieboskiej Komedyi*, przez jakie cierpienia w miłości miał przejść, zanim rozpaczliwie wygrał ostatnią stawkę osobistego szczęścia, i na los szczęścia zstąpił do ziemskich ślubów, tego już dziś nie dojdziemy. Z przytoczonego wyżej listu do pani Delfiny Po-

tockiej wiemy tylko, że ciąg dalszy miał być, a jego treścią główną miała być miłość. Ale dowiadujemy się czegoś więcej jeszcze: mianowicie że miała być trzecia część *Nieboskiej Komedyi*. Owego dnia kiedy powziął swój pomysł, ujrzał go Krasiński w trzech częściach. O pierwszej myślał już przed dwoma laty (1838) nawet napisał mały ułomek: ale teraz dopiero ujrzał i poczuł całość w jej ogromie. W części pierwszej będzie młodość: w drugiej (*Nieboska*) jest wiele męstwa, walki zakończone śmiercią, i wyznaniem *Galilaeae vicisti*. W części trzeciej będzie starość, ale »starość prawdziwa, wielka, czyli młodość pod wyżej podniesioną formą, postęp, wywyższenie, pokój, zgoda, rozum i uczucie pojednane. W tej trzeciej części musi się znaleźć przetworzenie ludzkości«. Henryk nie zginął. Duchy pańskie ocaliły go od śmierci, i gdzieś w pustyni przebył lata na rozpamiętywaniu życia i na odgadywaniu innego, wyższego, »Tymczasem arystokracja i demokracja zużyły się na ziemi: ludzie westchnęli ku zgodzie i jedności. W takim stanie świata wróci Henryk między ludzi, poezję młodości zamieni na rzeczywistość: wszystkich podniesie, wywyższy, i uszlachetni. »Wszyscy się zrównają, ale na wysokości nie na padole... Koniec winien być, jak w Fauście, boski, nadziemski, a jednak ziemski zarazem«.

Czy mamy żałować, że się ten pomysł nie wykonał? Z pewnością nie. Henryk cudownie ocalony, Henryk uśpiony w jaskini (jak Irydion) byłby prawdopodobnie mniejszym od tego, co w *Nieboskiej* rzucał się ze skały: a ten nadziemski koniec, to nowe Jeruzalem, czy miałoby w swojej wzniosłości charakter tak wielki, jak ma *Nieboska* w swojej grozie? Rzecz wątpliwa. Może lepiej że poeta nie wykonał swego zamiaru.

Poemat, jako taki, wielkiej wartości niema. Są ustępy piękne, to pewna; do piękniejszych należą

przemowy Pankracego w podziemiach, i niektóre obrazy w *Śnie*; ale w scenach karnawału ma wierność fotograficzną, w scenach zboru ma dogmatyczny, apodyktyczny ton polemiki, broszury, rozprawy parlamentarnej, artykułu dziennikarskiego; jest w postaciach swoich realistyczny, a w tonie prozaiczny. To zaś najgorzej, że w realizmie swoim postacie te starają się o poetyczność, naprężają się, nadymają się do piękności, i że ten ton dyskusyjny, nauki, chce być koniecznie tonem natchnienia i poezji. Ztąd największa, rażąca wada poematu, ta, która sprawia, że on raczej jest do czytania nieprzyjemny: nienaturalność, napuszoność, i postaci i języka. Henryk stoi na szczytach, kiedy mówi, że »darował skórę zabitego na pamiątkę podłości« i w wielu innych razach; Aligier stoi na szczytach, kiedy powtarza swoje pompatyczne »czy nie wiesz«, albo »ja ci mówię«, lub podobnie; księżna Rahoga nawet, choć nic nie mówi, tylko przez plac przechodzi, tak jest opisana, że podejrzujemy ją mimowolnie, że pod jej czarną suknią muszą być szczytła. I Henryk i Aligier mają grandiloquentię, która przez swoją nienaturalność staje się przykrą; ton ich głosu jest często sforsowany, przeciągnięty, fałszywy. Zkąd to? oto ztąd, że figury, w których było rzeczywistego wiele, a do tego figury poematu, którego treść polemiczna i tendencyjna z natury rzeczy poetyczną nie była, z gruntu już, z urodzenia zagrożone były realizmem i prozą. Krasiński to czuł, bał się tego, chciał tego uniknąć, chciał, żeby one były poetyczne, i stracił miarę; zmysł artystyczny go zawiódł, figury nie są poetyczne, a są nienaturalne i napuszone.

Podobnie stało się z językiem. Nigdzie może styl Krasińskiego nie jest tak wymęczony i męczący, jak w tym poemacie. Pełno słów ukutych umyślnie na to, żeby były głębokie, ważne, obejmujące wiele rzeczy, dosadne, lapidarne i obrazowe, a one tymczasem brzmią

nam źle w uszach, wyglądają sztucznie, rażąco. I znowu ztąd, że przedmiot, treść, poetycznym nie był. Wykład historyozofii, dyskusya z rewolucyą i o niej, to tendencya, to dydaktyzm, słowem proza. On tymczasem, chciał koniecznie zrobić z niej poezyę, chciał nadstawić poetycznym językiem, wielkim stylem, wrodzoną i konieczną ścisłość rzeczy. I znowu przebrał miarę, znowu wpadł w przesadę.

Jako poemat więc, jako dzieło sztuki, *Niedokończony* jest istotnie bardzo niedokończonym. Ale jako nauka moralna wyciągnięta z historii, jako przystosowanie tej nauki do kwestyi politycznych, słowem jako prawidło patryotycznego obowiązku, pod tym względem jest on i głęboki i piękny. Pod względem ocenienia i charakterystyki różnych defektów organicznych naszego wieku, jest mądry i trafny. Strona główna, strona tendencyi, ta odpowiada w zupełności założeniu i zamiarowi autora, — a jak dziełu zapewnia wartość i znaczenie na zawsze, choćby tylko znaczenie komentarza do pojęć autora i do jego poezyi, tak z drugiej strony znowu przez to, że jest takim komentarzem, takim wykładem jego nauki moralnej, politycznej, i patryotycznej, staje się i dla tego autora pięknym pomnikiem, bo świadczy każdym słowem, że ta jego nauka była bardzo szlachetna i wzniosła.

III.

Wiersz do Elizy. Inne wiersze do żony. Trzy miłości w życiu Krasieńskiego. Ich różny charakter. Miłość żony. Poezya miłosna Krasieńskiego. Jej cechy, i stanowisko w literaturze. Glossa świętej Teresy. *Resurrecturis*.

Że siła jego natchnienia nie słabła, dowodzi wspomniany wyżej, teraz w Rzymie napisany, wiersz, któ-

remu dano tytuł *Roma*, a który w autografie poety nosi tylko napis *do Elizy*: wiersz jeden z najpotężniejszych uczuciem, najwspanialszych formą, jakie Krasiński kiedykolwiek napisał. Wszystko co było w samej głębi jego duszy jako wiara, jako miłość, jako nienawiść złego, i jako pojęcie dziejów, to wypowiada się; nie wybucha tu namiętnie jak wulkan, ale wylewa się z silniejszym niż namiętność spokojem i majestatem pewności, przeświadczenia, jak masa wód w łóżysku wielkiej rzeki; one płyną spokojnie, ale nic ich nie zatrzyma, i do kresu swego dopłynąć muszą. Irydion, gdyby po swojej próbie powtórnej, przemieniony w ducha, wrócił z ziemi mogił i krzyżów do miasta niegdyś nienawiści swojej, takimi witałby je słowami, takiego doznałby uczucia tryumfu; tryumfu nie zemsty zaspokojonej, ale zaspokojonego sumienia. Z dziejów świata wyciągnąłby naukę, której Rzym jest dowodem, »że jest duch mściciel, co z bożej zarady, »tkwi w dziejów głębinie, — że ujarzmiel, choć dziki »i śmiały, przeznaczon ruinie«. Słowa są godne Irydiona, do miary jego heroicznej piersi i duszy półboga. Przypomina się Irydion przy tym wierszu i dlatego jeszcze, że jak on był poematem rzymskich wrażeń i obrazów, tak tu jest streszczenie i essencya sama całej tej ogromnej summy myśli i uczuć, jakie wywołuje Rzym częściowo w duszy każdego myślącego człowieka — jakie wywoływał w zupełności i sile wyjątkowej w duszy Krasińskiego. Jako forma wreszcie, jako styl, jako dobór i szyk wyrazów, jest ten wiersz — w swojej drugiej połowie — żeby użyć własnego wyrażenia Krasińskiego o wierszu Słowackiego — jedną z przedziwności polskiego języka.

Ale, oprócz tych uwag, nasuwa wiersz ten jedną jeszcze, której pominąć nie można. Pisany jest do żony. Warto zatrzymać się chwilę i zastanowić nad rodzajem tego uczucia.

Trzy razy kochał Krasiński bardzo; trzy kobiety znaczą wiele w jego życiu, i połączone są z jego pamięcią. Pierwsza to ta, której przypisał *Irydiona* »na pamiątkę chwil minionych a jedynych«, ta, którą w listach oznacza pierwszą literą nazwiska, Pani Bobrowa. Druga, ta, którą nazywa swoją Beatrix, pani Delfina Potocka. Trzecią była żona. Każda z tych miłości była inna, każdą on inaczej czuł, a każda odmiennie odbiła i odmalowała się w jego wierszach¹⁾.

W pierwszym okresie, za pierwszej miłości, odbiła się w wierszach (jak widzieliśmy wyżej) tragedia i zgrzyzota tego uczucia; w okresie drugim jego potęgą i namiętnością, niekiedy szczęście bez granic. Cóż się wyraziło w okresie trzecim i ostatnim?

W trzecim przychodzi to, co w poezji najrzadsze właśnie. Wzniosła, czysta, idealna, święta prawie miłość dziewicy — kochanki lub narzeczonej — ta odzywa się u poetów nieraz, stosunkowo często. Ale miłość męża do żony? Tej nie widzi się prawie nigdy. Niema wierszy Dantego do Gemmy Donati; Mickiewicza znamy tylko wierszyk do *panny* Celiny; Charlotta Lengefeld, choć z pewnością bardzo kochana, nie jest nigdy poetycznym ideałem Schillera. U Krasińskiego, z wielkich poetów jedyne podobno, staje się takim ideałem żona. To miłość jego ostatnia, najwyższa; a choć jej nigdy imienia Beatrice nie daje, najpodobniejsza do tego uczucia, jakie miał Dante do zmarłej a prawie wymarzonej; bo ta miłość oznacza i skupia w sobie wszelką miłość dobrą. Beatrix już w niebie wysoko nad Dantego wzniesiona, ciągnie go wyżej, aż do najdoskonalszej miłości Boga; — ta na ziemi, obok poety-męża, z nim ręką w rękę przebywa

¹⁾ Ustęp ten drukowany był w *Przeglądzie Polskim* (Lipiec 1888), pod tytułem: *Miłość w Poezyi Krasińskiego*. Obecnie mało zmieniony. P. A.

trudną drogę życia, i razem przez miłość wszystkiego, co dobre, oboje postępują coraz wyżej. Ale on wierzy i wyznaje, że ona idzie o krok przed nim i drogę wskazuje, stoi wyżej i jemu wznosić się pomaga.

Taki jest charakter, taka treść tych jego wierszy, które poświęcone są trzeciej ostatniej miłości. Namiętności już żadnej, tylko cześć, tylko uwielbienie tej, której w poufnych zwierzeniach daje żartobliwy a wspaśniały przydomek *Pani Niezrównanej* (Incomparabile Donna), a która w jego oczach, w jego przekonaniu, w jego poezji wreszcie, stoi jak objawienie doskonałej duszy i ciała piękności.

Nie od tego się zaczęło, ale na tem się skończyło.

W r. 1843, w roku ślubu, pisze na jej prośbę pierwszy do niej wiersz, a pisze jak człowiek, który się winnym czuje, bo nie tyle kocha, ile jest kochanym. Przeprasza za wszystkie bóle jakie sprawił, ale szczęścia nie przyrzeka. Owszem, myśli, że jego śmierć, gdyby przyszła, jak to przypuszczać się zdaje, mogłaby jej wrócić szczęście. I w myśli że odejdzie, zostawia jej błogosławieństwo i prośbę; nie o to, by jego i pamięć jego kochała (do tego prawa sobie nie rości), ale żeby kochała tych, których on kochał, a zwłaszcza żeby kochała jego myśl.

Jej dotrzeć może wiernem twe kochanie,
Bo nic w niej nigdy niskiego nie było.

Istotnie, miłość wspólna tej wzniosłej myśli, przyczyniła się wiele do wyhodowania wzniosłej miłości wzajemnej,

Czy były, jakie były wiersze do żony przez wszystkie lata pośrednie? W listach do niej może się jakie kryją i jeszcze kiedy odkryją. My ich nie znamy, i dla nas niewidzialna jest przemiana, jaka się w jego sercu odbywa; jak z człowieka oskarżającego się, że

kocha nie dosyć, robi się ten, co pada na kolana i wielbi. Widzimy tylko zmianę już dokonaną. Jak w *Niebońskiej Komedyi* widmo fałszywej piękności, tak w jego sercu, w jego wyobraźni, rozwiały się i pierzchły wszystkie złudne mary niewieściego ideału, a została ta, w której wszystko było rzetelne, wszystko prawdą, piękność kształtu jak duszy szlachetność i wzniosłość.

Ziemia ta cała tak potwornie podła —
Lecz ty mnie jedna na ziemi nie zwiodła.

Wszystko, com widział, to był sen, wiew, para,
Tyś rzeczywista, tyś jedna nie mara,
A jednak w tobie ideału piękno.

Tryumf wspaniały (a bodajby nauczający) niewieściej godności i cnoty. Zwycięstwo tej, w której niema udania ni fałszu; która sztuk żadnych nie zna, ani nie używa; która ani sama kocha, ani na mężczyznę nie działa fantazyą czy nerwami, ale wszystkie jego uczucia, jeśli dobre, zrozumie i podzieli; która, kiedy cierpi, to łagodnie i spokojnie; która dręczyć nie umie, tylko się poświęcać; która miłości własnej w miłości nie ma i nie mieści; która przebacza kiedy potrzeba, a zwycięża i podbija »nie chytrą i zdradą niewiasty«, ale rzetelną prawdą swojej wartości, i tem, że zawsze w każdym uczuciu, czy każdym postępku, mężczyzna widzi ją lepszą od siebie. Taką każdy chce kochać — tylko tę, którą taką widzi, kocha zupełnie i ostatecznie. Z nią razem, a przy niej i przez nią lepiej, kocha wszystko co boskie na ziemi, od własnych dzieci aż do ojczyzny; za nią i przez jej miłość uczy się coraz bardziej, coraz prawdziwiej kochać Boga.

A w tym związku dusz przez wzniosłe miłości jedna jest, która obie dusze rozplómienia i w jeden żar stapia:

Za to, żeś wzgardą na pyszne orężna,
A smętne kochasz czuciem wiecznotrwałem,

Źeś przeciw wrogom tchnień bożych ty mężna,
Ach, już na wieki ciebie ukochałem.

A więc i w miłości ojczyzny ona jego »siłą jedyną« — ona pokrzepieniem, ona spełni w sobie ideał tej miłości, jaką podług niego być powinna. I dlatego ona także ma jeden jeszcze tryumf. Miała niegdyś wielki Beatrice, kiedy poeta młody zaczynał *Przedświt* jej imieniem. Ale większą chwałę ma żona, kiedy mąż dojrzały, po wszystkich doświadczeniach i zawodach życia, w wierze i w nadziei swojej nie zachwiany, ale utwierdzony i jak złoto w ogniu oczyszczony, u jej stóp składa wyraz swoich wiar i nadziei niezłomnych; w jej serce tchnie pewność, którą sam oddycha, na jej głowę zlewa błogosławieństwo za to, że nie zwątpiła nigdy, w tym wierszu, który jest jednym z najwyższych przez natchnienie, jednym z najwyższych, najmędrszych, najlepszych przez prawdę.

O Polko moja! bądź błogosławiona,
Źe gdy świat ginie i Ojczyzna kona,
Tyś uwierzyła wśród czasów zawiei
W nadzieję — przeciw samejże nadziei.

I oto trzecia miłość w jego życiu, trzeci okres w jego miłosnej poezyi. W pierwszym była zgryzota, w drugim namiętność, w trzecim jest adoracya — jest miłość ziemską, ale tak wysoka, że nadziejskiej już blizka, uszlachetniona i spotęgowana związkiem we wszystkich dobrych uczuciach i celach; jest miłość uduchowiona i do ideału piękności, do doskonałości cnoty podniesiona, miłość, jak ją chrześcijaństwo pojmuje i wyrabia.

Może nie będzie od rzeczy zapytać, co te wiersze znaczą, jakie ich miejsce w poezyi polskiej? Wysokie z pewnością, bo są jej wielką, świetną ozdobą. Rzecz to, która sama wpadnie w oko każdemu, kto się więcej tą poezją zajmuje, że miłość nie jest tą struną, co się w niej najwięcej, najpotężniej odzywa. Czy mamy

z tego wnosić, żeśmy do niej mniej od innych narodów skłonni, w niej nie tyle co drudzy czuli lub namiętni? że u niektórych zdarza się zapewne miłość w wielkiej potędze, ale ogół niema tego stopnia wyobraźni i namiętności, który służyłby za grunt wulkaniczny gorejącej miłości poetów? Może to prawda, że większość u nas kocha serdecznie, poczciwie, nieraz rzewnie, ale spokojnie, po gospodarsku, żeby się tak wyrazić; a jeżeli tak jest, to wielkie w tem szczęście dla naszych żon i małżeństw, ale może niejaka szkoda dla naszej poezji. Jednak wniosek, tembardziej twierdzenie takie, byłyby za śmiałe; zaprzecza im wiele rzeczywistych, wzniosłych, a nieraz tragicznych przygód miłosnych w życiu, zaprzecza *Gustaw Mickiewicza*, *Słowackiego Szwajcarya*, i wiele innych w poezji. To wszakże prawda i fakt, że w tej poezji miłości niewiele. Po Kochanowskim (którego pieśni miłosne nie są najlepszą częścią jego dzieł i chwały), raz się tylko z wielkim wdziękiem odzywa w *Roxolankach* Zimorowicza; niezupełnie bez wdzięku, ale bez szczególnego, w *Lutni* Morsztyna. Ładnie, poczciwie, ale bardzo spokojnie, po gospodarsku, w *Lirykach* Kochowskiego. Potem długie milczenie; potem Trembeckiego zgrabne dwuznaczniki i Karpińskiego lub Kniażnina nie zawsze zgrabne, a zawsze jednostajne i jednotonne tkliwości. Potem Brodziński, w którego poezji (jak w jego życiu) miłość nie gra wielkiej roli, a odzywa się rzadko, łagodnie, cicho... aż dopiero z *Gustawem* zjawia się po raz pierwszy miłość potężna, namiętna, rozpaczająca i przeklinająca, szalejąca i konająca; pierwszy zakochany bohater miłosny. Z *Maryą* Malczewskiego, pierwsza w naszej poezji postać kochającej kobiety.

Ale i u Mickiewicza także, mimo *Gustawa*, mimo *Aldony*, miłość nie jest pierwszą i główną struną po-

ezyi; w jego poematach (z wyjątkiem czwartej części *Dziadów*, a i tu osądzona jest jako zbyt uczona, chorobliwa, szkodliwa i winna) albo służy tylko za środek związania powieści, jak w *Tadeuszu*, albo, jak w *Wallenrodzie*, jest na to, żeby się czemuś większemu od siebie poddała i poświęciła. Między lirycznymi wierszami Mickiewicza erotycznych jest stosunkowo niewiele. Jeszcze mniej między wierszami Zaleskiego, Pola, Gaszyńskiego, Garczyńskiego... Słowacki — dziwnie, bo rzecz bardzo wątpliwa, czy kiedy naprawdę bardzo zakochany — napisał i najpiękniejszy poemat miłości, *Szwajcaryę*, i nieliczne, ale w smutnym wdzięku prawie niezrównane drobne wiersze *Rozłączenie* i *Przekleństwo*; i jeden między nimi wszystkim stworzył w swoich dramatach i powieściach postacie, w których miłość była coraz inna a zawsze urocza, umiał za swoich zakochanych mówić na wszystkie tony i sposoby, a najczęściej świetnie. (Zbigniew, Wojewodzina, panna Aniela, Semenko, Beatrix Cenci i Giani, hrabina Idalia, Jan i Diana w *Niepoprawnych* i t. d.).

Krasiński w swoich poematach nie stwarza zakochanych, nie myśli o miłości; używa jej tylko jako potrzebnego środka do podniesienia tragicznego efektu nieszczęścia lub poświęcenia. W *Nieboskiej Komedii* niema jej wcale (skoro Hrabina jak cień się tylko przesuwająca i znika). W *Irydionie* służy do tego tylko co pomienionego celu; odzywa się jako stłumione marzenie Elsinoy, jako wyrzeczenie się szczęścia u jej brata; w Kornelii jednej wybucha jak wulkan, ale i sprawą główną nie jest, i służy za wyraz pewnej prawdy, i (pomimo całej swojej poetycznej piękności) za dowodzenie niejako pewnej tezy. W *Nocy Letniej* jakiś czarny rycerz zabija dziewczycę i siebie; w *Niedokończonym Poemacie* zaczyna się miłość Młodzieńca

do księżnej Rahoga, ale się zaraz urywa... dość, że w poematach Kraśińskiego, jest czasem mowa o miłości, ale jej samej niema.

Jest zato w tych drobnych wierszach, rozrzuconych między listami...

Jaka ich cecha, jaka różnica od wierszy podobnych innych naszych poetów?

Ta, że w nich jest mniej rzewności, mniej może wdzięku niż u innych, a zato więcej namiętności. W swoim uczuciu miłości, w swoim sposobie jej wyrażania, okazuje Kraśiński dużo potęgi, dużo namiętności, dużo woli — ale zawsze więcej siły, niż czułości. Rozpacza często — nigdy nie kwili. Zdaje mu się nieraz, że z tej żałości umrze — nigdy, że oszałeje. Siłą swojej myśli i swojej woli panuje nad sobą i nad rozpaczą; siłą swojej miłości nad kochanką. Smutny zawsze tak, że same jego uniesienia szczęścia są ponure, nie jest wcale melancholiczny. Zawsze w naprężeniu lub rozstrojeniu nerwów żyjący i piszący, w miłościach swoich nerwowym nie jest wcale; jak nie jest w nich rozmarzonym, choć jego wyobraźnia zawsze do marzenia pochopna. Miękki wtedy tylko, kiedy się nad kochanką lituje, kiedy jej żałuje, niema w swojej miłości tych tęsknot i skarg, tych wdzięków i gracy, jakie ma Słowacki (naprzykład w *Szwajcaryi*) i jakie nadawać umie swoim bohaterom. Do tej miłości, naprzemian wybuchającej namiętnie i omdlewającej z tęsknoty lub nadmiaru szczęścia, albo umierającej z żalu, jego miłość niepodobna wcale. Niepodobny w tem do całego pokolenia romantyków europejskich, niema on w swojej miłości tego nadmiaru uczuciowości, tej melancholii, jaką ma i Słowacki, i Musset, i Heine, i *Gustaw* Mickiewicza. W miłości tamtych jest ten pierwiastek bierny, żeński, który Klaczko tak bystro odkrył i opisał w *Romeu* Szek-

spira¹⁾. — Krasiński jest namiętny, ale nigdy słaby; kochający całą duszą, ale nigdy sentymentalny: porywający i zwycięski nieraz, nigdy rozstrojony. *Minor* w poezji miłosnej Słowackiego i innych prędeż wkradnie nam się do serca, rozkołysze, nastroi na ton nieokreślonych marzeń, tęsknot albo pragnień; w wierszach miłosnych Krasińskiego, w samych nawet ostatecznościach zachwytu czy rozpacz, brzmi zawsze *major* śmiały i pewien siebie, dominujący. Wrażenie, jakie on wywołuje, nie wkrada się w serce i umysł czytelnika, ale im się narzuca; wdzięku mniej, a zrazu jest jakieś wrażenie jakby przestrachu przed czemś potężnym i despotycznie owładającym. Ale ze wszystkich naszych poetów on jest podobno najbardziej namiętym, i najbardziej męskim. Kocha, wielbi, ubóstwia, kochankę ma za anioła, a siebie za ostatniego grzesznika; ale choć ona tak wysoko, a on tak nisko, choć ona za sobą ciągnie go w górę, on panuje. Otacza miłością, opieką, obroną, sypie, jak może, kwiaty pod jej stopy a ciernie usuwa: ale nie służy, nie jest niewolnikiem. W jego poezji (zapewne w jego życiu) niema więzów czy pętów miłości, do niej ta utarta przemożnia nie przystaje; on się oddaje, ale się nie poddaje, jest zawsze wolny, jest zawsze wyższy, jest zawsze panem.

W tem różny — z wyjątkiem jednego może Byrona — od wszystkich poetów epoki romantycznej w Europie, a stopniem i potęgą swojej namiętności, jej charakterem męskim, różny od innych poetów polskich. I to jest, co stanowi istotę i cechę jego miłosnej poezji, co jej w naszej literaturze nadaje odmienne, osobne znaczenie; jak znowu formy piękność i stopień jego poetycznego talentu stawiają ją bardzo wysoko w tym rzędzie natchnień i tworzeń.

¹⁾ *Wieczory Florenckie.*

Wiersz *Do Elizy* nasunął nam te uwagi o miłosnej poezji Krasińskiego. Wróćmy do innej, która także odzywała się w tych czasach. Z listów do Sołtana z r. 1846, w których mówi, że odłożył na bok św. Teresę, można przypuszczać, że może wtedy już powstała parafraza jej wiersza, znana pod tytułem *Glossy*. Małachowski mówi (w *Krótkim Rysie*), że ona pisana była w roku 1851 (wydana dopiero w r. 1858, na prośbę krewnych i przyjaciół poety). *Glossa* ta, nie przekład, ale przerobienie, jakoby waryacya muzyczna na temat św. Teresy, ma swoich gorących wielbicieli. Ma niezaprzeczenie wielkie piękności; język i wiersz, pomimo niejakej nadętości, jest wspaniały. Ale w przerobieniu zmienił się znacznie pierwotny charakter wiersza. W mistycznej i rozplomienionej pobożnej exaltacyi św. Teresy, jest przecie wielka prostota wyrażeń i stylu, i z nią złączona prostota uczucia. W słowach Krasińskiego ta miłość extatyczna traci swoją prostotę, i jeżeli tak rzec można, naiwność, a nabiera exaltacyi namiętnej i gwałtownej, która, mówiąc po literacku, wygląda może piękniej i poetyczniej, ale nie ma tego charakteru pobożności, samorodnego a prostego popędu miłości bożej, jaki jest w pierwotnych własnych słowach św. Teresy.

Wreszcie, w tym roku 1852, wyszło *Resurrecturis*, także, jak mówią świadkowie, dawniej, jęszcze w roku 1846 napisane, a przynajmniej zaczynane. Kilkadziesiąt wierszy zaledwie, ale w nich zawarty jest owoc doświadczeń całego żywota, i dlatego poeta sam, i wielu z nim, stawiają ten wiersz nieledwie najwyżej, jako ostateczny wyraz jego pojęć, jako odbicie ostatniej i najwyższej epoki w życiu jego duszy. Jest w tym wierszu wszystko, co w poprzednich było pięknego i prawdziwego, a niema tego, co w nich mogło być błędnego i mylnego. Nawet choć wiersz przypisany jest *Resurrecturis*, przecieź zmartwychwstanie nie jest tu

tak śmiało obiecanem, tak niechybnem, jak w *Przedświcie* lub *Psalmach*; nie woła tu Krasiński: »oto idzie, idzie Pan«, ale po doświadczeniach gorzkich widzi zmartwychwstanie »gdzieś na wieków późnej fali«. Ono przyjdzie; ale jak trzeba na nie pracować i zasłużyć! Jak łatwo można mu przeszkodzić! Jak z jednej strony najściślejsza zgodność z nauką Kościoła, prawowierność najzupełniejsza, tak z drugiej wszystko, co w jego dawnym pojęciu Polski mogło być przesadnie idealnem, złudnem, dumnem, a zatem mylnem, to znika; zostaje tylko czysta i święta prawda, wiara w dobrą sprawę, oparta na sprawiedliwości Boskiej i na pracy i zasłudze ludzi, a wiara tak stała i niezachwiana, jak kiedykolwiek. Z tego względu więc można mówić słusznie, że *Resurrecturis* jest punktem kulminacyjnym pojęć Krasińskiego, jego najczystszą prawdą.

Niektórzy mówią, że poezya nie jest na wysokości moralnej prawdy i wartości. Jest tu — mówią — taka ścisłość założenia i wywodów, taka systematyczna dokładność w wykładzie obowiązków patryotycznych i im odpowiednich przepisów postępowania, że wiersz ten robi nieledwie wrażenie matematycznej formuły na zbawienie ojczyzny. »Świat ten, to cmentarz z krwi, i z łez i błota«, ale pomimoto nie trzeba »skrzepnąć, stwardnieć, być bez serca« — tylko »poznać siebie, być arcydziełem nieugiętem woli, być »cierpliwością, tą panią niedoli«, spokojnością, miarą, strojem w rozstroju, »w ciągłej przykłady i słowa postaci, rozdawać siebie samego swej braci«. — »Póki męczeństwo nie pewnią zwycięstwa, twem dobrem tylko a nie człowieczeństwa«, unikać męczeństwa: a wtedy, gdy »dzwon zdarzeń wszystkich na ciebie zawoła«

Ze zdarzeń powodzi,
Po nad klęsk otchłanie,
Niezrodzone się narodzi,
Sprawiedliwość wstanie.

To jest bardzo prawdziwe, bardzo logiczne, politycznie mądre, moralnie wzniosłe, ale poetycznie nieco ściśle i suche. To jest zbliżone do doskonale ułożonego syllogizmu, albo do niewątpliwie z założenia wyprowadzonej formuły na jakiś pewnik matematyczny.

Ludzie potrzebują i żądają, żeby poezya przemawiała do ich wyobraźni, żeby »grzmiącemi słowy« wstrząsała ich uczucie; nie dziw więc, że — zwłaszcza młodym — *Resurrecturis* wydaje się zbyt ściśle i suche. Dydaktyczny, dogmatyczny pierwiastek nie da się zaprzeczyć. Ale czy zaprzeczenia potrzebuje, czy wierszowi temu ujmuje to i szkodzi? To inne pytanie. Kto młody i wyobraźnią unoszony lubi w poezyi szukać popędu i materiału do marzenia lub extatycznego zachwytu, ten nie znajdzie w *Resurrecturis* czego szukał, i powie, że to rzecz zimna. Ale w różnych okolicznościach i stosunkach, może w różnych latach, różnie też działa na nas poezya; i nieraz to, co młodego zimnym zostawi, to wstrząśnie do samego dna całą duszą człowieka dojrzałego. Ten młody jeszcze nie rozumie, co to warte, bo niedoświadczył, jak prawdziwe i mądre. Ale kto w trudach i uciskach życia musiał się przekonać, że ono jest nieustanną, ciągle odnawiającą się walką ze złem, komu po wielkich rozwiwały się i małe najskromniejsze nadzieje, kto straszną siłę rzeczywistości nie zgłębił do dna i obliczył dokładnie, ale tylko trochę poznał w jej istocie i w jej skutkach, kto co dnia, na każdym kroku, musiał »wątpić o braci swojej«, a zwalczać pokusę »rozpaczy o Bogu samym« — i kto wbrew temu wszystkiemu wie, że powinien, i chce póki żyje nie dać się, nie godzić na upadek, ale ratować i dźwigać — takiemu *Resurrecturis* wyda się inaczej. Taki we wszystkich walkach, trudach, zwątpieniach, kiedy mu ręce opadają a serce zamiera, w słowach tego wiersza znajduje pokrzepienie, siłę i otuchę. Głos wyższy, duch mający prawo

rozkazywania, bo uczuciem, mądrością, sumieniem i boleścią od innych większy, każdym słowem tego wiersza wskazuje mu, co powinien. W obietnice się nie bawi, ale obowiązek przypomina. Co będzie, to od ciebie nie zależy; do ciebie należy, na twojej odpowiedzialności jest, żeby być mogło. A możliwem się stanie, jeżeli zachowasz się tak, jak ci tu mówię. Kto trochę przeżył i doświadczył, ten dopiero zaczyna tak rozumieć *Resurrecturis*; i ten w omdleniach i uciskach swoich zażywa je jak kordyał, jak te krople elixiru życia, które preparowali dawni czarodzieje. Ten wie, jakie tam każde słowo mądre; wie, jak potrzebna »cierpliwość, pani niedoli«; wie jak trudno »gmach stawiać z niczego« i jak powoli idzie ta budowa; wie co za straszna i nicości blizka rzecz »rozstrój« i jak »strój« potrzebny; wie, że »męczeństwo bez pewni zwycięstwa« jest tylko »marnej sławy wieńcem«, a nie zbawieniem ojczyzny; — i wie, że jeżeli *Resurrecturis* jest matematyczną formułą na zbawienie ojczyzny, to przynajmniej dobrze wynalezioną formułą, i pewną.

Polityczny dydaktyzm jest w całej poezji Krasińskiego od początku do końca; ale kto pod nim nie czuje i nie widzi najgorętszego ognia miłości ojczyzny, ten sam nic chyba widzieć i czuć nie umie i nie zdoła. Jest ten dydaktyzm i w *Resurrecturis*, i dobrze, słusznie, że jest. Na schyłku życia, na odchodnem, jeszcze raz ten poeta w krótkich słowach zamknął to, co przez całe życie mówił, uczył, wierzył; a jak w całej jego poezji i całym życiu, tak w tym wierszu goręje tasama »nad śmierć silniejsza siła ukochania«. Wszystko mówi, nic nie opuszcza, cośmy robić, czegośmy się strzedz powinni. Sumienie, miłość ojczyzny, honor i rozum polityczny, łączą się tu i podają nam w krótkich słowach prawidła postępowania. Zakończeniem, konkluzją poezji Krasińskiego, jeżeli ona miała być całkowitą i (jak on się wyrażać lubi) do-

pełnioną, powinna była być taka krótka treść jego nauki. Tem jest *Resurrecturis*. Przyjmujemy dlań chętnie, nawet skwapliwie, ironiczną nazwę formuły na zbawienie ojczyzny; ale dodajemy do niej drugą. Dydaktyczna, politycznie tendencyjna poezya Krasieńskiego, skończyła swoją pracę i missyę krótkim *Politycznym Katechizmem*, w którym dogmatycznie i apodyktycznie spisała, jak ma się zachować naród upadły, jeżeli chce się dźwignąć i być wielkim.

Tem jest *Resurrecturis*. I dlatego słusznie jest mówić, że ono jest pieczęcią, którą Krasieński przyłożył na swojej poezyi. Na całej tej poezyi, której przedmiotem i celem była przyszłość, odrodzenie, wielkość narodu, zbawienie i chwała ojczyzny, a której to poezyi on był wyobrazicielem w mierze tak zupełnej, tak wyłącznie i jedynie, jak żaden drugi.

IV.

Przewidywania wojny Wschodniej. Zima w Warszawie. Urodzenie drugiej córki. Wojna i nadzieje. Memoryał dla Napoleona III. Śmierć Mickiewicza. Jego pogrzeb i list Krasieńskiego o jenerale Zamoyskim. Kongres Paryzki. Nowa polityka Rossyi. Jej niebezpieczeństwo. Zima w Paryżu. Lato 1857 w Potoku. Śmierć córki. Wpływ na zdrowie. Ostatnie wiersze. Ostatnie listy o Polsce. Pobyt w Plombières. Napoleon III. Cavour. Postęp choroby. Zamierzona podróż do Algieru. Śmierć ojca. Ostatki życia i zgon.

Pism już nie będzie żadnych (z wyjątkiem kilku wierszy do żony); żywot poetyczny Krasieńskiego jest skończony. Żywot człowieka trwać ma jeszcze lat kilka, a w tych latach na tle zdarzeń rodzinnych i wzrastającego ciągle postępu choroby, odznacza się wyraźniej jeden fakt: wojna wschodnia, z wiążącemi się do niej nadziejami i wynikłemi z niej zawodami.

Wojnę tę przewiduje Krasieński wcześniej; już w r.

1852, kiedy po powrocie z Rzymu spędza lato w Badenie. Może spotkania przypadkowe, ale dość liczne z ludźmi bliskimi samego steru francuskiej i rosyjskiej polityki, jak Walewski i Morny, jak księżę Górczakow, podówczas poseł rosyjski w Stuttgardzie, ułatwiły mu to przewidywanie i doprowadziły do wniosku, że wojna niedługo nastąpić będzie musiała; dość, że widzi ją jasno jako nieuniknioną, a przepowiada, że materyalnym powodem i przedmiotem sporu będą Miejsca Święte. Dnia 22 listopada 1852 tak pisze do Trentowskiego: »Patrz uważnie na dwa punkta: na »Londyn i Hierozolymę, ztamtąd wyjdzie wojna. Koło »grobu Chrystusa spór się wszczął między Moskwą »a Francją, w Londynie odbywają się straszne, choć »niewidzialne zamachy przeciwko następcy W. Napoleona; państwo Ottomańskie chyli się ku rozbiorowi. »Powtarzam ci: patrz na Hierozolymę, patrz w stronę »grobu Chrystusa; choć strony oń spierające się w tej »chwili mniej może oń dbają, kraszac tylko politykę »swą ludzką świętem jego imieniem, Bóg tak je po- »wiedzie, że od tego imienia, co zwyciężyło wieki, roz- »pocznie się teraz wieku naszego przeobrazenie. Ztam- »tąd wojna wyniknie! *Si vis pacem para bellum*, to »prawidło przewrócił Ludwik Napoleon i działa, mó- »wiąc: *Si vis bellum para pacem*. Tak dziś konspi- »ruje o wojnę, jak przed rokiem konspirował o znie- »sienie Izby. Ten człowiek ma wiele ze Sfinksa w so- »bie, kto go nie zrozumie, tego on poźre. Miasto krzy- »kaczy tysiąca, świat w nim dostał jednego *milczącego*, »i ten jeden *milczący* albo legnie, albo w *czyn* wpro- »wadzi to właśnie, o czem roili ci krzykacze, radząc »rzezią świat do postępu gnać, a nie umiejac nad ten »nędzny sposób innego sposobu użyć do swoich ce- »lów! Jeśli zaś ten jeden *milczący* legnie, to po nim »zostanie tylko zamęt i znowu tylko Rzeź!«

Potem znowu z konieczności (odmowy paszportu)

zima w Warszawie, w stanie zdrowia (jak tam zawsze) jeszcze gorszym; i w takim w lecie do Niemiec powrócił. Najmłodsze dziecko, córka nazwana Elizą, przyszło na świat w r. 1853. W początkach 1854 r. budzi się w nim, jak w całej Polsce, nadzieja. Nie! to nie będzie nic błahego i daremnego, to nie może skończyć się na niczem! Dla Krasińskiego mają te wypadki, oprócz wielkich obietnic na przyszłość, i poetyczny urok, przez podobieństwo jakieś z rycerską przeszłością: »Wiedziałem ja dobrze od drugiego grudnia, że inny prąd zaczął płynąć i popychać fale na oceanie świata. Najstarsza córka Kościoła znów idzie na krucyatę, i znów z Ryszardem Lwiego serca; inne kształty, pozory, a konieczność tasama, a cel jeden, i znów wszystko się rozpoczęło od kwestyi o grób Chrystusa! *Admirabilia!* Oto dopiero ukryte ścieżki Pańskie, i mądrość ludzka, która głupstwem przed Bogiem!! Spodziewali się tyle od 1848, nie spodziewali się niczego od drugiego grudnia. Jakżeż nie dorzeczni, i jakże wypadki kłamstwo ich rozumom zadają!

Mimo nadzieję, przewiduje mnóstwo boleści i klęsk i najtrudniejszych przepraw. »Oh! być bez zdrowia teraz, to najsmutniejsza z dół, czasem wielka rozpacz znachodzi się w sercu mojem. Czy przypominasz sobie Wernyhory prorocstwo i legendę o Bobolim? Wszystko dziwne, wszystko Pańskie! Raz jeszcze cię ściskam z głębi głębin serca« (do Soltana 21 lutego 1854).

»O sobie samym smutno marzę, często bezna dziejnie, lecz za to z tem wierniejszą nadzieją o drugich. *Crédo, credo, credo!* nie *quia absurdum*, ale, *quia divinum est, quia miraculosum est*, któż albo wiem nie widzi, że palec Boży przyciśnięty jest do czoła świata, i że świat musi przed tym wszechmocnym przyciskiem się przerabiać? Był dotąd ten łeb świata

»z głazu, a z wosku się staje i na wszystkie strony »kapać zacznie!« (do tegoż 25 marca).

Boi się tylko, że ta wojna może się odwlec, że Mikołaj się cofnie. »Niechże prędzej już odezwą się »działa. Zawsze lękam się, by w ostatniej chwili szatan, który tchórzem jest, w końcu nie wycofał się, »nie zasiadł na splotach ogona i nie rozśmiał się szynersko, i nie przystąpił do zgody! Kiedy bowiem do »sadnie zgłębić chcesz charakter moskiewski, to proś »teologa, by ci dokładny dał opis szatańskiego, i we »dług tego się kieruj« (do Małachowskiego 10 marca).

Ale mimo tej obawy »nadzieję wielką czuję »w sercu. Bije, bije godzina. »Będzie Polska w imię »Pana!« Czy pamiętasz tę zwrotkę? Daleko wtedy »było do niej; dziś już blisko. Bylebyśmy sami jakiego »piramidalnego głupstwa nie zrobili, na demokratycznej drodze« (tamże).

Nie poprzestał Krasieński na listach, na wywnętrzaniach się przed przyjaciółmi; czuł, że przekonać, poruszyć trzeba takich, co mogą wolą swoją wpływać na wypadki i znaczyć w dziejach. Małachowski podaje następujący mało znany szczegół:

»Krasieński, w przekonaniu o ważności tej chwili »i następstw tej wojny dla sprawy polskiej, powziął »myśl i napisał obszerny memoriał »O stosunkach Rosyi do Europy, o ważności i potrzebie podjęcia i rozwiązania kwestyi polskiej w tej chwili, w celu zapewnienia trwałego pokoju i szczęścia Europy w przyszłości, które nastąpić i urzeczywistnić się mogą tylko »przez przywrócenie niepodległego bytu Państwa Polskiego, położonego między Niemcami i Rosją«. Przedstawiał w nim, że Francyi powołaniem, przeznaczeniem i chwałą jest zaprowadzenie w Europie sprawiedliwego chrześcijańskiego położenia rzeczy i porządku. Że jedynie w takim duchu postępując, zape-

»wnić sobie może trwałość, wielkość i chwałę na przyszłość.

Memoryał ten, a raczej dwa memoryały, wychodzą teraz w zbiorowym wydaniu pism Krasińskiego. Pierwszy, zaczęty w Lutym skończony w Marcu 1854 roku, jest niby Listem do W. ks. Badeńskiej, ale pisanym na to, żeby się dostał do rąk i do wiadomości Napoleona III: drugi, późniejszy cokolwiek, ale z tego samego roku, jest memoryałem bez obłon. Myśl i cel obu jest ta, że jeżeli wojna ma być skuteczną to musi prowadzić do odbudowania Polski i na niem się skończyć.

»Tak napisany memoryał za pośrednictwem Księżnej Stefanii Badeńskiej, ciotki Napoleona cesarza¹⁾, dostał się do rąk jego na początku wojny wschodniej w roku 1854«.

W ciągu roku 1855 ton listów się zmienia, staje się smutniejszym. Wypadki nie idą tak, jakby on pragnął. Coś się w nich psuje i krzywi. Co? nie wie, ale to czuje; jak czuł powszechnie wrodzony instynkt polski. Jednak zawodu, marnego końca, nie przypuszcza Krasiński, jak nikt nie przypuszczał.

»Rzeczy żółwieją mojem zdaniem coraz bardziej, obleżenie Krymskie żółwiało zupełnie; Austria czego się tknie, to wprowadzi tam pierwiastek żółwiowości i podstępu, składającego się z wiecznej zwłoki; tymczasem Moskwa silnieje, kupi wszystkie swoje zasoby. Jednak ufam w Boga wszechmiłosiernego, który na nic rozetrze te wszystkie podstępny ludzkie i z nichże samych wyprowadzi zwycięstwo sprawy sprawiedliwej i kościoła przeciwko Bizantyńskim podaniom« (do Małachowskiego 18 stycznia 1855).

Potem Małachowski jest w Turcyi, listów do niego przez cały ten czas niema żadnych. W innych

¹⁾ O znajomości z W. ks. Stefanią i jej życzliwości dla Krasińskiego wiele wzmianek w Listach, zwłaszcza do Małachowskiego.

też o wypadkach ledwo nieznaczące wzmianki. O wzięciu Sebastopola nawet mowy niema. Dopiero śmierć Mickiewicza dobywa z piersi Krasińskiego głęboki krzyk żalu, w którym odzywają się wszystkie dobre, gorące uczucia, jakie miał dla niego w życiu.

»Pan Adam już odszedł od nas. Na tę wieść pękło mi serce. On był dla ludzi mego pokolenia i miodem i mlekiem i zółcią i krwią duchową, my z niego wszyscy. On nas był porwał na wzdętej fali natchnienia swego i rzucił w świat. Był to jeden z filarów podtrzymujących sklepienie, złożone nie z głazów ale z serc tylu żywych i krwawych; filar to był olbrzymi, choć rozpękły sam, teraz dołamał się i runął w przepaść. I całe sklepienie ono zadrzeć musi, i kroplami krwi z ran serc, z których złożone, płakać nad jego grobem! Największy wieszcz, nietylko narodu, ale wszystkich plemion Słowiańskich, już nie żyje.

»Smutno — smutno — smutno!« (do Sołtana 5 grudnia 1855).

Ze śmiercią Mickiewicza łączy się inny wypadek drobny, ale taki, którego pominąć nie można, znieważenie generała Zamoyskiego, przy jego pogrzebie w kościele Magdaleny w Paryżu. Krasiński pisze o tem do Sołtana, 7 lutego 1856, w liście, który w zbiorze zamieszczonym nie jest. Podajemy go jak był drukowany z rękopismu należącego do hr. Michała Sołtana (syna Adama) w *Przeglądzie Polskim*, (styczeń 1877).

»W sam dzień i chwilę pogrzebu Mickiewicza, na schodach Magdaleny, gdy za trumną wstępował ten, co najznakomitszy wytrwałością, odwagą, wiarą i duszy wzniosłością z wszystkich wygnanych naszych, rzucił się nań z tyłu Jaźwiński kapitan i dopuścił się świętokradztwa narodowego na tym obchodzie narodowym, śmiał bezbożną i bezecną ręką uzbrojoną w pałkę, dwa razy z wszystkiej siły uderzyć go w plecy. Odwrócił się spokojny jak zawsze i tylekroć wśród

»bojów najkrwawszych spokojny ów, o którym mówię.
»Złoczyńca schronił się do hufca towarzyszy czy współ-
»ników, którzy go okrążyli i dali mu się wymknąć.
»Jeden Budzyński był go za kołnierz porwał i zatrzy-
»mał, gdy chciał w pierwszej chwili jeszcze trzeciem
»uderzeniem zbezczęścić nie tego, na którego się za-
»machiwał, ale ten dzień, tę trumnę, to miejsce
»i własny naród. Nikt zresztą nie porwał się do obrony
»napadniętego, wypuścili Barabasz! Tak zawsze się
»dzieje. Ten człowiek był niegdyś strażnikiem celnym
»pod Krzemieńcem, w powstaniu dorwał się kapitań-
»stwa, później zebrał po wszystkich domach paryskich,
»należąc do owej szui, co po ulicach napada. Później
»z własnej woli zaciągnął się do pułku Sułtańskich
»kozaków, który dziś pod dowództwem tego, którego
»uderzył; i zaciągnąwszy się, w ośm dni zbiegł, pułk
»porzucił, udał się do Stambułu i tam szynk założył.
»Później tu wrócił i napastował wszędzie najszlache-
»tniejszego z ludzi, dowódcę swego, który mu zawsze
»odpowiadał groźnie, że ze zbiegiem niema nic do mó-
»wienia. Takie dzieje tego niegodziwca. Ale cóż po-
»wiesz, ma obronicieli, ma stronników i wielu się cie-
»szy, że się taka obrzydliwość stała! Ah, nieszczęśli-
»wym my narodem? W Barabaszach kochać się za-
»czynamy. Już nas robaki ostatecznie toczyć zaczy-
»niają. Od rzezi 1846 roku takiej boleści nie doznałem.
»W takiej chwili, przy tej trumnie, na schodach przy-
»bytku Pańskiego, ten co nigdy nie zwątpił, ten, który
»jeden coś był dowiódł na przyszłość ze swoich za-
»biegów i starań męczeńskich, ten, co wznowił był do-
»piero co tradycją legionów i chwycił sztandar ich
»z ziemi i wznosił go nazad ku niebu, ten o postaci
»tak rycerskiej i chrześcijańskiej, o tak niespożytych
»żadnemi boleściami ani przeszkodami duchu, ten
»wśród tłumu ziomków, z których *żaden, żaden* na
»pomoc mu nie przybiegł, ten wart czci i podziwu

»za cnotę żelazną, ten najdzielniejszy, ręką podłą ude-
»rzon, ... to strach! strach nie dla niego, ale dla Pol-
»ski i Polaków! I wiesz, co wyrzekł zaraz w pierw-
»szej chwili! oto te słowa przedziwnie piękne: »Są-
»dziłem, że początek męczeństwa więcej boli«. Tylko
»uważano, że podczas Mszy, co nastąpiła zaraz potem,
»czasem konwulsyjnie ścisnął poręcz krzesła, na któ-
»rem klęczał. Nie, w tem wszystkim o niego mi nie
»idzie. Co może dziki zwierz, podły zwierz przeciw
»ludzkiej naturze i to jeszcze najwznioślejszej? Ale
»mnie chodzi o te znaki zgnilizny rozsiane po społe-
»czeństwie naszym, ten duch stronnicy, duch zawiści,
»duch kłamstwa wiekuistego, który nas opanował
»i sprawia, że oburzenia dość nie ma wśród naszych
»z powodu takiego wydarzenia. Zkąd idzie, że to wy-
»darzenie zaczyna takim sposobem nas wszystkich ka-
»łać, a przynajmniej wykazywać, żeśmy bez ducha,
»*bez przeświadczenia co złe a co dobre, co święte a co*
»*bezecne, żeśmy bez żadnej opinii publicznej*, a to
»są znaki śmierci! I to wszystko staje się w chwili,
»kiedy tak łatwo będzie pewnym potęgom świata po-
»wiedzieć o nas: Patrzcie, czy warci odzycia!

»Zrazu generał był spokoju pełen. Ale następnych
»dni duch jego wpadł w ciemną boleść, gdy ujrzał, że
»ta sprawa przybiera barwę stronnicy walki, że dwa
»obozy się kształcą, jeden za nim, drugi za Jaźwiń-
»skim; że więc listy bezimienne, pełne gróźb i obelg,
»stronnicy tego ostatniego doń piszą... Jaźwiński także
»po scenie na schodach Magdaleny znów list wyzywa-
»jący napisał... Okropny to wypadek. Lecz przeko-
»nany jestem, że Jaźwiński był podbechtany i namó-
»wiony. Ręka, co tem kierowała, pozostała w ukryciu,
»a tylko nią poruszone lalki ukazały się na jaw. Pier-
»wiastku władzy nienawidzą, a że generał zawsze ją
»wyobrażał, zatem znenawidzony jest mimo najświęt-

»szych zasług. Wszystko to grobowo smutne«. Baden 7 lutego 1856.

W następnym donosi liście, że odbył się sąd w tej smutnej sprawie: »Sąd osądził *hrabiego* Jaźwińskiego na cztery miesiące więzienia tylko, a hrabia »był już na wolnej stopie, bo był znalazł takich, co »kaucją zań zapłacili. Zatem wypuszczono go z are- »sztu i chodził sobie znów po mieście. Kalinkę, se- »kretarza Jenerała, niezmiernie zdolnego młodzieńca, »w tych dniach nowy napastnik w głowę uderzył«.

Przy tej sposobności należy wspomnieć, że Władysław Zamoyski był jednym z ludzi, których Krasiński najwyżej cenił, którym najbardziej ufał, których najgoręcej podziwiał. Oddzielony od niego zawsze przestrzenią i zajęciami, które tamtego trzymały w Paryżu lub Londynie, spotykał go rzadko. Ztąd może poszło, że o tej jego przyjaźni słyzy się i wie mniej niż o innych. Niemniej jest rzeczą pewną, że jeżeli Krasiński może nie kochał Zamoyskiego tyle, co Gąszyńskiego, Cieszkowskiego albo Lubomirskiego, to kochał go zaraz po tamtych. Podziwiał w nim zaś nad wszystko siłę woli i poświęcenia, niezłomny rycerski hart, co wyraził pięknie, kiedy proszony o napis na szablę honorową dla Zamoyskiego, odpowiedział: »napiszcie *Najwytrwalszemu*«. Śladów tej serdecznej przyjaźni i tego podziwiania pełne są jego listy do innych przyjaciół, zwłaszcza do Małachowskiego.

A tymczasem odbywa się kongres paryski, ten smutny kongres, dla wszystkich obfity w złe skutki, prócz Rosyi jednej. Wybuchów żalu i goryczy w listach Krasińskiego niema. Jest do Sołtana upomnienie (14 kwietnia 1856) »nie myśl ponuro o naszej sprawie: *Speravit contra spem*, to wielkie i święte »słowo«. Ale znać z tego słowa, że i on wbrew nadziei, nadziei się trzyma, a z nowego pogorszenia zdrowia, znać, że musiał gryźć się wewnątrz i szarpać. Tym

razem choroba rzuciła się na nogi. »Zapalenie stawu »kolanowego (do Małachowskiego 6 września 1856). »Leżę ciągle, a kiedy się zrywam, to bez dwóch kul »obejść się nie mogę«. To zapalenie skończyło się raną, która trwała lat parę.

Stanowisko ówczesne Rosyi, jej stosunek do Francyi i obiecywane Alexandra II zmiany w Polsce, ocenia Krasiński jak następuje:

(List z września 1856, w zbiorze nie pomieszczony, drukowany w *Przeglądzie Polskim*, Luty 1873).

...»Główny nieprzyjaciel zmienił szyk bojowy na »szyk pokojowy, który, pomimo, że tak się zwie, nie »przestał być bojowym. Do cywilizacji zachodniej, obróciwszy się woła: »Patrzcie! gotówem od was wszystko przyjąć, pójść za wami, odstąpić od dawnych »myśli moich, od rozboju zamierzonego, powszechnego całej Europy. Rękojmią tego, żeście mnie »przekonali, najlepszą dla was, to, że zacznę o wewnętrznych myśleć naprawach. Odtąd wasze kredytowe spółki ruchome i nieruchome mogą zacząć »u mnie działać. Giełd obiecuję kilka nowych wybudować, jeśli chcecie, nawet jedną na Sybirze, kolejami żelaznymi osiatkuję się wszystkim. Lecz za tyle »ustępstw, za takie nawrócenie się mojego ducha do »waszej przemysłowości i zachodności, proszę o podaruneczek, lecz o podaruneczek na wieki. Na wieki »zapomnijcie o Lechii i przystańcie na to, że jej nie »masz już, nawet, że jej nigdy nie było«. Zarazem ku Romie obróciwszy się woła: »Nie myślcie, bym nie »mógł się rozwieść z ideą kalifatu. Dopókim marzyłem o zajęciu Carogrodu i zrabowaniu świata, musiałem »władzę duchowną deptać władzą świecką. Ale »się przekonałem, że dziś inna pora nadeszła. Pod skrupą, po której dotąd cało i bezpiecznie z knutem »w prawicy stąpałem, odzywają się podziemne jakieś »grzmoty. Już nie dość mi knuta na rządzenie wulka-

»nem. Wybuchu nie chcę, a uniknąć go tylko mogę,
»przejmując od was wasze wiary, porządek, karność
»duchową, hierarchię. Zatem kto wie, czy ja z rozbój-
»nika nagle przemienion w cywilizowanego, ze zdo-
»bywcy w spokojnego urządziela wewnętrznych eko-
»nomicznych stosunków, z dziedzica srogości mongol-
»skich w europejskiego władcę, nie mógłbym złożyć
»arcykapłaństwa po nad moim narodem, przyszłości
»całej dotąd marzonej przezemnie wszechwładztwa, na
»to, by zespolić mój kościół z wami i uznać zwierz-
»chność waszą. Ale patrzcie! co za bezmiar ustępstw
»mieści się w tem mojem wyznaniu; patrzcie, jeśli
»wstępuję na oną drogę, sami powiedzcie, azali wam
»już potrzebna jest Lechia. Drobiazg to nic nie zna-
»czący i już wam nie przydatny, skoro ja staję się
»waszym, a za mną oczywiście i całe plemię słowiań-
»skie; zatem i dla mnie wy uczynicie coś, zapomnijcie
»o Lechii, przystańcie na to, że jej już nie masz, na-
»wet, że jej nigdy nie było«...

Pierwsza z tych odez w znaczy:

»Kapitałami waszemi własnymi, waszą pracą, zmy-
»słem i kredytem okryję się kolejami, których mi brak
»było do przeprowadzenia wojsk moich z pod biegu-
»na, aż pod Carogród. Że ich nie miałem, musiałem
»pokój zawrzeć i was odeprzeć nie podolałem. Skoro
wy sami pomożecie mi do nich, drugi raz wam się
»już nie dam i poginiecie. Tymczasem Lechii już nie
»będzie, sami mi przyznacie, że jej już być nie może.
»Z czego wypadnie, że bez niej, a przy kolejach, sta-
»nę się właśnie tem, czem mi Piotr W. przykazał być,
»to jest waszym Panem, i plagą i ujarzmicielem«.

Druga zaś z tych odez w znaczy:

»Lechii dotąd nie zdołałem dobić, wszystkich
»próbowałem środków, żaden mnie ostatecznie do
»celu nie dowiódł. Moc jakaś magnetyczna z obalonych
»jej piersi płynąca, cicha, niewidzialna, lecz spowino.

»wacona z piorunowym płynem, wszystkie moje roz-
»bija orężę i narzędzia tortur kruszy w moim ręku.
»Zdaje mi się jednak, że gdybym mógł ją doprowa-
»dzić do oderwania się od odwiecznego jej środka
»duchowego, dopełniłbym jej zguby nieodzownie. Za-
»tem udam przed Rzymem, jak za dni Batorego i Pos-
»sewina, że skłaniam się w stronę jego, a pod warun-
»kiem rozumie się, by dla dobra powszechnego Ko-
»ściola, poświęcił mi szczegól Lechicki. *Skoro tak się*
»*stanie, skoro głosy z Rzymu słyszeć się dadzą na-*
»*mawiające Lechitów do zgody ze mną, do zaprze-*
»*stania walki, którą dotąd istotnie świat zachodni*
»*i łaciński obronili i uratowali, stawiając ciągle czy*
»*szablą niegdyś, czy męczeństwem później, kres moim*
»*zapędem, w sercach Lechickich ostateczna rozpacz*
»*nastąpić musi.* Rozpacz ostateczna duchowa, złą po-
»radniczką, ona bunt głęboki w nich wznieci. Rozpacz,
»przemieniona w bunt, ostatecznie ich siły zeżre i odda
»mi ich dusze zbezwładnione, od Rzymu łacniej mi
»przyjdzie wtedy ich odczepić, i w tej samej chwili,
»w której Rzym, licząc na rozpoczęte układy, czekać
»będzie na moje nawrócenie się, ja mu oznajmię, że
»się Lechia do moich wiar dała nagiąć. W stosunku
»do Rzymu, pozostanę czem byłem, to jest, Kalifatem,
»a Lechii już wtedy istotnie nie będzie i plemię sło-
»wiańskie odtąd stanie się całe na obraz i podobień-
»stwo moje. Wszystkich zwiodę, uwiodę, oszukam, je-
»dnych do czasu ludzić będę, drugich znicestwię na
»wieki. Tymczasem sobie wytchnę, wypocznę, w świeże
»wzrosnę przybory, przyrządy i wojska, a wtedy biada
»oszukiwanym przezemnie. Poznają kim ja, i że moje
»imię: Zatraciciel«!

»Powiedz mylęż się? czy o tej bijącej dziejów
»godzinie nie naradza się takowego rodzaju wielkie
»niebezpieczeństwo? Czy list z Moskwy, umieszczon
»w *Civilta Cattolica*, a później w *Univers*, nie wy-

»krywa niebezpieczeństwa onego pierwszej zapowie-
»dzi? Czy nie takim torem odtąd nieprzyjacieli myśli
»stąpić w Rzymie i takowym szykiem pokojowym
»wynagrodzić sobie wszystkie straty poniesione za
»czasów szyku bojowego? Płodny on we wszelaki for-
»tel, podobny do tych bożyszcz o sześćdziesięciu pier-
»siach, a każda nie mleko sączy pożywne, ale zabija-
»jący jad! Kto się na jadach doskonale nie zna, kto
»niemi od kolebki nie truty, kto nie Polakiem, ten
»łacno uwierzyć może, iż to mleko! Jeśli się myślę po-
»wiedz! Chciałbym się mylić, ale po za mną stoi po-
»stać Batorego, taka smutna dotąd, że się dała omylić
»i twierdząca, że się nie mylę!

»Pan, dziś rządzący Moskwą, może i dobre chęci
»ma, ale one pozostają w głębi jego łona. Skoroby
»chciał je zamienić w czyn, spotkałby się z wszechmo-
»cną opozycją. A potem cechą charakteru moskiew-
»skiego, iż, jak inni wstydzą się złego, tak oni wstydzą
»się dobra. Skoro coś dobrego *popętnią*, zda im się za-
»raz, że się sprzeniewierzyli tradycyi swej, że siebie
»samych i misteryum Państwa zdradzili. Więc zaraz
»cofają się, i by się usprawiedliwić przed duchem ni-
»mi władającym, za jeden ludzki czyn, dwoma lub
»trzema niegodziwemi się jemu opłacają. Słabość jest
»znamieniem następcy Mikołaja. Coś w jego postaci, lo-
»sach, dziejach, w spadkobierstwie wziętem po przod-
»kach, w łagodności serca, w braku siły rozstrzygnięć,
»w stanie zamieszania Państwa, w stronnictwach, na
»które się podzieliło, w zepsuciu warstw wyższych,
»w buncie wszędzie pod stopami jego odzywającym
»się wśród niższych, przypomina koleje Ludwika XVI
»z ogromnemi oczywiście różnicami. Niema tożsamo-
»ści żadnej, ale jest analogia dość uderzająca. Tesame
»burze gotowe, tensam koniec być może. Lecz rozwój
»owych burz zupełnie inaczej wyglądać będzie, zdaje
»się, że stokroć srożej i mniej po ludzku jeszcze. Bądź

»co bądź, pokój, którym świat obdarzono, nie długo
»potrwa. Jeśli nowa wojna go nie zerwie, to pęknie
»od rewolucyi zdarzonych czy tu, czy tam. Niewskrze-
»szona Polska przyprawi ten świat o zaburzenia i klę-
»ski niesłychane. Polska bowiem była sercem euro-
»pejskiej całości. Z żył Zachodu biła krew ku niej
»i jej mocą podnoszona i przelewana, rozlewała się
»po żyłach Wschodu i Północy. Jakżeż chcieć po wy-
»darciu serca z organizmu jakiego, by ten organizm
»pozostał zdrowym i całym? Zkąd takie szalone uro-
»szczenie? takie domaganie się cudu na błogostawień-
»stwo zbrodni? A przecież od rozbiorów Polski i te-
»raz wciąż płacze dyplomacya za straconą równowagę,
»narzeka na ciężkie czasy, żąda przytem wiecznej spo-
»kojności, i śmie bezpiecznie marzyć o wiecznym po-
»koju, jakby nie domyśliwała się, że ciało europejskie,
»nad którym radzi, pozbawiono jednej z najgłówniej-
»szych sprężyn życia swego. Albo wróci serce do ciała
»swojego, a wtedy ono ocaleje, albo wbrew wszelkiej
»sprawiedliwości i wszelkiemu rozumowi pozostanie
»od niego oderwanem, a wtedy Europa przepadła, bo
»czyn wskrzeszenia Polski nietylko jest koniecznością
»dla cielesnej równowagi Europy, jest on czemsiś je-
»szcze daleko ważniejszym i wyższym, jest dla tej epo-
»ki całej nieubłaganą koniecznością moralną, bo jest
»naprawą krzywdy wyrządzonej najświętszym prawom
»duchowym, rządzącym żywotem ludzkości i jej społec-
»zeństwa. Rozbiór był odspołecznieniem społeczeń-
»stwa europejskiego. Jeśli to społeczeństwo chce da-
»lej społeczeństwem pozostać i nie dojść do ostate-
»cznych granic rozstroju, musi nazad się zespolenić
»w tem, w czem się samo odspołeczniło. Musi wobec
»Boga i wszystkich wieków i przeszłych i przyszłych
»uderzyć się w piersi, wyznać winę i zadosyć jej
»uczynić. Inaczej stanie się pastwą gieldzianych chuci
»swoich, zepsucia własnego, nieprzerwanego żadną

»skruczą, ni żadnym wielkim czynem, zatem doszłego
»do potwornych rozmiarów. Omdleje na siłach, na ro-
»zumie, zbezczerstnieje zupełnie, wpadnie w kretynizm
»zbytku i rozkoszy, stanie się zbiorem samych ciał
»już tylko, a ciał rozwiązłych, miękkich, trzesących
»się od strachu, jak legiony ostatnich chwil cesarstwa
»rzymskiego. Na takowe zaś ciała z błota, znajdują się
»inne z gliny twardej, wyrzeźbionej knutem, pełne je-
»szcze pierwotnych, przyrodzonych soków, i owe
»twarde będą deptać po karku tych zbutwiałych. Mo-
»skal z zewnątrz, robotnik wewnątrz rozbije skład
»świata tego, za to, że zamordowując lub przystając
»na mord Polski, sam wrzucił własne serce w prze-
»paść, i rzekł: »Niech tam leży na wieki«.

Dziś po latach tylu, czy zakończenie tego listu nie wydaje się dziwnie mądrym przewidzeniem? Czy świat nie drży ze strachu, że »Moskal z zewnątrz, robotnik od wewnątrz rozbije skład jego?«

Ze zmienioną taktyką pod rządami nowego cesarza, Krasiński dostał paszport do Francji. Mógł być w Paryżu otwarciem, urzędownie. Skorzystał z tego, i zimę roku 1856 tam przepędził. Małachowski świadczy, że nie tylko ludziom chętnie się udzielał, ale nawet na teatr chodził z przyjemnością. »Uczęszczał pilnie na prelekcje J. Klaczki, które tenże miewał o piśmie i życiu Adama Mickiewicza. Cenił i podziwiał jego zdolności, znakomite pisma i chętnie go u siebie widywał. Często miewał schadzki z hr. Montalembert, ks. A. Czartoryskim, Zamoyskim Władysławem, ze znakomitym artystą-malarzem Ary-Schefferem, którego bardzo polubił. Talent jego i pojmowanie wzniosłe, poetyczne, wykonanych dzieł i obrazów wysoko cenił. Zjawił się był w tym czasie w Paryżu spirytysta Amerykanin *Hume*. Spirytyzm w tej chwili rozbudził w tem mieście wielkie zajęcie i rozgłos. Zygmunt był przekonania, że wiele jeszcze sił i tajemnic natury,

lubo rzeczywiście istniejących, zakrytych jest dotąd ludziorom grubą zasloną, że podobną siłą jest między innymi magnetyzm, że jednak z biegiem czasów wiedza ludzka odnajdzie jego znaczenie, własności, potęgę, zastosowanie, że nareszcie takie różne odkrycia rozszerzą widnokreęgi wiedzy ludzkiej. Zaciekawiony i podniecony mnóstwem różnych opowiadań i świadectw dziwnych zjawisk, zaprosił spirytystę do siebie, ślecił pilnie, i wkrótce łatwo przyszedł do przekonania, że ów spirytysta wyzyskiwał tylko w sposób śmieszny i niewłaściwy, nieprowadzący do żadnych rezultatów, działanie magnetyzmu, łatwowierność publiczności«.

»Najważniejszą jednak czynnością Krasieńskiego w czasie tego jego pobytu w Paryżu, było osobiste tajemne widzenie się z cesarzem Napoleonem w zamku Tuilleryjskim. Właśnie to była chwila kongresu państw Europejskich po ukończonej wojnie wschodniej. Zygmunt, pojmuąc całą ważność chwili i przedmiotów, jakie traktowane będą na tym kongresie, sądząc, że też i polska kwestya nie powinna być zapomniana, opuszczoną, ani pominiętą; mając ułatwiony przystęp do cesarza, czuł się w obowiązku udać się do niego, użyć wszelkich sił i argumentów, aby go nakłonić do wniesienia i popierania tejże na kongresie. Otrzymał posłuchanie, na którym cesarz słuchał go z wielkim zajęciem i zadawał pytania o położeniu Polaków pod rządami: Rosyjskim, Pruskim i Austryackim, które znał bardzo niedokładnie. Najskwapliwiej dopytywał się i żądał objaśnienia o stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych tego ostatniego państwa. Pomiędzy innymi pytaniami, wywiadywał się o byt i znaczenie religii Grecko-Unickiej, o której żadnego nie miał wyobrażenia, w końcu zapewniał, o swej życzliwości dla Polskiej sprawy«.

I znowu dwa memoriały dla Napoleona III. Jeden pisany podczas kongresu paryskiego powtarzający

to, co było w dawniejszych, tylko z większym pospiechem i naciskiem, a dodający jeden argument, ten, że wielkość Francyi i trwałości napoleońskiej dynastyi zależy od odbudowania Polski: »jej ruina będzie ich upadkiem«. To się sprawdziło. Memoryał drugi, pisany w lipcu 1856, zatem już po kongresie paryskim, dla informacyi Cesarza, w przypuszczeniu, że poufnie mogą się prowadzić rozmowy i porozumienia w sprawach polskich między Francją a Rosją. Oba memoryały, znalezione w papierach Krasińskiego, wychodzą obecnie w zbiorowem wydaniu pism.

Zmartwiony bardzo znaczną stratą majątkową, poniesioną w bankructwie bankiera Thurneysseua, wyjechał Krasiński do kraju. Tam (1857), między Olkuszem a Częstochową, w pięknie położonym Potoku, miał przy ojcu, żonie i dzieciach spokojnie przebyć lato i do zdrowia niby powracać. I tam właśnie spadł na niego cios, który ostatecznie zdrowie to zламаł, a śmierć jego przyspieszył. Najmłodsza córeczka, czteroletnia Eliza, umarła. W kilka miesięcy później, 16 grudnia, tak o tej stracie pisze do Sołtana:

»Oddałem niebu, co z nieba było do mnie przyszło, pochowałem na cmentarzu potockim Elizkę »moją, a matka jej, ojciec mój i ja szliśmy we troje »za tą trumienką, w której spoczywał aniołeczek. Nic »na ziemi piękniejszemu nigdy nie oglądał, nad te »rysy pośmiertne dziecka mojego. Śmierć była rozwio- »dla jakąś potęgę nadziemską, wyrosła z słabości, z nie- »winności, z męki ostatniej, przy wyrazie której po- »mysły Rafaela słabizną. Eliza okropnie zmieniona, »wycieńczona biedna, chora, nie do poznania. Grom »w serce matki uderzył i strzaskał je«.

Uderzył ten grom i w serce ojca także. Jesień i zima w Paryżu spędzona nie poprawiły zdrowia, rozpręgało się coraz bardziej. Sił do pisania nie starczyło już także, choć przychodziła czasem ochota. Raz

już tylko, ostatni, błysnąć miało jego poetyczne natchnienie. Strata dziecka, zda się, jakżeby połączyła była ostatecznie dusze rodziców wspólną boleścią, bo miłość Krasińskiego do żony nigdy nie objawiła się jaśniej, goręcej i rzewniej, jak teraz, na pożegnanie. Na św. Elżbietę, 19-go listopada, zawsze od lat kilku pisywał wiersze do żony; ostatnie do niej i ostatnie w życiu, napisane były na ten dzień w roku 1857. Cześć, uwielbienie, widoczne w wielu poprzednich, dochodzą do szczytu w tym wierszu, który jest cały skargą na siebie samego, że mógł kiedykolwiek kochać nie ją, albo ją kochać nie dosyć. On »w niwecz życie przemarnił«, on »zgasł i zwiędł od smutków«, »skarab swoich potęg utracił«, »a za to tylko, że cię nie kochałem!« Ale dziś, choć późno, »ona jedyną duszy jego siłą«, i ona spojrzeniem może zdjąć mu z głowy zgryzoty i bóle »bo już na wieki ciebie ukochałem!«

Nigdy żadna żona poety nie miała od męża takiego hymnu uwielbienia, takiego wspaniałego rozkosznego świadectwa i hołdu.

Ostatni to akkord z jego lutni dobytej. Potem już tylko, zbliżająca się coraz widoczniej, choć zwolna, śmierć. W początkach roku 1858 jeszcze ma dość sił i mocy nad sobą, żeby w listach pisać dłużej o tem, co było samą treścią jego duszy i życia, o Polsce, o jej przyszłości, o niebezpieczeństwach, które tę przyszłość mogą zepsuć i odwrócić. Widzieliśmy jego ostatni wiersz; jego ostatnia nauka, ostatni głos do narodu i jakoby ostatnia wola, znajduje się w dwóch listach z tego czasu. Jeden jest do Soltana z 15-go lutego.

»Ten kraj także nad otchłanią, tak jak wszystkie; musi przyjść zbawcza sprawa ojczyzn, albo sprawa posiadających i nieposiadających pożre świat. Jedno z dwojga: albo ojczyzny przyznane utrzymają w spokoju społeczeństwo, albo nastąpi ostateczny jego

»rozkład chemiczny na dwa jego pierwiastki najprost-
»sze, najniższe, najostateczniejsze, o których wspo-
»mniałem, najmateryjalniejsze. Że ojczyzn niema, dla-
»tego są tylko cielesne cele; a cele cielesne wcześniej
»czy później sprowadzone być muszą loicznie do naj-
»prostszego wyrażenia, jakim jest bójka pomiędzy
»bogatym a nędzarzem. Ta bójka ostatnim jest wyra-
»zem społeczeństwa, które zapomniało o Bogu i zapało
»się ojczyzn. Koniecznością pchane, mimo wszystkie
»przedsięwzięte środki obrony, padnie ono jej pastwą!
»Nie twierdzą jednak, by to nieunikniętem już było,
»czas jeszcze wydobyć się z otchłani«.

Drugi jest do Trentowskiego, z 9-go lutego, a w tym nie przewidywanie tylko, ale wyraźna praktyczna przestroga dla Polski, w czem ratunek, a w czem zguba samego jej jestestwa. Przepowiednia tego stanu rzeczy, na którego urzeczywistnienia początki dziś właśnie patrzymy, a patrzymy dlatego, że ani Polska ani Europa nie rozumiała, jak jej postępować należało:

»Nie zrywaj się do walki i nie podnoś ręki przeciw pierwiastkowi, który jedynie dziś dzieli Ojczyznę
»twą od bezdennego morza, panteistycznego morza, że
»tak się wyrażę, Pansławizmu. Nie myl się, po nad
»tą otchłanią stoi Polska. Jeden katolicyzm jej przegrodą od onych głębokich, śmiertelnych fal; gdyby
»nie on, jużby jej ciało po nich się rozbijało, i powoli
»topniejąc zstępowało w głąb. Czy nie widzisz, że wyższe, złożone organizma społeczne i polityczne, wszędzie trawione rozkładem chemicznym, rozrabiają się;
»że narody, państwa, ustawy, podania, wiary, stronnictwa nawet dążą do rozwiązania się i ulotnienia; że
»z onego rozkładu dwa tylko wobec siebie najniższe, najprostsze a najsilniejsze żywiołowo pierwiastki pozostają, sprzeczne zażarte, do bójki gotowe: ubodzy i nieubodzy! na tem chce się za dni naszych skoń-

»czyć historia świata! Jestto oznaka najolbrzymiej-
»szego materyalizmu; bo te obozy dwa, choć pałają
»ku sobie nienawiścią, jednakim goreją zapałem ku
»wspólnemu bożyszczu, a tem bożyszczem jadło, rozkosz,
»używanie, wygoda, słowem materyalny cel! Wszyst-
»kie inne idealne odleciały z piersi ludzkich, on je-
»den je zastąpił, i, powtarzam, on dowodem, że roz-
»kład chemiczny społeczeństw, czyli śmierć Epoki,
»wypracowyywa się w jej wnętrzach!

»Katolicyzm jeden zosobiszczca narody wśród ple-
»mion, a instytucye, hierarchie, rozmaitości i nastroje
»w narodach — temsamem, że bogaczom nakazując
»miłosierdzie i miłość, ubogim miłość i wiarę w po-
»śmiertne życie, nie dozwala światu przemiany go roz-
»zbijającej na dwa tylko stronnictwa bijące się o chleba
»kawał, lub sukna łachman, lub złota sztukę. Wierz mi,
»kiedy godzina takiej bójki zwierzęcej uderzy, nie bę-
»dzie miejsca na pobojowisku dla żadnego organizmu
»wyższego, dla żadnej narodowości, dla żadnej Ojczy-
»zny, dla żadnego języka, dla żadnej sztuki, dla żadnej
»wiedzy i nauki! Nastanie także kościół powszechny,
»bezzróznicowy — ale złego! kościół ciał i chuci temi
»ciałami rządzących. W to patrz, w to miej wbite źre-
»nice! bo to prawdopodobny koniec nasz, jeśli duch
»katolicki, w przedziwnej mierze umiejący zosobiszczcać
»wszystko, a wiązać one zosobiszczczenie węzłem miło-
»ści, czyli harmonią zaprowadzać, nas od tego nie
»ocali. Nie patrz w drobnostki i szczegóły, patrz się
»w ogół; spojrzij mu oko w oko, a przekonasz się,
»że prawdę mówię. Gdybyś zaś się nie przekonał, to
»przecież moje słowa cię nie zobowiązują.

»Na północy zaś państwo Carów zaczyna lepsze
»dole wskazywać i obiecywać poddanym, zaczyna nę-
»cić plemiona słowiańskie i lud nasz przeobrażeniami
»społecznemi. Co, jeśli nie katolicyzm, może o tej
»chwili dziejów, w której rodzaj ludzki gotów wszę-

»dzie za chleb i wygodniejszy żywot wszystko, co mu
»cześnie, sprzedać, co, pytam się, może, jeśli nie ka-
»tolicyzm, odepchnąć lud nasz wiejski od roztwiera-
»jących mu się objęć rządu, tem mu tylko strasznych,
»że są i ramionami schizmy zarazem? Mądrość uczu-
»ciowa i przecuciowa narodu to uznała, naród wie,
»że w tem jego zbawienie! Drogi mój, masz zdanie
»moje, *in hoc signo vinces*, reszta nie zda się na nic,
»kto z Bogiem, z tym Bóg! A że mogą być indywidu-
»alne przesady, ciemnoty, bezrozumy, ani myślę prze-
»czyć; lecz one przejdą, a duch zbawczy pozostanie
»i ocalenie wyrobi!«

To jego słowo ostatnie. Potem różne, przez le-
karzy rozpaczliwie wskazywane, chwywane i porzucane
środki ratunku; kąpiele w Plombières między innymi.
Tam podług opowiadania Małachowskiego (*Krótki Rys*),
leczył się także Napoleon III, i zażądał Krasińskiego
widzieć. Relacya o tej rozmowie, już za życia Krasiń-
skiego przetłumaczona na polskie, lub po polsku na-
pisana, wychodzi w zbiorowem wydaniu. Ale zdarzyło
się przytem zbliżenie dziwne dwóch spraw, na które
Małachowski zwrócił uwagę. Krasiński wezwany do
cesarza, czekał na audyencyę długo, bo w gabinecie
był hr. Cavour. Ten wyszedł z przyrzeczeniem wojny
i pomocy — Krasiński z niczem. Może przeciwny sku-
tek tych dwóch posłuchań byłby dla cesarza i dla
Francyi lepszym. Przypomina się ksiądz Ventura mó-
wiący cesarzowi *d'un côté vous avez l'Italie, c'est
votre perte: de l'autre la Pologne — c'est votre salut.*

Plombières nie pomogło, owszem zaszkodziło je-
szcze. Radzono Ems; Ems zaszkodziło tem więcej.
Bliskość Drezna skłoniła Krasińskiego, że tam poje-
chał, dla poradzenia się doktora Waltera, do którego
miał szczególne zaufanie. Walter nie pocieszył; owszem,
powiedział choremu otwarcie, że z nim źle. Powrócił
tedy do Paryża, a tu lekarze radzili próbować gorą-

cego afrykańskiego słońca, jako ostatniego jeszcze możliwego środka ratunku. Gotowano się więc w drogę do Algieru. Wtedy przyszła wiadomość (w listopadzie) o chorobie ojca, a wkrótce o jego śmierci. To już ostatecznie dobiło syna. Miłość całego życia sprowadziła równą sobie boleść. Pani Krasieńska, kiedy po pogrzebie teścia wróciła do Paryża, poznała, że drugi pogrzeb blizki. Zaczęło się półtrzecia miesiąca cierpienie przedzgonnych, a w otaczających czekanie na zgon każdego dnia i każdej chwili. Kiedy się zdarzało, że sił miał trochę więcej a cierpienia mniej, brał się Krasieński gorączkowo, namiętnie¹ do pisania żywota ojca, po francusku, żeby mógł być dostępnym dla wszystkich. Zaczął go; napisał dość dużo, bo do roku 1827; skończyć nie zdołał. Przyjaciele, bracia i siostry żony, byli zgromadzeni; czekali końca, a stracić nie chcieli ani jednej chwili jego życia. Od 10-lutego nie podnosił się już z łóżka wcale. Dnia 19-go, w czterdziestą siódmą rocznicę urodzenia, przyjmował Sakramenta. I znowu to samo czekanie; to samo pytanie, czy już dziś? czy może za dni parę? czy wieczór? czy jutro rano? Dnia 23-go lutego dzień przeszedł jak inne, bez żadnych oznak gorszych. Nad wieczorem siedział przy chorym jego szwagier Konstanty Branicki; nagle wydało mu się, że spostrzega pierwsze oznaki konania. Posłano po księdza. Umierający przyjął jeszcze raz wszystkie Sakramenta; potem modlił się przytomnie. Skończył późnym wieczorem tego dnia 23 lutego 1859¹).

¹) Dom w którym Krasieński umarł, przy ulicy de Penthièvre, nosił numer 22.; jest zburzony.

ROZDZIAŁ XII.

KRASIŃSKIEGO TALENT, POJĘCIA, USPOSOBIENIE, ZNACZENIE.

Bolesne w końcu wrażenie. Wszystko Krasińskiemu zaprzecza. Jego prawda. Dwa rodzaje poetów. Poezyja filozoficzna. Krasiński. Jego zdolność przewidywania i trafnego widzenia. Początki poetycznego zawodu. Drugi okres. Twórczość poetyczna. Zdolność dramatyczna. Wielkość pomysłów i jej powód. Liryzm filozoficzny i polityczny. Jego siła. Język i styl. Literackie pojęcia i smak. Wielkość poety. Pojęcia religijne. Ich koleje i zmiany. Wiara i niechęć. Powody niechęci. Powody zwrotu. Utwierdzenie w przekonaniach. Katolicyzm Krasińskiego.

Pojęcia polityczne. Ich stałość. Znajomość ludzkich społeczeństw. Wzniosły ideał i zrozumienie rzeczywistości. Logika. Zmysł polityczny. Trzeźwość sądu i jego surowość. Podstawy nadziei i jej warunkowość. Tożsamość *Racyi Stanu* i *Rewolucyi*. Miłość wolności. Polityczny rozum.

Natura uczuciowa. Skłonność do exaltacji. Fantazja zwrócona na siebie samego. Jej skutki w pismach i w życiu. Rodzaj jego egoizmu. Pessimizm. Stałość, w przyjaźni. Temperament. Świadomość siebie. Brak zarozumiałości i próżności. Zajęcie sobą i oderwanie od siebie. Wielkość moralna. Nigdy nie zaszkodził. Nic i nikogo nie zepsuł.

Związek z współczesnym światem i z Polską. Wyobraziciel szlachetnych pierwiastków swego wieku. Wskazuje trafną drogę. Wyobraziciel obecnego stanu Polski. Jej sędzia. Jej nauczyciel. Tragedya Krasińskiego. Jego przeznaczenie. Jego wielkość. Wpływ jego poezyi. Zła lub dobra przyszłość. Nasza w tej mierze odpowiedzialność.

Mówi ukochany Krasińskiego Dante, że nie ma większej boleści, jak rozpamiętywać czasy szczęśliwe w nieszczęściu; ale jest coś gorszego, przynajmniej coś równego tej boleści, to porównanie świetnych obietnic i nadziei, porównanie marzonej przyszłości z nędną rzeczywistością. Takim smutkiem, takim rodzajem cierpienia, przejmuje dziś poezya Krasińskiego. Któż nie doświadczył tego dodatku cierpienia, jakim po jakimś nieszczęściu osobistem, po wielkiej stracie naprzykład, urąga człowiekowi sen. Pamięć straty ginie gdzieś jak w letejskiej wodzie; świadomość cierpienia znika przed oczyma, widzi się tę postać utraconą, słyszy się jej głos, zdaje się że wszystko jest jak było dawniej, że się nic złego nie stało, serce bije tak lekko i świeżo, jak wtedy, kiedy jeszcze nie było rozstania na zawsze; wtem następuje przebudzenie, sen znika, rzeczywistość staje przed człowiekiem, nie surowa i naga jak prawda, ale ohydna i straszna jak szkielet, urągająca jak wyszczerzone zęby trupiej głowy, a mocna i nieubłagana, nieodmienna i trwała jak śmierć. Takiego przebudzenia doznaje się, kiedy przestając jakiś czas w świecie poezyi Krasińskiego, wyjrzy się z niej na świat rzeczywisty. Gdzie ta nadzieja? gdzie ta pewność? gdzie obietnica niby tak rozumna i wyrozumowana, że złe musi się przesilić? gdzie zwłaszcza to rozkoszne uczucie dumy, z jakim się widziało ową nieskazitą czystość Polski i jej wyższość między narodami? Jedno za drugim idzie przesilenie w Polsce i w Eu-

ropie, a horyzont nie rozjaśnia się *Przedświtem*, ale zaciemnia coraz grubszymi chmurami, świat coraz podobniejszy do Snu z *Niedokończonego poematu*; *Nieboska komedia* odgrywa się coraz dalej, coraz jawniej w swojej straszliwej ironii, i zdaje się zbliżać do swojej części ostatniej; ludzie, którzy w *Śnie Cezary* zeszedli do grobu na to żeby ten sen był ich siłą, przywaleni w nim zawsze i ciężej jak kiedykolwiek, i ta postać powietrzna, która po nich została na ziemi, coraz bardziej w mgłę się rozplywa — ale nie znać, żeby przez ten sen wracała im siła i życie, bo w ich grobie duszno od zabójczych wyziewów; w płucach, które oddychają atmosferą zawiści, kłamstwa, negacyi, zdrowa krew wyrobić się nie może! a choć wszystko zdaje się zapowiadać, że istotnie »rozgrzmiał się sąd w niebie po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami«, to w tym sądzie, gdyby się teraz odbył, odniosłaby tryumf jedna tylko ironia i groźba Massynissy. Ze wszystkich przecuć Krasińskiego, jedna tylko zdaje się chcieć sprawdzić za dni naszych, przepowiednia *Legendy*. Kopuła św. Piotra się chwieje, ale nie ma św. Jana, któryby na jej zwaliskach miał zasiąść, zamiast niego jest tylko duch niedowiarstwa, stara nienawiść Chrześcijaństwa i przeczenie Boga. Możliwy odwrócić do Krasińskiego samego to, co on mówi Słowackiemu :

I strón twoich granie
Zagłuszy wrzask mordu
I nic nie zostanie
Z twojego akkordu.

Nic? Więc ten nieszczęśliwy był tak do końca i zupełnie igraszką jakiejś piekielnej ironii, że to piękne i dobre które czcił i kochał, głosił tylko przed drugimi, jak urojony prorok, łudzący siebie i drugich? że Bóg jakiś złośliwy, dawszy mu wieszczego ducha, słowom jego nie dał nietylko wagi, ale nawet prawdy? więc

całe jego życie, cała jego miłość, cała wiara, cała jego poezja, była tylko jak sen znikomy? była złudzeniem, oszukaniem jego i drugich, była kłamstwem? Więc nie dość, że się sam zawiódł na sobie, na swoim narodzie, na Bogu, jeszcze i ten naród zawiódł, obiecując mu to, co się nie spełnia? Więc czymże on był? igraszka losu, marą wieszczą, fałszywym prorokiem, biednym szaleńcem, któremu na śmiech włożono koronę laurową i cierniową, w którą uwierzył on i jego nieszczęśliwi towarzysze w domu waryatów, na wielką wesołość i tryumf spektatorów?

Takby się zdawało, tak świadczy rzeczywistość, tak krzyczą fakta, tak naigrawa się zwycięstwo... jeden tylko jest świadek, który jemu świadczy; cichy i zakrzyczany tak, że dosłyszeć go dziś nie można, ale jeden, który się nie myli, jeden sędzia, który w tym sądzie jemu przyznaje słuszność: ludzkie sumienie. Ale ten mówi, że on jeden pomylić się nie może, bo jeden wie, co dobre a co złe. Niech urągają doktryny, niech fakta przeczą jak chcą, jest coś, co od nich nie zależy, co nad niemi, niezmiennie i absolutnie sędzić będzie kiedyś doktryny i fakta, tem jest »dobre« — a wobec tego słuszność i prawdę mają nie fakta, nie doktryny, nie rzeczywistość, ale Krasieński, I gdyby nawet nigdy zmienić się nie miało to zwycięstwo złego, które zdaje się być prawem świata, gdyby całe dzieje świata aż do końca dowodziły wielkim głosem że on się mylił, zdołałyby tylko dowieść, że jest inaczej jak on mówił, ale tegoby nie dowiodły, że tak jak jest, jest dobrze, że nie powinno być tak, jak on mówi.

Teraz, kiedyśmy przeszli po kolei wszystkie Krasieńskiego dzieła, starajmy się streścić zebrane spostrzeżenia, wyciągnąć wnioski z uwag i sądów, i zapytajmy, jaki on był, jaki jego stosunek do współczesnego

snego świata i do swego w tym czasie narodu, jakie jego miejsce w naszej literaturze, w historii naszych pojęć i dążeń, naszego umysłowego i narodowego życia?

Wielcy poeci dzielą się na dwie grupy, podług rodzaju swego gieniuszu, jego wrodzonego kierunku i własności. Jedni patrzą na uczucia ludzkiej duszy w nieskończonej różnorodności ich odcieni i stopni, na walki ludzkiego życia w niezliczonej mnogości ich objawów i odmian, przenikają je rozumem, dzielają współczuciem, i tworzą z nich obrazy ludzkiej natury duszy i życia, poprostu. Działają na nich, pobudzają ich do tworzenia wielkość nieszczęścia i cierpienia, wzniosłość uczucia lub poświęcenia, czasem szczęście, czasem rozkosz wielkiego zwycięstwa lub wspaniałość wielkiego czynu, i to uczucie, to cierpienie, to szczęście, tę walkę, dają widzieć, uczuć, zrozumieć, w całej ich przyrodzonej wielkości, w najwyższej możliwej sile. To co stworzą, będzie typem i wyrazem na miliony podobnych cierpień, namiętności, czy stosunków; będzie najistotniejszą i wiekuistą prawdą powiedzianą o człowieku i życiu, i będzie przez to rzeczywistą nauką: środkiem i pomocą do lepszego zrozumienia człowieka, życia, nieraz samego Boga i jego prawa. Ale ta prawda, to przystosowanie, one znalazły się w dziele tego poety same przez się, mocą jego gieniuszu, nie skutkiem jego osobnego namysłu i zamiaru. On widział tylko jakiś wielki (wzniosły, straszny, bolesny, czasem uroczy) fakt, stosunek, stan duszy, lub akt woli ludzkiej, i ten brał do serca, przetwarzał w wyobraźni i kreślił, nie myśląc o niczem więcej tylko o tem, że to co widzi i kreśli, jest wielkie, wspaniałe, wzruszające. Takim poetą był, w ten sposób tworzył Homer, tragiccy greccy, Szekspir i (z wyjątkiem *Fausta*) Göthe; takim Mickiewicz w *Tadeuszu*

i w *Grażynie*, a nawet (mimo wyraźnej ich tendencji), w *Wallenrodzie* i w *Dziadach*.

Druga grupa poetów patrzy i tworzy inaczej. Widzi zjawiska i fakta, jak pierwsza, ogarnia je uczuciem i przetwarza w wyobraźni, jak tamta, ale w zjawisku czy fakcie szuka jego ostatniej przyczyny, chce łączyć przyczyny ze skutkami, z tego związku zdać sobie sprawę, z niego dojść praw które zjawiskami i faktami rządzą, wreszcie ocenić i osądzić zjawisko, fakt czy człowieka, w stosunku do tych praw, wyjaśnić i oznaczyć istotę i wartość moralną tego przedmiotu, którym się zajmuje. Pierwszym w świecie przykładem, a dotąd najwyższym, takiej poezyi jest Dante. W pierwszym rodzaju tworzenia przeważa pierwiastek artystyczny, w drugim rozumowy, filozoficzny. Stopień gieniuszu u takich poetów może być ten sam, lub nawet (nieraz) wyższy, co u tamtych, ale jego rodzaj jest różny; i z tej różnicy rodzaju czy kierunku ich umysłu wynika, że ich dzieła mogą być równie wielkie jak dzieła tamtych, ale nie mogą być równie piękne dlatego, że są wprost otwarcie nauczające i dowodzące.

Krasiński należy oczywiście do tego ostatniego rodzaju poetów; jego poezya ma wszystkie te własności, te wrodzone konieczności (i niekorzyści), które jako skutek jej natury są nieodłączne od jej rodzaju; ma też niedoskonałości wynikające nie już z natury takiej poezyi, ale z natury tego poety, indywidualne, jego własne. Mówiliśmy o nich szeroko na wstępie; tu wystarczy przypomnieć tylko, a do przypomnienia dodać to jedno, że mimo wszystkiego, co może być wrodzonym defektem poezyi filozoficznej, i brakiem w jego własnym talencie, jest on w rzędzie poetów filozoficznych jednym z najwyższych, jednym z wielkich między wszystkimi ogółem poetami świata.

Podziwia się u innych (nie dalej jak u Mickiewicza), szczęśliwą harmonię uczucia, wyobraźni i my-

śli. U Krasińskiego tej harmonii, tej równowagi niema. U niego myśl, głębokość i siła rozumu tak góruje nad resztą, że fantazyja nieraz uderza o nie skrzydłami kiedy chce wzbic się w górę, a uczucie samo swojem natchnieniem, swojem cierpieniem bez miary, wtóruje tylko myśli, towarzyszy jej. Czytając go, nieraz trzeba się pytać, czy to poeta doprawdy? czy nie filozof i mędrzec, który z doświadczenia wieków wyciągnął treść prawdy i podaje ją jako naukę, jako przestrożę, jako groźbę. Dla niego poezya jest środkiem tylko, formą: celem jest prawda, prawda moralna i polityczna. I ztąd ten dziwny, wyjątkowy charakter jego poezyi, która często symboliczna i allegoryczna w formie, w treści jest na pół wieszczą i przeczuciową, na pół tendencyjną, polemiczną, dydaktyczną, która ma coś z proroków starego Testamentu, a coś z publicystyki. Wszystkie zarzuty robione jego poezyi, mogą być słuszne; symbolizm nie zawsze jasny, ton czasem napuszony albo znów prozaiczny, dydaktyczny, polemiczny; tendencyjność stała i ciągła i zawsze górująca nad poezyą, wszystko to prawda; i to może być prawdą, że dla tych powodów właśnie, kiedyś w przyszłości ta poezya uchodzić będzie za wielki pomnik historyczny, ale nie za nieśmiertelne dzieło piękności. Tylko jednej rzeczy te wszystkie prawdy nie znoszą; to jest, że w całej poezyi europejskiej naszego wieku, z wszelką i niezbitą pewnością, nie ma jednego człowieka, któryby stan i charakter tego wieku tak rozumiał, i któryby nad nim tak głęboko cierpiał, jak Krasiński. A może nie w poezyi tylko, może między wszystkimi ludźmi wielkiego umysłu i wielkiego serca, jacy byli i są jeszcze w historii tego wieku, mało jest serc i umysłów, któreby wiek ten tak były objęły i pojęły, jak on. Czy w tym gieniuszu, bo gieniusz jest niezaprzeczenie, tkwi istotnie jakiś dar proroczy, intuicyjny? czy w tych przewidzeniach jest jakieś tchnie-

nie nadludzkie, rewelacyjne? Że jest dar przewidywania zdarzeń, jakiś drugi wzrok dziwnie jasny i przenikliwy, to pewna, dowód jest w *Psalmie Miłości*, w *Nieboskiej Komedyi*; tam ich zaprzeczyć nie może nawet, ktoby się najbardziej śmiał z przepowiedni *Przedświtu* i *Psalmu Dobrej Woli*. W listach jego pełno także takich słów, których on za prorocstwa nie miał, a które się jako prorocstwa sprawdziły; co krok, co wiersz prawie, jakieś przepowiednie straszego upadku Francyi (które tak w owych latach musiały wyglądać na urojenia i przywidzenia), w jednym liście (z Kassel 1841 roku), dowodzenie trzeźwe i suche, że Prusy dokonają Zjednoczenia Niemiec. A więc dar proroczy? Krasieński sam w dar taki nie wierzył. »Władza przeczucia przyszłości sercem«, pisze on w jednym ze swoich listów (Monachium 1842 r.), »lub »przemyśliwania jej rozumem, użyczoną jest wspólnie »wszystkim i na to osobnego natchnienia nie potrzeba«. Daleki więc jest od przypisywania sobie daru widzeń i przewidywań, a zwłaszcza od tego, czemu na nieszczęście uległ Mickiewicz, żeby w tych przewidywaniach własnych widzieć prawdziwe Objawienia. Ale nie mogąc tego daru przewidywania zaprzeczyć, a chcąc zdać sobie z niego sprawę, w czym znajdzie się jego powody i pierwiastki? Jednym z nich, jest niezawodnie wielka logiczność jego umysłu — on nie odgaduje intuicyą i przeczuciem, on dochodzi ścisłym rozumowaniem do wniosków, które powinny okazać się prawdą; rozumuje tylko, ale rozumuje potężniej od zwykłych umysłów, jak człowiek genialny. Siłą zaś tego rozumowania, jego przewodnikiem i zarazem drugim pierwiastkiem w tym jego darze przewidywania przyszłości, jest jego wielka sprawiedliwość, zmysł moralny czuły i silny jak rzadko, który wskazywał mu każde złe, i za tem złem jego skutek zaraz, jego karę. Wielka i gruntowna znajomość historii, gie-

niałne jej zrozumienie, i zmysł polityczny niezmiernie jasny i pewny, własność przejrzenia na wskrós natury ludzi i społeczeństw, i następujące odrazu porównanie ich z czemś w przeszłości, odniesienie ich do znanych już i ubiegłych przykładów, z tego znów wniosek, że z podobnych przyczyn wyglądać trzeba skutków podobnych: oto pierwiastki jego trafnego, niemylnego prawie daru przewidywania, o ile ten da się na pierwiastki rozebrać. Naturalnie, jak po każdym rozbiore zostanie w końcu coś takiego, co się rozłożyć i wytłómaczyć nie daje: atom gieniuszu, i niezgłębiona tajemnica poetycznego natchnienia. Wszystkie warunki poprzednie dostępne są każdemu człowiekowi myślącemu i oświeconemu, ale bez tych dwóch ostatnich nie można być Krasińskim.

Dlaczego ten poeta, w formie, w zewnętrznym kształcie swoich pomysłów często niejasny i mglisty, jest tak jasnym, zrozumiałym, logicznym w treści i istocie tych pomysłów? Czy nie jest to skutkiem właśnie tej przewagi rozumu nad fantazją, myślenia nad marzeniem, która jest jego charakterystyczną cechą? Kto wie, czy nie ona to dała mu tę ścisłość wywodów, tę jasność wniosków, jaką się widzi w jego dziełach i listach. Jego siła polega głównie na bystrości i pewności jego wzroku w rzeczach politycznych. Uczuciem pojmuje on te sprawy tak wzniośle, jak najwznioślejsi ludzie jego czasu; ale rozumem i rozważą pojmuje i sądzi je w ich przyczynach i skutkach tak głęboko i trafnie, jak mało który umysł polski, nie współczesny tylko, ale jak mało który między wszystkimi, o jakich wiemy od początku naszych dziejów aż do dni dzisiejszych.

Ale to dowodziłoby tylko, że był wielkim umysłem filozoficznym lub politycznym, nie dowodziłoby jeszcze, że był wielkim talentem poetycznym. Jakież

są znamiona i świadectwa tego talentu, jakie drogi jego kształcenia?

W pierwszych, prawda że chłopięcych, a prawie dziecinnych próbach, to zwykły talent naśladowczy, z którego jedna da się wyciągnąć cecha charakterystyczna (ale nie oryginalna), skłonność do sytuacji ponurych i strasznych, i do zbytycznej przesadnej okazałości. Konwencyonalna romansowość i romantyczność, wspólna wszystkim słabszym poetom i powieściopisarzom owego czasu, skutek tego kierunku, jaki nadany był wyobraźniom wszystkich ludzi czytających przez dwóch lub trzech wielkich poetów i pisarzy. Ta okazałość i obrazowość może zapewne być oznaką pewnego talentu, ale nie oznacza talentu głębszego ani oryginalnego. Przeciwnie zaś jak w dalszym zawodzie, w tych swoich początkach młody chłopiec tworzy tylko siłą wyobraźni. Ona jedna jest zajęta i czynna, ona jedna snuje coś i roi. Uczucie przez nią tylko pośrednio jest podniecone; myśl jest uśpiona jeszcze albo dziecinna. Oprócz tego, ten poeta, który z czasem miał być ze wszystkich poetów najmniej literatem, w pierwszej młodości jest nim wyłącznie i jedynie. Literatura pobudzała go do marzenia i do pisania, i była kresem jego ambycji. Jak w całej literaturze polskiej przed rokiem 1830, względ i kierunek artystyczny i estetyczny, odrodzenie poezji w duchu i kształcie romantycznym, było dążeniem głównym, i wyraźniejszym (aż do *Wallenroda*) od kierunku i natchnienia patryotycznego, tak i Krasieński w młodzieńczych latach jest porwany tysamsym prądem, ma przed oczyma Waltera Scotta, marzy o historycznych romansach, po za ten kres marzeniem i usiłowaniem nie wybiega.

Przychodzi wielkie wstrząśnienie, osobiste na-przód, zaraz potem ogólne, a z niem przeobrażenie w młodzieńcu. Nie odrazu przecie, nie w jednej chwili.

Gieniusz zaczyna się dobywać i rozwijać, zagłębia się śmiało w najtrudniejsze, najstraszniejsze zagadnienia swego wieku, dręczy się już i krwawi wszystkimi jego uciskami, a dzieciństwo jeszcze trwa, objawia się i odzywa. Rozpacze *Wygnańca*, wspaniale i rozdzielające skargi *Ostatniego* (wierzymy, że w Genewie po części na papier rzucone), rodzą się w jego myśli i wychodzą z niej razem z drobnymi powiastkami, razem z błahym zawsze (nawet przypuściwszy że pięknym) Agaj Hanem. Już jest ogromna zdolność cierpienia, jest wielka dusza; i jest na to cierpienie potężny wyraz, czyli talent; ale są jeszcze literackie, a po części dziecinne przyzwyczajenia i upodobania, i niema jeszcze potężnej myśli. W bolesnej przykrości przymusowego pobytu w kraju i w Petersburgu, w tej samotności ducha, w jakiej tam zostawał, dokonać się musiały te w r. 1831 zaczęte walki myśli, to łamanie się z trudnemi i groźnemi pytaniami, w których myśl ta rozwinęła się i rozrosła, z których wyszła jako samodzielna, świadoma siebie, genialna.

W *Nieboskiej Komedyi* jest nietylko zdumiewająca zdolność zgłębiania i określania wielkich zagadnień historycznych i filozoficznych; jest także ogromna zdolność poetyczna wcielenia tych zagadnień w ludzkie postacie, ułożenia ich w obrazy i sceny. Jak przedmiot był nowym i nigdy jeszcze w poezyi nietkniętym, tak nową, nawskróś oryginalną i własną była forma (układ i budowa poematu, sposób kreślenia figur, styl, dyalog, wszystko). Nie było w tem artystycznej doskonałości, ale była wielkość. Ta forma była zbyt wyjątkowa i dowolna na to, by była wzorową; taką nie jest i być nie powinna. Poetyczna proza, jakkolwiek ją Krasiński tłómaczy i usprawiedliwia (w liście do Gaszyńskiego), jest tylko wybiciem pisarzy, którzyby poetami być chcieli, a nie mogą. Dlatego używa jej Chateaubriand w *Martyrach*, a za

jego przykładem poszli inni. Ale u Krasińskiego miała ta forma to, co formom szczególnym i wyjątkowym daje prawo do bytu i do nieśmiertelności; miała ten dar, czy tajemnicę, że wprowadza czytelnika w zdumienie i wzruszenie, miała władzę nad jego uczuciem, nad jego wyobraźnią, i nad jego rozumem. Tak jak inni poeci mieli i okazywali swoją moc twórczą w tem, że szczegółowym uczuciom czy cierpieniom ludzkiej duszy nadawali powszechność i wiekuistość przez prawdę i przez tragiczność tych postaci i tych stosunków jakie z nich składali, tak twórczość podobną miał i okazał Krasiński, kiedy w postaci i stosunki takie wcielał dążności i namiętności zbiorowe swojego społeczeństwa i wieku. W *Nieboskiej Komedyi* jest on nie tylko wielkim myślicielem, wielkim mędrcom; jest i wielkim poetą, wielkim twórcą. Jego myśl pracuje; ale w tej pracy posługuje się wyobraźnią, przyznaje jej i zostawia miejsce i prawo równe, obie tworzą razem, a choć to co tworzą, jest głównie z zakresu pierwszej i pod jej najwyższy sąd podpada, to działa przecież na drugą i przez nią. Z wrodzonego instynktu zapewne a nie z zamiaru i z rozumowania, ale jest Krasiński nawet artystą. Nie w tem znaczeniu, jakoby miał szkołę, rutynę, jasną świadomość i wiedzę jak ma postępować, na to by wywołać pewien efekt i sprawić pewne zamierzone wrażenie; ale jest wielkim artystą w tem, że swój przedmiot tak uszykuje, swoim scenom da taki obrót i taki koniec, swoim dialogom takie zmiany i przerwy, swoim figurom takie w każdej chwili słowa, które wrażenie danej sytuacji najsilniej streszczają, skupiają i podnoszą. W tych dramatach dowolnych, nieregularnych, nie przeznaczonych dla sceny, jest dramatyczny zmysł tak silny, że autor ich niewątpliwie byłby mógł być wielkim tragiczkiem, gdyby był pisał zwykłe sceniczne tragedye. W *Irydionie* własności te i zdolności artystyczne wy-

stępują wyraźniej, może dlatego, że na planie szerszym, w rozmiarach większych i przy starannem wypracowaniu, miały do pokazania się więcej czasu i łatwości. W każdym razie są to obok filozoficznych poetyczne pomysły na wielką skalę i znakomicie wykonane. Niepodobne zgoła w tem wykonaniu do tego, co romantyczność nazywała dramatem fantastycznym. Ani łatwej fantastyczności widm upiórów i duchów, ani wyjątkowości w naturach tworzonych postaci, ani nadzmysłowego świata, ani chorobliwie excentrycznych uczuć, jak u Manfreda, ani szlachetnych aspiracji przy niezdolności do działania, jak u Kordyana lub Wacława Garczyńskiego. Ludzie Krasińskiego, nawet kiedy są chorzy na wyobraźnię, jak Henryk, nie są rozstrojeni ani niedołążni; a z tym wyjątkiem żaden nie jest chory. Żli czy dobrzy, mają tęgość, mają zdolność postanowienia i czynu, mają natury normalne i męskie. W układzie zaś i w sposobie pisania tych poematów, pomimo patetyczności, a niekiedy może napuszystości, niema nic mglistego i nieokreślonego; wszystko się wyraźnie siebie trzyma i z sobą łączy, wszystko stoi mocno na nogach i na ziemi, a nie buja w powietrzu; każdy wie czego chce, co myśli, co robi. Te pomysły i figury mają doskonałą świadomość siebie w swojej myśli; w swoim zewnętrznym kształcie mają rzeczywiistość i uchwytność, w wykonaniu mają jasność, precyzyę, chwilami realizm. Wyszły z głowy poety jędrnego, męskiego, niechorobliwego, ani rozstrojonego. Co daje tym pomysłom i figurom ich żywotność i wartość? oczywiście ich wielka wewnętrzna prawda, skutek wielkiego rozumu, wielkiej mądrości autora. Ale co jest tajemnicą tej wielkości, tych rozmiarów heroiczych, jakie im poeta nadaje, i pierwiastkiem głównym jego siły? Ośmieliłbym się twierdzić, że tą tajemnicą jest głębokość i namiętność jego uczucia. Miłość potężna i gorejąca wszystkiego co do-

bre, równe, a może jeszcze potężniejsze oburzenie na to co złe, one to sprawiły, że *Irydion* jest taki ogromny w swoich zamiarach i w swojej boleści, Massynissa taki kolosalny w swojej nienawiści, że Pankracy taki silny, bezwzględny i pewien siebie, a Henryk tak nierówny dziełu które chce podjąć; że pogarda Rzymu Cezarów u *Irydiona*, a rozkosz Massynissy z upadku chrześcijaństwa taka bezdenna i bezgraniczna, że zakończenie *Nieboskiej* takie ponure i straszne, zakończenie *Irydiona* takie surowe, a zarazem tak pełne pociechy i odwagi. Złe, jak dobre, widzi ten poeta w całej wielkości ich sił i rozmiarów, w całej zgrozie i piękności ich istoty, jak mało kto drugi na świecie; i to daje mu tę siłę oburzenia i siłę miłowania, to na jego kreacyach wybija niezaprzeczone, niezatarte piętno wielkości.

Ta siła została w nim zawsze, ale zmieniła sposób wyrażania się i działania. Do jakich koncepcji i do jakich kompozycji mógł być jeszcze zdolnym poeta, który w latach tak młodych stworzył *Irydiona*? Ale zmienił drogę, i w ten sposób więcej już nie tworzył. Wyobraźnia, która służyła mu tak dzielnie i świetnie, odtąd zostaje na boku, jakżeby niepotrzebna. Wezwana raz do pomocy w drobniejszych pomysłach (*Trzy Myśli, Noc letnia*), stanęła na wezwanie, ale z opuszczonymi skrzydłami; siliła się na lot i udawała lot, ale naprawdę sama już się do niego nie zrywała. Później, w *Niedokończonym Poemacie*, już straciła wprawę i od ziemi prawie się nie podniosła. Co się z nią stało? czy się tak wyczerpała od razu wielkiem dziełem jakie stworzyła? Byłaby zapewne zdołała wydawać z siebie równe i większe, gdyby myśl, reflexya, nie była jej owładła i zagłuszyła. Kierunek filozoficzny wziął górę nad poetycznym. Chwila, w której Krasinowski zaczął stanowczo i namiętnie szukać całkowitego systemu prawd, i w której system ten złożył, oznacza

w jego zawodzie przełom i zwrot, który dla możliwego dalszego rozwoju jego sił i darów poetycznych był raczej szkodliwym, Poeta z usposobieniem i powołaniem, jak wskazywały jego pierwsze dzieła, przeważnie dramatycznym, zmienia ton i formę i występuje teraz jako liryk. Liryka ta zrazu jest osobistą, najczęściej miłosną, a jako taka niepospolicie potężną. Ale niebawem łączy się ona z temi pytaniami i sprawami, które obchodzą go nad wszystko, zlewa się z jego filozofią historyi, i z jego nauką moralną. W *Przedświcie*, w *Psalmie Wiary, Nadziei i Dobrej Woli*, to liryzm filozoficzny, politycznie dydaktyczny; w *Psalmie Miłości i Żalu*, w *Dniu dzisiejszym* jest takisam, tylko z dodatkiem wyraźnego, silnego, górującego pierwiastku polemicznego. Jakim sposobem ten dydaktyzm i dogmatyzm, ta filozofia i polityka, nie przygłuszyły i nie przydużyły poezji? Sama wzniosłość tych myśli, które Krasiński głosił, nie byłaby zdołała uratować poezji od niebezpieczeństwa, które logicznie grozić jej musiało, a zgubić ją mogło. Obronił ją tylko jego geniusz poetyczny, tak rzeczywisty i potężny, że w przedmioty i treści z natury przeciwne poezji, wlał boski ogień natchnienia i czar piękności. Nic może nie dowodzi tak jasno, tak zwycięsko, że Krasiński był wielkim poetą, jak że w tych dziełach filozoficznej i dydaktycznej treści on poetą być zdołał. Bo w *Niebo-skiej*, w *Irydyonie*, on dydaktycznym nie był; jego nauka i tendencya tkwiła głęboko na dnie, ale przykryta, przywalona poetyczną i artystyczną twórczością, ona nie biła w oczy, nie narzucała się, nie wykladała się jak z katedry. Teraz wyklada się tak porządnie, tak starannie, tak systematycznie, tak się objaśnia i popiera wszelkimi możliwymi argumentami, jak żeby w naukowej dyspacie lub politycznej dyskusji — a mimo to zostaje (prawie zawsze) najistotniejszym, najrzetelniejszym i najwznioślejszym poetycznym natchnie-

niem. Czem się tłómaczy to pogodzenie dwóch rzeczy z natury sobie przeciwnych? Tęsamem, czem tragiczna wielkość obrazów i postaci *Nieboskiej* i *Irydyona*, wyjątkową siłą miłości dobrego a oburzenia na złe. Ona to, ta siła, wybucha w *Przedświcie* wulkanicznym ustępem: *nie znam na was hańby słowa*, ona w *Psalmie Miłości* grozi tą straszną radością, co w grobie skleci kości carycy, ona patrzy *w dawno zmarłych żywe twarze*, ona chce *zginąć cząstką w trudów arcydziele*, ona słyszy że *rozgrzmiął się sąd w niebie ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami* ona truchleje, że może sobie *na dnie przepaści nieśstwo pościelem*, i ona szturmuje do nieba, z podniesionemi jak Mojżesz rękami, prośbą: *Daj nam wśród sądu tego, samych zbawić siebie*. Silniejszych wyrazów uczucia ludzkie niewiele miały na świecie; Prometeusz Eschyla mógłby swoją nieugiętą dumę wyrażać Krasińskiego słowami, Dante mógłby jego słowami gardzić, Skarga jego słowami zaklinać, upominać, gromić i grozić. Do tych szczytów potęgi, do jakich ludzkie słowo wznieść się może, dosięga poezja Krasińskiego.

Organem tej siły i jej kształtem, jest oczywiście jego język i styl, Ten wartby był, żeby mu poświęcić osobne studyum, tak jest zajmujący i dziwny swojemi przymiotami i wadami. Wielka okazałość jest jego cechą, jego naturą; bezwiedna zapewne, nieszukana, wrodzona pisarzowi sztuczność, jest w nim zawsze. To, co Macaulay mówi o stylu Johnsona, że jest aż sztywny od bogatych haftów, jak jaki wspaniały królewski płaszcz, to dałoby się zastosować do (zupełnie innego ma się rozumieć) stylu Krasińskiego. Ta okazałość i sztuczność wszakże, nie staje się nigdy zawilością, to jej wielka i dziwna zaleta; ale staje się nieraz nadętością, to jej naturalne prawie nieuniknione zboczenie i wada. Przykładów jest wiele i oczy-

wistych (zwłaszcza w *Trzech Myślach*, w *Psalmie Żalu* i w *Niedokończonym Poemacie*, często w listach, a nawet w listach do dzieci). Poprostu Krasiński wyrażać się nie lubi; jego myśl potrzebuje zawsze trójnoga czy koturnu; a koturn, kiedy za wysoki, przestaje być koturnem, a staje się szczydłem. Okazałość i uroczyść przesadzona staje się prozaicznością poziomą i ciężką, nieledwie przykrą przez przeciwieństwo zamierzonego wrażenia z osiągnięciem. Te wady stylu dowodzą, że smak Krasińskiego nie był zupełnie czysty i pewny. Nadmiar, przesada, wskutku tego efekt chybiony, zdarza się czasem, to prawda; ale uroczyść, majestat, wielkość, ale obrazowość i koloryt, ale porywająca lub przygniatająca siła wyrażen jest częściej, a prawie zawsze.

Rzecz rzadka u poetów kolorystów, a Krasiński jest jednym z takich, on do swoich świetnych, a czasem aż nazbyt jaskrawych efektów kolorytu, mało posługuje się przymiotnikami. Wystarcza mu kombinacja czasownika i rzeczownika, ale te dobiera i zestawia nadzwyczaj szczęśliwie i umiejętnie. Może temu zawdzięcza on niezrównaną jędrność i energię swoich frazesów; ale zarazem nadużywa niekiedy tych środków. Rzadko używany przymiotnik zastępuje on chętnie i zręcznie imiesłowem; ale zastępuje go także nieraz zrobionym z przymiotnika rzeczownikiem, a to nie zawsze z korzyścią dla swego stylu. Wogóle lubi on śmiało przetwarzać przyrodzone formy słów, z doskonałego rzeczownika zrobić nowy czasownik, lub odwrotnie, z czasownika rzeczownik. Jeden i drugi ma w sobie oczywiście więcej istotnej treści, niż ten biedny przymiotnik, który sam przez się zupełnym pojęciem nie jest, tylko dopiero w połączeniu takim się staje; zatem jędrności i energii stylu rzeczownik i czasownik służy najlepiej. Jednak przetworzenia takie, kiedy częste a zbyt śmiałe, chybiają celu i wywołują

wrażenie pretensyi a nie siły. Krasiński naprzykład z *aniota* zrobi czasownik *anielić się*, a z tego znowu rzeczownik *zanielenie* lub *przeanielenie*. Samemu Panu Bogu nawet nie przepuści, ale stworzy z niego czasownik *zbożyć się*. Prawda, że *Bóg był Słowem*, ale przecie nie słowem czasowem w gramatycznym znaczeniu.

Jakie były jego estetyczne i literackie pojęcia, zasady, czy upodobania? Miał on niewątpliwie wielką miłość poezyi. Wstęp do *Nieboskiej Komedy*, w którym tak starannie odróżnia poezję od poety, przytoczone wyżej liczne ustępy z listów dowodzą, że ma poezję za najbardziej nadziemską z ziemskich rzeczy, za swoją pociechę, siłę, poniekąd za swoją zasługę; przynajmniej za dowód i świadectwo swojej wartości. Ma też widoczny popęd i dar do filozoficznego badania poezyi, do dochodzenia i określenia jej natury i jej praw. Zajmuje się wprawdzie temi kwestyami, tą teorią poezyi mało; mówi o niej tylko przygodnie. Ale jego rozróżnienie sztuki starożytnej i chrześcijańskiej (w liście do Gaszyńskiego z 26 kwietnia 1835), albo określenie istoty poezyi (do tegoż 17 stycznia 1834), dowodzi, że mógłby być stać się genialnym teoretykiem piękności i sztuki, gdyby się był tą teorią zajmował. W praktyce, w przystosowaniu, sąd jego bywa dla nas czasem dziwny. Nietylko przez to, że naprzykład dowodzi filozoficznie »konieczności Słowackiego« (list do Romana Załuskiego), zamiast poprostu wskazać i wytłómaczyć jego zalety, bo to tylko zwyczaj filozofowania. Ale jak zrozumieć to, że w *Panu Tadeuszu* widzi tylko »epopeję drobnej szlachty«, i jakieś podobieństwo z *Don Kiszotem*? jak to, że Laprade wydaje mu się wielkim poetą? Virgiliusz większym od Homera, Schiller od Szekspira?

Zdaje się, że on, jak sam tendencyjny zawsze jest, tak w poezyi drugich szuka i potrzebuje jeżeli

nie wyraźnej i dotykanej tendencji, to przynajmniej wyraźnego uczuciowego i wzniosłego idealizmu. Na taki domysł naprowadza jego porównanie Szekspira z Byronem (do Gaszyńskiego 9 stycznia 1837), i z Schillerem (do tegoż z 30 stycznia 1837). Byron »w hierarchii duchów« wyższy od Szekspira, bo się więcej dręczył i pasował, więcej cierpiał i dążył. »Z Szekspira dowiesz się tylko, że tak się stało, z Schillera, że tak się stanie«; »Szekspir rozumiał duszę ludzką, Schiller ducha ludzkości«. W jednym jest »prawda codzienna, w drugim prawda wiekuista, idealna«. Poeta, który tej prawdy wiekuistej nie szuka widocznie, nie tęskni za nią wyraźnie i uczuciowo, ten Krasińskiemu wydaje się mniejszym, a przynajmniej na niego samego tak nie działa. Dlatego wydaje mu się, że Göthe i Szekspir nie mają uczucia (jak zdawało się wielu romantikom sentymentalnym); dlatego niezrównany urok *Pana Tadeusza* jest mu niezrozumiałym, bo tendencja w nim bardzo ukryta, on nie kładzie w głowę tego co się stanie lub stać się powinno. Uczuciowość i dążność pośrednia, ukryta, na Krasińskiego nie działa; zdaje mu się być żadną. Naodwrot, gdzie widzi wzniosłe uczucia, szlachetne myśli i dążenia, wyraźne, praktyczne wskazówki tego co być ma lub co być powinno, tam gotów jest uznać (jak u Laprada) wzniosłą poezję, choć jej niema; tam jak w *Czarnieckim* Koźmiana, wyexaltuje się do poematu, albo mu sam (jak w tym razie) tej tendencji zechce dodawać. Z pewnością patrzy on na poezję ze stanowiska tendencji moralnej i patryotycznej, nie wyłącznie, ale przeważnie, aż cokolwiek jednostronnie. Potrzebuje wyraźnego subiektywnego uczucia drugiego poety, i spotkania się jego uczucia ze swoim; gdzie tego nie znajdzie, tam zostanie zimnym, a poniekąd na zalety i na samo uczucie i natchnienie tego poety nieczułym, prawie zaślepionym. Ta zaś łatwość i potrzeba unoszenia się i za-

chwytu, która mu jest właściwa, sprawia, że kiedy dzieło trafi do jego uczucia i przekonania (jak *Laprade*), albo do jego wyobraźni (jak *Muszkietery Dumas*), to on gotów przebrać miarę w uwielbieniu, i pasować miernego poetę na wielkiego, a romans na epopeję.

Żadnego zresztą ze stałych raz na zawsze przyjętych względów, reguł, zasad, tembardziej uprzedzeń, w nim nie znać. O klassycyzm i romantyzm, o które za jego młodości jeszcze się krytycy spierają, on nie pyta. Do żadnego nie należy, oba doskonale rozumie i we właściwych pięknościach szczerze podziwia. Nad chwilowe spory, pojęcia lub szkoły, jest wyższy; wie, że piękność może się objawiać w nieskończonej różnorodności form, a wszystkie mogą być równie dobre i uprawnione, pod warunkiem, że będą kształtem rzeczywistej i wiekuistej piękności.

Jakiegokolwiek zresztą byłyby niedoskonałości jego stylu czy smaku, to zawsze *Krasiński* jest jednym z tych pisarzy, którzy pewnym wrodzonym, powszechnym, od natury ludzkiej nieodłącznym uczuciom, umieli nadać wyraz najsilniejszy, którzy pewne myśli, zjawiska, stosunki, najtrafniej i najdzielniej umieli w jędrnych słowach sformułować; jednym z tych rzadkich, którzy kreacyom swoim umieli nadawać wielką duszę, wielką siłę umysłu i woli, natchnąć je i ożywić wielkimi dążnościami i uczuciami. Gdyby przyszłość miała nawet odwrócić się od wszystkich *Krasińskiego* myśli jako od błahych i mylnych, od wszystkich jego form jako od błędnych czy przestarzałych, to i w takim razie jeszcze miłość ojczyzny, miłość kobiety, zgroza, pogarda, nienawiść kłamstwa, podłości, i gwałtu, wszystkie te pierwiastki ludzkiego życia i skarby ludzkiej duszy, znajdą w jego poezyi wyraz jeden z najsilniejszych i najdoskonalszych na świecie, wyraz zawsze prawdziwy, dopóki one zostaną na świecie.

Dodajmy do tego, że jak inni poeci byli znawcami i malarzami natury człowieka, tak on był znawcą psychologicznej natury ludzkich społeczeństw, związku między różnymi skłonnościami i namiętnościami ludzi a dążnościami i dziejami ludzkości, znawcą praw, które temi dążnościami rządzą i z pewnych przyczyn pewne skutki wywodzą, malarzem typów i stosunków, w jakich się te namiętności, dążności, i prawa objawiają; dodajmy to wszystko razem, a będziemy mieli odpowiedź na pytanie, czy Krasiński był wielkim poetą.

Filozoficznego stanowiska Krasińskiego określać i sądzić nie czujemy się na siłach ani w prawie. Pokusić się o streszczenie jego pojęć, wedle możliwości dokładne i wierne, oto wszystko, co mogliśmy zrobić. Dochodzić związku tych pojęć ze współczesną lub nieco dawniejszą filozofią, oznaczać pochodzenie tej lub owej myśli od tego lub owego poprzednika, wreszcie sądzić, co tam prawdziwe i słuszne a co nie, to rzecz takich, którzy istotę i dzieje tej nauki lepiej znają, a rozumieją głębiej. Długo jeszcze po nas będą ludzie zajmować się Krasińskim i o nim pisać, a między tymi znajdą się tacy, co i tę kwestyę z czasem rozważyć i zbadać zdołają. Ale są za to inne pytania, przyśpieszające, których odrazu rozwiązać nie mamy uroszczenia, ale które zadać sobie można i należy.

Jednym z takich jest Krasińskiego przekonanie i stanowisko religijne, jego stosunek do Kościoła i wiary. Na tem polu spotyka się przeciwieństwa do pogodzenia trudne. W młodości jest nietylko żywe uczucie religijne, ale zrozumienie dziwnie głębokie i prawd wiary i natury Kościoła, obrona ich gorąca przed drugimi, zatem istotne do nich przywiązanie. Później wyznania, że ta wiara się chwieje; a jednak obok nich ślady i wskazówki wyraźne, że ona jest. Jeszcze póź-

źniej po ustaleniu i dojrzałości zupełnej wszystkich pojęć, przekonania i uczucia gruntownie i statecznie katolickie, a przecież i wtedy nietylko zostaje oczekiwanie epoki Ducha św. (niepewnej prawowierności), ale w listach odzywają się jeszcze przypuszczenia, że Kościół chyli się ku upadkowi, jakoby przypuszczenie, że on upaść może.

Jak to pogodzić?

Przedewszystkiem jako podstawę wyobrazić sobie trzeba uczucia i pojęcia katolickie. Kiedy Krasieński pisze do przyjaciela: »wstydz się nie być katolikiem«, mówi przez niego nie samo tylko uczucie, ani poetyczne rozmiłowanie w wierze i jej kształtach, ani tradycyjna tylko a tem mniej wyrozumowana polityczna jakaś wierność; to wszystko może w nim być w różnych proporcjach, ale obok tego jest i przekonanie. Nie jego serce tylko, jego rozum mówi także, że »Lamennais głupstwa gada«; i mówi, że Papież jak dziś w jego oczach błogosławił, tak dalej i zawsze błogosławić będzie *urbi et orbi*. Jego dusza i jego natura poetyczna, mają wrodzoną potrzebę religijnego uczucia i wiary; jego rozum wie, że bez wiary nie dojdzie ani człowiek do zupełnej prawdy, ani ludzkość do sprawiedliwości i rzetelnego postępu. Wychowanie, tradycja, własne uczucie i własne wyrabiające się przekonanie, mówią mu zgodnie, że prawda jest w katolickiej wierze i Kościele. Ale zarazem jest Krasieński człowiekiem swego czasu i swego pokolenia; pragnie i wygląda uczciwego, po bożej myśli, rozwikłania i uporządkowania spraw ludzkich, mniema i spodziewa się, że temu dziełu początek winien dać Kościół, a przynajmniej widocznie mu pomagać, pokazać wyraźnie, że mu sprzyja. Z pewnością stoi on na tym samym punkcie, na którym stało wiele serc i umysłów wzniosłych, z którego dopiero rozchodziły się

one w różne strony i kierunki. Jaki był kierunek Krasińskiego?

Jego, jak innych, raziło i bolało, że Kościół milczy, że zachowuje dobre stosunki z tem, co w chrześcijaństwie właśnie reprezentowało gwałt, przemoc, bezprawie, z dodatkiem wstrętnej hypokryzyi praw i zasad: że w państwie Papieskiem praktykują się takie same jak w Neapolu lub w Austrii Metternicha policyjne środki ostrożności i zakazy. Namiestnik Chrystusa, zamiast coby miał wskazywać prostą drogę do Jego Królestwa, zostaje w zgodzie z tem wszystkim, co jest jego negacją; nie widzi, albo udaje że nie widzi, że w tych pozornych obrońcach Boskiego porządku, niema poczucia i poszanowania, jest urąganie że wszystkich praw boskich i ludzkich. Konieczność uznawania rządów istniejących, niemożność wyzywania ich, byłiby ci ludzie wyrozumieli i znieśli łatwiej; ale łatwowierność, z jaką Rzym szczerze ówczesnym rządowi ufał i za swoją podporę je uważał, ta bolała i upokarzała ich gorzej. Nie widzieli zaś tego, co Rzym i doświadczeniem swoim i wzrokiem bystrym dostrzegał, to jest, że pod każdą dążność szlachetną i słuszną podszywa się zabójcza, destrukcyjna, rewolucyjna nienawiść chrześcijaństwa; nie rozróżniali, że Rzym tej złej dążności opierać się musi, sądzili, że boi się dobrej. Istotnie za Leona XII i Grzegorza XVI dwór rzymski nie zawsze dość jasno widział, gdzie się kończy dobre, a zaczyna złe, i w postępowaniu swoim nie dość jedno od drugiego odróżniał.

Dość, że widzieć Namiestnika Bożego, reprezentanta i stróża prawdy na świecie, życzliwym i powolnym dla tego, co było zaprzeczeniem i urąganiem Bożego prawa i porządku, tą była dla sumień próba i walka ciężka, pokusa niebezpieczna. Lammenais jej nie wytrzymał; Mickiewicz wytrzymał długo, ale nie do końca. Krasiński nie był tak w swoich katoli-

ckich zasadach rozumowo i pewnie zahartowany, jak Lacordaire i Montalembert, nie przewyciężył pokusy odrazu i stanowczo, jak tamten; nie miał takiej jak oni miłości Kościoła, która trwa i nie słabnie, choć się nam postępowanie władz kościelnych wydaje mylnem, a ich pojęcie ciasnem. Ten stopień rezygnacyi przechodził jego ówczesne siły; rzeczywistość klóciła się z jego ideałem, nie dochodziła go, psuła go. Ztąd nie bunt jak u Lammenaisgo, a później u Mickiewicza, ale żal do tej rzeczywistości i przeciw niej gorycz. Wiara zostaje, ale obok niej powstaje niechęć do tego, co Mickiewicz nazywa Kościołem oficjalnym.

Na to przychodzi wpływ filozofii niemieckiej, ten wpływ, na który Krasiński tak się żali, że mu zniweczył wszystkie jego wiary. Czy zniweczył wiarę religijną? Nie; on ją tylko różnemi wątpliwościami zachwiał. Jak daleko one sięgały i czego się przedewszystkiem tyczyły, to się dziś oznaczyć nie da; tylko, znając naturę i umysł Krasińskiego, można przypuszczać, że wątpliwości te raz poczęte musiały się rzucać (po kolei lub razem) na wszystkie kwestye, i wszystkie ogarniać. Jednak zdaje się, że wątpliwości nie utrzymały się zwycięsko, nie stały się przekonaniem, twierdzeniem. Przez wszystkie te lata, jak świadczą listy, Krasiński wyznaje Jezusa Chrystusa, jako Boga; nieśmiertelność duszy ludzkiej wyobraża sobie niejasno, skoro przypuszcza jakieś zlanie się w łono Boga, które może być końcem indywidualności duszy; ale nieśmiertelność tę stawia zawsze jako pewnik, a odpowiedzialność tej duszy, jej zasługę lub winę, rozumie zawsze jasno i pewnie. Istota i treść wiary jest więc może nadwerężoną, ale nie jest zniszczoną. Żal do Kościoła za to rośnie; powstaje myśl, że to przemijająca forma stosunku człowieka i ludzkości z Bogiem, która może się przestarzeć i zmienić.

Wtedy jest Krasiński na tym punkcie, z którego

do zerwania i buntu już tylko jeden krok. Ksiądz Semenenko, który go poznał w Rzymie w roku 1839, mówi o nim, że »zdaje się nie mieć wcale religii, a nawet więcej niż *zdaje się*¹⁾. Mylił się, było jej tam więcej niż się zdawało; ale nie dziw, że mógł Krasińskiego tak sądzić. Przyszłość Mickiewicza zdaje się być dla niego możliwą, otwartą. Co go ustrzegło i na tej drodze zatrzymało? Przedewszystkiem zapewne silny grunt katolickich uczuć. Czy praktyk także? O tem nie wiemy nic; a na domysł przypuszczać możemy, że nie. Człowiek zaplątany w różne miłości, których wyrzekać się nie chciał, modlił się zapewne często i gorąco; ale musiał zaniedbywać inne obowiązki religijne, skoro ich warunkiem i następstwem musiałoby być zerwanie tych stosunków jemu tak drogich. Na domysł znowu, ale sądzę, że Krasińskiemu do utrzymania się w wierze musiały pomódz *Prolegomena* Cieszkowskiego (przez co nie rozumiem, ani chcę powiedzieć, jakoby Cieszkowski był w swoich pojęciach ściślej katolickim od Krasińskiego, tylko, że mu dopomógł do ułożenia i zgodzenia pojęć nieustalonych lub sprzecznych). Cokolwiek byłoby błędnego, filozoficznie czy religijnie, w tym systemie pojęć, jaki on sobie z tą pomocą złożył, zawsze ten system dawał mu możność pogodzenia sprzeczności pomiędzy uczuciem i wiarą, a tym zalem, jaki miał do Kościoła. Prawda jest, i wiara zostanie, i Kościół także; tylko w trzeciej epoce dziejów on podniesie się także. Zmieni się jego forma, a w tej nowej jaką przybierze, zniknie to wszystko, co dziś w nim razi jako słabość czy małość. Na tem stanowisku stoi on w *Legendzie*. Nie znać tam niechęci i goryczy do Kościoła dzisiejszego; owszem, jest jakaś miłość tęskna i litościwa, jakaś wy-

¹⁾ Ks. Smolikowski, *Pierwszy Zakon Polski w Rzymie, Przegląd Polski*, sierpień 1892.

rozumiałość na jego słabości czy błędy. Ale jest zarazem wyrok stanowczy i niecofniony przemiany przeobrażenia, podniesienia się, jakie on przeżyć musi. Taki jak jest, on nie jest »opoką«; »gniewają się«, mówi Krasiński, »bo widzą krytykę tego, co *nazywają opoką*«; ale stanie się lepszym i wyższym. Ta wiara w przyszłość Kościoła sprawia, że Krasiński znosi jego terażniejszość, choć jej nie pochwała; ona zatrzymuje go w Kościele, sprawia, że nie czuje potrzeby wyjścia z Kościoła, że teraz byłby silny przeciwnik wszelkiej pokusie wyjścia z niego, odparłby ją odrazu i z oburzeniem.

Utwierdził go w tej wierności — znowu domysł tylko — i był dalszym krokiem do statecznych przekonań i wyrozumowanej wiary, Towianizm. Pierwiastkową, zasadniczą szlachetność uczuć i zamiarów, on doskonale rozumie (dowód w listach do Słowackiego). Ale jego rozum przenika odrazu, co jest w tej nauce błahego, dowolnego, bezpodstawnego; jego znajomość ludzi odkrywa i wskazuje niebezpieczną pychę pod pozorami pokory i zachwyty; jego instynkt polski i jego zmysł polityczny odgaduje odrazu niebezpieczeństwo rozprężenia i rozkładu narodowej duszy i woli, niebezpieczeństwo zlania się w praktycznym działaniu z rewolucją i jej środkami; i tak daleko, jak Towianizm odszedł w kierunku odśrodkowym, tak on przychodzi do środka, i o ten środek się opiera. Wyszedł z tychsamyh co Mickiewicz cierpień, pragnień i nadziei, miał i on podobny tamtemu żal do kościoła, ale doszedł do konkluzji innych; a gdy zobaczył do jakich tamta droga może prowadzić, stanął tem silniej przy swoich. Żadnego nowego objawienia, żadnych nowych zakonów, żadnych cudów. Prostemi, naturalnemi środkami (przy Bożej łasce i pomocy ma się rozumieć), podniesienie ludzkości całej, i kościoła w niej, do wyższej doskonałości. Jezus Chrystus nietylko nie potrzebuje,

żeby ktoś po Nim Jego objawienie i zakon poprawiał, ale jest sprawcą i celem całych dziejów ludzkości; Jego żywot tych dziejów, wzorem i figurą. Kościół jest nie narzędziem tylko i środkiem, ale fundamentem oczekiwanego postępu, osią tych dziejów. Z nim w jedności zupełnej i przezeń ma się dopełnić trzecia epoka i ludzkość dojść do swego celu, a on nie zmieni się, tylko się pozbędzie tych ludzkich niższych słabości, które w epoce dzisiejszej być w nim musiały, jako od niej nieodłączne, nieuniknione.

To jest stanowisko *Przedświtu* i *Psalmów*, i im współczesnych listów. Zrozumienie Kościoła i jego miłość wróciły silniejsze, bardziej wyrozumowane, niż były za młodu. A jednak niechęć jest i odzywa się ironią, goryczą, niesprawiedliwością nawet wielką, na przykład we wzmiankach o spotkaniu Grzegorza XVI z Mikołajem. Jest jakaś złośliwa i brzydka przyjemność w słowach Krasińskiego o uścisku dwóch papieży, w jego wróżbie, że Rzym podkopie się w czci i powadze u ludzi. Tensam list wskazuje, co w jego mniemaniu jest powodem złego w kościele. »Połączeni są ogniwem władzy świeckiej«, mówi. Oczywiście na dnie tkwi w nim myśl (podobnie jak u Mickiewicza), że dbałość o tę władzę świecką, względ na jej zachowanie i bezpieczeństwo, przeszkadza Stolicy Apostolskiej w pełnieniu jej obowiązków duchownych, zmniejsza jej rolę i jej inicjatywę w wielkich sprawach ludzkości.

Przychodzi Pius IX. Krasiński zrazu z zadziwieniem, potem z zapałem i zachwyceniem patrzy na te rządy, które zdają się zapowiadać urzeczywistnienie ideału, pogodzenie wiary z wolnością, przykład postępu dawany przez głowę Kościoła. Ale rok 1848 staje na wspak tym nadziejom. Krasiński widzi cele i skutki rewolucyi lepiej niż ktokolwiek; ale myśli, że można je odwrócić i zniszczyć, jeżeli dobre ręce ujmą te

dobrze zasady, pod które ona się podszywa. Na tajnej audyencji zaklina Papieża, żeby stanął na czele włoskich dążeń do niepodległości. Papież odmawia; może się w potrzebie bronić, ale nie może wydawać wojny, ani hasła do niej. Poeta znowu myśli, że Kościół skazał się przez to na upadek i niewolę. Piusa IX zawsze podziwia, ale boi się, że »kopuła porysuje się i runie«; wierzy w ukryte zdradzieckie przymierze rewolucyj z absolutyzmem, czerwonych i czarnych, którego celem jest Papieża z jego pierwszej drogi sprowadzić, uwikłać go w sidła »czarnych«, i poczęty wspaniale postęp odwrócić, nie dopuścić do połączenia wiary z wolnością.

Wreszcie po r. 1848, zwłaszcza po 1850, w listach mniej o tych rzeczach mowy (bo i listów samych coraz mniej i krótsze); ale w ostatniej jeszcze scenie *Niedokończonego Poematu* występuje trzecia epoka troistych dziejów ludzkości i obietnica Ducha św. Tylko bez żadnych do Kościoła niechęci czy uprzedzeń; a w listach do Trentowskiego takie głębokie potężne zrozumienie istoty katolicyzmu i jego prawdy, jakich w naszej literaturze świeckiej znajduje się bardzo niewiele.

Po tem przypomnieniu różnych w biegu czasu religijnych pojęć Krasińskiego, jakież można wyrobić sobie ogólne o nim pod tym względem zdanie? Nie inne, jak, że to jest katolik, który (jak większość ludzi jego wieku) przebywa różne wątpliwości, który wątpliwości, jak wierzenia swoje, chce sobie rozumowo wyjaśnić i uzasadnić; który różne artykuły wiary tłumaczy sobie i rozwija na swój sposób, z nauką Kościoła niezawsze zgodny; który dalej wierzy w najwyższe przeznaczenie Kościoła i spełnienia tych przeznaczeń wygląda, a im więcej pragnie tego spełnienia, im wyżej to przeznaczenie pojmuje, tem trudniej, tem niecierpliwiej znosi małości i słabości ludzi w Kościele.

Ta strona ludzka, czasem dworska i dyplomatyczna, razi go boleśnie i oburza. Ztąd gorycz względem Kościoła, stąd wróżby jego upadku, ztąd przekonanie, że on powinien odrodzić się i podnieść. Ale ta nadzieja zmiany w Kościele nie jest zaprzeczeniem Kościoła; tak jak pojęcia Krasińskiego o pośmiertnym życiu człowieka, choć może dogmatycznie nie ściśle, nie są negacją ani nawet przeciwieństwem chrześcijaństwa. Jakiegokolwiek są różnice między jego pojęciami a naukami Kościoła, to istoty tej nauki on nie narusza, nie myśli i nie chce z Kościołem zrywać, ani też faktycznie z niego nie występuje. Rzeczywistość nie zgadza się z jego ideałem, ten lub ów szczegół nauki nie zgadza się z jego pojęciem, ale wola zostaje wierną, nawet kiedy rozum wykracza poza ściśle granice wiary, a uczucie staje się gorzkim. W tem różnica między Krasińskim, a takimi jak Lammenais lub Mickiewicz; w tem także podobieństwo i wspólność z całym jednym prądem pojęć i dążeń w jego czasach. Takich ludzi było wielu, którzy w swoim pragnieniu sprawiedliwości oglądali się na Kościół, nie rozumieli jego rozlicznych trudności, i nie mogli pojąć dlaczego nie jest śmielszym; którzy ze wstrętem patrzeli na jego sługi, kiedy ci byli podobni do świeckich dworaków i dyplomatów; którzy w najlepszej wierze i z gorliwością chcieliby byli, żeby Kościół występował i działał inaczej; którzy mniemali, że on jest oplątany intrygami świeckich i despotycznych rządów, że dwór papieski jest tych intryg narzędziem, świeckie panowanie archimedesowym punktem, na który one działają. Było takich wielu w Europie, a zwłaszcza wielu między Polakami, którzy prócz tego wszystkiego jeszcze byliby chcieli, żeby Papież każdy ucisk i każdy gwałt powoływał przed sąd i Boski i ludzkiej opinii. Czy w tych uczuciach nie było nic słusznego? Było dużo niewiedomości, nie dosyć względu na położenie Stolicy świętej i jego tru-

dności; nie było (bo być nie mogło) tego doświadczenia, że świecka władza jest warunkiem swobodnego wykonywania duchownej; ale uczucie i zamiar były dobre, ideał Kościoła był prawdziwy, zarzuty czynione jego stronie ludzkiej i ziemskiej były nieraz słuszne.

Krasieński był jednym z takich ludzi; był między takimi jednym z najmędrszych i najgłębszych; ale nie mógł i on mimo całego swego rozumu wiedzieć rzeczy, które po czasie i po doświadczeniach dopiero stały się zrozumiałymi; a im goręcej pragnął pogodzenia wiary z wolnością, tem bardziej cierpiał i zniechęcał się, kiedy nie widział tego, co miał za pierwszy krok ku upragnionemu królestwu Bożemu na ziemi. Jak w wieku XVI widzimy wielu, którzy katolikami są i chcą zostać, a jednak wyrzekają na zepsucie w Kościele, albo myślą, że byłoby lepiej, gdyby się księża żenili, a nabożeństwo odbywało się w językach żyjących: tak w naszym wieku Krasieński może wierzyć, że Kościół potrzebuje przemiany i odrodzenia, albo, że władza świecka jest do tego przeszkodą, a wiarą i wiernością swoją, przekonaniem i wolą, w kościele przeciw być. I tak jest. Jemu, jak przed trzema wiekami Kochanowskiemu naprzykład, mogło grozić niebezpieczeństwo odstępstwa, ale zostało tylko niebezpieczeństwem. Niezgodność z Kościołem, jaka jest, pochodzi z rzeczy świeckich i politycznych, i do tych się tylko odnosi; wiara jest u niego gruntowniejsza i hartowniejsza, bardziej na rozumowaniu oparta i w przekonanie zamieniona, niż u ogromnej większości świeckich, czy XVI czy XIX wieku. On był tem, co za jego czasów nazywano *katolikiem liberalnym*, ale katolikiem szczerze i wzniośle. A jeżeli Montalembert, który opierał się długo i namiętnie dogmatowi nieomylności Papieża, nie przestał przecie być uważanym za katolika i za jednego z najlepszych, to tak samo może i ma prawo uważanym być Krasieński po-

mimo dawniejszych wątpliwości a późniejszych krytyk, pomimo epoki Ducha św., która zresztą w *Legendzie* tylko oznacza jakiś nowy kościół św. Jana, a po niej tylko podniesienie Kościoła do wyższej doskonałości. To pragnienie przecież nie sprzeciwia się ani nauce Kościoła, ani jego istocie, ani jego własnym nadziejom i dążeniom.

Polityczne pojęcia Krasińskiego określają się tak dokładnie i tak ciągle w jego pismach, że opisywać je byłoby zbyt szalenie; co najwięcej, można zwrócić uwagę na pewne pod tym względem charakterystyczne jego właściwości.

Jedną z takich jest dziwna stałość tych pojęć. Człowiek, który pod względem religijnym doświadcza różnych wstrząśnięć i przemian, który swoje pojęcia filozoficzne wyrabia pomału i pracowicie, w politycznych nie zmienia się od początku do końca. Jak rozumie te sprawy i stosunki w dwudziestu latach życia, w *Nieboskiej Komedyi*, tak samo będzie je rozumiał do końca; a jeżeli na innych polach dadzą się dostrzedz i wytknąć w samych jego pojęciach sprzeczności lub niejasności, to w pojęciach i zasadach politycznych jest najzupełniejsza jedność i zgodność; żadnego wahania, żadnego zboczenia; on zawsze taksamo myśli, a w tym sposobie myślenia wszystko do siebie doskonale przystaje i przypada. Jestże to skutkiem bierności i nieruchomości umysłu, któremu pewien skład pojęć podano, a on przyjął je z powolną łatwowiernością, albo z pedantycznym uporem przywiązał się do wyuczony doktryny? Nie był Krasiński umysłem ani biernym, ani łatwowiernym; a ścisły i systematyczny w swoim myśleniu, pedantem i doktrynerem nie stał się nigdy; cóż dopiero w latach dwudziestu, kiedy na wyrobienie doktryny nawet czasu jeszcze nie było. W tym wieku może być pedantem jakiś biedny ciasny umysł, rad, że mu ktoś drugi powiedział co on ma myśleć,

ale nie Krasiński, którego cechą w umyśle i w charakterze jest właśnie samodzielność i niezależność, i wielkie ich zamiłowanie. Jeżeli więc w piewszej młodości, w *Nieboskiej Komedyi*, jego pojęcia są już tak wyrobione i stałe, że się w dalszem życiu nie zmieniają, ani nawet silniej nie utwierdzą, to trzeba, w tem widzieć dowód, że ten młodzieniec już o tych rzeczach myślał więcej niż o innych, i że o nich myślał głębiej niż inni. Istotnie, jak nie było drugiego poety, który był tyle, co on, zastanawiał się nad naturą spraw i zjawisk politycznych i społecznych, tak nie było tego, któryby patrzył na nie przenikliwiej. Można by bez przesady powiedzieć, że jak Macchiavel między prozaikami, tak Krasiński między poetami świata niema sobie równego pod względem psychologicznej znajomości ludzkich społeczeństw. Jeden patrzy na te sprawy ze stanowiska sukcesu, i uczy jak go osiągnąć, drugi ze stanowiska chrześcijańskiego i moralnego; stają więc na stanowiskach wręcz przeciwnych, na przeciwnych biegunach. Ale jak o tamtym można rzec, że przenikał naturę zjawisk politycznych, związek przyczyn i skutków, jak nikt drugi w naszym świecie, to o Krasińskim można powiedzieć bez przesady, że ją znał i przenikał, jak mało kto drugi.

Staje tu w pamięci to, co on sam powiedział o Schillerze, kiedy go porównywał z Szekspirem: »jeden pokazuje to, co jest, drugi to, co być powinno«. Otóż on ma tę własność szczególną, że rozumiejąc i miłując lepiej niż ktokolwiek to, co być powinno, doskonale, trzeźwo, jasno widzi w rzeczach politycznych to co jest i co być może. Przymiot to rzadki między Polakami, a dopieroż między poetami! Co być powinno, to my wogóle czujemy żywo; co stać się może, to czasem przewidujemy i odgadujemy trafnie; ale rzeczywistość tego, co jest, widzimy i rozumiemy zwykle gorzej. Ten polityczny idealizm, który nam

jest wrodzony, ukazuje nam rzeczy w światłach i rozmiarach innych, niż one na prawdę są, czyni nas skłonny do złudzeń. Przykładów przytaczać nie warto; cała nasza historia tego wieku jest takim przykładem, są nim bardzo zresztą znakomici ludzie polityczni. Cóż dopiero poeci! największy z nich, Mickiewicz (na emigracyi przynajmniej), widzi bieżące wypadki prawie zawsze inaczej, niż one są. Krasiński ma najwznioślejsze, najszlachetniejsze pojęcie tego, co być powinno; idealizm jest osi i duszą jego wiary i filozofii w odniesieniu do przyszłości, i wtedy może przebiera miarę. Ale ten idealizm nie przeszkadza u niego trzeźwemu, praktycznemu widzeniu i sądzeniu spraw i wypadków bieżących; idealista (czy jak niektórzy chcą ideolog) względem przyszłości, jest pozytywnym i praktycznym, kiedy chodzi o teraźniejszość. W jego poezyi ukazuje się zawsze królestwo Boże na ziemi i »nowe błyszczą Hieruzalem«; ale w jego listach nie znać złudzenia, żeby ono wyjść miało z tych wypadków, które się właśnie toczą. Ten zmysł rzeczywistości opuszcza go, idealizm bierze górę, czasem, ale bardzo rzadko. Tak kiedy Piusowi IX mówi, że powinien wydać wojnę Austryi, i obiecuje zwycięstwo niemal łatwe: albo kiedy w liście do hrabiego Mastai wskazuje zwołanie Soboru jako środek na rozkład naszego świata, a na to nie uważa, że w owoczesnych okolicznościach to zwołanie było niemożliwe. W memoryałach do Napoleona III-go są niektóre argumenta, które na tamtego może działać nie mogły. Ale interes Francyi, interes napoleońskiej dynastyi, wskazuje mu trafnie, praktycznie. Dwa tylko razy ma on nadzieję szczęśliwego takich wypadków obrotu, a zawsze warunkowo, z zastrzeżeniami; raz w początkach panowania Piusa IX i w pierwszych chwilach roku 1848, drugi raz w początkach wojny Krymskiej; oba razy widzi słusznie dobre pierwiastki i możliwość dobrego końca, ale roz-

poznaje wyraźnie i bystro te pierwiastki i siły złe, które poczętą sprawę mogą zepchnąć z prostego toru na krzywy. Logika w przewidywaniu zdarzeń jest u niego tak ścisła, jak w sądzeniu już ubiegłych, jak w zrozumieniu i wskazywaniu tego, co interes polski w danych stosunkach wybrać i robić każe. Taksamo jak w latach dwudziestu rozumie »niedojrzałość« (jak się wyraża) powstania listopadowego, tak w latach męskich nie zapala się do planów i działań emigracyjnych. O księciu Adamie Czartoryskim mówi zawsze z największym uszanowaniem, a o Władysławie Zamoyckim z przyjaźnią, w której jest nawet uniesienie; ale nie miesza się nigdy do tego, co oni robią. Nietylko przez ostrożność rosyjskiego poddanego, który emigrantem nie jest, ale przez nieufność i niedowierzanie do skutku. W listach do Małachowskiego, podczas wojny węgierskiej, jest to bardzo widocznem. Tak jak rozumowaniem dochodzi do wniosku na przyszłość, że zjednoczenie Niemiec dokona się przez Prusy, tak w terażniejszości rozpoznaje doskonale, że osłabienie Austrii musi się obrócić na wzmocnienie Rosyi i ostrzega przed niem, jako przed szkodą i klęską w polityce polskiej. Wstręt do państwa i rządów Józefa II i Metternicha zostaje, ale musi ustąpić przed ważniejszym interesem polskim.

Wszystko złe, jakie jest w Polsce dzisiejszej, w jakiejkolwiek warstwie narodu, polityczne, społeczne, czy moralne, widzi wyraźnie i raczej chyba aż za czarno; ani nam nie pochlebia, ani siebie nie zaślepia na to co kocha. Jak zaś godzi tę surowość sądu z tą przyszłością którą nam zapowiada? Ona podług niego jest możliwą, ale nie jest niechybną; powinna być, ale nie musi być. Owszem, o ile na kiedyś, na później Krański w tę dobrą przyszłość wierzy, o tyle na blizką metę przypuszcza nietylko nieszczęścia, nietylko upadki, ale nawet zepsucie i wstyd. Nawet to nie jest po-

dług niego niemożliwym, że Polska przejdzie przez (częściową i chwilową) schizmę. Zostawia więc w swoich przewidywaniach miejsca dużo na złe, liczy się z siłą pierwiastków złych, i nie umniejsza ani zakrywa skutków, jakie one swoim działaniem mogą osiągnąć. Jak godzi te przypuszczenia z nadzieją lepszej ostatecznej przyszłości? Godzi wiarą, że Bóg ludzkości opuścić nie może; przekonaniem, że walka złego i dobrego w historii musi się skończyć na tym świecie, a skończyć zwycięstwem dobrego, zwycięstwem Boga; sądzi, że słuszność i świętość sprawy jest i sama w sobie siłą, i ludzi podnosić i poprawić może, jeśli jej miłość jest w nich rzetelna; wreszcie widzi w swoim narodzie przymiotów wiele, i przypuszcza, że one mogą kiedyś przemódz złe, jakie w nim jest. Tem rozumowaniem godzi on nadzieję i wiarę lepszej przyszłości z jasnym widzeniem terażniejszości i z surowym o niej sądem. Ale to jest wiara w ostateczny tryumf dobrego, nie w jego tryumf bliski, ani nawet w konieczne przy nim odrodzenie Polski. Na to on liczy, spodziewa się go, ale (zwłaszcza od roku 1846 i 48) nie jest tego pewnym. Konieczną jest tylko kara za złe, bo konieczną jest sprawiedliwość Boska. Wszystkie krzywdy i uciski Polski będą ukarane pomśczone, sprawiedliwości stanie się zadosyć. Ale ta sama sprawiedliwość robi, że Polska o tyle będzie należała do tego zwycięstwa dobrego, o ile na to zasłuży. Jeżeli się da zepsuć albo zepsuje sama, to tamci zawsze swoją karę odbiorą, ale ona może się nie podnieść. Tak pojmuje Krasiński przyszłość swego narodu. Przyszłość ludzkości musi raz na tym świecie doprowadzić do urzeczywistnienia myśli Bożej; ale blisko, bezpośrednio przed nami, jest właśnie prawdopodobny, a prawie nieunikniony, alians i tryumf wszystkich pierwiastków i potęg złych. Aż do roku 1848 przypuszcza Krasiński szczęśliwy zwrot historii; ale

po nim, z jednym krótkim wyjątkiem wojny krymskiej, sądzi owszem, że wszystko złe, jakie objawiło się wówczas, będzie dojrzało i wzmagalo się do coraz wyższej potęgi. Listy jego (najwyraźniej może listy do Trentowskiego) zawierają ogólną, ale wcale dokładną przepowiednię i charakterystykę tego, co się w naszych oczach, na schyłku wieku, działo i dzieje. Gdyby Krasińskiego porównać z różnymi znakomitymi ludźmi, którzy jak on w pierwszej połowie naszego wieku »łaknęli sprawiedliwości«, pokazałoby się może, że on był między nimi jednym z najgłębszych, najstateczniejszych, i najtrzeźwiejszych. Jedni chcieli godzić dobry cel ze złemi środkami, i osiągnęli cel przeciwny temu, którego chcieli, inni wymyślali nowe religie, jeszcze inni wpadali z pomysłów wielkich w dziwaczne. U Krasińskiego uzasadnienie i dowodzenie filozoficzne jego zasad (*Próba grobu* naprzykład) może się okazać dowolnem i nie sprawdzic, ale niema nigdzie odstępiania od zasad, niezgodności między teorią a praktyką, między celem a środkiem, i jest zmysł rzeczywistości, znajomość jej, sąd o niej o tyle bystry i trafny, o ile wzniosłym i jedynie dobrym jest jego ideał.

Zbytecznie mówić, że tylko ostatnia płytkość i niezrozumienie rzeczy, albo zła wiara, może stosować do jego opinii i zasad bieżące brukowe nazwy i definicje. Krasiński nie jest ani arystokratą, ani demokratą, jest tylko człowiekiem, który zna naturę ludzką i naturę ludzkich społeczeństw; wie, co jest przyrodzonym, koniecznym warunkiem ich równowagi i siły, i tego dla nich pragnie; wie, że społeczeństwo ma boski początek, że jest z natury i przeznaczenia religijnem, że bez praw ludzkich z boskimi zgodnych musi się rozpręgać i własnymi rękami niszczyć. Dlatego nienawidzi wszystkiego, co się temu boskiemu porządkowi sprzeciwia; wie, że musi być świecki i ludzki porządek,

Zygmunt Krasiński II. 27

zatem zwierzchność, świadomość jej potrzeby, świadomość, że powołania, obowiązki, stanowiska muszą być w społecznym życiu różne; świadomość, że od zgo-
dnego, dobrowolnego ich zajmowania i pełnienia za-
wiśla równowaga, harmonia, szczęśliwość i wartość
tych społeczeństw. Zrozumienie tego porządku i jego
potrzeby wykształcić się mogło u niego, jak u wielu
ludzi jego czasu, z pomocą de Maistra (choćby pośre-
dnią, bo o nim nie wspomina i wnosić można, że
niema do niego sympatii). Ale w nim niema tego, co
stanowi właśnie słabość i w wielkiej części bezskute-
czność systemu de Maistra, tego mylnego pojęcia czy
uczucia, że rząd istniejący jakikolwiek, jest rządem re-
gularnym i przeciwieństwem bezprawia. Krasiński wła-
śnie pierwszy może z pisarzy i myślicieli w Europie,
a w każdym razie najgłębiej i najwymowniej, przenika
i wskazuje tożsamość istoty, tożsamość zasady, tożsa-
mość środków, między rządowym a rewolucyjnym de-
spotyzmem i bezprawiem. On docieka i dowodzi, jak
nikt przed nim, że to są tylko dwa różne ciała tego-
samego ducha, dwie równe sobie negacye Boskiego
i ludzkiego prawa, dwie formy anarchii, które społecz-
nie i politycznie objawiają się inaczej (choć nieraz
podobnie), ale moralnie są sobie równe i takiesame. Ztąd
też wróg i prześladowca nieubłagany rewolucyi, i ten,
który do dziś dnia określił i potępił ją najlepiej, jest
taksamo nieprzyjacielem istniejących za jego życia
rządów. Nietylko tych, które są wprost — jak rosyj-
ski — przeczeniem wszelkiego prawa a wcieleniem bez-
prawia, ale i tych zachodnich, konstytucyjnych, które,
pod pozorami liberalizmu, kryją małoduszność i kró-
tkowidzenie. Do jednych ma nienawiść, do drugich
wstręt; taksamo jak nienawidzi demagoga, który Polskę
gubi, a gardzi i brzydzi się niedołącznym czy zdrożnym
wielkim panem, który o nią dbać i jej służyć nie umie
czy nie chce.

Krasiński w swoich pojęciach politycznych okazuje się naprzód jako człowiek moralny i uczciwy, który nienawidzi wszystkiego, co złe; potem jako Polak, który nienawidzi wszystkiego, co Polsce szkodzi; potem jako człowiek szlachetny i pełen honoru, który się brzydzi wszystkim, co małe i podłe; a wreszcie jako człowiek, który we krwi, w sercu, w przekonaniu, ma zakorzoną i utwierdzoną miłość wolności. To jest sam rdzeń jego uczuć, z którego wyrastają i soki żywotne ciągną jego opinie. Szczegół ciekawy, a wskazujący, jak miłość wolności jest u niego nie tylko wielką, ale nawet staropolską, to, że pomimo całego swego politycznego rozumu i doświadczenia, dawna polska forma rządu wydaje mu się najdoskonalszą, idealną; kiedyś, jak ludzkość dorośnie i dojrzeje do swoich przeznaczeń, wróci się i przyjmie się wszędzie Rzeczpospolita z wybieralnym królem, i wtedy będzie ona możliwą. A obok tego ten brak sympatii i zaufania do ludności miejskich, który się w nim czasem daje widzieć, to drugi zabytek staropolszczyzny i starej szlachetczyzny, to spuścizna odziedziczona po Krasińskich z Konfederacji Barskiej.

Wszystko razem wzięwszy, polityczne Krasińskiego dążenia i środki zgadzają się z chrześcijańskim sumieniem, z sumieniem i obowiązkiem patryotycznym w całej jego czystości i szlachetności, z niezmienną naturą ludzkich społeczeństw; od wszelkiego interesu osobistego, stanowego, czy fakcyjnego wolne, w praktycznych bieżących sprawach zgodne są zawsze z prawdziwym interesem Polski, zatem politycznie rozumne. Niema w nich uprzedzeń ani nienawiści fakcyjnych, jak niema pedantyzmu teoretycznych doktryn; fakt każdy, stosunek każdy, i płynący z niego w każdym osobnym razie interes i obowiązek polski, pojęty jest zawsze i przedstawiony w swojej najistotniejszej rzeczywistości i prawdzie, bez naciągania, bez

przekrecać, bez złudzeń i bez lądzenia czy siebie czy drugich. Człowiek, który najwznieślej pojmował to co być powinno, widział to co jest tak jasno i trzeźwo, jak mało kto między nami. Nie dziwimy się, jeżeli w swoich poetycznych marzeniach wydawał się komu mistycznym, w swoich filozoficznych wykładach zbyt subtelnym i abstrakcyjnym; ale choć takim mógł się wydawać, to naprawdę był, i był nawskróś, umysłem politycznym.

Niema ani podobieństwa ani potrzeby zgadywać, jakim byłby Krasiński jako człowiek czynu. Nie był takim, nie miał sposobności takim się pokazać, zapewne nie był na takiego stworzony. Ale jakim był jako człowiek? jakie rysy jego charakteru dadzą się wydożyć z jego pism i listów jako główne i najbardziej znaczące?

Oczywiście jestto przedewszystkiem natura uczuciowa. Że w tych uczuciach jest szlachetny i wzniosły, że godność i honor są samą podstawą jego postępków własnych i jego sądów o drugich, zbytecznie mówi. Jest nietylko uczuciowy, ale we wszystkich uczuciach skłonny do exaltacji; potrzebuje, lubi i umie podnosić je do najwyższego możliwego stopnia i tonu. Jest przytem człowiekiem fantazyi. Ta fantazyja poetyczna, która w dziełach jego jest niekiedy przytłumiona reflexją, jakżeby szukała dla siebie ujścia czy odwetu, wywiera się na jego własne uczucia i życie, i na tej podstawie roi, tworzy, poetyzuje. Ciekawa jest w tej mierze różnica między Krasińskim a Mickiewiczem. Ten choć wyobraźnią działa wogóle więcej niż Krasiński, a w *Dziadach* tworzy poemat z własnych uczuć i przejść, i siebie samego stawia otwarcie jako jego główną figurę, w stosunkach z ludźmi, w listach, w sposobie mówienia o sobie samym, nie poetyzuje wypadków swego życia. Smutniejsze czy mniej smutne, wypadki te w jego wrazeniu nie przybierają dramatycznie.

cznego koloru i kształtu. On w r. 1831 nie szarpie się, jak Krasiński, ani ze swego ożenienia nie robi dramatu, ani z późniejszych swoich nieszczęść tragedyi. Co dziwniejsza, Słowacki, fantazyi tak pełen i sobą tak zajęty, skarży się chętnie i często na to co go boli, ale jeżeli poetyzuje swoje życie, to w poematach, nie w listach; napisze naprzykład *Szwajcaryę* i *Przekleństwo* (dla Eglantyny), nie robi z tego przejścia dramatu w swoich zwierzeniach i opowiadaniach. Krasińskiemu przeciwnie, cokolwiek się zdarzy, wszystko przybiera ten kształt wyjątkowy i ten wyraz patetyczny. Smutek staje się rozpaczą, położenie trudne tragicznem, walka uczuć lub obowiązków piekłem. Czy to jest u niego udaniem? Nie; każde jego uczucie jest rzetelne, choć jest czasem umyślnie dla siebie samego przesadzone; to uczucie zlewa się z jego fantazyą, staje się warsztatem, na którym ona pracuje, i pod jej wpływem ono zmienia nie swoją istotę, ale swój pozór, a czasem swoje rozmiary. Jak Henryk z *Nieboskiej Komedyi*, tak i Krasiński jest człowiek z fantazyą zwróconą na wewnątrz, na siebie samego; ona go dręczy i szarpie, najistotniejsze cierpienia i smutki podnosi jeszcze do potęgi, ale zarazem ona mu daje czuć jakiś smak i jakiś urok w tem udręczeniu. To jedyna może chorobliwość jego natury, a zarazem podobieństwo z wieloma ludźmi jego czasu.

To także jego największa wada, jako poety, i jako człowieka. W poezyi ona jest powodem przesady i napszystości; w życiu tych postępków, w których zgodność jego uczuć i woli, albo jego słów i uczuć, wykazać się nie daje, zatem istotna rzetelność tych uczuć wydaje się wątpliwą. Trudno naprzykład uwierzyć w jego rozpaczę przed ożenieniem, kiedy rozpaczając stara się przez dwa lata i żeni się. On naprawdę nie chce, ale jednak przecie i chce; i gdyby panna, zamiast go przyjąć, była go odmówiła, byłby się zape-

wne złapał, zdziwił, i zawiódł boleśnie, i byłby może rozpacział na nowy temat. Trudniej wybaczyć, że ożeniwszy się, był przez długi czas złym mężem. Namiętność wprawdzie tłumaczy wiele, choć nie usprawiedliwia; ale obok namiętności jest w tem jego zachowaniu się i romansowy paradox, i filozoficzny sofizm, i upodobanie w dramatycznych kollizjach. Narzeka na fałszywe położenie, a nie wychodzi z niego ani wyjść nie próbuje; znowu podejrzenie, że mu ono tak bardzo nie ciąży, że mu się poniekąd swoją niezwykłością i dramatycznością podoba.

To najślabsza strona jego charakteru i najsmutniejsza część jego życia; ta, z której żadną miarą uniewinnić go nie można. A wynikła ona z pewnością z tego popędu czy nałogu fantazyi do poetyzowania i dramatyzowania własnego życia.

Przytem zaś nasuwa się uwaga druga, której mu oszczędzić nie można, że (w swoich stosunkach z kobietami przynajmniej) nie był wolny od egoizmu. Prawda, że nader to rzadki wyjątek, męczyzna — mąż czy kochanek — któryby w takim stosunku nie miał siebie za cel; ale Krasiński tym rzadkim wyjątkiem nie był. Sam oskarża się o egoizm w stosunku z pierwszą kochanką; miał go tyle, nie więcej, co każdy inny w podobnem położeniu. Względem żony, w pierwszych latach pożycia, egoizm ten przeszedł zwykłe granice i rozmiary; namiętność, paradoxalne rozumowanie i poetyczna fantazyja, przygłuszyły nie już sumienie męża, ale prosty głos delikatności, dobrego serca, i rozsądku.

Tej samej fantazyi przypisać trzeba jego fraso-bliwość, jego pesymizm w tem, co się odnosi do niego samego lub do osób jemu drogich. Usposobienie miał smutne, a życie jeszcze mniej wesołe, to prawda; ale też jak smutno i czarno wszystko koło siebie widzi! W każdej chorobie widzi już grożącą śmierć, czy ojca,

czy przyjaciół, czy dziecka, i naprzód się jej goryczą poi, a często bez powodu. Niespokojność o drugich jest zawsze nerwową, gorączkową, i zupełną męczarnią. Strata majątkowa przy upadłości bankiera Thurneysena, była, prawda, znaczna i dotkliwa; ale jemu wydaje się niemal ruiną. Czasem to usposobienie nerwowe, ta skłonność do przewidywania i ten pesymizm, doprowadzają go do urojeń, powtarzających się uparcie, trwałych; naprzykład to mniemane przecucie, że skończy w więzieniu albo na Sybirze. Czasem do pomysłów aż dziwacznych w wielkiej ostrożności; jak naprzykład owo przebranie i *incognito* w Paryżu, które omal nie doprowadziło go do pojedynku. Czy miał dziwactwa? Jeżeli, to nie wiele, i nie wielkie. Ale jest przecie pewien ślad dziwactwa w tem uporczywym nieprzyznawaniu się do swoich dzieł, przed najbliższymi, najzaufańszymi przyjaciółmi. Kiedy ich pyta naprzykład, co to jest *Noc Letnia*, czyja jest i jaka, to czy mistyfikuje, czy przesadza ostrożnością, zawsze trochę dziwaczy.

W przyjaźni był serdeczny i stały; jedyna, która się zerwała, przyjaźń ze Słowackim, zerwała się przez zbieg okoliczności, nie przez zmienność jego uczuć. Idealizować i poetyzować przyjaciół potrzebował; każdego z nich w innym, ale każdego w jakimś poetycznym świetle widzieć musiał. Uczynny przytem, lubiący oddać usługę, a w dobroczynności delikatny i ukrywający się szlachetnie. W życiu codziennem lubiący, żeby mu ulegano, ale nie przykry, ani gniewliwy, ani zręczny. Miewał gwałtowne wybuchy oburzenia, ale na podłość i niegodziwość tylko; dla otaczających był łagodny i dobry. Mało towarzyski, obcych ludzi i nowych znajomości unikał. Ale między zaufanymi, zwłaszcza kiedy mniej cierpiący, miał, jak mówią świadkowie, niezrównany urok w rozmowie. Nie fanatycznie przywiązani przyjaciele tylko, owszem ludzie,

którzy go sądzili raczej surowo, zgadzali się na to, że kiedy go przedmiot poruszył, to mówił tak, że wszystkie jego pisma nie mają tej siły wymowy, tego wdzięku poezji, jakie były w jego nieprzygotowanych słowach. I w takich chwilach, obok uniesień wspaniałych, zdarzała się wesołość szalona, a przynajmniej dowcip iskrzący jak fajerwerk, a ostry jak brzytwa. Przytoczony już raz ksiądz Semenenko, pisze o nim, że jest »dowcipny nad miarę, śmioch, i często przez godzinę nie może się utulić od śmiechu. Zna świat cały, »wszystkie wszędzie osoby; w anegdotach niewyczerpany«¹⁾. O swoim zdrowiu bardzo dbały, raczej lękliwy, był razem nieostrożny i nierozsądny, i często sobie przez brak uwagi zaszkodził. W poezji skłonny do okazałości i pompy, w życiu jej nie lubił; skromny i prosty, dla siebie nie potrzebował niczego. W wydatkach był bardzo rozważny. Zamiłowany w pięknych rzeczach, nie miał jednak żadnych pociągów czy manii zbieracza. Jedno miał upodobanie dziwne, że cukierki lubił jak dziecko.

Anegdot o nim, powtarzanych jego świetnych słów, niema. Aż dziwnie, że ich współcześni nie przechowali i nie podali, bo zdarzać się musiały.

Czy miał miłość własną i dumę? a jeżeli miał, to jakie one być mogły? Godność i poszanowanie siebie najczujniejsze, najdrażliwsze, najszlachetniejsze, miał. Ale upodobanie w sobie, dumę, próżność, zarozumiałość? Nie — tych w nim nie widać: Nie znać naprzykład dumy rodowej. Jest żywe uczucie i miłość szlachty i szlachectwa; ale o swoim domu, jako takim, on nie mówi. Czy przez rozum i takt tylko? tych miał z pewnością wiele, a przypuszczać można, że miał przywiązanie do swego nazwiska i do niektórych swoich Krasieńskich, do Biskupa Kamienieckiego naprzy-

¹⁾ *Pierwszy Zakon. Przegląd Polski*, sierpień 1892.

kład. Ale żadna w tej mierze próżność, żadna przesada, nie daje się dostrzedz ani razu; a swoją godność ludzką i polską byłby czuł taksamo, i taksamo wysoko trzymał, gdyby się był urodził synem wyrobnika. Pod tym względem ani wielkiej dumy, ani małej próżności dostrzedz w nim nie można.

Ale jako poeta, jako artysta czy jest dumny, próżny, lub zarozumiały? tak mało tych, co by od tej słabości ustrzedz się zdołali; czy on byłby takim wyjątkiem?

Znać się na sobie, świadomość swojej wartości mieć musiał. Ale mówi o niej raz, kiedy pyta: »iskra gieniuszu na cóż mu się zdała«; a ten jeden raz nie mówi o gieniuszu tylko o jakiejś jego iskrze. To znak, że czuje się w sobie pierwiastek, ale nie zupełność gieniuszu. Kiedy zbija zarzuty, robione swoim dziełom przez krytyków, broni się, ale urażonym, drażliwym, zgryźliwym nie okazuje się nigdy. Albo nie ma próżności wcale, albo w najgorszym razie ma tyle godności i tyle rozumu, że nigdy nie pokazuje. Zapewne są te trzy powody razem: rozum, godność, ale i brak próżności. Co więcej: jego listy są ciągłym, obszernym, widocznie umyślnym wykładem wszystkich jego uczuć i myśli; on w nich ciągle o sobie mówi, a tak szczegółowo i obszernie, jak żeby się spowiadał, jak żeby chciał siebie samego opowiedzieć; zdawałoby się więc, że musiał sam do siebie przywiązywać wielką wagę, być dumnym z siebie. Tymczasem, rzecz szczególna i dziwnie piękna, w tych jego spowiedziach jest wszystko, prócz zarozumiałości; a raczej źle, bo zarozumiałością nie byłaby duma w człowieku tak prawdziwie wielkim, ale prócz dumy. Czy choć raz odezwie się w nim taka śmiała świadomość siebie, jaka nieraz wybucha z Mickiewicza? albo taka miłość własna, jaka tego doprowadziła do błędów i złudzeń proroczych, jaka trapiła biednego Słowackiego jak furya? Zape-

wne musiał znać się na sobie, musiał o swojej wielkości wiedzieć; tylko nie myślał o niej, tylko sądził ją rzeczą małą i błahą. To tak małe, tak nieskończenie małe, on, jego poezya, jego gieniusz, w porównaniu, tego straszego czyszcza dni terażniejszych, w porównaniu tego bolesnego porodu, w którym ludzkość ma wydać jakiś lepszy porządek rzeczy! Bóg i ludzkość stoją naprzeciw siebie w rozstrzygającej chwili dziejów; lada chwila pokaże się, co ona warta i co on z nią zrobić będzie musiał, a wśród tego patrzeć na siebie, pytać się, jaki *ja* jestem: wielki czy nie? cóżby to była za małość! Krasiński jest szczególnym może jedynym przykładem takiego zupełnego oderwania się od siebie, pomimo wielkiego zajęcia się sobą; jest przykładem może jedynym takiego oderwania się od siebie w człowieku wielkim; jest podobno jedynym przykładem człowieka wielkiego, w którego dziełach napróżno szuka się jednego uczucia, jednego słowa, jednej choćby przelotnej chwili złego. Pomiędzy wszystkimi wielkimi ludźmi świata niema jednego może, nie wyjmując Mickiewicza, choć ten należy do najlepszych, u któregoby zawsze i przez całe życie wszystko, uczucie, namiętności, gieniusz, tak były trzymane w karchach przez sumienie, jak u Krasińskiego.

I ta wielkość moralna, ten charakter, ten sąd wiecznie czujny nad sobą samym, którego Mickiewiczowi zabrakło w ostatniej epoce jego życia, to jest właściwe znamię Krasińskiego. On nigdy nie zboczył, on się nigdy nie zabłąkał; mówiąc o nim, nie potrzebujemy ani jego usprawiedliwiać, ani siebie pocieszać przykładem Jonasza lub Dawida, bo w całym tem życiu niema upadku. Jego spowiednik mógł widzieć w tem życiu grzechy z rodzaju tych, które się mówią w konfesyonale; jego historyk, sędzia jego dzieł, nie znajduje ani jednego z tych, któreby do jego trybunału należały. Co najwięcej jedną słabość, i to słabość tylko, o któ-

rej wspomnieć należy dla sprawiedliwości, i na dowód, że podziwienie dla tego charakteru nie jest zaślepieniem, to ten brak prostoty, to zamiłowanie efektu, ta skłonność do dramatyzowania swego życia, o której była mowa wyżej i nieraz. Przecież nie zakrywając jej, ani nie starając się jej zmniejszyć, jakże nie przyznać, że ona schodzi do rozmiarów nieskończenie małych i niknie obok prawdziwej i rzetelnej wielkości Krasińskiego, obok tego zupełnego i wyłącznego oddania się na usługi jednej myśli, tego rozplomienia w miłości dobrego, jak święci zatapiają się całą duszą w miłości Boga.

I to jest dopiero główny, a najpiękniejszy rys charakteru Krasińskiego.

Nie jest to rzecz mała, owszem jest ze wszystkich na świecie największa, najtrudniejsza, być tak panem siebie samego i swego życia, żeby się utrzymać ciągle w równowadze, żeby żadnemu ze swoich uczuć nie dać zapanować nad sobą tak, iżby ono uwiodło człowieka do uczynku, choćby tylko do słowa, które-goby później mógł żałować; żeby przez uczucie osobiste i przeświadczenie o własnej wielkości nie wpaść nigdy w dumę, żeby przez cierpienie, przez ciągłe rozdrażnienie, nie wpaść w gniew i niesprawiedliwość. Największym, najszlachetniejszym zdarzają się takie chwile zamroczenia umysłu i sumienia przez dumę, przez miłość własną, przez namiętność. Wielkość Napoleona nie zdołała się im oprzeć; szlachetność Mickiewicza dała się im uwieść, bo trafiło się parę razy, że Mickiewicz stał się niesprawiedliwym, a trafiło się nieszczęściem i to, że uwierzył się być prorokiem. W całej wielkości Krasińskiego tymczasem niema nic większego nad to, że ani cierpienie, ani oburzenie, ani gniew, ani wzgarda, ani wreszcie stan zdrowia chorobliwy i rozstrojony, nie dobywa z niego nigdy ani słowa niesłusznej skargi, nie zdoła nigdy zrobić go

niesprawiedliwym. Nikt silniej nie gromi zasad i dążeń, nikt nigdy mniej nie widzi pod temi zasadami i dążnościami ludzi.

I mało który pisarz, czy poeta, czy jakikolwiek wielki człowiek, ma prawo z czystym sumieniem tak sobie świadczyć, że nigdy ludzi niczem nie zepsuł, ani nie uwiódł, nigdy sprawie swojej nie zaszkodził, jak to robi Krasiński w tych słowach, które są wspomnianem, ale rzetelnem określeniem jego zawodu i jego charakteru: »Zapewne nie zawsze po chrześcijańsku lub po katolicku, po stoicku lub po cnotliwemu postępowałem; miałem straszne chwile egoizmu, dla mojego *ja* zapominałem, że i drudzy mają *ja* swoje; ale nigdy i nigdzie w niczyjem sercu wiary nie zniszczyłem, owszem osłabłą krzepiłem, nieistniejącą stwarzałem, i umarłą wskrzeszałem. Kto powie, że odemnie się nauczył, iż człowiek nie winien być aniołem, nie winien czuć się boskim i dążyć, odepchnąwszy podłość wszelką, w wznioślejsze okręgi — kto powie, że kiedykolwiek przysłał w drugim na jedną chwilę niegodności, niedumy, niepowagi, że kiedykolwiek zalecił brak szlachetności i urody nieśmiertelnej — tego powoływam nie przed ludzi sąd, bo ludzie nicby tu nie pojęli, ale przed sąd Boga! Nie! przez Boga wiekuistego, nigdy i nigdzie natury bliźnich moich o włos jeden nie poniżyłem; wszystką siłą ducha w niebo porywałem ich, a przynajmniej pragnąłem ich w nieboporwania« (do Słowackiego. Rzym, Wielkanoc 1841).

Związek Krasińskiego z współczesnym mu światem i jego w tym świecie miejsce, związek z Polską porozbiorową i w niej stanowisko, jakie są? Świat zagraniczny współczesny, z wyjątkiem kilku ludzi, nie wiedział nic zgoła o nim, o jego myślach, o drogach

jakie mu wskazywał; późniejszy, w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, gdyby o nim wiedział, toby się z niego tak słowem natrzęsał, jak mu dziejami swemi zaprzeczył. Polska za jego życia upajała się rozkosznie jego nadziejami, ale podstawy tych nadziei widzieć i znać, przestroóg jego słuchać nie chciała. Wniosek ztąd zatem, że związek, a przynajmniej wpływ, tam żaden, tu nieskuteczny, bo niedostateczny; zatem i znaczenie człowieka i dzieł jego pozornie małe.

A jednak ten człowiek, wiekowi swemu nieznanym, wyobrażał sobie doskonale i wzniośle najszlachetniejszy może z wieku tego popędów; ten Polak, nie dość rozumiany i słuchany, był jednym z najmędrszych, jakich Polska wydała i miała.

Kiedyś, jak się wiek ten skończy, a potomne wezmą się z kolei do rozpoznawania jego dążeń i opisywania jego dziejów, ten jego historyk przyszedł, jeżeli będzie patrzył rozumnie, będzie musiał dostrzedz i powiedzieć, że jedną z cech jego znamienych była boleść, wynikająca ze sprzeczności między rzeczywistością jego stosunków, a tem pojęciem słuszności, jakie miał; że jedną z wielkich idei, jakie w nim żyły, i jedną z jego, jeżeli nie zasług, to przynajmniej stron szlachetnych, było to uczucie, iż zadaniem i obowiązkiem europejskich społeczeństw, warunkiem postępu ich cywilizacyi i miarą jej rzetelności, jest sprawiedliwość w stosunkach między narodami i państwami. Uczucie to i przekonanie ma swoje źródło i swoją podstawę w prawdzie ze wszystkich zasadniczych najprostszej, ale najgłębszej, a zarazem najbardziej, najstateczniej zaprzeczanej, nie zawsze w słowach, ale w praktycznych działaniach i dziejach. Albo jest Bóg, a w takim razie Jego prawo obowiązuje narody i państwa tak, jak ludzi, i musi wykonywać się coraz lepiej w różnych stosunkach ludzkich, a to jego lepsze, pełniejsze wykonanie jest postępem, doskonaleniem,

i zarazem uszczęśliwieniem ludzkiego rodu; albo Boga niema, świat jest niewiadomą, a zapewne bezcelową zagadką, a w takim razie środkiem ciężkości świata jest ta (znowu zapewne przypadkowa i niewiadoma) zagadka, która się nazywa człowiekiem, która choć sama siebie nieświadoma, świadoma jest, że ma wolę i żądzę, i ta wola czy żądza jest jedynym rzeczywistym prawem, ograniczonem jedynie mocą wykonania wszystkiego, co wola zechce, a żądza zapragnie.

Pomiędzy temi dwoma zasadami toczy się sprawa od wieków; walka między myślą i wolą Boga, a naturą i żądzą człowieka, jest treścią i istotą jak każdego ludzkiego żywota, tak i dziejów ludzkości. Od trzech zaś wieków walka ta stała się coraz bardziej widoczną; nigdy tak widoczną, jak w naszym wieku, kiedy wszechwładztwo państwa, jak mniemane rewolucyjne wszechwładztwo ludu, otwarcie przyznaje i dowodzi faktami, że potrzebą, warunkiem, istotą jednego jak drugiego jest wyzwolenie się z pod praw boskich, czyli ich zaprzeczenie; pojęcie i urządzenie społeczeństw ludzkich jako bezreligijnych. Krasiński był jednym z tych w Europie ludzi, którzy zasadę tę zwalczali najdzielniej i najroztropniej. Najdzielniej, bo mało kto rozumiał tak głęboko, dowodził tak wymownie boskiego początku społeczeństwa, jego natury religijnej i niemożliwości jego postępu bez uznania i zastosowania tej prawdy. Najroztropniej, bo w tem pojęciu i dowodzeniu nie zabłąkał się jak inni w marne doktryny, ale wiary i nadzieje swoje godził z trzeźwym, jasnym zrozumieniem i wiekiem swego, i samej istoty cywilizacyi, i rzeczywistości faktów, stosunków, i tych praw, w których objawia się logika dziejów. Pomiędzy dwoma walczącymi z sobą kształtami tej samej idei, Racyą stanu i Rewolucyą, on wskazywał wyraźnie i trafnie prawdziwą prostą drogę Prawa, Sprawiedliwości,

i Wolności. To jego związek z współczesnym światem i jego w tym świecie miejsce.

Jeżeli zaś cechą wieku i jedną z głównych sprężyn jego dziejów jest sprzeczność między rzeczywistością tego co jest, a świadomością tego co być powinno, to tym w Europie punktem, na którym ta sprzeczność i objawiła się najwyraźniej i czuć się dawała najboleśniej, była Polska. To jest sam rdzeń jej duszy w naszym wieku; to siła poruszająca wszystkich naszych zamiarów i działań, to tajemnica naszych cnót i naszych błędów; z tego źródła wyszła nasza historia i nasza literatura. Krasiński był nietylko doskonałym wyrazem tych cierpień, ale i doskonałym sędzią tych czynów; stróżem naszych sumień, nauczycielem politycznego rozumu. Jego poezya jest protestacją ludzkiego sumienia przeciw złemu, protestacją Polski przeciw jej uciskom i krzywdom, jest wiarą w sprawiedliwość Boską i w karę za wszelkie zło, jest nadzieją zwycięstwa spraw dobrych; ale jest i nauką, jak sprawy dobre do zwycięstwa dojść, a jak znowu mimo wrodzonej słuszności swojej, gubić się mogą i upadać. To jest jego związek z Polską porozbiorową, z jej duchem i losem, z jej terażniejszością i przyszłością; to jego w niej stanowisko.

A jego przeznaczenie? jego pośmiertne, dzisiejsze losy?

Klaczko, pierwszy u nas co do czasu i co do wartości znawca i krytyk Krasińskiego, w jednej ze swoich prac późniejszych dochodzi i określa, czem jest tragedia Dantego. Tragedya Krasińskiego jest smutniejsza. On nie patrzy wstecz, i nie łądzi się utrzymaniem czy wskrzeszeniem umiłowanego porządku rzeczy wśród zmieniającego się nowego świata; on »na światach ginących, na światach tworzących się« przeczyna świat nowy, lepszy, możliwy, i wskazuje, co trzeba robić, czemu nie przeszkadzać, żeby

ten świat lepszy »z chaosu mógł się wydobyć, z myśli Bożej rozwinąć«. A tymczasem już za życia wszystko obraca się inaczej, na wspaniałą jego nadzieję; po za Polską i w Polsce samej łączą się wszystkie siły przeciwne, »by świat w gorszą zepchnąć noc«. Umiera w wilię tego dnia wielkich złudzeń, kiedy oswobodzenie Włoch zdaje się być hasłem i początkiem wszystkich oswobodeń i odrodzeń, a po jego śmierci zaczyna się dopiero na prawdę piekielna robota Massynissy; Szatan historyczny krzywi i fałszuje prawdę, z dobrego wyprowadza złe, pod pozorami słusznych zasad stwarza swój, od dawnego jeszcze gorszy, świat po swojej myśli i woli. Niepodległość Włoch nie staje się wzorem i typem odrodzeń; obraca się na tryumf połączonego pierwiastku bezbożnej rewolucyi z niechrześcijańskim Państwem, i od tego poczyna, że ryje i kopie pod kopułą św. Piotra. Ona się nie wali, nawet nie rysuje, owszem silniejsza jest w swojej posadzie i równowadze, niż była, ale jest krępowana, prześladowana, uciśniona; a jedne po drugiej, jeżeli nie narody to Państwa, przychodzą i mówią w imię niby wolności człowieka, jak w *Irydionie*, »nie służymy więcej«. W Polsce?! Zmiłował się Bóg nad Krasińskim, kiedy mu o lat kilka życia nie przedłużył. W Polsce poryw do broni tak nierozważny, tak skutku nie pewny jak w roku 1846, a po nim? Wszystko, co Krasiński widział i oplakiwał za Mikołaja i Paszkiewicza, wszystkie jego krzyki »*zewsząd Polska się wali*«, były niczem w porównaniu z tym lasem szubienic, z tą *redactio in provinciam*, na którą my patrzymy. A potem dopiero to naturalne może i ludzkie, ale niemniej przeto podłe, odwrócenie się świata od słabych i nieszczęśliwych, to czołganie się wszystkich przed szczęśliwym zwycięzcą, i udawanie (z czasem nawet wmawianie w siebie), że się jego niegodziwości nie widzi, to obojętne przejście do »nieporządku

dziennego« nad sprawami i prawami i sprawami pobitemi, to pogardliwe a nikczemne ignorowanie i przebaczenie wszelkiego występku, wszelkiej zbrodni, na którą wzdryga się ludzka natura, a sumienie (nawet u starych pogan) oburzać się było zwykło, ten »ludzkości duch zatruty«, ta »podłość górą wszędzie« — a nad wszystkim »bólów ból«, »narodu duch« nie lepszy, nie zdrowszy, nie mędrszy, ale gdzie szlachetny to nie dość roztropny, gdzie niższy to psujący się i psuć się dający, to dopiero zaprzeczenie dobrych a sprawdzenie złych Krasińskiego przeczuć, i najsroższa, ścigająca go po śmierci jeszcze ironia losu. Kiedy te przesilenia, na które on za życia patrzył, nie obróciły się na dobre, to nie mogło być inaczej jak że złe wyszło z nich mocniejsze, zuchwalsze niż kiedy, i w swej pewności siebie doszło do ostateczności w bezprawiu i w bezwstydie. Co złego przewidywał, to się ziściło wszystko. I poniżenie Francyi, i zjednoczenie Niemiec przez Prusy, i przymierze »siostry gilotyny z knutem bratem« w rosyjskim nihilizmie i francuskich umizgach do knuta; wszystko jest, wszystko się stawiło, jak zamówione. I wszystko zapowiada i stwierdza tryumf nieprawej siły, Polski nietylko zgębienie, ale zepsucie, i szyderskie zaprzeczenie wszelkiej nadziei, że »świat nowy rozwinie się z myśli Bożej«.

»Nic nie zostanie z twojego akkordu«. Tylko śmiech szyderstwa, który z grobu Katarzyny rozlega się po Litwy zaoranych wsiach i na cerkwie zabranych kościołach, po Rusi łąkach zalanych tatarskim, nie już zagonem, ale stałem osadnictwem i duchem, po brzegach Wisły i Warszawy murach, które mają być temsamem niby, co brzegi Irtyszu i mury Irkucka; po wszystkich od Chin do Sandomierza i Kalisza granicach tego mocarstwa. A za jego granicami odbija się o Bałkany, Czarnogórę i Sudety, odzywa się fałszy-

Zygmunt Krasiński II.

wem przedrzyżliwem echem »Boże Cara chrani« ze wszystkich dzienników bruków i rynsztoków paryskich. W końcu XIX wieku, jak nigdy może przedtem, Szatan historyczny ma prawo sobie mówić: »mój duch świat stworzył i ja ziemi Panem«.

I to jest Krasińskiego tragedia. A w tej tragedji najtragiczniejsze to, że sama Polska przyczyniła się do takiego stanu świata, sama do własnej zguby, i do tryumfu nieprawości pomogła; a pomogła przez to tylko i dlatego, że nie dość rozumiała, nie dość brała do serca to, co jej Krasiński przez całe swoje życie mówił i powtarzał.

»Cóż mam z tobą uczynić nieszczęśliwe królestwo«, on także miałby prawo powiedzieć; i, jak Skarga, miałby prawo dodać, że nie widzi i nie wie, coby więcej mógł być zrobić, coby był względem ojczyzny swojej zaniedbał. A my mamy wszelki powód wyznać z żalością i skruchą *non fecit taliter omni nationi*. Naprawdę, przechodząc w myśli różne narody świata, nie znajdzie się może drugiego, któremoby Bóg dawał był tylu ludzi uczących tak jasno obowiązku względem ojczyzny, przestrzegających tak groźnie, że ją samochcący zgubić możemy. Twarda głuchość na te głosy, czy nie jest ciężkim grzechem, zmarnowaniem Bożej łaski? Strach o tem myśleć kiedy się wie, jak gniewnie grozi Bóg tym, co łaskami Jego wzgardzili. Z tych ludzi na oświecenie i przestrozę naszą danych, był Krasiński, i był na tem polu obok Skargi może największym. Był daremny i zmarnowany jak Skarga; to jego tragedia.

A jego przeznaczenie?

To nie kończy się z naszym życiem, ani z naszym wiekiem. Być przed przyszłością świadkiem, wrazem, pomnikiem, wszystkiego, co wiek nasz poruszało; być oskarżycielem wszystkiego, co w nim złe i podłe, rzecznikiem i obrońcą wszystkiego, co prawe

i wzniosłe; dać obraz »piekła dni terażniejszych« i jego czyśćca, wszystkich w nim zbrodni i wszystkich boleści; być dowodem, jak w tym wieku pojmował się rzetelny honor i prawe sumienie; być miarą że był, i jak wysoko sięgał chrześcijański i cywilizacyjny ideał; być kiedyś tego wszystkiego przed potomnymi świadkiem, to jedna połowa jego w przyszłości przeznaczeń.

Ale połowa druga odnosi się do Polski i w niej się zamyka. Z dzieł jego może nie wszystko zostanie, może formy jego poezji okażą się przemijające, nie wiecyste; może (jak się to ludziom nieraz zdarza) to, co w myśli swojej i w dziele swoim sam miał za najważniejsze, okazać się właśnie najmniej trwałem i pewnem; podstawy i główne części jego systemu, troistość w człowieku i w dziejach, konieczność śmierci jako warunku odrodzenia, może to wszystko okaże się tylko świetnem rozumowaniem nie rzeczywistą prawdą to być może. Ale jeżeli nawet tak się stanie, to zostanie z niego zawsze wiele niewzruszonego, wiekui-stego, prawdziwego na wskrós i na zawsze. Zostanie miłość ojczyzny skrzywdzonej, i wyraz tej miłości; zostanie ideał tej ojczyzny, który albo jest taki jak on go czuje i rozumie, albo nie jest wcale, a w takim razie nie byłoby ani ojczyzny ani jej przyszłości; zostanie drogokaz, który tej ojczyźnie wskazuje gdzie jest przyszłość, jaką być powinna, jaką jedynie być może, i jak do niej dążyć i dojść należy i można. Jaką ta przyszłość będzie, tego dziś nikt z nas nie wie. Ale jeżeli Bóg da, że będzie dobra, to kiedyś wieki przyszłe patrząc na nią i zestawiając ją z Krasińskiego dziełami, powiedzą: »oto dlatego z głębokiego upadku »wzniesli się tak wysoko, że taką wskazywano im drogę, »a oni tą drogą statecznie i śmiało dążyli«. Jeżeli broń Boże przyszłość będzie zła, to znowu potomni powiedzą: »jakże mogli do swego celu dojść, kiedy wskazywano

»im drogę prostą i pewną, a oni po niej stale i śmiało »dążyć nie umieli czy nie chcieli«. Przeznaczenie Krasińskiego w Polsce dzisiejszej i przyszłej, to na dnie otchłani pokazywać nam znak i szlak wybawienia, to w imię Ojczyzny i jej miłości gromić wszystko złe, jakie w nas jest, a krzepić i hartować, rozjaśniać i rozplomieniać, co dobre; to dodawać odwagi, wiary, miłości i roztropności, to być »głosem męskim gdy się w męstwie chwieją«, być »strojem w naszym rozstroju«, być jak miedziany wąż na puszczy, na którego omdlewający schorzały Izrael obracał oczy, a z którego czerpał nadzieję życia i siłę do życia.

Na to on jest przeznaczony, tego on zawsze zdolny, na to on dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebny.

W tym naszym smutnym wieku, kiedy zacierają się wszystkie znamiona odrębnej i silnej osobistości, kiedy wszystkie dusze i wszystkie charaktery idą pod jeden strychulec, w tym wieku, który jak żeby wysiłony nie umie zdobyć się na nic nowego, silnego, własnego, czy to w ludziach, czy w dziełach, jest Krasiński jedną z tych rzadkich postaci, które są i wielkie, i zarazem zupełnie własne, do żadnych innych nie podobne. W tym wieku, którego każdy rok znaczy się w historyi, zapisując na jej kartach smutne słowo *Przedświtu*: »I coraz podłej na tej ziemi było«, stoi jak otucha, jak pociecha i jak wzór, ta wielka postać człowieka, którego życia jedynym faktem był ból, który jak Łazarz chory i cierpiący siedział jak Job na rumowisku złożonem ze wszystkich smutków i cierpień, a gdzie się obrócił, gdzie się sam siebie dotknął, tam się uraził: tam bolało albo nieszczęście ojczyzny, albo bólów ból, narodu duch zatruty, albo zawiedziona nadzieja, albo strach przed czarną rozpaczliwą przyszłością świata, albo niesprawiedliwość ludzi, albo wreszcie palił wstyd, nie własny, ale piekący jak własny; w którym nie było jednego miejsca nie zranionego, nie obite-

go, nie zbolełego — a który przecież nie płakał nad sobą, nie syknął na nikogo, nie znamiętnił się w przekleństwo, ale im więcej cierpiał, tem więcej kochał, tem silniej wierzył w dobre, i jak męczennicy na torturach »wzrok utopion trzymał w niebie«, jak »Dant za życia przechodząc przez piekło« widział niebo nad sobą otwarte. W tym wieku małych dusz i małych uczuć, taka miłość dobrego, taki śmiały i silny głos prawdy, choć głos wołającego na puszczy, to coś więcej jak wielkość jednego człowieka, to zasługa przed Bogiem samym. A kto wie, czy i nie zadośćuczynienie za płaskość małość i złość wielu; i gdyby kiedyś nasz kraj, albo nasz wiek, wzięty na sąd, jak niegdyś Sodom, miał się zastawić od zguby pewną liczbą szlachetnych i wzniosłych, tedy pomiędzy tymi w pierwszym rzędzie powinienby zastawić się Krasińskim.

I jeszcze jedno. Uważano słusznie, że nasz wiek, jak żeby w nim wyschły były soki żywotne, w swoich latach późniejszych, powtarza tylko, ale nic stwarzać nie umie; że po Byronie, po Mickiewiczu, skończyła się jego oryginalność i twórczość. I to prawda. Przeciwnie tej prawdzie zaś podnosi się i świadczy jedna tylko poezya Krasińskiego. Nie najpiękniejsza jako taka zapewne, ale pierwsza w swoim rodzaju w Europie i dotąd jedyna, pierwsza poezya historii i społeczeństw, zupełnie nowa i nigdy jeszcze nie widziana, oryginalna, jak tylko coś oryginalnem być może, pomimo wszystkich usterków piękna, wzniosła natchnieniem, myślą głęboka i potężna, a znaczeniem obchodząca nie swój naród tylko, ale europejska, utrzymuje i ratuje poezya Krasińskiego, prawie sama jedna w Europie, sławę twórczości naszego wieku w późniejszych jego latach. Nietylko historia, Literatura europejska także mogłaby zastawiać się Krasińskim, gdyby jej kto zarzucił, że niema w niej wielkich pomysłów, że nie ma »sprawiedliwych«.

Czy ta poezya, zamiast ratować swój naród, nie zaszkodziła mu raczej? to pytanie wielkie i ważne. Wielki krytyk Krasińskiego, Klaczko, zapytuje z przestachem, czy mogła być poezya zdrowym pokarmem dla narodu z natury skłonnego do marzeń, pełnego fantazyi, który ma jakąś naturę pegazową, zaprzęgać się nie daje, rzeczywistości nie lubi, patrzy na nią z góry, lub udaje że jej nie widzi, dlatego żeby w niej ciężko orać nie potrzebował? Czy mogła dla takich być zdrowym pokarmem poezya, która z natury skłonny do rozkochania w sobie i samochwalstwa mówiła, że są wybranym na ziemi narodem i obiecywała pewne, konieczne zwycięstwo. »Polsce«, mówi on dalej, »nie brakło nigdy na Jeremiaszach lamentujących, ani na Ezechielach przepowiadających w niewoli Ba-bilońskiej odbudowanie świątyni, ale Izajasza, który ryby jej rozrachował sumienie, gromił, wołał o skruczę i poprawę, tego nie miała«. Że Krasiński widział Polskę i dawną i przyszłą, w świetle zbyt pięknem, to prawda. Że jego poezya mówiąc nam, że dobra sprawa zwyciężyć powinna i musi, bo jest dobrą, może w niejednego, może w wielu, może w ogół nawet wpoila wbrew jego woli nadzieję zbyt wielką, taką, że na ziemskie warunki zwycięstwa oglądaliśmy się za mało, a na tamte liczyli zbyt mocno, to być może. Wpływ jej na wypadki, które porzedziły rok 1863, nie na ludzi kierujących, ale na tych którzy byli kierowani, nie da się zaprzeczyć. Ale mówiąc o tem, trzeba przypomnieć i stwierdzić to, że naprzód ona temu nie winna, jeżeliśmy wyciągnęli z niej naukę, jakiej w niej nie było. Ona wprawdzie obiecywała zwycięstwo, ale pod warunkami; ona nietylko nie kazała czekać cudu z założonemi rękoma, i wierzyć że wygrana spadnie z nieba, jak manna na puszczy, ale kazała pracować, orać, siać, zbierać, nie oglądać się na mannę; jeżeliśmy nie zrozumieli, to my winni, a nie ona. Powtóre,

trzeba przypomnieć to, że jeżeli nawet były w niej rzeczy fałszywe lub szkodliwe, to były obok nich inne, które na dziś, na jutro, na zawsze, są prawdą niezmienną, świętą, najwyższą i jedyną zbawczą. Że »najwyższy rozum, cnota« jest prawdą nie moralną tylko, ale polityczną; że »nie drugich śmiercią, lecz własną bezpłodnie kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie«, to prawda nie tylko moralna, ale historyczna; że »kiedykolwiek rozgrzmi się sąd w niebie po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami«, mamy »wśród sądu tego sami zbawić siebie«, a zbawić możemy tylko świętymi czynami, i dlatego prosić mamy o dobrą wolę, to także prawda. A więc z tego wszystkiego wniosek? wniosek jest, że byleśmy chcieli, poezya Krasińskiego nie przyniesie nam szkody. Ona swoje skończyła, ta poezya wieszczka, która z przepaści nieszczęść wróżyła Polsce przyszłość szczęśliwszą; zamilkła, powiedziawszy, jaka ta przyszłość być powinna, i od czego ona zależy. Teraz kolej, teraz czas na prozę. Nie na prozę pisaną; »słowo tylko to marna połowa arcydzieł życia«, ale na prozę działania i pracy; czas na rozróżnienie w poezyi, Krasińskiego czy innej, tego co jest podchlebsem i złudnem, od tego co jest prawdziwem i zdrowem. Teraz czas nie »kołysać się łódką na marzeń jeziorze«, ale co poezya głosem śpiewała, »wcielać pomału w kształt dotykalny«: »nie znać słowa i czynów rozdziału«, nie mówić o ojczyźnie tylko, albo nad nią tylko płakać, albo o niej krzyczeć«, ale w kształt dotykalny wcielać gorzką naukę *Nieboskiej Komedyi*, naukę *Irydiona*, »nienawiść i zemsta nic nie buduje i nie wskrzesza«, naukę *Psalmów*, tę cnotę, która jest najwyższym rozumem. Epoka poezyi zamknęła się u nas, wieszczę pomarli; zostaliśmy tylko my prości ludzie, i mamy teraz zdać próbę, czyśmy ich rozumieli, czy oni się nam na co zdali, czy też na tyle tylko, co Izraelowi prorocy. Sprawdzenie przepo-

wiedni, lub ich zaprzeczenie zależy od nas. Ku czemu się ma? U nas podobno *Psalm Żalu* powinienby brzmieć głośniejsz niż *Psalm Nadziei*, bo trzy inne *Wiary*, *Miłości*, i *Dobrej Woli* tak zagłuszone, że ich prawie nie słyszą; a na horyzontach takie się ukazują północne zorze *Nieboskiej Komedyi*, takie zaprzeczenie wszelkiej ojczyzny, że aż ze strachem pytać się przychodzi, czy kiedyś nie będziemy żałować tego, co się nam dziś w poezji Krasińskiego złudnem wydaje, bo jego czas był szczęśliwy w porównaniu z naszym, w którym przepada coraz bardziej ideał wiary, ideał wolności, ideał ojczyzny, i wszystko, co było pięknem w naszym świecie.

Smutno było o Krasińskim mówić czy ¹⁾ pisać lat temu dwadzieścia, kiedy ta książka wychodziła po raz pierwszy; smutniej dziś, bo coraz straszniej dręczy pytanie, czy nie zawiodło wszystko co on obiecywał. »Kres to męki twej ostatni? Nad zwycięstwa stoisz progiem?« — »Nadzieja jak kwiat się sypie«? — tak on mówił, a dziś fakta i ludzie odpowiadają mu słowem: Nieprawda! Pół wieku temu mieliśmy go za wieszczą, za objawiciela niemal praw i zamiarów boskich: a dziś sztychłby z niego cudzoziemiec, gdyby go znał — a i z nas Polaków nie jeden, choć głośno nie powie, to w duchu myśli, że to marzyciel, ideolog, fantasta: że przypadłby do niego dobrze ten grobowy napis: »Los jego rozpacz — a imię szalenie«. Nawet jako poeta, nawet między Polakami, spotyka się z grzeczną pobłażliwością, on niedawno tak wielki — taki wieszcz!

Co się zmieniło? Nie on. Jego żywot, jego dzieło, były skończone; musiały zostać takimi jak były. Zmienił się świat. Zawalił się ten świat, jaki był;

¹⁾ Ten ustęp powtórzony w skróceniu z odczytu odbytego w Krakowie dnia 15 kwietnia 1907 drukowanego pod tytułem: »*Krasiński w dniu dzisiejszym*«.

a w miarę, jak się walił, stopniowo gruchotał i przywalał duszę polską z jej wiarami i nadziejami nowym ciężarem boleści i rozpacz, poezję Kraśińskiego nowym ciężarem zaprzeczeń:

I z dni tych wszystkich wybranej kolei

»Wyrasta napis — tu niema nadziei«...

Oto co myślą ci, co od niego odwracają serce swoje i wiarę swoją. A dalej myślą, że jak to nieprawda, że »skrzydła rosną nam na zmartwychstanie i że ostatnia chwila zgon w życie przesila«, tak samo nieprawda, że »najwyższy rozum cnota«, że »moc bez miłości podobna do dymu«, że »nie drugich śmiercią, lecz własną bezpłodnie kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie«. »Przepadli, bo struli się na nic, własnych zbrodni jadem«? — gdzież to, gdzie? — kto widział? a czyż za to nie widzi się, jak chodzą zdrowi i cali »w purpurze i złocie niesprawiedliwości«.

Tak! tak jest.

Z tego, co Kraśiński przewidywał, przepowiadał, sprawdziło się wszystko, co straszne; nie sprawdziło się nic, co dobre. Gdzie ta »łask godzina«, co uderzyć miała? Gdzie te »skrzydła, co rosną na zmartwychstanie«? Ach i gdzie ten »ludów lud jedyny«, najczystszy ze wszystkich, co swoją szlachetnością miał i siebie zbawić i drugich na prostą drogę wprowadzić? Niema ich: a za to jest rzeczywistość wszelkiego zła, które poeta widział jako możliwość. Rzeczywistością, faktem, historią, jest trzecia część Nieboskiej Komedyi we wszystkich swoich szczegółach. Żadnego nie brak. Jest i chór rzeźników, i gromada chłopów, i chór przechrztów, i burzenie kościołów, i święcenia zbójeckie, i wyrobnik umierający z głodu przeklinający tych co mu obiecywali byt lepszy; do każdego z tych czarnych przewidzeń można dobrać fakt, przykład, jako jego spełnienie. Nawet do tego, co niegdyś zdawało się niesprawiedliwym, krzywdzącym,

do tego słowa: »Ojczyzna«, którego »nie trzeba powtarzać, bo trąci arystokracją«. A ten filozof, co o sobie mówi, że »Ja Bóg bardziej niż Bóg jestem« — a uczy, że »niema Boga ni nieśmiertelności«. A ten co »w imieniu braterstwa rozsiewa morderstwa«? Albo może to nieprawda, że »uczą dzieci małe wierzyć w mord, jak w chwałę«. »Wezmą sztylet mdłe pannieki jak róże do ręki« — nie! lepiej: one wezmą rewolwer, i nie braciom go dadzą, tylko mierzyć nim będą i strzelać same, bo one mówią że nie są mdłe, że są silne i zdolne do »czynu«.

Wszystko jest, niczego nie brak: wszystko stało się faktem. Zamiast obiecywanej epoki miłości, epoki Ducha Świętego, »wszędzie ból, i wszędzie gwałt, i wszędzie bunt«.

I będzie się pasowało
Z ślepem ciałem ślepe ciało
Z brudem brud.
I będzie świat cały
Nad grobowym progiem
Bez Boga!
Wieku tego Panem
Kat — szpieg — i morderca
Na przemiany wszystkie klęski:
Dziś motłoch zwycięski,
Jutro górą król.
Wszędzie wstyd i ból.
Widnokrężna podłość wszędzie —

Czy nie tak jest?

A dopieroż »między dwoma »szkaradami« Orzeł »białoskrzydlny nieskalany« czy zdoła, jak zdoła, skrzydeł tych nie dać sobie skalać, kiedy jest uczony i kuszony »rozdeptać kościoły, sumienia anioły wygnać z ludzi łona«. »W krew truciznę lać mu wszelką« — obiecywać mu za »zbrodnie nadziemską moc czaru«, by »odkląkł z przed ócz Pana a zakochał się w Szatanie«. Nie gdzieś na obcym świecie, tu u nas, mordy,

bluźnierstwa, ryki wściekłości: to na białych skrzydłach naszego orła te plamy krwi i plamy brudu. »Takie świty« — widział Kraśiński z daleka, takie łuny widzimy my z bliska.

»Jak Dant za życia przeszedłem przez piekło, — mówił o sobie w »Przedświcie«. Jeżeli z tamtego świata widzi nasz dzień dzisiejszy i dzisiejszą Polskę w nim, to po śmierci przechodzi przez gorsze piekło.

Im dalej od jego śmierci, i od świata w którym on żył, tem wyraźniej stwierdza się jego jasnowidzenie złego w przyszłości, jego złudzenie o dobrem. Jak to zrozumieć i pogodzić, czem sobie wytłómaczyć tę sprzeczność w jego umyśle, która wydaje się rażąca? Z jednej strony jasność i trzeźwość, którą trzeba by nazwać ostatecznym pesymizmem, gdyby się nie była tak co do joty sprawdziła: z drugiej optymizm posunięty do ostatnich granic idealizmu, i ideologii. Jak to mogło mieścić się obok siebie w jednej i tej samej głowie? jak to jedno do drugiego przypada?

Lepiej, logiczniej, niż się na pozór wydaje.

Jest w Kraśińskim zmysł rzeczywistości, trafny i głęboki, jak u poetów nie zwykły bywać, jak nader rzadko bywa u Polaków. Naturę ludzkich społeczeństw, prawo związku skutków z przyczynami, on zna, przenika, jak żeby był wielkim politykiem, nie wielkim poetą. Otóż, ten kierunek, ten pierwiastek jego umysłu, powoduje jego trzeźwe, dokładne jasnowidzenie rzeczy. Jest zaś w tym umyśle druga jeszcze cecha i władza, filozoficzna zdolność uogólnienia, wydobywania ostatniej przyczyny, zasady, z już widocznych, dotykalnych faktów. Te dwie własności połączone stanowią dopiero wielką Kraśińskiego siłę. Jedna sprawia, że on tak jasno i wyraźnie widzi, druga, że to co widzi odnosi do najgłębszych przyczyn, i przewiduje, przepowiada złe skutki, jakie z tych przyczyn logicznie wyniknąć muszą, jeżeli ich jakaś siła dobra na czas nie odwróci.

Uważajmy bowiem, że on nietylko wskazuje to, co ma przyjść, ale tłumaczy powody, dla których musi przyjść. Podziwiamy intuicję, z jaką on przewidział tak wiele: nie mniej do podziwienia jest ten zbiór podstaw, na których on swoje wnioski opiera. *Psalm Żalu, Dzień Dzisiejszy, Niedokończony Poemat* pełne są wskazówek, jak, jakimi sposobami, »drogi boże piekielnie przemieniają się« na drogi zguby, jak obłuda »w imieniu braterstwa rozsiewa morderstwa«, jak ten, co się sam »bóstwi w świecie odczłowiecza się pomału«, jak »zmąci wiarę, dzieje, człowieczeństwo, i ojczyznę« jak i dlaczego »wśród własnych błędów pędu wezwie drugich do obłędu« i »dusz wielu będzie katem«; aż w końcu uwierzy, że ma »prawo stać się i katem ciała«. W tych przestrobach i naukach nie mniej prawdy, nie mniej rzeczywistości, jak w przewidzianych wówczas a dziś widzianych faktach. I nie mniej prawdą, rzeczywistością jest, że dla tych powodów świat

»Zapał w krew i błoto.
Od morza do morza
Bratobójczo się przewala,
Wije na kształt gada«.

Ale to wszystko — to są prawdy o złem: a prócz nich są u Krasińskiego przepowiednie dobrego — wyjmijmy jedną z tysięcy:

»W okół ciebie zło się pieni:
Ty nie zważasz przecie —
Sypniesz z dłoni garść promieni
I znów jaśniej w świecie«!

To tak być miało! A jest — jak? To wzniesienie »nad złości i szaty i hańby i kały«, ta niepokalaność, przechodząca przez zło bezpiecznie, nietknięta jak salamandra przez ogień, te promienie, które mieliśmy sypać światu na rozjaśnienie? niestety, co za straszna pomyłka, co za nieprawda, i co za boleść sły-

szeć te słowa, te wróżby, a nie módz ich do siebie stosować, musieć uznać, że się nie sprawdziły!

Tak; nie sprawdziły się. A jednak prawda w tem jest. Nie wszystko przestaje być prawdą dlatego, że się rzeczywistością nie stało. Ludzie nie urzeczywistnili prawdy, nie przemienili rzeczywistości w świat ideału, ale prawda nie mniej jest: i w Kraśińskiego obietnicach jest jej więcej, niż się zwykle uznaje i przyznaje.

Zmysł rzeczywistości i filozoficzny kierunek umysłu, potrzebowały wytłómaczyć sobie los Polski rozumowo, dowodnie. Jego przepowiednie i obietnice tłómaczymy sobie zwykle jako poetyczne marzenia i zachwyty. Mylnie. Nie fantazyja je tworzy, ani poetyczna exaltacyja; jego uczucie exaltuje się do zachwyty, ale na podstawie, na gruncie, rozumowo dowiedzionej — jak mniema — prawdy. Wierzy w troistość, w trzy epoki dziejów, w epokę Dobrej Woli i czynów z takiej woli płynących, czyli w Epokę Ducha św., jak ją nazywa. Do tej wiary prowadzi go zastanowienie nad historiją, i prowadzi ta filozofia, która mu trafiła do przekonania. Warunkiem lepszej epoki jest naprawienie złego, jakie zrobiła dawna. Z tego toku myśli wychodzi u niego idealizowanie Polski. Ale tylko idealizowanie jest mylne — nie ideał. W tym prawda jest: a trzeźwość, rzeczywistość, która jest rzec można samym rdzeniem jego umysłu, objawia się nawet tam, gdzie jego pomysł najbardziej wydaje się fantazyją, urojeniem, ideologiją. Taka przyszłość być może: ale nie musi być. Ludzka wola »Jest tak wolna, że aż zdolna świat wytrącić z swych kolei, by bez wstępnych sił zśliznął się po wiekach w tył«. On tamto widzi, jako to, co być powinno: ale to przypuszcza, tego się boi, jako tego, co być może. I stąd te najgłębsze, najrzewniejsze, najpotężniejsze błagania i zaklęcia, te najmędrsze upomnienia, przestrogi, groźby:

»Wszystkie czarne wieku duchy!
Ci z nożami — ci z łańcuchy«

otaczają Polskę i chcą ją zrobić »dwóch barbarzyństw spojem«.

Czy może to nie rzeczywistość? czy na to własnymi oczyma nie patrzymy? czy z nas wielu nie spoziera, nie rzuca się w tę przepaść »pychy i złości i swaru i mężobójstwa i kłamstw i bluźnierstw«? Wszystko się sprawdza: a tak samo prawdą jest i sprawdzić się może, że w tę przepaść, jeżeli się wciągnąć damy, »na dzień jej sobie nicestwo pościelem«.

Krasińskiego ideał, Krasińskiego przepowiednie i obietnice przyszłości, nie są oderwane od rzeczywistości, nie są mrzonką bujającą w przestworzu, jak jesienna nić pajęczyny albo jak gra kolorów w tęczy, pod którą niema nic stałego, istotnego. One się z rzeczywistością łączą, z niej wychodzą, do niej przypadają doskonale. Ideał jest prawdziwy wiekuiście i sam przez się: jego spełnienie, obietnica, jest prawdą przez to, że jest zależne od warunku, od naszej woli tak wolnej, że jak ocalić, tak może nas i zgubić.

Co ta wola wybierze? Od jej wyboru zależy nasz los, nasza przyszłość na wieki: a wybór waży się w tej przełomowej chwili dziejów, który czy potrwa dłużej czy krócej, nie wiemy, ale to wiemy, że przełomową być i taką zostać musi. Wybór nie pewny: Wielu z nas chyli się ku owej przepaści, z rozpaczą jedni, ze ślepej namiętności drudzy, inni z bezmyślności. Im widoczniej, im straszniej sprawdza się to złe, jakie Krasiński przewidywał, im groźniej przypomina się, że »narodu duch zatruty to dopiero bólów ból« — tem potrzebniejszy Krasiński, tem potrzebniejsza jego prawda, ta prawda terażniejszości już stwierdzona, i ta prawda przyszłości, która brzmi: »Polska w Imię Pana« — albo zguba. I ta druga, że w tym straszli-

wym dniu sądu, *Calamitatis et miseriae*, musimy sami zbawić siebie.

Najbardziej polityczna ze wszystkich poezyi na świecie, nie dlatego tylko, że prawie wyłącznie politycznym stosunkom i kwestyom poświęcona, ale jeszcze więcej dlatego, że tak pełna jak żadna inna, znajomości ludzkich społeczeństw i praw społecznego bytu ludzkości, poezya Kraśińskiego ma tę własność, że działa na umysł, na postanowienie, na wolę. Rozpłomieniona, i rozpłomienić zdolna miłością tego, co dobre, świętym gniewem na to, co złe, pogardy tego co podle, łączy natchnienie wielkie, potężne, z męskimi przymiotami rozwagi i hartu. Działa na rozum, na przekonanie, na wolę, ale nie mniej na uczucie, na duszę, na sumienie: rozpala, podnosi, ustala, rozum, uczucie i wolę. Przez to do kształcenia charakterów, do wyrobienia z ludzi męźów, ona nadaje się doskonale. Jest na wskrós, i ze wszystkich najbardziej, męską.

Skarga mówił o sobie »Ja szczególnego objawienia nie mam«: ale bez szczególnego objawienia siłą myśli swojej i swojej miłości ojczyzny przewidział, przepowiedział przyszłość tak, że się wszystko straszliwie sprawdziło. Kraśiński podobnie objawienia od Boga nie miał: ale myślał, ale patrzył, ale rozumiał, ale znał prawo boże i prawa historii, ale miłował te prawa Boskie i swoją ojczyznę tak, jak miłują tylko dusze wybrane, największe — i temi władzami swemi przewidywał, przepowiadał, upominał, zaklinał, groził — i znowu dzieje sprawdziły jego słowa. W gorczy serca wyrzucamy dziś naszym przodkom, że Skargi słuchać nie chcieli. Gdybyśmy, w bliższych czasach byli słuchali Kraśińskiego, gdyby w roku 1844 i 1845, kiedy pisał Psalmy, i później, może dziś nie przewodziliby tak nad nami »sprośne Pany«, »z koroną na głowie czy z różgą ze stali«: może spełnienie jego

przepowiedni złych nie byłoby tak zupełne, spełnienie dobrych nie tak niepewne i dalekie.

Ale dlatego właśnie, kiedy mu urąga siła faktów, kiedy mu urąga nie jedna niestety polska myśl i nie jeden polski uczynek, kiedy mu zaprzecza cały stan narodu rozdartego w sobie, upokorzonego tak, jak ów ksiązę Calderona nędzarz, niewolnik deptany przez swego zwycięzcę: dlatego właśnie Krasińskiego pamięć, myśl o Krasińskim, jest potrzebna na podniesienie sił, na utrzymanie życia. »Wszystkie świata chcą zwierzęta« nas zezwierzęconych ściągnąć na dno przepaści i hańby, gdzie niema już ani przyszłości ani nawet czci: ale na to odzywa się odpowiedź: Nie! Nie damy się zepsuć i zesromocić, nie chcemy być i nie będziemy »dwóch barbarzyństw spojmem«. My wiemy, że »szata Polski nie jest (niestety) nieskalana: ale jej kalać nie chcemy, tylko od kalania strzedz. My wiemy, że »kto chce iskier z czarta kuźni, by przepalić czarta moc, ten nieszczęsny i ten głupi, ten świat w gorszą spycha noc«: i wiemy, że dobre, kiedykolwiek przyjsć ma, i gdziekolwiek, w Polsce czy poza Polską, przyjsć może tylko »w Imię Pana«.

INDEKS NAZWISKOWY.

- Aleksander II. II, 368.
 Ankwiczowa 59.
 Ankwiczówna Henryka 224, 235, 349.
 Antoniewicz Jan Bołoz 64, 104; II, 42, 241, 245.
 Arnold z Brescii II, 98.
 Ary-Scheffer 278; II, 162, 209, 210, 373.
 Balzac 390.
 Bandtke 51.
 Barrère 180.
 Batory Stefan 325; II, 152, 370, 371.
 Beauvau 386.
 Bellini 102, 392.
 Bem II, 305.
 Bieliński wojew. 49, 51.
 Bismark 315; II, 243.
 Bobrowa 99, 237, 238, 241, 353, 372, 376, 377; II, 265, 347.
 Böhme Jakób II, 96, 98.
 Bonaparte Ludwik II, 289, 299.
 Bonstetten 56, 105.
 Bossuet 149.
 Branicka Eliza zob. Krasieńska Eliza z Branickich.
 — Katarzyna zob. Potocka Adamowa.
 — Róża z Potockich, primo voto Antoniowa Potocka II, 160.
 Branicki Konstanty II, 380.
 Zygmunt Krasieński II.
- Branicki Władysław II, 160.
 Brodziński Kazim. II, 152, 157, 351.
 Bronikowski generał 42.
 Budzyński II, 365.
 Bugaud II, 293.
 Bulwer 143.
 Burdet Mrs. zob. Willan Harriett.
 Byron 4, 6, 7, 22, 23, 41, 43, 60, 82, 118, 119, 138, 139, 231, 234, 236, 284, 331, 332, 343, 416; II, 5, 13, 85, 245, 354, 400, 437.
 Calderon 416.
 Campanella II, 96.
 Cavour II, 379.
 Chateaubriand 196; II, 392.
 Chelius II, 118, 178, 179, 299, 300, 309.
 Chłapowski II, 125.
 Chłopicki 229.
 Chojecki Edmund II, 263.
 Chopin 392.
 Chodźko Leonard 45.
 Cieszkowski August 119, 414, 417, 423, 424, 426, 427; II, 35, 57, 75, 95, 99, 100, 139, 141, 190, 228, 262, 302, 367, 406.
 Cousin 109.
 Cromwell 170.
 Cuvier 419.
 Czacki Szczęsny 35, 36.
 — Tadeusz 35.

- Czacki Włodzimierz II, 89, 302—304.
 Czajkowski Michał II, 304, 306—308.
 Czarniecki Stefan II, 139, 152, 159.
 Czarnomski Roman II, 362.
 Czartoryska stolnikowa 224.
 Czartoryski Adam 106, 229; II, 20, 211, 291, 373, 415.
 — Konstanty 357.
 Danielewicz Konstanty 118, 129, 223, 226, 230, 237, 240, 252, 360, 363, 364, 408, 414; II, 32, 111, 116, 222, 316, 318, 320.
 Dante Alighieri 18, 24, 62, 119, 128; II, 98, 105, 128, 149, 244, 311, 316, 321—323, 347, 383, 387, 397, 431.
 Danton 195.
 Delaroche Paweł 170, 403.
 Delfina, zob. Potocka Delfina.
 Desmoulins Camille 175.
 Didier 394.
 Dmóchowski 43.
 Drogosław 332.
 Dumas 390; II, 5, 234, 401.
 Dumouriez II, 233, 234.
 d'Enghien, książę 68.
 Erigena II, 98.
 Falkowski 36.
 Fichte 98.
 Flahaut 386, 392, 393.
 Fouquier-Tinville 180.
 Fredro II, 27.
 Fryderyk Wielki 325; II, 243.
 Gałęzowski Seweryn II, 266.
 Garczyński Wacław II, 352, 394.
 Garibaldi 182.
 Gaszyński Konstanty 32, 40—43, 45, 57, 58, 104, 105, 108, 110—112, 119, 120, 123, 126, 129, 216, 217, 228—230, 244, 245, 248, 286, 341, 343, 353, 360, 397, 406, 414, 416; II, 16, 18, 42, 50, 111, 117—120, 140, 143, 148, 150, 169, 179, 180, 212, 218, 222, 227, 228, 242, 250, 264, 266, 267, 352, 367, 392, 399, 400.
 Gibbon 329.
 Goerres II, 96.
 Gorczakow II, 360.
 Goszczyński II, 5.
 Göthe 7, 11, 24, 94, 118, 119, 128, 138, 233, 266, 267, 280, 332, 343; II, 386, 400.
 Grzegorz VII 299.
 — XVI, II, 213, 214, 404, 408.
 Guizot II, 231.
 Günther II, 312.
 Hahn Wiktor 332.
 Heal-Handley Delfina II, 111.
 Hegel 183, 418, 424; II, 32, 42, 61, 66, 75, 95, 99, 139.
 Heine II, 353.
 Henrietta zob. Willan Harriett.
 Henryk IV, 285, 325.
 Hermion II, 269.
 Hoffmann 101, 332.
 Homer 138, 253, 257, 258, 266; II, 386, 399.
 Iwan Groźny 8; II, 251.
 Jakubowski 83.
 Jaroszyński Edward 226, 241, 372, 373, 395, 404, 407, 409, 410, 424.
 Jaźwiński II, 364, 366, 367.
 Jean Paul Richter 101, 332; II, 5, 15—17, 42, 45.
 Joachim de Floris II, 47, 96, 98.
 Johnson 397.
 Józef II, II, 415.

- Jugurta 268.
 Juwenal 261, 329.
- Kajsiewicz, ksiądz II, 89, 94, 298.
 Kallenbach Józef 32, 35, 39, 40, 42, 46, 55, 65, 103, 115, 129, 223, 237, 240, 255, 256, 332, 335, 336, 364; II, 15.
 Kalinka II, 367.
 Karpiński II, 351.
 Katarzyna II, 8; II, 203, 243, 433.
 Klaczko Julian 24, 25, 27, 48, 53, 82, 117, 143, 146, 162, 189, 210, 216, 254, 264, 278, 280, 299, 371; II, 144, 148, 164, 353, 373, 431, 438.
 Książnin II, 351.
 Kochanowski Jan 138; II, 351, 411.
 Kochowski II, 351.
 Komarowie 386, 394.
 Komarówna Ludmiła 386.
 — Natalia 386, 389.
 Komierowski II, 262.
 Konstancya zob. Sauter Konstancya.
 Korzeniowski Józef 32.
 Kossut Ludwik II, 292, 294.
 Kotarski II, 218.
 Koźmian A. E. 39, 50.
 — Kajetan 32, 40, 49, 54, 105; II, 169—171, 400.
 — Stanisław II, 68, 140, 235, 236, 242, 244.
 Krasieńska Eliza z Branickich, żona poety 226, 403, 409, 411; II, 9, 160—162, 165, 166, 179, 209, 245, 250, 252, 262, 300—303, 375, 380.
 — Eliza, córka poety II, 361, 375.
 — Antonina z Czackich, starościna Opinogórska 35—37.
 Krasieński Adam 365, 411; II, 42, 89, 93, 95, 96, 99, 310.
- Krasieński Wincenty, generał 29, 33—39, 42, 43, 47, 49, 81, 113, 115, 237, 240, 253; II, 165, 302.
 — Waleryan 97.
 — Władysław 213; II, 2.
 Krzyżanowski 42, 47, 48.
 Kuczkowska zob. Ankwiczówna Henryka.
- Lacordaire 7; II, 85, 405.
 Lafayette 175.
 Lamartine 55; II, 232, 233, 234.
 Lamennais 7, 74, 234, 340, 406; II, 15, 47, 85, 95, 214, 403, 404, 405 410.
 Lengefeld Charlotta II, 347.
 Leon XII. II, 404.
 Laprade II, 234, 399—401.
 Lelewel Joachim 45, 246.
 Lubomirska Kazimierzowa 225, 227, 356; II, 228.
 Lubomirski Jerzy 357, 417; II, 9, 89, 119, 263, 265, 266, 367.
 — Kazimierz 225.
 Ludwik Filip II, 249.
 — XIV. 285.
 — XVI. II, 371.
 Luter Marcin 424.
 Lytton lord 143, 216.
- Łubieński Leon 50, 51, 72, 83, 90, 91, 93.
- Macaulay II, 397.
 Macchiavel II, 413.
 de Maistre II, 418.
 Małachowski Stanisław, marszałek 35, 36.
 — Stanisław, przyjaciel poety 116, 415, 417; II, 9, 22, 38, 52, 57, 72, 101, 119, 169, 174, 178, 179, 211—213, 218, 225, 226, 228, 231, 237, 253, 256—259, 262, 263, 265,

- 266, 291, 292, 301, 302, 309, 355,
362, 362, 363, 367, 368, 373, 379,
415.
Malczewski II, 351.
Małeckci 268, 311; II, 12, 212, 263,
265.
Malibran 357, 392.
Malte-Brun 46.
Marcinkowski II, 125, 229.
Marya Antonina II, 269, 270.
Maryusz II, 195.
Mastai hr. II, 256, 298, 414.
Matuszewicz Adam 49.
Mazzini 7; II, 257.
Metternich 325; II, 404, 415.
Michelet II, 96.
Mickiewicz Adam 4, 6, 7, 9, 10, 13,
17—19, 21—23, 41—43, 57, 58,
60, 69, 73—75, 89, 104, 110, 129,
146, 163; 195, 196, 198, 209, 214,
216, 224, 234, 236, 327, 331, 332,
343, 401, 413, 416; II, 5, 15, 16,
45, 47, 85, 86, 93, 111, 113, 124,
125, 127, 143, 152, 157—159, 169,
179, 185, 211—214, 216, 229, 244,
245, 249, 250, 252, 253, 261, 284—
286, 299, 300, 304, 309, 347, 351—
353, 364, 373, 386, 387, 389, 404—
408, 410, 414, 420, 425, 426, 427,
437.
Mieczysławska Makryna II, 248,
251, 253.
Mielżyński Maciej II, 229.
Mierosławski II, 217.
Mikołaj I. 106, 108, 115, 116, 118,
349; II, 213, 214, 252, 284, 299,
362, 371, 408, 432.
— z Kuzy II, 98.
Milton 280, 282—284, 306, 330.
Miodoński 332.
Mirabeau 175.
Montalembert 7; II, 85, 232, 373,
405, 411.
Morawski II, 125.
Morny, książę 387; II, 360.
Morsztyn II, 351.
Murawiew 8.
Musset 99; II, 353.
Napoleon I. 3, 36, 68, 78, 114, 218,
413; II, 259, 331, 427.
— III. 387; II, 309, 360, 363, 374,
379, 414.
Niemcewicz Ursyn 49, 78, 103, 106.
Norwid Cypryan II, 263.
Novalis II, 95.
Odescalchi, księżna II, 164.
Odyniec A. 42, 43, 57 58, 69, 97,
105.
d'Orleans, książę 386, 392, 393.
Osiński 42, 51.
Panie Kochanku 197.
Pasek II, 251.
Paskiewicz 33, 125; II, 432.
Petrarka 23.
Pini 332.
Piotr W. II, 269.
Pius IX. II, 214, 235, 236, 248—
250, 252, 255, 257, 298, 310, 408,
409, 414.
Pol Wincenty II, 148, 352.
Poniatowski Józef 34.
Porębowicz II, 42.
Possewin II, 370.
Potocka Adamowa 410, 411; II,
172.
— Aleksandra zob. Potocka Au-
gustowa.
— Arturowa II, 302.
— Augustowa II, 164.
— Delfina 99, 226, 238, 386—389,
391, 394, 396, 397, 399, 402; II,
26, 118, 120, 166, 179, 207—209,
301, 302, 310, 342, 347.

- Potocka Julia 361.
 Potocki Adam 116, 403, 410, 111;
 II, 22, 164.
 — Aleksander 224.
 — Alfred 361; II, 164.
 — Herman 224.
 — Józef 224.
 — Mieczysław 389.
 — Salezy 197.
 — Szczęsny 389.
 Prevost-Paradol II, 163.
 Priessnitz 344.
 Proudhon II, 293.
 Psychary II, 209.
- Raczyński Edward II, 125, 229,
 300.
 Rafael 392; II, 375.
 Rajecki Otton 224.
 Reeve Henryk 27, 42, 62—65, 69,
 71—74, 76—79, 82—84, 86, 91,
 96—98, 100, 103, 106, 108, 113,
 114, 116, 118, 119, 230, 235, 239,
 247, 248, 364, 370, 371, 410; II, 96.
 Rettich, pani 357.
 Robespierre 176, 183, 184, 195; II,
 195.
 Rossi II, 297.
 Rossini 392.
 Rotszyld 345.
 Rubini 392.
- Sadyk Pasza zob. Czajkowski Mi-
 chał.
 Saint-Simon 108.
 Sand, pani 390.
 Sauter Konstancya 65, 73, 78, 79,
 96.
 Schelling II, 42, 95, 96, 98, 99.
 Schiller 7, 23, 60, 200, 277, 357,
 358, 360; II, 347, 399, 400, 413.
 Schlegel Fryd. 74; II, 95, 96.
 Scribe 234; II, 45,
- Semenenko, ksiądz II, 89, 94, 406.
 Siemieński Lucyan II, 148.
 Sierakowska Alfonsowa 356.
 Skarga Piotr 9; II, 192, 203, 298,
 397, 434, 447.
 Skrzynecki 84, 229.
 Słowacki Juliusz 6, 19, 22, 52, 89,
 226, 276, 331, 343, 368, 370,
 413—416; II, 11, 12, 14, 45, 103,
 106, 114, 116, 117, 119, 120, 140,
 143, 144, 151, 159, 179, 212,
 213, 215, 245, 263—268, 271—274,
 284, 300, 346, 351—354, 384, 399,
 407, 421, 425, 428.
 Smolikowski, ksiądz II, 406.
 Sobieski Jan 315; II, 152.
 Sołtan Adam 59, 226, 227, 236,
 240, 341, 345, 349, 351, 356, 361,
 370, 372, 392, 397, 399, 408, 409,
 412, 413, 417; II, 46, 57, 72, 106,
 108, 111, 112, 117—120, 140—142,
 169, 175, 178—180, 208, 211, 213,
 215, 249, 250, 260, 285, 302, 309,
 310, 355, 361, 364, 367, 375, 376.
 Sołtan Michał 240; II, 364.
 Sołtyk Stanisław 59, 224, 349.
 Soulié 390.
 Spada, pani 386.
 Spinoza 342.
 Staël, pani 389.
 Stadnicki Bronisław 32.
 Staszic 50; II, 93.
 Stefania Badeńska, w. ks. II, 363.
 Sterbini II, 297.
 Sternal II, 127, 140, 141, 143.
 Stoffel II, 144.
 Strauss II, 34.
 Szekspir 24, 128, 141, 280, 332, 343,
 360, 416; II, 151, 269, 353, 386,
 399, 400, 413.
 Szujski Józef 336; II, 141, 144.
 Talleyrand 325.

- Tęczyński 359.
 Thurneysen 375.
 Towiański II, 100, 113, 114, 143,
 157, 211, 249—252, 299.
 Trentowski II, 229, 230, 232, 237,
 238, 249, 251, 261, 262, 295—297,
 360, 377, 409, 417.
 Twardowski, prof. 56, 58, 59.
 Ujejski Kornel II, 149.
 Ulrych 217, 360.
 Urqhart II, 232.
 Ventura, ksiądz II, 379.
 Vico II, 96.
 Virgiliusz 257, 261.
 Voltaire 31, 325.
 Walewski Aleksander 78; II, 360.
 Walter, lekarz II, 379.
 Walter-Skott 43, 46; II, 391.
 Weber 119.
 Wellisch Leopold II, 209.
 Werner Zacharyasz 365.
 Węzyk Franc. 365.
 Wielopolski Margrabia II, 21.
 Wiktor Hugo 277, 394; II, 5.
 Willan Harriett 59, 66—69, 71—74,
 76, 78, 82, 86, 96—98, 102, 235,
 236, 349.
 Windischgraetz II, 293.
 Wrangl 293.
 Zaleski Bohdan 401; II, 148, 352.
 Załuska Amelia 42, 97, 103, 114,
 115; II, 302.
 Załuski Roman 42, 97, 416; II,
 264, 399.
 Zamoyski Aleksander 225.
 — Andrzej 225.
 — August 74—76, 91.
 — Stanisław 225.
 — Władysław II, 291, 304, 364,
 367, 373, 415.
 Zimorowicz II, 351.
 Żółkiewski II, 152.

SPROSTOWANIE.

W rozdziale XI zaszła pomyłka. *Memoryał Deux puissances* podany jest jakoby był pisany dla Napoleona III. Tymczasem treść jego wskazuje, a Stanisław Małachowski świadczy, że był pisany w roku 1847, dla ówczesnego francuskiego rządu.

Autor.

SPIS TREŚCI TOMU II.

Str.

ROZDZIAŁ VII. — Noc letnia. — Pokusa. — Trzy myśli Ligenzy.

I. Zboczenie myśli i osłabienie twórczości Krasińskiego. Romantyzm drugorzędny i jego złe zwyczaje. Pretensya. *Noc Letnia*. Sposób opowiadania. Znaczenie i powód napisania. Pochwały i ich odparcie. Skłonność Krasińskiego do przesady i napuszystości. Wpływ Jean Paula. Zakończenie: jego obrona przez autora. *Pokusa*. Znaczenie i słusność myśli podstawnej. Próżność. Godność. Treść. Zakończenie. Jego niemoralność i jej domyślny powód. Osobisty smutek autora. — II. *Trzy Myśli*. Stosunek do poprzednich i do późniejszych pojęć Krasińskiego. Wyrabianie się jego systemu. Powody. Wpływ filozofii niemieckiej. Niejasność i sprzeczność pojęć. *Syn Cieniów*. Pojęcie istoty, bytu i przeznaczenia człowieka. Objasnienia wiersza w liście. Mieszanina pojęć i ich niezgodność z sobą. *Sen Cezary*. Pierwszy objaw późniejszej teorii o odrodzeniu przez śmierć. Sceny widzenia. Przesadność i nadętość. Niejasność. Styl apokaliptyczny. *Legenda*. Troistość dziejów od Cieszkowskiego przejęta. Zastosowana do Kościoła. Epoka Ducha Śgo. Jej powtarzające się oczekiwanie od wieków średnich. Widzenie poetyczne. Treść. Nienaturalność formy. Fałsz i szkodliwość myśli. Pierwiastki optymizmu i zwątpienia. Wartość artystyczna *Trzech Myśli*. Ich przedmowa .

3

ROZDZIAŁ VIII. — 1841—1843.

I. Zarys religijnych i filozoficznych pojęć Krasińskiego. Pismo o *Trójcy i Słowie Wcielonym*. Trzy osoby Trójcy. Byt i łaska. Myśl i prawo. Miłość i żywot. Bóg w stosunku do stworzenia. Człowiek. Jego troistość. Jego coraz wyższe żywoty. Jego ostateczne przeznaczenie. Ludzkość. Zasada troistości w jej dziejach. Starożytność jako jej byt zmysłowy. Walka sumienia z naturą w chrześcijaństwie. Ciągły postęp mimo koniecznych błędów i upadków. Ciągłe pragnienie wyższej doskonałości. Przyszła trzecia epoka. Nie nowe objawienie, ale zrozumienie i wykonanie tego, które jest. Królestwo Boże na ziemi. Kres

przeznaczeń i dziejów ludzkości. Droga ku niemu. Wolne narody. Sposób ich postępu. *Próba grobu*. Warunkowość odrodzenia i obietnic. Filozofia Krasińskiego w związku z współczesnym stanem świata. Ze stanem Polski. Krasiński nie jest mistykiem. Jego stanowisko religijne. Systematyczność jego pojęć. Zwrot w jego poezji. — II. Traktat o *Trójcy w Bogu i Trójcy w człowieku*. Jego historia. Jego treść. Jego znaczenie. Porębowicza *Tryady Krasińskiego*. Adama Krasińskiego *Poeta Myśli i Dzień Ducha Ś-go*. — III. Koniec r. 1840. Wiersze miłosne i patryotyczne. Zima w Rzymie. Wyjazd w usposobieniu ponurem. Pobyt w Karlsbadzie. Przyrzeczenie ożenienia się. Fałszywe położenie. Jesień i zima w Monachium. Oczekiwanie nowej epoki. List do Słowackiego o Towiańskim. Początek zmiany w ich przyjaźni. Choroba i śmierć Danielewicza. Pobyt w Szwajcaryi. Wiersz Fryburg. Początki *Przedświt*. Spotkanie z Gaszyńskim. Zima w Rzymie. *Przedświt* w druku. Wyjazd z Rzymu na ślub. *Przedświt* wydany . . . 57

ROZDZIAŁ IX. — Przedświt i Psalmi.

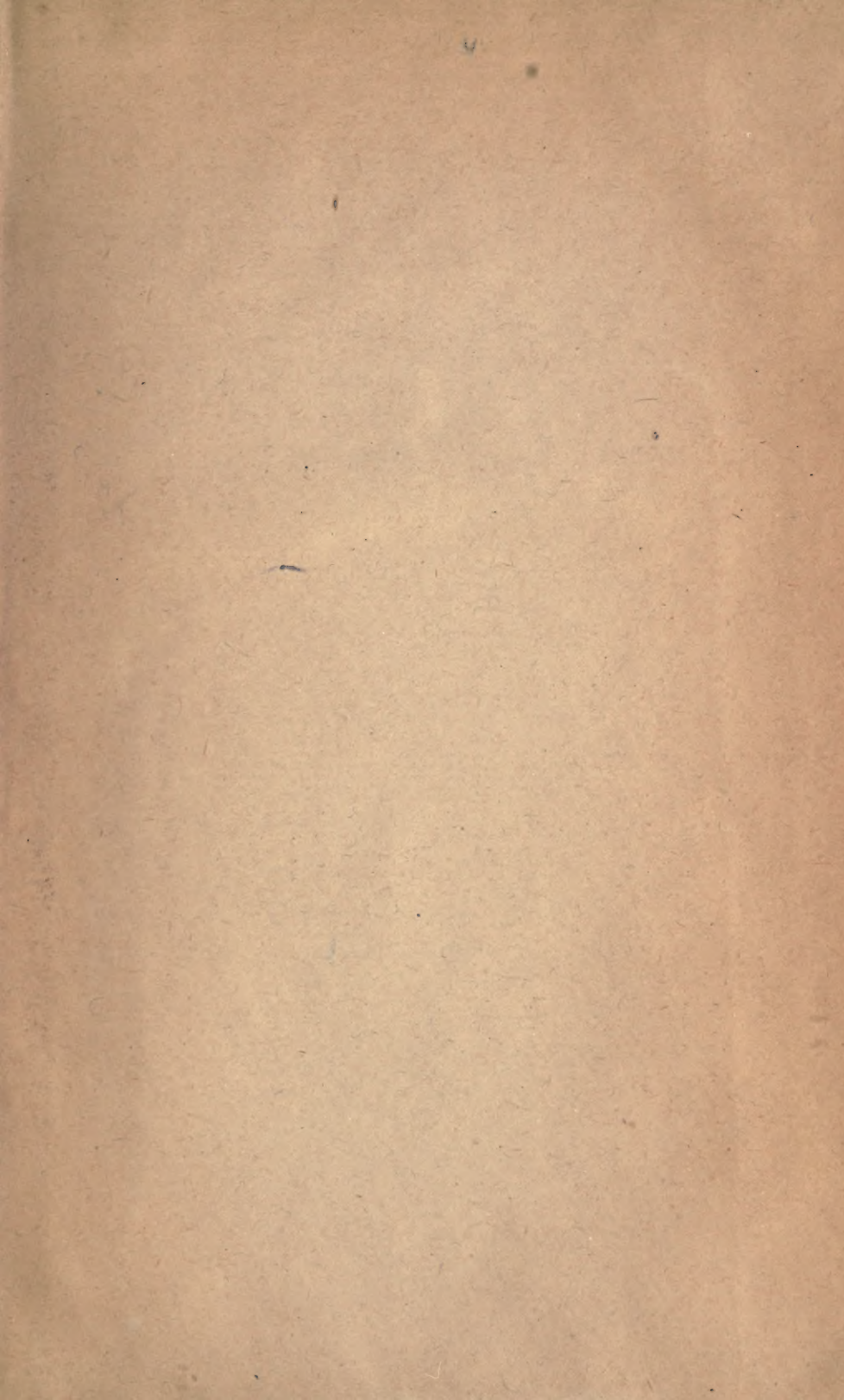
I. *Przedświt*. Punkt zwrotny w poezji Krasińskiego. Pierwszy powód jego wziętości i chwały. Wrażenie, jakie sprawił, i powody wrażenia. Związek *Przedświtu* z dawniejszą poezją polską i Krasińskiego. Znaczenie *Wstępu* i jego treść. Co w nim prawdziwe, a co mylne? Chrystusowa ofiara Polski. Jak ją Krasiński rozumie? Odrodzenie przez śmierć. Jego warunkowość. Jego skutki: Odrodzenie i przyszłość Polski. Oznaki i rękojmie przyszłości. Znowu warunkowość. Krasiński nie identyfikuje Polski ze Zbawicielem. Nie przypisuje jej ofiary dobrowolnej. Przypisuje zdolność, a przypuszcza możliwość pojęcia i urzeczywistnienia myśli bożej w historii. Wróżby przyszłości i sądy o teraźniejszości. Pozorna sprzeczność. Jej wytlómaczenie. Stosunek *Przedświtu* do Messyanizmu. Jego wartość poetyczna. Przewaga filozofii i tendencji. Wzniosłość i piękność. Plan i budowa. Najpiękniejsze ustępy. Bolesne wrażenie ostatniego widzenia. Podnoszące i krzepiące wrażenie zakończenia i całości. Prawda *Przedświtu* i jej złe zrozumienie: jego wpływ. Stopniowe wyrabianie się tej myśli od początku wieku. Wyraszający najwyższy poezji wieszcz, przepowiadający. Jego znaczenie w zawodzie Krasińskiego: w literaturze i historii polskiej tego wieku. — II. Ożenienie. Pani Krasińska. Zima w Warszawie. Kajetan Koźmian i jego *Czarnecki*. Wiersze i *Traktat o Trójcy*. Stan kraju i jego wrażenie. Emissaryusz. List do Soltana, pierwsze pomysły *Psalmi*.

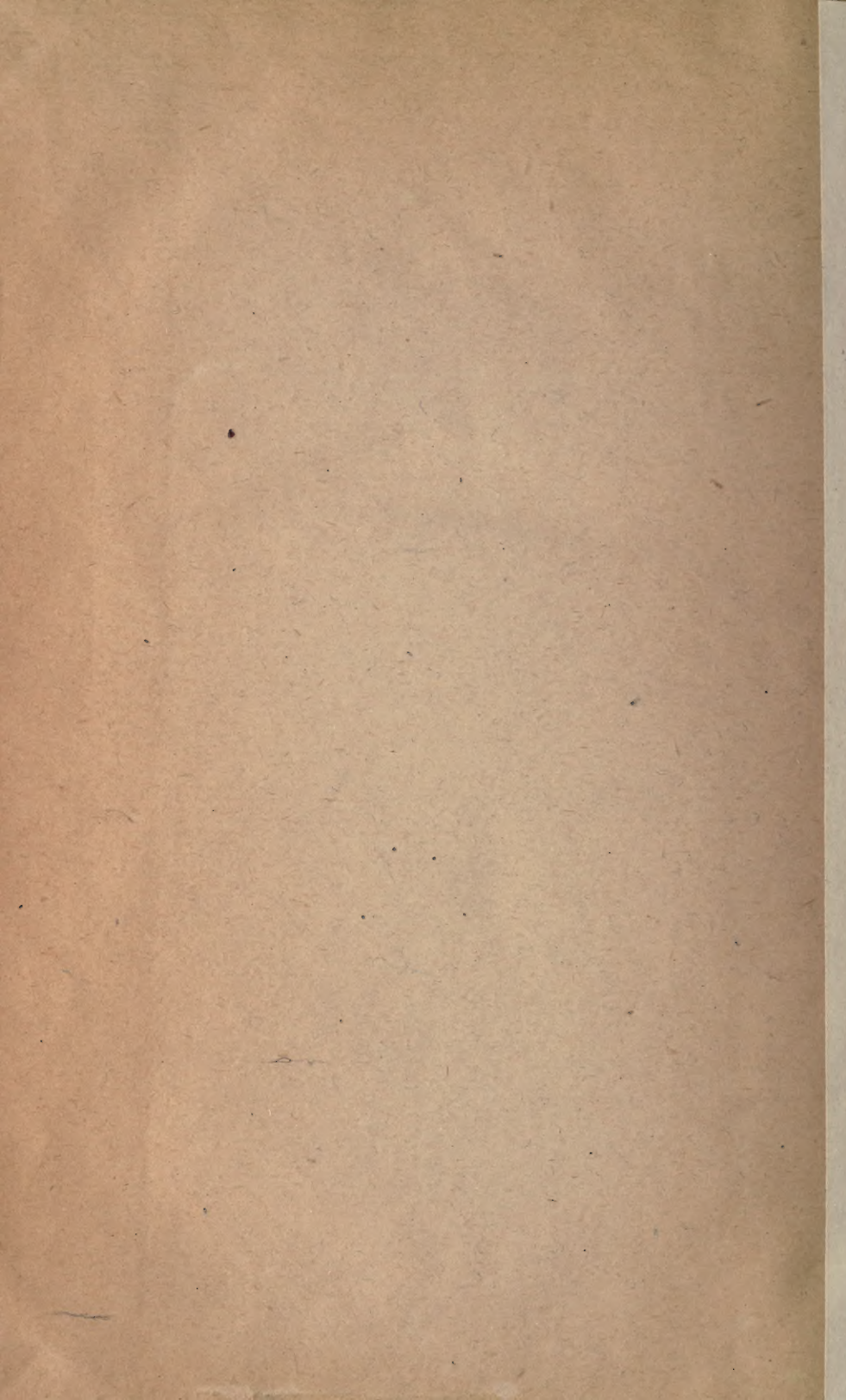
- mów*. Lato u wód. Urodzenie syna. Lato 1845 w Nizy, w Niemczech, w Paryżu. Wyjazd do Włoch. Wydanie *Psalmów*. — III. *Psalmy Przyszłości*. Ich powód. Znaczenie dwóch pierwszych. *Psalm Wiary*. Jego forma. Jego treść. Jego związek z następnymi. *Psalm Nadziei*. Jego treść filozoficzna. Jego przystosowanie. *Psalm Miłości*. Poezja okolicznościowa polityczna. Polityczne i społeczne przekonania i dążności Krasińskiego. Niechęci przeciw niemu. Słuszność jego pojęć i obaw. Katarzyny śmiech szyderstwa 123
- ROZDZIAŁ X. — 1846—1848. Dzień dzisiejszy — ostatni. 2 *Psalm*. I. Zima w Nizy. Fałszywe położenie. Przyjaźń z Ary Schefferem. Sprawy emigracyjne. Towiański. Wznowiona korespondencya ze Słowackim. Cesarz Mikołaj w Rzymie. Sąd o Grzegorzcu XVI. Rok 1846. Pierwsza rozpacz. Sądy i wnioski (wyjątki z Listów). Wiara w przyszłość. Stosunek z Trentowskim. — II. Zajęcie Krakowa. Wrażenie na Krasińskiego. List do hr. Montalembert. List do Lamartina. Pius IX. Stanisław Koźmian. Zamiana myśli. Możliwy wpływ. Przyjaźń i ofiara Koźmiana. *Dzień dzisiejszy*. Jego powód. Jego wartość. *Ostatni*. — III. Zima w Rzymie. Rok 1848. Nadzieje i złe przeczucia. Mickiewicz. Wzajemny stosunek. Rewolucya w Rzymie. Audyencya u Piusa IX. Sąd o jego postępowaniu. O wypadkach w ogólności. O przyszłości Polski. Zajęcie z Czarnomskim. Dwa *Psalm*y oddane do druku. Stosunek ze Słowackim. Powody zerwania. — IV. Dwa *Psalm*y. Wiersz Słowackiego. Konieczność odpowiedzi. Początek *Psalmu Żalu*. Jego dalsze ustępy i usterki. *Psalm Dobrej Woli*. Jego znaczenie. Co w nim jest prawdą. Jak go rozumieć i stosować. Ostatnie słowo poezyi Krasińskiego. Zakończenie wielkiej epoki poezyi polskiej 207
- ROZDZIAŁ XI. — Ostatnie pisma i lata.
- I. Koniec roku 1848. Wiersz Vindobona. Sąd o wypadkach. O stanowisku Polski względem wojny węgierskiej. O jej ogólnym stanie i przyszłości. List do hrabiego Mastai. Upadek zdrowia. Mieszkanie w Heidelbergu i Badeniu. Śmierć Słowackiego. Zima z roku 1849 na 50 w Warszawie. Powrót do Niemiec. Zmiana w usposobieniu. Życie rodzinne. Żona. Choroba syna. Przyjaciele. Włodzimierz Czacki. List o Czajkowskim. Drugie cesarstwo we Francyi. Zima 1851—52 w Rzymie. — II. Początki *Niedokończonego Poematu*. Jego znaczenie. Powody jego błędów. Treść. Aligier. Piekło i czyściec dni dzisiejszych. Księżna Rahoga. Pasma dziejów i ich wykład. Starożytność. Chrześcijaństwo. Przyszła epoka. Pankracy i Ali-

gier. Piękności, usterki, trwała wartość poematu. — III. Wiersz do Elizy. Inne wiersze do żony. Trzy miłości w życiu Krasińskiego. Ich różny charakter. Miłość żony. Poezya miłosna Krasińskiego. Jej cechy i stanowisko w literaturze. Glossa św. Teresy. *Resurrecturis*. — IV. Przewidywania wojny Wschodniej. Zima w Warszawie. Urodzenie drugiej córki. Wojna i nadzieje. Memoryał dla Napoleona III. Śmierć Mickiewicza. Jego pogrzeb i list Krasińskiego o generale Zamoyskim. Kongres Paryski. Nowa polityka Rosyi. Jej niebezpieczeństwo. Zima w Paryżu. Lato 1857 w Potoku. Śmierć córki. Wpływ na zdrowie. Ostatnie wiersze. Ostatnie listy o Polsce. Pobyt w Plombières. Napoleon III. Cavour. Postęp choroby. Zamierzona podróż do Algieru. Śmierć ojca. Ostatki życia i zgon. 289

ROZDZIAŁ XII.— Krasińskiego talent, pojęcia, usposobienie, znaczenie.

Bolesne w końcu wrażenie. Wszystko Krasińskiemu zaprzecza. Jego prawda. Dwa rodzaje poetów. Poezya filozoficzna. Krasiński. Jego zdolność przewidywania i trafnego widzenia. Początki poetycznego zawodu. Drugi okres. Twórczość poetyczna. Zdolność dramatyczna. Wielkość pomysłów i jej powód. Liryzm filozoficzny i polityczny. Jego siła. Język i styl. Literackie pojęcia i smak. Wielkość poety. Pojęcia religijne. Ich koleje i zmiany. Wiara i niechęć. Powody niechęci. Powody zwrotu. Utwierdzenie w przekonaniach. Katolicyzm Krasińskiego. — Pojęcia polityczne. Ich stałość. Znajomość ludzkich społeczeństw. Wzniosły ideał i zrozumienie rzeczywistości. Logika. Zmysł polityczny. Trzeźwość sądu i jego surowość. Podstawy nadziei i jej warunkowość. Tożsamość *Racyi Stanu* i *Rewolucyi*. Miłość wolności. Polityczny rozum. — Natura uczuciowa. Skłonność do exaltacji. Fantazyja zwrócona na siebie samego. Jej skutki w pismach i w życiu. Rodzaj jego egoizmu. Pessimizm. Stałość w przyjaźni. Temperament. Świadomość siebie. Brak zarozumiałości i próżności. Zająęcie sobą i oderwanie od siebie. Wielkość moralna. Nigdy nie zaszkodził. Nic i nikogo nie zepsuł. — Związek z współczesnym światem i z Polską. Wyobraziciel szlachetnych pierwiastków swego wieku. Wskazuje trafną drogę. Wyobraziciel obecnego stanu Polski. Jej sędzia. Jej nauczyciel. Tragedya Krasińskiego. Jego przeznaczenie. Jego wielkość. Wpływ jego poezyi. Zła lub dobra przyszłość. Nasza w tej mierze odpowiedzialność. 383





FL.26-6-69

PG
7158
K7Z87
t.2

Tarnowski, Stanislaw
Zygmunt Krasinski [Wyd. 2.,
uzup. i powiekszone]

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

